

Pod pseudonimem

Eli Anderson ukrywa się paryżanin Thierry Serfaty (ur. 1967), psychiatra i onkolog dziecięcy, który pewnego dnia zalecił swym małym pacjentom... narysowanie choroby. Tak właśnie - z mikstury wyobraźni, ciekawości i wiedzy - narodził się cykl książek o Oskarze Piłlu, tłumaczony już na angielski, włoski, grecki, węgierski, koreański i turecki. Za pierwszy tom, Oskar Viii i Zakon Medykusów, w 2011 roku autor otrzymał Prix des Ados, nagrodę przyznawaną za najlepszą francuską powieść młodzieżową. Prawa do ekranizacji kupiła wytwórnia Warner Bros. Oprócz serii o przygodach Oskara Eli Anderson napisał również sześć thrillerów dla dorosłych. W przygotowaniu przekłady kolejnych tomów przygód Oskara.

**Eli Anderson**

**Oskar Pill i zakon medykusów**

**przełożyła Joanna Wysocka**

Wydanie powieści częściowo sfinansowano dzięki nagrodzie pieniężnej przyznanej za publikację Lotnika Eoina Colfera. Organizatorami konkursu na najlepszą książkę dla dzieci i młodzieży DOBRE STRONY były: Miejska Biblioteka Publiczna we Wrocławiu i Wrocławskie Promocje Dobrych Książek, fundatorem nagrody zaś - Prezydent Miasta Wrocławia.

Tytuł oryginału: Oscar Pill: The revelation of the Medicus Copyright © Albin Michel/Susanna Lea Associates, 2009. [www.oscarpill.com](http://www.oscarpill.com) Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2011 Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie I Warszawa 2011

Dla Melissy, Naomi, Jade, Sashy, Noaha i Sienny. Choćbym napisał sto książek, to zawsze będzie za mało, by Wam powiedzieć, jak bardzo Was kocham.

## Niewiarygodna ucieczka

Siergiej Popow zbliżył się do okna swojego kantorka i zadrżał: na dworze wirowały wielkie, szarawe płatki śniegu, wichur dziko świstał pomiędzy murami fortecy, wciskając się w każdą najmniejszą szczelinę.

Strażnik z niedowierzaniem pokręcił głową. Burza śnieżna w środku czerwca?! Cóż, zagubione na syberyjskich rubieżach więzienie Czarna Skała leżało wysoko, pomiędzy ostrymi szczytami Uralu; nawet kiedy mijała już zima, długo jeszcze bywało tu pochmurno i zimno, ale żeby aż taka śnieżycy... Prawdziwy dom wariatów.

Otulił się szczelniej kocem i oddalił od smętnego widoku za oknem. Tak czy inaczej, wszystko było przygnębiające w tym miejscu, gdzie diabeł mówił dobranoc, a człowiek pracował w ponurej fortecy, za towarzyszy mając jedynie kilku małomównych kolegów.

Spojrzał na zegar - było wpół do pierwszej. Więźniowie skończyli jeść posiłek i należało przejść się po celach, by zebrać talerze. Wziął swoją broń, sprawdził, czy dobrze działa - czynność tę powtarzał co najmniej dziesięć razy dziennie - i wyszedł z kantorka. Miał pod swoją opieką tylko jedną celę i j e d n e g o, jedyne więźnia. Nie było przy tym może za wiele roboty, miał jednak świadomość olbrzymiej odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła.

Ze wszystkich uwieczonych bandytów i morderców jego więzień cieszył się zapewne największą, ponurą sławą - był też spośród nich najgroźniejszy.

Rozpoczął wędrówkę po schodach, skomplikowaną trasą, której przebieg znał tylko on. Za każdym razem miał wrażenie, że schodzi w głąb ziemi: robiło się coraz zimniej, wokół panowała coraz większa cisza, pochodnia zaś gasła, jak gdyby brakowało jej tlenu... W uszach rozbrzmiewał mu tylko odgłos własnych kroków na oszronionej, kamiennej posadzce i podzwanianie pęku kluczy u boku.

Zatrzymał się wreszcie przed ciężkimi, żelaznymi drzwiami, które okute były licznymi zamkami. Każdy z nich otworzyć można było jednym, jedynym kluczem, i

to w ściśle określonej kolejności. W razie gdyby ją zaburzono, zamki automatycznie się blokowały i trzeba było wielogodzinnych, skomplikowanych zabiegów, by je odblokować. Kolejność znali tylko Siergiej i oczywiście Wielki Mistrz. A ten ostatni miał do Siergieja całkowite zaufanie, chociaż Siergiej był tylko pracującym na jego służbie funkcjonariuszem i nie należał do Zakonu.

Skupił się, ujął w zgrabiałą dłoń klucz i otworzył pierwszy zamek, potem zaś otwierał kolejne, aż do ostatniego. Następnie opuścił ciężką sztabę i wszedł do ciemnego przedsionka. Przed nim pojawiły się kolejne drzwi, pośrodku których wyżłobiona była obwiedziona złotem litera M. Strażnik wyjął z kieszeni wisiołek z literą, która idealnie mieściła się w zagłębieniu. W tym samym momencie w drzwiach odsunęła się płytka, odsłaniając otwór wielkości skrzynki na listy.

Siergiej trzymał się ostrożnie z boku. Pochylił się powoli i ujrzał talerz, stojący na wprost otworu.

- Skończyłeś już jeść? - spytał. Nie mógł się oczywiście spodziewać żadnej odpowiedzi. W ciągu dziesięciu lat ani razu nie słyszał głosu swego więźnia. Tym lepiej. Krążyła plotka, że głos ten mógł zamrażać samym swoim brzmieniem. Siergiejowi początkowo wydawało się to nieco dziwne. Pilnował już wcześniej setek więźniów, zamkniętych w celach Czarnej Skały, i większość z nich korzystała z obecności strażnika, by móc zamienić choćby kilka słów, była to dla nich jedyna okazja, by zapomnieć o samotności. Najbardziej niebezpieczni przestępcy łamali się w końcu prędzej czy później i zaczęli rozmawiać.

Tylko nie ten.

- Przysuń bliżej ten talerz! - powiedział Siergiej. Po raz kolejny - żadnej reakcji. Strażnik wyciągnął rękę i przyciągnął talerz do siebie. Nie było to do końca bezpieczne: za każdym razem bał się, że więzień wykorzysta tę chwilę, by schwytać jego dłoń. Co prawda, nie uciekłby daleko, zważywszy na pierwsze drzwi dzielące go jeszcze od korytarza, jednak ryzyko istniało i strażnik czuł się nieswojo. Wyjaśniano mu przecież po tysiącokroć, że ten człowiek był jednym wielkim zagrożeniem.

Przede wszystkim zaś - radził Wielki Mistrz w liście, który towarzyszył skazańcowi - pod żadnym pozorem, nigdy, nie wolno patrzeć mu prosto w oczy! Od samego początku Siergiej trzymał się tych wskazówek i zamierzał trzymać się ich aż do swojej śmierci - lub do śmierci swojego straszliwego więźnia. Zabrał talerz, przyłożył wisiołek z literą do drzwi, płytką zasunęła się z powrotem, otwór zniknął.

Siergiej otworzył po raz kolejny wszystkie zamki w pierwszych drzwiach i zamknął je za sobą, wychodząc.

Pospiesznie wrócił na górę, do swojego kantorka. Żdał sobie sprawę, że przez ten pośpiech nie odniósł do kuchni talerza, a zazwyczaj to czynił.

Rzucił na niego okiem i stanął jak wryty. Pośrodku talerza leżała sobie ni mniej, ni więcej, tylko nietknięta sardynka w oleju. Skąd się wzięła ta dorodna rybka? Na ogół kucharze nie mieli tutaj do dyspozycji zbyt wielu produktów, starali się coś przyrządzić z prowiantów, które udało się dostarczyć do tego orlego gniazda, uczonego szczytu góry. Jadłospis był raczej monotony: biała fasola, soczewica, czasami, bardzo rzadko - odrobina chudego mięsa w rosole... Więźniowie jadaliby w gruncie rzeczy to samo co strażnicy i reszta zatrudnionych w twierdzy pracowników.

Nagle przypomniał sobie wyraźnie: puszka sardynek była w niewielkiej paczce, którą jego więzień otrzymał w zeszłym tygodniu. Siergiej osobiście sprawdzał jej zawartość. Zawahał się przez chwilę. Od wieków nie próbował sardynki w oleju, ale ta tutaj pochodziła z celi najniebezpieczniejszego człowieka na świecie. Kto wie, może to jakaś pułapka, a sardynka jest zatruta? Z drugiej strony, skąd miał wziąć truciznę więzień zabarykadowany w najbardziej niedostępnym lochu na świecie? Niestety, po tym człowieku można się było spodziewać wszystkiego...Siergiej oderwał łepkę sardynki i poszukał wzrokiem Tor-queumady, czarnego, puchatego stworzenia, zwiniętego w kłębek tuż obok, na blacie stołu. Torquemada był najbardziej leniwym kotem na świecie, jego głównym zajęciem było wyczekiwanie, by ktokolwiek dał mu cokolwiek, co nadawałoby się do zjedzenia. Trzeba przyznać, że w twierdzy nie było poza tym zbyt wiele do roboty - ani też nie

miał zbyt wielu okazji do schrupania czegoś smacznego. Nawet myszy uciekały z Czarnej Skały, unikając jej przerażających mieszkańców... Torquemada otworzył jedno oko i zauważył łepkę sardynki w palcach swego pana, otworzył drugie oko i miauknął z zadowoleniem. Pochwycił rzuconą mu sardynkę w locie i schrupał w ciągu kilku sekund. Siergiej obserwował przez jakiś czas reakcję kota. Upływały kolejne minuty, a Torquemada był ciągle w świetnej formie. Zwinął się na powrót w kłębek, z jednym okiem półotwartym, gotów w każdej chwili otworzyć to drugie, gdyby trafiła się kolejna okazja, żeby coś zjeść.

Strażnikowi to wystarczyło. Już miał się rzucić na sardynkę, kiedy oślepił go nagły i mocny błysk światła. Odrzuciło go w głąb pokoju. W ostrym świetle dostrzegł dwa przeszywająco jasne punkty, świecące dokładnie na wprost niego, potem wszystko wróciło do normy.

Rozejrzał się wokół, zaskoczony, nie pojmując, co się stało. Poczł się niepewnie, wziął do ręki swoją broń. Nic się jednak nie zmieniło, żaden najmniejszy hałas nie zakłócił ciszy w kantorku - tylko Torquemada schronił się w kącie pokoju, cały najeżony. Siergiej chciał do niego podejść, kot prychnął jednak tak gwałtownie, że strażnik zatrzymał się w miejscu. Nieco wytrącony z równowagi wyjrzał na korytarz, w końcu stanął znowu za swoim biurkiem. Nie miał zielonego pojęcia, co się stało. Czy to z powodu osłabienia? Prawdą jest, że był głodny, strasznie głodny. Zupa, którą zjadł w południe, była niezbyt sycąca, zwłaszcza przy takim mrozie. Tak, z pewnością po prostu zasłabł.

Poczł gwałtowny ból i zawroty głowy, usiadł. Doznania te minęły jednak równie nagle, jak się pojawiły. Przypomnił sobie wówczas, co miał zamiar zrobić, i zaczął jeść sardynkę, przeżuując z lubością każdy kęs, jakby to było najbardziej smakowite i wyrefinowane danie. Mimo wszystko miał przez cały czas dziwne wrażenie, że nie jest sam.

Kiedy skończył, doszedł do wniosku, że w rybie nie było trucizny, nie czuł bowiem żadnych sensańi - poza przekonaniem, że wyjątkowo wprost wzbogacił

swój jadłospis. Pokręcił głową i zabrał talerz, już pusty, do kuchni. Potem wrócił do pokoju i zaczął czytać gazety, które przysyłano im raz w miesiącu.

O szesnastej nadeszła pora na odpoczynek - jako jedyny czuwał nad swoim więźniem niemal przez całą dobę, nie tak jak inni strażnicy, którzy zmieniali się co osiem godzin. Wstał, przeciągnął się... i nagle, bezwolnie włożył swój płaszcz, ocieplony futrem. Pogoda na zewnątrz wcale się nie poprawiła, on jednak nie mógł usiedzieć na miejscu. Nie znosił mrozu i nic nie zmusiłoby go do wyjścia na dwór w taką zadymkę, ale poczuł trudną do wytłumaczenia konieczność rozprostowania nóg; zapragnął zrobić coś, co czynił tylko latem - przejść się wokół murów fortecy. Zajmowało mu to zazwyczaj godzinę, niektóre odcinki drogi wśród skał bywały trudne do sforsowania, mimo to taki spacer poprawiał mu samopoczucie i pozwalał zachować większą przytomność umysłu w czasie nocnej warty. Tego dnia wróci jednak zapewne skostniały i zaśnieżony jak Eskimos! Nie pojmując, co skłania go do podjęcia takiej ekspedycji, wziął ze sobą pochodnię, którą zapalił przed wyjściem z fortecy. Pozdrowił po drodze kolegów, którzy pilnowali każdego korytarza i każdego schodów, krokiem sterowanego z zewnątrz robota minął wachtę przy jedynym wyjściu z więzienia; otworzono mu kolejne trzy bramy.

Wiatr nieco już przycichł, a śnieg pokrywał stopniowo całą okolicę. Nie mógł dać wiary własnym oczom - taki widok, pod koniec wiosny! Czuł, jak ogarnia go przenikliwe zimno, dziwna siła pchała go jednak naprzód, zupełnie jakby kierował nim jakiś cichy głos. Pragnienie, któremu w żaden sposób nie był w stanie się oprzeć. Rozpoczął ostrożnie swoją wędrówkę, miał buty, które nie nadawały się do chodzenia po oblodzonej, śliskiej ziemi. Chłodne powietrze sprawiło, że poczuł się lepiej.

Ruszył ścieżką strażniczą, u stóp czarnych murów, które wydawały się sięgać nieba. Chwilę później nikt nie mógł go już ani usłyszeć, ani dojrzeć.

Wtedy właśnie coś cicho pstryknęło mu w głowie, gdzieś w głębi prawego oka.

Jego lewe ramię opadło bezwolnie, a lewa noga stała się miękka jak wosk. Upadł na miękką, śnieżną pierzynę jak szmaciana lalka, nie pojmując, co się z nim dzieje. Jednocześnie dojrzał kątem oka oślepiający błysk. Podniósł głowę, przerażony.

- Co się dzie... co...

Ktoś stanął ciężkim, czarnym butem na jego twarzy. Najpierw lekko, potem przyciskał coraz mocniej, aż w końcu niemal zmiażdżył mu kość policzkową. Strażnik rzucał się na wszystkie strony, aż dostrzegł górującą nad sobą czarno ubraną postać o niewyraźnej, przesłoniętej mgłą twarzy. Jedynie czerwonej barwy kołnierz odcinał się jaskrawo od otaczającej ich bieli.

Mimo bólu i sparalizowanej połowy ciała Siergiej poczuł się wolny jakby jakiś zły duch opuścił jego ciało. W jednej chwili pojął straszliwy błąd, jaki popełnił, zostawiając w paczce tę konserwę. Wykręcił głowę i z trudem wyjąkał:

- Schowałeś się... schowałeś się w sardynce, prawda?

Wszystko nagle stało się zupełnie jasne: gwałtowny blask, błyszczące tuż przed nim oczy, zawrót głowy i ból...

Siergiej z trudem ciągnął dalej:

- A potem przeniknąłeś do mojej głowy... podjąłeś za mnie decyzję i... i w końcu wyszedłeś - rzucił ostatkiem sił.

Wśród otaczających ich niebotycznych gór rozległ się śmiech.

Strażnik pokrył się gęsią skórką, niekoniecznie z powodu panującego na zewnątrz zimna. Poczuł, że jego organizm ogarnia znacznie silniejszy mróz, również tę drugą, dotąd jeszcze sprawną część ciała. Chciał coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły mu w gardle, zagulgotały w krtani jak spływająca w zlewie woda.

Człowiek zdjął but z twarzy strażnika. Cofnął się, a potem zbliżył znowu, ściągnął z Siergieja jego futrzane okrycie. Założył je i ruszył prosto przed siebie, przez sypiący śnieg i przez wichur, który zaczął znowu wiać ze zdwojoną siłą. Oddalał się coraz bardziej od zwłok, niknących już pod cienką, białą warstwą u stóp fortecy.



Dobrze strzeżona tajemnica

Na dziedzińcu szkoły w Babylon Heights - najuboższej dzielnicy Pleasantville - ze wszystkich stron słychać było wrzaski dzieci. Niebo, jeszcze chwilę wcześniej idealnie błękitne, zakryły zniecka chmury i rozpętała się burza, niezwykle gwałtowna jak na koniec czerwca. Zaskoczone dzieci zbiegły się do zadaszonej części szkolnego podwórka.

Natomiast Ayden Spencer leżał niemal plackiem na ziemi. Nie przejmował się nawałnicą, miał inne zmartwienie: trząsał się jak osika, wiedział jednak, że nie ma po co krzyczeć. I tak nikt by go nie usłyszał w tym rozgardiaszu.

Nachylił się nad nim złośliwie uśmiechnięty chłopak. Był to Ronan Moss. To on najczęściej był sprawcą cierpień i poniżeń Aydena. Ronan zabraniał mu skarżyć się później komukolwiek - i lepiej było go słuchać. Był wyższy i silniejszy od innych, włosy miał ogolone na jeża, nosił bluzy z kapturem, zwykle naciągniętym na głowę, i bardzo szerokie dżinsy, jak afroamerykańscy raperzy. Nawet starsi, trzynastoletni chłopcy mieli się przed nim na baczności. Uważali, że lepiej go nie prowokować. Ayden spojrzał na stojące wokół niego dzieci. Ronan górował nad nim, szeroko rozstawił nogi, ręce oparł na biodrach. Ayden wolał nie patrzeć swojemu oprawcy prosto w oczy, ciemne, zwężone jak igły. Widział tylko jego spiczasto zakończone zęby, dzięki którym chłopak zyskał sobie przydomek Shark - Rekin. Tyle tylko, że Ronan Moss był znacznie bardziej okrutny od tego morskiego mordercy, który atakuje zwykle, by się bronić lub by upolować zdobycz. Ulubioną rozrywką Ronana było znęcanie się nad słabszymi, wrażliwymi lub nieśmiałymi dziećmi, dla samej przyjemności, jaką dawało mu zadawanie im bólu i dominacja.

Najgorsze było to, że Ayden miał w sobie wszystkie te cechy jednocześnie.

Był jedynakiem. W dzieciństwie dużo czasu spędził w szpitalu z powodu choroby kości. Operowano go wiele razy, umieszczając w jego kręgosłupie śrubki, gwoździe i metalowe płytki. Nie mógł uprawiać żadnego sportu ani bawić się z innymi dziećmi na przerwach, groziło to bowiem upadkiem albo tym, że zrani się lub złamie sobie żebro. Miał niewielu kolegów, odznaczał się chorobliwą wręcz

nieśmiałością, która sprawiała, że trudno mu było się odezwać; ponieważ zaś nie uprawiał żadnego sportu i mało się ruszał, był niezwykle wątpliwy.

Moss wyciągnął rękę w kierunku rozciągniętego na ziemi chłopca.

- No i jak, Spencer, zapomniałeś? Mamy poniedziałek!

Ayden z trudem przełknął ślinę i odezwał się, starając się nie bełkotać:

- Ja... nie mam dziś pieniędzy.

Moss ciągle jeszcze się uśmiechał, Ayden dostrzegł jednak, że wzbiera w nim wściekłość, i skulił się cały.-A co z twoim kieszonkowym, które dostajesz w sobotę, Spencer? Rozpłynęło się?

Ayden zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

- Nie dostałem - powiedział cicho.

- A to dlaczego, można wiedzieć? Twoi starzy mają za mało kasy, tak?

Pozostałe dzieci - trzech chłopców i dziewczynka - wybuchnęły śmiechem.

Moss pochylił się niżej i chwycił Aydena za szyję.

- Będziesz musiał skombinować jakoś tę forszę, rozumiemy się?

Ayden chciał odpowiedzieć, ale dusił się, ściskany żelazną dłońią Mossa.

Zamiast niego ktoś odezwał się z tyłu silnym głosem:

- Powiedział ci przecież, że nie ma pieniędzy. Nie zrozumiałeś?

Moss puścił chłopca i odwrócił się, pozostałe dzieci także. Odsunął bezceremonialnie dwóch łobuzów ze swojej paczki i ujrzał niezbyt wysokiego chłopca, miał rude, kręcone włosy i niebieskie oczy.

- No proszę, kogo my widzimy - marchewa! To teraz ru-dzielce bronią tchórzliwych słabeuszy?

Słowa Mossa nie zrobiły na chłopcu żadnego wrażenia. Żuł spokojnie gumę, trzymając ręce w kieszeniach. Przeszedł koło grupy Mossa, jak gdyby nie istnieli, i zatrzymał się nad Aydenem.

- Wstań! - powiedział. - Chyba nie zamierzasz spędzić przerwy, leżąc tu plackiem?

- Zaraz, zaraz, Pili, nie mieszaj się do tego! - krzyknął Moss. - To sprawa między mną a Spencerem, więc spadaj stąd. Ayden spojrzał błagalnie na chłopaka, który przyszedł mu z pomocą. Miał nadzieję, że ten nie ugnie się przed Mossem. Nie był z nim szczególnie zaprzyjaźniony, bo tak naprawdę nikogo ze swojej klasy nie znał za dobrze. Kojarzył tę rudą szopę włosów i wiedział, że chłopiec ma na imię Oskar. Nigdy nie widział go jednak w towarzystwie bandy Mossa. Tego akurat był pewien na sto procent.

Oskar wyciągnął do niego rękę. Ayden schwycił ją i wstał.

- Nie pozwalaj, żeby ci to robił - powiedział Oskar. - Nigdy, pamiętaj. Inaczej będzie się to ciągnęło w nieskończoność.

Ayden ledwo się trzymał na nogach, cały dygotał, z najwyższym trudem starał się opanować. Moss i jego kumple, stojący za Oskarem, byli od nich obu o dobre pół głowy wyżsi.

Moss położył swoją wielką łapę na ramieniu Oskara i mocno go ścisnął.

- Pili, słyszałeś, co powiedziałem? To nie twoja sprawa, spadaj stąd albo zostaniesz potraktowany tak jak Spencer.

Oskar odwrócił się i uwolnił się od uchwytu Mossa gwałtownym ruchem. Zamiast dygotać - uśmiechnął się. Ayden obserwował go, pełen podziwu - Oskar najwyraźniej nie bał się ani trochę.

- A co konkretnie masz na myśli? - spytał Oskar, zaciskając pięści.

Moss uśmiechnął się. Cieszył się z góry, że będzie mógł pomęczyć kolejnego chłopaka, zwłaszcza Pilla, który wyraźnie chciał grać twardziela. To będzie niezła okazja, żeby pokazać mu, gdzie raki zimują, a przy okazji zniechęcić na przyszłość takich małych cwaniaków, którym wydaje się, że mogą się równać z nim, Mossem.

Zbliżył się do Oskara i pochylił nad nim twarz, pokrytą licznymi bliznami i pryszczami.

- To będzie coś specjalnego - syknął przez zęby - coś, co wymyśliłem dla takich jak ty, co to chcą odgrywać tatuśków. To dlatego, że sam go nie masz, co?

Do tej chwili Oskar zachował spokój. Poczuł jednak, że wzbiera w nim fala wściekłości i ogarnia go całego, jak zawsze, kiedy ktoś mówił lekceważąco o jego ojcu.

- Ty też lepiej nie wtrącaj się w nie swoje sprawy - powiedział ze złością.

Moss domyślił się, że dotknął wrażliwego punktu.

- Kiedy już się z tobą uporam, zawsze będziesz mógł się wyplakać w mankiet twojej mamusi albo siostrzyczce...

Nie dokończył, Oskar rzucił się na niego całym swoim ciężarem i dwaj chłopcy upadli na ziemię.

Już po chwili Moss - większy i silniejszy - był górą. Jedną ręką unieruchomił ramię Oskara, drugą zaczął go dusić. Oskar nie mógł złapać tchu. Wydawało mu się, że jego głowa zaraz wybuchnie. Próbował się uwolnić, ale Moss był dużo silniejszy. Spojrzał w świńskie oczka przeciwnika i zrozumiał, że jeśli nikt mu nie pomoże - Moss się nie zatrzyma. Poszukał wzrokiem Aydena Spencera, który umknął pod ścianę budynku, przerażony. Ten raczej nie przyjdzie mu z pomocą... Oskar nie miał ochoty zginąć uduszony na szkolnym podwórku. Zgiął nogę i z całej siły kopnął: dwa ciała przetoczyły się po ziemi i tym razem to Moss znalazł się na dole. Oskar poczuł, że wściekłość wzmagą jego siłę.

- No i co, Moss? - krzyknął. - Zabrakło ci języka w gębie? Co tam mówiłeś przed chwilą? Że niby wymyśliłeś dla mnie coś specjalnego? W tej samej chwili poczuł gwałtowny ból na wysokości żołądka i musiał puścić Mossa, bo stojący tuż obok Cole Doherty, stale uczepiony Mossa i wpatrzony w niego jak w obraz, wymierzył Oskarowi kopniaka. Stał na szeroko rozstawionych, grubych nogach i szczyrzył w uśmiechu swoje rzadko rozstawione zęby. Najwyraźniej był bardzo dumny, że pomógł „szefowi”. Moss skorzystał z sytuacji, poderwał się na nogi i posłał Oskarowi cios pięścią, po którym ten osunął się na ziemię.

- Dostyc tego!

Wszyscy odwrócili się jak jeden mąż. Za nimi stał wysoki, barczysty mężczyzna w szarym garniturze i okularach w metalowej oprawce. Był wyraźnie

bardzo zdenerwowany. Zapadła cisza, słychać było tylko, jak krople deszczu uderzają gwałtownie o dach, częściowo osłaniający podwórko szkolne.

- To oczywiście znowu ty, Moss - powiedział pan Penguin - i ty także, Pili - dorzucił z nieco mniejszą złością w głosie, dostrzegając Oskara. - Bardzo się na tobie zawiodłem.

Westchnął i skrzyżował ręce za plecami.

- Dwa dni do wakacji, a wam się ciągle chce wywoływać bójki! Skoro tak, obaj zostaniecie jutro po lekcjach. Dwie godziny. Będę was pilnował.

Ayden, stojący pod ścianą, nadal jeszcze rozdygotany, próbował coś powiedzieć.

- Panie profesorze, to nie jest wina Pilla, to... to...

Wystarczyło spojrzenie Mossa, żeby uciął w pół zdania.

- Co? - spytał profesor Penguin, zirytowany. - Jeśli masz coś do powiedzenia, Spencer, zrób to w końcu albo wracaj do klasy. Przerwa już się skończyła.£ - Ayden nie odpowiedział. Zaczerwienił się i ruszył w kierunku wejścia do budynku. Moss i jego banda także się oddalili. Tylko Tilla, dziewczyna z ich paczki, podeszła do Oskara.

- Chyba nie za bardzo dajesz sobie radę z kimś takim jak Ronan Moss! - rzuciła z szelmowskim uśmiechem. - Ale słodki jesteś, wiesz?

Oskar odwrócił wzrok, czerwony jak burak. Na szczęście w pobliżu nie było zbyt wielu osób. Tilla - długie włosy blond i złociste oczy - była jedną z najładniejszych dziewczyn w klasie; Oskar dawno już to zauważył, mimo że w wieku lat dwunastu bardziej interesowała go piłka nożna i gry na PlayStation.

Tilla wybuchnęła śmiechem i odbiegła. Oskar ruszył w stronę swojej klasy. Zatrzymał go jednak profesor Penguin.

- Pili!

Oskar wznosił oczy do nieba i cofnął się. Znał na pamięć kazanie, jakie za chwilę miał usłyszeć.

Pan Penguin odezwał się łagodnym głosem:

- Oskar, powtarzam, jestem bardzo rozczarowany. Sądziłem, że po naszej rozmowie z zeszłego tygodnia okażesz więcej rozsądku. Mam wrażenie, że mówiłem do ściany.

Oskar świetnie zdawał sobie sprawę, że jakiegokolwiek tłumaczenie na nic się nie zda - pan Penguin, jego wychowawca, był bardzo miłym, ale surowym człowiekiem, co najmniej tak samo upartym jak on sam. Mimo wszystko próbował się bronić.

- Proszę pana, to Moss, stali wokół Spencera i...

- A ty musiałeś się wtrącić, jak zwykle - uciął profesor, wielokrotnie próbując poprawić okulary na nosie.

Oskar doskonale wiedział, co to znaczy: im bardziej profesor się denerwował, tym częściej manewrował przy swoich oprawkach. Tym razem lepiej było milczeć. Sprawa Mossa może spokojnie poczekać.

- Nikt cię nie prosił, żebyś odgrywał tu szeryfa, a ja znam Mossa lepiej, niż ci się wydaje. Ale wracając do ciebie - obiecałeś mi, że się uspokoisz, i widzę, że nie dotrzymałeś słowa.

Oskar milczał. Chciał przeczekać zły humor nauczyciela. Pomyślał o Spencerze - zniknął w takim pośpiechu! Nawet nie próbował go bronić... Możliwe, że profesor miał trochę racji, w sumie nikt go nie wzywał na pomoc i nikt też nie kwapił się, żeby mu podziękować. Trudno, przynajmniej pokazał Mossowi, że nie da sobie w kaszę dmuchać.

- Popatrz tylko, w jakim jesteś stanie - powiedział nauczyciel, podając mu chustkę do nosa. - Cały utyłany w piasku i we krwi!

Oskar wziął chustkę i przetrął sobie twarz. Czuł, że szczypie go szyja. Skaleczył się, może wtedy, kiedy uderzył go Do-herty lub kiedy kodował się z Mossem na ziemi. Teraz krwawił. Przyłożył rękę do rany, ale nagle odniósł dziwaczne wrażenie, jakby z jego palców w stronę szyi popłynął lodowaty prąd. Odsunął rękę, zaskoczony, i obejrzał dłoń. Nie było jednak nic widać, dłoń wyglądała zupełnie normalnie.

Profesor Penguin odsunął rękę Oskara.

- Nie dotykaj, masz całe dłonie w kurzu i we krwi, zainfekujesz to...

Pochylił się, chcąc zbadać ranę. Wyprostował się zaskoczony i Oskar ujrzał jego oczy za okularami, okrągłe jak spodki.

- Ależ... tam nic nie ma, nawet zadrapania! Jakby nic ci się nie stało. Dziwne, przysięgłbym, że jeszcze przed chwilą... - Potrząsnął głową. - Może skaleczyłeś się gdzie indziej i stąd ta krew na szyi. Oskar jeszcze raz dotknął dłonią szyi - nie czuł już żadnego bólu, a rozcięcie, które chwilę wcześniej wyraźnie wyczuwał palcami, zniknęło...

Pan Penguin powrócił do swojego wcześniejszego zajęcia - do pouczania.

- Pili, uczysz się świetnie, to prawda, ale to nie znaczy, że możesz sobie pozwolić na wszystko! Nie wystarcza ci rozmowa, wolisz siedzieć w szkole po lekcjach? Świetnie, będziesz zatem siedział, masz to u mnie. Wracaj teraz szybko do klasy.

Lekcje ciągnęły się w nieskończoność. Oskar miał wrażenie, że siedzi w szkole od tygodnia, kiedy nareszcie zadzwonił dzwonek.

Usiadł samotnie w ławce, w głębi klasy, i zgodnie z poleceniem nauczyciela został tam w czasie przerwy. Przez całe popołudnie Spencer unikał jego wzroku. Tymczasem Moss i jego kumple przeciwnie, bezustannie go prowokowali. Nawet Tilla ciągle - się odwracała, żeby na niego popatrzeć. Jednak uważny wzrok pana Penguina trzymał go w ryzach. Oskar wolał powstrzymać chęć, by rzucić się na Mossa, w miarę możliwości starał się skupić na słowach nauczyciela. Okazało się to znacznie większym wyzwaniem w czasie kolejnych dwóch godzin, poświęconych historii. Rozwlekły głos pani Wright usypiał wszystkich, cała klasa zapadła w śpiączkę. Nikt nie miał siły na jakiegokolwiek prowokację.

Kiedy tylko zadzwonił dzwonek, Oskar wybiegł z klasy i rzucił się w stronę wyjścia. W oddali zauważył Spencera, który jednak zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Uczniowie odwracali za nim głowy. Najwyraźniej niewielu było takich, którzy stawiliby czoła Mossowi, i wiadomość szybko się rozeszła. Niebawem każdy będzie się bał odezwać do niego choćby jednym słowem, żeby nie narazić się na złość i odwet ze strony Mossa. Oskar przestał zwracać uwagę na innych i zadał sobie pytanie, znacznie bardziej dręczące i wymagające od niego dużo poważniejszych umiejętności dyplomatycznych: jak mianowicie wytłumaczyć matce jutrzejszą odsiadkę?

Niełatwo będzie przemilczeć bójkę z Mossem, a jeszcze trudniej będzie ukryć przed nią fakt, że musi zostać za karę dłużej w szkole.

Sprawa przedstawiała się tym bardziej beznadziejnie, że nie dalej jak tydzień wcześniej Celia musiała udać się do szkoły na rozmowę z profesorem Penguinem, na wyraźną prośbę tego ostatniego.

- Pani syn jest bardzo uzdolniony - powiedział jej po raz tysięczny. - Wszyscy nauczyciele są co do tego zgodni. Jest dzieckiem niezwykle interesującym, budzącym sympatię, ale i zniecierpliwienie, wymyka się bowiem wszelkiej kontroli. Działa wedle własnego uznania: robi, co chce i kiedy chce. A w szkole nie da się na dłuższą metę tak funkcjonować.

Celia nie była w stanie temu zaprzeczyć, ona sama z trudem kontrolowała swojego syna. Nie zamierzała jednak zwierzać się nauczycielowi ze szczegółów swojego życia rodzinnego i tłumaczyć mu, że matce samotnie wychowującej dwoje dzieci bywa zdecydowanie trudniej je wychować, niż gdyby robiła to wspólnie z ich ojcem. A zwłaszcza trudniej było uporać się z chłopcem. W gruncie rzeczy Celia była dosyć zadowolona z wyników swojej pracy rodzicielskiej, mogłaby przecież wychować jakiegoś kryminalistę i łobuza w rodzaju Mossa, chociaż akurat Moss miał ojca. Tymczasem jej syn był dzieckiem nie do końca posłusznym, istotnie; zachowywał się też nieco buntowniczo. Miał jednak dobre serce, był inteligentny i szczery.

Ale choć Celia Pili była wyrozumiała, to wszystko jednak miało swoje granice. Z pewnością nie pogłaszcze go po główce i nie nagrodzi całusem w czółko na wieść o



tym, że podziurawił spodnie na szkolnym dziedzińcu i że dzień później czekają go dwie godziny karnej odsiadki po lekcjach z powodu dzikiej bójki na przerwie...

Oskar szedł szybko przed siebie. Wybrał okreśną drogę, pragnąc ominąć ulice, na których znali go niemal wszyscy: sklepikarze, dozorczy, nawet wysiadujący na ławeczkach staruszkowie. Chciał jak najprędzej wyznać prawdę matce, nie miał najmniejszego zamiaru jej okłamywać - powinna usłyszeć wierną relację, opowie jej wszystko. Szczęśliwie się stało, że nie odniósł żadnej rany, przynajmniej tym nie będzie się musiała zamartwiać.

Zagłębiając się w swoich myślach, nie od razu usłyszał, że ktoś go woła.

- Oskar! Stój! Zaczekaj na mnie!...

Odwrócił się i zobaczył biegnącą ku niemu siostrę. Ona także miała rude włosy, spięte w kucyki.

Dogoniła go i zatrzymała się, zdyszana.

- Dlaczego na mnie nie zaczekałaś? - spytała Violette, której twarz, pokryta piegami, była w tym momencie mocno zaczerwieniona z wysiłku. - Wołałam cię, kiedy wyszedłeś na dziedziniec!

Oskar miał ochotę się roześmiać, bo tym razem to on zatonął w myślach, nie ona, jak to zwykle bywało... Często Violette nie słyszała tego, co ktoś do niej mówił, choćby jej krzyczał prosto do ucha. Kiedy zapadała w swój dziwny trans, można było tuż przy niej grać na trąbce, a i tak tego nie zauważyła. Problem polegał na tym, że Violette była zawsze pogrążona w swoim dziwnym transie.

Obejrzał ją od stóp do głów i westchnął głęboko. Jego siostra miała trzynaście lat. Odkąd stała się na tyle duża, by móc się ubierać samodzielnie - wkładała na siebie to, co jej wpadło w ręce, byleby miało fakturę i kolor, który jej pasował w chwili, kiedy się ubierała. Tego akurat dnia - zapewne przez przypadek - udało jej się wyjątkowo szczęśliwie dobrać elementy stroju: włożyła liliową, letnią sukienkę na ramiączkach i różowe skarpetki. Oskar zjechał wzrokiem do samego dołu i wznosił oczy do nieba, załamany.

- Violette!

Dziewczynka podskoczyła.

- Co takiego?

- Popatrz na swoje buty!

- No, widzę i o co chodzi? - powiedziała Violette. - To moje własne buty, dobrze je pamiętam.

- Brawo, masz fantastyczną pamięć, ale popatrz jeszcze raz, nie zauważyłaś niczego dziwnego?

Violette z uwagą obejrzała swoje stopy i podniosła głowę.

- Nie, o co chodzi?

Oskar stracił cierpliwość.

- Te buty nie są takie same, o to chodzi! Lewy jest czarny, a prawy czerwony! Czerwony i czarny, chyba łatwo to zauważyć, co?

Violette patrzyła jeszcze parę chwil uważnie na swoje pantofelki, zanim odpowiedziała:-No, fakt, rzeczywiście... Ładnie to wygląda, prawda? Jak sądzisz?

W tym samym momencie przeszły obok nich dwie dziewczynki, rzuciły okiem na stopy Violette i parsknęły zduszonym chichotem na widok jej butów. Oskar znał je, chodziły do jego klasy. Potrząsnął głową, westchnął i ruszył przed siebie, nie zwracając już uwagi na siostrę. Czuł, że czasami przynosi mu wstyd, i wolał nie pokazywać się zbyt często w jej towarzystwie, zwłaszcza przy innych dzieciach.

Violette posłała ostatni uśmiech swoim butom i ruszyła za bratem.

- Zaczekaj, dlaczego tak biegniesz? Oskar, zaczekaj... aaaa!

Oskar zatrzymał się, nie oglądając się za siebie. Nie miał ochoty obserwować, jak inni kpią sobie z nich z powodu Violette.

- Dobrze już, dobrze, o co te wrzaski, czekam przecież! - powiedział.

Violette nie odpowiedziała mu ani jednym słowem, nie podeszła do niego. Usłyszał natomiast krzyki i odgłosy zamieszania. Odwrócił się w końcu i otworzył szeroko oczy. Jakaś kobieta pochylała się przerażona nad żółtą taśmą, którą otoczone było niewielkie rusztowanie, stojące na chodniku. Wołała coś w kierunku wjazdu

kanalizacyjnego... z którego zdjęto pokrywę. Od strony ciężarówki nadbiegali właśnie robotnicy.

Oskar ruszył natychmiast biegiem, rzucił swój tornister w pobliżu kobiety, przeszedł na drugą stronę żółtej taśmy i ukląkł przy włazie. Wewnątrz było zupełnie ciemno, nie widać było choćby zarysu ludzkiej sylwetki.

- Violette! - krzyknął rozpaczliwie.

Odpowiedział mu cichy głosik, dobiegający z głębi kanalizacji.

- Auuu... - jęknęła Violette.

Obok niego nachyliła się kobieta.

- Biegła, zupełnie nie patrząc pod nogi - powiedziała zdenerwowana. - Byłam tuż obok, ale nie udało mi się jej zatrzymać, wpadła nagle, jak kamień w studnię, plum i koniec!

Dołączyli do nich trzech robotnicy. Oskar nie wahał się ani chwili, zaczął schodzić po drabince, sekundę później zniknął im z oczu.

- Zaczekaj, chłopcze, zejdziemy tam!

Za późno - Oskar był już na dole. Violette siedziała w kałuży błota, uśmiechnięta, ale ledwo żywa. Masowała sobie głowę, miała podrapane kolana i ręce. Oskar podszedł do niej i odsunął dłoń, którą masowała czoło - na środku wyrastał właśnie gigantyczny guz.

- Goniłam cię, ale chciałam też lecieć, jak jaskółka po niebie - wyjaśniła dziewczynka, jakby to było zupełnie naturalne. - Nie zauważyłam tej dziury...

- Jak zwykle - wymamrotał Oskar.

Bez zastanowienia przyłożył swoją dłoń do guza na czole Violette. Między jego palcami ukazało się na moment zielonkawe światło i guz stopniał jak śnieg na wiosnę.

Oskar zamarł ze zdumienia, nie próbował jednak rozgryźć tego zjawiska. Violette najwyraźniej niczego nie zauważyła, zajęta sprawdzaniem, czy nie zgubiła swojego aparatu korekcyjnego. Pomógł jej wstać, podtrzymując jej ramię. Kiedy wstała, okazało się, że krwawiące zadrapania również zniknęły...

Oskar spojrział w górę - nad nimi widać było trzy głowy, odcinające się wyraźnie na tle rozświetlonego błękitu nieba. Miał nadzieję, że nikt nie dostrzegł tego, co się właśnie wydarzyło na dole.

- Wyjdź stamtąd, mały! Póki tam jesteś, nie możemy zejść, będzie za ciasno! Wyjdź na górę, my po nią zejdziemy.

Nic im nie odpowiedział.

- Dobrze się czujesz? - spytał Violette.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiedziała, będąc już myślami gdzie indziej. - Jak sądzisz, ta jaskółka jeszcze tam fruwa?

Oskar odetchnął głęboko, pragnąc zachować spokój, i doprowadził ją do drabinki.

- No, to wracamy - rzekł tylko - włącz na górę.

Posłusznie weszła na pierwszy stopień. Oskar ją zatrzymał.

- Violette!

- Co?

- Nie ma potrzeby opowiadać o tym mamie.

- O czym?

Oskar mimowolnie się uśmiechnął. Nie tylko nie zauważyła, co się stało, kiedy brat położył jej dłoń na czole, ale prawdopodobnie zdążyła już zapomnieć, że w ogóle wpadła do tej dziury. Nie ciągnął tego dalej.

- Popatrz tylko! - zawołała Violette. - To zabawne, mój czerwony but z plamami błota wygląda jak biedronka, wchodząca po drabinie!

- Tak, tak, to bardzo zabawne, wchodź już na górę!

Zanim postawiła nogę na ostatnim schodku, robotnicy schwycili ją i unieśli w powietrze, jak piórko, by postawić ją na chodniku. Violette odwzajemniła się szerokim uśmiechem.

- Było cudownie! - powiedziała. - Poczulałam się, jakbym fruwała!

- Hm, tak, baliśmy się, że w ogóle stamtąd nie wyjdiesz, mała! Spójrzcie tylko, to jakieś czary, nie ma nawet jednegosiniaka! - zdziwił się jeden z robotników.

- Trzeba przyznać, że masz sporo szczęścia!

Oskar popchnął siostrę poza żółtą taśmę.

- W porządku, wszystko dobrze, z nią tak zawsze... Chodź, Violette, mama na nas czeka, musimy już iść.

- Może jednak powinnam z wami pójść? - spytała kobieta, patrząc na nich z niedowierzaniem.

Oskar ruszył już tymczasem naprzód, ciągnąc siostrę za jeden z kucyków.

- Nie, dziękuję, damy sobie radę. Mieszkamy tuż obok, na Kildare Street. Do widzenia!

Violette znowu błądziła wzrokiem po chmurach. Oskar nie odstępował jej na krok i rozmyślał o tym, co się wydarzyło. Miał nowy dowód, że nie było to przypadkowe zjawisko. Co więcej, podobna sytuacja przytrafiła mu się wiele razy: zauważył już wcześniej, że rozmaite zadrapania i skaleczenia - nie do uniknięcia, kiedy człowiek jeździ na rowerze, czasem na złamanie karku - goiły się zadziwiająco szybko, bez żadnych specjalnych zabiegów z jego strony. Po prostu znikwały bez śladu.

Kiedy po jakimś czasie doszedł do wniosku, że nie były to przywidzenia, opowiedział o wszystkim matce. Zbladła jak papier.

- Na pewno... na pewno musiałeś się pomylić - powiedziała, usiłując ukryć niepokój. - Może myślałeś tylko, że się zraniłeś, a w rzeczywistości tak nie było, ot co. To jedynie jakieś majaki, rozumiesz? Majaki!

Później wzięła go na stronę w kuchni.

- Proszę cię tylko o jedno, Oskarze, nie próbuj ciągnąć dalej tych eksperymentów, nie kombinuj, dobrze? Znam cię, jesteś gotów sam się zranić, żeby sprawdzić, czy to działa. Ale to nie będzie działało, zapewniam cię. Zabraniam ci takich doświadczeń i nie chcę już o tym więcej słyszeć.

Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie. Zgodził się bez słowa protestu i - rzecz jasna - nie miał zamiaru wspominać jej o tym wszystkim dzisiaj. Ani jej, ani też zresztą komukolwiek innemu.

Dotarli na Kildare Street kilka minut później i otworzyli furtkę numeru 6897.

Był kwadrans po piątej, na ulicy panował jeszcze spory ruch. Domy stały rzędem, ciasno do siebie przytulone, rozmaitych kształtów i kolorów. Ludzie głośno ze sobą rozmawiali, nawoływali się z okien, w wielu różnych językach. Jeśli spacerowało się po tej ulicy w porach posiłków, czuło się po kolei zapachy wschodnich przypraw, curry, czosnek, bazylię, aromat pizzy - Oskar zawsze umiał się wprosić na obiad, kiedy u rodziny Golino była pizza. Wszyscy znali się oczywiście nawzajem i rudowłose rodzeństwo Pillów nie mogło przejść ulicą niezauważone. Celia często musiała wychodzić na poszukiwania swojej córki, która zatrzymywała się przy każdym sklepiku i ucinała sobie pogawędkę z każdym sprzedawcą.

Często myślała o przeprowadzce, zwłaszcza po śmierci swojego męża, ale sąsiedzi otaczali ją takim wsparciem i przyjaźnią, że nie była w stanie porzucić tych życzliwych ludzi, którzy zachowywali się niemal jak jedna wielka rodzina.

Oskar nie zadał sobie nawet trudu, żeby zamknąć za sobą furtkę. Tutaj wszyscy się nawzajem odwiedzali i to o każdej porze. Przeszli przez niewielki ogródek, który przypominał raczej dziką łąkę - trawa rosła w nierównych kępkach najwyraźniej nigdy nie była koszona, co od razu rzucało się w oczy. Kupki liści zalegały pod drzewami od ubiegłej jesieni, a powój i chwasty walczyły o każdy wolny skrawek terenu.

Dom był w podobnym stanie: drewniana, piętrowa budowla o spadzistym dachu, z której jasna farba odpadała wielkimi płatami. Niektóre okiennice nie domykały się, inne zwisały żałośnie na złamanym zawiasie. Celia nie przejmowała się znanymi sprawami materialnymi, a jeszcze mniej wyglądem domu. Wystarczało jej, że wewnątrz panuje jaki taki porządek i czystość.

Oskar i Violette otworzyli drzwi i weszli pośpiesznie do środka. Violette zostawiła swój tornister pod wieszakiem. Znaleźli się w niewielkim, kwadratowym hallu wejściowym, pokrytym brzydką, poźółkłą tapetą. Celia nie miała siły jej zmienić, postanowiła zatem zasłonić ją na tyle, na ile to było możliwe, pokrywając ściany różnymi obrazami, plakatami teatralnymi, zdjęciami dzieci i ich szkolnymi rysunkami, kartkami pocztowymi z całego świata... Z trudem dawało się w tym wszystkim zauważyć kontury ścian. W kącie, w pobliżu wejścia do salonu, stała rachityczna roślina, której zapewne od dawna nikt nie podlewał, mimo to wyciągała heroicznie kilka swoich bladych listków w stronę żarówki, pozbawionej klosza. Celia kupiła go nawet, ale zapomniała założyć.

Violette pobiegła w kierunku kuchni. Oskar wolał chwilowo nie zbliżać się tam za bardzo, ruszył schodami na górę, pragnąc uniknąć dociekliwych pytań matki. Nie był jeszcze do końca zdecydowany, jak opowiedzieć jej wydarzenia mijającego dnia. Już miał wejść do swojego pokoju, kiedy usłyszał dobiegający z dołu głos mamy:

- Oskar? Jesteś tam? Oskar przymknął oczy z rezygnacją. Zszedł ze schodów ciężkim krokiem skazańca i wszedł do kuchni, gdzie Violette opowiadała już matce jakieś niestworzone historie. Poczł zapach naleśników i niemal zapomniał o swoich zmartwieniach.

Matka odwróciła się w jego stronę. Odgarnęła na bok niesforny kosmyk długich, ciemnych włosów, spadający na jej śliczne oczy - niewiarygodnie jasne, błękitne oczy, które odziedziczyła po niej jego siostra. Oskar miał niebieskie oczy swojego ojca, w ich kolorze nie było jednak nic nadzwyczajnego. Miał też jego włosy, podobnie jak jego siostra. Celia nie zdążyła nawet jeszcze zdjąć pantofli na wysokim obcasie i oficjalnego, czarnego kostiumu, który nosiła w pracy. Najwyraźniej dopiero co wróciła i rzuciła się szykować podwieczorek dla swoich pociech.

Uśmiechnęła się na widok Oskara.

- Cześć, kochanie, mogłeś zajrzeć tu i dać mi buziaka, zanim zaszyjesz się w swoim pokoju!

Oskar dał jej szybkiego całusa i przylgnął spojrzeniem do słoika nutelli. Celia przestała się uśmiechać.

- Hej, co tam przede mną ukrywasz? He? - zapytała z niepokojem w głosie.

- Nic się nie stało - powiedział Oskar. - Ja... upadłem, wracając ze szkoły.

Violette podniosła twarz znad swojego talerza.

- Czyżby? Nie zauważyłam! - powiedziała nadzwyczaj szczerze, nie zwracając uwagi na jego znaczące miny. - A kiedy to się stało i w jakim miejscu?

Oskar wiedział doskonale, że siostra nie chce go wcale zdradzić ani wpakować w paskudne kłopoty, jednak tym razem miał ochotę wsadzić jej całego naleśnika do ust. Celia westchnęła i zwróciła się do córki:

- Violette, mogłabyś zostawić nas samych z Oskarem na chwilkę? Musimy porozmawiać.

Nie uzyskała żadnej reakcji. Violette uważnie teraz obserwowała wzorki na swoim talerzu, zapomniała już o toczącej się rozmowie i o kłamstwie swojego brata. Mogli teraz kontynuować rozmowę, a nawet krzyczeć - nie usłyszałyby więcej niż krzesło, stojące po drugiej stronie stołu.

Celia zbliżyła się do syna i spojrzała mu uważnie prosto w oczy.

- Oskar, chciałabym, żebyś powiedział mi, co się stało. Znam cię dobrze, jestem twoją mamą i wiem, kiedy coś przede mną ukrywasz. A przy okazji - ciągnęła - znalazłam ten najnowszy przegląd naukowy, nie szukaj go już w schowku na parasole, gdzie go ukryłeś.

Oskar uwielbiał czytać, odkąd poznał litery. Czytał po trosze wszystko, co mu wpadło w ręce, ale szczególnym zainteresowaniem darzył wszelkie czasopisma naukowe, zwłaszcza medyczne, które, jak sięgał pamięcią, były jego prawdziwą pasją.

Dziwne było, że matka zawsze starała się go od tego odciągnąć: kontrolowała i konfiskowała nowe nabytki, nie podając żadnych racjonalnych powodów... Rychło jednak Oskar nauczył się sprytnie obchodzić zakazy matki, wywiązała się z tego nawet wzajemna gra. Koniec końców, nie chciało mu się już dociekać, jakimi



powodami kierowała się matka. W wieku lat dwunastu stał się natomiast ekspertem w ukrywaniu się przed nią - czytał przy kieszonkowej latarce, pod grubą kołdrą. Publikacje dotyczące ludzkiego organizmu gromadził stosami, chomikując je w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, o których istnieniu wiedział tylko on sam. W swoim pokoju wsunął nawet czasopisma pod odklejoną warstwę tapety.

Uwielbiał matkę i przykro mu było trzymać przed nią rozmaite sprawy w tajemnicy, nie miał jednak wyboru: jego pasja była równie trudna do wyjaśnienia jak opór matki. To było silniejsze od niego.

Podskoczył na krześle, ale Celia go zatrzymała.

- Zaczekaj, nie ruszysz się z miejsca, póki nie odpowiesz na moje pytanie: co takiego się wydarzyło?

- Ależ, mam, uwielbiam to pismo! Nie możesz...

- Owszem, mogę - ucięła krótko - mogę, jak najbardziej. Wyrzuciłam je do kubła na śmieci. Teraz czekam na twoją odpowiedź.

Oskar westchnął tylko i osunął się na krzesło, z błagalnym wyrazem oczu. W tej samej chwili Violette wyrwała się na chwilę ze swojego stanu rozmarzenia, odczepiła folię, przykrywającą kubeczek z jogurtem, wstała i wyrzuciła ją do kosza na śmieci, tym razem zapominając ją oblizać. Oskar skrzywił się na myśl o piśmie, które właśnie oberwało truskawkową mazią prosto w okładkę.

Matka trąciła go niecierpliwie.

- Ja... pobiłem się z kimś - powiedział cicho.

Celia podniosła oczy do nieba w rozpacz.

- A mogłabym wiedzieć, dlaczego?

- Moss - odpowiedział po prostu Oskar.

- Trochę przykrótkie to twoje tłumaczenie - powiedziała surowo matka.

- Stali wszyscy wokół Spencera, chciałem mu pomóc.

Celia westchnęła głęboko. Znała dobrze swojego syna: nie był w stanie niczego przed nią ukryć, a nawet jeśli próbował

to czasem zrobić, kiepsko mu szło i kłamstwo widać było jak na dłoni. Zdawała sobie doskonale sprawę, że Oskar nie cierpi u innych ludzi niesprawiedliwości i tchórzostwa, sama go tak wychowała.

- Przypominasz sobie, co powiedział ci pan Penguin tydzień temu? - odezwała się nieco łagodniejszym tonem. - Musisz trochę dorosnąć, mój synku, pomyśleć również o innych, nie możesz bez końca bić się w czasie przerw na szkolnym dziedzińcu.

- Wiem - odpowiedział Oskar - ale to było silniejsze ode mnie. Ayden sam pozwala, żeby tak go traktowali, nie ma odwagi powiedzieć o tym komukolwiek, nawet panu Penguinowi!

- Tak, wiem, wiem, to jest zawsze silniejsze od ciebie. Ale to już twoja druga szkoła w ciągu ostatnich dwóch lat, Oskar. Niedługo nie będą cię chcieli nigdzie przyjąć, pomimo twoich dobrych wyników. Mogą cię nawet wszyscy podziwiać. Nikt jednak nie chce mieć w szkole łobuza, choćby był nie wiem jak uroczy i sympatyczny, rozumiesz?

Oskar spuścił głowę w milczeniu. Nie uważał się za łobuza. Wobec dorosłych był uprzejmy, nawet jeśli czasami - niech będzie, raczej często - nie zgadzał się z ich opiniami. Zdarzało się też, że trudno mu było zaakceptować rozmaite zasady i nakazy. Nie wynikało to nigdy z czystej złośliwości, nie było też rodzajem prowokacji, po prostu najczęściej jego ciekawość i pragnienia były silniejsze od zobowiązań. I kiedy później słyszał wymówki, przypominał sobie, jak pewnego dnia jego matka wykrzyczała w złości: „Jesteś zupełnie jak twój ojciec, nie poddajesz się żadnej kontroli!”.

Odkąd to usłyszał, czynił jeszcze mniej wysiłków, by nad sobą zapanować, w głębi duszy bowiem był dumny z tego, że jest podobny do ojca. To było wszystko, co mu po nim zostało, nigdy go nie poznał. Jakże zatem mógłby wyrzec się czegoś, co ich tak mocno łączyło?

Poczuł dłoń matki na swoich włosach i podniósł głowę. Pochyliła się w jego stronę z uśmiechem.

- Chciałabym jeszcze dodać, że jestem bardzo dumna, kiedy mój syn broni swoich słabszych kolegów, niezależnie od tego, co na ten temat sądzą wszyscy nauczyciele świata.

- Tata też by bronił swoich przyjaciół? - spytał Oskar z błyszczącymi oczami.

Celia przytuliła go mocno.

- Tak, na pewno by bronił. Jestem o tym przekonana. I jesteś tak samo szlachetny i odważny jak on, co do tego również nie mam żadnych wątpliwości. Mimo wszystko wolałabym - powiedziała, całując go - żebyś przestał odgrywać szeryfa w czasie roku szkolnego, tak byłoby dużo lepiej. Miałabym mniej rzeczy do prania - dodała, oglądając ubranie Oskara. - A wiesz przecież, że nie mam szczególnego zamiłowania do prania, prawda?

Oskar podniósł stopę do góry - jego białe, sportowe skarpetki zostały kiedyś najwyraźniej ufarbowane na fioletowo.

- Owszem - potwierdził. - Wiem coś o tym. Na szczęście mam długie dżinsy...

Celia udała przez chwilę zakłopotanie, po czym wstała.

- No cóż - powiedziała dosyć wesołym tonem - podejrzewam, że zostanę rychło wezwana do szkoły. Tym lepiej, lubię pana Penguina, stęskniłam się za nim od zeszłego tygodnia. Do tego czasu spróbuję wymyślić jakieś nowe kłamstwo, żeby cię nie wywalili ze szkoły i tyle.

Oskar uśmiechnął się.

- Jeśli chcesz, mogę ci pomóc w tej kwestii...

- Nie, dzięki, dam sobie radę. Leć odrobić lekcje, umyj się i zmień ubranie, w przeciwnym razie będę miała wrażenie, że jem kolację z naszym dzielnicowym włóczęgą. Oczekuję was przy stole o dziewiętnastej, bądź zatem tak miły i przekaż tę informację twojej siostrze, jak już wejdiesz na górę. O ile przez przypadek nie jest już na innej planecie. Wtedy sobie odpuść.

Wyszedł z kuchni i wbiegł na górę, przeskakując po kilka schodków naraz.

Minął wejście do pokoju matki i zatrzymał się pod otwartymi drzwiami pokoju Violette. W pokoju nikogo nie było widać. Zbliżył się do drzwi łazienki.

Usłyszał szum płynącej wody i pluskanie. Poszedł dalej, poczeka trochę z poinformowaniem Violette na temat godziny posiłku. Kiedy tylko wszedł do swojego pokoju, zamknął drzwi, rzucił swoją szkolną torbę obok niewielkiego biurka i wdrapał się na łóżko na antresoli. Czuwał nad nim Spiderman - plakat z bohaterem komiksów zakrywał połowę ściany.

Wyciągnął się na materacu i przez okno, wychodzące na ogród sąsiadów ujrzał obfitą postać pani Wings, która - z głową pełną papilotów, ubrana w szlafrok - zajęta była przycinaniem róż. Jej nieodłączna towarzyszka, maleńka jamniczka Peggy, kręciła jej się między nogami. Ogród pani Wings był nieskazitelnie wypielegnowany. Oskar zastanawiał się niekiedy, czy pani Wings nie kosi swojego trawnika nożyczkami, trawka po trawce. Znajdujący się tuż obok ogródek Pillów wydawał się przez kontrast jeszcze bardziej ubogi i zaniedbany.

Pochylił się, by mieć lepszy widok. Peggy ubrana była we wdzianko, skrojone z tej samej tkaniny, z której uszyto szlafrokm v jej właścicielki. Oskara kusiło, żeby rzucić jakąś pochlebnią uwagę na temat dopasowania tego jakże uroczego kompletu, powstrzymał się jednak. Ostatnim razem, kiedy rozmawiał z panią Wings, przeproszał ją szczerze - wyznał jej bowiem (na wyraźną prośbę matki), że to nie kto inny jak on sam zanurzył wcześniej Peggy w wiaderku z różową farbą, by nadać jej odcień pasujący do torebki pani Wings.

Tego wieczora postanowił zatem przemilczeć cisnące mu się na usta komplementy i zabrał się do odrabiania lekcji. Mimo że zbliżały się wakacje, panu Penguinowi udało się zwalić im na kark masę pracy. Nawet Oskar musiał poświęcić bez mała godzinę, żeby się ze wszystkim uporać.

Kiedy tylko zamknął ostatni szkolny zeszyt, zaczął myszkować pomiędzy prześcieradłem a poduszką, leżącą na łóżku. Wyciągnął stamtąd w końcu niewielki album ze zdjęciami. Przeglądał go codziennie, po powrocie ze szkoły lub w innych wolnych chwilach. Siedział skulony w kącie łóżka, z jaśkiem na kolanach. To była magiczna chwila, tylko dla niego, niezbędna i tajemna przyjemność.

Przejrzał pobieżnie zdjęcia matki, siostry i jego własne i zatrzymał się dopiero przy zdjęciu, które oglądał dzień wcześniej i które miał oglądać również następnego dnia: był na nim mężczyzna o bardzo krótko obciętych rudych włosach i szerokich barach. Miał na sobie rozchełstaną koszulkę i szorty, siedział na ogrodowym fotelu i wydawało się, że śmieje się serdecznie do obiektywu. Za nim stała młoda kobieta o długich, ciemnych włosach. Obejmowała mężczyznę - ona także była szeroko uśmiechnięta. Wyglądali na bardzo szczęśliwą parę. Młoda kobieta najwyraźniej spodziewała się dziecka. Tuż obok nich widać było kółka dzieciennego wózka.s

Oskar pogłaskał delikatnie zdjęcie.

- Cześć, tato - powiedział cichym głosem.

Zaczekał chwilę, jak gdyby mężczyzna ze zdjęcia miał mu w tym czasie coś odpowiedzieć, a potem ciągnął dalej:

- Działo się dzisiaj w szkole...

Znowu milczał przez moment, tak żeby mężczyzna na zdjęciu dobrze zanotował treść jego słów. Mówił dalej:

- Trochę się pobiliśmy, ale wiesz, to nie było nic naprawdę serio. I słuchaj - ciągnął jeszcze cichszym szeptem - to się znowu zdarzyło, wiesz, ten dziwny numer krwawiłem, a kiedy dotknąłem tego miejsca ręką - zagoiło się. Tak jak poprzednio. Tak samo było z Violette, przed chwilą. Nie powiedziałem o tym mamie, ona nie chce, żebym jej o tym opowiadał. Nie chce też, żebym przeglądał te czasopisma popularno-naukowe... Tak naprawdę ciągle nie wiem, o co chodzi, ale nie chcę jej wypytywać. Tylko widzisz, to nie ma nic wspólnego z nauką, nie wiem nawet, jak ci to wytłumaczyć...

Czekał na odpowiedź ojca i - podobnie jak każdego wieczora - tak bardzo na nią liczył, że czuł się nieco zawiedziony, kiedy się nie pojawiła. Oczywiście wiedział, że zdjęcie jest tylko zdjęciem, miał jednak nadzieję, że ojciec odpowie mu w taki czy inny sposób. Niekoniecznie za pomocą słów. Czasem zdarzało mu się robić różne rzeczy, nad którymi najwyraźniej nie panował, i wyobrażał sobie, że to ojciec kieruje jego czynami. Tak jakby ten ostatni żył cały czas w jego ciele, jakby kierował jego

ruchami i jakby razem podejmowali decyzje... Może tak działo się w tych chwilach, kiedy mówiono mu, że jest podobny do ojca. W każdym razie przyjemnie mu było w to wierzyć.

- Oskar?

Podskoczył na łóżku - to był głos jego siostry.

- Co znowu? - zapytał ze złością.

- Mówisz do siebie? - spytała Violette zza drzwi. - Słyszałam, że z kimś rozmawiasz!

- Taaa - powiedział - rozmawiam ze swoim tornistrem.

- Ty też? - ucieszyła się. - Odezwał się? Bo mój jeszcze nie, ale dalej próbuję!

Mogę wejść?

Oskar odpowiedział pomrukiem i Violette otworzyła drzwi. Weszła niepewnie do pokoju i rozejrzała się dookoła zaskoczona.

- Oskar... gdzie jesteś?

- Tutaj - padło z góry.

Włożył album pod poduszkę, odsunął się od ściany i wychylił za krawędź łóżka. Nareszcie zrozumiał, dlaczego jej głos brzmiał tak dziwnie, jakby trzymała pestkę od śliwki pod językiem.

- Co ci się stało? - spytał chłopiec zaskoczony.

Violette przesunęła na czoło maskę płetwonurka, którą wcześniej założyła, i wyjęła z ust tubę do oddychania pod wodą. Z włosów spływała jej woda. Wytarła twarz rąbkiem sukienki.

- Jedziemy niedługo nad morze, zapomniałeś już? Trenuję w umywalce, w łazience - powiedziała cicho. - Bardzo mi się to podoba, wiesz? Mam wrażenie, że jestem rybą, tylko że wszystko jest na odwrót - w moim akwarium jest powietrze, a woda wszędzie na zewnątrz. Ale nie mów nic mamie, dobrze? To ma być niespodzianka.

Oskar pomyślał o niespodziance, jaką szykuje matce jego siostra, zatapiając łazienkę. W końcu jednak uśmiechnął się mimo woli, wyobrażając sobie Violette stojącą z głową zanurzoną w umywalce i nogami w wielkiej kałuży.

- I wiesz, jeśli chodzi o te rozmowy z tornistrami - na razie nic jej o tym nie powiemy, zgoda? - dodała pytająco, zerkając na brata porozumiewawczo, szczęśliwa, że może z nim dzielić jakiś sekret, zwłaszcza że dotyczył jej najnowszej manii - kon-wersaży z różnymi przedmiotami.

Oskar się zgodził.

- Tak - odparł - masz rację, lepiej jej na razie nic nie mówić.

Violette posłała mu szeroki uśmiech, błyskając swoim aparatem korekcyjnym. Głos matki przerwał im rozmowy, żywcem wzięte z repertuaru ufoludków.

- Dzieci, do stołu!

- Co dziś będzie na obiad? - spytała Violette pod nosem.

- Ha, łatwo zgadnąć! - rzucił szeptem Oskar. - Kotlety mielone i frytki, jak zwykle...

Celia pojawiła się na dole przy schodach, z uśmiechem na ustach.

- Wasze ulubione danie: frytki i kotlety mielone!

- No cóż - powiedział Oskar, schodząc ze swojego bocianiego gniazda - dobrze wytypowałem faworytów w tym konkursie, pomyliłem się tylko w kolejności zajętych miejsc.

Violette skrzywiła się i opuściła maskę do nurkowania na nos.

- Zdaje mi sze, sze nie jestem głodna.

## Misja

Wydawało się, że Berenice Withers nie zwracała najmniejszej uwagi na szalejącą wokół burzę. Okryta szarym płaszczem przeciwdeszczowym, szła zadziwiająco spokojnie, jak gdyby nie robił na niej wrażenia porywisty wicher. Brnęła w swoich lakierkach przez kałuże, a rajstopy - noszone mimo pełni lata! - pozwalały jej ignorować zacinające strugi wody. W ręku ścisnęła parasolkę, która

odwracała się po raz tysięczny na lewą stronę. Przystanęła na krótką chwilę, żeby poprawić niewielki kapelusik i kilka siwych kosmyków, które się spod niego wysliznęły, rozejrzała się dookoła i ruszyła naprzód pewnym krokiem.

- Powinna pani gdzieś się schronić, za chwilę pani odfrunie przy tym wietrze!  
Pogoda pod psem!

Uniosła głowę i przez zalane deszczem okulary dostrzegła wysoką sylwetkę poliçanta. Usiłował zbliżyć rękę do swojego kaszkietu, by jej zasałutować, jednak ledwo zdołał przytrzymać odlatujące w przestrzeń nakrycie głowy. Uśmiechnęła się do niego czarująco, z całej siły hamując chichot. Policjant spływał wodą, jak gdyby dopiero co wyszedł spod prysznic; przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Patrzył na nią smętnym wzrokiem, z wielkiego, czerwonego nosa kapał deszcz - zaiste, pogoda była pod psem.

- Nie, dziękuję panu bardzo za troskę - odrzekła nieśmiało. - Pójdę dalej, proszę się o mnie nie kłopotać.

Policjant wpatrzył się w zielone źrenice, ukryte za okularami. Wydawało mu się, że dama mrugnęła do niego porozumiewawczo. Pani Withers poprawiła swoją torebkę z krokodylowej skóry, zasałutowała poliçantowi dyskretnym ruchem i zniknąwszy pod swoim parasolem, oddaliła się, a niebawem zasłoniła ją deszczowa kurtyna.

Kawałek dalej rzuciła okiem na swój zegarek: była już piętnasta dwadzieścia. Ulotnił się gdzieś uroczy uśmieszek miłej staruszczeni. Zmarszczyła brwi, zaniepokojona - jeśli spotka na swojej drodze kolejnego niemądrego policjanta, spóźni się na spotkanie.

Na to akurat spotkanie nikt nie mógł się spóźnić.

Zwłaszcza nie tego właśnie dnia, po pilnym wezwaniu, jakie przesłała jej Rada Najwyższa. Jeśli stało się to, czego się obawiała, nie było nawet chwili do stracenia.

Z wprawą omijała kałuże i przejeżdżające samochody, aż w końcu skręciła w znacznie cichszą, willową uliczkę. Szarawe biurowce i krzykliwe wystawy z głównej ulicy ustąpiły tu miejsca eleganckim domom, stojącym równym rzędem pośród



starannie wypielegnowanych ogrodów. Pogoda nieco się poprawiła, siąpił teraz jedynie słaby deszczyk.

Pani Withers przyspieszyła kroku, zwolniła dopiero przed imponującą willą z jasnego piaskowca, o płaskim dachu. Po przeciwnej stronie ulicy rozciągał się park. Na lśniącej, marmurowej tablicy widniał wyryty ciemny napis:

Cumides Circle

Odwróciła się, w parku nie było widać żywej duszy. Tylko jakiś człowiek schronił się pod daszkiem muszli koncertowej, chcąc widać przeczekać nawałnicę. Patrzył gdzieś w bok. Przyglądała mu się przez moment podejrzliwie, w końcu zdecydowała, że bezpieczniej będzie iść dalej, a później zawrócić, w nadziei, iż w międzyczasie człowiek ów pójdzie dalej swoją drogą. Na wszelkie sposoby należało unikać sytuacji, w której ktokolwiek widziałby wchodzących lub wychodzących z Cumides Circle. Popatrzyła na duże okna budynku - wszystkie zasłony były zasunięte. Domyślała się, że to znak, który widziała do tej pory tylko raz na Blue Park Avenue, ponad trzynaście lat wcześniej. Od tamtego czasu okna zawsze były odsłonięte.

Spojrzała dyskretnie w stronę stojącego w muszli człowieka, ale zdążył już zniknąć. Niestety, nie miała dość czasu, żeby teraz błądzić po skwerze w poszukiwaniu tajemniczego nieznajomego. Złożyła parasol i weszła pośpiesznie po schodach na taras. Stojąc przed drzwiami, dotknęła lśniącej tabliczki z wygrawerowanymi literami W.B. i zadzwoniła.

Witaj, Bones.

- Dzień dobry, pani Withers - odpowiedział poważnym tonem lokaj.

Berenice Withers zdjęła płaszcz, rękawiczki i podała je Bonesowi. Wyłożony dużymi płytami z czarnego marmuru hall był pusty, podobnie jak wielkie schody. Jf

- Czy pozostali już przybyli? - spytała starsza pani cicho.

- Tak - odparł Bones. - Wszyscy już tu są, proszę pani.

Bones odebrał od pani Withers jej płaszcz, torebkę i parasol, następnie pomógł jej włożyć pelerynę z zielonego aksamitu na jedwabnej podszewce w tym samym

odcieniu. Gotowa już dołączyć do reszty Rady, Berenice uśmiechnęła się do majordomusa.

- Gdzie odbywa się zebranie?

Bones zawahał się przez chwilę i odchrząknął, zanim zdołał udzielić odpowiedzi.

- W Żółtym Salonie, proszę pani.

Pani Withers wzniosła oczy do nieba.

- Dobry Boże, Bones, przecież Winston Brave doskonale wie, że...

Majordomus pozwolił sobie przerwać jej w pół słowa.

- Tak, proszę pani. Pan Brave dobrze pamięta, iż ma pani uczulenie na ptaki, ale to miejsce było najbezpieczniejsze na spotkanie.

Przy tej okazji rzucił niespokojne spojrzenie na zewnątrz przez rżnięte, kryształowe szybki, osadzone w drzwiach. Park, moknący w deszczu, wydawał się także w nim budzić pewne wątpliwości. Pani Withers kiwnęła.

- Mam niezbite przekonanie, że ktoś mnie śledził.

- Sterczał w tej muszli koncertowej od wczesnego popołudnia - dodał Bones.

- Widział, jak tu wszyscy wchodziliśmy? - zaniepokoiła się pani Withers.

- Nie - uspokoił ją majordomus. - Trzech członków Rady weszło przejściem podziemnym, a jeden wejściem dla dostawców. Pani Withers wzruszyła ramionami.

- Wejście dla dostawców! To była Anna-Maria, prawda?

Bones poprzestał na lekkim uśmiechu.

- Oczywiście, że tak - ciągnęła starsza pani. - Ani przez sekundę nie uwierzyłaby w jakikolwiek pościg czy zasadzkę, choćby nawet kazano jej wchodzić tu w przebraniu tancerki rewiewej!

Bones pochylił się w ukłonie.

- Pójdę z panią, proszę pani.

- Nie, to nie jest konieczne - odrzekła - znam drogę. - Westchnęła. - Lećmy zatem, mój drogi, między piórka naszego małego przyjaciela, skoro nie mamy innego wyjścia.

- Jeśli pani będzie tak uprzejma... - odpowiedział Bones, otwierając jedno ze skrzydeł szerokich, podwójnych drzwi.

- Bones, czy mógłby pan poszukać naszego tajemniczego obserwatora spod muszli? Może to tylko jakiś nieszczęsny spacerowicz, którego zaskoczył deszcz, w przeciwnym razie...

Bones uldonił się bez słowa i zbliżył się do małego stoliczka. Przekręcił ucho stojącego na nim srebrnego pucharu i w ścianie rozsunęło się przejście. Bones wszedł do środka, przejście zasunęło się z powrotem i ściana w czarodziejski sposób wróciła do swojego poprzedniego stanu.

Pani Withers otworzyła drzwi do salonu, które następnie starannie za sobą zamknęła. Weszła do pokoju zanurzonego w łagodnym świetle.

Szła naprzód w rytm tykającego zegara, minęła miękką kanapę, obitą zielonym aksamitem. Dywan, pokrywający niemal całą powierzchnię prostokątnego pokoju, tłumił odgłos jej kroków. Zbliżyła się do kominka i przez chwilę patrzyła na płonący ogień, migoczący od czasu do czasu zielonkawo. Winston Brave kazał Bonesowi podtrzymywać ogień na kominku, niezależnie od pory roku, w dzień i w nocy. Wieczny ogień Cumides Circle, jak lubił powtarzać. Pani Withers przywołała w pamięci wspomnienia licznych spokojnych rozmów, które tu z nim odbyła, kiedy to siedzieli oboje wygodnie, pijąc herbatę, oparci o miękkie poduszki. Dostyc tych sentymentalnych rozpamiętywań - nakazała samej sobie cicho. - Nie pora na to.

Zdjęła z szyi długi łańcuszek, na którym wisiał drogocenny medalion w kształcie koła. Otworzyła szufladę pobliskiej komody i wyjęła z niej połyskującą rękawicę, która wyglądała, jakby wykonano ją z aluminium. Włożyła ją na prawą rękę, ujęła w nią medalion i zanurzyła rękę w ogniu. Chroniona przed jego żarem przesuwiała dłonią po wewnętrznej ścianie kominka, aż natknęła się na zagłębienie w gładkiej powierzchni. Końcem palców wyczuła wyrytą w kamieniu literę M. Wsunęła w nią swój medalion, nacisnęła na guzik i wyjęła rękę z ognia. W tej samej chwili półokrągły narożnik salonu rozsunał się.

Pani Withers zdjęła rękawicę, włożyła ją z powrotem do szuflady komody i skierowała się do przejścia w ścianie.

Po drugiej stronie było idealnie okrągłe pomieszczenie. Znajdowało się ono wewnątrz niewielkiej wieżyczki, zajmującej jeden z rogów budynku. Od zewnątrz nie było widać żadnego okna. Starsza pani weszła do środka, ściany za nią z powrotem się zasunęły, została sama wewnątrz wieży.

Berenice Withers zawiesiła ponownie na szyi medalion i rozejrzała się wokół. Małe, okrągłe pomieszczenie było niemal puste - z dwoma wyjątkami: w kącie stało krzesło, obitemateriałem w tym samym żółtym odcieniu co ściany; pośrodku stała zaś podstawa, a na niej klatka. W klatce siedział kanarek, również żółty.

Starsza pani westchnęła na jego widok i wyjęła chusteczkę, którą przycisnęła do nosa. Zbliżyła się do klatki i popatrzyła w skupieniu na ptaszka, który tkwił nieruchomo na swoim drążku.

- Dzień dobry, Wiktorze.

Kanarek odpowiedział nerwowym trelem.

Ładne rzeczy, najpierw policjant, a teraz kanarek pozwala sobie robić mi uwagi, pomyślała. Uśmiechnęła się do Wiktora z przymusem, on jednak całkowicie to zignorował. Pani Withers odczuwała szczerą chęć, żeby złapać go i upiec na rożnie nad kominkiem w salonie, nie mogła sobie jednak na to pozwolić - potrzebowała go, czekano już na nią. Nie da się też ukryć, że inni członkowie Rady mogliby mieć pretensje o zapach płynący od ognia... Poprzestała więc na uważnym spojrzeniu w stronę kanarka i przyłgnęła do ściany, mocno się koncentrując. Westchnęła, otworzyła szeroko oczy, po czym rzuciła się szybko w stronę delikatnych drucików klatki.

Ułamek sekundy potem Wiktor bujał się na swoim drążku, lekko nieprzytomny, a wokół niego fruwało kilka piórek.

Poza nim w pomieszczeniu nie było nikogo.

- No, w końcu! - krzyknął szczupły młodzieniec z potarganymi włosami, który bezustannie kręcił się na swoim krześle.

Berenice Withers wyprostowała się i przemilczała odpowiedź.

Wygładziła fałdy sukni i poprawiła na ramionach pelerynę - takie same miały na sobie pozostałe osoby, siedzące wokół stołu.\*r

- Zastanawialiśmy się właśnie, kiedy pani do nas dołączy - powiedziała jedna z dwóch obecnych przy stole kobiet. -1 proszę nam nie wmawiać, że musiała pani omówić ważne kwestie z kanarkiem - dodała z porozumiewawczym uśmiechem.

Pani Withers odwzajemniła jej uśmiech.

- Moja droga Maureen, doskonale obyłabym się bez kanarka, dobrze pani o tym wie, strasznie jestem uczulona na pierze.

- Już dobrze, dobrze, nie będziemy się nad tym rozwodzić przez cały dzień. Powinna pani jedynie zażyć odpowiednie leki przeciwalergiczne i wszystko będzie dobrze! - zawołał Alistair McCoolley.

Pani Withers zignorowała uwagę młodego człowieka. Świetnie go znała - niecierpliwy, wiecznie podekscytowany, czasem wydawał się lekceważyć ustalone zasady, prawa, normy. Był jednak lojalny do bólu i ceniła go przynajmniej tak samo, jak jego nieżyjącego już ojca (choć w ostatnich latach swego życia stracił on nieco głowę).

Przerwał im mężczyzna, siedzący u szczytu stołu.

- Niech się pan uspokoi, Alistair - powiedział niskim, nieco szorstkim głosem. - Jeszcze nie doszliśmy do sedna zagadnienia, a pan się zachowuje jak w gorącej wodzie kąpany. Proszę o spokój.

Pani Withers wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z tym, który przewodniczył temu spotkaniu.

- Witaj, Berenice - powiedział uprzejmie.

Winston Brave był niezwykle wysokim, potężnym mężczyzną, ledwo mieścił się w fotelu. Zarówno jego wygląd, jak i sposób wypowiedzania się robiły wielkie wrażenie. Kiedy zaczynał mówić, zapadała głęboka cisza. Pogładził mechanicznym gestem czarne kosmyki włosów, otaczające jego przystojną twarz, przesunął dłonią po kwadratowej szczęce i odłożył okulary w cienkiej oprawce na stół. Oczy miał

równie ciemne jak włosy - kontrastowały z zielonym kołnierzem jego peleryny. Jej wyłogi haftowane były złotą nicią, która lekko lśniła w półmroku. Pani Withers domyśliła się, że w prawej dłoni trzyma swój medalion z literą M zamkniętą w złotym kręgu. Jednym tylko szczegółem wisiołek ten różnił się od tych, które nosili pozostali Medykusi - w centrum litery M lśnił szmaragd. Zarezerwowany był - podobnie jak haftowana złotem peleryna - dla Wielkiego Mistrza Medykusów.

Starsza pani uniosła dłoń w kierunku swojego medalionu.

- Witaj, Winstonie. Trochę się spóźniłam - przyznała. - Zaskoczyła mnie ta pogoda... poza tym pewien policjant miał kiepski pomysł, chcąc mi koniecznie służyć pomocą.

- No cóż - odezwał się inny, milczący dotąd mężczyzna - jeśli Berenice Withers usprawiedliwiła się już w pełni i skończyła nam snuć opowieść na temat swojej drogi tutaj, możemy chyba przystąpić do omawiania sprawy, która nas tu zgromadziła.

Fletcher Worm mówił spokojnym, cichym głosem, jego ton był jednak cierpki. Cień uśmiechu błąkał się mu na ustach. Nie spuszczał wzroku z siedzącego naprzeciwko Wielkiego Mistrza.

Starsza pani postanowiła nie odpowiadać; wychyliła się i spojrzała na kobietę, siedzącą po lewej stronie Worma. Musiała sobie liczyć około pięćdziesięciu lat, umalowana była w krzykliwy, dziwaczny sposób. Wydawała się kompletnie nieobecna duchem. Bawiła się kosmykiem swojej gigantycznej peruki, przywodzącej na myśl górę bitej śmietany w rudawym kolorze, którą ktoś umieścił na kubelku pełnym farby.-Witaj, Anno-Mario - zwróciła się do niej pani Withers bez wielkiej nadziei na odpowiedź.

Księżna Anna-Maria Lumpini podskoczyła na dźwięk tych słów. Szybko zamrugła różowymi powiekami. Obrzuciła innych pełnym osłupienia spojrzeniem, jak gdyby właśnie natknęła się na pięciu ufoludków - co skądinąd nie było wcale niemożliwe, zważywszy na jej zwariowaną wyobraźnię - i w końcu rozpoznała panią Withers.

- Berenice, kochana, nareszcie pani przybyła! Wszyscy na panią czekali. Możemy już chyba zaczynać, prawda?

Pani Withers pokiwała głową. Jak zawsze trudno jej było przyjąć do wiadomości, że ta ekstrawagancka arystokratka o tęczo umalowanej twarzy może być jednym z najpotężniejszych żyjących Medykówów. Mówiono o niej, że była jedną z kilku zaledwie osób zdolnych do przenikania do wnętrza roślin. Zgodnie z wiedzą pani Withers, spośród pozostałych pięciu członków Rady obecnych na posiedzeniu, wybranych w końcu przez wzgląd na swoje niezwykle zdolności i zasługi, tylko Winston Brave posiadał podobną umiejętność.

Maureen Joubert przesunęła dłonią po swoich krótko obciętych, jasnych włosach; usiłowała powstrzymać śmiech.

- Ma pani rację, Anno-Mario - powiedziała - ci ludzie, których nie ma wtedy, kiedy powinni jak najbardziej być, to coś strasznego...

- Ponieważ wszyscy już tu się zgromadziliśmy... lub też powróciliśmy już ze świata marzeń - Winston Brave rzucił szybko okiem na płomienną grzywę księżnej - możemy istotnie zacząć i omówić rzecz najważniejszą. Drodzy przyjaciele, dziś rano - mówił, cedząc bardzo wyraźnie każde słowo - Laszlo Skarsdale uciekł z więzienia na Czarnej Skale. Członkowie Rady zamarli w bezruchu. Metaliczne kliknięcie sprawiło, że Maureen Joubert wzdrygnęła się cała, a Alistair McCooley podskoczył na krześle: to zaskoczona Anna-Maria zatrzęsnęła gwałtownie swoją puderniczkę.

- Jak... jak to? - wymamrotała spoza obłoczka pudru. - Kto? Uciekł? Jak to możliwe?

Worm położył dłoń w rękawiczce na dłoni Anny-Marii.

- Proszę milczeć - powiedział krótko.

Księżna poczuła, jak jej palce zaczyna obejmować przenikliwie zimno, i gwałtownie cofnęła dłoń. Worm podniósł swoje blade, niebieskawe oczy na Winstona Brave'a.

- Winstonie, niech pan mówi dalej, bardzo prosimy. Czy może pan nam podać jakieś szczegóły tej... katastrofy?

Pani Withers obserwowała go kątem oka. Sądząc z blasku, jakim rozbłysły jego oczy, trudno było uwierzyć, że dla Worma ta ucieczka była naprawdę katastrofą. Nie da się ukryć, coś ją od niego zawsze odpychało, chociaż w głębi serca miała do niego zaufanie i wierzyła, że stoi lojalnie po stronie Medykusów.

Winston Brave wyprostował się i zatrzymał wzrok na każdym członku Rady, zanim podjął znowu przerwany wątek.

- Jego strażnik zniknął, a cela była pusta.

- Czy znaleziono jakieś ślady włamania? - spytała Maureen Joubert, która jak zwykle zmierzała prosto do celu. - Wygięte kraty w oknie, dziura lub kłapa pod łóżkiem?

- Nic z tych rzeczy - odparł Winston Brave. - Niczego nie znaleźli. Przeszukali przy tym całą celę, od góry do dołu.

- Może do więzienia przeniknął jakiś współnik? - zastanawiał się głośno Alistair.

- Nie miał prawa do żadnych odwiedzin, to oczywiste - odpowiedział Wielki Mistrz. Pani Withers dobrze znała Winstona Brave'a: liczył się z każdym słowem i tym razem także miał coś konkretnego na myśli.

- Co takiego odkryli? - zapytała nagle. - Bo przecież coś w końcu odkryli, prawda?

- Ciało strażnika leżało poza murami fortecy. I było coś jeszcze - ciągnął Winston. - Pudełko sardynek. Puste.

Pani Withers w lot odgadła możliwy przebieg wydarzeń.

- To jasne - powiedziała. - Położył sardynki na talerzu, na którym dostał posiłek, i schował się w jednej z nich.

- Czyżby wykorzystał Introdukcję Cieleśną, żeby uciec? - zapytał zdziwiony Worm.

- Sądziłam, że dostają tam wyłącznie rozdrobnione pożywienie - zdziwiła się Maureen - właśnie w tym celu, aby uniemożliwić uwięzionym Patologusom wykonanie Introdukcji do organizmu jakiegoś zwierzęcia i ucieczkę tą drogą!



- Prawdopodobnie dostał tę puszkę sardynek w paczce i umknęło to uwadze strażnika - powiedział Brave.

- Wielkie nieba! - krzyknęła księżna. - Sardynka! A tutaj mamy żołądek tego straszego kanarka, gdzie pan zwołał spotkanie naszej Rady, Winston! Wszystko się we mnie przewraca, kiedy tylko o tym pomyślę. Szkoda słów! Mój drrrogi, czy to naprrrawdę było konieczne, żebyśmy spotykali się w przewodzie pokarmowym jakiegoś ptaszka?...

- Żółty Salon był najpewniejszym miejscem, żeby wam przekazać tę tak ważną, a zarazem ściśle poufną informację - zapewnił Wielki Mistrz. - Trzeba ogłosić stan najwyższej gotowości, i to jak najprędzej. Musicie uruchomić wszystkie wasze kanały informacyjne, trzeba zachować nadzwyczajną ostrożność. Jeśli Skarsdale jest na wolności, szybko dołączą do niego jego zwolennicy, którzy do tej pory kryli się w mroku. Niedługo będziemy musieli się zmierzyć z potężnym wrogiem, którego dobrze pamiętamy z czasów przed jego uwięzieniem.

- Jaka szkoda, że Czarny Książę nie został pozbawiony życia, a tylko uwięziony - powiedział z żalem Worm.

Pani Withers milczała. Nie zamierzała brać udziału w rozgrywce Worma, który wyraźnie czekał na jej reakcję. Nie zamierzała z nim o tym dyskutować. Nie dziś. Nadal obserwowała go spod oka: miał tak krótko obcięte włosy, że ledwo można było zauważyć, iż posiwiały. Z profilu długi prosty nos stanowił przedłużenie czoła, wąskie oczy ciągnęły się daleko w kierunku skroni. Musiała przyznać, że nie zmienił się od wielu lat - ani zewnętrznie, ani z charakteru.

- Nie będziemy teraz analizować wydarzeń z przeszłości - powiedział Winston Brave z naciskiem. - Sami chyba najlepiej wiecie, jakie zadania nas czekają. Medykusi całego świata muszą być ze sobą w stałym kontakcie, pomagając sobie i śledząc zagrożenie. Trzeba zjednoczyć siły w walce z tym potworem, który z dużym prawdopodobieństwem znowu nam się objawi.

Wstał, a inni poszli za jego przykładem.

- Musicie teraz wdrożyć plan awaryjny. Przede wszystkim należy zadbać o wywiadowców, zarówno w naszym świecie, jak i w pięciu Uniwersach. Fletcher, pan się tym zajmie. Maureen, proszę, aby zebrała pani wszystkich działających Medykusów, również z innych krajów, a Anna-Maria i Alistair będą odpowiedzialni za organizację sieci komunikacyjnej między nimi.

- Może pan na nas liczyć! - krzyknął młody człowiek. - Zwyciężymy!

Wielki Mistrz obrzucił wszystkich wzrokiem, następnie uroczyście ciągnął dalej:-Trzyście lat temu wydawało nam się, że już nigdy nie będziemy musieli przeżywać tego ponurego koszmaru. Pomyliliśmy się, byliśmy ślepi i głusi, pragnęliśmy bowiem jednej tylko rzeczy: pokoju. I ten pokój nas uspił. Musimy się obudzić, drodzy przyjaciele, musimy też obudzić wszystkich otaczających nas ludzi. Jeśli uda nam się dorwać Skarsdale'a, oddamy nieocenioną przysługę całemu światu.

Wszyscy wysłuchali tego w milczeniu. Nawet Anna-Maria Lumpini straciła nieco ze swojej zwykłej egzaltacji, a Alistair starał się poskromić swój wybuchowy sposób bycia.

- Wątpię co prawda, żeby Skarsdale albo jego-bandziory mieli się do nas dobrać, przynajmniej jeszcze nie teraz, ale bądźcie bardzo ostrożni - mówił dalej Winston Brave.

Maureen Joubert zniknęła jako pierwsza, swoim zwyczajem - bardzo dyskretnie, zapewne skupiona już na swych zadaniach. Worm skinął głową pozostałym członkom Rady, znalazł cień uśmiechu dla Winstona Brave'a, panią Withers zaś obrzucił nic niemówiącym spojrzeniem i opuścił bezustannie drgające pomieszczenie, nasuwając kaptur peleryny na swoją bladą twarz. Alistair McCooley i Anna-Maria Lumpini wyszli za nim, pogrążeni w żywej dyskusji, dotyczącej bez wątpienia ich wspólnych zamierzeń.

Pani Withers miała wyjść jako ostatnia. Otwierała już drzwi, kiedy Winston Brave ją zawołał.

- Berenice, niech pani jeszcze zostanie na chwilę. Musimy pomówić o pewnych sprawach... o których tylko my dwoje możemy rozmawiać.

Czy mógłbym panią prosić, żeby zamknęła pani drzwi?

Pani Withers bez słowa zrobiła to, o co poprosił, i wróciła do stołu, patrząc na niego uważnie. Winston Brave wychylił się przez okno. Przed jego oczami rozciągał się wielki magazyn, w którym stosy rozmaitych ziaren przesuwwały się na pasie transmisyjnym, tymczasem obok wielkie cysterny wypełniały się powoli żółtawym płynem. Istoty o dziwacznym kształtach poruszały się gwałtownie we wszystkich kierunkach jednocześnie, przestrzeń przypominała wrzący pracą ul.

- Ten ptak jest stanowczo przekarmiony - stwierdził Winston Brave zdegustowany - muszę o tym porozmawiać z Bonesem.

Wyprostował się i ledwie zdążył złapać się czegoś, pokój bowiem zadygotał po raz kolejny.

- Anna-Maria ma rację, ten Żółty Salon nie jest szczytem wygody. Usiadźmy.

Usiedli na swoich poprzednich miejscach, twarzą w twarz, po dwóch stronach stołu. Pani Withers odezwała się pierwsza.

- Nie da się go odnaleźć, prawda, Winstonie? Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Wielki Mistrz namyślał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Ma pani rację, to może być bardzo trudne. Dlatego też musimy działać bardzo szybko, Berenice.

- My?

- Tak, my. Pani i ja. Jest pani osobą, którą obdarzam największym zaufaniem, zdaje sobie pani z tego dobrze sprawę. Ma pani więcej doświadczenia od nas wszystkich, no, może poza Fletcherem Wormem, ale... - Brave wolał nie kończyć tego zdania. - W przypadku tej misji, którą mam na myśli, mogę liczyć tylko na panią. Poza tym...

Rozejrzał się szybko wokół i postanowił zachować ostrożność. - Inni członkowie Rady są doskonałymi Medykusami, każdy z nich jednak ma jakąś słabość, która czyni go wrażliwym na ciosy. Aby dokonać tego, o co panią poproszę, trzeba siły i wytrwałości.

- Słucham pana, Winstonie. Czego pan ode mnie oczekuje?

- Chciałbym, żeby pani jak najszybciej przystąpiła do inicjacji młodych Medykusów.

Berenice Withers otworzyła szeroko oczy, zaskoczona.

- Ja? Miałabym kształcić Medykusów? Chyba nie mówi pan tego serio? Sam pan powiedział przed chwilą, że najbardziej doświadczeni spośród nas będą i tak mieli mnóstwo pracy!

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale to konieczne. Nie jesteśmy już tak liczni, jak kiedyś, wie pani o tym doskonale; ci zaś, którzy zostali, nie są dostatecznie wytrenowani. Niektórzy z nich nie wykonywali Introdukcji od trzynastu lat - to znaczy odkąd uwięziono Czarnego Księcia. Byliśmy lekkomyślni, Berenice, bardzo lekkomyślni.

- Widzę, że jest pan naprawdę poważnie zaniepokojony?

Wyraz twarzy Wielkiego Mistrza mówił sam za siebie.

- Teraz, kiedy Skarsdale znalazł się na wolności, jego zwolennicy złapią wiatr w żagle, to jasne. A jeżeli postanowi po raz kolejny zaatakować świat, chcąc wyeliminować ludzi lub poddać ich swojej władzy, nie będzie z tym zwlekał, to więcej niż pewne. Musimy być wszyscy gotowi, nawet ci najmłodszy.

- Czego pan ode mnie oczekuje? Zwykle wiedza przechodziła z ojca na syna i...

- Otóż to. Chciałbym, aby udała się pani do wszystkich rodzin, w których dzieci nie zostały jeszcze wprowadzone w naszą wiedzę. Trzeba ponaglić rodziców. Muszą pilnie uczynić ich prawdziwymi Medykusami, zdolnymi walczyć po naszej stronie. I musi się to stać bardzo szybko.

- Będą przerażeni, Winstonie.

- Woli pani oszczędzać ich, gdy tymczasem nasz wróg rzuci się na nich jak wilk na niewinne jagnięta? To nie pora na delikatne działania. Każdy musi mieć świadomość, że zagrożenie jest bardzo blisko, tuż za drzwiami. Każda rodzina

powinna wziąć udział w naszej walce, a wykształcenie własnych dzieci na Medykusów to jedna z metod tej walki.

Pani Withers głęboko westchnęła.

Jej pamięć przywołała mnóstwo wspomnień. Kilka chwil wcześniej ożywiła je uwaga Worma. Ujrzała w myślach piękną, męską twarz, twarz Vitalego Pilla, najmłodszego z członków Rady i najbardziej błyskotliwego spośród nich, który umarł przed dwunastu laty. Przyszła jej później na myśl twarz Celi, żony Vitalego, którą ten bardzo kochał i ożenił się z nią, chociaż nie była Medykusem.

W końcu przypomniała sobie, że mieli dzieci.

Pani Withers nie spotkała ich nigdy oficjalnie, wiedziała jednak, że byli to córka i syn. Dwoje dzieci, które odziedziczyły być może zdolności ojca...

Przez wiele lat starsza pani starała się dyskretnie wybadać, czy tak było w istocie. Może nadeszła chwila, żeby się w tej materii upewnić.

- Ma pan rację, Winstonie - powiedziała w końcu. - Trzeba tak zrobić. Właśnie przyszedł czas na naukę tych młodych Medykusów. Wszystkich, bez wyjątku - dorzuciła po krótkiej chwili.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Wielki Mistrz chciał wybadać, co starsza pani miała na myśli. Tymczasem pani Withers zmierzała prosto do celu.

- Niektóre dzieci nie mają, niestety, rodziców, którzy mogliby wprowadzić je w świat naszej wiedzy i doprowadzić do tego, by stali się pełnoprawnymi Medykusami - powiedziała. - Trzeba zająć się tym problemem.

- To prawda - odparł Winston Brave, który cały czas zastanawiał się, wokół czego krążą. - Sama pani jednak przed chwilą stwierdziła, że gdyby nawet była pani profesorem wyższej uczelni, nie ma pani teraz dostatecznie dużo czasu, by stać się nauczycielką szkolną. Zajmijmy się zatem dziećmi, które mają żyjących rodziców, będących Medykusami.

Pani Withers podniosła się i usiadła tuż przy Mistrzu.

- Doskonale pan wie, co mam na myśli.

- Nie - odrzekł Brave podejrzliwie - ale nie wątpię, że pani mi o tym powie.

Przez chwilę się zawahała, później zaś ciągnęła dalej:

- Ależ Winstonie, dobrze pan wie, że myślę o małym Pillu.

Wielki Mistrz poderwał się na równe nogi, zdumiony.

- Berenice, chyba pani straciła głowę! Jak w ogóle taki pomysł mógł pani przyjść do głowy?

- Winstonie...

- To poza wszelką dyskusją, słyszy pani? Nie ma mowy!

- To bardzo szczególny chłopiec. Jego siostra jest inna, ale co do niego jestem pewna, że się nie mylę. Jego zdolności rozwinęły się bardzo wcześnie, mimo że nic nie robił w tym kierunku! Czy nie dostrzega pan w tym jakiegoś znaku? Zasłużył na to, byśmy mu dali szansę. Mógłby służyć naszej sprawie. - Zawahała się, a potem dorzuciła: - On może bardziej niż ktokolwiek inny.

- Znak, jaki znak? - powtarzał Wielki Mistrz. - Widzę w tym tylko jeden znak: była pani bardzo przywiązana do jego ojca i tyle! - Nie skończył pan jeszcze pięćdziesięciu lat, a jest pan uparty jak stary osioł, Winstonie! A może po prostu nie chce pan przyznać, że to zupełnie oczywiste, i nigdy pan tego nie uczyni.

Zbliżyła się do niego. Była wściekła i zdecydowała się wykorzystać swój ostatni argument.

- A co pan robi z płytką Hipokratesa? Z Inskrypcją? Przecież sam pan ją czytał!

Winston Brave wyprostował się nagle i gestem nakazał jej milczenie.

- Jest pani niesłychanie nieostrożna, kiedy się pani zdenerwuje - powiedział z wyrzutem. - Niepotrzebnie pani o... tej sprawie wspomina. Zrobiliśmy to już raz, dawno temu, jak mi się wydaje. Wtedy byliśmy zgodni. Nie mówmy o tym więcej.

Pani Withers nie próbowała go dalej przekonywać.

Wielki Mistrz pogrążył się w milczącym namyśle, który uszanowała, pełna zarazem nadziei. W końcu odezwał się łagodniejszym głosem:

- Niech będzie. Zgadzam się.

- No, nareszcie! Wierzy mi pan? - powiedziała pani Withers, która odczuła wielką ulgę, ale też lekkie zdziwienie tą nagłą zmianą zdania.

- Tego nie powiedziałem - rzucił Wielki Mistrz. - Jednak zakładając, że pani rzeczywiście może mieć rację, nie powinienem rezygnować z tego dziecka i z jego mocy. To jedyny powód tego, że się zgadzam.

- Nigdy nie zdobędę pana zaufania!

- To bez znaczenia - odparł Winston Brave. - Ważne, bym dziś uwierzył, że to jest możliwe. W końcu nadszedł czas,

w którym potrzebujemy wszystkich naszych sił. Jeśli zgodnie z tym, co pani mówi, młody Pili odziedziczył zdolności swojego ojca. Jeśli rozwinęły się one w nim w naturalny sposób i bez żadnego wsparcia z naszej strony - to mi wystarczy. Przyjmuję, że trzeba się nim zaopiekować. W przeciwnym razie, gdyby okazało się, że nie jest jednak Medykusem - powiedział z jakąś nutą pogardy w głosie - dowiemy się o tym bardzo szybko.

- Ja już znam odpowiedź na to pytanie i pan także ją zna, chociaż nie jest pan w stanie się z nią pogodzić. To dziecko z całą pewnością jest Medykusem.

- Jeśli to prawda i jeżeli ma pani rację również w kwestii całej reszty sprawy - dodał Winston Brave cichym głosem - ten chłopiec będzie od pani wymagał szczególnej uwagi.

Zamilkł na chwilę, po czym podszedł do niej i spojrzał na nią z uwagą.

- Ale zgadzam się na to - pod jednym warunkiem. I nie akceptuję żadnych targów w kwestii tego warunku, uprzedzam panią.

Starsza pani zdawała sobie już wcześniej sprawę, że nie wymiga się od zadośćuczynienia i że Winston Brave zażąda od niej czegoś w zamian. Popatrzyła na niego pytająco.

- Zajmie się nim pani, ale wszystko odbędzie się tutaj - powiedział. - W Cumides Circle. Chłopiec zostanie w tym domu dopóty, dopóki nie uzna pani, że nauczyła go już pani wszystkiego. Będzie mógł oczywiście wychodzić, ale jego edukacja w zakresie wiedzy Medykusów będzie się odbywała tutaj.

- W porządku - odparła na to pani Withers. - Będę go odwiedzała w Cumides Circle, jeśli pan tego pragnie.-To nie koniec - dodał Brave. - Chciałbym, żeby to wszystko odbywało się w największej tajemnicy. Tylko nasza Rada będzie świadoma tego, co się dzieje, w tej kwestii nie mamy wyboru, ale niech to także nastąpi najpóźniej, jak to tylko możliwe. Jeśli ktokolwiek z naszego Zakonu, jakkolwiek Medykus, dowie się, że zgodziłem się na inicjację dziecka Pilla, obydwójce poniesiemy tego konsekwencje.

- Uda się panu przekonać wszystkich członków Rady? - spytała pani Withers. Wiedział, kogo starsza pani ma na myśli, to było oczywiste.

- Niech pani zda się na mnie w tej kwestii. Proszę tylko spełnić warunki, o których wspominałem.

- Będę się nim zajmowała sama, tutaj, z największą możliwą dyskrecją. Obiecuję to panu. Najtrudniejsze zadanie jest jednak jeszcze przed nami - westchnęła.

- Co pani ma na myśli? - zapytał Brave, zaniepokojony.

- Powinien pan zapytać, o kim myślę... Bo ja także będę musiała kogoś przekonać do tego projektu, a osoba, o której myślę, nie ustąpi tak łatwo. Na pewno okaże się dużo twardsza niż pan.

- To już pani problem, moja droga. To pani twierdzi, że chłopiec ma przed sobą do odegrania rolę Medykusa. Tak czy owak, ma pani czas do soboty, żeby przekonać chłopca, by do nas dołączył. Później drzwi zostaną zamknięte. Na zawsze.

Pani Withers otworzyła drzwi pomieszczenia i w tej samej chwili musiała mocno schwytać się klamki, bowiem pokój ponownie zadygotał.

- Uda mi się, Winstonie, uda się na pewno. Będę się starała, za wszelką cenę.

Kiedy opuściła ciało kanarka, a potem salon, Bones czekał na nią z jej rzeczami i pomógł włożyć płaszcz. Przeszła przez hall i już miała wyjść z Cumides Circle, kiedy jednak zmieniła zdanie i skierowała się w stronę wysokich drzwi z rzeźbionego drewna.

Bones obserwował ją nieruchomo.



- Zajmie mi to tylko kilka minut - powiedziała do major-domusa - proszę na mnie nie czekać.

- Dobrze, proszę pani.

Starsza pani pchnęła drzwi i weszła do długiego pokoju, urządzonego w stylu art deco, podobnie jak cała siedziba. Pośrodku stał olbrzymi stół z masywnego drewna i sześć obitych zielonym aksamitem foteli. Zasłony były zaciągnięte i lekki półmrok rozświetlał jedynie blask z żyrandoli, wiszących pod sufitem, cztery metry wyżej.

Pani Withers nie poświęciła uwagi olbrzymim szafom bibliotecznym, skierowała się w stronę przeciwległej ściany pokoju, pokrytej starymi portretami kobiet i mężczyzn. Wszyscy mieli surowy wyraz twarzy. Wszyscy też nosili podobne peleryny z zielonego aksamitu, na których wyhaftowana była złotą nicią litera M. Przyglądając się uważnie obrazom, można było dostrzec jeszcze jedną wspólną cechę: wszystkie spor-tretowane osoby wydawały się zaciskać w prawej dłoni jakiś przedmiot.

Zatrzymała się w końcu przed jednym z portretów, który wydawał się lepiej oświetlony, podczas gdy reszta z nich pozostawała w mroku. Widniał na nim łysy, brodaty mężczyzna, rudy jak marchewka. Pod zieloną peleryną od stóp do głów ubrany był na czarno. Stał wyprostowany, godny, patrzył w dal, prawą dłoń przyłożył do serca. On także miał tę dłoń zaciśniętą. Na dole obrazu można było rozszyfrować skreślony piórkiem podpis: „Sigismond Brave”. Przodek szacownej rodziny Brave’ow, który przybył do Ameryki wraz z pierwszymi osadnikami wiele wieków wcześniej. I Wielki Mistrz Zakonu, podobnie jak jego praprawnuczek, Winston.

Pani Withers przesunęła ręką po namalowanej na portrecie dłoni mężczyzny. W tej samej chwili pomiędzy jego środkowymi palcami rozbłysła litera M. Lśniła przez moment, tak jakby skóra człowieka na portrecie stała się przezroczysta; potem znikła. Starsza pani westchnęła. Zakon żył, z całą pewnością żył, symboliczne M było tego dowodem.

Chciała mieć jednak pewność. Wyjęła swój medalion i wypowiedziała spokojnym głosem kilka słów:

Zjawcie się, o Przedwieczni, spoza tej ściany, by nam przepowiedzieć cudowne przemiany.

W tym momencie ściany i portrety rozplynęły się w powietrzu, pozostawiając po sobie migoczący obłok, po drugiej stronie ukazał się zaś pokój, będący lustrzanym odbiciem tego, w którym stała pani Withers: taki sam stół, identyczne fotele. Nie było tylko biblioteki. Starsza pani odwróciła się i pozdrowiła skinieniem głowy kogoś, kogo od razu rozpoznała. Sigismond Brave stał przed nią jak żywy, jedną dłoń trzymał nadal na piersi, drugą położył na oparciu fotela. Wydawał się nieco przezroczysty, jak gdyby przysłonięty delikatną mgiełką. Przywitał panią Withers z lekkim uśmiechem i zaprosił do środka.

Zbliżyła się do stołu, na którym królował olbrzymi wazon z zielonej porcelany. Pochyliła się nad wspaniałym bukietem lilii i odetchnęła głęboko ich zapachem. Podobnie jak inni członkowie Rady wiedziała, że lilie Sigismonda przepowiadały najbliższą przyszłość Zakonu. Bukiet nigdy nie kłamał. Z ulgą stwierdziła, że bukiet wydaje najwspanialszą z możliwych woni - pod tym względem nic się nie zmieniło od wieków.

Prostowała się już, kiedy uwagę jej przyciągnął jeden żółtawy listek pośrodku bukietu. Zerwała go, a wtedy kwiaty rozsunęły się i ujrzała inne listki, pokryte jasnymi plamkami. Ścisnęło jej się serce. Zmieniony zapach, przywiedły kwiat czy pożółkłe liście: w każdym z tych przypadków należało się mieć na baczności. Nie wszystko zatem było w porządku, jej dotychczasowy spokój był nazbyt optymistyczny.

Podniosła wzrok. Sigismond zniknął, została sama.

Cofnęła się aż do przejścia między pokojami i ponownie wzięła do ręki swój medalion.

Znikajcie, o Przedwieczni, za tymi ścianami, W przyszłości nas witajcie lepszymi wieściami.

Sekretna sala i jej portrety ulotniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jedno tylko uległo zmianie: portret Sigismonda pogrążony był teraz w cieniu, podobnie jak i inne.

Przed wyjściem starsza pani skierowała kroki w stronę biblioteki. Przysunęła wolterowski fotel do półek z książkami, rzucając przy tym okiem w stronę drzwi wejściowych do pokoju, na razie spokojnie zamkniętych. Zdjęła pantofle i z niebywałą lekkością wspięła się na fotel. Przejrzała rząd książek na najwyższej półce, aż znalazła tę, której szukała: Antologię Patologusów.

Wyjęła książkę z półki i otworzyła ją, nie schodząc z fotela. Ale kiedy tylko to zrobiła, jej zawartość zniknęła ze stron, ustępując miejsca kilku lapidarnym słowom: Ta księga jest własnością Vinstona Bravea, Wielkiego Mistrza Zakonu. Bądź łaskawa odłożyć ją na miejsce, ciekawska panno!

Berenice Withers zmarszczyła brwi, zdenerwowało ją, że zwyczajna książka pozwoliła sobie tak ją obrazić. Ją, członkinię Rady, i to jeszcze w jej wieku! Znała jednak dobrze reguły, które sama - wraz z innymi - ustaliła i za którymi głosowała: podobnie jak wszystkie inne książki z biblioteki, także i ta nie mogła zaofiarować swej zawartości nikomu, kto by chciał do niej zajrzeć bez zgody właściciela i autora. Członkowie Rady mieli pozwolenie od właściciela, nie posiadali jednak zezwolenia od poszczególnych autorów. Zrobiło jej się nieswojo na myśl, iż mogła zapomnieć o tradycyjnym rytuale. Najwyraźniej nadal poruszona była rozmową z Winstonem Brave'em.

Rzuciła szybko okiem na okładkę książki i sformułowała prośbę.

- Drogi panie Billy Boyd - powiedziała, angażując w te słowa cały swój wdzięk. - Byłabym niezmiernie wdzięczna, gdyby pozwolił mi pan przeczytać swoje pasjonujące stronicę, zapewniam pana, że byłoby to dla nas bardzo cenne. Jestem pewna, że Winston zgodziłby się ze mną.

Odczekała kilka chwil, modląc się, aby autor przychylnie odniósł się do jej prośby, po czym znowu otworzyła książkę. Po raz kolejny jednak słowa i ilustracje ulotniły się w jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Najwyraźniej

Billy Boyd nie doceniał ani manier, ani zapału pani Withers, niezależnie od pozycji, jaką miała w Radzie.

Starsza pani była wściekła. Mimo to zdążyła w ostatniej chwili przeczytać tytuł rozdziału: „Schyłek i upadek Wielkiego Patologa”, a zwłaszcza - zwłaszcza! - zauważyła zdjęcie młodego mężczyzny o zwycięskim wyrazie twarzy. Stał obok ślicznej, młodej kobiety, którą rozpoznała bez trudu, mimo że minęło trzynaście lat.

Berenice Withers westchnęła. Ścisnęło jej się serce. Zamknęła księgę. Nie wolno było oddawać się próżnym żalom ani łatwej nostalgii. Teraz należało myśleć o przyszłości, a ta przyszłość materializowała się pod postacią małego chłopca.

Odłożyła książkę na miejsce, zeszła z fotela i przysunęła go do stołu. Poprawiła zawiązaną na szyi apaszkę i okulary na nosie, po czym wyszła drobnym kroczeniem z biblioteki.

Nie było już ani chwili do stracenia.

### **Wizyta w środku nocy**

Oskar błyskawicznie zjadł obiad i umknął do swojego pokoju.

- Halo, młody człowieku, a deser?

Oskar domyślał się, co jest na deser, podobnie jak domyślił się wcześniej, co będzie na obiad.

- Nie, dzięki, mamo! - zawołał ze szczytu schodów. - Nie mam ochoty na jogurt! - Zatrzymał się na chwilę przed swoimi drzwiami i wychylił się przez poręcz schodów. - Wszystko było pyszne!

Nie czekał na pełną satysfakcji minę mamy. Obawiał się nieco, że mogłoby jej przyjść do głowy podawać mu te same dania do końca tygodnia. Zniknął w swoim pokoju.

Zaledwie zdążył wdrapać się na łóżko, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. W ułamku sekundy Oskar zrobił przegląd dnia: poza bójką na szkolnym dziedzińcu nie miał sobie jednak nic do zarzucenia. Jego siostra tymczasem powróciła zapewne do wcześniejszych zajęć i trenowała oceaniczne

nurkowanie w głębinach umywalki. Nie mógł to być zatem żaden z urażonych przez nią w jakikolwiek sposób sąsiadów. Któż to więc dzwonił, o tej porze?

Oskar podejrzewał przez moment, że to może ten idiota Huxley, ale wyrzucił to przypuszczenie z głowy.

Dostawał szału na myśl o tym, że ten typek kręcił się bezustannie wokół ich matki. W jego oczach Barry Huxley był żalonym, tłustym tępakiem, który usiłował prężyć bicepsy. Nosił podkoszulki, które bardziej pasowałyby nastolatkowi. Próbował zaimponować matce swoim porsche i okularami słonecznymi firmy Ray Ban, których nie zdejmował nawet późnym wieczorem ani też wtedy, kiedy wchodził do domu.

Violette i Oskar widzieli go zaledwie trzy razy. Za pierwszym razem Violette przyglądała mu się szeroko rozwartymi oczami, nie mówiąc ani słowa. Za drugim razem popatrywała w sufit i podśpiewywała przez cały czas trwania obiadu, mimo że matka posyłała jej znaczące spojrzenia i trącała nogą pod stołem. Kiedy mieli się spotkać po raz trzeci, Violette wróciła do domu dwie godziny później niż zwykle. Matka tymczasem zdążyła już zaalarmować całą dzielnicę. Oskar podejrzewał, że tym razem Violette zrobiła to specjalnie. On sam od pierwszej chwili nienawidził faceta, który zwrócił się do niego nader wylewnie:

- Kręci cię baseball, co nie, koleś? To chyba jasne, jeśli jesteś facetem, ale takim prawdziwym, musisz lubić baseball! Co nie?...

Kiedy spotkali się po raz kolejny, było jeszcze gorzej. Celia postanowiła zorganizować piknik w parku Montgomery'ego. Barry - ochrzczony przez dzieci „Panem Co Nie” - pojawił się z półgodzinnym opóźnieniem. Dzieci czekały głodne, tymczasem Barry rzucił na powitanie:-Hej, maluchy, widzę, że dalej macie na głowach mar-chewę, he?... Znaczy, że to nie żadna peruka, co nie?...

Oskar wyraził się w tej kwestii jaśniej niż Violette: uprzedził stanowczo matkę, że trzeciego razu nie będzie, i dotrzymał słowa. Kiedy tylko usłyszał pisk opon sportowego samochodu przed domem, uciekł tylnym wejściem, nie zważając

na krzyki i groźby matki. Schronił się u państwa Golino, gdzie poczęstowano go pizzą.

Kiedy wrócił, stół był pusty, a w domu nie było ani śladu po „Panu Co Nie”. Matka unikała jego wzroku. Oskar szybko się umył i jeszcze szybciej położył się spać. Było mu trochę ciężko na sercu. Wyjął zdjęcie ojca i długo mu się przyglądał, tym razem jednak zdjęcie nie okazało się w żaden sposób pomocne, jak gdyby ojciec także chciał okazać niezadowolenie z jego zachowania. Bardzo źle spał w nocy. Następnego ranka matka powitała go z uśmiechem. Przytuliła go do siebie mocno i to wystarczyło, cała reszta przestała się liczyć.

Tego wieczoru nie miał jednak specjalnej ochoty oglądać „Pana Co Nie”, składającego niezapowiedzianą wizytę: bardzo kochał matkę, to prawda, ale w żaden sposób nie był w stanie polubić tego faceta.

Zeskoczył w dół po drabince i uchylił drzwi. Nie mógł rozpoznać głosu gościa - była to jednak kobieta. Po chwili usłyszał znacznie donośniej szy głos matki:

- Nie ma o tym mowy, słyszy mnie pani? Nie ma mowy!

- Mogę się łatwo domyślić, co pani czuje, Celio, ale...

- A skąd pani może wiedzieć, jak ja się czuję? - przerwała jej nagle Celia. - Nie ma pani zielonego pojęcia, co przeżyłam przez te dwanaście lat.-Przeciwnie, wiem - odpowiedziała jej spokojnie kobieta - wszyscy wiemy. My także byliśmy tym wszystkim wstrząśnięci. Pani mąż, Celio, był bardzo bliskim mi człowiekiem.

- Ale palcem pani nie ruszyła w jego sprawie! - krzyknęła Celia. - Nam też pani nie pomogła! A teraz przychodzi tu pani i żąda...

Oskar zrobił krok do przodu, żeby lepiej usłyszeć, zawadził stopą o naderwaną nogawkę pizamy, odruchowo złapał za brzeg stojącej obok szafy, żeby zachować równowagę. W szafie załomotały talerze.

Celia przerwała. Wyszła z salonu i rzuciła okiem na schody. Oskar przykleił się do ściany, wtulając się w załomek muru między swoim pokojem a łazienką. Wstrzymał oddech. Celia stała przez chwilę, nasłuchując, potem wróciła do salonu.

Kobieta mówiła dalej.

- Nie może pani ciągle myśleć o przeszłości, Celio. Czekają nas bardzo trudne chwile, musimy połączyć nasze siły.

- Dość tego - odparła Celia. - Dałam wam już mężczyznę mojego życia. Traci pani czas, jeśli pani sądzi, że powierzę wam jeszcze kogokolwiek z mojej rodziny.

Kobieta podniosła się.

- Niech się pani dobrze nad tym zastanowi, Celio. Chodzi o przyszłość całego świata, o przyszłość pani rodziny także. Myli się pani, sądząc, że uda się pani ukryć przed tym zagrożeniem, dotyczy ono nas wszystkich.

- Przemyślałam to dobrze i moja odpowiedź się nie zmieni.

Kobieta wyszła z salonu. Oskar zauważył tylko skrawek jasnoszarego materiału, kapelusz i czerwone okulary.

Celia otworzyła drzwi. Wychodząc, kobieta podała jej swoją wizytówkę.

- Proszę, niech pani zachowa mój numer i jeszcze się zastanowi. Kiedy już odzyska swoją dawną moc - nikogo nie oszczędzi. Może to kwestia lat, a może miesięcy, tego nie wie nikt.

Celia wzięła wizytówkę bez słowa.

Zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie z zamkniętymi oczami. Zanim je otworzyła, Oskar przemknął już po cichu do swojego pokoju, a dom pogrążył się znowu w ciszy.

Celia weszła po schodach na górę, zawahała się przez chwilę, a potem otworzyła drzwi do pokoju syna. Była boso, podeszła bezszelestnie do łóżka Oskara i pogłaskała go po głowie. Pocałowała w czoło i zgasila stojącą przy jego łóżku nocną lampkę.

Kiedy wyszła z pokoju, Oskar odrzucił kołdrę i podbiegł do okna. Obserwował ulicę, jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem, ale widział tych samych ludzi co zawsze - mieli zwyczaj przesiadywać na niewielkich, składanych krzeselkach aż do nocy. Na Kildare Street panował zwykły ruch, nie było jednak widać żadnej kobiety w kapeluszu.

W tajemniczy sposób rozplynęła się w powietrzu.

Oskar podskoczył i otworzył oczy. Zdziwił się, ale i ucieszył, że leży sam, w swoim własnym łóżku. To musiał być z pewnością jakiś koszmarny sen: pod powiekami krążył jeszcze obraz starszej pani w czerwonych okularach, które zamieniały się nagle w kajdanki, później zaś stały się jakąś groźną bronią. Potem pojawił się ojciec, który stoczył z nią walkę. Aż w końcu ukazał się obraz umierającego ojca. Obudził się w tym właśnie momencie, zlany potem, w mokrej piżamie. Zszedł z łóżka i otworzył szafę, chcąc się przebrać. Ziewnął, położył się, zauważył jednak, że drzwi do jego pokoju są uchylone. Nie cierpiał zasypiać przy półotwartych drzwiach. Westchnął ciężko i ponownie wstał, ześliznął się na podłogę, zbyt zmęczony, żeby skorzystać z drabinki. Nie wypuścił jednak z rąk albumiku z rodzinnymi zdjęciami, który zawsze przyciskał do piersi przed zaśnięciem. Już miał zamknąć drzwi, kiedy zauważył światło w korytarzu. Dochodziło z pokoju matki.

Poszedł tam, ale jej pokój był pusty, łóżko nie zostało nawet pościelone na noc. Usłyszał jakiś cichy dźwięk, przypominający jęk. Zbliżył się do schodów, odgłosy docierały z dołu.

Bezszelestnie zszedł i idąc za dochodzącym dźwiękiem, skierował się w stronę drzwi do piwnicy, które matka zawsze zamykała na klucz. Oczywiście Oskar bez trudu odkrył schowek, w którym trzymała klucze, i zakradł się na dół, pragnąc ukryć w jednej z szaf swoje czasopismo. Szybko przemknął wtedy przez piwnicę, nie znalazł jednak niczego interesującego i nie odczuwał potrzeby, żeby tam wrócić.

Teraz drzwi były otwarte, a Oskarowi ścisnęło się serce z żalu: matka płakała. W tym momencie poczuł, że pali go ręka, w której ciągle jeszcze trzymał swój album z rodzinnymi zdjęciami. Otworzył go w miejscu, w którym wklejono zdjęcie jego rodziców, i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu zauważył, że coś uległo zmianie - jego ojciec miał teraz twarz skierowaną w stronę matki. Czy to miało być jakieś przesłanie? Czy ojciec prosił go o coś, czego sam nie mógł już zrobić - może miał czuwać nad matką?... Albo tylko iść do niej, teraz, zaraz? A może chodziło o obie te sprawy. Oskar, nie namyślając się dłużej, zszedł kilka stopni w dół, do piwnicy. Szybko oswoił się z panującą w niej ciemnością. Omijał stosy kartonów,



stare meble, rozmaite bibeloty, które już się znudziły. Gdzieś w kącie stało jego własne, dziecinne łóżeczko. Za rogiem pomieszczenia widział odbijający się na suficie duży, jasny krąg światła. Schował się w końcu za jakąś szafką, przykrytą zakurzoną tkaniną, i wychylił się zza niej.

Celia klęczała przed wielką skrzynią, starannie dotąd ukrytą pod licznymi kartonami i tłumokiem starych koców. Cicho płakała, gładząc długi płaszcz z zielonego aksamitu. W drugiej dłoni trzymała dziwaczny pas, złożony z połączonych ze sobą niewielkich sakiewek - było ich dokładnie pięć. Każda skórzana, zamykana na złocistą klamerkę. Cztery z nich wydawały się puste, z piątej wystawał wyszczerbiony flakonik.

Celia spoglądała przez łyzy na pas.

- Vitali, tak bardzo bym chciała, żebyś tutaj był... tak strasznie mi Ciebie brakuje. Zapomnieli o nas, wiesz, a teraz znowu się pojawiają. Co powinnam zrobić? Czuję się taka zagubiona. Gdybyś tylko był tutaj ze mną... On jest jeszcze taki mały, nie mogę go sobie nawet wyobrazić w tym ich świecie - powiedziała, podnosząc płaszcz i pas - i miałby narażać się na te same niebezpieczeństwa co ty, w tych przeklętych Uniwersach!

Oskar wychylił się nieco mocniej, chcąc lepiej zobaczyć, co takiego krył w sobie jeszcze kufer. W tym samym momencie pas w ręku Celi jakby ożył, a klamry rozzarzyły się, jak gdyby płonął w nich ogień.

Celia podskoczyła.

- Vitali? Vitali!

Rozejrzała się wokół siebie zaskoczona, ale pełna nadziei. Oskar cofnął się, zbyt późno jednak i zbyt szybko: potknął się o drewnianą skrzynkę i przewrócił się. Usłyszał, jak matka zamyka gwałtownie kufer, i kilka chwil później pochylała się już nad nim, z dużą latarką w ręku.

Wbrew jego obawom nie skrzyczała go. Oskar, nieco oślepiiony, nie widział dobrze jej twarzy, zauważył jednak, że próbowała rękawem otrzeć oczy. Starła się uśmiechnąć i odezwała się bez złości w głosie.

- Dlaczego nie śpisz, kochanie? No już, wracaj na górę.

Nie zadawał jej żadnych pytań, a ona go pocałowała. Zaczął iść po schodach, ale nie dotarł do końca, kiedy go zawołała.

- Oskar!

Odwrócił się bez słowa.

- Oskar, nie przychodź tu więcej, obiecujesz? Nie ma tu dla ciebie nic ciekawego.

Kiwnął głową i poszedł na górę.

Kiedy znalazł się w swoim łóżku, album z fotografiami miał znowu zwykłą temperaturę, a na zdjęciu jego ojciec patrzył znowu prosto przed siebie. Może tylko jego uśmiech nie był już taki szeroki...

### **Ultimatum**

Następnego dnia rano Oskar budził się z trudem. W nocy długo jeszcze analizował rozmowę matki z nieznaną kobietą, słowo po słowie, zanim w końcu zapadł w sen.

Mama musiała siłą wyciągnąć go z łóżka, z trudem skłoniła go, by poszedł do łazienki, a później się ubrał. W końcu łyknął na chybcika miseczkę płatków z mlekiem, wcisnął do kieszeni herbatniki na drogę i pobiegł do szkoły.

Kiedy dotarł do szkolnej bramy, był już mocno spóźniony.

Gdy wpadł do klasy i usiadł na swoim miejscu - w głębi sali koło okna - profesor Penguin obrzucił go surowym spojrzeniem.

- Pili! Proszę cię, usiądź raczej z przodu, blisko mnie, dobrze? Jeśli sobie życzysz, po wakacjach spróbujemy przesunąć początek lekcji o dziesięć minut, to ci pozwoli pospać trochę dłużej.

Wszyscy w klasie parsknęli śmiechem. Oskar zaczerwienił się i przeniósł swoje rzeczy do pierwszego rzędu ławek, unikając spojrzeń kolegów. Oczywiście, Moss śmiał się jeszcze głośniejszym niż inni, a jego banda starannie go naśladowała. Oskar uporządkował zeszyty i książki, odczekał, aż wychowawca podejmie przerwany wątek, i rzucił okiem za siebie: Tilla obserwowała go z tym dziwnym uśmiechem,

który wydawał się kpiący i przyjacielski zarazem. Oskar zarumienił się i ukrył twarz za potarganymi rudymi włosami.

Poranek mijał dosyć spokojnie. Oskar z nikim nie rozmawiał i starał się skończyć pracę wcześniej niż inni. W pozostałym czasie rozmyślał o tajemniczej kobiecie i o wybuchowej reakcji matki. Najważniejsze wydawały mu się słowa mamy, że „oddała już mężczyznę swojego życia” i widziała „jaki był tego rezultat”. Czyżby to znaczyło, że kobieta w czerwonych okularach była winna śmierci Vitalego? Jeśli tak było w istocie, Oskar czuł, że jej nienawidzi.

Wiele lat wcześniej mama wyjaśniła mu, że tata zginął rok po narodzinach Violette i tuż przed pojawieniem się na świecie jego, Oskara. Nigdy do końca nie było wiadomo, co się właściwie stało: matka wspominała o strasznym wypadku lotniczym, nie chciała się jednak zagłębiać w szczegóły. Dla niej była to także bardzo trudna sytuacja, z pewnością bardzo brakowało jej Vitalego; Violette i Oskar często widzieli, jak mama po kryjomu płacze. Od tej właśnie pory Violette stała się dziwaczna, żyła zanurzona w swoim świecie wyobraźni, na wpół tylko obecna duchem wśród nich. Nigdy nie rozmawiała z nikim o ojcu, nawet z Oskarem.

Chłopiec zwierzał się kiedyś panu Dawesarowi, właścicielowi niewielkiego sklepiku indyjskiego. Ten powiedział mu coś, czego Oskar nigdy nie zapomniał: „Wiesz, Oskarze, kiedy komuś jest smutno, jedni płaczą, inni milczą, a jeszcze inni zagłębiają się w swoich marzeniach. Życie w marzeniach jest łatwiejsze, można je sobie wymyślić tak, jak się chce”. Począwszy od tego dnia, Oskar nigdy już nie narzekał na swoją siostrę. Doszedł do wniosku, że pan Dawesar miał rację. Każdy próbował na swój sposób upiększać swoje życie - Violette żyła marzeniami o otaczającym ją świecie, inne dzieci rozmawiały ze zdjęciami...

Oskar przestał także zadawać pytania mamie. Zrozumiał, że te pytania musiały sprawiać jej przykrość, on zaś i tak nigdy nie doczekał się wyczerpującej odpowiedzi. Teraz jednak czuł, że wczoraj wszystko się zmieniło. Gdyby zdołał odnaleźć kobietę w czerwonych okularach, mógłby zadać jej wszystkie te pytania, które od lat pozostawały bez odpowiedzi. Nie musiałby zachowywać się wobec niej

tak delikatnie, jak wobec mamy, a jej z kolei zapewne zależałoby na tym, żeby zaspokoić jego ciekawość!

Dzwonek, ogłaszający koniec lekcji, wyrwał go z rozmyślań. Kiedy chował zeszyty i piórniki do tornistra, podbiegli do niego Jeremy i Barth O'Maley, jego sąsiedzi z Kildare Street.

- Cześć, Oskar, idziesz z nami do stołówki? - spytał Jeremy, niewysoki, czarnowłosy chłopiec o roziskrzonym spojrzeniu.

Jeremy, najweselszy i najsprytniejszy chłopak z całej dzielnicy, nosił włosy krótko podgolone po bokach, na czubku głowy zaś rozwichrzone, na wzór swojego ojca, Irlandczyka czystej krwi, który wyemigrował z rodziną do Stanów Zjednoczonych i żył tutaj od dziecka. Jeremy miał zawsze mnóstwo dobrych pomysłów, umiał wymyślić najciekawsze zabawy, załatwiał też rozmaite interesy. Trzeba przyznać, że w tej ostatniej kwestii wyrastał z niego prawdziwy biznesmen: już kiedy miał pięć lat, organizował na przedszkolnym podwórku potajemną wymianę podwieczorków między dziećmi i z każdego podwieczorku, przy każdej wymianie, pobierał małą cząstkę dla siebie.

Jego brat, Barth (w rzeczywistości miał na imię Bartholomus, po dziadku, ale Barth nie cierpiał tego imienia: „Gorzej niż beznadziejne...”) był o rok starszy. W przeciwieństwie do swojego brata był wysoki i barczysty, cały w siniakach i bliznach, bardziej znanego jako nieustraszonego zabijakę niż jako pilnego ucznia. Znał lepiej każde drzewo na szkolnym dziedzińcu niż klasy w szkole i częściej bywał w sali, gdzie odbywano odsiadki niż w swoim własnym pokoju, w domu. Miał to w nosie.

- I tak w przyszłości chcę zostać zawodowym kaskaderem - odpowiadał na wszelkie zarzuty i skargi nauczycieli. - Po co mi wobec tego gramatyka i zadania z matematyki...

Początkowo Celia była lekko zaniepokojona, widząc, że jej dzieci zaprzyjaźniły się z O'Maleyami. Szybko jednak zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy chłopcy ci mają dobre charaktery. Zresztą, kiedy tylko przekraczali próg jej domu, stawali się aniołami. Przebiegli i obrotni, to fakt, wobec niej zawsze jednak

byli uprzejmi i zabawni. Jeśli zaś chodzi o buntownicze cechy ich charakterów, to wiedziała doskonale, że Oskar w tej kwestii niewiele się od nich różnił...

- No to jak, zdecydowałeś się? - powiedział Barth. - Umieram z głodu!

Oskar przyłączył się do nich i poszli razem do stołówki.

Stanęli w kolejce i zachowywali się na tyle cierpliwie, na ile byli w stanie, zważywszy na ich naturę. Oskar czuł się w miarę swobodnie, bo w tym roku szkolnym Moss nie jadał nigdy obiadów w szkole. Odkąd jego rodzina wyprowadziła się z Ba-bylon Heights, koło południa przyjeżdżał szofer w limuzynie i czekał na niego pod szkołą, a później przywoził go z powrotem na lekcje. Oskar pamiętał o dwugodzinnej, wspólnej odsiadce, która czekała ich tego dnia po południu. Na szczęście miał być z nimi pan Penguin. Będzie pilnował, by nie stało się nic nieprzewidzianego. Tym lepiej. Oskar nie należał do tych cierpliwych, a z Mossem łatwo mogło się wydarzyć coś bardzo nieprzewidzianego.

- Proszę, proszę, kogo my widzimy - mój ulubiony rudzielec!

Oskar podniósł głowę i ujrzał roześmianą twarz Liny, kucharki, która im gotowała.

- Dzień dobry! - odpowiedział Oskar z szerokim uśmiechem. Kiedy to Lina stała za ladą, Oskar mógł mieć pewność, że dostanie podwójną porcję tego, co lubił najbardziej, zamiast czegoś innego, za czym nie przepadał. Lina знаła ulubione potrawy wszystkich, nawet tych nowych uczniów w Babylon School, a trzeba przyznać, że było ich naprawdę sporo. Wszyscy ją uwielbiali. Była zawsze roześmianą, tęgą kobietą. Miała nieduże ciemne oczy - równie ciemne jak jej włosy, upięte w kok i schowane pod specjalną siateczką. Dwaj bracia odepchnęli Oskara, by pokazać się Linie.

- A my nie jesteśmy rudzi, co z nami, Lina, nie lubisz nas?

- Jasne, że was lubię, łobuziaki! - zawołała Lina z głośnym śmiechem, który wstrząsnął całą jej postacią. - No, to jaki mam wam na to dać dowód?

- Poproszę frytki zamiast cukinii - rzucił Jeremy, skrzywiony. - To zielone paskudztwo musi być bardzo niezdrowe, bez dwóch zdań!

- I na pewno nie robi dobrze na mięśnie - dorzucił Barth, napinając muskuły. - Dużo fiytek, Lina, jeśli można! Lina i Oskar rozśmiali się i Lina podała dzielnemu siłaczowi talerz. Piętrzył się na nim stos frytek. Jeremy pogrzebał w kieszeni i wyciągnął broszkę w kształcie różowego serduszka, na którym białymi literami napisano „Sweet love”, i przypiął ją do bluzki Liny.

- Ach, ty nicponiu, co za czaruś z ciebie - powiedziała Lina, wpatrując się w serduszko. - Oto chłopak, który wie, jak zagadać do kobiety! No, uciekajcie dalej, chłopcy, za wami czeka w kolejce cała masa głodnych ludzi! - Nachyliła się w ich stronę: - Chociaż oczywiście są tacy, do których rwie mi się serce...

Oskar odszedł z przyjaciółmi w stronę wolnego stolika. Zasiedli w ogólnym rozgardiaszu. Siedzące naprzeciwko nich trzy dziewczyny co chwila parskały śmiechem i ciągle im się przyglądały. Siedząca z nimi Tilla udawała, że na nich nie patrzy, co chwila szeptała jednak coś na ucho jednej z koleżanek.

- No proszę, jakie stadko gęsi! - rzucił Jeremy. - Najwyraźniej znaleźliśmy się w kurniku!

Oskar nie wiedział, czy się roześmiać, czuł się lekko zażenowany. Mógł udawać, że Tilla i jej małe gierki nic go nie obchodzą, jednak nie był wobec nich nieczuły. Tak naprawdę nie interesowały go dziewczyny i nie sądził, żeby był „zakochany”, ale... Zastanawiał się, czy Tilla nie zachowuje się przypadkiem w ten właśnie sposób, chcąc zwrócić na siebie uwagę, wzbudzić zachwyt dla swojej urody. Problem polegał na tym, że świetnie jej się to udawało: wszyscy pragnęli jej towarzystwa, nawet dziewczyny, nawet ten głąb Moss. Jeśli jednak chodzi o tego ostatniego, on także chciał po prostu, żeby kojarzono go z najładniejszą dziewczyną w klasie. Wszystkim naokoło opowiadał, że jest w nim zakochana...-Ależ z niej kokietka! - rzucił Barth, który miał do czynienia ze starszymi dziewczynami.

Oskar nie za dobrze rozumiał, co znaczy to określenie, niezbyt się tym jednak przejmował. Kiedy podniósł wzrok, Tilla wpatrywała się akurat w niego swoimi wielkimi, złocistymi oczami, ocienionymi długimi rzęsami; odwróciła szybko spojrzenie, jakby w przyływie nagłej nieśmiałości. W tym momencie Oskar poczuł,

jak ogarnia go gorąca fala, od żołądka w górę, aż do twarzy. Musiał być czerwony jak piwonia i wszyscy z pewnością to zauważyli!

Na szczęście jakiś głos za ich plecami odwrócił uwagę jego kolegów:

- Mogę z wami usiąść?

Oskar podniósł głowę i zobaczył Aydena Spencera, chłopca, którego bronił przed Mossem poprzedniego dnia. Bracia O'Maley zgodzili się i ochoczo przesunęli talerze. Oskar jadł jednak dalej, nie ruszając się ani o centymetr.

- Hej, Oskar, nie czas gapić się na panny, ty marzycielu - powiedział Jeremy, który oczywiście dostrzegł wszystko, co działo się między Tillą a Oskarem chwilę wcześniej. - Ayden chce z nami usiąść!

Oskar wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Naprawdę? Jeśli o mnie chodzi, nie mam specjalnej ochoty siedzieć obok tchórza.

Obydwaj bracia popatrzyli na niego, zaskoczeni jego reakcją. Spencer odwrócił wzrok, zawstydzony.

- Ja... przepraszam cię, przykro mi z powodu twojej odsiadki dzisiaj...

- Przede wszystkim nie musiałeś wcale tak gorąco mnie bronić, tłumacząc Penguinowi, co się naprawdę wydarzyło! Dzięki! Powinienem być zostawić cię samemu sobie i pozwolić, żeby tamci połamali ci szczękę! No więc nie, nie wybaczam ci, Spencer, i nie mam ochoty siedzieć obok ciebie!

Oskar wstał, zabrał swój talerz i odszedł do innego stolika, zanim koledzy zdążyli go powstrzymać. Spencer uciekł na drugi koniec sali.

Oskar nie dokończył swoich frytek. Z jednej strony wściekły był na Spencera, to nie ulegało wątpliwości, z drugiej - nie miał już za bardzo ochoty siedzieć z Jeremym i Barthem: obydwaj mogli pokpiwać sobie z niego na temat Tilli. W gruncie rzeczy jednak wszystko to mało go obchodziło i ta dziewczyna, i Spencer. Marzył tylko o tym, żeby wrócić do klasy, a kiedy skończą się lekcje - szybko odbębnić te dwie godziny karnej odsiadki i pójść sobie nareszcie do domu. Ten dzień nie zapowiadał się najlepiej, nie da się ukryć...

Ulżyło mu, kiedy usłyszał dzwonek.

Lekcje ciągnęły się w nieskończoność, jak cała reszta tego dnia, i kiedy dzieci w końcu poderwały się, żeby wyjść z klasy, Oskar nie ruszył się ze swojego miejsca. Spencer wyszedł, nie podnosząc na niego wzroku, a dwaj bracia O'Maley pomachali mu i mrugnęli do niego, zanim zniknęli.

Kiedy wszyscy już sobie poszli, Oskar odwrócił głowę i zobaczył, że Ronan Moss siedział dwa rzędy za nim, popatrywał na niego z szyderczym uśmiechem. Oskar poczuł, jak rośnie w nim napięcie. Na szczęście nie byli sami - nauczyciel biologii wyszedł, ustępując miejsca panu Penguinowi. Ten zaś stał właśnie między nimi dwoma a tablicą.

- No cóż, postaram się sprawić, żeby minęła wam chęć na dzikie bijatyki, może zajmiecie się czymś bardziej inteligentnym. Macie dwie godziny, żeby zastanowić się i zapisać efekty waszego namysłu na następujący temat: „Dlaczego bywamy agresywni? Jak walczyć z agresją?”. Stopień za to wypracowanie będzie się liczył tak samo jak wszystkie inne, doliczę go wam do oceny końcowej.

Oskar skrzywił się. Nie cierpiał wypracowań, lepiej się czuł w matematyce, nawet gramatyka była lepsza, krótko mówiąc - rzeczy, których można było się nauczyć i je zrozumieć. Odsiadka na spółkę z Mossem i do tego jeszcze wypracowanie - nie można było wymyślić nic gorszego.

- Posiedzę tu z wami - uprzedził ich wychowawca. - Mam jeszcze sporo pracy i dużo czasu. Będę was miał na oku, uprzedzam!

Oskar przepisał temat na kartkę papieru i starał się nie myśleć o tym, kto za nim siedzi. Nie było to łatwe: czuł ciężar spojrzenia Mossa, które jak gwóźdź wbijało mu się w plecy. Niechętnie musiał przyznać, że profesor Penguin miał rację - dlaczego prowokujące spojrzenie Mossa wzbudzało w nim chęć, żeby się z nim bić?

Oskar skupił się na zadanym temacie. Dlaczego bywamy agresywni? Czuł, że w głowie wirują mu bezładnie rozmaite obrazy. W ciągu kilku sekund wszystko wokół zniknęło. Przymknął oczy i zobaczył ulicę, na której mieszkał, swój dom,



łóżko matki, zaścielone z jednej tylko strony, z jedną, samotną poduszką, zdjęcie ojca, rozmarzoną twarz Violette. Napłynęły inne obrazy, jak w filmie.

Miał wrażenie, że jego podróż duchowa trwała co najwyżej trzy minuty, kiedy nagle podskoczył, słysząc głos nauczyciela:

- Macie pięć minut do końca.

Oskar, spanikowany, odwrócił się do tyłu i rzucił okiem na kartkę Mossa. Jego wróg zapisał więcej niż stronę, a tymczasem jego własna była idealnie biała i pusta - tak samo jak dwie godziny wcześniej! Podniósł głowę. Pan Penguin stał nad nim, patrząc na kartkę. Zmarszczył brwi i oddalił się.

Oskar obracał długopis w dłoniach, nie był w stanie niczego napisać, słowa tkwiły gdzieś w głowie, zablokowane. Wydawało mu się, że słyszy, jak głośno mijają sekundy, jedna za drugą, były to jednak uderzenia jego serca. Szybko, trzeba było coś wymyślić i nabazgrać na kartce, zanim pan Penguin zabierze prace. Pod presją czasu, czując jeszcze owe obrazy przepływające przez umysł, Oskar napisał bez namysłu kilka słów, kierując się raczej sercem niż inteligencją. Słowa przelewały się same z siebie na papier.

- No cóż - powiedział pan Penguin, przecierając szkła okularów - możecie już iść do domu. Zostawcie swoje prace na biurku, zabiorę je potem.

Oskar odwrócił kartkę niezapisaną stroną do góry, by ukryć tych kilka mizernych zdań, które udało mu się napisać, i uniknąć złośliwych komentarzy Mossa. Wstał szybko, nie ociągając się i nie patrząc w stronę pana Penguina. Rzucił się w stronę drzwi, mamrocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa w ramach pożegnania, i opuścił klasę niemal biegiem.

Był już na dziedzińcu, kiedy usłyszał za plecami głos Mossa:

- No i co, Pili, boisz się mnie?

Oskar odetchnął głęboko i szedł dalej w stronę szkolnej bramy. Nie wściekał się. Nie odpowiadał mu, powtarzał w myślach.

Moss przyspieszył kroku i zrównał się z nim.

- Wolisz się podlizywać belfrowi, co?

Oskar zacisnął pięści, udało mu się jednak powstrzymać od jakiegokolwiek odpowiedzi. Przypomniał sobie rozmowę, jaką przeprowadziła z nim dzień wcześniej matka: obiecała jej, że będzie starał się robić wszystko, by unikać wszelkich nieporozumień.

- To normalka - ciągnął Moss. - Normalka, w końcu jesteś tchórzem.

Oskar zatrzymał się. Tego było za wiele. Odwrócił się. Moss uśmiechał się, zadowolony z siebie.

- Chyba dobrze nie usłyszałem - powiedział Oskar. - Możesz to powtórzyć?

- Ależ owszem, dobrze usłyszałeś. Jesteś zwykłym tchórzem - powtórzył Moss. - Mogę się założyć, że twój ojciec też był tchórzem, spanikował w tym swoim samolocie. I dlatego się rozbił... Trudno się dziwić, że synalek jest taki bojaźliwy i obawia się bić z innymi.

Oskar nie wytrzymał. Rzucił tornister na ziemię i już był gotów skoczyć na Mossa, kiedy zatrzymał go czyjś głos.

- Pili! Moss! Co wy tu jeszcze robicie?

Pan Penguin obserwował ich z okna klasy.

- Moss, idź do domu, natychmiast! Pili, ty zaczekaj tam, gdzie stoisz.

Moss wzruszył ramionami.

- Tchórz! - powtórzył, zanim odszedł.

Oskar widział, jak wsiadał do czekającej nań limuzyny. I dopiero wtedy opadło nagromadzone napięcie. Odwrócił się w stronę szkolnego budynku. Domyślał się, że za oknem widać jeszcze nadal surową twarz nauczyciela. Podniósł tornister i ruszył w kierunku szkolnej bramy. Słowa Mossa na temat jego ojca ciągle jeszcze rozbrzmiewały mu w uszach, czuł wielką gulę w gardle.

- Nie spodobało ci się to, co powiedział twój kolega, prawda, Oskarze? Oskar słyszał ten głos tylko raz w życiu, ale rozpoznał go natychmiast. Odwrócił się szybko.

Przed nim stała starsza pani, która złożyła wizytę w ich domu poprzedniego dnia. Nadal miała swój parasol, kapelusik ozdobiony kwiatkiem i przede wszystkim te przedziwne, niestosowne dla jej wieku czerwone i okrągłe okulary.

Wokół nich, w cieniu kasztanowców rosnących przed szkołą kręcili się inni ludzie, ale Oskar nie dostrzegał już nikogo poza nią. Ona także wpatrywała się w niego intensywnie. Miała niewielkie, błyszczące oczka zielonej barwy. Oskar poczuł do niej zaufanie, chociaż nie bardzo wiedział dlaczego. Szybko jednak wróciło wspomnienie rozmowy, którą starsza pani odbyła z Celią. Przypomniał sobie, jak bardzo pragnął zadać tej kobiecie pytania, których nigdy nie mógł zadać swojej matce, i zrozumieć nareszcie, co tak naprawdę stało się z jego ojcem.

Pani Withers obserwowała go uważnie. Ten dwunastoletni chłopak do złudzenia przypominał Vitalego Pilla, którego dobrze przecież znała. Nigdy nie zapomniała jego pięknej twarzy. Przede wszystkim jednak dostrzegała energię i szczerść Vitalego w twarzy jego syna. Poczuli wzruszenie.

Nie zostawiła mu zbyt wiele czasu do namysłu.

- Nie podobało ci się to, co ten chłopak powiedział o twoim ojcu, i masz rację - powtórzyła starsza pani. - Twój ojciec nie był tchórzem.

Oskar w jednej chwili zapomniał o swojej złości.

- Pani... pani go znała?

- Tak - odparła pani Withers łagodnym głosem. - Znałam go dobrze. Razem pracowaliśmy. Był wspaniałym i niezwykle odważnym człowiekiem. Ty także jesteś do niego podobny, jak sądzę.

Oskar zdał sobie sprawę, że rozmawia z nieznaną osobą, która mówi mu dziwne rzeczy, a przecież zamiast słuchać, należało raczej zacząć zadawać pytania.

- Czym się zajmowaliście? - spytał, mając się na baczności.

Trudno mu było sobie wyobrazić tę starszą panią jako stewardesę...

Pani Withers nie odpowiedziała od razu. Biorąc pod uwagę reakcję Celi, musiała założyć, iż Oskar nigdy nie słyszał o Medykusach, a tym bardziej - o

zdolnościach swojego ojca. Powinna ostrożnie i delikatnie wprowadzić go w te kwestie.

- Twój ojciec był w pewnym sensie lekarzem.

- Nie - uciął krótko Oskar. - Mama mówiła mi, że był pilotem samolotu.

- To był jego oficjalny zawód. Poza tym miał zdolność leczenia ludzi. W pewien... szczególny sposób.

- Kłamie pani! - krzyknął Oskar. - Słyszałem, co powiedziała wczoraj mama: to przez panią zginął mój tata!

Pani Withers nie zareagowała. Nie da się ukryć - nie będzie się łatwo uporać ani z chłopcem, ani tym bardziej z jego matką. Nie było w tym jednak nic dziwnego - z jednej strony była kobieta, która w młodym wieku straciła męża, z drugiej - dwunastoletni chłopak, który nigdy nie znał swego ojca.

- Powinieneś dowiedzieć się wielu rzeczy o tym, co się wydarzyło w przeszłości, Oskarze, i o twoim ojcu. Bardzo go lubiłam, musisz mi wierzyć na słowo. To był zupełnie niezwykły człowiek, a ty niewątpliwie masz wiele z niego, mimo że jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Oskar cofnął się odruchowo. Wydawało mu się, że starsza pani jest niespełna rozumu. Ale pani Withers nie zamierzała tak szybko zamilknąć.-Musiałeś zapewne zauważyć, że masz pewną... moc. Jestem o tym przekonana. Zgadza się?

Oskar nie odpowiedział. A więc to także miało związek z jego ojcem? To nie był przypadek?

W tym samym momencie starsza pani położyła swoją dłoń na jego ramieniu. Poczuł coś dziwnego w lewej ręce. Wrażenie podobne było do tego, które pojawiło się, kiedy potarł ręką swoją własną ranę, czy wtedy, kiedy położył ją na skaleczeniach Violette. Wydawało mu się, że pod skórą płynie prąd elektryczny, coś jakby dreszcz, bardzo zimny, ale niewidoczny.

Poczuł strach, chociaż nie bardzo wiedział dlaczego - a było to obce jego naturze. Jeśli ta starsza pani miała rację, będzie miał szansę odkryć niektóre tajemnice, dotyczące jego własnego życia i życia jego rodziny. Tak bardzo pragnął,

żeby taka okazja się pojawiła, że teraz, kiedy była na wyciągnięcie ręki - przestraszył się.

Strząsnął z siebie dłoń starszej pani i cofnął się.

- Ja... ja nie wiem, kim pani jest. Muszę już wracać do domu. Mama na mnie czeka, jest już późno.

Oskar chciał się oddalić biegiem, ale jego organizm odmówił posłuszeństwa. A może raczej to jego umysł kazał mu zostać w miejscu, nie lekceważyć szansy, która się pojawiła.

Pani Withers uśmiechnęła się.

- Wydaje mi się, że się nie pomyliłam co do ciebie - masz w sobie zdolności twojego ojca, Oskarze. To niezwykła szansa, powinienes ją wykorzystać. Jesteś już dostatecznie duży, żeby to zrobić.

- JAK PANI ŚMIE?

Głos, który nagle zabrzmiał za ich plecami, sprawił, że oboje podskoczyli. Celia przyjechała po swoje odsiadujące karę dziecko do szkoły, tymczasem dziecko zajęte było właśnie rozmową z kobietą, której nie mogła zapomnieć! Nie spała przez całą noc z powodu jej wizyty. Wysiadła szybko z samochodu i ruszyła w ich kierunku.

Wpadła między nich, blada z wściekłości.

- Kto pani pozwolił nagabywać mojego syna przy szkolnej bramie? Wydaje mi się, że wczoraj wyraziłam się bardzo jasno, dzisiaj postaram się wyrazić jeszcze jaśniej: jeśli pani jeszcze raz zbliży się do moich dzieci lub do mojego domu, złożę na panią skargę! Na panią i tych pani kolegów! - dorzuciła Celia z błyskawicami w oczach. - Zrozumiała pani?

Pani Withers przestała się uśmiechać. Mimo to odpowiedziała spokojnym głosem, nie tracąc zimnej krwi.

- Wydaje mi się, że to pani mnie nie zrozumiała, droga Celio...

- Nie jestem żadną pani „drogą Celią”! Proszę mi dać święty spokój! I zabraniam pani odzywać się do mojego syna!

- Czy to się pani podoba, czy nie - podjęła znowu starsza pani, która nie wydawała się w jakimkolwiek stopniu zniechęcona - wytłumaczę pani, na czym polega cała sytuacja, a pani mnie wysłucha.

Odwróciła się w stronę Oskara. Chłopiec miał wrażenie, że zniknęła gdzieś ta łagodna i spokojna osoba, którą była wcześniej. Pani Withers wydawała się teraz wyższa, jakby się bardziej wyprostowała, a rysy jej twarzy stwardniały, mimo że wciąż nie było w nich cienia złości.

- Oskar, możesz nas zostawić na kilka minut? Twoja mama i ja musimy zamienić kilka słów.

Wbrew woli odsunął się na kilka kroków, nie tracąc ich z oczu. Martwił się trochę o mamę.

Starsza pani ujęła Celię pod ramię i odciągnęła ją stanowczo na bok.

- O co chodzi, niech mnie pani puści!... - krzyknęła Celia, która nie była w stanie oswobodzić się z tego zaskakująco silnego uchwytu. - Zmusza pani mojego syna, żeby słuchał tych pani głupot, teraz przyszła kolej na mnie? Czego pani chce tak naprawdę?

- Czego chcę? Nie zrozumiała pani tego jeszcze? Chcę chronić panią i pani dzieci!

Puściła Celię, która milczała, masując sobie ramię. Pani Withers mówiła dalej:

- Nie będę tego pani powtarzać w nieskończoność i nie mam zamiaru nagabywać pani po raz kolejny, musi pani jednak skończyć z tym chowaniem głowy w piasek. Proszę mnie uważnie wysłuchać. Wiem, co pani mogła czuć wtedy, kiedy wydarzył się ten dramat, i zdaję sobie sprawę, że wszystko to musiało być bardzo trudne - zarówno dla pani, jak i dla dzieci. Dziś trzeba to jednak puścić w niepamięć i stawić czoło rzeczywistości. Ich Książę znalazł się na wolności, czy pani rozumie, co to dla nas oznacza? Odszuka swoich dawnych zwolenników, wróci jego dawna moc. To będzie walka na śmierć i życie. Mogą nadciągnąć straszliwe zarazy, zagrozi to całemu światu. Może pani zatem grzebać się w przeszłości i mieć nam za złe różne

sprawy. Może pani także być egoistką i myśleć wyłącznie o sobie. Musi pani jednak mieć świadomość, że pani również jest w niebezpieczeństwie.

- Ale ja nie jestem Medykusem i moje dzieci także nie. Nie możemy dla was nic zrobić! Mój mąż walczył kiedyś i oddał za tę sprawę swoje życie, teraz wy musicie walczyć, wasza kolej!-Nigdy nie przestaliśmy walczyć. Zapomina pani o jednym: Książę Patologusów pragnie prawdopodobnie zawładnąć światem, sądzę jednak, że ma także inny plan...

Zaniepokojona Celia czekała w milczeniu na dalszy ciąg.

- Będzie chciał się zemścić, Celio. Będzie chciał się zemścić na tym, który go powalił i wsadził do więzienia na trzynaście długich lat, a tak się składa, że to pani mąż.

- Ale mój mąż nie żyje, wie pani o tym równie dobrze jak ja!

Rzuciła okiem w stronę Oskara, który zdawał się stać dostatecznie daleko, by nie słyszeć ich rozmowy. Mimo to pani Withers ciągnęła dalej cichszym głosem:

- Otóż to. Według Czarnego Księcia trzeba dać nauczkę każdemu, kto chciał stawić mu czoło, pokazuje w ten sposób, że teraz nie można już tego robić bezkarnie. Uderzy w tych, którzy pozostali. W panią, Celio. W panią i w pani dzieci, to jasne. Mimo że pani córka, podobnie jak pani - nie jest Medykusem.

- NIE! - krzyknęła zrozpaczona Celia. - Pani mówi tak specjalnie, chce pani sprawić, żebym zmieniła zdanie! Nie wierzę pani!

Zaczęli się za nimi oglądać zaciekawieni przechodnie. Pani Withers odciągnęła Celię w kierunku drzew.

- Myśli pani może, że mnie to cieszy? To smutna, ale rzeczywista perspektywa. Będzie chciał się zemścić, musi się jednak także obawiać, że syn Vitalego za kilka lat będzie miał taką samą moc jak ojciec. Nie odzyska zatem spokoju, póki go nie wyeliminuje wcześniej. Może się mylę, może Czarny Książę ma inne plany, istnieje jednak takie ryzyko i musi je pani wziąć pod uwagę.

Celia objęła głowę rękami. Nie wiedziała już sama, co robić i co myśleć o tym wszystkim. Marzyła, żeby zapomnieć, przekreślić raz na zawsze cały ten straszliwy

okres, tę walkę Medykusów i Patologusów, na próżno jednak - wspomnienia napływały bez końca.

Pani Withers postanowiła zagrać *va banque*.

- Może pani dalej wierzyć, że jestem odpowiedzialna za pani nieszczęścia, może pani udawać, że rzeczywistość przedstawia się zupełnie inaczej, w ten sposób wystawia pani jednak swoją rodzinę na niebezpieczeństwo. I nikt nie pojawi się, by pani bronić. Może poza mną. Ma pani wybór.

Celia poczuła łzy, spływające jej po twarzy.

- Ja... nie chcę, żeby Oskar znalazł się w niebezpieczeństwie. Boję się o niego, rozumie pani?

Starsza pani położyła dłoń na ramieniu Celi.

- Oczywiście, że rozumiem. Jeśli jednak zechce go pani trzymać na uboczu, nie uchroni go pani - przeciwnie, będzie jeszcze bardziej zagrożony.

Celia uniosła nagle głowę i wytarła łzy. Oskar zbliżył się do nich i obserwował z niepokojem matkę.

- To nic, kochanie, nic takiego. Po prostu emocje - powiedziała, usiłując się uśmiechnąć. - Pani Withers opowiada mi o dosyć smutnych sprawach.

On także próbował się uśmiechnąć, myśląc o tym, co powiedziała mu kiedyś matka, a później także owa starsza pani: że jest odważny jak ojciec. Musiał stanąć na wysokości zadania i okazać się godnym tego porównania.

- Co to za... niebezpieczeństwo?

Celia nie była w stanie nic powiedzieć. Spojrzała błagalnie na panią Withers, która uśmiechnęła się do Oskara.

- To nie jest najlepsze miejsce na tego typu rozmowę - powiedziała, rozglądając się dookoła. - Skoro jednak nie ma innego wyjścia... Zamilkła na chwilę, chcąc uporządkować swoje myśli. Oskarowi wydawało się, że nagle przycichły wszystkie inne dźwięki: hałas uliczny, głosy ludzi, pisk opon hamujących lub przyspieszających samochodów. Próbował przyglądać swoje niesforne, potargane na wszystkie strony, kręcone włosy.



- Trzydzieści lat temu pewien człowiek zapragnął władzy nad całym światem. Zagroził całej ludzkości. On i jego zwolennicy, których nazywamy Patologusami, przenikali w tym celu do wnętrza ludzkich organizmów i niszczyli je, wywołując choroby, wobec których lekarze byli bezradni. Tylko jeden, jedyny człowiek zdołał zatrzymać Wielkiego Patologusa, Oskarze. Był nim twój ojciec.

- Czy ojciec zginął w związku z tym człowiekiem?

- Postaraj się na razie słuchać cierpliwie tego, co mówię - zgromiła go pani Withers.

Oskar zamilkł jak niepyszny. Starsza pani ciągnęła opowieść:

- Twój ojciec był Medykusem, takiego określenia używamy. Tylko Medykus zdolny jest przeniknąć do ciała człowieka, podobnie jak Patologus - może z nim walczyć i zwyciężyć wywoływane przez tamtego straszliwe choroby. W tym sensie jest inny od „normalnych” ludzi.

Oskar otworzył szeroko oczy i słuchał nad wyraz uważnie. Trudno mu było uwierzyć w to, co opowiadała dziwna, drobna staruszka. Przeniknąć do organizmu ludzkiego? Miał na końcu języka mnóstwo pytań, zdecydował się jednak milczeć i wysłuchać dalszego ciągu tej opowieści.

- Czarny Książę został osadzony w więzieniu, w miejscu tajnym i odosobnionym. Niestety, udało mu się niedawno uciec stamtąd. Zamilkła i pozwoliła, by Oskar powoli przyswoił sobie tę lawinę niewiarygodnych wiadomości. Przeraziła go informacja, że zwyciężony przez ojca człowiek jest znowu na wolności. Zaczął pomału pojmować, co pani Withers chciała powiedzieć, wspominając o zagrożeniu, wiszącym nad całą jego rodziną.

Celia zbliżyła się do Oskara i przytuliła go do siebie. Po raz pierwszy odsunął się od niej, nie mógł teraz zachowywać się jak mały chłopiec, poza tym chciał wysłuchać do końca tego, co miała mu przekazać starsza pani.

Pani Withers uśmiechnęła się dyskretnie i znowu zaczęła mówić:

- Stało się konieczne, by wszyscy Medykusi jacy są na świecie - choć zostało ich niewielu - przygotowali się do walki. Nie ma bowiem wątpliwości, że ten człowiek będzie chciał znowu podporządkować sobie świat. Rozumiesz?

Oskar nie zrozumiał może wszystkiego do końca, widział teraz jednak jaśniej wiele spraw. Skoro tak bardzo we wszystkim przypominał ojca - przejął także zapewne jego zdolności...

- Być może Księżę Patologusów nie zaatakuje cię od razu, mój chłopcze, musisz być jednak zdolny do obrony, musisz wziąć udział w naszej walce.

Tym razem Oskarowi wymknęło się pytanie:

- Sądzi pani, że jestem...

- ...tak, Oskarze, jesteś Medykusem. Tak sędzę - potwierdziła pani Withers. - W każdym razie wszystko na to wskazuje, masz wiele cech, które o tym świadczą. Medykus może sprawić, że goją się powierzchowne skaleczenia, wystarczy, że położy na nich dłoń. Oczywiście, trzeba więcej niż położenie dłoni na ciele, by uzdrowić wewnętrzne choroby - w tym celu należy nauczyć się przenikania do wnętrza organizmu, do jego pięciu Uniwersów, i wielu innych, fascynujących rzeczy. Starsza pani głęboko odetchnęła.

- Sędzę, że nadszedł dla ciebie czas tej nauki. Podobnie było kiedyś z twoim ojcem. Nikt nie może ci tego zabronić - tu spojrzała na Celię - lecz nikt nie może cię także do tego zmusić. Ty sam musisz wybrać, zrozumieć, co chcesz robić - i kim chcesz być, Oskarze.

Oskar przeniósł wzrok ze starszej pani na mamę. Czuł się kompletnie zagubiony. Miał zaledwie dwanaście lat, a właśnie odkryto przed nim wiele zupełnie niewiarygodnych spraw, oczekiwano też, że dokona jeszcze bardziej niewiarygodnego wyboru. Ponadto w opowieści pani Withers brakowało wielu ważnych elementów, dotyczących historii jego ojca. Pani Withers nie chciała go popędzać.

- Nie musisz mi teraz odpowiadać. Ale jeśli zdecydujesz się zostać Medykusem - a z pewnością masz na to zadatki - będziesz potrzebował wiele cierpliwości, odwagi i siły. Nie mam wątpliwości, że dałbyś sobie radę.

Celia, która do tej pory milczała, postanowiła zabrać głos.

- Jeśli zaakceptujemy pani plan, co właściwie stanie się z Oskarem?

- Spędzi lato w Cumides Circle, siedzibie Wielkiego Mistrza Medykusów. W najgłębszej tajemnicy oczywiście.

Celia zadrżała na dźwięk nazwy Cumides Circle.

- U... u Winstona Brave'a? Oskar? Ale... jak to jest możliwe? I dlaczego taki plan?

- Ponieważ jest to miejsce najlepiej przystosowane do nauki, która może się odbywać w najdogodniejszych warunkach i w pełnej dyskrecji - wyjaśniła pani Withers, nie wchodząc w szczegóły.

Oskar powtórzył w myśli nazwisko, które dopiero co usłyszał: Winston Brave. Mistrz Medykusów. Zadziwiające, alenazwisko tego człowieka wydawało mu się znajome, jak gdyby słyszał o nim od urodzenia.

- Gdzie to jest? - spytał.

- Dowiesz się, kiedy przyjdzie na to pora - ucięła pani Withers. - Jutro jest zakończenie roku szkolnego, prawda? W sobotę rano przyjdę do was i wtedy dasz mi swoją odpowiedź. Jeśli zgodzisz się jechać ze mną do Cumides Circle, powinienesz spakować wcześniej swoje rzeczy.

- Spakować rzeczy? - krzyknęła Celia. - To niedorzeczne, chyba pani trochę przesadza! Dlaczego miałby pakować swoje rzeczy? Oskar mógłby jeździć tam na całodniową naukę i wracać na noc do domu.

- W nocy Oskar także będzie się uczył, podobnie jak w dzień, wie pani przecież - powiedziała tajemniczo pani Withers. - A kończąc, chciałabym podkreślić, że nie, nie przesadzam, mamy bowiem bardzo mało czasu.

Pani Withers zwróciła się do Oskara:

- Pamiętaj, Oskarze: sobota! W sobotę, o dziewiątej rano, przyjdę na Kildare Street po twoją odpowiedź.

Oskar patrzył, jak starsza pani oddała się drobnym kroczkiem i znika za rogiem ulicy. Nagle poczuł, że jest zupełnie sam na świecie, sam z tym wszystkim, o czym się właśnie dowiedział, sam z koszmarną decyzją, którą będzie musiał podjąć. Celia wzięła go za rękę i od razu poczuł się lepiej.

- Wracamy do domu, synku.

Skierowali się w stronę zielonego, mocno pokiereszowanego renault twingo. W mieście nie było już zbyt wielu samochodów tej marki. Celia dostała go w spadku po dalekiej ciotce z Francji, która wyemigrowała do Ameryki. Wiedziała, że Celii się nie przelewa, i nalegała, by ta przyjęła od niej ów samochód. Celia natychmiast ochrzciła go imieniem Tonią, podobnie jak miała na imię ofiarodawczyni. Violette przyozdobiła go modnie, kierując się jednak własnymi przekonaniem i w kwestii mody: od góry do dołu oblepiła samochód nalepkami we wszystkich możliwych kolorach, spryskała brokatem wnętrze, a także pozawieszała wszędzie, gdzie się tylko dało, lśniące wstążki i odblaskowe łańcuszki. Tonią z zewnątrz wyglądała dosyć żałośnie, kiedy jednak człowiek usiadł w środku, miał wrażenie, że znajduje się w samym środku świątecznej choinki - tyle że samej choinki nie było. Celia i Oskar uwielbiali ten pojazd, Violette zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i matce z trudem udało się ją przekonać, by nie spała tam w nocy.

Oskar usiadł na tylnym siedzeniu i zatrzasnął drzwi. Otworzył okno i w tej samej chwili zauważył, jak rusza długa, czarna limuzyna, zaparkowana tuż przed wejściem do szkoły. Mimo przyciemnionych szyb nie miał trudności, żeby rozpoznać ostry profil pasażera, siedzącego z tyłu. Szyba w oknie limuzyny opuściła się i Oskar napotkał lodowaty wzrok Mossa. W spojrzeniu Mossa nie było już kpiny, tylko czysta złośliwość, jak gdyby szykował jakąś wyjątkowo nieczystą zagrywkę. To było spojrzenie wroga.

Na szczęście został tylko jeden, jedyny dzień szkoły. Później nie spotkają się już do końca wakacji.

Wcześniej jednak Oskar musiał podjąć pewną decyzję. Decyzję, która nie tylko miała zmienić jego plany wakacyjne; można się było spodziewać, że będzie ona miała także wpływ na całe jego życie.

Piłka była po jego stronie boiska.

### **Ważny wybór**

Następnego dnia rano w kuchni domu pod numerem 6897 na Kildare Street Violette wydawała się jedyną osobą w pełnej formie. Nuciała pod nosem i bujała się na swoim wiklinowym krześle, opierając się łokciami o drewniany stół.

Naprzeciwko niej Oskar obracał machinalnie kawałek bułki w swoim zimnym kakao. Nie był w stanie przełknąć czegokolwiek. Tymczasem Celia kręciła się nerwowo po całej kuchni, rzucała się od lodówki w stronę kuchenki, od kuchenki do stołu, by znowu ruszyć od stołu w stronę szafek, i tak bez końca. Po raz pierwszy zadzwoniła do biura, uprzedzając, że źle się czuje i że przyjdzie do pracy nieco później.

Zarówno ona, jak i jej syn mieli oczy podkrążone na pół twarzy. Żadne z nich nie spało zbyt długo w nocy. Każde myślało wciąż o wszystkim, o czym mówiła im pani Withers, nie zdołali jednak o tym porozmawiać. Celia nie chciała w jakikolwiek sposób naciskać - jej syn był jeszcze zbyt mały, by móc jednocześnie przyjąć te wstrząsające informacje zarówno na temat ojca, jak i na temat własnych zdolności; do tego wszystkiego musiał jeszcze podjąć trudną decyzję. Miał prawo być w ciężkim szoku. Postanowiła, że zaczeka na jego powrót ze szkoły. Zjedzą coś, a potem spokojnie przedyskutują ten temat we dwoje.

Kiedy już bułka znalazła się na dnie filiżanki, rozdrobniona na wiele okruszynek, nasączonych mlekiem, Oskar stwierdził, że niczego nie przełknie. Wstał od stołu, by przygotować się do wyjścia do szkoły. Na dworze świeciło słońce i szykował się piękny, letni dzień. On jednak czuł się zgaszony, dręczył go niepokój.

Violette odfrunęła do swojego pokoju i zesłała, trzymając w ręku parę tenisówek, co było prawdziwym cudem - i parasolkę w żółte groszki, co było już tylko drobnym szczegółem.

- Violette, co ty trzymasz pod pachą? - spytała matka, która tymczasem szukała miejsca, by przykleić kolejne zdjęcie dzieci na ścianie, pomiędzy dziesiątkami innych, które już tam wcześniej przyczepiła.

- To? - spytała dziewczynka, podnosząc w górę czarną, plastikową torbę. - Nic takiego, kubeczki po jogurtach dla kolibrów.

Jej matka i brat otworzyli szerzej oczy - nie da się ukryć, że Violette zawsze umiała czymś ich zaskoczyć.

- Czytałam, że kolibry, które żyją w miastach, nie zawsze mają z czego budować swoje gniazdka - wyjaśniła Violette. - No więc chcę umieścić te kubeczki na drzewach w drodze powrotnej ze szkoły.

- Kubeczki po jogurcie dla kolibrów, na drzewach Babylon Heights... - powtórzyła nieprzytomnie Celia. - Tak, oczywiście, kochanie. Dobrze, zabierz te swoje kubeczki, nie mamy teraz czasu na dłuższą dyskusję, spóźnicie się. Postaram się wymyślić jakieś sensowne usprawiedliwienie dla twojego wychowawcy, gdyby miał znowu jakieś wątpliwości.

- Co z tego, że się spóźnimy - mruknął Oskar. - To i tak ostatni dzień szkoły.

Celia wypchnęła ich na zewnątrz i zamknęła drzwi.

- No, szybko, ruchy, ruchy! Tonią nie popędzi dwieście na godzinę dziś rano - ani żadnego innego ranka.

Droga do szkoły upłynęła im w milczeniu, Violette zajęta była przeliczaniem swoich kubeczków po jogurcie, Oskar zagłębił się w swoich myślach. Im bliżej byli szkoły, tym większą czuł gulę w gardle. Żałował, że nie zadał mamie żadnego pytania, zachowując je wszystkie dla siebie. Przede wszystkim przerażała go nieco propozycja pani Withers.

W głębi duszy Oskar zdawał sobie sprawę, co go niepokoi: obawiał się porażki. Co pomyślałby sobie o nim ojciec? I w jaki sposób miał obronić siostrę i matkę, które nie były Medykusami - jeśli on sam nie da rady nim zostać?

- No, dzieci, zmykajcie!

Oskar podniósł wzrok - nie wiadomo kiedy znaleźli się pod szkolną bramą. W chwili, gdy wysiadał z samochodu, a Violette biegła już w stronę szkoły - chłopiec odwrócił się i popatrzył na matkę ze strachem.

- Nie chcę tam iść, mammo.

- Jak to? Przecież dziś zakończenie roku szkolnego?!

- Do Cumides Circle: nie chcę tam jechać, mammo... Na pewno nie jestem żadnym Medykusem! Wolę spędzić lato w domu, z tobą i Violette.

Celia uśmiechnęła się. Wydawało się, że kamień spadł jej z serca.-Kochanie, jeśli nie chcesz, nigdzie nie pójdziesz, bez względu na to, co mówiła ta pani. Rozumiesz? Nie musisz nigdzie jechać. Nie martw się o to.

Oskar miał wrażenie, że ktoś zdjął z niego olbrzymi ciężar, który przygniatał go od poprzedniego wieczora. Posłał mamie słaby uśmiech i zatrzasnął drzwi samochodu. Tonia zachrypiąła i Celia ruszyła z miejsca.

Oskar rzucił okiem na szkolny dziedziniec - pan Penguin wchodził już z jego klasą do budynku szkolnego. Chłopiec stwierdził, że ostatniego dnia mógłby dla odmiany przyjść do szkoły punktualnie, i puścił się biegiem.

Kiedy dotarł do grupy, tuż przy drzwiach, próbował wcisnąć się nieudolnie do szeregu i popchnął niechcący pana Pengui-na. Mało brakowało, aby ten upadł, w ostatniej chwili złapał jednak równowagę, co wywołało wielką wesołość w grupie dzieci. Oskar zaczerwienił się jak piwonია.

- No proszę, Pili - powiedział nauczyciel, poprawiając swoje prostokątne okulary, które przekrzywiły mu się na nosie. - Musiałem dotrwać do zakończenia roku szkolnego, żeby ujrzeć cię pędzącego biegiem do szkoły!

Oskar czuł się okropnie zmieszany, a zarazem miał wielką ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Przepraszam pana bardzo, ja... chciałem tylko... - jąkał się, nie był jednak w stanie dokończyć zdania.

- Bądź już cicho i wchodź - zarządził wychowawca. - To samo dotyczy was wszystkich - zawołał podniesionym głosem do reszty dzieci.

Wszyscy z hałasem wpadli do klasy i zasiedli w ławkach. Dzieci czuły już zbliżające się wakacje i nie mogły usiedzieć na swoich miejscach. Tylko Oskar starał się być cicho. Jeremy

O'Maley, który siedział obok niego, wiercił się na wszystkie strony i bez przerwy zasypywał go różnymi uwagami.

- Super, co? - zawołał. - Za cztery godziny wakacje! A wakacje oznaczają mnóstwo różnych potrzeb! A mnóstwo różnych potrzeb to... co, ciągle nie łapiesz, o co biega? Ha, zawiodłeś mnie. No, dobra, a więc mnóstwo różnych potrzeb oznacza „Bazar Jeremy'ego”!

Oskar zainteresował się w końcu paplaniną kolegi.

- Bazar Jeremy'ego? Co ty znowu wykombinowałeś?

- Co? Nie mów, że jeszcze o tym nie słyszałeś! - rzucił szeptem Jeremy. - Na jakim świecie ty żyjesz, brachu? Bazar Jeremy'ego to nowy, najmodniejszy sklep w Babilón Heights, otwarty codziennie od dziewiętej do dwunastej w południe. Przez całe lato, w garażu moich rodziców, na Kildare Street. Potrzebujesz sitka? Roweru w dobrym stanie? Czapki, okularów słonecznych? Wpadasz do mnie. Mam wszystko.

- Wszystko? - zapytał Oskar, rozbawiony.

- Wszystko! - potwierdził chłopiec, jak zwykle bardzo pewny siebie. - Gry, przybory do majsterkowania, DVD, płyty CD - czyste i z muzyką, jest nawet kilka empetrójek! Muszę tylko jeszcze zdrapać markę kawy z pudełka; tak czy inaczej empetrójka, nawet taka reklamowa, za jedyne pięć dolców, to niezły interes, no nie? I będą też ciastka, cukierki: pan Da-wesar sprzeda mi je po niższej cenie - mają tylko odrobinę podniszczone pudełka. A pani Orfanoudakis ma mi oddawać to, czego nie uda jej się sprzedać dzień wcześniej! Dostawa prawie całkiem pierwszej świeżości, codziennie!

Pan Penguin trzasnął linijką w stół, chcąc przerwać uczniowskie rozmowy. Przechadzał się między rzędami ławek. Z tyłu klasy siedział Moss i jego banda. Szeptali między sobą, popatrując w kierunku Oskara.-A właśnie! Szukam ludzi,



którzy pomogliby mi poprowadzić ten sklepik, jesteś może zainteresowany? - spytał Jeremy szeptem.

- Nie, dzięki, raczej nie - odparł Oskar cicho.

- Dobrze zapłacę, dogadamy się! Szukam ludzi godnych zaufania, rozumiesz!

- Możesz mieć do mnie pełne zaufanie, O'Maley - przerwał mu profesor Penguin. - Jeśli nadal będziesz załatwiał w klasie te swoje biznesy, zakończysz rok szkolny trochę później niż pozostali! Mam jeszcze trochę czasu dziś po południu, mogę cię przypilnować w trakcie odsiadki, zrozumiano?

Najmłodszy z rodziny O'Maleyów natychmiast umilkł. Miał lepsze rzeczy do roboty niż popołudniowa odsiadka w szkole: o czternastej musiał odebrać ulotki reklamowe od drukarza z Fawcett Street, który ten wydrukował mu w zamian za kilka dostaw... A dostawy zapewnił jego brat, jeżdżąc na rowerze, przypadkowo znalezionym na ulicy i doprowadzonym do stanu używalności specjalnie na tę okazję.

Profesor wyjął z teczek dwie kartki - jedną z nich położył na ławce przed Oskarem, drugą oddał Mossowi - były to ich ocenione prace z poprzedniego dnia. Oskar przypomniał sobie, ile zdołał napisać, i odsunął od siebie wypracowanie. Wolał nieco później przeczytać komentarz pana Penguina i jego ocenę - musiała być dramatyczna. Nie miał ochoty ośmieszać się przed wszystkimi. Chciał niepostrzeżenie wsunąć kartkę do tornistra, ale Jeremy był od niego szybszy.

- Ho ho! - krzyknął. - Szóstka z plusem! No nie, stary - krzyknął, łapiąc za kartkę - szóstka z plusem u Penguina za wypracowanie to nie było co!

Jeremy zasłonił gwałtownie dłonią usta i spojrzał niepewnie na wychowawcę. - Auć - sprostował mocno zakłopotany - chciałem powiedzieć: „u wspaniałego profesora Penguina”.

Oskar rzucił się w jego kierunku, chcąc mu wyrwać z rąk kartkę z wypracowaniem. Jeremy jednak uchylił się, odsunął kartkę na długość ramienia i przeczytał:

Dlaczego bywamy agresywni?

Jeremy zamilkł, zaskoczony tym, co przeczytał, reszta klasy także ucichła. Nikt jakoś nie miał ochoty kpić sobie z Oskara czy śmiać się z niego, panowała cisza. Nawet profesor Penguin zapomniał, by zwrócić uwagę małemu O'Maleyowi.

Oskar miał ochotę schować się do mysiej dziury. W końcu zabrał tylko kartkę z wypracowaniem O'Maleyowi i schował ją do swojego tornistra. Zaledwie zdążył rzucić okiem na komentarz wychowawcy:

Łatwo się domyślić, kto pierwszy przerwał tę ciszę: był to Jeremy.

- Hej, sam to wymyśliłeś? Ty, to jest świetne! - krzyknął z podziwem w głosie.  
- Wiesz co, moglibyśmy naprawdę nieźle na tym zarobić, ty i ja, co nie? Nadrukowalibyśmy tona koszulkach albo na czapkach i moglibyśmy sprzedawać we wszystkich szkołach, w tych zamożnych dzielnicach! Zbilibyśmy fortunę!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Moss starał się przekrzyczeć innych:

- To do niczego! Za kogo on się ma, ten rudzielec? Myśli może, że jest jakimś pisarzem?

- Zamknij się, Ronan - powiedziała Tilla, wpatrując się w Oskara z wielkim napięciem. - Ja uważam, że to było bardzo piękne.

Oskar udawał, że nie patrzy w ich stronę, zaobserwował jednak kątem oka, że Moss jest bardzo zazdrosny.

Moss chciał coś odpowiedzieć, jednak Jeremy, szybszy od gromu, chwycił jego wypracowanie i wymachiwał nim, zanim Moss zdążył wykonać jakikolwiek ruch:

- Hej, Moss, dobrze widzę? Zdaje się, że zaliczyłeś pałę? Co do ciebie nie ma chyba żadnych wątpliwości, że nie jesteś geniuszem, co?

Cała klasa wybuchnęła śmiechem, pomimo wścieklej miny i gróźb, rzuconych przez Mossa na prawo i na lewo. To był ostami dzień szkoły, wszyscy mogli zemścić się na nim bez obawy, że następnego dnia Moss upatrzy sobie kogokolwiek na ofiarę. Nawet nieśmiały Ayden Spencer odważył się zachichotać.

Rozbawiony pan Penguin udawał, że się złości, żeby zaprowadzić w klasie jaki taki porządek. Zapowiedział, że ukarze solidarnie całą klasę, co uciszyło najbardziej zapalczywych. Reszta lekcji upłynęła dosyć spokojnie - mimo że nikt

właściwie nie słuchał uważnie tego, co mówi nauczyciel. Jedyne, co było naprawdę warte zapamiętania z tego ostatniego dnia zajęć szkolnych, to było wypracowanie Oskara, chociaż składało się tylko z dwóch zdań. Chłopcy na ogół myśleli o pierwszym zdaniu, dotyczącym agresji, dziewczyny zaś - o możliwości ucieczki od przemocy w świat marzeń.

Od czasu do czasu Oskar odwracał się i zerkał w stronę Mossa - nie było wątpliwości, że zarówno on sam, jak i jego banda rozmyślali już o zemście.

Oskarowi przyszło jednak do głowy to samo, co innym - nie zobaczy Mossa do końca wakacji.

- Nie wiem, jak ty, ale ja mam wrażenie, że Moss nie będzie zbyt często wpadał do Bazaru Jeremy'ego tego lata... - rzucił szeptem Jeremy. - Jeśli o tym mowa, nie przepadam za tego typu klientami, tacy nuworysze są najgorsi, nie lubią wydawać pieniędzy!

Kiedy w południe zabrzmiał dzwonek ogłaszający koniec lekcji, w całej klasie nastąpił wybuch radości.

Wszystkie dzieci poderwały się jednocześnie ze swoich miejsc. Wydawało się, że porusza je jedna sprężyna. Tornistry, kartki z zeszytów, długopisy - wszystko to fruwało w powietrzu. Nawet pan Penguin nie mógł sobie poradzić z tym huraganem. W samym środku dzikiego zamieszania Tilla prześlizgnęła się w stronę ławki Oskara i usiadła naprzeciwko niego. Oskar zdawał sobie sprawę, że Tilla należy do paczki Mossa, nie mógł jednak nic poradzić na to, że jego serce zaczęło bić nieco szybciej niż zwykle. Bardzo się skupił na porządkowaniu swojego tornistra. Tilla jednak nie ustępowała.

- Co będziesz robił latem, Oskarze? - spytała śliczna jasnowłosa.

Oskar nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Odkąd rano zatrzasnął drzwi do samochodu i pożegnał się z mamą, niemal zapomniał o istnieniu pani Withers i Medykusów, zwłaszcza propozycja starszej pani wyleciała mu z głowy. Pytanie Tili przywołało świeże jeszcze wspomnienia. Zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie podjął decyzji, mimo że lalka godzin wcześniej Celia zapewniała, że nikt nie może go

zmusić do tego, aby spędził lato w Cumides Circle. Tym razem jękał się nie tylko z powodu bliskości Tilli.

- W... w lecie?... No, ja...

- A gdzie miałby jechać? Zostanie w tej gnijącej chałupie, w Babylon Heights, ze swoimi kumplami z ulicy, to przecież jasne. W przeciwnym razie mógłby się na mnie natknąć, a tego się przecież boi!

Za plecami dziewczynki pojawiła się zwalista postać Mossa. Odwrócił się do niej i dodał:

- Możesz wpaść do mnie, jeśli masz ochotę. Mamy teraz basen.

Tilla zawahała się, obserwując Oskara kątem oka.

- Może wpadnę, zobaczymy - powiedziała. - Cóż, cześć, Oskar.

- Cześć - odparł, patrząc, jak wychodzą z klasy.

W tym momencie nagle pojawili się bracia O'Maley. Starszy, Barth, zacisnął zęby na widok oddalającego się Mossa.

- Może by tak i nas zaprosił, moglibyśmy go utopić w tym jego basenie...

Jeremy zaczął się śmiać.

- "Mamy teraz basen" ... teraz w kółko o tym gada, ale w zeszłym roku nie był z niego taki chojrak! Pamiętasz, gdzie mieszkała jego rodzina, zanim przeprowadzili się do Blue Parku? To była podła ruina na tyłach Fawcett Street, najgorszy zakątek Babylon Heights! Ohyda! Wyburzyli ją już. Nawet ja nie byłbym w stanie zrobić czegokolwiek z tego domu!

Uśmiechnął się przebiegle.

- Wszyscy się zastanawiają, skąd oni od roku mają nagle taką kasę? Może powinienem poprosić Mossa, żeby uczynił mnie współnikiem jego ojca?

- Zapomnij o tym, jesteś dużo lepszy od niego - zapewnił go Oskar.

Sąsiedzi z dzielnicy często zastanawiali się, skąd wzięła się fortuna Mossów, którzy ni stąd, ni zowąd kupili sobie dom w zamożnej części miasta. Wszyscy jednak doskonale wiedzieli, że Rufus Moss, ojciec Ronana, miewał nader często kłopoty z wymiarem sprawiedliwości. „Wolę się nie domyślać, skąd się bierze ta jego cała

forsa!" - mamrotał pan O'Maley. Oskar nie zastanawiał się nad tym. Podobnie jak jego matka i siostra miał w nosie, czy ktoś ma pieniądze, czy ich nie ma.

- Zostajesz w Babylon Heights tego lata? - spytał Barth.

Najwyraźniej nie dane mu było umknąć dziś przed tym pytaniem.

- Jeszcze nie wiem, może pojedziemy na tydzień do dziadków... A wy? - zapytał szybko, chcąc zatrzeć swoje kłamstwo.

- My zostajemy - odparł Jeremy, który w międzyczasie do nich podszedł. - Mamy masę roboty, prawda, Barth? Pamiętaj o mojej propozycji, gdybyś chciał popracować w Bazarze Jeremy'ego albo gdyby ci przyszedł do głowy jakiś inny pomysł...

- Dzięki - odparł Oskar, będąc myślami gdzie indziej.

- No to na razie, spotkamy się potem!

Obydwaj chłopcy wybiegli, by przyłączyć się do wielkiej, radosnej grupy uczniów, którzy wrzaskiem dawali upust swojej radości z powodu rozpoczętych wakacji. Oskar dostrzegł Aydena Spencera, który przemykał w stronę bramy. Szedł w dziwny sposób, wydawał się nienaturalnie sztywnowyprostowany. Potknął się o stopień i upadł. Spod koszulki wyłoniła się sztywna skorupa, otaczająca jego klatkę piersiową. Coś w rodzaju gipsowego odlewu, osłaniającego ciało. Bracia O'Maley rzucili się, by mu pomóc. Spencer podniósł się i nerwowo poprawił koszulkę. Z oddali rozległy się złośliwe śmiechy Mossa i bandy jego kumpli.

- Te, Robocop, uważaj, bo pęknie ci zbroja!

Barth już ruszał w ich kierunku. Był co najmniej tak samo silny jak Moss i dlatego jego jedyne Moss niemal nigdy nie prowokował.

Jeremy powstrzymał jednak brata.

- Daj spokój, Barth. Jak tam, Spencer? W porządku?

Spencer kiwnął głową i oddalił się, niemal biegnąc, czerwony ze wstydu.

Dzieci rozchodziły się już do domów i w końcu Oskar także opuścił teren szkoły.

Włączył się po dzielnicy Babylon Heights, nie mogąc się zdecydować na powrót do domu. Zajrzał do Oriatiki, greckiej restauracyjki pani Orfanoudakis, która częstowała go swoimi małymi, mięsnymi pulpecikami. Nie mógł jednak niczego przełknąć, co sprawiło, że pani Orfanoudakis poważnie się zatroskała:

- Co się z tobą dzieje, mój skarbie? Musisz mieć jakieś poważne zmartwienie, skoro nie chcesz jeść moich pulpecików. - Pochyliła się w jego stronę i szepnęła mu na ucho: - Przyszedł do ciebie do domu ktoś, kogo nie masz ochoty oglądać?

Wszyscy wiedzieli doskonale, że ów prostak Barry - „Pan Co Nie” - kręci się od wielu miesięcy wokół Celi. Oskar wolał ukryć prawdę. - Tak, coś w tym rodzaju... Ale muszę już wracać. Dziękuję pani za pulpeciki, są pyszne, jak zwykle, tylko jakoś nie mam apetytu.

- Wobec tego zapraszam cię na nie jutro!

Oskar wyszedł z restauracji i zajrzał na chwilę do pralni pana Tina. Pan Tin, drobny Chińczyk, miał tę zaletę, że domyślał się wszystkiego bez słów, mówił za to bardzo mało, zadowalał się uśmiechem. Oskar uwielbiał mościć się wśród stosów przyjemnie pachnącej, upranej bielizny, by czytać swoje czasopisma - pewny, że matka nie będzie go szukała w takim miejscu.

Dwie godziny minęły nie wiadomo kiedy, w końcu Oskar postanowił wrócić do domu - mama mogła się zacząć niepokoić. Pan Tin pomachał mu bez słowa i Oskar pobiegł dalej ulicami Babylon Heights.

Na końcu Kildare Street Oskar rozpoznał głos Jeremy'ego, który reklamował się głośno na wszystkie strony: „Łyk szczęścia prawdziwego w Bazarze Jeremy'ego!” albo „W Jeremy'ego Bazarze są ceny z waszych marzeń!”. Wolał uniknąć spotkania ze świeżo upieczonym biznesmenem. Skręcił w wąski zaułek, którym mało kto chodził.

Kilka chwil później znalazł się na tyłach swojego domu, od strony ogrodu. Przeszedł na czubkach palców przez ogródek pani Wings, upewniając się najpierw, czy gdzieś w pobliżu nie widać góry papilotów i ich posiadaczki w jej własnej, olbrzymiej osobie. Tylko maleńka suczka Peggy zauważyła go pośrodku

wystrzyżonego trawnika i zaczęła zawzięcie ujadać. Oskar przemknął dalej, pod osłoną żywopłotu z tui, dotarł do ogrodowej altanki, która miała niemal takie same rozmiary jak dom Pillów, i w końcu wszedł do domu tylnymi drzwiami. Toni nie było w garażu, matka jeszcze nie wróciła do domu. Oskar wszedł na piętro i zamknął się w swoim pokoju.

Tym razem nie mógł już uciec przed tym najważniejszym pytaniem. Po raz pierwszy nie szukał odpowiedzi, wpatrując się w zdjęcie ojca, chociaż miał podjąć decyzję bezpośrednio związaną z jego osobą. Rozejrzał się wokół - rolki, frisbee, konsola do gier, którą dostał od dziadków pod choinkę, plakaty... W tej konkretnej chwili nic go nie interesowało, nawet jego pisma naukowe. Czytał je u pana Tina, nie zapamiętał z nich jednak nawet słowa. Wtulił się w kąt pokoju i kopnął piłkę futbolową. Pomyślał o dziadku Pillu i o babci Pili, o tych zabawnych dziadkach, których znał tylko ze zdjęć - para hipisów, podróżujących dookoła świata, którzy pisywali często listy i przysyłali prezenty.

W chwili, kiedy musiał podjąć tak trudną decyzję, przychodzili mu na myśl wszyscy bliscy sercu ludzie.

Co wybrać? Bał się jechać do Cumides Circle, ale pani Withers zrobiła na nim wielkie wrażenie, miał do niej zaufanie. Poza tym tyle było nieodmówień wokół śmierci jego ojca. Co prawda, już go nie było, lecz kto wie, być może tam, gdzie jest - w raju albo w jakimś innym miejscu - byłby dumny ze swojego syna, jeśli ten poszedłby w jego ślady.

Po raz kolejny poczuł straszną obawę - a jeśli mu się nie uda? Jeśli nie zostanie Medykusem, mimo że wszyscy tego oczekują?

Oskar popatrzył na swoje dłonie. Przez chwilę znowu czuł, jakby pod skórą popłynął prąd, później już nic. Co robić? Pani Withers miała pojawić się już nazajutrz po jego odpowiedzi.

W końcu wstał, otworzył drzwi pokoju i zszedł po schodach.

Kiedy Celia wróciła do domu, uznała, że nikogo w nim nie ma. Zmarszczyła brwi, zerknąwszy na zegarek: była osiem-nasta i nawet jeśli właśnie zaczęły się

wakacje, wolałaby, żeby dzieci o tej porze były już w domu. Jak tylko wróca, będzie musiała to z nimi jasno ustalić, tak aby lato nie zamieniło się w jeden wielki, radosny bałagan.

Przez całe popołudnie niezwykle łatwo wpadała w złość, czuła rosnące napięcie, aż w końcu przestała niemal w ogóle słyszeć, co do niej mówią inni. Gdy nadeszła ostatnia godzina w biurze, nie zwracała już uwagi na zaczepki swego szefa, koszmarne go pana Geldhofa, który znęcał się nad nią ze szczególnym zamiłowaniem właśnie wtedy, kiedy czuł, że jest jej wyjątkowo ciężko to znosić. Gdy do końca pracy pozostało już tylko pięć minut, Celia nie mogła sobie znaleźć miejsca - zaczęła porządkować swoje rzeczy i odłączyła telefon. Oczywiście w tym właśnie momencie Franek Geldhof wyszedł ze swojego gabinetu:

- Bierze pani sobie znowu pół dnia urlopu?

- Pół dnia? - zawołała Celia. - Przecież jest za pięć piąta! Zazwyczaj pracuję do piątej.

- Mam to w nosie - rzucił Geldhof, który spoglądał na nią z wyżyn swojego skromnego wzrostu metr pięćdziesiąt dziewięć centymetrów. Jak zwykle tonął w zbyt obszernym garniturze. - Jeśli wyjdzie pani wcześniej, policzę to jako pół dnia urlopu.

Syczał przez zaciśnięte, żółtawe zęby. Zbliżył się do niej. Opuściła wzrok, żeby nie patrzeć na jego wstrętną, pomarszczoną twarz. Miał tłustą cerę i tłuste włosy.

- Proszę bardzo - powiedział, rzucając na jej biurko gruby plik pokrytych drobnym maczkiem kartek.

Na pierwszej stronie widać było wyraźny ślad po filiżance kawy.-Muszę to mieć na jutro rano, rzecz jasna - uściślił szef ze złośliwym uśmiechem.

- Rzecz jasna - powtórzyła Celia, mimo że przepelniała ją chęć mordy.

Przepisała plik dokumentów w pół godziny, nie mówiąc ani słowa, tymczasem pan Geldhof wyszedł z biura o siedemnastej. Kiedy skończyła, rzuciła się do samochodu, który wydawał się niecierpliwie podskakiwać na biurowym



parkingu. Tym razem Tonią musiała zdobyć się na spory wysiłek, bo Celia prowadziła jak szalona, nie zdejmując nogi z pedału gazu przez całą drogę. Pomyśleć, że chciała wcześniej wrócić, by spędzić trochę więcej czasu z Oskarem - wszystko na nic!

Przypomniała sobie, co jej syn powiedział rano: „nie chcę tam jechać, mamó”. Te słowa oczywiście przyniosły jej pewną ulgę. Jednak w głębi duszy słyszała cichy głosik, który ją niepokoił. Vitali był taki dumny z tego, że jest Medykusem, że prowadzi walkę z siłami zła. W gruncie rzeczy miała wyrzuty sumienia, bo w jakimś sensie pozbawiała Oskara możliwości pójścia w tym samym kierunku, jeśli przeznaczenie przewidziało dla niego taką właśnie drogę.

Kiedy wróciła do domu, jej uwagę przykuły drzwi prowadzące do piwnicy. Były szeroko otwarte.

Rzuciła torebkę na podłogę i zbliżyła się do nich.

Zmierzała w dół po schodach, widząc złocistą poświatę, którą z biegiem czasu nauczyła się bezbłędnie rozpoznawać. Prześlizgując się między kartonami i tysiącem innych przedmiotów, nagromadzonych w piwnicy domu, szła, jakby ktoś prowadził ją za rękę.

Kiedy już dotarła do otwartego kufra, na parę sekund przymknęła oczy. Gdy je otworzyła, Oskar patrzył na nią odwrócony. Z trudem rozpoznała własnego syna: wydawał się większy, bardziej wyprostowany, silniejszy. Może nawet starszy, bardziej dojrzały. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że widzi swojego męża.

Spojrzała w dół. Oskar trzymał w dłoniach pas, iskrzący się jak brylant i falujący w powietrzu. Skóra wydawała się ze złota, pięć sakiewek przybrało nową formę pod dotknięciem rąk chłopca.

Celia zbliżyła się do syna.

- Pas Trofeów: przechodzi z ojca na syna - mówiła głosem nabrzmiętym ze wzruszenia - a ja przede wszystkim rozpoznaje swojego właściciela, tego, który będzie go nosił, dla którego został wykonany.

Oskar spoglądał na pas z wielką dumą i z bijącym sercem.

- Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek świecił tak wyraźnie w rękach twojego ojca - dodała jeszcze Celia.

Pas zaczął falować jeszcze mocniej. Wił się tak, że Oskar musiał wypuścić go z rąk. Chciał go podtrzymać, zanim upadnie na ziemię, nie było to jednak konieczne - pas przez chwilę bujał się w powietrzu, a następnie sam owinał się wokół bioder chłopca.

Oskar poczuł, że ogarnia go jakiś wewnętrzny ogień, jak gdyby energia wypełniała go od stóp do głów, zapierając dech w piersi.

Nabrał w końcu powietrza do płuc i odetchnął głęboko. Odwrócił się w stronę kufra i przesunął dłonią po zielonym aksamicie peleryny.

Celia podeszła do niego, rozprostowała pelerynę i założyła mu ją na ramiona ze łzami w oczach. Pas przemówił wyraźniej niż cokolwiek innego.-Mój syn - rzekła - mój syn, Medykus.

Oskar podniósł na nią wzrok i mimowolnie wypowiedział nareszcie te słowa, które musiał powiedzieć.

- Pójdę jutro do pana Brave'a, mamó. Pojadę do Cumides Circle. Tak postanowiłem.

- Wiem o tym - odparła Celia bardzo cicho. - Jestem bardzo dumna, że podjąłeś taką decyzję, Oskarze.

A ponieważ wyczytała w oczach syna oczekiwanie na inne jeszcze słowa, przygarnęła go do siebie i dorzuciła:

- Tak, on także byłby z ciebie dumny. Bardzo dumny.

Wyprostowała się i zdjęła pelerynę z ramion chłopca. Pas tymczasem odpowiadał na spojrzenie Oskara - rozwinął się i spoczął na złożonej przez matkę pelerynie.

Celia zamknęła kufer.

- Dobrze, a teraz, młody człowieku - powiedziała, siląc się na uśmiech - do stołu, a później spać. Jutro musimy wstać bardzo wcześnie.

**Cumides circle**

Oskar stał w drzwiach swojego domu. Naprzeciwko niego stała pani Withers i przyglądała mu się uważnie, z tym swoim nieodgadnionym uśmieszkiem, który robił wrażenie, jakby stale miała na myśli coś nadzwyczaj zabawnego.

Oskar rozejrzał się wokół - brak mu będzie tych zdjęć i obrazów, wiszących na ścianie. Ścisnęło mu się serce. Celia domyśliła się, jak bardzo jest wzruszony i przejęty, wzięła go za rękę. Odwrócił się i posłał jej dzielny uśmiech.

Pani Withers, nie zwracając na to uwagi, powtórzyła swoje pytanie:

- Jesteś gotów jechać, Oskarze?

Chłopiec puścił dłoń matki i odpowiedział pewnym głosem:

- Tak, jestem gotów.

- Zatem Jerry zajmie się twoimi rzeczami - odparła pani Withers, bardzo zadowolona z tej odpowiedzi.

Nagle, jak za sprawą magii, w hallu pojawił się niewielki, okrągły człowieczek. Stał przed wejściem, za plecami pani Withers, i chyba czekał na jej znak, by objawić się pozostałym.

Miał na sobie czarny garnitur, nieco opięty na okrągłym brzuchu, i zielony aksamitny krawat. Oskar rzucił okiem na walizę, którą Celia wypchała po trosze wszystkim, zupełnie jakby jej syn ruszał w podróż dookoła świata. Wsadziła tam koszulki, szorty, trampki, ale też cieplejsze swetry, a nawet grube rękawice i śniegowce, bez ładu i składu. Chciała mieć pewność, że jej dziecku nie zabraknie absolutnie niczego, aż do najbliższej soboty, cokolwiek by się miało wydarzyć. Oskar wiedział, że na dnie walizki leży także peleryna jego ojca, w tym samym kolorze co krawat Jerry'ego.

Jerry uklonił się szybko i posłał im szeroki uśmiech, który odkrył wielkie, białe zęby, lśniące w pocziwej, brodatej twarzy. Miał dużo sprytu w błyszczących oczach. Mimo niedużego wzrostu schwycił walizkę, jakby była lekka jak piórko, i zniknął za drzwiami.

Pani Withers zwróciła się do Celi.

- Czas na nas - powiedziała. - Przed Oskarem bardzo długi dzień.

Oskar już miał wychodzić w ślad za starszą panią, kiedy odwrócił się nagle i ku zdziwieniu obu kobiet wbiegł na piętro, przeskakując po trzy stopnie.

Zbliżył się do drzwi i wszedł do środka bez pukania.

Podszedł do łóżka. Violette, opierając się plecami o ścianę, siedziała skulona, z kolanami pod brodą i maską do nurkowania naciągniętą na twarz. W ustach miała tubę do oddychania, a w ręku trzymała książkę. Oskar zastanawiał się, czy ściągnęła ten ryszunek do snu. Podśpiewywała coś pod nosem i wydawało się, że nie zauważyła obecności brata w pokoju. Wyjął jej książkę z rąk i obejrzał ją z uwagą.

- Czytałaś do góry nogami, Violette. W odpowiedzi Violette zaczęła trochę głośniejsze nucić.

Oskar westchnął głęboko i usiadł obok niej. Rudy kucyk siostry łaskotał go w nos. Podniósł go, żeby odsunąć gumowy pasek od maski, który przykrywał ucho.

- Nie wyjeżdżam na bardzo długo - powiedział. - Będę wracał na każdy weekend i pod koniec lata wrócę już na dobre. A w przyszłym roku pojedę nad morze z tobą i z mamą.

Dziewczynka przestała śpiewać i oparła książkę na kolanach. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć brata przez zaparowaną szybę maski.

- Lubię czytać do góry nogami - powiedziała, starając się nie płakać. - Wtedy czyta się inne historie.

Zamilkła na chwilę, a potem dodała:

- Kiedy wracasz?

Oskar wzruszył ramionami.

- Niedługo - powiedział lakonicznie. - W najbliższą sobotę.

Violette posłała mu promienny uśmiech i zagłębiła się znowu w lekturze książki. Nie lubił, kiedy była nieszczęśliwa. On także się do niej uśmiechnął i wstał z łóżka. Violette już odpłynęła do swojej krainy wyobraźni.

Oskar zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół.

Mama podeszła do niego i przytuliła go mocno.

- Jeśli zmienisz zdanie, jeśli nie będzie ci tam dobrze - wracaj od razu. A ja będę do ciebie dzwoniła codziennie, niezależnie od tego, czy to będzie dobrze, czy źle widziane - dodała z naciskiem, spoglądając w stronę pani Withers. - Jeśli coś będzie nie tak - przyjadę po ciebie. Zrozumiałeś? Jeśli zdarzy się cokolwiek złego, przyjadę po ciebie.

- Nie zabieram Oskara do więzienia, chciałabym, żeby to było jasne! - podkreśliła z naciskiem starsza pani. - I na pewno będziesz mógł rozmawiać z mamą codziennie przez telefon, Oskarze. I z siostrą też, oczywiście - dodała, patrząc w górę, na pokój na piętrze, odgadując pewnie, że Violette jest smutna.

Spojrzała na zegarek.

- No cóż, skoro już sobie wszystko wyjaśniliśmy i wiemy teraz, co i jak, najwyższa pora ruszać na Blue Park Avenue.

Oskar wyszedł z domu, nie odwracając się za siebie. Bał się, że jeśli rzuci choć raz okiem na twarz mamy - zmieni zdanie. Przy chodniku czekała na nich długa limuzyna z przyciemnionymi szybami. Jerry wysiadł i obszedł dookoła samochód, by otworzyć im drzwi.

- Proszę bardzo, panie Oskarze.

Oskar spojrzał na panią Withers zaskoczony nie bardzo wiedział, co ma robić.

- Mam wrażenie, że znajdziemy się na miejscu nieco szybciej, jeśli wsiądziesz do samochodu - powiedziała mu, rozbawiona.

Oskar usiadł na tylnym siedzeniu, pani Withers usadowiła się koło niego. Jerry zatrzasnął drzwi. Oskar dostrzegł przez okno, że Celia odwróciła się, weszła do domu i zamknęła drzwi. Stało się i nie było odwrotu: ruszał w drogę do Cumides Circle.

Samochód już od paru minut posuwał się bezszelestnie naprzód.

Oskar rozejrzał się i rozpoznał znajome barwy - siedzenia pokryte były skórą zielonego koloru, natomiast przesyca, podłokietniki i kierownica były złote, podobnie jak symbol, widniejący na krawacie Jerry'ego. Szofer, który ledwo sięgał do

deski rozdzielczej, siedział na olbrzymiej poduszce. Posłał Oskarowi serdeczny uśmiech, łowiąc jego spojrzenie w lusterku, i chłopiec od razu poczuł się lepiej.

Dostrzegł, że na podglówkach i na gałce dźwigni zmiany biegów widnieje ten sam symbol - duża litera M, otoczona kołem. Bez trudu domyślił się, co to oznaczało, i odczuwał pewną dumę, że w jakimś sensie dotyczyło to również jego osoby. On przecież także był Medykusem.

- Gdzie jedziemy? - spytał po raz pierwszy.

- Znasz dzielnicę Blue Park? - zapytała pani Withers.

Oskar nigdy tam wcześniej nie był, wiedział jednak, że najbogatsi ludzie w Pleasantville mieszkali właśnie w Blue Park. Słyszał o niej głównie od Ronana Mossa, który kpił sobie regularnie z Babylon Heights - teraz, kiedy sam mieszkał już gdzie indziej. Tilla, którą często do siebie zapraszał, opowiadała koleżankom, co tam zobaczyła: ogromny dom, basen, ogród - olbrzymi jak park! Pokój Mossa był równie wielki jak salon jego rodziców... Kiedy zaczynała mówić o tym, co posiada Moss i jego rodzina, Oskar i jego koledzy wznosili oczy do nieba i odchodzili na bok.

- No, nie da się ukryć - mawiał w takich chwilach Jeremy - dziewczyna w ogóle nie zwraca uwagi na sprawy materialne... Jak myślicie, zakochała się w nim z powodu basenu czy samochodu?

We wspomnieniach Oskara pojawiła się twarz Tilli, Moss zaś zniknął. Teraz także on, Oskar, będzie mieszkał w Blue Parku! Może nawet dom pana Brave'a jest większy niż dom Mossów!

Podskoczył na dźwięk głosu pani Withers.

- Oskar, zadałam ci pytanie - powiedziała surowo. - Mam nadzieję, że będziesz bardziej skupiony, kiedy będę starała się czegoś cię nauczyć...-Przepraszam panią - wyjąkał Oskar. - Nie, ja... ja nigdy jeszcze nie byłem w Blue Parku. To daleko od domu? - spytał niepewnie.

- Niezbyt daleko, nie martw się.

Oskar milczał przez cały czas, kiedy jechali. Dopiero Jerry przerwał ciszę.

- W którym miejscu będzie pani chciała wysiąść, proszę pani?

- Wiesz dobrze, Jerry, że musimy być bardzo dyskretni.

- Mogę otworzyć bramę i podwieźć panią pod sam taras przed wejściem.

- Nie, ktoś mógłby zobaczyć, jak wysiadamy z samochodu i wchodzimy do Cumides Circle. Niech pan nas raczej wysadzi przy Blue Parku, w pobliżu muszli koncertowej - powiedziała, wymieniając z szoferem porozumiewawcze spojrzenie. - I niech pan, z łaski swojej, zaopiekuje się bagażami Oskara, bardzo proszę.

- Dobrze, pani Withers.

Samochód jechał miękko ulicą i zatrzymał się sto metrów dalej, w pobliżu żywopłotu, otaczającego park miejski. Jerry opuścił limuzynę i rozejrzał się uważnie dookoła, nie dostrzegł nikogo. Nadal czujnie się rozglądając, otworzył tylne drzwi samochodu.

Pani Withers wysiadła, poruszając się ze zdumiewającą zwinnością, i zachęciła Oskara, by zrobił to samo.

- Pospiesz się, Oskarze, nie chcemy, żeby ktoś nas zobaczył. W pobliżu Cumides Circle często czają się jakieś wścibskie osoby.

Oskar szybko wyskoczył z samochodu, po czym razem z panią Withers schowali się wśród parkowych zarośli.

Rozejrzał się dookoła, nie rozumiejąc, co się dzieje.-Ale myślałem, że...

- ...że jedziemy do Cumides Circle, tak, owszem, tak właśnie powiedziałam. Cierpliwości, Oskarze, cierpliwości!

Ruszyła naprzód pod osłoną drzew, zwracając uwagę na to, by nikt nie mógł ich dostrzec z parkowych alejek. Oskar poszedł w jej ślady.

Wydawało się, że jest w stanie odnaleźć właściwą drogę z zamkniętymi oczami. Unikała wszystkich przeszkód, na które Oskar wpadał lub o które się potykał. Po kilku chwilach cały był podrapany, pokryty suchymi liśćmi i kawałkami gałązek, zatrzymał się w końcu pośrodku zielonej gęstwiny. Był sam, jego przewodniczka zniknęła.

- Pani With...

Nie miał czasu dokończyć słowa - z krzaków wysunęła się dłoń, która wciągnęła go z dużą siłą w gąszcz.

- Ani słowa - szepnęła starsza pani. - W żadnym razie nie mogą nas zauważyć.  
Oskar umilkł.

Stali w małym prześwicie między drzewami, ukryci przed ciekawymi spojrzeniami. Oskar dostrzegł z pewnym trudem, że za wysokimi krzewami, stanowiącymi dobrą osłonę, stoi muszla koncertowa. Byli w samym środku parku.

Pani Withers nie zostawiła mu zbyt wiele czasu do namysłu, pociągając go za sobą w stronę olbrzymiego pnia. Rozwiązała swoją apaszkę i wyjęła medalion z symbolem, który przypomniał Oskarowi znaki, jakie dostrzegł już wcześniej w samochodzie - duże M, otoczone kołem.

Przyłożyła medalion do drzewa, na którego korze ukazał się tymczasem identyczny, lśniący znak. Położyła prawą dłoń na Literze i wyrecytowała cichym głosem: Przede mną, Medykusem, się otworzysz, I w ciemności ziemi mnie poprowadzisz.

Odczekała krótką chwilę, nic się jednak nie wydarzyło.

- Jaka ja jestem niemądra - powiedziała w końcu starsza pani. - Jest nas przecież dwoje, a Drzewo Przejścia to czuje. Weź do ręki ten medalion i rób to samo, co ja, Oskarze.

Oskar spoglądał na nią niepewnie, osłupiały.

- Drzewo Przejścia? To... to samo, co pani? Ale...

- Nie dyskutuj - ucięła pani Withers. - Przyłóż Pierwotną Literę do drzewa, później wszystko ci wyjaśnię. Teraz nie mamy na to czasu.

Oskar wziął do ręki łańcuszek z medalionem, który podała mu pani Withers, i przyłożył je do pnia drzewa. Tym razem także identyczna litera pojawiła się na powierzchni pnia, jakby w lustrze, i Oskar zrobił dokładnie to samo, co pani Withers: przyłożył dłoń do chropowatej powierzchni.

- Prawą rękę, Oskarze. Prawą rękę.

Oskar zmienił dłoń.



- A teraz powtórz razem ze mną:

Przede mną, Medykusem, się otworzysz, I w ciemności ziemi mnie poprowadzisz.

Oskar posłusznie powtórzył te słowa, nie dyskutując - co było wbrew jego zwyczajom. Miał wrażenie, że śni jakiś sen na jawie.

- ...i w ciemności ziemi mnie poprowadzisz.

Zaledwie skończył wypowiadać zaklęcie, kiedy w pniu drzewa pojawiło się pęknięcie, spory prostokąt, wielkości dorosłego człowieka. Odsunął się do góry, ukazując przejście. Wewnątrz było jednak zbyt ciemno, żeby Oskar mógł cokolwiek zobaczyć.

Pani Withers uśmiechnęła się do niego.

- Drzewo Przejścia przepuszcza tylko i wyłącznie prawdziwego Medykusa, Oskarze, chyba że Wielki Mistrz wyda w tej kwestii specjalne polecenie. I od niepamiętnych czasów to drzewo - najstarsze ze wszystkich - nigdy się nie pomyliło. Nigdy.

Oskar poczuł, że serce mocniej mu zabiło. Podniósł wzrok i popatrzył na olbrzymi pień, dumny z tego, że został rozpoznany. A zatem pani Withers naprawdę miała rację - był Medykusem. Jak jego ojciec.

- Chodźmy - powiedziała starsza pani. - Ktoś może nas zobaczyć. Nie wolno narażać się niepotrzebnie!

Weszli do środka wydrążonego pnia, wejście opadło za ich plecami jak ostrze gilotyny. Pogrzeżyli się w całkowitych ciemnościach.

Pani Withers zachęcała Oskara, by zrobił krok naprzód. W tym momencie nad ich głowami i pod stopami pojawiła się poświata - dwie duże litery M, otoczone kołem, lśniły złocistym światłem. Oskar zrozumiał, że znajdują się w kabynie, schowanej w wydrążonym pniu. Chwilę później owa kabina się poruszyła. Oskar i pani Withers zjeżdżali pod ziemię.

Kiedy wszystko znieruchomiało, Oskar nie był w stanie się zorientować, czy zjechali w dół parę metrów, czy też może znajdowali się w samym środku ziemi.

Drzwi kabiny rozsunęły się, otwierając im przejście, i pani Withers posłużyła się swoim medalionem jak latarką. Trzymała go w wyciągniętej dłoni, rzucał niewielki krąg światła, wystarczający jednak, bymogli posuwać się naprzód. Oskar otworzył szeroko oczy i przygryzł kręcony, rudy kosmyk włosów - robił tak zawsze odruchowo, kiedy się czymś denerwował lub kiedy znajdował się w niezwyklej dla siebie sytuacji. A w tej właśnie chwili znajdował się w sytuacji naprawdę niezwyklej. Ledwo dostrzegał otaczające go ściany, domyślał się jednak, że znajdują się u wylotu jakiegoś tunelu.

Starsza pani uniosła w górę swój medalion i zawołała donośnym głosem:

Niechaj Pierwotna Litera oświetli nam drogę i niech zaprowadzi nas tam, gdzie pragną dotrzeć nasze serca!

Wtem przed nimi pojawiły się medaliony, identyczne jak ten, który miała pani Withers, tyle że olbrzymie - zajaśniały, unosząc się w powietrzu. Wskazywały drogę, a przy okazji ogrzewały nieco wilgotną przestrzeń wokół nich.

Dama w czerwonych okularach ruszyła tą jasną ścieżką. Oskar poszedł za nią. Szybko jednak zauważył, że jego przewodniczka bardzo się od niego oddaliła - zniknęła już w oddali, na krańcu tunelu, tymczasem litery M stopniowo gasły. Znowu zrobiło się bardzo ciemno i Oskar poczuł, że ogarnia go panika. Zaczął wołać:

- Proszę pani! Niech pani zaczeka!

W końcu ją dostrzegł, ledwo majaczyła, oświetlona słabą lampką swego medalionu, który nadal trzymała przed sobą. Zaczął biec, chcąc ją dogonić, nagle jednak zatrzymał się na niewidzialnej przeszkodzie, mocno się uderzył i upadł. Z trudem się podniósł, chwiejąc się jeszcze lekko na nogach. Próbował ostrożnie ruszyć znowu naprzód. Z całych sił walnął niewidzialną przeszkodę. Pani Withers pojawiła się po drugiej stronie, jej postać była lekko zdeformowana. Nawet jej głos brzmiał tak, jakby stała bardzo daleko.

- Oskarze, słyszałeś, co przed chwilą powiedziałam?

Oskar nie od razu jej odpowiedział. Pomacał ręką czoło - czuł, jak wyrasta mu spory guz. Pani Withers nie czekała na jego reakcję.

- Wiesz, jak Medykusi nazywają ten tunel? To Skaner Serca.

- A skąd się wzięła ta nazwa? - spytał Oskar, nadal szukając jakiegoś pęknięcia w dzielącej ich zaporze.

- Tunel odczytuje twoje uczucia - możesz nim przejść tylko wtedy, kiedy naprawdę, w głębi serca masz ochotę i odwagę, by dotrzeć do celu, do którego ma cię on doprowadzić. W przeciwnym razie wyrasta przed tobą przezroczysty i niedostępny Mur Niepokoju, przestajesz dostrzegać światła, gdy tymczasem ja, wyobraź sobie, cały czas je doskonale widzę. Musisz się zatem dobrze zastanowić, chłopcze - ten tunel prowadzi do Cumides Circle, wiesz o tym. Czy naprawdę i zupełnie szczerze chcesz tam dotrzeć?

Oskar doskonale zdawał sobie sprawę, że pani Withers miała rację. W gruncie rzeczy bał się i nie miał już tak wielkiej ochoty znaleźć się w siedzibie Mistrza Medykusów. Popatrzył na przewodniczkę, która uśmiechnęła się tylko i wzruszyła ramionami. Starał się koncentrować. Nie mam się czego bać - pomyślał. - Nie, zupełnie nie mam się czego bać. Jestem Medykusem, tak jak tata. Tata widzi mnie, jest ze mnie dumny.

Myśli te sprawiły, że mur zniknął. W ułamku sekundy ulotnił się w powietrzu, chłopiec mógł swobodnie iść dalej. Zobaczył, jak nagle rozjaśniają się przed nim świetliste litery M.-W porządku - powiedziała pani Withers głosem pełnym satysfakcji. - Tym razem damy radę tam dotrzeć. Musimy się pospieszyć, Bones będzie się niepokoił, Jerry przyniósł już z pewnością twoją walizkę, tymczasem nikt nie wyszedł z tunelu!

Przyspieszyli kroku. Oskar biegł przed starszą panią, która dreptała szybko, nie okazując zmęczenia. Tunel przez dłuższy czas wił się to w jedną, to w drugą stronę, aż do punktu, w którym się rozwidłał w dwóch różnych kierunkach.

Oskar zatrzymał się i zawahał.

Jedna odnoga, dobrze oświetlona, prowadziła bez wątpienia do Cumides Circle, druga - ciaśniej sza i mroczna, musiała stanowić znacznie węższe przejście. Ciekawość i niezależność wzięły oczywiście górę i Oskar ruszył ciemniejszą drogą.

Nie zwracał uwagi na wołanie pani Withers za plecami, skierował się prosto ku gęstej ciemności. Nagle ujrzał olbrzymią, czerwoną literę M, która zagroziła mu drogę, wirując wokół własnej osi. Już chciał do niej podejść, kiedy pani Withers zdołała złapać go za ramię.

- Mój biedny chłopcze, nigdy nie próbuj iść tym tunelem, a tym bardziej nigdy nie staraj się przejść obok Litery Krwi! Gdybyś zbliżył do niej choćby koniec palca, padłbyś trupem na miejscu!

Oskar cofnął się i przyjrzał się groźnej literze. Dokąd mógł prowadzić ten tunel? Dlaczego jest w ten sposób zabezpieczony? Odwrócił się w stronę starszej pani, zrozumiał jednak bez słowa, że nie pora na takie pytania.

Zawrócił na wcześniejszą trasę, dużo pewniej czując się wśród jaśniejących M. Rzucił tylko ostatnie spojrzenie w stronę tajemniczego tunelu, pogrążającego się stopniowo w ciemności, im bardziej posuwali się do przodu.

Parę minut potem Oskar i pani Withers zatrzymali się przed zamkniętymi, kamiennymi drzwiami.

Starsza pani zbliżyła się do nich z medalionem nadal zaciśniętym w dłoni i wyrecytowała:

Rozpoznasz bez wątpienia Medykusa serce godne

I na końcu tunelu drzwi otworzysz niezawodnie!

Tym razem nie musiała przypominać Oskarowi, by powtórzył wraz z nią te słowa, zrobił to sam z siebie. Drzwi obróciły się wokół własnej osi - po drugiej stronie widniała rzeźba na podeście, przedstawiająca mężczyznę średniego wzrostu, w stroju z dawnej epoki. Trzymał coś w prawej dłoni, którą przyciskał do piersi. Pani Withers weszła na podest i położyła swoją rękę na tej z kamienia. Oskar uczynił to samo. Otworzył szeroko oczy: rozpoznał dobrze znane, dziwne uczucie, jakby prąd elektryczny przepływający przez dłoń, na której pojawiło się nagle duże M Medykusów. Poczuli, jak wyrzeźbiona postać otacza ich swoją lewą ręką. Podest obrócił się dookoła i mroki tunelu rozjaśniło jaskrawe światło.

Kiedy ramię rzeźby się cofnęło, Oskar zeskoczył z podestu, a za nim pani Withers, która zrobiła to niemal równie lekko jak on. Otrzepała z kurzu swoją plisowaną spódnicę i letni żakiet, po czym posłała uśmiech w stronę rzeźby.

- Dziękuję, drogi Sigismoncie, zawsze jest mi niezwykle miło w twych ramionach!

Posąg skłonił się lekko i stanął znowu w swej pierwotnej pozycji.

- Witaj w Cumides Circle, Oskarze! To siedziba Winstona Brave'a, doskonałego adwokata - uściśliła pani Withers - a ponadto Wielkiego Mistrza Medykusów. W tej drugiej roli równie doskonały. Jednak bez wątpienia jest to funkcja znacznie bardziej utajniona...

Oskar rozglądał się dookoła, był olśniony.

Znajdował się w hallu, w domu, jakiego nigdy wcześniej nie widział na oczy. Było tu więcej miejsca niż w jego własnym domu na Kildare Street, biorąc pod uwagę nawet tamtejszy ogród! Niebotycznie wysoki sufit był przeszklony, co sprawiało, że całą przestrzeń zalewało piękne słoneczne światło. W głębi widać było zamknięte, potężne drzwi z drewna. Wokół nich wznosiły się rozwidlone schody.

Ruszył do przodu i po kilku krokach jego trampki skrzypnęły na marmurowej podłodze, ułożonej w biało-czarną szachownicę.

Głos pani Withers wyrwał go z zamyślenia.

- Oskarze, pozwól, że ci kogoś przedstawię: oto Bones. Bones opiekuje się Cumides Circle... zajmuje się też wieloma innymi sprawami, o których kiedyś się dowiesz.

Oskar popatrzył w górę na wysokiego mężczyznę, który stał tuż koło niego. Zafascynowany wnętrzem domu, nie zwrócił początkowo uwagi na jego nieruchomą postać. Bones był chudy, miał pomarszczoną twarz, żółtawą jak woskowa figura, i ciemne, szpakowate włosy. Oskar nie umiałby określić, w jakim wieku jest Bones, niewątpliwie jednak był dużo starszy niż mama, może nawet był w wieku pani Withers. Jego oczy były na wpół przykryte powiekami. Oskar zastanawiał się, czy Bones podsypia na stojąco, czy też zachowuje się jak niektóre z tych zwierząt, które

oglądał w pewnym programie telewizyjnym - udawały sen, by schwytać zdobycz. Bones schylił głowę i nadal przyglądał się Oskarowi zmrużonymi oczyma. Chłopiec poczuł się skrępowany jego zachowaniem. Teraz już miał pewność, że majordomus nie jest bynajmniej pogrążony w drzemce, przeciwnie - obserwuje go uważnie od stóp do głów.

- Witam cię, Oskarze - powiedział w końcu Bones głosem, w którym znudzenie mieszało się z pewnym rozleniwieniem. - Serdecznie witamy w Cumides Circle.

Oskar nie wiedzieć czemu nabrał przekonania, że zapewne jest wręcz przeciwnie: Bones wcale nie wydawał się go serdecznie witać. Chłopiec postanowił się jednak nie przejmować. Przybył tu, by odkryć w sobie moc Medykusa i nauczyć się czegoś więcej od pani Withers i pana Brave'a.

- Twoja walizka jest już w twoim pokoju. Mogę ci wskazać drogę.

Brzmiało to raczej jak rozkaz niż jak zaproszenie. A rozkazy to nie było to, co Oskar lubił najbardziej. Spojrzał pytająco na panią Withers.

- Muszę już iść - powiedziała starsza pani, która z łatwością domyśliła się, co oznacza zachowanie chłopca. - Mam parę spraw do załatwienia. Bones zajmie się tobą. Prawda, Bones?

Bones w odpowiedzi po prostu się skłonił bez słowa, co zapewne było zgodne z jego zwyczajem.

Pani Withers przycisnęła do piersi swoją torebkę, pomachała Oskarowi i oddaliła się szybkim krokiem.

Oskar został sam na sam z Bonesem i hall wejściowy wydał mu się nagle jeszcze obszerniejszy niż dotąd. Wyprostował się na całą swoją wysokość, by dodać sobie pewności siebie, po czym zapytał, nie czekając na powtórny propozycję majordomusa: - Czy mógłby mi pan pokazać mój pokój?

Bones w milczeniu skierował się w stronę schodów po lewej stronie, a Oskar poszedł za nim.

Schody pokryte były miękką wykładziną w kolorze zielonym, pośrodku każdego stopnia widniał znany już Oskarowi znak: duża litera M, otoczona kołem. Na półpiętrze schody łączyły się ze sobą. Stał tu wąski stolik, przytulony do ściany, a na nim wazon, pełen świeżych kwiatów. Nad nim wisiał duży obraz, przedstawiający scenę z jakiejś starożytnej wojny. Wyżej schody ponownie rozdzielały się półokrągło, wijąc się pod ścianami. Na piętrze prowadziły do dwóch korytarzy.

Bones i Oskar skręcili w korytarz po prawej stronie. Oskar zaledwie miał chwilę czasu, by odczytać niewielką tabliczkę, wiszącą na początku korytarza: Selenia Wing. Nad tabliczką, we wnęcie, stało popiersie ślicznej, młodej kobiety. Miał ochotę zapytać Bonesa, kim była ta Selenia, ale nie miał na to czasu. Potykając się o brzegi dywanów, starał się iść możliwie szybko, ledwo jednak nadążał za maszerującym wielkimi krokami przewodnikiem.

Minęli pięcioro zamkniętych drzwi, aż wreszcie Bones otworzył szóste - ostatnie, na samym końcu korytarza, który dalej zakręcał w lewo. Na drzwiach wisiała kolejna tabliczka: Alfred Bowden. Oskar obiecał sobie, że w pierwszej wolnej chwili przeprowadzi własne śledztwo na temat wszystkich tych nieznanymi osób.

Weszli do przestronnego, jasnego pokoju. Po lewej stronie, w kącie, stało piękne łóżko, z grubym materacem, obok niego - masywna szafa. W przeciwległym rogu pokoju, pod jednym z okien, umieszczono biurko z lakierowanego drewna, a obok - fotel. Bliżej drzwi widać było puste regały, sięgające aż do sufitu; sprzęty te czekały na książki i drobiazgi Oskara. W pobliżu łóżka Oskar dostrzegł swoją walizkę.

- Oto twój pokój - powiedział Bones. - Czy życzysz sobie, żebym ci pomógł rozpakować bagaże?

- Nie, dziękuję - pośpiesznie odparł Oskar. - Zrobię to sam.

Nie chciał, żeby ktokolwiek oglądał wszystko to, co zapakowała mu mama, a zwłaszcza pelerynę Vitalego Pilla i pas z pięcioma sakiewkami.

- Dobrze, wobec tego zostawię cię już teraz samego - powiedział Bones. Zerknął na zegarek i dodał: - Powinieneś być w jadalni dokładnie w południe - rzekł, kładąc wyraźny nacisk na słowo „dokładnie”.

- W jadalni? A gdzie jest jadalnia?

- Na parterze, obok salonu - odparł Bones, wychodząc z pokoju. - Zaprowadzę cię tam.

Oskar zaczekał, aż majordomus oddali się korytarzem, i podbiegł do drzwi. Nacisnął klamkę i jego niepokój się rozpułynał. Bones nie zamknął go w pokoju na klucz. Odwrócił się, patrzył przez dłuższą chwilę na obszerne pomieszczenie, po czym zbliżył się do okna.

Na zewnątrz był ogród Cumides Circle: wydawał się ogromny, niemal równie wielki jak Blue Park, przez który przechodzili z panią Withers, żeby dostać się do tunelu. Oskar rzucił się szybko w stronę swojej walizki i otworzył ją. Na szczęście mama zapakowała mu piłkę futbolową. Przez chwilę widział w myślach twarz Celi. Zdażył się już za nią stęsknić. Starał się o tym zanadto nie rozmyślać. Przytulił piłkę do piersi. Przecież nawet sama pani Withers powiedziała mu wyraźnie, że nie jest tu więźniem i może wrócić do domu w każdej chwili, nie czekając do końca tygodnia. Z drugiej strony jednak znał swoją własną dzielnicę jak zły szeląg, tymczasem tutaj miał szansę spędzić fantastyczne lato, zaspokajając swoją ciekawość - dom był taki wielki i miał tyle zakamarków do odkrycia! Wokół rozciągały się rozległe trawniki, na których można było cudownie trenować grę w piłkę. Postanowił pograć trochę, aż do obiadu.

Otworzył drzwi i ruszył szybko korytarzem. Nie dobiegł jednak daleko: po kilku metrach potknął się i wyłożył jak długi. Chodnik, który jeszcze chwilę wcześniej leżał zupełnie płasko, nagle się pofałdował. Zaraz zresztą fałdy wygładziły się z powrotem, czemu Oskar przyglądał się w niemym zdumieniu.

- Nie zrobiłeś sobie krzywdy?



Oskar podniósł wzrok. Poznał od razu jęśliwy głos Bonesa, który stał zupełnie nieruchomo, nie próbując ruszyć choćby palcem, żeby pomóc mu się podnieść. Chłopiec wstał.

- Nie, nic się nie stało - odparł, masując sobie kolana.

- Lepiej, żebyś nie biegał po korytarzach ani w żadnym innym miejscu - dodał Bones chłodnym tonem. - Pan Brave nie lubi, kiedy się biega.

- Chodniki najwyraźniej także tego nie lubią - powiedział Oskar, obrzucając urażonym spojrzeniem dywanik, odpowiedzialny za jego upadek.

- Zgadza się - potwierdził majordomus. - Zaleca się im, by przypominały naszym gościom zasady, panujące w Cumides Circle. Czy mogę wiedzieć, gdzie zamierzałeś się udać? Być może mógłbym ci w tym jakoś pomóc - stwierdził Bones, ze wzrokiem utkwionym w piłce futbolowej, która potoczyła się w dół po schodach.

- Chciałem wyjść do ogrodu - odrzekł Oskar. - Mam chyba prawo tam wyjść, prawda? Sądziłem, że nie jestem zamknięty w celi więziennej - dodał ze złością. Bones przyjrzał mu się zaskoczony.

- Ależ oczywiście, że nie jesteś w celi więziennej - powiedział flegmatycznie. - Możesz wyjść o każdej porze i gdzie tylko chcesz. Sam cię tam nawet zaprowadzę.

Oskar ruszył za nim.

Zeszli po schodach, przeszli przez hall i przez drzwi, których strzegły dwie zbroje, stojące na postumentach.

Weszli do wielkiej kuchni, po której jakaś kobieta kręciła się zwawo na wszystkie strony. Dostrzegła chłopca i posłała mu serdeczny uśmiech.

- Dzień dobry! - rzuciła radosnym tonem. - Czy to Oskar? Ja mam na imię Cherie, jestem kucharką u pana Brave'a. Zdaje się, że poznałeś już mojego męża - to Jerry, szofer, który cię tutaj przywiózł dziś rano.

Oskar słuchał tego wszystkiego bez jednego słowa, mocno zdziwiony - Jerry miał zatem żonę dwa razy od niego wyższą i dziesięć razy szczuplejszą! Cherie wyglądała trochę jak miotła, stojąca do góry nogami: była chuda jak patyk, w długim fartuchu tej samej barwy, co włosy, czyli żółtym jak zboże. Bezustannie mrugała

powiekami, a słowa wylewały się z jej ust jak woda z odkręconego kurka. Oskar musiał zdobyć się na wielki wysiłek, by powstrzymać wybuch śmiechu. Cherie rozkręciła się i nie było sposobu, by ktokolwiek mógł ją zatrzymać.

- Jerry od razu cię polubił, Oskarze! I pamiętaj, kiedy Jerry kogoś polubi, nigdy się nie myli! Co do mnie, będziesz mnie widywał codziennie, w porze posiłków, ale gdyby przyszła ci chęćka na jakąś małą przekąskę, to już wiesz, gdzie mnie szukać! Prawda? Zawsze znajdę coś, co mógłbyś wrzucić na ząb. Co lubisz? Bo jeśli o mnie idzie, mogę przygotować, co tylko zechcesz! Ciastka, ryby albo...Oskar chętnie by odpowiedział, ale Cherie nie dawała mu szansy na powiedzenie czegokolwiek - miała najwyraźniej zwyczaj zadawania trzeciego z kolei pytania, kiedy próbowało się właśnie odpowiedzieć na pierwsze. Dopiero Bonesowi udało się przerwać tę dyskusję, a raczej potok wymowy Cherie.

- Dzięki, Cherie, Oskar z pewnością wszystko dobrze zrozumiał i dziękuje. Chciałem mu pokazać, którędy wyjść do ogrodu, zobaczy go pani przy obiedzie. Pan Brave cze...

- Hola, panie Bones, czy ktoś pana o coś pytał, hę? - przerwała mu kucharka, podpierając się pod boki. Wzruszyła ramionami. - No cóż, wobec tego do zobaczenia niedługo, Oskarze! - powiedziała nadąsana.

Zrobiła półobrót na swoich obcasach i wsunęła głowę do lodówki, najwyraźniej tracąc dla nich zainteresowanie. Oskar zerknął zdezorientowany na Bonesa, nie za bardzo wiedząc, jak się w takiej sytuacji zachować. Majordomus wzniosł oczy do nieba i skierował się w stronę przeszklonych drzwi, widniejących w głębi kuchni.

Zeszli po trzech stopniach i przeszli kilka kroków po wysypanej żwirem alejce.

- Proszę bardzo - powiedział Bones. - Oto ogród Cumides Circle, cały ten teren aż do głównej alei, która ciągnie się wzdłuż Blue Parku, tam, gdzie rośnie Drzewo Przejścia. Tunel, którym szedłeś z panią Withers, biegnie pod ulicą, a później pod naszym ogrodem, aż do domu pana Brave'a.

Oskar słuchał Bonesa jednym uchem, uszczęśliwiony, że nareszcie znalazł się na świeżym powietrzu.

- Ogród jest bardzo duży i łatwo się w nim zgubić, kiedy się go jeszcze dobrze nie zna. Pamiętaj, proszę: masz się spotkać panem Brave'em przy obiedzie, za nieco ponad godzinę. Nie oddalaj się więc zanedo.

- Tak, tak, dobrze - niecierpliwił się Oskar, nie patrząc już na surowego majordomusa. Tak, wszystko dobrze zrozumiałem.

Przez dłuższą chwilę przechadzał się, kopiąc przed sobą piłkę i nie rozglądając się specjalnie dookoła. Ogród ten przypominał tak czy inaczej wszystkie inne ogrody na świecie. Były tu drzewa, trawa, klomby różnokolorowych kwiatów.

Na końcu alejki zauważył bardzo wysoki, kamienny mur, opleciony bluszczem. Czyżby to była granica posiadłości? Zbliżył się do muru, ale zanim do niego doszedł, dwa drzewa pochyliły się gwałtownie, by zagrodzić mu drogę. Zatrzymał się, przerażony. Gałęzie uniosły się z powrotem i Oskar był skłonny uwierzyć, że to zwykły podmuch wiatru. Jednak w powietrzu nie było ani cienia przewiewu.

Obszedł drzewa dookoła i postanowił wejść na niewielką górkę, porośniętą kwiatami. Kiedy tylko zrobił pierwszy krok w tym kierunku, wszystkie kwiaty przybrały czerwoną barwę i nastroszyły groźnie swoje korony płatków w jego kierunku. Cofnął się. Przed nim zaczęła szybko wyrastać wysoka trawa, sięgała mu już do kolan, a sekundę potem - do pasa. W trawie widać było wyginające się agresywnie osty i inne kolczaste rośliny, które nie wiadomo skąd się wzięły. Oskar zmienił trasę i znalazł się ponownie na alejce, graniczącej z trawnikiem. Wysoka trawa zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, a okolica znowu wyglądała idealnie spokojnie i porządnie.

Przesłanie było zupełnie jasne - nie powinien zbliżać się zanedo do muru. Cóż, wychodziło na to, że ogród był tak samo niezwykły jak cała reszta. Ruszył z powrotem w stronę domu, z piłką pod pachą.

Szybko pożałował, że wcześniej nie śledził uważniej drogi. Nie mógł się połapać, gdzie się właściwie znajduje, każda alejka wyglądała identycznie. A przecież dumny był ze swojego świetnego zmysłu orientacji! Nagle jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Spojrzał na gazon z różami i w tym momencie zrozumiał, dlaczego tak trudno mu było znaleźć drogę powrotną: kwiaty zmieniały dyskretnie swe położenie, drzewa powoli zamieniały się miejscami, alejki wiły się w coraz to innych miejscach jak prześlizgujące się po ziemi węże. Oskar patrzył na to wszystko z szeroko otwartymi ustami. Pozostawało mu tylko jedno rozwiązanie: spróbować dostrzec dach domu i kierować się w tę stronę, mając nadzieję, że przynajmniej dom nie zmienił swego położenia!

Zbliżył się do drzewa i dotknął pnia ostrożnie, czubkami palców. Brak było jakiegokolwiek reakcji. Położył zatem piłkę na trawie i zaczął się wspinać na drzewo. Złapał się najwyższej gałęzi, jakiej mógł dosięgnąć, i oparł się nogami o pień. Zaledwie jednak wdrapał się trochę wyżej, poczuł, że dzieje się coś strasznego: drzewo ugięło się pod jego stopami jak guma do żucia! Chciał się schwycić innej gałęzi, ale ta również rozpląnęła mu się w rękach jak klej. Chwilę potem leżał już rozpląszczony jak żaba na trawie... Tymczasem pień drzewa i wszystkie gałęzie jakimś cudem wyglądały zupełnie normalnie.

Podniósł się z ziemi, nie miał już ochoty wdrapywać się na jakiegokolwiek drzewo w tym ogrodzie.

- Tak czy owak - powiedział - kiedy zobaczą, że mnie nie ma, ktoś przecież w końcu po mnie przyjdzie... Schylił się, by podnieść piłkę, zrobił to jednak za późno. Dębowa gałąź zamiotła ziemię i energicznie odepchnęła piłkę dalej. Oskar odwrócił się i ujrzał, jak jakaś leszczyna odbiła ją następnie z główki, prosto w listowie dębu, ten ją jednak przepuścił. Piłka toczyła się jeszcze chwilę po trawie, wśród burzy oklasków, a wszystkie kwiaty, obserwujące widowisko, biły brawo swoimi płatkami.

Oskar przestawał się już z wolna dziwić tym niesłychanym zjawiskom; stał ostrożnie z boku, nie za bardzo wiedząc, czy ma przerwać ten mecz, czy może samemu wziąć w nim udział. W gruncie rzeczy, nie mając żadnej innej ekipy,

mógłby zgodzić się na takich graczy. Poza tym - szczerze mówiąc, te biedne drzewa musiały straszliwie się nudzić w ogrodzie, za tak wysokim murem...

W końcu zrobił kilka kroków, chcąc zabrać piłkę. Zawahał się przez moment, a potem uśmiechnął się, podryblował przez chwilę, by wyminąć kilka krzaków, które zastąpiły mu drogę, następnie kopnął piłkę mocno w powietrze. Dąb machnął gałęziami i posłał pocisk prosto w olbrzymie rozarium. Wszystkie kwiaty skuliły się jednocześnie, a kiedy piłka ukazała się znowu na ich powierzchni, była podziurawiona w dziesiątkach miejsc i zupełnie sflaczała.

Oskar podniósł z ziemi nieszczęsny strzęp, pełen kolców, i posłał różom wściekłe spojrzenie. Zaczerwieniły się wszystkie jednocześnie i stuliły płatki.

- Mecz został przerwany z powodów technicznych - orzekł młody Medykus. -  
Czerwona kartka dla róż!

Westchnął głęboko i pokręcił się w miejscu, nieco zdezorientowany.

- I jak ja mam teraz wrócić do domu? Dąb odpowiedział na pytanie najmłodszego gracza w drużynie, pochylając jedną ze swoich najwyższych gałęzi. Oskar zawahał się przez chwilę, później wdrapał się na gałąź i chwycił się mocno. Zaraz potem uniósł się w górę, wysoko ponad otaczające go drzewa. Mógł stąd obejrzeć całą okolicę i pobliskie posiadłości. Jego wzrok przyciągnął niezwykle ciemny w kolorycie dom, najeżony wieżyczkami i blankami, otoczony czarnymi sosnami. Wydawał się bardzo daleko od Cumides Circle, może nawet położony był za miastem. Oskar nie miał więcej czasu, by obserwować siedzibę, która nasunęła mu na myśl jakiś średniowieczny zamek. Dąb zatrzęsł niecierpliwie gałęzią i Oskar musiał położyć się całkiem płasko na konarze, by nie spaść.

- Dobrze, już dobrze! Jeszcze tylko chwilę! - obiecał swojemu nowemu koledze.

Zauważył dom Winstona Brave'a i zrozumiał, że był on dużo bliżej, niż wcześniej mu się wydawało. Nie ma co, park i jego zadziwiający mieszkańcy nieźle sobie z niego zakpili!

- Myślę, że mogę już zejść na ziemię - powiedział Oskar niechętnie. - Nie, czekaj, jeszcze tylko jedna mała chwila!

Po prawej stronie zauważył mały staw, a nieco dalej, za gęstym żywopłotem - coś w rodzaju labiryntu, który tworzyły najbardziej niezwykle rośliny. Chciał się im lepiej przyjrzeć, ale gałąź, na której siedział, obniżyła się już, aż dotknęła ziemi.

- Zaraz! Czekaj, ja...

- Wydaje mi się, że nawet minuta dłużej to o wiele więcej, niż możesz sobie pozwolić - uciął dobrze już teraz znany głos kogoś, kto stał bardzo blisko.

Oskar nie musiał nawet podnosić wzroku; wiedział, że Bones wyszedł po niego do ogrodu. Majordomus wydawał się w złym humorze. - Mogłeś się zranić, chłopcze - powiedział tonem pełnym wyrzutu. - I dobrze by było, gdybyś zrozumiał, że jeśli ty sam oglądasz odległe widoki, możesz być z równie daleka widziany, a to nie byłoby wskazane.

- Zgubiłem się, a to drzewo pomogło mi odnaleźć właściwą drogę - tłumaczył się Oskar.

- Lepiej trzymaj się z dala od tych drzew - rzekł Bones, rzucając pogardliwe spojrzenie w stronę dębu. - W przeciwnym razie narazisz się na niebezpieczeństwo.

Przemawiał zupełnie jak pan Penguin w szkole, tyle tylko że to nie był pan Penguin, trwały wakacje, a Cumides Circle nie było szkołą. Oskar już chciał mu odpowiedzieć w podobnym tonie, ale powstrzymał się. Wolał zaniechać się nie narażać, bo z pewnością jeszcze nie raz, nie dwa będzie potrzebował pomocy ze strony Bonesa, gdy pani Withers i Winston Brave będą uczyć go, jak korzystać ze swojej mocy i jak stać się prawdziwym Medykusem.

Oskar wysilił się, żeby przybrać zboląłą minę, i zadał pytanie, które chodziło mu po głowie:

- Jak to się dzieje, że te drzewa i kwiaty ruszają się i żyją, jak my?

- Ponieważ pan Brave i księżna Lumpini przeniknęli do organizmów wszystkich roślin w ogrodzie Cumides Circle. W niewielkim stopniu zmodyfikowali

ich geny, po czym drzewa i kwiaty ożywiły się i są teraz w stanie porozumieć się z ludźmi.

Bones potrząsnął głową: najwyraźniej nie akceptował tego, co się przytrafiło roślinom.

- Pan Brave powierzył im specjalną rolę, mają chronić Cumides Circle, a także nieostrożne dzieci, które się tutaj zagubią - dorzucił majordomus, posyłając Oskarowi jedno ze swoich spojrzeń spod półprzymkniętych powiek. - Trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł być lepszym stróżem niż one.

- To dlatego nie dopuścili, bym się za bardzo zbliżył do tego muru na końcu ogrodu?

- Tak - odparł majordomus. - To dlatego, żeby nikt cię nie spostrzegł i by nie narażał cię na żadne niebezpieczeństwo. Robią to zapewne na polecenie pana Brave'a. Cóż, to drzewo najwyraźniej nie uszanowało polecenia. Będę musiał o tym porozmawiać z Wielkim Mistrzem. Zastanawiam się, czy nie trzeba go przypadkiem wykarczować - dodał głośno, chcąc zapewne, żeby drzewo usłyszało tę groźbę.

W tej samej chwili wzrok Oskara przyciągnęła dziwna, ciemna linia na zwirowej ścieżce. Pochylił się, zaniepokojony. To mrówki maszerowały zwartymi rzędami, jak wojsko na defiladzie.

Bones westchnął.

- Księżna Lumpini działała niezwykle energicznie - powiedział. - Nie ograniczyła się do roślin. Dla żartu przeniknęła również do organizmów pewnych owadów w ogrodzie i oto rezultat...

W czasie, gdy rozmawiali, mrówki zaczęły się na siebie nawzajem wdrapywać. W ciągu kilku chwil utworzyły przed Oskarem kolumnę. Domyślił się w końcu, co też owady usiłowały odtworzyć.

- Ależ... to pałka! Pałka baseballowa! - zawołał chłopiec. - Musiały zauważyć, że gramy w piłkę nożną, i teraz one także chcą coś potrenować!

Bataliony mrówek - tych, które zostały na ziemi - sformowały tymczasem idealnie okrągłą piłkę. Wtedy pałka zadrżała, a Oskar zapomniał o całym świecie,

łącznie z majordomusem, i ustawił się we właściwej pozycji, żeby złapać piłkę. Pałka zamachnęła się i odbiła piłkę, która pofrunęła w powietrze. Chłopiec wyciągnął rękę i złapał ją w locie. Rozprysnęła się jednak w kontakcie z jego dłonią, a mrówki opadły na chłopca całymi setkami. Oskar zaczął się otrzępywać, rzucając przy tym rozpaczliwe spojrzenie na Bonesa.

Majordomus stracił swoją zimną krew.

- Dostyc tego dobrego! Macie natychmiast zejść z chłopca, inaczej będziecie miały do czynienia z panem Brave'em!

Mrówki błyskawicznie usłuchały i po kilku sekundach Oskar pozbył się rojących się gości.

Bones spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi.

- Już prawie południe, spóźnisz się. Chodź ze mną, Wielki Mistrz nie może na ciebie czekać.

Oskar odczekał, aż Bones odejdzie na kilka kroków, i puścił oko w stronę dębu.

- Dzięki! - rzucił. - I do zobaczenia niebawem!

Liczył na to, że skorzysta jeszcze kiedyś z pomocy roślinnego piłkarza... Dąb zaszumiał dyskretnie w ramach pozdrowienia.

Oskar pobiegł za majordomusem, szykując się na spotkanie z człowiekiem, który budził jego wielką ciekawość i zarazem równie wielką nieśmiałość, mimo że go jeszcze nie widział: z Winstonem Brave'em. Słynnym adwokatem, jak wspominała pani Withers, i przede wszystkim - Wielkim Mistrzem Medykusów.

### **Wielki Mistrz Medykusów**

W hallu, u podnóża schodów, Bones położył rękę na klamce, przedtem obejrzawszy Oskara dokładnie od stóp do głów. Chłopiec, speszony nieco, wzruszył ramionami i popatrzył w inną stronę. Przyglądał swoją rozczochraną, rudą czuprynę; wsunął też koszulkę w dzinsy.

Bones otworzył nareszcie drzwi i Oskar wszedł do salonu Cumides Circle.



Szedł ostrożnie po dywanie, który zakrywał niemal całą powierzchnię pokoju, aż do kominka. Oskar przyglądał się motywom widniejącym na dywanie - kobiety i mężczyźni w zielono-złoty pelerynach walczyli z ludźmi, przyodzianymi w czarno-czerwone szaty, wokół nich widać było płomienie, wodę i las. Wzdłuż krawędzi kobierca ciągnął się szereg dużych liter M, otoczonych kołami. Ten sam symbol widniał na pelerynach walczących, którzy odwracali głowy na widok Oskara, jak gdyby byli żywymi ludźmi.

Chłopiec rozejrzył się dookoła. Ściany obite były jasną, jedwabną tkaniną, wytłaczaną w te same litery. Zarówno dom, jaki żyjący tu ludzie naznaczeni byli tą samą pieczęcią. Litera miała w sobie coś dającego poczucie bezpieczeństwa i Oskarowi zaczęło się bardzo podobać, że widzi ją wszędzie wokół siebie.

Bones wszedł za nim. Ruchem ręki wskazał mu drogę do jadalni. Obydwa pokoje ułożone były w amfiladzie i zarazem pod kątem prostym w stosunku do siebie, na kształt litery L. Oskar dostrzegł fragment drewnianego stołu. Pogładził zielony aksamit kanapy, minął kominek, na którym płonął dziwnie zielonkawy ogień, i wszedł do jadalni.

Stół wydawał się ciągnąć w nieskończoność; przy drugim jego końcu siedział imponująco wyglądający mężczyzna. Zajmował obszerny fotel, którego oparcie wieńczyła Litera, wyrzeźbiona w drzewie.

Oskar zatrzymał się i patrzył na Winstona Brave'a. Miał on ciemne oczy, czarne brwi i włosy, zaczesane do tyłu. Kłapy jego garnituru były zielone, podobnie jak krawat i kamizelka. Opierał o stół swoje olbrzymie dłonie - w jednej z nich obracał medalion, taki sam jak ten, który miała pani Withers - różnił się jednak jednym szczegółem, który Oskar natychmiast zauważył: w środku Litery połyskiwał tysiącem iskierki zielony kamień.

- Witaj, Oskarze - powiedział niskim głosem. - Usiądź, proszę.

Mimo ciemnych oczu i kwadratowej szczęki przystojna twarz pana Brave'a nie miała w sobie nic agresywnego. Nie było też w niej jednak nic serdecznego.

Oskar dostrzegł nakrycie dla siebie po drugiej stronie stołu. Usiadł i starał się uśmiechnąć, nie udawało mu się to jednak. Był sparaliżowany.

Z opresji uratowało go wejście Cherie. Kucharka wpadła przez drzwi, prowadzące do kuchni, znajdujące się tuż za fotelem Wielkiego Mistrza.-Ach, to ty, Oskarze! - zawołała kucharka, rzucając się w jego stronę z talerzem.

Postawiła przed chłopcem swoje danie i z jej ust popłynął potok słów, wypowiedzianych z prędkością karabinu maszynowego.

- ...no i na pewno będzie ci smakował mój kurczak w sosie - orzekła. - To moja specjalność!

Oskar spojrzał na talerz. Coś, co istotnie przypominało udko kurczęcia - mogło być jednak czymkolwiek innym - pływało w pomarańczowym płynie, z wielobarwnymi strzępkami tu i ówdzie, pośrodku zaś leżały kawałki czegoś zielonego i brązowego, trudne do rozpoznania. Oskarowi zrzędła mina.

- Dzień... dziękuję, Cherie - wymamrotał z trudem.

Przypomniał sobie reakcję kucharki w rozmowie z Bone-sem, w kuchni, godzinę wcześniej. Nie chciał jej znowu czymś obrazić. Wydawała się równie miła, co przewrażliwiona. Chłopiec podniósł wzrok i spojrzał na Winstona Brave'a, który przyglądał się tej scenie w milczeniu, obracając w palcach swój medalion.

- Jedz, jedz - powiedziała Cherie. - Jak zjesz, przyniosę ci zaraz dokładkę.

Oskar popatrzył z przerażeniem na talerz. Cherie stała przy nim bez ruchu, sztywno wyprostowana w fartuchu, w oczekiwaniu na efekty działania swojej „sztuki kulinarnej”.

Winston Brave przyszedł swojemu gościowi z pomocą.

- Dziękuję, Cherie, możesz nas zostawić.

- Ale...

- Jeśli Oskar będzie jeszcze głodny, obiecuję, że powiemy ci o tym - uciał Medykus.

Cherie zniknęła, mamrocząc coś pod nosem. Wyszła, zamykając bezszelestnie drzwi. Wielki Mistrz schylił się i zerknął na podłogę.

- Rolls! Royce! Chodźcie tutaj!

Rozległ się dźwięk stukających o parkiet pazurków i Oskar poczuł, jak dwa ciepłe, futrzaste ciała przemykają między jego nogami. Uniósł stopy w górę i zajrzał pod stół - dwa bassety, których wcześniej w ogóle nie zauważył, biegły w kierunku swojego pana, szorując brzuchami po ziemi, podobne do dwóch dużych serdelków z przyprawionymi nogami. Pan Brave pogłaskał je, a one przed nim przysiadły. Obwisłe dolne powieki i fafle trzęsły się przy najmniejszym ruchu, a końce uszu zamiatały podłogę.

- Zajmijcie się talerzem Oskara, kochani. Teraz!

Rolls i Royce pobiegły w kierunku drugiego końca stołu, z wdziękiem dwóch słoniątek. Płatały im się łapy, wpadały na siebie nawzajem, jeden w końcu rozpląszczył się na skraju fotela. Chłopiec złapał się stołu, żeby się nie przewrócić, i spojrzał pytająco na Wielkiego Mistrza.

- Talerz - rzucił zwięźle Winston Brave.

Oskarowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wyciągnął talerz w stronę dwóch zaślinionych mordek, które natychmiast zanurzyły się w straszliwej miksturze, siorbiąc, mlaszcząc, liżąc i rozgryzając, czasami wydając inne dźwięki, równie zaskakujące, co budzące niepokój. Oskar był szczęśliwy, że nie musiał zjeść owego dania. Jego talerz był idealnie czysty. Sos został wylizany do ostatniej kropelki.

Chłopiec postawił talerz przed sobą i posłał pełen wdzięczności uśmiech psom, które usadowiły się już z powrotem na swoich miejscach. Miał tylko cichą nadzieję, że nie przypląca tego poczęstunku życiem. Najwyraźniej jednak nie było to ich pierwsze doświadczenie w tej dziedzinie. - Powiedzmy to sobie szczerze, młody człowieku. Cherie jest niezwykle oddana i bardzo gadatliwa, jest też jednak fatalną kucharką. A teraz czas przejść do poważniejszych spraw. Jemy wspólnie obiad nie po to, by nakarmić moje psy, ale by porozmawiać o tobie i o twojej przyszłości.

Jego głos stał się nagle oschły. Oskar wyprostował się w swoim fotelu i przysłuchiwał się w milczeniu.

- Przede wszystkim - mówił Wielki Mistrz - zgodziłem się na twoją tutaj obecność tylko i wyłącznie dlatego, że darzę zaufaniem panią Withers. A ona jest przekonana, iż posiadasz moc Medykusa.

Zamilkł na krótką chwilę, chcąc uporządkować myśli.

- Dobrze znałem twojego ojca - w głosie Winstona Brave'a było teraz więcej ciepła. - Był inteligentnym i odważnym Medykusem, dokonał wielkich rzeczy dla naszych braci i dla całego świata.

Oskar poczuł wielką dumę, dopadły go jednak znane mu już wątpliwości - czy da radę doścignąć ojca? Winston Brave wpatrywał się uważnie w oczy chłopca. Było to tak intensywne spojrzenie, że Oskar miał wrażenie, iż przenika go na wskroś i odgaduje jego myśli..

- Jeżeli pani Withers nie pomyliła się co do ciebie i jeśli ty sam wytrwasz w swej decyzji - ciągnął Wielki Mistrz - będziesz miał okazję walczyć u boku twych braci o ocalenie świata. Dziś, niestety, jest to dużo bardziej aktualne niż kiedykolwiek. Bo zdajesz sobie chyba sprawę, że właśnie dlatego tutaj się znalazłeś, prawda?

Oskar przytaknął, choć tak naprawdę nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Pani Withers wspominała o zagrożeniu, o konieczności nagłego działania.-Nasz wróg, Wielki, ten, tego... nie pamiętam, jak on się nazywa...

- Wielki Patologus, Oskarze - powiedział Winston Brave. - Każe się także nazywać Czarnym Księciem. Musisz pamiętać to imię, wszyscy będziemy musieli je zapamiętać.

Pytania kłębiły się w głowie Oskara.

- Jest niebezpieczny?

- Bardzo niebezpieczny. Zagraża całej ludzkości.

Mistrz dał chłopcu czas na przemyślenie tych wiadomości i na odpowiednią reakcję.

- Czym ryzykujemy? - spytał Oskar. - Co może nam zrobić ten Czarny Książę? Jest sam przeciwko wszystkim innym? Co on takiego właściwie robi, żeby...

Winston Brave zatrzymał ruchem ręki tę lawinę pytań. Oskar najwyraźniej był ciekawy wszystkiego i nie brak mu było inteligencji.

- Nie, nie jest sam, jest wielu Patologusów - odpowiedział Mistrz Medykusów.

- Teraz, kiedy ich przywódca jest znowu na wolności, wszyscy zapewne zbiegną się pod jego sztandarem. Za wcześnie, by wyjaśnić ci tę historię, trwałoby to zbyt długo; znacznie szybciej i łatwiej zrozumiesz wszystko, kiedy zaczniesz ćwiczenia z Cieleśną Introdukcją, ale...

- Z jaką introdukcją?

- Nieważne - rzekł Brave twardym głosem, który narzucił milczenie. - Chcę ci tylko powiedzieć, że moc Patologusów jest ogromna. Mogą przeniknąć do każdego organizmu i wywołać chorobę, wobec której współczesna medycyna jest bezradna. Tylko Medykusi są w stanie walczyć z tymi chorobami i z Pa-tologusami.

- Czy to znaczy... czy ja także mam moc przenikania do ludzkiego ciała?- Wszyscy Medykusi mogą tego dokonać, to właśnie nazywamy Cieleśną Introdukcją. To jest podstawowy powód, dla którego się tutaj znalazłeś, chcemy ci pomóc i towarzyszyć twoim pierwszym krokom w ludzkim organizmie i jego pięciu Uniwersach. Jeśli posiadasz tę umiejętność - podkreślił pan Brave.

Oskar wyprostował się na krześle. Jego duma została została urażona. Miał tylko jedno marzenie: udowodnić, że owszem, posiada. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Winston Brave nie dał mu dojść do słowa.

- Nie, żadnych pytań na ten temat. Przyjdzie pora, że się dowiesz, może nawet szybciej, niż sądzisz. Będziemy ci oczywiście pomagać na tyle, na ile to możliwe, wiedz jednak, że bardzo wiele będzie zależało wyłącznie od ciebie.

Oskar kiwnął głową, nie był jednak pewien, czy dobrze wszystko rozumiał.

- A teraz - powiedział Wielki Mistrz - jeśli chcesz umknąć przed deserem Cherie, chodź ze mną.

Winston. Brave wstał i Oskar zdał sobie sprawę, że głos szedł w parze z sylwetką i wyglądem: Wielki Mistrz robił niezwykle wrażenie, wydawało się, że wypełnia swoją postacią całą jadalnię.

Chłopiec przeszedł za nim przez salon, aż do lustra w stylu art deco stojącego przy ścianie w głębi pokoju. Brave przesunął jedną ręką lustro po szynie i Oskar ujrzał drzwi, nieco węższe i niższe od pozostałych. Wielki Mistrz wyjął swój medalion i wpasował go w zagłębienie wytłoczone w drewnie. Litera i szmaragd pasowały idealnie, drzwi się otworzyły. Winston Brave zachęcił chłopca, by wszedł za nim, a sam pochylił się i pierwszy przekroczył próg.

Weszli do dużo mniejszego i przytulniejszego pomieszczenia, którego ściany zakrywały liczne obrazy i półki z książkami. Pośrodku stało biurko z lat trzydziestych XX wieku, zajmujące niemal całą powierzchnię pokoju. Dziwne, ale nie było tu ani jednego okna, a światło płynęło wyłącznie ze stojącej na biurku lampy, której podstawę tworzył wąż, owinięty wokół kielicha. Żarówka świeciła słabo, rzucając na ściany cień dużej litery M, widniejącej na tkaninie abażura. Winston Brave zamknął za nimi drzwi i przyłożył złotą literę do przedziwnego zamka. Rozległ się dźwięk zamykanego mechanizmu.

- Nikt nam nie będzie przeszkadzał - wyjaśnił Winston Brave.

Przeszedł kilka kroków i stanął przed popiersiem, przedstawiającym człowieka, do którego sam był uderzająco podobny. Oskarowi wydało się, że twarz ożyła, a jej oczy otworzyły się szeroko na widok Wielkiego Mistrza. To nie było przywidzenie.

- Witaj, stryju Charlesie.

Rzeźba skinęła na powitanie.

- Drogi stryju, oto Oskar. Oskarze, przedstawiam ci mojego praprapraprzodka, Charlesa Brave'a, słynnego Wielkiego Mistrza Medykusów.

Winston Brave czekał na reakcję przodka - a raczej tego, co po nim pozostało. Nie chciał zdradzać Oskarowi, że Charles Brave jeszcze za życia znany był ze swojego paskudnego charakteru. Był całkowicie nieprzewidywalny. Kiedy miał zły humor, równie skutecznie można było próbować nawiązywać rozmowę z krzesłem lub ołówkiem. Aktualny Wielki Mistrz obawiał się, że trafili na taką właśnie kiepską chwilę. Miał rację - popiersie zastygło w swojej odwiecznej pozycji i zamknęło oczy,

jak gdyby zawsze było tylko i wyłącznie marmurową rzeźbą i niczym więcej. Najwyraźniej nie był to właściwy dzień, by zawracać stryjowi głowę i przedstawiaćmu kogokolwiek, a tym bardziej nie należało żądać od niego jakichkolwiek rad.

Winston Brave nie odkrył jednak jeszcze swoich wszystkich kart.

- Być może go rozpoznajesz - ciągnął. - Oskar jest synem Vitalego Pilla.

Nazwisko wymówił ze szczególnym naciskiem. Tym razem marmurowa głowa odwróciła się w stronę chłopca i otworzyła oczy. Wyczyny Vitalego wryły się w pamięci wielu osób - nawet jeśli stryj Charles nie żył już od trzystu lat, to jego popiersie znało opowieść o walce Vitalego z Wielkim Patologusem. Charles musiał mieć swoje informacje na temat losu Vitalego... Co wiedział? Należało skorzystać z faktu, że zwrócił na Oskara uwagę.

- Ten młody człowiek najwyraźniej odziedziczył moce Medykusa - rzekł Winston. - Niedługo będzie mógł przeniknąć do żywego organizmu, będzie też walczył u naszego boku w naszej sprawie, którą bez wątpienia znasz. Dlatego musi mieć to wszystko, czego potrzebuje każdy Medykus, stryju Charlesie.

Stryj odwrócił się w stronę Brave'a. Zmarszczył brwi, wzruszył ramionami i potrząsnął głową. Wydawał się oburzony.

- Mój drogi stryju, musimy mieć zaufanie do Berenice Withers, którą przecież bardzo sobie cenisz, o ile pamiętam. Bierze na siebie całą odpowiedzialność, a ja postanowiłem udzielić jej wsparcia.

Po całej serii dziwnych min - w sumie dobrze, że nie mógł mówić... - Charles kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Oskarowi ulżyło. Pochylił się w stronę Wielkiego Mistrza Medykusów i spytał szeptem:

- Proszę pana... czy pana stryj żyje? Winston Brave uśmiechnął się.

- Tak i nie. Kiedy dowiesz się więcej o naturze Medykusów, zrozumiesz także, na czym to polega. Medykusi i Patologusi mają wspólną cechę: nigdy nie znikają do końca, chyba że zostaną zabici w trakcie walki wewnątrz organizmu. W przeciwnym

razie, jeżeli umierają ze starości, z powodu jakiejś choroby czy wypadku, lub jeśli ktoś uśmierci poza organizmem - duch pozostaje żywy i może przemieszczać się zgodnie z ich wolą. Mogą obrać sobie za siedzibę jakiś przedmiot, rzeźbę, książkę, cokolwiek - może to być zresztą kilka obiektów jednocześnie. Mogą też przebywać w innej istocie ludzkiej.

Oczy Oskara rozbłysły.

- A więc skoro mój ojciec zginął w wypadku, może...

- Tak, możliwe, że jego duch gdzieś przetrwał. Nigdy jednak nie wiemy tego na sto procent, jeśli sam nie zdecydował się ujawnić swego istnienia. Jedno natomiast jest pewne - jeśli jakiś Medykus umiera na zewnątrz ludzkiego ciała, jego moc przekazywana jest innej istocie. Uważaj, to samo dotyczy Patologusów, dlatego jeśli walczy się z Patologusem na zewnątrz ciała, lepiej jest go uwięzić niż zabić. Żeby całkowicie, raz na zawsze zniszczyć ciało, duszę i moce Medykusa lub Patologusa, trzeba zabić go w trakcie Cieleśnej Introdukcji.

Oskar spuścił wzrok, rozczarowany, że nie zdołał się dowiedzieć, czy duch jego ojca skrył się gdzieś. A może był w jego bezcennym zdjęciu?

Winston Brave pochylił się nad chłopcem i spojrzał mu uważnie w oczy.

- Jeśli jesteś prawdziwym Medykusem, Oskarze Pillu, wiedz, że chodzi o coś więcej niż o naukę medycyny. Nie ograniczysz się do jednego świata. Będziesz podróżował, wykonując misje w wielu rozmaitych światach, wśród których żaden nie jest podobny do drugiego. Powinieneś być z tego dumny, a przede wszystkim musisz na to zasłużyć. I być może, pewnego dnia, twój ojciec objawi ci się w jakiś sposób, kto wie?

W tym momencie uwagę Oskara przykuł jakiś dziwny dźwięk. Chłopiec wychylił się nieco, wystarczająco, by za plecami Winstona Brave'a zobaczyć popiersie, zamieszkane przez ducha stryja Charlesa. Usta rzeźby były otwarte, wargi wciąż się rozciągały. W ciągu kilku sekund twarz stryja stała się czerwona, później ciemnoniebieska, aż w końcu niemal fioletowa.



- Proszę pana! - krzyknął Oskar, nieco speszony, że musi przerwać Wielkiemu Mistrzowi - Pana stryj... mam wrażenie, że ma jakiś problem!

Winston Brave odwrócił się szybko i rzucił się w kierunku popiersia.

- Gdzie ja mam głowę? - zapytał zawstydzony.

Włożył dłoń do szeroko otwartych ust, a następnie szybko ją wyjął. Stryj Charles zaczerpnął nareszcie powietrza, zaczął się krztusić i parskać, odzyskując powoli swoją normalną barwę - marmuru.

- Wszystko w porządku, stryju?

Rzeźba rzuciła wściekłe spojrzenie w kierunku bratanka i zamknęła oczy. Duch stryja usunął się zapewne w najgłębsze rejony popiersia i nie dałoby się już nic więcej z niego wyciągnąć.

- Cóż, wydaje mi się, że rozsądnie będzie, jeśli na razie damy mu spokój - powiedział Wielki Mistrz zatroskany.

Oskar ostrożnie odsunął się od rzeźby, na wypadek gdyby duch stryja Charlesa zdecydował się pojawić z powrotem i dać upust swej straszliwej złości. Winston Brave usiadł w fotelu. - Zbliź się, Oskarze - poprosił.

Chłopiec podszedł bliżej, okrążając biurko, aż w końcu znalazł się na wprost Wielkiego Mistrza. Winston Brave wyciągnął rękę, którą przed chwilą wyjął coś z ust popiersia, i otworzył ją. Oskar otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Powinieneś zamknąć usta, przywodzisz mi kogoś na myśl - powiedział cichym głosem Wielki Mistrz, rzucając spojrzenie w kierunku stryja Charlesa.

- To... to jest dla mnie? - wyjąkał Oskar.

- Tak, to dla ciebie. Weź to do ręki i potrzymaj przez kilka chwil.

- Do prawej ręki - dodał Oskar, chcąc uprzedzić Wielkiego Medykusa.

- Tak - potwierdził Brave - do prawej ręki, tej, „którą się kładzie na sercu i która otwiera ciało”, jak już się niedługo dowiesz.

Oskar wziął przedmiot, który lśnił w dłoni Mistrza. Był to medalion. Zacisnął palce wokół Pierwotnej Litery i poczuł, jak w zagłębieniu jego dłoni rodzi się ciepło,

które rozchodzi się aż do ramienia i dalej, przez klatkę piersiową, do serca, żeby stamtąd wznieść się w stronę karku i głowy.

Winston Brave obserwował chłopca zaskoczony. A zatem Berenice Withers miała rację co do tego dziecka?... Ujął łańcuszek, do którego przyczepiony był medalion, i zawiesił go na szyi Oskara. Następnie przyłożył swoją dłoń do dużego M, tuż przy sercu chłopca.

- Od niezliczonych pokoleń stryj Charles jest strażnikiem Litery, Oskarze. Tylko jego duch - w tym popiersiu lub w innym miejscu - może przekazać Medykusowi medalion Zakonu, nadając mu jego właściwą moc. Ta Litera należy terazdo ciebie, ponieważ ty pierwszy nosisz ją przy swoim sercu. Nigdy się z nią nie rozstawaj. Nikt inny poza tobą nie będzie się mógł nią posługiwać, chyba że na to pozwolisz. To twoja Litera i jeśli na to zasłużysz - ciągnął Winston Brave - będzie ci towarzyszyła przez całe twoje życie Medykusa. Poprowadzi cię, będzie twoim przewodnikiem i twoją siłą, światłem w ciemnościach. Doda ci odwagi, kiedy nie będzie już żadnej nadziei, osłoni cię przed wszelkim złem i przed każdym wrogiem.

Winston Brave podniósł swoją dłoń, Oskar spojrzał na symbol Medykusów.

Wielki Mistrz zawahał się przez chwilę. To, co miał teraz zrobić, angażowało go osobiście i było sprzeczne z decyzją, którą podjął trzynaście lat wcześniej, a która dotyczyła rodziny Pillów. Dostrzegł spojrzenie niebieskich oczu, wpatrzonych w niego z uwagą. Zbliżył w końcu medalion Oskara do swojego własnego. W tym momencie medalion Oskara zalśnił zielonym blaskiem, później przybrał z powrotem barwę złotą.

- Łącząc je ze sobą w moim ręku, wiązę twoją Literę z moją - dorzucił Winston Brave. - Gdziekolwiek się znajdą, zawsze będą umiały się nawzajem odnaleźć. O tym także powinieneś pamiętać.

Odsunął delikatnie Oskara.

- Teraz - powiedział - idź do pani Withers. Mam trochę pracy i ty także.

Oskar oddalił się w stronę drzwi, nie spuszczając oka ze swego medalionu. Wielki Mistrz zatrzymał go jeszcze na chwilę.

- Ostatnia sprawa - powiedział. - Wyjaśniłem ci, że z pewnych powodów żyjemy wszyscy w stanie zagrożenia - a dla ciebie jest ono być może jeszcze większe niż dla innych. Do ciebie, ponieważ ty pierwszy nosisz ją przy swoim sercu. Nigdy się z nią nie rozstawaj. Nikt inny poza tobą nie będzie się mógł nią posługiwać, chyba że na to pozwolisz. To twoja Litera i jeśli na to zasłużysz - ciągnął Winston Brave - będzie ci towarzyszyła przez całe twoje życie Medykusa. Poprowadzi cię, będzie twoim przewodnikiem i twoją siłą, światłem w ciemnościach. Doda ci odwagi, kiedy nie będzie już żadnej nadziei, osłoni cię przed wszelkim złem i przed każdym wrogiem.

Winston Brave podniósł swoją dłoń, Oskar spojrzał na symbol Medykusów.

Wielki Mistrz zawahał się przez chwilę. To, co miał teraz zrobić, angażowało go osobiście i było sprzeczne z decyzją, którą podjął trzynaście lat wcześniej, a która dotyczyła rodziny Pillów. Dostrzegł spojrzenie niebieskich oczu, wpatrzonych w niego z uwagą. Zbliżył w końcu medalion Oskara do swojego własnego. W tym momencie medalion Oskara zaśnił zielonym blaskiem, później przybrał z powrotem barwę złotą.

- Łącząc je ze sobą w moim ręku, wiązę twoją Literę z moją - dorzucił Winston Brave. - Gdziekolwiek się znajdą, zawsze będą umiały się nawzajem odnaleźć. O tym także powinieneś pamiętać.

Odsunął delikatnie Oskara.

- Teraz - powiedział - idź do pani Withers. Mam trochę pracy i ty także.

Oskar oddalił się w stronę drzwi, nie spuszczając oka ze swego medalionu. Wielki Mistrz zatrzymał go jeszcze na chwilę.

- Ostatnia sprawa - powiedział. - Wyjaśniłem ci, że z pewnych powodów żyjemy wszyscy w stanie zagrożenia - a dla ciebie jest ono być może jeszcze większe niż dla innych.

- Dlaczego? - spytał Oskar, zaintrygowany.

Brave zawahał się. Chciał uczulić chłopca na groźną sytuację, jaka może wyniknąć z działań Patologusów, nie zamierzał go jednak nadmiernie straszyć.

- Dlatego, że nie jesteś jeszcze w stanie sam się obronić. Podobnie jak wszyscy ci, którzy nie są jeszcze w stanie korzystać w pełni ze swoich mocy Medykusów, ty także na razie powinienes się mieć na baczności. Musisz być ostrożny i dyskretny - nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział o twojej obecności w tym miejscu. Tak czy inaczej, im bardziej będziesz dyskretny, tym będziesz bezpieczniejszy. Czy to jest zupełnie jasne?

Oskar kiwnął głową.

- Będziesz odtąd spędzał weekendy w domu, w Babylon Heights. W tygodniu, kiedy będziesz mieszkał tutaj, nie powinienes wychodzić poza ogrodzenie Cumides Circle bez poinformowania mnie o tym - mnie albo Bonesa, nawet wtedy, jeśli będziesz chciał gdzieś wyjść na godzinę. Nawet na minutę... I niezależnie od tego, co się wydarzy, musisz być z powrotem w domu przed porą kolacji. Jeśli nie wrócisz punktualnie, Oskarze, drzwi Cumides Circle będą dla ciebie zamknięte na zawsze. Tak będzie dopóty, dopóki mieszkasz tutaj. Do chwili, kiedy staniesz się prawdziwym Medykusem.

Głos Wielkiego Mistrza wyraźnie stwardniał. Oskar wiedział, że nie ma wielkiego wyboru, chociaż nie znosił zasad i od zawsze było mu trudno je uszanować. Tym razem musiał zastosować się do owych poleceń, co do słowa.

### **Biała kartka**

Oskar wyszedł z gabinetu, minął salon. Bones już na niego czekał.

- Pani Withers dołączy do ciebie za chwilę w bibliotece - powiedział majordomus.

Przeszli razem przez hall, otworzyli szerokie, dwuskrzydłowe drzwi i weszli do olbrzymiego pokoju, którego okna mieściły się na frontowej fasadzie Cumides Circle.

- Możesz usiąść na tym krześle, przy końcu stołu konferencyjnego - polecił mu Bones. - Nie dotykaj jednak niczego, jeśli nie chcesz mieć kłopotów. Nie wszyscy tutaj mają ochotę grywać z tobą w piłkę nożną czy też w baseball.

Kiedy Bones zamknął drzwi, Oskar wykrzywił się straszliwie w jego kierunku. Wolał jednak zachować ostrożność. Przekonał się już, że w Cumides Circle nawet rośliny miały oczy i uszy: ktoś zawsze mógł powtórzyć majordomusowi, co robił czy mówił za jego plecami. Zapomniał na chwilę o nakazach i zrobił kilka kroków w głąb pokoju.

Jedna ze ścian zastawiona była szafami z półkami, uginającymi się pod ciężarem niezliczonych starych, zakurzonych książek, drugą ścianę - naprzeciwko okien - w całości, aż po sufit pokrywały pociemniałe, olbrzymie portrety rozmaitych ludzi o surowym spojrzeniu.

Oskar z zaciekawieniem przyglądał się portretom. Minał je, by dojść do biblioteki. Obszedł dookoła długi, owalny stół, wokół którego stało sześć pikowanych foteli, pokrytych zielonym aksamitem. Na każdym oparciu Oskar dostrzegł Literę, którą teraz sam nosił zawieszoną na piersi. Jeden z foteli, stojący u szczytu stołu, był większy i wyższy niż inne. Litera M na jego oparciu ozdobiona była drogim kamieniem. Z pewnością był to fotel Wielkiego Mistrza.

Zanim zdołał zbliżyć się do książek, potknął się i wyłożył jak długi na podłodze. Zdażył rzucić okiem za siebie, w samą porę, żeby zauważyć cofającą się nóżkę fotela. Najpierw dywan w korytarzu na pierwszym piętrze, teraz znowu fotel podstawił mu nogę!

Już chciał się przyjrzeć lepiej swojemu napastnikowi, kiedy rozległ się głośny łoskot. Chłopiec podskoczył. Odwrócił się błyskawicznie w stronę półek z książkami. Ten sam hałas powtórzył się chwilę później. To kolejna książka uniosła się w powietrze i opadła z suchym trzaskiem na drewnianą półkę. Trzecia próbowała na siebie zwrócić uwagę w nieco bardziej dyskretny sposób, otwierając się i zaraz potem z powrotem zamykając.

Oskar podszedł do pierwszej książki, która znowu podskoczyła. Przez chwilę się wahał, a później wziął ją do ręki - gruby tom w kartonowej okładce, pogniecionej i pokrytej plamami. Położył ją na stole, ale zanim zdołał otworzyć - okładka sama się podniosła, ukazując pierwszą stronę, białą i pustą. Młody Medykus pochylił się nad książką, nie wierząc własnym oczom: na stronie pojawił się czarny punkt, a chwilę potem - litery, tak jakby zaczęła je pisać niewidzialna ręka. Linie rysowały się coraz szybciej i Oskar był już w stanie odczytać niechlujne pismo, pełne kleksów i gryzmołów:

- Kto ty jesteś, gościu?

Oskar cofnął się, zaskoczony, potem rozejrzał się dookoła. Był nadal sam w pokoju. Przesunął dłonią nad książką, rzucił okiem na sufit - nie było żadnej linki, żadnego pióra, nie mógł to być żaden trik.

- Książka, która sama do mnie mówi? - zastanowił się głośno.

Na czystej stronie znowu pojawiły się litery.

- Ty gapo! Od kiedy to książki mówią? To autor do ciebie pisze, nie książka! Ja, autor, Billy Boyd!

Oskar wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Ba... bardzo mi przykro, ale nie znam pana.

- Piff... Jasne, nie znasz mnie, nie masz: pojęcia o niczym, powiedz, co ty właściwie umiesz; robić?

Już miał odpowiedzieć Billy'emu Boydowi, kiedy pozostałe dwie książki zaczęły dawać znaki z bibliotecznej półki. Przestał zwracać uwagę na złośliwości autora i wyciągnął rękę w kierunku księgi, która wydawała się go wzywać. Niestety, stała za wysoko.

Zawahał się przez chwilę, a potem podszedł do fotela, stojącego przy stole. Pamiętał pełen szacunku styl, w jakim Wielki Mistrz zwracał się do popiersia swego stryja. Postanowił potraktować tak samo fotel, w razie gdyby mieszkał w nim duch jakiegoś innego Medykusa...

- Eee... - zająknął się chłopiec - witam pana. Czy byłby pan tak uprzejmy i pozwolił mi wejść... eee... na pana, na jedną małą chwilkę? Chciałbym wziąć te książki z półki, ale jest za wysoko...Nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać, ani też jakiej właściwie odpowiedzi miał się spodziewać po fotelu, nie miał jednak nic do stracenia. Zrobił krok w kierunku fotela, ten jednak odskoczył nieco do tyłu. Drewniana nóżka wysunęła się w kierunku stóp Oskara, który w końcu zrozumiał, czego od niego oczekiwano.

- Ach tak, chciałby pan, żebym zdjął buty, zgadza się?

Fotel pochylił swoje oparcie. Oskar natychmiast posłusznie zdjął buty i stanął w samych skarpetkach. Książka Boyda znowu zaczęła podskakiwać i Oskar nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić okiem na pojawiające się po raz kolejny słowa.

- Ratunku! Coś cuchnie! Włóż to natychmiast z powrotem!

- Akurat! - warknął rozżłoszczony Oskar.

Boyd naśmiewał się dalej na swojej stronie, pisząc wyłącznie drukowanymi literami. Chłopiec najchętniej wyrzuciłby księgę za okno, ale na półce wciąż dawały o sobie znać dwa inne dzieła, waląc z całych sił okładkami w drewno półki. Fotel przysunął się łagodnie do biblioteki, odsunął podłokietniki. Oskar wszedł ostrożnie na siedzenie. Sięgnął po książkę, która najaktywniej walczyła o uwagę. Było to opasłe dzieło o oprawie w dobrym stanie, osłonięto ją bowiem plastikową okładką.

Położył książkę na stole, obok dzieła Boyda, który zareagował natychmiast.

- O, nie, nie, tylko nie ona! - wykrzyknął od razu. - Tej pani wydaje się, że zjadła wszystkie mądrości, zaraz nas zacznie zadreczać swoją wiedzą!

Oskar szybko otworzył świeżo wyjętą książkę, zachwycony, że zrobi na złość Boydowi. Pojawiły się pierwsze słowa, pisane równo i bez skreśleń.-No proszę, kogo my tu widzimy - ...Boyd! Ktoś się zlitował czy raczej był na tyle niemądry, że otworzył książkę i pozwolił ci pisać...

Książka zwróciła się potem do Oskara:

- A ty, który byłeś tak dobry i zdjąłeś mnie z tej zakurzonej półki, kim jesteś? Nigdy cię tu nie widziałam!

Oskar już chciał odpowiedzieć, gdy trzecia książka zaczęła zagrażać półce bibliotecznej. A była znacznie grubsza niż dwie pozostałe. Bezustannie waliła w ścianę. Mogła zaalarmować cały dom, za chwilę się napatoczy zaniepokojony Bones.

Chłopiec szybko wszedł na fotel, który nadal stał pod szafami bibliotecznymi. Egzemplarz, który musiał podnieść obiema rękami, miał skórzaną okładkę, miejscami nieco poprzecieraną, pachniał też nieco stęchlizną. Była to jednak bardzo piękna księga. Kiedy młody Medykus szykował się, by zejść z fotela, jego uwagę przyciągnęła czwarta książka, która delikatnie zadrżała. Był to raczej zbiór kartek, zgromadzony w brązowej teczce, zamkniętej za pomocą tasiemki i małej metalowej klamerki. Kartki rozchyliły się delikatnie, a potem złożyły się znowu bezszelestnie, uniósł się tylko nad nimi mały obłoczek kurzu. Oskar odłożył księgę, oprawną w skórę, zawahał się przez chwilę, po czym szybko zawrócił i wszedł po raz ostatni na fotel, żeby zdjąć teczkę z półki.

Ułożył cztery książki rzędem na stole i otworzył te dwie, które zdjął z półki jako ostatnie.

Pierwsza strona dzieła w skórze była lekko pożółkła, ale słowa, elegancko wykaligrafowane, następowały po sobie niezwykle harmonijnie; towarzyszył im przy tym odgłos dziwnego drapania po papierze.

- młodzieńcze - No tak, tego tylko brakowało, teraz jeszcze ten przodek będzie tu mącił! - narzekał Boyd. - Słuchaj, ty prehistoryczna skorupo, od tego skrobienia ptasim piórem po papierze mam gęsią skórę!

- Wiem o tym^ - odpowiedział autor skórzanej księgi, starając się pisać szczególnie ozdobnie, w związku z czym skrobienie się nasiliło - to cię nauczy, że do starszych należy podchodzić z szacunkiem!

- Zaraz, zaraz, mój chłopcze - odezwała się znowu dama z książki w plastikowej okładce - zdaje się, że zadałam ci jakieś pytanie kilka minut temu...

- Mam na imię Oskar - powiedział chłopiec. - Oskar Pili.

- Ha, to nazwisko coś mi mówi, ale nie pamiętam dobrze... - odparła.



Oskar już miał odpowiedzieć, kiedy na białej stronie, z tych zamkniętych w leżącej nieco dalej teczce, pojawiła się pierwsza kreska. Pismo było bardzo delikatne, prawie przejrzyste. Wydawało się, jakby ktoś pisał słowa za pomocą włoska; zdania trzymały się nieśmiało razem, w rogu strony.

- Czy to możliwe... czy to możliwe, żebyś był synem starego Pilla? Tego sławnego starego Pilla?

Nagle wszystkie strony zaślniły czystą bielą, później Boyd zaczął zapisywać swoją. Głównie naśmiewał się do rozpuku.

- HA, HA, HA, HA! Syn starego Pilla! - wrzasnął Boyd. - Akurat! A ja jestem siostrą Madonny!

- Cicho siedź, Billy! - uniosła się pewna siebie dama. - Bardzo mi miło, chłopcze, nazywam się Estelle Fleetwood, i jestem równie, a może jeszcze bardziej znana niż twój ojciec. Napisałam wspaniałe dzieło, noszące tytuł Olśniewający, wielce fascynujący i całkowicie kompletny traktat o mocach Medykusów. Dlatego właśnie w dniu mojej śmierci postanowiłam, że mój duch zamieszka w tym egzemplarzu, należącym do Winstona Brave'a. Wielki Mistrz zasłużył sobie w końcu na to, a ja nie mogłam mierzyć niżej...

Oskar westchnął. W związku z bezczelnymi uwagami Billy'ego Boyda i wobec pretensjonalnych wypowiedzi Estelle Fleetwood miał tylko jedno marzenie - odłożyć te książki na półkę. Jego uwagę przyciągnął nieśmiały wpis na kartce z teczki.

- Tak, to był mój ojciec! - powiedział, odwracając się w jej stronę. - Pani go znała?

- Przede wszystkim dużo o nim słyszałam... Nazywam się Julia, Julia Jacot, Oskarze. Nie tyłam nigdy nikim ważnym - Wyznała skromnie. - Zanim umarłam i schroniłam się w tej teczce, byłam tylko sekretarką pana Dravea. Ale twój ojciec był prawdziwym bohaterem! O, uwielbiałam go! Któż, jak nie on, ośmielił się przeciwstawić Wielkiemu latologusowi?

- Co takiego? Co powiedziałaś? - napisał wdzięcznym charakterem pisma starszy pan z dzieła oprawnego w skórę. - Gdy mógł wywiązać się nieco wigiwz^

uptz^mo^ci^ niż ten ytuSianin Boyd? ZecSciałByć ptzyóuując &ię nieco 6&zęf? Zfejuż  
dfy&zf. Gzyim jedećóynem?...

- ...Celii i Vitalego Pillów, proszę pana.

- ćPtf? - zdumiał się autor. - tKe}, u^łam, dyóze&Jcie? 3Kój ckoyi citfapcze, to  
dda, mnie zaAzczyt, doStze znalazem twego ojca...

- ...chyba dziadka, ot, co! - mruknął Boyd w dwóch rozmazanych linijkach.

- SZazywamóif GAySome de Saint-£<itynec) fka&ia de iBteviaite) matiiz de  
GataMinl - ciągnął starszy pan. - 3Lipi/>aiem (U&la

<&Łommyc& dziePz za&fcftHi ^Mtc/cii tJlZedy&uóów, między innymi  
ninieją (tóu^eczllfylhóta-wie&e to młodzieńcze? 9Kógffym cif (epiej  
zoSaczyć.Alphonse de Saint-Larynx sprawił, że na kartce pojawił się kwadracik ze  
srebrzystego atramentu, wyglądający jak lustерko. Odbicie Oskara migotało w nim,  
jakby odbite w wodzie.

-(Do diadut! - zawołał zgrabną kursywą markiz pod owym kwadracikiem. -  
Podobieństwo jest wręcz zdumiewające! chłopcze, że zawsze chętnie przydam  
wiedzy jesli tylko wyrazisz takie życzenie.

- Ach, ja także! - przyłączyła się Estelle Fleetwood, pisząc dużymi i szerokimi  
literami. - Tym bardziej że jeśli jesteś istotnie młodym Medykusem, nie widzę  
możliwości, abyś mógł poradzić sobie bez mojej wiedzy, mój drogi!

- Ja... ja też zawsze ci chętnie pomogę, w miarę moich skromnych  
możliwości... - Julia odważyła się napisać te słowa wyblakłym atramentem. - To jest  
dla mnie niezwykle zaszczyt, Oskarze!

Oskar potargał czuprynę i odsapnął ciężko. Nie nadażał z czytaniem to jednej,  
to drugiej kartki.

- Dziękuję, Julio, dzięki wam wszystkim - powiedział - myślę jednak, że pani  
Withers zajmie się mną, pokaże mi, jak przenikać do ludzkiego organizmu i... no, i  
wszystkie te sprawy - Oskar zakończył swoją kwestię z pewną trudnością, nie za  
wiele bowiem jeszcze wiedział na ten temat.

- Withers! - wrzasnął Boyd, lejąc obficie atrament. - Ta stara sroka! biedaku, wpadłeś z, deszczu pod rynną! Poradzisz sobie jakoś, jeśli zajmiesz się raczej lekturą mojej książki. Ujawniam sekrety Patologusów i to, co wiem o ich mocach... To znaczy - ujawniam, jeśli mam ochotę.

Oskar z wyraźną niechęcią czytał Boyda, jednak jego opinia na temat pani Withers rozzłościła chłopca nie na żarty.

- Jestem pewien, że gdyby pani Withers tu była, nie strugałby pan takiego wazniaka! Za kogo pan się ma właściwie? Pisze pan jak kura pazurem, a pana książka ma podarte kartki!-Chętnie tym ci odpowiedział, smarkaczu, ale nie mam już miejsca - napisał Boyd. - Jeśli mógłbyś przewrócić stronę, byłoby mi łatwiej... flo, cKyta że się boisz, moich odpowiedzi...

Oskarowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Miałby się bać Boyda? Z pewnością nie!

- Nie, mój mały, nie słuchaj tego...

Estelle Fleetwood nie zdążyła skończyć zdania. Ułamek sekundy później młody Medykus krzyknął z bólu. Książka Boyda - który oczywiście był w stanie sam sobie przewrócić stronę, ale skąd Oskar miał o tym wiedzieć? - książka ta zamknęła się nader energicznie, przytrzaszkując palce chłopca. Antologia Patologusów zatrzęsała się ze śmiechu.

- Ach! - jęknęła Julia, zginając wpół swoją kartkę.

- Piotrze! - krzyknął markiz.

Oskar uwolnił palce, siny ze złości. Złapał książkę Boyda drugą ręką i już miał ją rzucić przez całą bibliotekę, kiedy zatrzymał-go czyjś głos.

- Co tu się dzieje?

Oskar odłożył książkę.

Przed nim stała pani Withers, sztywno wyprostowana; wydawała się dużo wyższa niż zwykle. Jej głos brzmiał bardzo surowo, a na twarzy tym razem wyjątkowo nie widać było ani cienia uśmiechu.

- Kto ci pozwolił ruszać te książki? - spytała cierpko.

- Ja... ja tylko...

Oskar nie miał pojęcia, jak ma się wytłumaczyć. Zamilkł i spojrział w stronę rozłożonych na stole książek.

Pani Withers przeszła obok niego i rzuciła okiem na ostatnie wpisy w księgach. Spojrzała na Oskara, zaskoczona.

- Widzę, że autorzy zdążyli cię już dobrze poznać - powiedziała w końcu. - Tym razem ciekawość dobrze tobą pokierowała. Zajrzałeś do książek, które opisują najważniejsze zjawiska, o których młody Medykus powinien wiedzieć... No, może poza tą teczką. Nie przyda ci się na nic, to archiwum, są w niej stare wycinki prasowe.

Julii Jacob zrobiło się wyraźnie przykro. Sprawiała, że zniknęło tych kilka linijek, które zdążyła napisać na swojej kartce. Teczka zadrżała. Oskar zbliżył się do niej i udało mu się przeczytać kilka ledwo widocznych słów:

- Bardzo cię prosię, Oskarze, zamknij teczkę - napisała Julia.

Oskar spełnił jej prośbę, pochylił się jednak wcześniej dyskretnie i szepnął:

- Jeszcze raz dziękuję za to, co pani powiedziała, przyjdę znowu kiedyś odwiedzić panią.

Zdążył jeszcze ujrzeć uśmiech, narysowany szybką kreską w rogu okładki, potem już nic.

Pani Withers poprawiła swoje czerwone okulary i pomaszzerowała w kierunku stołu.

- Chodź ze mną. Usiądziemy przy stole Rady. Musisz dowiedzieć się paru spraw, zanim rozważymy Introdukcję Cieleśną.

Oskar odczekał, aż pani Withers pierwsza usiądzie w fotelu, sam trzymał się ostrożnie w pewnej odległości od każdego z nich.

- To fotele członków Najwyższej Rady Medykusów, Oskarze. Wszystkie są w pewnym sensie istotami żywymi - być może sam już zdążyłeś to zauważyć?

- Cóż, tak, w pewnym sensie - odpowiedział Oskar, który czuł jeszcze na kostce ślad po akcji agresywnego fotela, stojącego po prawej stronie.-Oto Tytus, mój wierny przyjaciel. Tytusie, przedstawiam ci Oskara.

Tytus pochylił górną część oparcia. Oskar rozpoznał swego wybawiciela i posłał mu porozumiewawczy uśmiech.

- A oto Sissi, po przeciwnej stronie stołu. To fotel księżnej Anny-Marii Lumpini, na prawo - Machiavelli, fotel Fletchera Worma.

Oskar postarał się zapamiętać imię tego ostatniego siedziska. Nie bardzo wiedział, dlaczego - czuł jednak, że będzie się musiał mieć na baczności zarówno przed fotelem, jak i przed jego właścicielem. Tymczasem Sissi powitała ich, powiewając wstążkami, którymi ją ozdobiono. Po chwili zaczęła rozsnuwać wokół tak intensywne zapachy, że pani Withers i Oskar musieli się odsunąć.

- A tutaj, popatrz proszę, Gavroche - fotel Alistaira McCoo-leya, obok niego zaś stoi Ginger Rogers, fotel Maureen Joubert. Nie martw, się - powiedziała, widząc, że Oskar wicherzy sobie włosy, zaniepokojony liczbą nowych nazwisk. - Niedługo będziesz miał okazję spotkać ich wszystkich.

- A ten największy fotel, na samym końcu? - spytał młody Medykus.

- Na pewno sam się domyśliłeś - powiedziała pani Withers. - To Karol Wielki, fotel Wielkiego Mistrza. Nikt inny nie może siadać na Karolu Wielkim, Oskarze. Nikt inny.

Oskar kiwnął głową bez słowa, ze wzrokiem utkwionym w duże M, wyrzeźbione w drewnie i wieńczące oparcie fotela. Szmaragd, widniejący w środku Litery, zalśnił i chłopiec poczuł przelotny ciepły prąd w swoim własnym medalionie.

- Usiądź na tym krześle - poradziła pani Withers - tutaj, po drugiej stronie stołu. Tytus przesunął się, ustawiając się tuż koło krzesła tak, aby starsza pani mogła usiąść obok swojego ucznia.

- Oskarze, będziesz miał okazję nauczyć się nieskończenie wielu rzeczy, dotyczących życia Medykusów i...

- Ach tak? Ktoś tu o mnie wspomniał? Zapewne ma pani na myśli moją nieograniczoną wiedzę, z której to dziecko mogłoby skorzystać, zważywszy na moje znane wszystkim uzdolnienia pedagogiczne?

Na drugim krańcu stołu książka Estelle Fleetwood podniosła się zuchwale, tak aby oboje - Oskar i jego nauczycielka - mogli ją lepiej widzieć.

Pani Withers westchnęła głęboko.

- Cóż, nie do końca, Estelle, ale dziękuję, że proponuje nam pani swoją pomoc, jest pani doprawdy bardzo uprzejma. Na czym to skończyliśmy?

- Zasypuje go pani szczegółami bez znaczenia, Berenice, tymczasem tu, w mojej książce, znajdzie wszystko, co najważniejsze! - Estelle nie dawała za wygraną.

Pani Withers odezwała się łagodnie:

- Przepraszam cię na moment, Oskarze.

Wstała i obeszła stół dookoła drobnymi, szybkimi kroczkami, ze splecionymi dłońmi. Uśmiech ani na chwilę nie zniknął z jej twarzy. Estelle Fleetwood ciągnęła dalej wyjątkowo pochwalne uwagi na temat swojej osoby, nie było jej jednak dane rozwinąć tego wątku. Pani Withers jednym, energicznym ruchem zatrasnęła książkę i odłożyła ją na stół. Dla pewności przycisnęła ją jeszcze opasłym, oprawnym w skórę tomem Alphonse'a de Saint-Larynxa, zachwyconego faktem, iż może pomóc w ostatecznym uciszeniu pretensjonalnej autorki.

- Cóż - powiedziała pani Withers, wróciwszy na swoje miejsce - będziemy mogli nareszcie porozmawiać spokojnie. Oskar starał się skupić. Odetchnął z ulgą, kiedy pozbyli się Estelle, przede wszystkim był niezwykle zadowolony z faktu, że tym razem będzie słuchał. Owszem, lubił czytać, ale czytanie równocześnie w kilku książkach tekstów pisanych z prędkością światła było doprawdy mocno wyczerpujące.

- Powinieneś zrozumieć przede wszystkim - podjęła znowu starsza pani - że wszystko to, co przeczytasz w książkach lub czego dowiesz się od kogoś, nie może równać się z doświadczeniem, jakie zdobędziesz wewnątrz ludzkiego organizmu. Dlatego powiem ci tylko tyle, ile trzeba, byś mógł przystąpić do Introdukcji, a

później, wewnątrz ludzkiego ciała, nauczysz się tego wszystkiego, co jest niezbędne, by zostać Medykusem.

- Chce pani przez to powiedzieć, że nauczy mnie pani, jak przenikać do wnętrza ciała, a dalej będę musiał radzić sobie całkiem sam? - spytał Oskar zaniepokojony.

- Częściowo tak to właśnie będzie wyglądało. Ale nie martw się. Przede wszystkim, słowo „nauczyć” nie do końca tutaj pasuje. Jesteś Medykusem, masz już w sobie z natury rzeczy tę wspaniałą i niezwykłą moc przenikania do Uniwersów ludzkiego ciała. Moją rolą będzie pomóc ci wykorzystać w praktyce i rozwijać tę umiejętność. Kiedy już tak się stanie, będziesz mógł sam wykonywać Introdukcję Cieleśną, będzie to dla ciebie dziecinnie łatwe.

- A kiedy tam się znajdę, co mam właściwie robić? Jak się tam poruszać?

- Cierpliwości, Oskarze, cierpliwości! Nie pozwolę ci się zgubić, nie mam takiego zamiaru! Musisz wiedzieć o dwóch sprawach: nigdy nie przenika się do jakiegoś organizmu, nie informując o tym któregoś z członków Rady. W razie zagrożenia Wielki Mistrz może zawsze zlokalizować Medy-kusa w organizmie dzięki Detektorowi Litery.

- Detektor Litery? - spytał chłopiec, dotykając swojego medalionu.

- To nieistotne - powiedziała pani Withers. - Ważne, żebyś sobie uświadomił, że nie przenika się do czyjegoś ciała na krótki spacerek czy dlatego, że się akurat trochę nudzisz. Medykus robi to tylko w sytuacji, kiedy ma użyć swoich mocy, wyleczyć kogoś, walczyć... Rozumiemy się? - spytała pani Withers, wpatrując się uważnie w Oskara. - Nie możesz lekceważyć tych podstawowych zasad. Mogą cię uratować w razie niebezpieczeństwa. A ono z pewnością kiedyś się pojawi - dodała dużo poważniejszym głosem. Wierz mi na słowo. Ci, którzy nie brali tego pod uwagę, już nie wrócili..

Oskar nie mógł się powstrzymać od myśli, że jego ojciec wolałby pewnie zginąć w szlachetnej walce niż w katastrofie lotniczej - chociaż tak naprawdę każdy

rodzaj śmierci był w jego wypadku bez sensu. Poczuł, że ogarnia go smutek i złość, odegnał jednak czarne myśli od siebie.

- Chciałbym jak najszybciej przeniknąć do jakiegoś organizmu - powiedział pewnym głosem.

- Stanie się to już bardzo niedługo, bądź spokojny. Nie zawsze będziesz czerpał z tego przyjemność - odpowiedziała starsza pani.

- Kiedy zaczynamy? - nalegał młody Medykus.

Pani Withers skapitulowała.

- Za tydzień - powiedziała.

- Za tydzień? - spytał rozczarowany Oskar. - Ale dlaczego nie dzisiaj?

- Mimo wszystko potrzebna ci jest pewna ogólna wiedza, powiedziałam ci już. Dziś przeczytasz sobie to i owo. W ciągu najbliższych dni wyjaśnię ci jeszcze kilka spraw i będziesz gotów na chrzest bojowy. Chyba że chcesz z tym jeszcze trochę poczekać - dodała.

- Nie! - zawołał Oskar. - Będę gotowy, obiecuję, przeczytam wszystko, co trzeba!

- Dobrze, zatem zanim połkniesz wszystkie książki z tej biblioteki, chodźmy na razie do twojego pokoju. Już pewnie dotarło coś, na co czekałam.

### **„Jeśli pamięć zasnę masz, Odpowiedz mi, póki czas...”**

Oskar i pani Withers wyszli z biblioteki i przeszli przez hall. Bones uklonił się z szacunkiem starszej pani. Skierowali się na pierwsze piętro.

Minęli korytarz - tym razem Oskar pilnował się, żeby nie biec - weszli do pokoju i zamknęli za sobą drzwi.

Młody Medykus spojrzał zaskoczony na panią Withers.

- Czekamy na kogoś?

- Nie, na nikogo. Czekamy na coś i to coś powinno się niebawem pojawić.

W tym samym momencie gałęzie drzewa musnęły jedno z okien w pobliżu Oskara. Chłopiec nie zareagował, więc gałąź zastukała mocniej w szybę.



- Mam wrażenie, że ktoś cię woła, mój chłopcze - zwróciła mu uwagę pani Withers.

Oskar szybko się odwrócił. Dąb właśnie miał po raz kolejny uderzyć w szyby, które tym razem by już tego nie przetrzymały. Młody Medykus rzucił się więc w stronę okna i otworzył je, osłaniając jednocześnie głowę skrzyżowanymi ramionami.

- Hej, czekaj, stop, przestań, przerwa w grze! - zawołał do drzewa, które z trudnością kontrolowało swoje siły. - Wiesz, szklana szyba to coś znacznie delikatniejszego niż piłka futbolowa, lepiej żebyś...

Nie dokończył zdania - dąb delikatnie rozwinął liście i gałęzie. Na ich końcu huśtała się jakaś paczka, wyglądało na to, że za chwilę spadnie na ziemię. Oskar wziął ją do ręki, wyglądała jak gruba koperta, zaadresowana do niego:

Dla pana Oskara Pilla

CUMIDES CIRCLE

Zabezpieczona była pieczęcią z zielonego wosku, z odcisniętą literą M Medykusów.

Oskar spojrzał na panią Withers.

- Co to może być? - zdziwił się, kompletnie zaskoczony. - To dla mnie?

- Cóż, jest chyba do ciebie zaadresowana, prawda? A zatem to twoje, możesz otworzyć. To z pewnością coś ważnego, skoro powierzono paczkę Zizou.

- A więc to tak masz na imię? Zizou? - chłopiec zwrócił się w stronę dębu. - To dlatego tak lubisz grać w piłkę nożną!

- Było raczej na odwrót - powiedziała pani Withers. - Zizou tyle razy strzelał czymś w stronę okien Cumides Circle i zbił ich tyle, że koniec końców doczekał się tego przezwiska. Strzela zawsze prosto w bramkę!

\* Zizou - przydomek Zinedine'a Zidane'a, piłkarza francuskiego, byłego zawodnika francuskiej reprezentacji futbolowej (przyp. tłum.).

Nachyliła się w stronę Oskara i powiedziała cichszym głosem:

- Mieliśmy jeszcze inny powód, żeby tak go nazywać. Walnął „z byka” pewien orzech włoski, który usiłował zająć jego miejsce w ogrodzie! I wierz mi, takie uderzenie w wykonaniu drzewa to coś naprawdę bolesnego!\*

Wyprostowała się i ciągnęła dalej normalnym głosem:

- Zizou jest wspaniałym strażnikiem. Można mu powierzyć rozmaite cenne przedmioty, które muszą być pod szczególną ochroną, jak na przykład ta właśnie paczka. Czekaj, aż wrócisz do swojego pokoju, żeby ci ją przekazać. No to jak, otworzysz?

Oskar usiadł na łóżku, położył paczkę obok siebie i rozdarł opakowanie. Wyjął ze środka kwadratową książkę, oprawioną w zielony aksamit. Pokazał ją pani Withers. Na środku okładki wyhaftowano złotą nicią duże M otoczone kołem. Oskar już chciał zajrzeć do książki, kiedy pani Withers go powstrzymała.

- Oskarze, to jeden z najważniejszych atrybutów każdego Medykusa - Grimoire. Zanim go otworzysz, musisz dać mu się poznać, tak żeby w przyszłości zawsze umiał cię rozpoznać jako swego właściciela. Zapewne wiesz, co trzeba zrobić w tym celu...

Oskar namyślał się krótką chwilę, później rozpiął łańcuszek, który nosił na szyi. Położył swój medalion na książce i przykrył go prawą dłonią, przyciskając swoją Literę do aksamitu.

- Nie, Oskarze, tym razem musisz użyć lewej dłoni. Prawa symbolizuje siłę, odwagę i moc. Lewa - to dłoń serca, ducha i wiedzy.

\* Zidane uderzył „z byka” Marco Materazziego podczas finału Mistrzostw Świata w Niemczech w 2000 roku (przyp. tłum.). Oskar poprawił się i przez jego lewą dłoń zaczęła przeświecać Litera, jak gdyby przenikało ją ogniste światło.

- Teraz ten Grimoire należy tylko i wyłącznie do Oskara Pilla. I do nikogo innego.

Młody Medykus otworzył ostrożnie książkę. Zawierała jedną, jedyną stroniczkę, całkiem białą. Oskar podniósł wzrok na starszą panią, zdziwiony i rozczarowany.

- Ale... on jest pusty!

Pani Withers uśmiechnęła się.

- Grimoire ma cudowną moc - wypełnia się tym, o co go spytasz lub poprosisz. Jeśli masz Grimoire'a, to tak, jakbyś miał wszystkie księgi świata. Wystarczy, że zadasz mu pytanie, a pojawi się odpowiedź. Ale uwaga, Oskarze - podkreśliła pani Withers - masz prawo jedynie do dwóch pytań dziennie. Nie więcej. Grimoire udzieli ci odpowiedzi na dwa pytania, potem zamilknie i nie pisnie już ani jednego słówka.

Kiwnął głową.

- Mogę spróbować?

- Dlaczego nie? - odparła pani Withers. - Musisz jednak wiedzieć, że jeżeli chcesz zadać pytanie Grimoire'owi, nie możesz zwracać się byle jak. Trzeba wypowiedzieć następującą formułę:

Grimoirze

Jeśli pamięć zacną masz, Odpowiedz mi, póki czas

Pozwól wierzyć ci szczerze

I odpowiedz na papierze.

Oskar skrupulatnie powtórzył słowo po słowie to samo, co powiedziała pani Withers. Kontury kartki rozświetliły się.- Teraz - powiedziała starsza pani - połóż lewą rękę na środku tej kartki; Grimoire czeka na twoje pytanie.

Oskar zawahał się. Pani Withers uśmiechnęła się do niego.

- Jeśli twoje pytanie ma charakter zbyt osobisty, możesz zadać je w myśli, nie na głos - poradziła, chcąc mu dodać odwagi.

Oskar skupił się, a następnie zadał w myślach pytanie: Ile lat ma pani Withers? Zdusił śmiech i podniósł dłoń, odsłaniając kartkę. Dobry humor szybko mu minął, kiedy przekonał się, że jest ona nadal pusta, nie pojawiło się ani jedno słowo.

- Ech... dalej nie działa! - zawołał zawiedziony.

- No cóż, to jasne, że twój Grimoire odpowie tylko i wyłącznie na te pytania, które w ten czy w inny sposób dotyczą twojej osoby. Nie udzieli ci odpowiedzi, jeśli

twoja ciekawość skupi się na innych ludziach... albo jeśli jest w niej coś niestosownego - dorzuciła starsza pani.

Oskar zarumienił się po czubki uszu. Był coraz mocniej przekonany, że pani Withers umie czytać w jego myślach.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała.

Oskar spróbował się znowu skoncentrować, trzymając lewą rękę na Grimoirze. Zadał w końcu w myślach pytanie, które trapiło go od samego początku, kiedy tylko usłyszał o tym od pani Withers. Czy uda mi się przeniknąć do czyjegoś organizmu?

Podniósł dłoń i tym razem dostrzegł, że na kartce zaczyna się pojawiać jakiś obraz. Początkowo był zamazany, stopniowo jednak rozjaśniał się, aż w końcu Oskar rozpoznał jednego z psów pana Brave'a, nie rozróżniał jednak, czy to Rolls, czy Royce. Pies biegł ciężko przez hall w Cumides Circle. Chwilę później w kadrze pojawił się Bones. Majordomus odwrócił głowę, zupełnie jakby widział Oskara po drugiej stronie Grimoire'a. Chłopiec cofnął się instynktownie. Pani Withers uspokoiła go:

- Tylko ty sam widzisz to, co pojawia się na tej stronie, Oskarze. A ci, których widzisz w książce, nie mogą cię dostrzec.

Oskar przysunął się bliżej i zerknął znowu na kartkę: Bones patrzył na niego tak, jak patrzy się w obiektyw kamery. W końcu wzruszył ramionami i oddalił się z kpiącym wyrazem twarzy. Obraz powoli się zatarł.

- I co? - zapytała pani Withers. - Jesteś zadowolony z odpowiedzi?

- Nic nie rozumiem! - powiedział Oskar, skwaszony. - To nie była odpowiedź na moje pytanie!

- Z Grimoire'ami jest tak, jak z niektórymi ludźmi - nie możesz sobie wybrać odpowiedzi: Grimoire mówi prawdę, co więcej, mówi tylko to, co sam chce powiedzieć i jeśli chce to powiedzieć. Kiedy lepiej go poznasz, nauczysz się także zadawać mu pytania i zobaczysz, że odpowiedzi wydadzą ci się wtedy jaśniejsze.

Oskar zamknął Grimoire'a i schował go starannie do swojej walizki, zawijając go w poły peleryny.

- To koniec naszych zajęć na dzisiaj - oznajmiła mu starsza pani. - Myślę, że zasłużyłeś sobie na posiłek...

- Ale... muszę przygotować się na przyszły tydzień! Chciałbym wrócić do biblioteki - upierał się chłopiec.

- Dobrze, jeśli chcesz, możesz tam sobie jeszcze trochę posiedzieć - zgodziła się pani Withers. - Co do naszych zajęć, spotykamy się jutro. Postaraj się mimo wszystko znaleźć czas na odpoczynek, musisz być w dobrej formie!

Wyszli z pokoju i skierowali się w stronę hallu. Starsza pani opuściła Oskara na progu biblioteki. Bones podał jej żakiet i torebkę.

- Możesz poszperać w książkach, które zgodzą ci się pomóc. Ale uważaj na autorów, Oskarze. Opowiadają równie interesująco, jak piszą, nie można jednak brać każdego ich słowa za dobrą monetę - ostrzegła chłopca pani Withers. - Niektóre informacje trudno jest ogarnąć, jeśli nie ma się stosownej wiedzy, żeby je zrozumieć.

- Dobrze, zgoda - odparł Oskar, któremu spieszyło się już, żeby zagłębić się w księgach. - Nie będę czytał zbyt wiele, obiecuję.

Oskar odczekał, aż starsza pani zniknie za drzwiami wyjściowymi, po czym rzucił się biegiem do biblioteki. Bones kroczył za nim.

- Pan Brave nie będzie dziś jadł kolaży w domu - powiedział majordomus, bardziej surowo niż zwykle.

- Nic nie szkodzi - szybko odpowiedział Oskar, który zastanawiał się już, jak sformułować prośbę tak, by Tytus pomógł mu sięgnąć po książki na najwyższych półkach. - Zresztą, nie jestem głodny.

- Pan Brave bardzo stanowczo prosił, żebyś pomimo to zjadł kolację - powiedział Bones.

Oskar przypomniał sobie danie, jakie dostał na obiad, i zaniepokoił się.

Chłopcu wydawało się przez chwilę, że przez pomarszczoną twarz Bonesa przemknął uśmiech, trwało to jednak krótko.

- Jerry zaproponował, że przyrządzi ci coś bardziej... tradycyjnego.-Uff! - odetchnął z ulgą Oskar. - To świetnie. Czy wobec tego mógłbym zjeść kolację tutaj?

Majordomus podniósł brwi, zbulwersowany.

- Tutaj? W bibliotece? Nawet o tym nie myśl. Kolacja zostanie podana w jadalni, o dziewiętnastej...

- ...punkt, tak, domyślam się - dokończył Oskar.

Nie nalegał. Marzył tylko o tym, by zostawiono go w spokoju i pozwolono przeglądać te książki, do których będzie miał chęć zajrzeć. Bones wzruszył ramionami i oddalił się.

Oskar rzucił się w kierunku Tytusa. Zwrócił się do niego w kilku uprzejmych słowach i uzyskał prawo do wejścia na fotel; już-już sięgał ręką do najwyższych półek, kiedy usłyszał dobiegający od strony stołu głuchy odgłos. To Antologia Patologusów otworzyła się gwałtownie, a niechlujne pismo Boyda zaczęło pokrywać białą kartkę.

- Cóż to, mini-Medykus jeszcze tutaj? Nie uspiło cię popołudnie z tą staruszką?

- Kiedy tu była, nie odważył się pan napisać ani jednego słowa. Jest pan tchórzem i tyle!

- Och, jak boleśnie kąsa ten mały rudzielec! Możesz Sobie odgrywać Ważniaka, mam to W nosie, ale kiedy przyjdzie co do czego, okaże się jeszcze, że jestem ci potrzebny, zahaczysz,!

- Potrzebny? Mnie? Bardzo by mnie to zdziwiło. Pani Withers wie więcej od pana, inni członkowie Rady także mi pomogą, gdyby było trzeba! Tak czy owak, nic nie można odczytać z tego, co pan pisze!

- Proszę, proszę, skąd my to znamy... Jesteś tak samo zuchwały jak twój ojciec, smarkaczu!

Oskar stał jeszcze nadal na Tytusie. Jednak porównanie do ojca wprowadziło go w taką wściekłość, że zeskoczył na podłogę i rzucił się w kierunku książki. Sissi przesunęła się i odcięła młodemu Medykusowi drogę; Oskar trafił nosem w jej

oparcie. Uniósł się nad nimi obłoczek, pachnący różami. Chłopiec próbował obejść Sissi, na próżno jednak - fotel był szybszy i zagradzał mu drogę do stołu.

- Dorwę cię i rozszarpię na tysiąc kawałków, wredna książ-czyno! - wrzasnął Oskar. - Powiem pani Withers, żeby cię spaliła, zobaczysz!

Tym razem także Tytus wmieszał się do tej dyskusji - odciągnął Oskara od stołu, łagodnie, ale stanowczo. Sissi musnęła jego oczy wstążkami, dla uspokojenia nerwów. W tej samej chwili drzwi otworzyły się szeroko i pojawił się w nich Bones.

- Co tu się dzieje?

Obydwa fotele bezszelestnie przesunęły się po podłodze na swoje miejsca. Oskar nerwowo potarł dłoń włosy. Sissi i Tytus powstrzymali go przed popełnieniem straszliwego głupstwa: Wielki Mistrz z pewnością nie wybaczyłby mu, gdyby zniszczył jedną z jego książek.

- Nic się nie stało - powiedział, próbując uspokoić oddech. - Chciałem po prostu uporządkować książki, ale miałem z tym pewien kłopot. Te półki... są za wysoko.

- Zostaw to, zajmę się tym - powiedział oschłym tonem Bones. - Może pójdziesz teraz odpocząć trochę przed obiadem? Przyjdę po ciebie, jak będzie pora.

Oskar czuł, że nie powinien protestować. Pani Withers miała rację - powinien się ćwiczyć w cierpliwości, we wszystkim.

Obrzucił książkę Boyda - która tymczasem zamknęła się po cichu - spojrzeniem pełnym nienawiści i wyszedł z biblioteki bez słowa. Wszedł na piętro i już miał skierować się korytarzem do swojego pokoju, kiedy zatrzymały go jakieś głosy, dochodzące z drugiego piętra. Od kiedy Oskar znalazł się rano w Cumides Circle, wydawało mu się, że nie ma tutaj nikogo poza nim samym, Wielkim Mistrzem i zatrudnionymi przez niego osobami, które jednak zaledwie było widać i słyszeć. W domu było wręcz idealnie cicho. Zbliżył się powoli do poręczy schodów i nadstawił ucha.

Dwie osoby rozmawiały ze sobą dosyć głośno, potem zapanowała cisza. Za chwilę znowu zabrzmiał niski głos. Oskar go rozpoznał, był to bas Winstona Brave'a.

Przerwał mu cichszy i bardziej powolny głos innego mężczyzny. Mówił kwaśnym tonem, rzucając znacząco pojedyncze słowa.

Oskar wszedł na kilka stopni, próbując się wsłuchać w rozmowę. Potem jeszcze kilka stopni, na czubkach palców i z bijącym sercem, aż do półpiętra. Tu także, jak i w całym domu, pojawiały się symboliczne barwy Medykusów - zieleń i złoto. Szedł w kierunku, skąd dobiegały coraz wyraźniejsze głosy, stał już u wylotu ciemnego korytarza. Zawahał się przez chwilę, a potem wyjął swój medalion i trzymał go w wyciągniętej wysoko dłoni. Korytarz rozświetlił płynący z niego blask. Duże litery M widniejące na ścianach odbijały to światło.

- Kim jesteś? - zapytał kobiecy głos.

Oskar podskoczył w miejscu, przestraszony, i rozejrzał się dookoła. Nie było nikogo widać. Stał nieruchomo, z trudem przełknął ślinę.

- Kim jesteś? - spytała znowu kobieta.

Tym razem chłopiec podniósł wzrok. Podobnie jak na pierwszym piętrze, przed wejściem do korytarza stało tu we wnęce gipsowe popiersie. Pod wnęką Oskar zdołał odszyfrować słowa, wygrawerowane na złocistej tabliczce: Rhoda Wing. Rhoda miała twardsze rysy twarzy niż Selenia i wydawała się starsza od niej.

- Dzień dobry - powiedział niepewnym głosem. - Jestem Oskar. Oskar Pili.

W tej samej chwili podniósł do góry swój medalion i jego Litera zabłysła na moment szmaragdowym światłem.

- Twoja Litera jest związana z Literą Winstona Brave'a. Możesz przejść.

Oskar podziękował jej skinieniem głowy i zagłębił się w korytarz, w stronę dwuskrzydłowych drzwi. Domyślał się, że za nimi musi być Wielki Mistrz i jego gość.

Schował medalion pod koszulkę, korytarz pogrążył się ponownie w ciemności. Oskar zbliżył się do drzwi, starając się dowiedzieć nieco więcej o nieznanym człowieku.

- ...ucieczka i odzyskana wolność Czarnego' Księcia to straszna nowina, Winstonie.



- Wiem o tym doskonale - odparł Wielki Mistrz Medykusów, bez większego nacisku. - Czy przyszedł pan tu po to, by mi o tym powiedzieć?

- Nie. Od ostatniego spotkania naszej Najwyższej Rady dotarły do mnie informacje, że uznał pan za stosowne uruchomić wszystkie siły naszego Zakonu, włączając w to młodych Medykusów, którzy będą tworzyć nasze siły dopiero w przyszłości. Bo nie jesteśmy nieśmiertelni, Winstonie, wie pan o tym równie dobrze, jak ja - chociaż jestem od pana młodszy.

Nieznajomy wypowiedział te słowa jeszcze bardziej zjadliwie niż całą resztę. Nawet Oskar odczuł to z dużą przykrością.

- Jest pan dobrze poinformowany. Istotnie, liczę na współdziałanie wszystkich Medykusów, nawet tych najmłodszych - odpowiedział Winston Brave głosem wypranym z wszelkich emocji. - I proszę się nie martwić, staram się ich do tego zachęcić.

Zapadła na chwilę cisza, później gość Brave'a podjął rozmowę.

- Zdaje pan sobie na pewno sprawę, że zawsze starałem się pracować dla dobra naszego Zakonu. Oddaję moją skromną wiedzę i całą moc na jego usługi... i na pańskie także, w związku z tym, że jest pan Wielkim Mistrzem.

Gość przeciągnął dziwnie ostatnie słowa, tak jakby pragnął nadać im jakiś nowy, złośliwy sens.

- Dziękuję panu, Fletcher, nigdy nie wątpiłem w pana oddanie dla Zakonu i w pańskie zaangażowanie w naszą walkę. Ani też w pańską lojalność wobec mnie.

Nieznajomy skorzystał z krótkiej przerwy, by się wtrącić:

- Czy ma pan już pomysł, kogo możemy wciągnąć w nasze szeregi? Mogę panu w tym pomóc, a nawet nadzorować inicjację tych osób. Obracam się w Uniwersum, które dla niewielu jest otwarte, wie pan o tym...

- Wiem i pański talent już niebawem stanie się bardzo użyteczny. Nie musimy się jakoś szczególnie spieszyć - skłamał Winston Brave. - Czarny Książę nie ma jeszcze dostatecznej władzy, by nam naprawdę zagrażać...

- Jest pan o tym przekonany? - spytał nieznajomy człowiek.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylę. Tak byłoby lepiej dla pana, dla nas... dla całego świata.

Głos Wielkiego Mistrza stał się jeszcze głębszy niż zazwyczaj i Oskarowi wydało się nagle, że Winston Brave stoi tuż koło niego. Wypełnił sobą cały pokój za drzwiami. Chłopiec usłyszał szuranie odsuwanej fotela: Wielki Mistrz wstał, by zakończyć spotkanie. Oskar cofnął się. Trzeba się szybko oddalić, zanim otworzą się drzwi.

Za późno - ktoś położył lodowatą dłoń na jego ramieniu. Oskar podskoczył, a potem odwrócił się na pięcie i upadł jak długi. Wyciągnięta, przerażająca sylwetka pochyliła się nad nim i zmusiła, by wstał.

- Masz natychmiast wrócić do swojego pokoju - powiedział Bones. - Nie ma tu nic do roboty, to prywatne apartamenty pana Brave'a.

Tym razem Oskar usłuchał bez ociągania się. Wstał i pobiegł aż do schodów, z których zeskoczył kilkoma susami. Przefrunął jak trąba powietrzna korytarz na pierwszym piętrze, ten z rzeźbą, przedstawiającą Selenię Wing, pchnął drzwi do swojego-pokoju i szybko je zamknął, ciężko dysząc.

Potrzebował kilku długich chwil, by złapać oddech, usiadł na swoim łóżku.

Z kim rozmawiał Winston Brave? Do kogo'należał ten cierpki głos? Dlaczego wszystko to było taką tajemnicą?

A może jednak się mylił: może Bones kazał mu szybko wracać do pokoju, żeby nie zobaczył go tajemniczy człowiek, będący gościem w apartamentach Wielkiego Mistrza?... Młody Medykus przypomniał sobie jedno z zaleceń Wielkiego Mistrza, jakie od niego usłyszał: dyskrecja. Jego obecność w Cumides Circle musiała pozostać tajemnicą dla wszystkich. Od tego - według Winstona Brave'a - zależało zarówno jego bezpieczeństwo, jak i bezpieczeństwo jego rodziny.

Oskar pomyślał o mamie i o siostrze, już za nimi tęsknił, zwłaszcza że zbliżała się noc. Nieco zagubiony w tym olbrzymim pokoju, poczuł się nagle bardzo osamotniony. Usiadł na swojej walizce i objął głowę rękami. Czy zdoła to wszystko wy-trzymać? Najbliższy weekend wydawał mu się nieskończenie odległy. Pragnął,

żeby już nadszedł, chciał być blisko swojej rodziny, chciał zobaczyć znowu przyjaciół, poczuć zwyczajną, prostą, ciepłą atmosferę Babylon Heights.

W jego myślach pojawił się obraz ojca i słowa Billy'ego Boyda: „Jesteś tak samo zuchwały jak twój ojciec, smarkaczu!”. Czy ten wredny Boyd wiedział o czymś szczególnym? Czy ktoś powie mu nareszcie, jak było naprawdę?

Prawda... Ależ tak! Miał przecież Grimoire'a! Jak to się stało, że o tym do tej pory nie pomyślał? Zadał mu tego dnia tylko jedno, jedyne pytanie! Pani Withers powiedziała wyraźnie, że ma prawo do dwóch pytań i do dwóch odpowiedzi dziennie.

Dopał do swojej walizki, której do tej pory nie zdążył jeszcze rozpakować. Rozrzucił wokół siebie leżące na wierzchu ubrania, aż-wreszcie wyjął ostrożnie pelerynę. Rozłożył ją i wyciągnął Grimoire'a spośród jej aksamitnych fałd. Pogładził okładkę, przyłożył do niej swój medalion, by dodać sobie nieco odwagi, po czym z pewnym wahaniem otworzył książkę.

Był bardzo blisko rozwiązania problemu, który nękał go od wielu miesięcy, być może nawet od wielu lat, i nagle poczuł, że ogarnia go jakiś lęk. Musiał jednak znać odpowiedź. Położył dłoń na czystej kartce i skupił się. Zaraz, jak brzmiało to zaklęcie? Ach tak, przypomniał sobie właściwe słowa i wyrecytował formułkę głośno i pewnie:

Grimoirze

Jeśli pamięć zacną masz, Odpowiedz mi, póki czas.

Pozwól wierzyć ci szczerze

I odpowiedz na papierze.

Zadał w końcu pytanie, nad którym rozmyślał od bardzo dawna, a na które odpowiedź starannie przed nim ukrywano.

- Grimoirze, możesz mi powiedzieć, co wydarzyło się mojemu ojcu? - spytał Oskar ze wzruszeniem w głosie. - Nazywał się Vitali Pili i był słynnym Medykusem - dodał po chwili z pewną dumą.

Chłopiec podniósł dłoń i obserwował w napięciu kartkę.

Ujrzał, jak pojawia się na niej twarz mężczyzny, którą znał doskonale, oglądał ją bowiem co wieczór na zdjęciu. Była to twarz jego ojca, dużego, silnego mężczyzny, rudowłosego i niebieskookiego jak on sam.

Vitali Pili biegł gdzieś, jego peleryna łopotała na wietrze. Miał na sobie pas Trofeów i Oskar zauważył blask, promieniujący z pięciu sakiewek.

Obrazy, które przewijały się jak klatki filmu, zasnuły się jakimś cieniem i Vitali podniósł swój medalion. Rozbłysło światło i w nocnych ciemnościach można było teraz zobaczyć drugiego mężczyznę, nie dało się jednak dostrzec jego twarzy. Był równie wysoki jak ojciec Oskara, ubrany na czarno od stóp do głów, tylko kołnierz miał czerwony. Z jego oczu płynęły krwawe łzy i człowiek ten podniósł rękę do twarzy. Kiedy ją opuścił, zmieniła się w pochodnię. Płonąca ręka stawała się coraz to większa. Obraz zatarł się, a potem ponownie pojawił się Vitali, z wyciągniętym przed siebie ramieniem. Wystrzeliły z niego dwa zwinięte węże, które zaatakowały człowieka w czerni i ten upadł.

Znowu pojawił się cień i kiedy obraz nieco się wyostrzył, widać było, jak Vitali stoi w swojej pelerynie i w pasie przed sześcioma osobami, które Oskar widział od strony pleców.

Obraz znowu się zatarł. Potem pojawił się Vitali, leżący w jakimś ciemnym miejscu.; f

Zadał w końcu pytanie, nad którym rozmyślał od bardzo dawna, a na które odpowiedź starannie przed nim ukrywano.

- Grimoirze, możesz mi powiedzieć, co wydarzyło się mojemu ojcu? - spytał Oskar ze wzruszeniem w głosie. - Nazywał się Vitali Pili i był słynnym Medykusem - dodał po chwili z pewną dumą.

Chłopiec podniósł dłoń i obserwował w napięciu kartkę.

Ujrzał, jak pojawia się na niej twarz mężczyzny, którą znał doskonale, oglądał ją bowiem co wieczór na zdjęciu. Była to twarz jego ojca, dużego, silnego mężczyzny, rudowłosego i niebieskookiego jak on sam.

Vitali Pili biegł gdzieś, jego peleryna łopotała na wietrze. Miał na sobie pas Trofeów i Oskar zauważył blask, promieniujący z pięciu sakiewek.

Obrazy, które przewijały się jak klatki filmu, zasnuły się jakimś cieniem i Vitali podniósł swój medalion. Rozbłysło światło i w nocnych ciemnościach można było teraz zobaczyć drugiego mężczyznę, nie dało się jednak dostrzec jego twarzy. Był równie wysoki jak ojciec Oskara, ubrany na czarno od stóp do głów, tylko kołnierz miał czerwony. Z jego oczu płynęły krwawe łzy i człowiek ten podniósł rękę do twarzy. Kiedy ją opuścił, zmieniła się w pochodnię. Płonąca ręka stawała się coraz to większa. Obraz zatarł się, a potem ponownie pojawił się Vitali, z wyciągniętym przed siebie ramieniem. Wystrzeliły z niego dwa zwinięte węże, które zaatakowały człowieka w czerni i ten upadł.

Znowu pojawił się cień i kiedy obraz nieco się wyostrzył, widać było, jak Vitali stoi w swojej pelerynie i w pasie przed sześcioma osobami, które Oskar widział od strony pleców.

Obraz znowu się zatarł. Potem pojawił się Vitali, leżący w jakimś ciemnym miejscu. Kilka chwil później Oskar dostrzegł swoją matkę, Celię, całą we łzach, w żałobie. Przez stronę przewinęły się także smutne twarze Winstona Brave'a i pani Withers.

Ostatnie ujęcie ukazywało trumnę, pokrytą zielonym aksamitem, z wytłaczanymi złotymi Literami Medykusów. Celia ściągnęła aksamit gwałtownym, pełnym furii gestem. Nigdy nie widział swojej matki w takim stanie: wydawała się nieprzytomna z wściekłości i do głębi zrozpaczona.

Później kartka stała się znowu biała i pusta.

Oskar zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech, podczas gdy obrazy przewijały się przed jego oczami na stronicy Grimoire'a. Zaniknął go i padł na swoje łóżko.

Połączył pierwsze obrazy z tym, czego dowiedział się o swoim ojcu, kiedy przybył do Cumides Circle: chodziło z pewnością o jego walkę z tym, którego nazywano Wielkim Patologusem. Nie był natomiast w stanie zrozumieć, co się działo

w sali, gdzie Vitali stał przed sześcioma przeciwnikami, ani gdzie znajdowało się owo ciemne i zakurzone~miejsce, w którym leżał później jego ojciec. Widział jednak trumnę i rozpacz mamy. Powiedziano mu, że ojciec zginął w wypadku lotniczym; Grimoire w ogóle jednak o tym nie wspomniał...

Nawet jeśli nie wszystko było jasne i nie do końca wyglądało tak, jak mu wpajano do tej pory, był teraz przekonany, że śmierć ojca musiała być jakoś związana z jego mocą Medykusa. Jaką misję mu powierzono? Czyżby został uwięziony przez wroga, podobnie jak to się stało z Wielkim Patologusem? Czy to tam właśnie spotkała go śmierć?

Oskar wstał z łóżka. Musiał znowu spytać o coś Grimoire'a, obejrzeć jeszcze raz te obrazy, inaczej sformułować pytanie! Chciał za wszelką cenę dowiedzieć się więcej na ten temat...Otworzył książkę, jednak zdało się to na nic. Kartka pozostała pusta i niema, zgodnie z tym, co powiedziała mu pani Withers: „Dwie odpowiedzi dziennie, Oskarze. Nie więcej”.

Zrezygnowany, schował książkę i pelerynę z powrotem do walizki. Dotknął delikatnie pasa z sakiewkami, który uniósł się w górę, a następnie grzecznie opadł na dno walizki. Już niedługo - powiedział sam do siebie - już niedługo przydasz mi się, pasie.

Zaledwie zamknął walizkę, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Bones nie czekał na przyzwolenie Oskara i wszedł do pokoju.

- Kolacja jest już gotowa.

Oskar zjadł bardzo niewiele, pomimo żałosnych westchnień Jerry'ego, który włożył wiele wysiłku w przyrządzenie mu największej kanapki na świecie: był w niej kotlet mielony, ogórek, pomidory, korniszony, sos, listki sałaty, ser, a także cała masa substancji, których Oskar nie był w stanie rozpoznać. Całość była przepyszna, ale kęsy stawały chłopcu w gardle.

- Cói, chyba zgodzisz się ze mną, Oskarze - rzekł w końcu niepokieszony Jerry - że byłaby to niepowetowana strata, gdyby taka świetna kanapka się zmarnowała, prawda?

- Ależ owszem, zgadzam się - powiedział Oskar, popychając talerz w jego stronę. - Proszę się nie krępować. To naprawdę świetny hamburger; po prostu nie jestem głodny.

- Przygotuję ci jeszcze lepsze - obiecał Jerry, z ustami pełnymi sałaty.

Oskar wstał od stołu. Bones go jednak zatrzymał.

- Nie możesz trzymać swojego Grimoire'a w pokoju. Trzeba go zostawić na noc z innymi książkami, w bibliotece. W ten sposób będzie czerpał nowe informacje, żeby móc lepiej odpowiadać na twoje pytania. - Nie - odpowiedział Oskar - wolałbym mieć go ze sobą, w pokoju.

Liczył oczywiście na to, że w pierwszej godzinie następnej doby zada Grimoire'owi nowe pytanie.

Bones upierał się przy swoim.

- Przekazuję ci tylko polecenia pana Brave'a.

Oskar spojrzał w półprzymknięte oczy majordomusa. Nie wierzył w ani jedno jego słowo, nie miał jednak wyboru - Bones przyłapał go, kiedy podsłuchiwał pod drzwiami Wielkiego Mistrza. Chłopiec nie mógł teraz pozwolić sobie jeszcze na hardość i nieposłuszeństwo.

- Dobrze - powiedział w końcu z rezygnacją. - Ale to ja sam odłożę Grimoire'a na półkę w bibliotece.

Miał nadzieję, że ukryje go na tyle skutecznie, by nikt inny nie miał do niego w nocy dostępu. Chciał zakraść się do biblioteki wcześniej rano. Bones zgodził się, kiwnąwszy głową, i wyszedł z jadalni.

Oskar wszedł na górę do swojego pokoju, zabrał książkę i wrócił na dół, przyciskając ją do piersi.

Wszedł do biblioteki i wdrapał się na Tytusa. Kiedy odkładał książkę na półkę, zaświtał mu pewien pomysł. Wyjął teczkę Julii Jacob, zszedł z fotela i oddalił się nieco, zanim ją otworzył.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę, Julio, ale chyba potrzebuję pani pomocy.

W rogu pierwszej białej kartki pojawiły się delikatne, niewielkie literki.

- Dotry wieczór, Oskarze, wcale mi nie przeszkadzasz, skądże znowu! Co mogę dla ciebie zrobić?

- Czy mógłbym pani coś powierzyć? To dla mnie ważne, nawet bardzo ważne

- podkreślił Oskar cichym głosem, rzucając przy tym okiem na inne książki, stojące na półce, między innymi na księgę Boyda.

- Al e co takiego chciałbyś mi powierzyć, chłopcze?

- Chciałbym ustawić mojego Grimoire'a obok pani teczki, tak aby mogła go pani strzec. Mogłaby to pani dla mnie zrobić?

- Oczywiście, z największą chęcią, to dla mnie sasęcsyt,?e będzie koło mnie stał Grimoire syna Vitalego Pilla!

Oskarowi wydało się, że biała stronica lekko się zarumieniła.

- Dziękuję pani, Julio! Zabiorę go wcześniej rano, jak tylko to będzie możliwe - powiedział, zamykając teczkę.

Odstawił ją na miejsce, wsuwając dyskretnie cienkiego Grimoire'a tuż obok artykułów Julii.

Kiedy już wychodził z biblioteki, jakiś hałas kazał mu się obejrzyć: Antologia Patologusów podskakiwała na swojej półce.

W pierwszej chwili Oskar zamierzał to zignorować, ale zdążył już nieco poznać Boyda - udałoby mu się wywołać jakąś skandaliczną awanturę, gdyby chłopiec wyszedł, nie zwracając na niego uwagi. Młody Medykus westchnął ciężko i zawrócił.

Wziął z półki podniszczoną księgę w poplamionej okładce i otworzył ją, błędząc wzrokiem gdzie indziej.

- Możesz Sobie skutecznić te swoje gierki, mały, i tak cię przejrzałem! - wrzasnął Boyd wielkimi, niezgrabnymi literami.

- Ach tak, doprawdy? - odparł Oskar z miną pokerzysty. - Jakie są niby te moje gierki?

- Co tam sobie wymyśliłeś, kiedy szperałeś na niższych półkach? Jem!



Oskar wzruszył ramionami.

-1 co z tego? Mam prawo czytać tyle, ile będę chciał!

w konia, nie uda ci się to z Billym Boydem!

- No, skoro jest pan taki sprytny, to może pan się pobawić i rozwiązać samodzielnie tę zagadkę, nie zadając pytań! - rzucił Oskar i zamknął książkę.

Odłożył ją na półkę, chociaż wrywała się na wszystkie strony, i oddalił się biegiem, dosyć zadowolony, że przynajmniej tym razem udało mu się zatkać dziób Boydowi.

Wyleciał z biblioteki jak z katapulty, biegł po marmurowej posadzce i nagle... pośrodku hallu zderzył się gwałtownie z jakimś człowiekiem. Upadł jak długi i uniósł głowę do góry.

- Bardzo przepraszam, nie zauważyłem pana...

Mężczyzna pochylił się i wpatrywał się w niego uważnie.

Oskar, siedząc jeszcze na podłodze, poczuł rosnące napięcie, jak gdyby to spojrzenie przywodziło mu na myśl coś bardzo nieprzyjemnego.

- Proszę, proszę... jakie to dziwne, chłopiec w Cumides Circle...

Nadszedł Bones, który twardą ręką podniósł Oskara na nogi. Oskar po raz pierwszy wyczuł, że majordomus jest zdenerwowany.

- Na górę, szybko! - szepnął do ucha Oskarowi.

Tym razem jednak Oskar nie usłuchał. Rozpoznał głos, to był ten sam człowiek, który przed kolacją rozmawiał na górze z Winstonem Brave'em. Teraz mógł przyjrzeć się jego twarzy. Ciemne, zmrużone oczy, bladawa cera, włosy rzadkie i siwe - niezbyt przyjemna całość.

- Nic się panu nie stało, panie Worm? - spytał Bones, starając się jak najskuteczniej zasłonić sobą Oskara. - Ten chłopak jest strasznie niezdarny, pracuje u nas od niedawna.

Fletcher Worm odsunął Bonesa jedną ręką, by lepiej przyjrzeć się Oskarowi. Nagle w hallu rozległ się czyjś głos, idący chłopcu z pomocą.

- Czemu mam zawdzięczać pana kolejną wizytę, Fletcher?

Winston Brave zszedł z ostatnich stopni schodów i dołączył do nich.

- Torba, mój drogi. Zostawiłem u pana moją torbę - odparł nieznajomy z lekkim uśmiechem, nie spuszczać Oskara z oczu. - Ale nie żałuję - dało mi to okazję, żeby poznać tego interesującego młodego człowieka, który jeszcze nie zdążył mi się przedstawić... Czyżbyś zmienił zdanie w ciągu tej godziny, Winstonie, i ten chłopiec jest jednym z kandydatów do inicjacji na Medykusa?

- To mój bratanek - odpowiedział Brave oschłym tonem. - Przyjechał do mnie na kilka dni.

Fletcher Worm przeniósł w końcu wzrok w górę, na Wielkiego Mistrza. Winston Brave przerastał go o głowę.

- Pana brat miał syna? Niezwykle miło mi się o tym dowiedzieć. Jestem też nieco zaskoczony, nie wiedziałem bowiem, że się ożenił. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że żyje.

Winston Brave spiorunował go wzrokiem.

- To dalsze pokrewieństwo, jeżeli chce pan wszystko tak dokładnie wiedzieć.

Gospodarz spojrzał nareszcie w stronę Oskara. Chłopiec miał wrażenie, że jakiś wielki, betonowy kłoc przyciska go do podłogi, tyle złości i wyrzutu było w spojrzeniu Wielkiego Mistrza.

- Ach, to zapewne dlatego w ogóle nie jest do pana podobny. Prawdę mówiąc, przypomina mi kogoś zupełnie innego, ale kogo? Pomyślmy...

- Istotnie - powiedział Winston Brave lodowatym głosem. - Pomyślmy. Worm już miał coś na to powiedzieć, ale Bones wtrącił się w tym momencie:

- Oto pana torba, panie Worm.

Mężczyzna zabrał gwałtownym ruchem swoją skórzaną torbę i skinął głową.

- Do zobaczenia niebawem, Winstonie.

Spojrzał znowu na Oskara, uśmiechnął się półgębkiem i oddalił się w stronę wyjścia, w towarzystwie Bonesa.

Winston Brave odczekał, aż trzaskną zamknięte wejściowe drzwi, dopiero wtedy spojrzał na młodego Medykusa.

- Co tutaj robiłeś o tej porze?

- Przepraszam bardzo, wychodziłem właśnie z biblioteki, odniosłem tam mojego Grimoire'a i...

- To nie należy do ciebie! - podniósł głos Brave.

Odwrócił się w stronę majordomusa.

- Bones, co to wszystko ma znaczyć? Bardzo mnie pan rozczarował!

Bones rzucił ciężkie spojrzenie w kierunku Oskara, który tak uparcie nalegał, żeby samodzielnie odnieść książkę do biblioteki.

- Bardzo mi przykro, proszę pana - rzekł. - To się już nigdy więcej nie powtórzy.

- Wiele rzeczy można powiedzieć na temat Fletchera Worma, tylko nie to, że jest głupcem. Bardzo szybko domyśli się, kim jesteś, Oskarze. A przecież wydaje mi się, że wystarczająco jasno wyłożyłem ci to wszystko dziś w południe: nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział o twojej obecności w Cumides Circle, nawet członek Rady. Nie rozumiałeś tego, jak widać.

Oskar, przerażony, zaprzeczył.

- Zrozumiałem, ale...

- Nie ma żadnego „ale” - warknął Brave. - Panują tu pewne zasady, których masz przestrzegać, koniec, kropka! Czy to jasne?

Oskar zamilkł. W domostwie panowała martwa cisza.

Brave oddalił się, nie patrząc już ani na Oskara, ani na Boneśa. Zanim wszedł na pierwszy stopień schodów, powiedział, nie odwracając się do nich:

- Nie wolno ci się dotykać do twojego Grimoire'a, chyba że zdecyduję inaczej, Oskarze. Pamiętaj, to jest rozkaz.

Oskarowi ścisnęło się serce, nie mógł jednak zaprotestować. ~ teraz do łóżka - zarządził Wielki Mistrz.

## Mapa uniwersów

Pierwsza noc Oskara w Cumides Circle była wyjątkowo niespokojna. Jego sny nawiedziła seria obrazów z Grimoire'a. Trumny wypełniały ciemność, a rozpacz Celi powracała nieskończoną ilość razy, kiedy tylko chłopiec zamykał oczy.

Następnego dnia musiał zdobyć się na wielki wysiłek, żeby nie ziewać co pięć minut, skupiając się na słowach pani Withers. Jego umysł wciąż miał ochotę się oderwać i bujać gdzie indziej...

- Mój chłopcze - straciła cierpliwość starsza pani - zastanawiam się, czy nie przełożyć tej lekcji na kiedy indziej. Wydajesz mi się zupełnie wyczerpany.

- Nie, nie - krzyknął Oskar głosem z zaświatów - jestem w świetnej formie, dam pani słowo. Chciałbym móc przeniknąć do organizmu tak szybko, jak to tylko możliwe! Muszę się dowiedzieć, w jaki sposób człowiek może się zminiaturyzować!

Pani Withers roześmiała się. Naiwność Oskara bardzo ją rozbawiła. Młody Medykus wyprostował się sztywno, nieco urażony.-Oskarze, kto tu mówi o miniaturyzowaniu? Ciało ludzkie nie jest tym, czym ci się wydaje, ani też tym, co ci wpajają w szkole. Introdukcja Cieleśna nie polega wcale na zmniejszeniu się do takiego stopnia, żebyś mógł dostać się do czyjegoś organizmu!

Starsza pani wstała i wyjęła z półki oprawną w skórę księgę Alphonse'a. Otworzyła ją i zwróciła się do arystokratycznego autora:

- Drogi przyjacielu, niechże pan pozwoli, bym poprosiła pana o wyjaśnienie pewnych spraw temu młodemu człowiekowi.

- GLSeiz tadafcify moja. boc&atoa {Betenice, z wiecuj - tadakią. Cóż mc^iS^m d&i pwti uczynić? Alicja ó&aodmiel wiedza (kótotychnajeótdo pwu ctypozycji - rzekł markiz, nieco rozemocjonowany.

- Chciałabym zapoznać Oskara z pięcioma wewnętrznymi Uniwersami, w tym wypadku schemat będzie bardziej zrozumiały niż jakikolwiek wykład. Czy zechciałby pan pokazać tę wspaniałą rycinę z XIX wieku, która zdobi pańską księgę? Bardzo pana proszę.

W odpowiedzi Niesłychana epopeja Medykusów od Wieków Średnich aż po nasze czasy zamknęła się, by po krótkiej chwili ponownie się otworzyć. Jej strony

przewracały się, jak gdyby poruszał nimi przeciąg. Wreszcie ruch ten zatrzymał się na pewnej kartce, grubszej od pozostałych. Kartka ta zaczęła się rozkładać - raz, drugi, wiele razy, aż stała się olbrzymią płachtą, zajmującą ponad połowę stołu.

Oskar zbliżył się zaskoczony, a nawet nieco rozczarowany prostotą rysunku, jaki się na niej znajdował. Rycina przedstawiała jedynie wielką, ciemnozieloną kulę, w której środku widniała litera, a wokół - pięć nieznanymi słów. Stopniowo jednak w kuli zaczęły się pojawiać nowe barwy i światło.

Chłopiec skupił się na szczegółach. Kula zaczęła lśnić, była przy tym tak doskonale narysowana, że wydawała się trójwymiarowa; odnosiło się wrażenie, że przeciągając dłonią po kartce, dotknie się wypukłego kształtu. Na pierwszym planie, przed kulą, Oskar rozpoznał bez trudu M Medykusów, otoczone złotym kołem. Medalion był dużo piękniejszy i bardziej dopracowany niż jego własny - ale także piękniejszy niż medalion pani Withers czy nawet ten Wielkiego Mistrza. On także wydawał się bardziej rzeczywisty niż prawdziwe medaliony i płonął niesamowitym blaskiem.

Pani Withers musnęła pergamin i kula zaczęła wirować wokół własnej osi, trochę przypominając pod tym względem globus, stojący na biurku Oskara w jego pokoju na Kildare Street. Chłopiec zaznaczył na nim wszystkie kraje do jakich zamierzał się udać, kiedy będzie dorosły. Teraz wpatrywał się w kulę z zachwytem.

- Alphonse - powiedziała starsza pani - zapomniałam już, jak bardzo piękne jest to przedstawienie pięciu Uniwersów! Po prostu dzieło sztuki...

Markiz, który nie śmiał napisać odpowiedzi na dzieło sztuki, poruszył tylko twierdząco książką.

- Oskarze - powiedziała pani Withers - ta mapa pozwoli ci odkryć pięć wewnętrznych Uniwersów i niektóre przejścia, które umożliwiają Medykusom - i niestety, także Patologu-som - przechodzenie z jednego Uniwersum do drugiego.

Oskar spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Ale... widzę tylko coś w rodzaju kuli, która nieco lśni, proszę pani.

Starsza pani się uśmiechnęła. W odpowiedzi ujęła swój medalion i ustawiła go tuż nad literą M, widoczną w centrum kuli. Obydwie Litery związał świetlisty promień i Berenice Withers delikatnie przeciągnęła symbol Medykusów z wnętrza kuli ku jednej z nieznanym nazw, umieszczonych na jej obrzeżach. Kula przestała wirować i ożywiła się. Zachwyconym oczom Oskara ukazały się pejzaże, ludzie i rozmaite czynności przez nich wykonywane.

- Oto pierwsze Uniwersum - wyjaśniła starsza pani - świat Hepatolii. Pośrodku widzisz górę, od której pochodzi nazwa tej krainy. To świat podziemny, tworzą go fabryki, tunele, kanały, galerie i olbrzymie groty, gdzie tysiące istot zajmuje się swoimi sprawami, nie widując nigdy światła dziennego. Ciężki i pracowity mają żywot.

- Pracują? A czym się zajmują?

- Przetwarzają żywność na energię dla pozostałych Uniwersów. Hepatolia, jej góra i jej gigantyczne kopalnie są niezbędnym źródłem energii dla tego wewnętrznego świata.

Umieściła swój medalion ponownie nad literą M, narysowaną na mapie i przeciągnęła ją ku kolejnej nazwie. W tym momencie Hepatolia zniknęła z wnętrza kuli, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiły się za to wielkie przestrzenie ziemi i wzburzone wody mórz.

- A oto Uniwersum dwóch królestw, Oskarze. Pierwsze to Królestwo Podmuchów i jego rozległe równiny, po których hulają porywiste wiatry - powiedziała, wskazując palcem na wielkie obszary królestwa. - Rzadko kto tam bywa, niektórzy twierdzą, że ten wichur doprowadza ludzi do szaleństwa - i prawdą jest, że wielu Medykusów straciło tam rozum. Choć nie ma pewności, czy niektórzy rzeczywiście mieli rozum wcześniej, zanim się tam wybrali... Trzeba przebyć te równiny, zanim dotrze się do kolejnego państwa - Królestwa Pompy, podmorskiej groty Uniwersalnego Pulsu.

- Pompy?... - powtórzył Oskar, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- To jest urządzenie, które kryje się tutaj - powiedziała pani Withers, dotykając palcem klatki piersiowej Oskara. - Twoje serce.

Oskar okrążył stół, żeby lepiej przyjrzeć się rycinom, których znaczenie wyjaśniała mu pani Withers. Promień słońca wpadł przez okno biblioteki, rozjaśnił kulę, fale rozbłyły. Młody Medykus pomyślał o wakacjach nad morzem spędzonych z mamą i Violette. O tym, jak bawił się, wrzucając do wody kamyki. W morzu, które zobaczył na kuli, pojawiały się podobne fale, rozbiegające się na wszystkie strony. Ale ono nie było zabawne. Wydawało się raczej groźne i tajemnicze, zresztą jak wszystko w pięciu Uniwersach. Przyciągało jednak chłopca z dziwną siłą. Jak zawsze, ciekawość górowała u Oskara nad strachem.

- Królestwa Podmuchów i Pompy tworzą razem drugie Uniwersum? - spytał, zafascynowany tymi wiadomościami.

- Tak - potwierdziła starsza pani. - Niedaleko Pompy i morza Purpury znajduje się przejście do trzeciego Uniwersum - do Embrium.

Oskar schwycił swój medalion.

- Czy mogę sam przeciągnąć Literę? Proszę!

Nie czekając na odpowiedź, ułożył medalion nad Literą na mapie. Szybko się jednak rozczarował - nie mógł przesunąć Litery w stronę trzeciej nazwy, napisanej na kuli. Odwrócił się rozżalony w stronę pani Withers.

Uśmiechnęła się na to.-Niestety - powiedziała - nie dasz rady. Tylko ci Medykusi, którzy odbyli podróż po jakimś Uniwersum, mogą je otworzyć na mapie.

Oskar schował z żalem swój medalion. Pani Withers jednym ruchem spowodowała zniknięcie wielkich nizin i oceanów drugiego Uniwersum. Po chwili zmaterializowało się trzecie.

Chłopiec pochylił się z uwagą nad mapą i nowym obrazem. Przekonał się, że niespodziankom nie ma końca. Tym razem kula mieściła w sobie inną, mniejszą, noszącą na sobie pięć nazw. Wewnętrzna kula wydawała się pływać w jakimś mętawym płynie, jak gdyby patrzyło się na nią przez zaparowane szkło.

- Pięć Uniwersów w jednym? - zdziwił się chłopiec.

- Bardzo słuszna uwaga, Oskarze! - pochwaliła go pani Withers. - Embrium to tajemniczy świat narodzin i tworzenia nowego życia... To dlatego mapa przedstawia ciało dziecka, z jego pięcioma Uniwersami, zamknięte w Embrium matki. Dlatego też to Uniwersum jest niezwykle zawile, jest tam wiele tajemniczych przejść. Młodemu Medykusowi, takiemu jak ty, trudno by było odbyć podróż do tej krainy, mógłbyś się zgubić...

- To znaczy, że Uniwersum Embrium nie istnieje u mężczyzn?

- Hm, no cóż, w zasadzie istnieje, ale to trochę bardziej skomplikowane, jak by to powiedzieć... Za wcześnie na wchodzenie w takie szczegóły, Oskarze. Omówimy to później. Cierpliwości, więcej cierpliwości!

Zmieszana czym prędzej przesunęła swoją Literę, sprawiając, że ukazało się kolejne Uniwersum, zanim ciekawość Oskara zmusiła ją do wejścia w te znaczące „szczegóły”. -Oto Genetbc - powiedziała z entuzjazmem. - Świat niezwykle zaawansowanej technologii, olbrzymie i doskonałe centrum informacji, ma setki najrozmaitszych powiązań. Promieniuje na pozostałe cztery Uniwersa. To ośrodek niezwyklej wagi, trochę przypomina mi główny komputer, który ma anteny w wielu innych miejscach organizmu. Przyznaję, że to Uniwersum interesuje mnie najbardziej, jest moją specjalnością. Jestem za nie odpowiedzialna w gronie Najwyższej Rady Medykusów.

- To pani... pani jest ekspertem od spraw informatyki? - wykrzyknął zdumiony Oskar.

Zaczął się śmiać, szybko jednak ucichł na widok lekko nadąsanej miny starszej pani.

- Przepraszam - powiedział - chciałem powiedzieć... to znaczy, w sumie nic dziwnego, niby dlaczego miałyby być dziwne, ekhm... Ale... czy to znaczy, że wśród członków Rady są eksperci od każdego Uniwersum?

Pani Withers spojrzała na niego kątem oka, z tym swoim charakterystycznym uśmiechem.



- Zgadza się. Będiesz miał zresztą okazję, żeby się z nimi spotkać i porozmawiać. Maureen zna Hepatolię jak własną kieszeń, gwałtowny i buntowniczy Alistair McCooley przemierzał wielokrotnie Równiny Sprzecznych Wiatrów i nurkował aż do groty Pompy, a Embrium i jej Uniwersa nie mają tajemnic dla Anny-Marii Lumpini.

Oskar odwrócił się w stronę agresywnego fotela, Machia-vellego.

- A jakim Uniwersum zajmuje się człowiek, który zasiada w tym fotelu?

Pani Withers przesunęła Literę z mapy do piątej i ostatniej nazwy, widniejącej na górze kuli, która zmieniła barwę-Oto Genetix - powiedziała z entuzjazmem. - Świat niezwykle zaawansowanej technologii, olbrzymie i doskonałe centrum informacji, ma setki najrozmaitszych powiązań. Promieniuje na pozostałe cztery Uniwersa. To ośrodek niezwyklej wagi, trochę przypomina mi główny komputer, który ma anteny w wielu innych miejscach organizmu. Przyznaję, że to Uniwersum interesuje mnie najbardziej, jest moją specjalnością. Jestem za nie odpowiedzialna w gronie Najwyższej Rady Medykówów.

- To pani... pani jest ekspertem od spraw informatyki? - wykrzyknął zdumiony Oskar.

Zaczął się śmiać, szybko jednak ucichł na widok lekko nadąsanej miny starszej pani.

- Przepraszam - powiedział - chciałem powiedzieć... to znaczy, w sumie nic dziwnego, niby dlaczego miałyby być dziwne, ekhm... Ale... czy to znaczy, że wśród członków Rady są eksperci od każdego Uniwersum?

Pani Withers spojrzała na niego kątem oka, z tym swoim charakterystycznym uśmiechem.

- Zgadza się. Będiesz miał zresztą okazję, żeby się z nimi spotkać i porozmawiać. Maureen zna Hepatolię jak własną kieszeń, gwałtowny i buntowniczy Alistair McCooley przemierzał wielokrotnie Równiny Sprzecznych Wiatrów i nurkował aż do groty Pompy, a Embrium i jej Uniwersa nie mają tajemnic dla Anny-Marii Lumpini.

Oskar odwrócił się w stronę agresywnego fotela, Machia-vellego.

- A jakim Uniwersum zajmuje się człowiek, który zasiada w tym fotelu?

Pani Withers przesunęła Literę z mapy do piątej i ostatniej nazwy, widniejącej na górze kuli, która zmieniła barwę z zielonej na czarną. Tym razem jednak nie za wiele było widać, nie pojawił się żaden pejzaż, żadna żywa istota. Od czasu do czasu coś tylko błyskało, jakby spadająca gwiazda.

- Fletcher Worm jest tym człowiekiem, którego warto słuchać, jeśli interesuje cię, Oskarze, ostatnie Uniwersum: Ce-rebra. To świat mózgu.

Głos starszej pani nagle spoważniał, jakby w jej pamięci pojawiły się skomplikowane i bolesne wspomnienia. Oskar przestraszył się, że starsza pani zmieni temat.

- Dlaczego kula pozostała ciemna, proszę pani?

- Ponieważ Cerebra jest tajemniczym Uniwersum, słabo znanym Medykusom. Większość z nich udała się tam tylko jeden, jedyny raz. Ponadto, w czasach, kiedy rysowano tę mapę, nie posiadano wystarczających informacji o mózgu, by móc to naszkicować. A dziś, prawdę mówiąc, jest niewiele lepiej...

- Bardzo chciałbym się wybrać do tego piątego Uniwersum... - Oskar przesuwał palcami po ciemnej kuli.

W tym samym momencie poczuł tak silne ukłucie, że musiał natychmiast cofnąć rękę. Wydawało się, że Berenice Withers niczego nie zauważyła, a Oskar nie zająknął się nawet na temat tego, co się stało. Obawiał się, że starsza pani może mieć w związku z tym jakieś opory przed jego wyprawą w głąb organizmu - a on o niczym innym nie marzył.

- Ależ ten młody człowiek chce wszystko zwiedzić! - powiedziała rozbawiona pani Withers. - Niestety, będziesz musiał pohamować swój zapał. Trzeba ci wiedzieć, że istnieje pewna kolejność, zgodnie z którą Medykus poznaje Uniwersa, i można odwiedzić kolejny świat tylko wtedy, jeśli odbyło się podróz do poprzedniego.

- Trzeba używać przejść, zgadza się?w

- Owszem, to prawda, ale przede wszystkim w każdym świecie trzeba zdobyć Trofeum...

- Czym jest to Trofeum?

- To coś, co musisz zdobyć w każdym Uniwersum i przynieść stamtąd ze sobą.

- Pas! - zawołał Oskar, który nareszcie zrozumiał, do czego służył pas, należący do jego ojca. - Pięć sakiewek na pięć Trofeów!

Pani Withers pokiwała głową.

- Widzę, że twoja mama dobrze ci to wszystko wytłumaczyła.

- Mam pas mojego taty w walizce - rzekł Oskar z dumą. - Wziąłem też ze sobą pelerynę.

- Doskonale - powiedziała pani Withers - ale najtrudniejsze wciąż jeszcze przed tobą. Trzeba właśnie uzupełnić ten pas. Pięć Uniwersów i pięć Trofeów uczynią z ciebie prawdziwego Medykusa. Taki jest warunek zdobycia pełni twojej mocy i nie da się go ominąć, Oskarze.

Oskar otworzył usta, pani Withers ucięła jednak jakiegokolwiek dalsze pytania.

- Dosyć, panie ciekawski, koniec z tym indagowaniem! Nie jesteś w stanie zdobyć całej wiedzy na ten temat pierwszego dnia, to oczywiste. Powiedziałam ci już - poznasz odpowiedź na wiele swoich wątpliwości wewnątrz organizmu.

Oskar chciał się poddać, gdy nagle poczuł, że coś go pali przez materiał koszulki. Nie wykonał żadnego ruchu, a jednak łańcuszek sam się odczepił i medalion popłynął wolno w kierunku kuli, by w końcu ustawić się nad Literą, która przesunęła się w stronę piątej nazwy. Oskar odruchowo wyciągnął rękę, by pochwycić swój medalion. W momencie, kiedy go dotknął, pojawiło się oślepiające światło. Młody Medykus odwrócił głowę. Pani Withers coś do niego mówiła, ale jej głos wydawał się jednak teraz bardzo odległy; chwilę później zapadła idealna cisza.

Świat wokół niego przestał istnieć. Była tylko loda, jakieś obrazy zaczęły pojawiać się na jej powierzchni. Ukazywały się kolejno twarze, które wydawały mu

się znane - sekundę później znikwały w szarawej pustce, ciągnącej się po horyzont. Wyrastały olbrzymie, groźne wieże i rozwiewały się jak dym, świetliste rysy naznaczyły mapę. Potem jeszcze usłyszał jakieś głosy, które próbowały się przedrzeć przez pustynne krajobrazy - słyszał je, ale nie rozumiał ani słowa.

Później nie było już nic.

Poczuł silny ból pleców i otworzył oczy. W pobliżu ujrzał zielone oczy pani Withers, schowane za okularami.

- Oskar? Słyszysz mnie? Oskarze!

- Tak - wyjąkał chłopiec. - Co takiego... co właściwie się wydarzyło?

- Mam wrażenie, że piąte Uniwersum przyciąga cię silniej, niż możesz to sobie wyobrazić... Alphonse na szczęście złożył mapę, inaczej nigdy nie zdołałabym cię oderwać! Nagle upadłeś jak długi na podłogę.

Zamilkła na chwilę. Miała nadzieję, że Oskar nie zapamięta niczego z tych dziwnych chwil, nie chciała go niepokoić ani rozbudzać jego uwagi.

- Co takiego poczułeś? - spytała jak gdyby nigdy nic.

- Ja... trudno mi powiedzieć, co właściwie czułem. Widziałem jakieś dziwaczne obrazy, wieże, pustynię, słyszałem nawet głosy, ale niczego nie rozumiałem...

Oskar pochylił się nad księgą markiza.

- Sądziłem, że nie mogę wywołać żadnego Uniwersum moim medalionem!- Stało się tak prawdopodobnie dlatego, że Wielki Mistrz połączył wasze medaliony - odparła pani Withers, nie rozwodząc się już dłużej nad tym tematem. - No cóż, na tym na razie skończymy naszą lekcję.

Zamknęła delikatnie traktat historyczny i zwróciła się do swojego ucznia.

- Za chwilę będzie obiad. Może poszedłbyś na górę trochę odpocząć? Będiesz w lepszej formie, kiedy wrócimy do nauki po południu.

Pomimo zadziwiających spraw związanych z kulą Oskar był zbyt zmęczony, by sprzeciwić się pani Withers. Kiwnął głową i opuścił bibliotekę.

Kiedy tylko wyszedł, księga markiza Alphonse'a zaczęła dawać znaki. Pani Withers pochyliła się nad jej stroną tytułową.

- Moja droga; z pewnością zauwżyła pani to samo; co ja: puje UniwetMim nie/mafi wcu]^n^io tego pca.

- Wiem, Alphonsie.

- To pani nie mattwi?

Pani Withers zastanowiła się przez moment, zanim odpowiedziała:

- Nie, przyjacielu, nie martwi mnie to. Powiedziałabym raczej, że powinno mnie to cieszyć, potwierdza to bowiem moją wcześniejszą opinię. Życzę panu miłego dnia - rzekła, odkładając książkę na półkę.

Cały tydzień minął bez jakiegokolwiek zgrzytu. Oskar starał się za wszelką cenę przestrzegać zasad Wielkiego Mistrza - chociaż nie przychodziło mu to łatwo. Nawet dla osób zatrudnionych w Cumides Circle próbował być całkowicie niewidzialny. Nie brakowało mu też jakoś specjalnie Grimoire'a, przez kilka pierwszych dni był zbyt zajęty, by zauważyć jego nieobecność. Ale czasem żałował, że zapytał Grimoire'a o ojca. Męczyły go bezustanne nocne koszmary i teraz czekał tylko na weekend, kiedy to będzie mógł odwiedzić rodzinę i swoich przyjaciół z sąsiedztwa.

W piątkowe popołudnie nadeszła upragniona chwila: rzucił się w objęcia matki, czekającej na niego przed bramą domostwa. Nie chciała wejść do środka, obawiała się bowiem ponownego spotkania z Winstonem Brave'em i przywołania głęboko uspiionych, bardzo bolesnych wspomnień. Zdawała sobie sprawę, że całe jej cierpienie mogło powrócić w każdej chwiji; nie zamierzała do tego dopuścić.

Oskar rzucił swoją walizkę na tylne siedzenie samochodu i poprosił matkę, aby ruszyła i nie zatrzymywała się nigdzie po drodze. Chciał jak najprędzej znaleźć się na Kildare Street.

Przez godzinę starał się opowiedzieć swoim bliskim to, co przeżył w ciągu tygodnia spędzonego w Cumides Circle. Zbyt wiele się jednak wydarzyło i szybko zaczęło mu się to wszystko plątać, a jego relacja stała się mało zrozumiała. W końcu

Violette zaczęła coś nucić pod nosem, popatrując na boki, a mama poradziła mu, żeby najpierw odpoczął i podjął swoją opowieść później.

Oskar wskoczył na rower i ruszył uliczkami Babylon Heights, wdychając głęboko wszystkie znajome zapachy, które istniały w jego życiu, odkąd pamiętał. Nagle zrozumiał, jak bardzo ten otaczający go świat był dla niego ważny - równie ważny, jak rodzina i dom.

Kiedy odwiedził już kuchnie lub ogrody wszystkich sąsiadów, dojechał do sporego zbiegowiska, które zmusiło go, by zsiadł z roweru. Przecisnął się naprzód i odkrył, że to Jeremy przemawia do rozbawionego tłumu. Ludzie słuchali z zainteresowaniem tego, co mówił.

- Proszę państwa, kolejna nowość w Bazarze Jeremy'ego: dział ogrodniczy, z dostawą do domu gratis! Marzysz o takich samych kwiatkach, jakie ma w ogrodzie sąsiadka? Jej kwiaty są ładniejsze od twoich i chciałabyś u siebie posadzić inne? Wezwij na pomoc naszą firmę - siłę ramion Bartha i nieomylny gust Jeremy'ego!

Jeszcze przed wakacjami mały Irlandczyk wspominał o swoich nowych planach Oskarowi. Jeremy i Barth zakradali się zatem po cichu do jakiegoś ogrodu i zasadzali tam jakieś kwiatki - takie same, jakie rosły w ogródku sąsiada. Ten ostatni, zły, że ktoś go naśladuje, dzwonił do Jeremy'ego, żeby ten odświeżył mu kwietniki. Mały spryciarz wsadzał inne kwiatki, ale wykopane sadzonki starannie przechowywał. „po to, by zasadzić je w jakimś innym ogrodzie - mogło się to ciągnąć bez końca. Połowa Babylon Heights zmieniła sobie kwiatki w ogrodach rękami dwóch braci, płacąc im oczywiście za pracę. Oni tymczasem nie wydawali ani grosza, wykopując i przesadzając rośliny z jednego ogrodu do innego...

Oskar potrząsnął głową i roześmiał się. Jeremy zauważył go i pomachał do niego, zachęcając, by podszedł bliżej.

- Mam także przyjemność oznajmić państwu, że Oskar Pili, najlepszy uczeń naszej szkoły, przyłączy się do nas, pomagając nam prowadzić Bazar i myśląc nad tym, co możemy jeszcze zrobić, żebyście państwo byli naprawdę zadowoleni ze swoich zakupów!

Kilka osób zaczęło bić brawo, potem rozeszli się, zanim Oskar miał czas, żeby zaprotestować. - No i co z tobą, gdzie byłeś przez cały ten tydzień? - wrzasnął Jeremy, zadowolony, że jego kumpel z klasy się odnalazł.

- Byłem u... u wujka - skłamał Oskar, który dobrze zapamiętał przykazania Winstona Brave'a.

Chętnie podzieliliby się z przyjaciółmi swoimi doświadczeniami, znał jednak Jeremy'ego - w przeciwieństwie do Bartha nie umiał dochować tajemnicy, zwłaszcza w przypadku takiego tematu, jak Cumides Circle. Jeremy byłby skłonny zakraść się do tamtejszego ogrodu i przyciąć gałęzie Zizou, żeby zasadzić je gdzie indziej. Mógłby też nimi handlować, oferując je w roli strażników domu lub bramkarzy!

- Wracam tam w przyszłym tygodniu, i później też. Pracuję u niego - powiedział Oskar. - Więc sam rozumiesz, nie dam rady pomóc ci w tym Bazarze...

- Szkoda, miałem parę fajnych pomysłów - odparł Jeremy z rozczarowaniem.

- Słuchaj, a może chciałbyś skoczyć teraz na deskorolkę? - zaproponował szybko Barth.

Oskar ledwo zdążył do domu na kolację, wrócił zmordowany i szczęśliwy.

Tym razem Celia nie miała mu za złe spóźnienia. Wiedziała, że jej syn musi na nowo odnaleźć swój chłopięcy, zwyczajny świat, wrócić do wakacyjnych rozrywek. Dzięki temu zapominał na chwilę o Cumides Circle i o czekającej go trudnej inicjacji. Mógł się po prostu bawić i nie zajmować niczym innym przez całą sobotę.

W niedzielę Oskar postanowił spędzić trochę więcej czasu z mamą i siostrą. Urządzili sobie piknik w parku i pływali łódką po jeziorze. Wyszli z łódki mokrzy i bardzo szczęśliwi. Kiedy wrócili do domu, odkryli na kuchennym stole wielki stos plastikowych pudełek, a przy nich sporą kartkę, na której ktoś napisał „OSKAR”, z krótkim liścikiem od sąsiadów:

Schudłeś, drogi chłopcze!

Przygotowałyśmy ci zatem to i owo na podwieczorek, na cały przyszły tydzień.

Wielkie buziaki!

Pani Orfanoudakis, pani Dawesar i pani Golino.

Oskar pochylił się nad pudełkami. Były tam mięsne pulpeciki, rozmaite przysmaki z owczego sera, ciasteczka wszelkich rodzajów, z rozmaitych stron świata... Zapasy te mogły wystarczyć nie tylko na tydzień, ale i na cały miesiąc, zakładając nawet, że Jerry nadal będzie robił swoje pyszne kanapki.

Poszedł do pokoju się spakować, a Violette pognęła za nim. Wydawało się co prawda, że myślami błądzi gdzie indziej, trzymała się jednak wciąż blisko brata. Ten weekend minął bardzo szybko, a ponieważ Oskar musiał ukrywać przed przyjaciółmi wszystko, co dotyczyło Cumides Circle, w końcu jemu samemu to miejsce wyleciało z głowy. Kiedy jednak pakował swoje rzeczy, wszystko wróciło. Choć Oskar miał w pamięci przykre obrazy, które pokazał Grimoire, wcale nie było mu źle na myśl o tym, że musi tam wrócić i podjąć lekcje z panią Withers. Niemal cieszył się z tego, że już niedługo pojedzie do siedziby Wielkiego Mistrza. Jego myśli krążyły oczywiście wokół jednej, jedynej sprawy. Następnego dnia po raz pierwszy miał spróbować Introdukcji Cieleśnej. O osiemnastej trzydzieści ucałował matkę i siostrę, po czym pobiegł w stronę czarnej limuzyny, która już na niego czekała. Jerry przywitał go z szerokim uśmiechem na swojej brodatej, rumianej twarzy.

- Brakowało nam ciebie, Oskarze! No, w drogę! Wiesz przecież, że musimy być w Cumides Circle przed dziewiętnastą.

### **Pierwsza podróż**

Samochód jechał przez miasto i Oskar niebawem rozpoznał okolice Blue Parku. W miarę, jak zbliżał się do pięknej siedziby Winstona Brave'a, rosło jego podniecenie.

Zaledwie samochód minął bramę i zajechał przed wejście do domu, Oskar wysiadł szybko i pobiegł zwirowaną ścieżką i wbiegł na schodki, zanim jeszcze Bones zdążył otworzyć drzwi.

- Mogłeś zaczekać chwilę, podszedłbym do samochodu z parasolem - powitał go z naganą w głosie majordomus.



Oskar westchnął. Ten kwaśny ton Bonesa był ostatnią rzeczą, jakiej mu brakowało, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

- Parasol? Przecież jest piękna pogoda!

- Chodzi o niedyskretne spojrzenia. Nie ma potrzeby, żeby ktoś zauważył cię przed wejściem do domu - odparł Bones niezadowolonym tonem.

Oskar nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Przeszedł przez hall z walizką na plecach. Majordomus zawołałA.

go, ale młody Medykus nie dał mu czasu na powiedzenie czegokolwiek.

- Tak, panie Bones, wiem - punktualnie o dziewiętnastej w jadalni!

Po posiłku Oskar poprosił Bonesa, by poszedł razem z nim do biblioteki. Nie miał chęci na spotkanie w cztery oczy w Billym Boydem, chciał jednak za wszelką cenę przeczytać rozdział z historii Medykusów, który polecała mu pani Withers. Niestety markiz Alphonse miał trudności z odszukaniem tego tematu w swojej nieco zawodnej pamięci i nie był w stanie pomóc Oskarowi przed jego wyjazdem na weekend do domu.

Noc była niespokojna, tym razem nie z powodu koszmarów, które dręczyły go w ciągu minionego tygodnia, ile dlatego, że natłok zbyt wielu silnych wrażeń nie pozwalał mu zasnąć.

Następnego ranka wstał godzinę wcześniej, umył się i ubrał, a potem cicho zszedł na dół. Zajrzał do kuchni - Cherie kręciła się już niespokojnie wśród swoich rondli.

- To ty, Oskarze? Jaka miła niespodzianka!... Ale co ty tutaj robisz o tej porze? Pan Brave jeszcze nie zszedł na dół! Ach, oczywiście, wstał już dawno temu, zdążyłam mu zanieść kawę do gabinetu - Bones za każdym razem proponuje, że weźmie to na siebie, ale nie pozwalam na to, ja zajmuję się kuchnią, to moje terytorium i ja zanoszę panu Brave'owi śniadanie. Ach, ten Bones, pcha się do wszystkiego, sam rozumiesz...

Oskar skrzywił się nieco. Nie był przygotowany na niekończące się wywody Cherie od bladego świtu.

O dziwo, ona sama zamilkła.

- Co się stało, Oskarze? Coś nie tak? Wiem, jesteś głodny!-Tak, właśnie - potwierdził Oskar. - Jestem trochę głodny.

Zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie ponosił, oświadczając taką rzecz tak straszliwej kucharce jak ona, ale kiepskie śniadanie mogło być ostatecznie czymś nieco lepszym niż bezustanny potok słów.

Cherie natychmiast przestała rozprawiać i rzuciła się w stronę lodówki. W błyskawicznym tempie postawiła przed chłopcem - ku jego wielkiej uldze! - mleko, płatki, złociste kromki grzanek i olbrzymią ilość konfitur.

- Bardzo mi przykro - powiedziała - to nie są, niestety, konfitury mojej własnej roboty. Nie miałam ani jednej wolnej chwili...

- Nic nie szkodzi, naprawdę - pospiesznie przerwała jej Oskar, szczęśliwy, że zagrożenie zniknęło. - Te bardzo mi smakują.

- Ale następnym razem, Oskarku, obiecuję, usmażę ci konfitury... Och! - krzyknęła, zasłaniając ręką usta. Zarumieniła się jak piwonia i umilkła, w cudowny sposób unieszkodliwiona przez własne słowa. - Bardzo cię przepraszam, że cię tak nazwałam - wyjąkała.

Gdyby mogła, schowałaby się pod stołem. Oskar miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Najwyraźniej Cherie była w stanie umilknąć tylko wtedy, kiedy była zawstydzona. Już choćby dla tej tylko przyczyny Oskar chciał utrzymywać ją w tym stanie, nie miał jednak serca tego robić.

- Wie pani, Cherie, może pani do mnie tak mówić, nie ma problemu - powiedział.

- Naprawdę? - odetchnęła z wyżyn swojego wzrostu Cherie. - Dziękuję, ach, dziękuję, Oskarku, wiesz, jest mi dużo przyjemniej tak się do ciebie zwracać, bo widzisz, przecież tak naprawdę mógłbyś być moim synem, no, może kolorA

włosów trochę nie pasuje, ale właściwie już cię kochamy jak syna, Jerry też, tym bardziej że...

Cherie umilkła na chwilę, a w jej oczach zabłyśły łzy. Odwróciła się, chcąc je ukryć.

- Chcesz może kawałek keksu? - spytała, głośno pociągając nosem. - Upiekłam wczoraj...

Najwyraźniej Cherie dotknęła jakiejś kwestii, która bardzo ją wzruszyła. Oskar już miał odmówić, zreflektował się jednak.

- Tak, poproszę... eee, to znaczy... z przyjemnością - odpowiedział z wysiłkiem, obawiając się najgorszego.

Cherie podeszła szybkim krokiem do swoich szafek i wyjęła tacę, przykrytą kloszem. Postawiła ją na stole. Oskar przekonał się, że po\*d kloszem była ukryta zadziwiająca, fioletowa strucla, nieco zapadnięta w środku i spalona na bokach.

- Z burakami - wyjaśniła dumnie Cherie. - My z Jerrym nie mieliśmy dzieci, więc, rozumiesz, skoro po raz pierwszy w Cumides Circle jest jakieś dziecko, mamy wielką ochotę wciąż je rozpieszczać. To znaczy, jeśli chodzi o tę sprawę, że nigdy nie było tu dzieci, to Bones tak twierdzi - powiedziała Cherie, przechylając swoją małą główkę i mrugając dłużej niż zwykle. - Ale w sąsiedztwie mówi się co innego...

Oskar podniósł głowę: dzieci? W Cumides Circle? Zastanawiał się, czy pan Brave mógł mieć dzieci i czy kiedykolwiek był żonaty.

- ...ale to już zupełnie inna historia - ciągnęła Cherie, która zamilkła tylko na sekundę, żeby zaczerpnąć tchu. Ukroiła przy tym jednocześnie kawałek ciasta wielkości tornistra. - W każdym razie Jerry i ja zaopiekujemy się tobą, co do tego nie ma żadnych wątpliwości! A jeśli chodzi o ciasta, to będzie jeszcze mnóstwo innych, bądź pewien!

- Yyy... no tak, bardzo się cieszę, rzecz jasna - odparł Oskar, którego ta wiadomość dobiła.

Patrzył na swój talerz i głowił się, jak z tego wybrnąć. Rozejrzał się po kuchni, licząc na to, że Rolls albo Royce miały ten sam (niemądry) pomysł co on, a mianowicie, żeby tu się pojawić. Niestety, psów nie było widać.

- Drogi Oskarze, widzę, że jesteś takim samym rannym ptaszkiem jak ja.

Głos zabrzmiał za jego plecami jak sygnał pogotowia, na który tak bardzo się czeka, kiedy człowiekowi zdarzy się jakiś wypadek. Oskar odwrócił się i uśmiechnął się szeroko do pani Withers, niezwykle kokieteryjnej w swojej szafirowej sukni z krótkimi rękawami i koronkowym kołnierzem. Jeszcze wyraźniej niż kiedykolwiek rzuciła się w oczy jej czerwone okulary. Tak czy inaczej wydawała się dobrze wypoczęta po tym raczej męczącym tygodniu.

- Mamy mnóstwo roboty. Dziś twój wielki dzień... \

Oskar przytaknął z błyszczącymi oczami.

- Bardzo mi przykro, ale będę musiała oderwać cię od tego doskonałego śniadania.

Zbliżyła się do stołu, zaintrygowana.

- Cherie, jaka śliczna cegła leży tu na stole, dodaje koloru. Zajmujesz się teraz ceramiką?

Kucharka poczerwieniała na twarzy. Oskar odpowiedział w jej imieniu.

- To jest keks, który Cherie właśnie upiekła, proszę pani. Chciałaby pani spróbować? - i przesunął swój talerzyk w jej stronę.

Pani Withers najpierw szeroko otworzyła oczy, później jednak uprzejmy uśmiech wrócił na jej twarz.

- Ach, Cherie, jak to miło z twojej strony. Co za oryginalny pomysł! Nie, dziękuję, Oskarze - powiedziała, przeszywając młodego Medykusa straszliwym spojrzeniem. - Ale jeśli chcesz, pozwolę ci dokończyć śniadanie i spotkamy się za chwilę w bibliotece...

- Nie, nie - krzyknął Oskar, zrywając się pospiesznie na równe nogi. - Mamy sporo pracy. Cherie, czy mógłbym zanieść sobie później do pokoju ten kawałek keksu, jak pani myśli? Nie chciałbym, żeby Bones...

- Bones o niczym się nie dowie, obiecuję - oświadczyła Cherie konspiracyjnym tonem. - Nic się nie martw, kochanie! To będzie nasz sekret!

- Dzięki! - westchnął z ulgą Oskar, wychodząc z kuchni z panią Withers.

Przeszli pospiesznie przez hall i zamknęli się w bibliotece. Dopiero wtedy pani Withers spojrzała oskarżycielsko na chłopca i pogroziła mu palcem.

- Posłuchaj, chłopcze, musimy coś uzgodnić. Jeżeli jeszcze raz postawisz przede mną kawałek ciasta upieczony przez tę nieszczęsną kobietę, nigdy już nie uratuję cię z jej szponów, choćby zdarzyło mi się znowu przyjść wcześniej!

Oskar roześmiał się, uroczyście przeprosił i obiecał, że nigdy już nie okaże podobnej nielojalności.

- No i gratuluję ci, wybrnąłeś z tej sytuacji w bardzo pomysłowy sposób - przyznała rozbawiona starsza pani. - Sprytnie wymyśliłeś z tym zanieśieniem ciasta do pokoju, a w dodatku odwróciłeś uwagę Cherie, która już miała się obrazić. Sama bym na to nie wpadła.

- Dziękuję pani - odparł Oskar, zadowolony z siebie.

- A teraz - powiedziała, zerkając na zegarek - jeśli jesteś gotów...-Tak, jestem gotów - odrzekł Oskar z bijącym sercem.

Zachęciła go ruchem głowy, by wyszedł z pokoju.

Otworzyli drzwi do salonu, przeszli po puszystym dywanie, minęli kanapy i skierowali się prosto w stronę kominka. Pani Withers owinęła się swoją peleryną, wyjęła z komody żaroodporną rękawicę i zanurzyła w płomieniach dłoń z medalionem, by przyłożyć go do właściwego wyżłobienia. Kiedy wyjęła rękę z ognia, odsunęła się ściana i pojawił się Żółty Salon.

- Żeby było jasne - wyjaśniła - nie chodzi tutaj o moją rękę, tylko o sukienkę, do której jestem bardzo przywiązana. My, Medykusi, jesteśmy w stanie uleczyć oparzenie jednym prostym ruchem, obawiam się jednak, że nie mogłabym tego uczynić ze spalonym materiałem... Chodź za mną.

Weszli do okrągłego pomieszczenia i ściana zasunęła się, zamykając za nimi wejście.

Pośrodku pokoju Victor trzepotał się niespokojnie w swojej klatce, zapewne rozpoznał już panią Withers.

- Oskarze, pozwól, że przedstawię ci Victora, bengalskiego kanarka; należy do Winstona Brave'a. Bardzo jest do niego przywiązany - dodała cichym głosem. - Musisz wiedzieć, że właśnie wewnątrz tego ptaszka Wielki Mistrz najchętniej zwołuje zebrania. Jeśli o mnie chodzi, mam straszliwą alergię na ptaki, a zwłaszcza na tego tutaj.

I jakby chcąc dać na to dowód, wydmuchała nos w małą haftowaną chusteczkę, którą później schowała do kieszeni. Posłała nader uprzejmy uśmiech w stronę ptaszka, a ten zaczął świergotać.

- Ja jestem uczulona na Victora, ale wydaje mi się, że on także jest uczulony na mnie - wymamrotała cicho pani Withers, po czym rzekła już normalnym głosem: - Victorze, pozwól, że ci przedstawię Oskara Pilla, który za chwilę odbędzie wraz ze mną Introdukcję Cieleśną. Dziękuję ci z góry, że zapewnisz nam serdeczne przyjęcie - jeśli mogę się w ten sposób wyrazić.

Oskar patrzył to na kanarka, to znów wpatrywał się w oczy starszej pani, ukryte za czerwonymi okularami. Nie wierzył w to, co usłyszał.

- Wejdziemy... tam, do środka? Wejdziemy... w kanarka?

Pani Withers zgromiła go wzrokiem.

- Chciałeś powiedzieć „do środka naszego kochanego Victora”, nieprawdaż? - poprawiła go z naciskiem.

- Taak, to znaczy... - jąkał się Oskar - chciałem powiedzieć... do środka naszego kochanego Victora.

- Ależ tak, oczywiście. Ptaki także mają swoje pięć Uni-wersów, oczywiście niektóre są nieco słabiej rozwinięte niż u nas, to oczywiste.

Nachyliła się do ucha Oskara.

- Nifetbędę ukrywać, że Cerebra, Uniwersum umysłu, nie zajmuje zbyt wiele miejsca w czaszce tej figurki z piórkami. Kiedy człowiek uda się w podróż do tych okolic, rozumie od razu lepiej, co znaczy wyrażenie „mieć ptasi mózdzek”, którym opisuje się ludzi niezbyt lotnych. Ale to doskonałe miejsce na pierwszą Introdukcję. System jest dużo prostszy niż u człowieka.

Wyprostowała się i poprawiła sukienkę.

- Żółty będzie znakomicie pasował do mojego stroju, to świetnie. Wyjaśnię ci teraz, jakie są zasady udanej Introdukcji, Oskarze. Słuchasz mnie uważnie?

To pytanie było zupełnie niepotrzebne, Oskar bowiem słuchał tak uważnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Pokiwał energicznie głową i pani Withers zaczęła mówić.

po czym rzekła już normalnym głosem: - Victorze, pozwól, że ci przedstawię Oskara Pilla, który za chwilę odbędzie wraz ze mną Introdukcję Cieleśną. Dziękuję ci z góry, że zapewnisz nam serdeczne przyjęcie - jeśli mogę się w ten sposób wyrazić.

Oskar patrzył to na kanarka, to znów wpatrywał się w oczy starszej pani, ukryte za czerwonymi okularami. Nie wierzył w to, co usłyszał.

- Wejdziemy... tam, do środka? Wejdziemy... w kanarka?

Pani Withers zgromiła go wzrokiem.

- Chciałeś powiedzieć „do środka naszego kochanego Victora”, nieprawdaż? - poprawiła go z naciskiem.

- Taak, to znaczy... - jąkał się Oskar - chciałem powiedzieć... do środka naszego kochanego Victora.

- Ależ tak, oczywiście. Ptaki także mają swoje pięć Uni-wersów, oczywiście niektóre są nieco słabiej rozwinięte niż u nas, to oczywiste.

Nachyliła się do ucha Oskara.

- Ntebędę ukrywać, że Cerebra, Uniwersum umysłu, nie zajmuje zbyt wiele miejsca w czaszce tej figurki z piórkami. Kiedy człowiek uda się w podróż do tych okolic, rozumie od razu lepiej, co znaczy wyrażenie „mieć ptasi mózdzek”, którym opisuje się ludzi niezbyt lotnych. Ale to doskonałe miejsce na pierwszą Introdukcję. System jest dużo prostszy niż u człowieka.

Wyprostowała się i poprawiła sukienkę.

- Żółty będzie znakomicie pasował do mojego stroju, to świetnie. Wyjaśnię ci teraz, jakie są zasady udanej Introdukcji, Oskarze. Słuchasz mnie uważnie?

To pytanie było zupełnie niepotrzebne, Oskar bowiem słuchał tak uważnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Pokiwał energicznie głową i pani Withers zaczęła mówić.-

Przede wszystkim, nigdy nie wchodzi się do czyjegoś organizmu, nie mając przy sobie medalionu.

Oskar dotknął medalionu i poczuł ciepły metal pod bawełną T-shirtu.

- Mam go ze sobą - powiedział drżącym głosem, nad którym nie bardzo mógł już zapanować.

- To świetnie. Druga zasada: peleryna. Nie jest może niezbędna, jednak wewnątrz organizmu bywa nieocenioną pomocą. Zorientujesz się, kiedy spróbujemy kolejnej Introdukcji. No i pas - konieczny, zwłaszcza przy przejściu z jednego Uniwersum do drugiego. O tym jeszcze porozmawiamy potem. Na razie skoncentrujmy się na tym, w jaki sposób możemy dostać się do czyjegoś ciała. Słowa-klucze to determinacja i koncentracja.

Pani Withers wymówiła z dużym naciskiem każdą sylabę. Oskar otworzył szeroko oczy.

- Eee... co to właściwie dokładnie znaczy?

- To oznacza, że musisz dokładnie określić sobie, gdzie chcesz się udać, i skoncentrować się na tym właśnie miejscu w chwili, kiedy będziesz wchodził do czyjegoś organizmu. W przeciwnym razie możesz się znaleźć gdzie indziej, w miejscach zupełnie ci obcych. Nierzadko zdarza się, że doświadczony Medykus musi ruszać na akcję ratunkową w poszukiwaniu innego, mniej wyrobionego Medykusa, który zagubił się nie wiadomo gdzie...

- Wystarczy zatem intensywnie myśleć o jakimś Uniwersum, żeby się tam właśnie znaleźć?

- W pewnym sensie tak, ale to nie takie proste. Nie zapominaj, czego nauczyliśmy się w zeszłym tygodniu, Oskarze: żadne Uniwersum nie jest ważniejsze od innego; pomimo to istnieje pewien określony porządek, którego musisz się trzymać. Żeby móc dostać się do nowego Uniwersum, trzeba przejść przez poprzednie i przynieść stamtąd Trofeum. Dopiero wtedy możesz ruszyć w kierunku kolejnego Uniwersum.



- Ale jeśli już raz weszło się do jakiegoś Uniwersum, można tam wracać dowolną liczbę razy, nie przechodząc od nowa przez te poprzednie - sprecyzował Oskar, dumny ze swojej pamięci.

- Bardzo słusznie - powiedziała pani Withers. - Ostatnie pytanie przed naszą podróżą: czy pamiętasz, jaka jest kolejność Uniwersów?

Oskar zamknął oczy. Podczas tego tygodnia dowiedział się o tylu rzeczach, że wszystko mieszało mu się w głowie. W miarę jednak, jak się starał uspokoić, wiadomości pojawiały się bardziej uporządkowane.

- Pierwsze Uniwersum to Hepatolia, kraina trawienia. Dostarcza energię, konieczną dla całego organizmu. Drugie to połączone na dnie morza królestwa Oddechów i Pompy, trzecie - Embrium; czwarte - Genetix i to pani właśnie się nim zajmuje - uściślił Oskar. - Jest pani specjalistką od Genetix, Uniwersum genów!

Starsza pani uśmiechnęła się, zadowolona z wiedzy swojego ucznia.

- ... i ostatnie Uniwersum: Cerebra - zakończył Oskar.

- Dobrze - powiedziała pani Withers. - Nie ociągajmy się, ruszamy do pierwszego Uniwersum, do Hepatolii. Wyjmij swoją Literę, Oskarze, i rób to, co ci powiem.

Oskar naśladował każdy gest pani Withers co do milimetra. Trzymał swoją Literę w wyciągniętej przed siebie dłoni i wpatrywał się w kanarka, który fruwał po całej klatce. Starsza pani miała rację - ten ptak był na nią chyba uczulony, starał się za wszelką cenę uniknąć Introdukcji.

- A teraz skup się na tym Uniwersum, do którego chcesz się dostać, Oskarze. Jednocześnie musisz wpatrywać się w tę część ciała, która jest najważniejsza dla danego Uniwersum. W przypadku Hepatolii to usta, jako że są wejściem do przewodu pokarmowego. Zrozumiałeś mnie?

- Muszę się skupić na Hepatolii i patrzeć na usta... to znaczy na dziób Victora - poprawił się Oskar, niezwykle przejęty i drżący jak osika.

W czasie kiedy starsza pani tłumaczyła mu kolejność koniecznych czynności, lęk opuścił go na chwilę - teraz jednak wrócił ze zdwojoną siłą. Przypomniał sobie

słowa swojej nauczycielki, gdy oboje byli w tunelu, w słynnym Skanerze Serca, wtedy, kiedy pomiędzy nim a jego przewodniczką wyrósł Mur Niepokoju: zarówno w tunelu, jak i w każdym innym miejscu Medykus może działać tylko i wyłącznie wtedy, kiedy naprawdę tego chce i ma odwagę, by to zrobić.

Oskar starał się ukryć ten lęk gdzieś na dnie serca. Skupił się bardzo mocno.

- A teraz? - spytał młody Medykus.

- A teraz - odparła pani Withers - biegnij w kierunku tego dzioba i nie zatrzymuj się!

I zaraz potem pani Withers przybrała klasyczną postawę sportową, Oskar zaś - nie wierząc własnym oczom - ujrzał, jak ruszyła biegiem w kierunku klatki z nieszczęsnym Victorem, trzymając cały czas swoją Literę w wyciągniętej dłoni. Oślepiło go nagle światło, jakby błysk pioruna, i kiedy ponownie otworzył oczy, był sam w pomieszczeniu, nie licząc Victora, który zataczał się z lekka nieprzytomnie na swojej huśtawce. Oskar zbliżył się do prętów klatki.

- Proszę pani?... Czy... czy pani tam jest?

Nikt mu nie odpowiedział. Oskar rozejrzał się dookoła i nikogo nie dostrzegł. To nie był żaden trik, to nie była gra na PlayStation, pani Withers naprawdę dostała się do wnętrza kanarka!

Brakowało czasu na długie rozmyślania, nie mógł też sobie pozwolić na strach.

Cofnął się parę kroków, żeby móc się rozpędzić, trzymał swoją literę w wyciągniętej do przodu dłoni. Trudno mu było skoncentrować się na dziobie kanarka, rzucał się on bowiem po swojej klatce na wszystkie strony.

Odetchnął głęboko, rzucił się na klatkę... i przewrócił się razem z nią na ziemię, po czym przejechał się nosem po dywanie. Klatka poturlała się aż pod ścianę, w środku skakał i popiskiwał przerażony Victor. Oskar wstał, zarumieniony ze wstydu i złości, ustawił klatkę z powrotem naxokole. Jego pierwsza próba okazała się żałośnie nieudana...

Determinacja i koncentracja - powtarzał sobie w myślach młody Medykus. -  
To w końcu zupełnie prosta sprawa!

Podniósł z ziemi swój medalion i jeszcze raz ustawił się we właściwej pozycji. Wszystkie jego myśli skoncentrowane były na jednej, jedynej sprawie: wejść do organizmu tego diabelskiego kanarka i spotkać się tam z panią Withers, która z pewnością na niego czekała po drugiej stronie piórek. Policzył od dziesięciu do jednego, a przy zerze rzucił się na pręty klatki.

Tym razem nastąpiło wyładowanie i Oskar miał uczucie, jak gdyby jakiś gigantyczny podmuch wiatru uniósł go w górę i postawił na powierzchni czegoś miękkiego. Otworzył oczy i rozejrzał się dookoła.

Tuż przed nim wznosił się wysoki mur. Odwrócił się i stwierdził z przerażeniem, że taki sam mur, równie wysoki, widniał za jego plecami. Obydwa mury, równoległe, ciągnęły się na lewo i na prawo, nie było widać ich końców. Był wewnątrz jakiejś kanapki! Nad jego głową białawe niebo dopełniało ten ponury obrazek. Spojrzał pod nogi: leżał tam kurz, drobne kawałki drewna, resztki metalu i mnóstwo innych, trudnych do określenia szczątków, które układały się w grubą jak dywan warstwę. Już chciał się posłużyć swoim medalionem, ale nie musiał się nim wspomagać - światło dobiegało z muru za jego plecami. Pod matową powierzchnią widział jaśniejsze do i zarysy czegoś ciemniejszego, nie mógł jednak stwierdzić, co to jest.

Podniósł się i zaczął iść bardzo ostrożnie wzdłuż muru.

Drogę zagroziła mu biała, gładka belka, wrosnięta w mur pod obu stronach. Chłopiec schylił się, żeby się pod nią prześliznąć. Głowę musnęły mu długie, żółtawe porosty, przypominające świerkowe gałęzie, dużo jednak od nich delikatniejsze. Posuwał się naprzód. Podskoczył z wrażenia, kiedy ujrzał krągłą masę, najeżoną kolcami, która poderwała się w górę, a potem opadła z powrotem, z głośnym sapnięciem. Obszedł ją ostrożnie dookoła i ruszył dalej w tym samym kierunku.

Przestrzeń między murami wydawała się niezmienna w odległości dziesiątek i setek metrów. Był sam. Wreszcie zauważył prześwit w murze po lewej stronie. Przez chwilę się wahał, w końcu skorzystał z przerwy w murze i skręcił w nią. I znowu natknął się na kolejny mur, równoległy do tego, przez który przechodził.

- Proszę pani? Czy jest tu pani Withers? PROSZĘ PANI!

Cisza, odpowiedziało mu tylko echo, które przekazywało jego słowa poprzez lekko przezroczyste ściany murów. Gdzie się znalazł? Nie przypominało to w niczym Hepatolii, takiej, jaką opisała mu pani Withers, a jeszcze mniej - takiej, jaką widział odwzorowaną w kuli, kiedy oglądał księgę markiza. Co się stało?

Zaczął się zastanawiać, co zrobił nie tak, że znalazł się w takiej dziwnej sytuacji. Dlaczego zagubił się w organizmie Victora? Pewnie wybuch i rozbłysk światła sprawiły, że zamknął oczy! A miał się przecież skoncentrować i patrzeć na dziób Victora... Jak się teraz z tego wygrzebie? Pani Withers będzie musiała przyjść mu z pomocą i uzna, że nie jest zdolny słuchać z uwagą ani też skoncentrować się należycie. O ile w ogóle uda jej się go odnaleźć.

Ogarniał go coraz silniejszy niepokój, ba, wręcz panika, kiedy usłyszał stanowczy głos.

- Kto idzie? Stać!

Oskar znieruchomiał. Nie był w stanie się zorientować, skąd dochodził ten głos.

- Pytam wyraźnie: kto idzie? - spytał ten sam głos, nieco bardziej nerwowo.

- Nazywam się Oskar Pili - odparł Oskar, rozglądając się na wszystkie strony.

W końcu zauważył śmieszny kształt w kasku, wystający z otworu, wydrążonego w murze parę metrów nad jego głową.

- Nie ruszaj się, już idę! - rzucił stanowczym tonem typek w kasku.

Chwilę później dziwne stworzenie, ni to człowiek, ni to piankowy ludek, przedostało się nie wiadomo jakim cudem przez ścianę muru i stanęło przed chłopcem, który cofnął się niepewnie o krok.

- A pan, kim pan jest? - spytał Oskar, przygryzając nerwowo kosmyk włosów.

- Langer Hans 2420, nadzoruję trzeci mur Epidermy i muszę niszczyć każdego intruza... a w ogóle, po co ja ci to wszystko tłumaczę! - zdziwił się Langer Hans 2420, który zorientował się, że uciął sobie miłą pogawędkę z potencjalnym wrogiem. - Przecież to właśnie ty jesteś intruzem, nie ruszaj się! - zawołał, kierując w stronę Oskara dwie macki, które wystrzeliły z jego miękkiego, przezroczystego ciała.

- Nie jestem intruzem, jestem Medykusem! - szybko zaprotestował Oskar.

Chłopiec sięgnął pod koszulkę, by pokazać swój medalic

- Jakiś problem, brachu? - krzyknął ktoś z góry.

Oskar po raz kolejny popatrzył w górę i zobaczył ciemną głowę kogoś, kto przywodził na myśl kruka.

Kilka chwil później mur rozsunał się, by przepuścić wysokiego, czarnego jak węgiel stwora. Miał on na sobie szerokie workowate dżinsy, T-shirt z brylancikami, skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem, odbłaskowe okulary słoneczne, a na głowie czapkę, która przytrzymywała dredy spływające z tyłu czaszki.

- Nie mam żadnego problemu, Melano Man 3402 - odpowiedział Langer Hans 2420. - A w ogóle, to co ty tu właściwie robisz? Powinieneś być daleko stąd, za murami, ze wszystkimi innymi! Twoim zadaniem jest zatrzymywać promienie światła na granicy!

- Spoko, brachu, luzikL. Zrobiłem kółko po terenie i dobrze się stało, no nie? Widzę tu nowe twarze. Elo, ziom - zwrócił się serdecznym tonem do Oskara. - Co cię przywiało do tej dziury? Pewnie się zgubiłeś, co?

- To Medykus - wtrącił się Langer Hans 2420. - To znaczy, ten chłopak tak twierdzi.

- Medykus? - krzyknął Melano Man. - Ale czad, od wieków żadnego nie widziałem! Musimy to jakoś uczcić!

- No nie! - zdenerwował się Langer Hans - nie będziesz tu znowu zaczynał z tym swoim reggae, bo...

Melano Man skrzywił się.

- A kto tu mówi o reggae? Brachu, zapomnij, już od dawna preferuję zupełnie co innego! Nie zauważyłeś jeszcze? Koniec z dzierganymi na szydełku czapeczkami i z rastafariańskimi barwami. Teraz słucham muzy z klasą, no wiesz, Usher albo Timbaland!

Melano Man postawił na ziemi swój przedpotopowy sprzęt grający i wcisnął guzik. Między murami zabrzmiał ogłuszający rap. Melano Man zaczął deklamować, machając przy tym gwałtownie rękami, ze wskazującym i małym palcem obowiązkowo wyciągniętymi do przodu, poklepując się też od czasu do czasu po piersi.

Jeśli dużo siły, mój brachu, masz, Jeśli hardą pokazujesz nam twarz, Jeśli do tego masz Literę na kłacie, Liczę, że pokaz mądrości nam dasz!

Melano Man 3401 zacisnął pięść, bardzo z siebie dumny.

- No i co o tym myślisz, brachu? - zapytał Oskara.

- Spoko, naprawdę niezła zajawka - stwierdził Oskar, który nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.-

Melano Man zbliżył się do niego i chwycił medalion.

- Czaderski wisiołek, chętnie bym ci go zakosił!

Zaczął grzebać wśród swoich wiszących na szyi, pobrzękujących breloków i wyłowił jeden z nich.

- Zamienimy się, ziom?

Oskar cofnął się.

- Niestety, to niemożliwe, tylko ja mogę go nosić...

- Dobra, dobra, nie pękaj, mały! - zirytował się Melano Man. - Popatrz tylko, co za małolat! Za kogo się niby uważasz? Ci wszyscy Medykusi wnerwiają mnie, serio! Langer Hans, nie wiem, co tam sobie kombinujesz, ale...

- Kombinuję, że powinieneś wrócić tam, gdzie twoje miejsce, a ja się nim zajmę - odparował Langer Hans.

Melano Man obrzucił Oskara spojrzeniem pełnym pogardy.

- Masz farta, że nie mogę tu dłużej zostać, jeszcze bym się bardziej opalił. Najwyraźniej chcesz nam tu zrobić dym, co? Nie patyczkuj się z nim, Langer Hans, co nam tu będzie szurał, maolat...

Melano Man 3402 zniknął w murze po lewej stronie i Oskar został sam z Langerem Hansem 2420.

- Kto to był? - spytał Oskar.

- Melano-typ, ma za zadanie zatrzymywać światło za ostatnim murem, by chronić inne Uniwersa przed niszczącymi je promieniami. Dlatego właśnie jest cały czarny. No, dobrze - powiedział ostrym tonem - musisz mi teraz szybko wyjaśnić, co tu właściwie robisz, albo zamienisz się w jedną z tych cegiełek w murze...

Oskar przyglądał się ścianie muru, zaintrygowany słowami Langer Hansa.

- Zamienię się w jedną z cegiełek? Co pan ma na myśli?-Jesteś niby Medykusem, a nie wiesz, że mury zbudowane są z moich kolegów, którzy umarli? O, tutaj na przykład jest Langer Gretel 34202, moja starsza siostra.

- Umarli? Nie, ja... ja nie wiedziałem... strasznie mi przykro z powodu Gretel 34 i coś tam, to znaczy z powodu pańskiej siostry - Oskar usiłował pozbierać myśli. Zrozumiał teraz, dlaczego mury są lekko przezroczyste - ciało strażnika było takie samo.

Langer Hans podchodził coraz bliżej. Jego ciało bezustannie zmieniało formę, pojawiało się coraz więcej ramion, którymi chciał owinać chłopca. Kilka sekund później ścisnął go w swoich mackach; Oskar zaczął się dusić.

- Nie! Zaraz! Niech pan mnie nie zabija, jestem naprawdę Medykusem!

- Bardzo mi przykro, ale zostałeś zidentyfikowany jako ciało obce, muszę cię wyeliminować!

- A ja potwierdzam to, co mówi ten młody człowiek - jakiś głos zabrzmiał za plecami Langer Hansa 2420. - I dlatego proszę go puścić, jeśli łaska.

Oskar wyciągnął głowę i ponad ramieniem prześladowcy udało mu się dostrzec znajome siwe loczki i czerwone okulary.

Langer Hans odwrócił się i natychmiast rozluźnił swój uścisk. Za nim stała pani Withers w swojej zielonej pelerynie; w wyciągniętej przed siebie prawej dłoni trzymała swój medalion, a w lewej dziwnie lśniący, niewielki flakonik. Jej ostre spojrzenie nie wróżyło nic dobrego, strażnik od razu skurczył się do swoich normalnych rozmiarów.

- Ach, to pani... Ale skoro ten chłopiec jest Medykusem, w takim razie co tutaj robi?

Pani Withers schowała swoją broń i skinęła Oskarowi, dając mu znak, by się do niej zbliżył.-Nastąpił błąd w sterowaniu - powiedziała. - Mielśmy wylądować w Hepatolii.

- W Hepatolii? - powtórzył Langer Hans, zaskoczony. - No, jeśli zmierzaliście do Hepatolii, to rzeczywiście nieźle zabłądziliście, nie ma co! To nie jest Hepatolia, tylko Wielki Mur Skóry!

- Wiem, wiem - odpowiedziała pani Withers zatroskana. - Już sobie stąd idziemy, do widzenia.

Odwróciła się w stronę młodego Medykusa.

- Gotów?

- Ale... nie bardzo wiem, co mam zrobić, żeby teraz wrócić do Cumides Circle!

- Tym razem zdaj się na mnie.

Otoczyła łańcuszek od swojego medalionu wokół łańcuszka Oskara i osłoniła go połą swojej peleryny.

Chwilę później byli już pośrodku małego Żółtego Salomi.

Oskar poczuł, że trzęsą mu się kolana. Miał solkffiego stracha i zdał sobie sprawę, że Introdukcja Cieleśna nie jest taką prostą sprawą, jak mu się wcześniej wydawało. Pani Withers widziała, w jakim stanie jest chłopiec, i powiedziała pocieszająco:

- Wcale nie było tak strasznie, jak na twój pierwszy raz. Niektórzy zderzają się bez końca z klatką i Victor musi znosić wiele mimowolnych lotów, zanim takiemu początkującemu Medykusowi uda się pierwsza Introdukqa.



Oskar utkwiał wzrok w swoich trampkach, niezbyt dumny z siebie. Pół biedy, że była z nim tylko pani Withers, ale co powiedziałyby na to pan Brave?

Oskar nie widział go od czasu, kiedy wpadł na Fletchera Worma w hallu Cumides Circle, zdradzając tym samym swoją tu obecność. W międzyczasie członek Rady z pewnością zdążył zasięgnąć informacji, wiedział zatem bez cienia wątpliwości, kim jest Oskar. Wielki Mistrz był wtedy na niego wściekły i musiał to sobie dobrze zapamiętać. Nie miało zatem większego znaczenia, czy tego dnia miał odnieść sukces, czy porażkę - niewiele by to zapewne zmieniło w uczuciach Winstona Brave'a. Chłopiec przywołał w pamięci swojego ojca, który być może także nie byłby z niego nadzwyczajnie dumny.

Pani Withers ciągnęła dalej zachęcająco:

- Posłuchaj, powinieneś zdać sobie sprawę możliwie prędko, że nie wszystko w trakcie naszej nauki będzie miłe, łatwe i przyjemne. Poza wszystkim odkryłeś, jak wygląda Wielki Mur Skóry i jego strażnicy - to ważne doświadczenie. Przestań już się tym gryźć. Musimy kontynuować naszą przygodę. Jaka jest twoja decyzja? Lecimy dalej czy na dziś kończymy?

Oskar podniósł hardo głowę.

- Kontynuujemy - powiedział bez wahania.

- Świetnie, może jednak zmienimy nasz cel. Kto wie, może Introdukcja wyda ci się tym razem łatwiejsza.

Zbliżyła swój medalion do drzwi i w ścianie ukazało się przejście. Klasnęła w dłonie i w tej samej sekundzie usłyszeli uroczej kawalkady. Zabrzmiało to tak, jak gdyby stado mamutów biegło obute w szpilki na wysokim obcasie. Chwilę potem ukazały się dwa bassety pana Brave'a. Pani Withers wpuściła psy i sprawiła, że wejście ponownie się zasunęło, zamykając ich niewielką grupkę w Żółtym Salonie.

- No dobrze - powiedziała starsza pani - Roßls i Royce poświęcą się dla dobra sprawy. Przynajmniej tym razem nie wyjdą z salonu przed naszym powrotem. Bo trzeba ci wiedzieć, że kiedy ostatnim razem członkowie Rady spotkali się w jednym z tych psów, dla większej dyskrecji - po wszystkim, kiedy już wyszliśmy,

znaleźliśmy się w ich budzie, na skraju ogrodu. Którego z nich wolisz wykorzystać do tej kolejnej próby Introdukcji - spytała pani Withers - Rollsa czy Royce'a?

Oskar nie był w stanie rozróżnić psów - oba miały ten sam lekko nieprzytomny i senny wyraz pyska, takie same ciągnące się po ziemi uszy - podobnie rzecz się miała z ich brzuchami. Starsza pani dokonała wyboru.

- No cóż, poprosimy zatem Royce'a, żeby był tak miły i użył nam gościny. To ten, Oskarze - dodała, wskazując palcem psa po lewej stronie. - Na pewno od razu dostrzegłeś różnicę, prawda? To zresztą nieistotne. Jego lewe oko jest bardziej przymknięte niż prawe. Rolls ma odwrotnie. Nieważne, do dzieła! Teraz, kiedy wiesz już, co trzeba robić, możemy ruszyć jednocześnie. Royce, bądź tak miły...

Pies zerknął na nich mętym wzrokiem, oko miał nieco załzawione (to, które było trochę bardziej przymknięte). W ramach odpowiedzi przeżuł coś nonszalancko. Żarłoczny komediant znalazł zapewne jakiś smakołyk za którąś z roślin doniczkowych lub pod jakimś meblem. Mógł to być herbatnik lub resztki posiłku, przygotowanego przez Cherie, które pan Brave wolał ukryć za doniczką lub pod stołem...

- Royce się zgadza - zawyrokowała pani Withers.

Obydwoje się rozpędzili, zerknęli na siebie i wyciągnęli w stronę psa swoje medaliony z wielką literą M, otoczoną złotem.

- I nie zapomnij, Oskarze - powiedziała starsza pani. - Determinacja i koncentracja.

Oskar odwrócił głowę w kierunku Royce'a, który wydawał się dużo spokojniejszy niż Victor na myśl o tym, że przeniknie do jego wnętrza dwoje Medykusów. Położył się ociężale na ziemi, z pyskiem między przednimi łapami - ani starsza pani, ani jej uczeń nie mieli problemu, żeby skoncentrować się na psich faflach.

Rzucili się naprzód i w ciągu ułamka sekundy zniknęli w rozbłysku światła, podczas gdy Royce akurat zapadał w spokojną drzemkę.

## Przemiał

Oskar podniósł się i rozejrzał dookoła. Znajdował się w kwadratowym pomieszczeniu, wypełnionym ekranami i różnym sprzętem elektronicznym. Poza tym ściany były zupełnie gołe. Jedną z nich zastąpiono wielką szybą, niestety Oskar nie mógł dostrzec, co kryje się po drugiej stronie. Nie bardzo, się tym jednak przejmował. Najważniejsze było to, że obok niego stała uśmiechnięta pani Withers.

- Drogi Oskarze, witaj w Uniwersum Hepatolii i jeszcze raz brawo! Ta Introdukcja powiodła ci się wręcz idealnie.

- Dziękuję - odparł Oskar, dumny jak paw, zapominając o wszelkiej skromności. - W sumie to było bardzo proste... Gdzie jesteśmy?

- Pod ziemią. Znajdujemy się dziesiątki metrów pod ziemią. Opowiadałam ci: Hepatolię tworzy gęszcz tuneli, wielkich grot, wydrążonych na wielkiej głębokości, są tu rzeki podziemne... Jesteśmy teraz w centrum dyspozycyjnym, nad jednostką transferową pokarmu. Zbliź się, Oskarze.

Pani Withers podeszła bliżej do okna, Oskar zbliżył się do niej.

Z centrum dyspozycyjnego widzieli w dole gigantyczną grootę, gdzie mrowiły się setki pracowników, kręcących się we wszystkie strony, by załadować do wagonów dosyć obrzydliwie wyglądającą substancję, brunatną i kleistą. Nieco dalej inni robotnicy wyładowywali zawartość wagonów na pasy transmisyjne, które przenosiły ją w głąb tej fabrycznej hali i wylewały maź do trzech otworów w ścianie groty. Oskar skrzywił się.

- Nie ma się czego brzydzić! - powiedziała pani Withers. - Jednostka rozdrabniania pokarmu wygląda bardzo podobnie u zwierząt i u ludzi, wierz mi... To psia karma, woda, a przede wszystkim to, co Royce znalazł sobie sam do zjedzenia, poza posiłkami, które dostaje w domu.

Zmrużyła oczy i poprawiła okulary.

- Ciekawe - dorzuciła po chwili z ironicznym uśmiechem - wydaje mi się, że rozpoznaję w tym interesujące barwy potraw przygotowanych przez Cherie...

Oskar usłyszał bulgot płynącej wody. Odwrócił się.

- Co to jest?

- Zapewne jakaś podziemna rzeka. Są wszędzie. Podziemia Hepatolii zryte są rozmaitymi tunelami, to prawdziwe mrowisko. Te rzeki mają duże znaczenie - służą do transportu i do przemieszczania się z miejsca na miejsce. Chodź, przedstawię cię Mai - powiedziała pani Withers - pewnie jest w następnej sali.

- Tu są jacyś ludzie? - zapytał zdziwiony Oskar.

Pani Withers wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście, że są tu „ludzie”, Oskarze! Jest ich więcej, niż ci się wydaje. Jakże inaczej mogłaby funkcjonować ta wielka kraina?

W tym samym momencie rozległa się syrena i z głośników rozbrzmiał głos.

- Uwaga, uwaga! Stymulacja nerwu parasympatycznego! Za chwilę nastąpi trzęsienie ziemi! Proszę się ustabilizować! Powtarzam: proszę się ustabilizować!

Na całej długości ścian groty zaczęły się wysuwać uchwyty na wysokości rąk.

- Co tam mówili? - krzyknął Oskar, starając się przekrzyczeć ogłuszający dźwięk syreny. - Co niby za chwilę nastąpi?

- Złap się tych uchwytów! Szybko!

Pani Withers nie zdążyła powiedzieć nic więcej, rozeszła się fala wstrząsu. Oskar wyleciał w powietrze, odbił się od miękkich ścian i spadł na dół. Starsza pani podeszła do niego i pomogła mu się podnieść.

- To się powtórzy za kilka chwil!

Tym razem Oskar nie starał się już zgłębiać przyczyn, złapał się mocno uchwytu wyrastającego ze ściany. Kolejny wstrząs był jeszcze silniejszy. Po nim nastąpił trzeci, przy którym nawet pani Withers straciła równowagę, mimo że miała już doświadczenie i mocno się trzymała. W końcu dźwięk syreny zaczął słabnąć, aż ucichł. Z głośników popłynął znowu czyjś głos, tym razem dużo spokojniejszy:

- Zagrożenie minęło. Możecie podjąć pracę.

- Co takiego się wydarzyło? Co to było? - zapytał Oskar, masując obolałe ramię i opierając się o jego miękkie ściany.

- Nic naprawdę strasznego - odparła pani Withers. - Po prostu nasz dzielny Royce miał czkawkę. Chodź tutaj i popatrz na sklepienie tej pieczary.

Oskar dostrzegł nagle, że sklepienie groty było całkowicie przezroczyste, przypominało wielki szklany sufit.

Powyżej mógł zaobserwować głęboką czerń nieba. Pani Withers miała rację - Hepatolia była światem, który skrywały wieczne ciemności. Z jednym wyjątkiem: czarne niebo w regularnych odstępach czasu przesywały błyskawice, ich światło rozdzierało niebo, osnuwając Uniwersum bladą poświatą. Wyglądało to wspaniale.

- Widzisz te pioruny? - ciągnęła starsza pani. - To prąd elektryczny, który biegnie tysiącami kabli, rozsnutymi po niebie. Nazywamy je Gałęziami Błędnymi. Od czasu do czasu, kiedy dawka elektryczności jest zbyt mocna, taki piorun uderza w ziemię, która kurczy się i całe Uniwersum Hepatolii przeżywa wstrząs.

- I to jest właśnie czkawka?

- Tak - potwierdziła pani Withers. - Tak, Oskarze, na tym właśnie mniej więcej polega czkawka. No nic, wracamy, nie spędzimy przecież całego dnia w tym bassecie!

Wyszli z sali i ruszyli dalej wijącym się korytarzem.

Zatrzymali się przed zamkniętymi na zasuwę drzwiami, wybitymi w murze. Pani Withers wyciągnęła swój medalion i przyłożyła go do drzwi. Otworzyły się, ukazując kolejne pomieszczenie, wyposażone w liczne sprzęty elektroniczne. Wszystko wyglądało tak, jakby znaleźli się w najnowocześniejszej fabryce. Nie było tu jednak szklanej ściany, całość platformy została zaprojektowana jak balkon ponad jakąś przestrzenią, której Oskar nie mógł na razie dostrzec.

- Witaj w centrum dyspozycyjnym jednostki rozdrabniania Royce'a, Oskarze - powiedziała pani Withers.

Jakaś kobieta w bluzie i domowych pantoflach podniosła na ich widok głowę, uśmiechnęła się i ku zdumieniu chłopca, zaczęła szczekać.

- Dzień dobry, pani Withers!

Zaskoczony Oskar usłyszał, jak starsza pani odpowiada popiskiwaniami tak podobnymi do odgłosów wydawanych przez psy, że nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Mówi pani psim językiem? - spytał, nie wierząc własnym uszom.

- No, nie do końca, ale jakoś się dogadujemy. Wiesz, kiedy się sporo podróżuje, warto znać te dwa-trzy słowa w obcych językach i wydukać coś od czasu do czasu, żeby móc zapytać o drogę - rzekła starsza pani, puszczając do niego oko.

Oskar odwrócił się w stronę kobiety, która podeszła do nich w międzyczasie. Miała dziwną twarz z ciemnym, dość spiczastym noskiem, okrągłymi oczkami i kręconymi włosami.

- Oskarze, pozwól, że ci przedstawię, oto Maja Mnik - powiedziała pani Withers. - Maju, oto Oskar, młody Mgttfkus.

Oskar obserwował uważnie twarz Mai i w końcu zrozumiał, dlaczego wydała mu się od pierwszego wejrzenia nieco dziwna. Była wprost uderzająco podobna do miniaturowego jamnika pani Wings, sąsiadki z Babylon Heights - nie bez powodu nazywała się Maja Mnik!

- Dzień dobry, witajcie! - powiedziała Maja.

- Dzień dobry - uprzejmie odpowiedział Oskar, który nic nie rozumiał ze szczekania Mai.

- To jego pierwsza Introdukcja? - spytała Maja.

- Tak - odparła pani Withers.

- Winston Brave mnie uprzedził - powiedziała kobieta-jam-nik. - O ile dobrze zrozumiałam, macie zamiar przyspieszyć inicjację młodych Medykusów i odświeżyć wiedzę starych, zgadza się? Przyszłość zapowiada się nieciekawie, prawda?

- Niestety tak - potwierdziła starsza pani. - Ale wolałabym teraz nie myśleć o tych strasznych wydarzeniach. Jestem tutaj z Oskarem. Mogę się z nim zbliżyć do balustrady? Chciałabym, żeby mógł zobaczyć cysterny jednostki rozdrabniania i kanał ewakuacyjny.

- Oczywiście! - odpowiedziała Maja. - Chodźmy!

Pani Withers poprawiła na nosie swoje czerwone okulary i poprowadziła Oskara do samego skraju platformy. Rozciągał się stąd widok na kolejną, równie rozległą grootę. Nie było w niej ani jednego pracownika, stały tu natomiast rzędem olbrzymie, wysokie na kilkanaście metrów cysterny, w których dziwna masa, pochodząca z poprzedniej pieczary, ulegała rozdrobnieniu. Słychać było ogłuszający hałas wirujących turbin i ostrzy. Oskar odruchowo się cofnął: woń docierająca do nich z tej sali była jeszcze gorsza niż jej wygląd!

- Pasy transmisyjne, które widziałeś w poprzedniej grocie, dostarczają tutaj żywność i wyrzucają ją do tych cystern - wyjaśniała pani Withers. - Kiedy już wszystko jest drobno zmielone, ich zawartość wylewa się do wielkiego zbiornika, skąd przemieszcza się do strefy AK.

- AK? - spytał zdziwiony Oskar.

- Atak Kwasów. Rzucimy tam później okiem.

Oskar wychylił się przez poręcz, zafascynowany. Pani Withers chciała go powstrzymać, ale w tym samym momencie rozległ się niepokojący trzask. Młody Medykus nie miał czasu się cofnąć: barierka pękła pod naciskiem jego ciała i zanim starsza pani zdążyła wyciągnąć rękę w jego kierunku, Oskar poleciał w próżnię.

Ryk maszyn zagłuszył jego krzyk. Spadał w otchłań, aż wreszcie zanurzył się z chlupotem w ową gęstą, smrodliwą maź w jednej z cystern. Zaczął wirować wraz z całą zawartością cysterny; zamknął mocno usta, by nie połknąć części trawionego właśnie pokarmu Royce'a. Przypomniawszy sobie, że w cysternie wirują straszliwe ostrza, które rozdrabniają pokarm, za wszelką cenę starał się zatem utrzymać na powierzchni. Gdyby znalazł się na dnie, mógłby skończyć w podobnym stanie jak psia karma!

Maja rzuciła się do centrum dyspozycyjnego i nacisnęła guzik awaryjnego odłączenia maszyn. Silniki zaczęły zwalniać, aż stanęły i Oskar przestał wirować w swojej cysternie. Oddaliło się niebezpieczeństwo, że ostrza zmiażdżą go na papkę, zapadał się jednak, maź nadal wsysała go jak ruchome piaski. Podniósł wzrok ku centrum dyspozycyjnego i rzucił zrozpaczone spojrzenie w kierunku pani Withers.

Starsza pani nie czekała ani chwili. Jednym ruchem ręki rozwiązała swoją pelerynę i rzuciła ją w dół, w kierunku cysterny, w której utkwiał chłopiec, potem dobiegła do mikrofonu. Jej głos rozbrzmiewał w całej jednostce.

- Wdrap się na pelerynę, Oskarze! - krzyknęła. - Jest wodoodporna i pływa na powierzchni każdej cieczy!

Oskar z trudem przedzierał się przez klejącą pulpę, udało mu się w końcu złapać pelerynę, która rozwinęła się i unosiła na powierzchni płynu. Z trudem wdrapał się na zielony aksamit i odetchnął z ulgą. Obrzucił się pełnym obrzydzenia wzrokiem - cały był wymazany brunatnym puree, które śmierdziało zgniłym jajkiem. Miał ochotę schować się pod peleryną, tak mu było wstyd, ale w tej chwili liczyło się tylko jedno: musiał się jakoś wydobyć z cysterny.

Drzwi sali otworzyły się i wkroczyło dwóch mężczyzn, wyglądających na ekipę ratunkową. Pochylili się nad balustradą i spuścili linę w kierunku Oskara. - Łap linę i nie martw się o moją pelerynę! - zawołała pani Withers.

Wyciągnął rękę i złapał linę, której koniec pojawił się nad jego głową. Mężczyźni zaszczekali, a pani Withers przetłumaczyła:

- Owiń ją wokół siebie, Oskarze!

Zrobił, o co go proszono, i kilka chwil później unosił się powoli w górę.

Starsza pani wyjęła swój medalion i w tym samym momencie peleryna oderwała się od kleistej masy i poszybowała w górę, po czym owinęła się wokół jej ramion, nie nosiła przy tym żadnego śladu brudnej mikstury.

Kiedy Oskar przemieszczał się jeszcze pomiędzy cysterną a platformą, z głośników popłynął znowu głos:

- Uwaga, uwaga, fermentacja w strefie ataku kwasów. Gazowe kule nadciągają w kierunku sali cystern. Sześć na siedem stopni w skali Cockera! Proszę natychmiast zamknąć śluzy i założyć maski!

Maja ruszyła w stronę balustrady.

- Szukajcie schronienia! - szczełała gwałtownie w stronę mężczyzn, którzy przyszli z pomocą Oskarowi. - Nadciąga kula gazowa!



- Jakie to ma znaczenie?- zdenerwowała się pani Withers. - Wyciągnijcie stamtąd tego chłopaka, niezależnie od tego, czy jest gaz, czy go nie ma!

- Ale nie możemy...

Ostatnie słowa Mai zagłuszył straszliwy łoskot. W sali cystern zawory bezpieczeństwa otworzyły się gwałtownie pod wpływem ciśnienia i w górę z siłą tornada popłynęła chmura pary, unosząc ze sobą płyn z pojemników. Zawieszony w przestrzeni Oskar znajdował się dokładnie na trasie podmuchu. Pod jego wpływem lina, na której wisiał, rozkręciła się i chłopiec poleciał w dół, jak jojo tuż przed uniesieniem z powrotem w powietrze. Kłapa, która zasłaniała wlot tunelu z pasem transmisyjnym, uniosła się w powietrze i młody Medykus zniknął w głębi tunelu.

Przeleciał z szybkością błyskawicy nad ruchomym pasem w kierunku przeciwnym do jego ruchu, zakręcił się w powietrzu na oczach setek osłupiałych robotników, pracujących zazwyczaj w sali transferu i zajmujących się załadunkiem wagonów. Teraz leżeli na ziemi. Przerażonego Oskara dławiło gorące i cuchnące powietrze. Leciał, unoszony huraganowym podmuchem.

Jego ciało uderzyło w elastyczne ściany sali i potoczyło się w dół, jak kulka w automacie do gry. Uszy rozsadały mu wybuchy gazu, dalekie szczekanie i krzyki pani Withers, aż w końcu, w ułamku sekundy, zapadła ciemność.

Dziwne uczucie wilgoci i czegoś szorstkiego na twarzy kazało mu otworzyć oczy.

Najpierw ujrzał wielki brązowy nochał, dalej białe, brązowo nakrapiane fafle, poruszające się nerwowo wokół jego twarzy.

Oskar podniósł głowę w chwili, gdy Royce przejeżdżał po raz dziesiąty jęczorem po jego twarzy, pozostawiając po sobie grubą warstwę śliny. Chłopiec skoczył na równe nogi, wycierając twarz w swój T-shirt.

- Cóż, myślę, że dość już dzisiaj widzieliśmy i dokonaliśmy. Jak myślisz, chłopcze?

Młody Medykus odwrócił się. Pani Withers siedziała spokojnie na brzegu krzesła w małym Żółtym Salonie. Victor obserwował ich, tkwiąc nieruchomo na

swojej poprzeczce, pragnąc najwyraźniej jak najmniej rzucać się w oczy; Rolls chrapał, rozciągnięty na ziemi.

Oskar przypominał sobie ostatnie chwile, jakie spędził w Uniwersum Hepatolii Royce'a. Całe jego ciało, od stóp do głów, pamiętało te wydarzenia: miał wrażenie, jakby ktoś dał mu solidne baty.

- Co się właściwie wydarzyło? - spytał chłopiec. - Byłem przypięty do liny, a później porwało mnie jakieś tornado!

- Tornado było po prostu pewną ilością gazu, wypychaną pod ciśnieniem, Oskarze. Gaz ten pochodził z następnej jednostki, z sekcji AK.

- Atak Kwasów - domyślił się Oskar, który zapamiętał wcześniejsze wyjaśnienia pani Withers.

- Tak jest. W sali AK polewa się rozdrobniony pokarm kwasami, tak aby go jeszcze bardziej rozłożyć. Wytwarza się przy tym gaz, wędrujący w przeciwnym kierunku niż jedzenie, jak mogłeś sam zauważyć...

Oskar ledwo mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Czy to znaczy, że Royce'owi się... odbiło?!

Pani Withers, zakłopotana, wpatrywała się nader uważnie w plisy swej sukienki.

- Obawiam się, że tak, drogi Oskarze. Ekhm... bardzo mi przykro.

Oskar spojrzał z obrzydzeniem na psa, który tymczasem zaczął bardzo drobiazgowo czyścić jego trampki. A więc został wypluty w trakcie beknięcia! Co za obrzydliwość! Oskar zdecydował, że lepiej nad tym dłużej nie rozmyślać.

- Kiedy wybierzemy się znowu do Hepatolii? - spytał bez entuzjazmu.

- Jutro - odparła pani Withers, wstając. \_

Mimo że uśmiechała się jak zwykle, odczuwała pewien niepokój.

Dlaczego pękła balustrada na platformie, kiedy tylko oparł się o nią Oskar? Nigdy do tej pory to się nie wydarzyło, a oto proszę, w dzień, kiedy chłopiec wykonuje swoją pierwszą Introdukcję, od razu taki wypadek... Udało jej się jednak zdobyć na wysiłek przekonania samej siebie, że przesadza i że nie ma się o co

martwić. Od czasu, kiedy Czarny Książę uciekł z więzienia, dopatrywała się niemal wszędzie i we wszystkim jakiegoś zagrożenia. Ten wypadek mógł się przytrafić każdego innego dnia i komukolwiek innemu! Maja na pewno wszystko naprawi jak należy, koniec, kropka. Najważniejsze, żeby nie martwić niepotrzebnie Oskara.

Zbliżyła swój medalion do ściany. Rozsunęło się przetóde, pozwalające im opuścić pomieszczenie.

- Chodź ze mną, Oskarze. Już czas, żeby cię komuś przedstawić.

Przeszli przez salon. Obydwa psy deptały im po piętach.

Minęli hall i weszli do biblioteki.

Pani Withers zamknęła za sobą drzwi. Skierowali się w głąb pokoju, z dala od książek i od niedyskretnych uszu ich autorów, bliżej zaś ściany, na której wisiały liczne obrazy.

Pani Withers zbliżyła swój medalion do portretu Sigis-monda, wypowiedziała formułę zaklęcia i ściana z portretami rozplynęła się, ukazując tajemną salę, bliźniaczo podobną do pokoju bibliotecznego. Zdumiony Oskar podszedł bliżej. W sali dostrzegł wszystkie postaci z obrazów, byli tam, jak żywi - wydawali się tylko jakby nieco przejrzyści; uśmiechali się do niego.

- Oskarze, oto sala Przedwiecznych i jej szacowni mieszkańcy. Czynią ci wielki honor swoją obecnością, są tu bowiem dzisiaj wszyscy, by cię powitać. Mimo że uśmiechała się jak zwykle, odczuwała pewien niepokój.

Dlaczego pękła balustrada na platformie, kiedy tylko oparł się o nią Oskar? Nigdy do tej pory to się nie wydarzyło, a oto proszę, w dzień, kiedy chłopiec wykonuje swoją pierwszą Introdukcję, od razu taki wypadek... Udało jej się jednak zdobyć na wysiłek przekonania samej siebie, że przesadza i że nie ma się o co martwić. Od czasu, kiedy Czarny Książę uciekł z więzienia, dopatrywała się niemal wszędzie i we wszystkim jakiegoś zagrożenia. Ten wypadek mógł się przytrafić każdego innego dnia i komukolwiek innemu! Maja na pewno wszystko naprawi jak należy, koniec, kropka. Najważniejsze, żeby nie martwić niepotrzebnie Oskara.

Zbliżyła swój medalion do ściany. Rozsunęło się przejście, pozwalające im opuścić pomieszczenie.

- Chodź ze mną, Oskarze. Już czas, żeby cię komuś przedstawić.

Przeszli przez salon. Obydwa psy deptały im po piętach.

Minęli hall i weszli do biblioteki.

Pani Withers zamknęła za sobą drzwi. Skierowali się w głąb pokoju, z dala od książek i od niedyskretnych uszu ich autorów, bliżej zaś ściany, na której wisiały liczne obrazy.

Pani Withers zbliżyła swój medalion do portretu Sigis-monda, wypowiedziała formułę zaklęcia i ściana z portretami rozplynęła się, ukazując tajemną salę, bliźniaczo podobną do pokoju bibliotecznego. Zdumiony Oskar podszedł bliżej. W sali dostrzegł wszystkie postaci z obrazów, byli tam, jak żywi - wydawali się tylko jakby nieco przejrzyści; uśmiechali się do niego.

- Oskarze, oto sala Przedwiecznych i jej szacowni mieszkańcy. Czynią ci wielki honor swoją obecnością, są tu bowiem dzisiaj wszyscy, by cię powitać.

Ona sama pozdrowiła ich z uśmiechem, Oskar uczynił to samo, chcąc zachować się uprzejmie.

- Przedwieczni? - zapytał chłopiec. - Czy to są ci sami ludzie, którzy...

- ...którzy przedstawieni zostali na tych portretach, owszem. Zmarli dawno temu sławni Medykusi, którzy w swoich czasach byli także członkami Rady i którzy zdecydowali się ukazywać dalej światu w swojej własnej postaci, w tej oto sali, identycznej jak ta, w której się znajdujemy.

- Czy oni naprawdę... istnieją? To znaczy - czy ta sala jest prawdziwa? - dopytywał się Oskar, który wyciągnął przed siebie rękę i spodziewał się, że poczuje dotknięcie jakiegoś lustra lub przezroczystego ekranu.

- Tak, w pewnym sensie tak - odparła pani Withers. - To duchy, które przybrały swój dawny wygląd, byśmy mogli je dojrzeć. Mają doskonałą pamięć i w tym sensie są jak gdyby oknem, otwartym w kierunku przeszłości - a nawet w kierunku przyszłości - ciągnęła, zerkając na bukiet Sigismonda, stojący na stole.

- To trochę tak jak z wujkiem pana Brave'a - rzucił Oskar.

- Tak, to podobna sprawa... W bardzo prosty sposób przekazują nam informację, że są obecni w tej sali - w takim przypadku rozświetla się ich portret na ścianie po naszej stronie.

- A czy możemy z nimi rozmawiać?

Pani Withers uśmiechnęła się.

- Nie zwykli odpowiadać słowami, jednak ich opinie są bardzo cenne, a odczytujemy je z pewnych znaków, które często więcej nam mówią niż długie przemowy.

Rzuciła szybkie spojrzenie na bukiet lilii. Ich liście były znowu żywo zielone, a wokół unosił się delikatny aromat. Uśmiechnęła się dyskretnie, czując wielką ulgę.

- Musisz mieć dla nich zawsze dużo szacunku, Oskarze - szepnęła chłopcu na ucho. - Wszystkie te osoby dokonały w przeszłości chwalebnych czynów.

Oskar przeszukał pokój wzrokiem. Starsza pani domyśliła się, kogo próbował wypatrzeć. Chłopiec cofnął się w końcu rozczarowany.

- Oczywiście - dodała - nie wszyscy wielcy Medykusi się tutaj znaleźli. Nie ma dla nich dość miejsca.

Cofnęła się o krok i pociągnęła za sobą Oskara. Następnie wyciągnęła medalion i wymówiła zaklęcie: pokryta obrazami ściana znowu się pojawiła, zniknął ślad po sali Przedwiecznych.

Usiedli przy stole.

- Gratulacje, Oskarze - rzekła pani Withers, zmieniając temat. - Świetnie poszła ci pierwsza Introdukcja, nawet jeśli zakończyłeś ją w sposób - powiedzmy - nie do końca pożądany. Nie jesteś jednak przecież odpowiedzialny za zaburzenia trawienne Royce'a - dodała, nie zagłębiając się w szczegóły. - Następnym razem popracujemy wspólnie nad bardziej... klasycznym wyjściem.

- Jutro?

- Tak, jutro. Przejdziemy do kolejnego etapu - to będzie istota ludzka.

Oskar zerwał się na równe nogi.

- Człowiek! - wykrzyknął. - Będę mógł wejść do ludzkiego organizmu! Ale...  
kto nas wpuści?

- Jeszcze nie wiem, będę musiała na ten temat porozmawiać z Wielkim Mistrzem. Jakież jesteś niecierpliwy!

Oskar zasępił się. Ciekawe, czy pan Brave był jeszcze na niego zły? Czy jest możliwe, żeby przeciwstawił się Introdukcji Cieleśnej młodego Medykusa do ludzkiego organizmu, nawet jeśli poprosi go o to pani Withers?

- Zdecydowanie straciłeś humor, Oskarze...

Oskar wolał zachować wątpliwości dla siebie.

- No cóż, zbliża się pora obiadu - powiedziała starsza pani. - Stawiłeś czoło licznym niebezpieczeństwom tego ranka, myślę więc, że należałoby ci oszczędzić zagrożenia, wiążącego się z kulinarnymi zdolnościami Cherie.

Oskar posłał jej spojrzenie pełne wdzięczności. Ściszyła głos:

- Co byś powiedział na pysznego hamburgera z górą frytek i ketchupem? Co do mnie, uwielbiam tego typu dania, tymczasem nikt z członków Rady Najwyższej nie chce ze mną chodzić na takie przekąski. Szukam kogoś, kto by mi zechciał towarzyszyć!

Oskar zgodził się z miejsca, uszczęśliwiony."

- W tej kwestii może pani na mnie liczyć, i to codziennie!

- W porządku, może nie codziennie, ale dobrze wiedzieć. Idę złożyć zamówienie!

Entuzjazm chłopca lekko przygasł.

- Nie możemy wyjść do restauracji?

- Wiesz, że musimy unikać sytuacji, w których widziano by nas razem... Ale Jerry będzie z pewnością jechał do miasta, przywiezie nam jedzenie, w ten sposób będzie dużo szybciej! Zrobimy sobie piknik w ogrodzie. Przybij piątkę!...

Wyciągnęła w jego kierunku rękę; Oskar zawahał się, później klepnął w tę wyciągniętą ku niemu dłoń. Zarumienił się lekko. Ech, z tą panią Withers naprawdę nigdy do końca nie było wiadomo, co i jak! Pół godziny później Jerry, Oskar i pani

Withers, siedząca na ładnym kocu w szkocką kratę, pochłaniali hamburgery i frytki w cieniu Zizou, który czuwał nad nimi i chronił ich przez niepożądanymi spojrzeniami. Włączając w to Bonesa. Majordomus usiłował odnaleźć Oskara, jednak Zizou osłaniał tak skutecznie gałęziami siedzącą pod nim małą grupkę, że nikt nie mógł jej dojrzeć. Pękali ze śmiechu, widząc, jak Bones krąży po ogrodzie. Zakończyli posiłek, pochłaniając lody i milkshaki. Później pani Withers podniosła się z ziemi.

- Muszę już iść, Oskarze. Wrócę potem porozmawiać z Winstonem Brave'em. A ty możesz sobie powtórzyć geografię Hepatolii. Przyda ci się to na pewno podczas twojej jutrzejszej wyprawy!

Oskar ciągle jeszcze nie śmiał podzielić się z nią swoimi obawami co do pana Brave'a. Odchodząc, pani Withers dodała jeszcze:

- Nie zamartwiaj się tak. Wydaje mi się, że domyślam się, co ci chodzi po głowie, odpowiedź na to znajdziesz w swoim pokoju. Radzę ci, żebyś tam poszedł i zobaczył...

Pani Withers posłała mu ostatni, porozumiewawczy uśmiešek i zniknęła.

Jerry i Oskar poszli w jej ślady parę minut później.

Zagadkowe słowa starszej pani pobudziły ciekawość chłopca. Kiedy tylko dotarł do hallu, rozejrzał się na lewo i na prawo, upewniając się, czy Bones nie czyha za jakimś rogiem, i ruszył pędem po schodach, przeskakując po parę stopni. Wpadł jak burza do swojego pokoju, rozejrzał się bacznie, a potem zakręcił się bezradnie w kółko, rozczarowany. Nic się nie zmieniło!

Już miał zejść na dół i biec za panią Withers, prosząc ją, by wyjaśniła, co miała na myśli, kiedy zauważył prostokątny przedmiot z zielonego aksamitu na swoim łóżku. Szczęśliwy, rzucił się w tę stronę. Pan Brave zgodził się oddać mu Grimoire'a! Pani Withers miała rację - Winston Brave nie złościł się już na niego i zapewne zgodzi się bez większych przeszkód na wyprawę, którą zaplanowali na następny dzień.

Oskar był zbyt uradowany z powodu odzyskania Grimoire'a, by stresować się teraz mającą nastąpić nazajutrz Introdukcją. Liczyło się tylko jedno: może teraz zadać pytanie.

Otworzył Grimoire'a, wypowiedział właściwą formułę zaklęcia, po czym spytał:

- Grimoirze, w jaki sposób umarł mój ojciec?

Kilka chwil później na czystej kartce pojawiły się słowa:

Zadałeś mi już to pytanie, a ja na nie odpowiedziałem.

- Ale... nie wyjaśniłeś mi wszystkiego do końca! Zobaczyłem tylko mojego ojca w brudnym i zakurzonym miejscu!

Grimoire wahał się jakiś czas, a potem powiedział:

To, czego Grimoire nie ujawnia, Nie jest znane Grimoire'owi.

Na nic się zdała złość chłopca, jego prośby i groźby okazały się bezskuteczne: Grimoire odpowiadał niezmiennie, jak katarynka:

To, czego Grimoire nie ujawnia.

Nie jest znane Grimoire'owi.

Oskar z wściekłością zamknął książkę. Jak to możliwe? Pani Withers powiedziała przecież wyraźnie: Grimoire miał zawsze odpowiadać na pytanie, tylko pod jednym warunkiem - musiało ono dotyczyć życia Oskara.

Usiadł i próbował za wszelką cenę się uspokoić, by odzyskać jasność myślenia. Co takiego się wydarzyło od czasu, kiedy po raz ostatni zaglądał do swego Grimoire'a? Nagle podskoczył w miejscu: biblioteka! Grimoire spędził tydzień w bibliotece. Jeśli coś się wydarzyło, musiało to się stać właśnie tam, nie gdzie indziej. Wiedział już, z kim może porozmawiać, jeśli chce się dowiedzieć więcej na ten temat.

Bezszelestnie wyszedł z pokoju. Jakiś ruch na podłodze zwrócił jego uwagę. To dywanik, przyzwyczajony do x5ru-szającego się biegiem Oskara, już falował obiecująco, gotów wywołać potknięcie biegacza. Chłopiec szedł tak ostrożnie, jak to tylko było możliwe. Kiedy dotarł do szczytu schodów, puścił się w dół pędem, jakby pokonywał stok narciarski, i wśliznął się do biblioteki.



Wszedł do środka, w ostatniej chwili powstrzymał zamykające się drzwi przed trzaśnięciem, tak mu było pilno iść dalej; w końcu rzucił się w kierunku teczki Julii Jacob. Otworzył ją szybko, o mało nie rozdarł strony tytułowej.

- Pani Julio, co tu się działo??

Kartka była nadal dziewiczo biała, nie pojawiło się ani jedno słowo. Próbowano się nawet zwinąć w rulonik. Oskar zrozumiał, że był zbyt gwałtowny wobec nieśmiałej Julii. Skoncentrował się.

- Przepraszam panią... Chciałem powiedzieć: dzień dobry pani.

W kąciку strony pojawił się napis. Pismo było tak delikatne, a literki tak małe, że Oskar miał trudności, żeby odszyfrować ich treść.-Dzień dobry, Oskarze... Ach, tak strasznie mi przykro z powodu G nmoire a!

Oskar nabrał głęboko powietrza. To znaczy, że jego domysły były słuszne: coś się musiało wydarzyć w bibliotece podczas tego tygodnia, teraz był tego pewien. Starał się mówić bardzo łagodnym tonem.

- Pani Julio, mój Grimoire nie chce odpowiadać na moje pytania. Czy może mi pani wyjaśnić, co się stało na tej półce?

Na kartce pojawiła się przejrzysta i wilgotna kropla: Julia nie mogła pohamować łez.

- Prosiłeś... prosiłeś mnie, żebym zaopiekowała się twoim G nmoire em, a tymczasem nic nie mogłam na to poradzić, tak mi przykro, jestem po prostu nieszczęśliwa. To się stało w sobotę rano, kiedy cię tutaj nie było...

- Proszę, pani Julio, niech mi pani o tym opowie.

Julia poczuła się nieco pewniej, przez co również jej litery stały się bardziej czytelne.

- Było jeszcze wcześniej rano; nagle obudził nas wszystkich straszliwy bał as. Jedna z książek waliła z całej siły w półkę, bez przerwy, ło chwili, na skutek tych ciągłych podskoków, księga ta spadła w końcu z półki na podłogę. Następnie przesunęła się w taki sposób, że znalazła się tuż pod miejscem, gdzie stoi moja

teczka, a obok niej Grimoire. Pamiętasz? Była tutaj koło mnie taka przerwa, trochę miejsca, bo inne książki nie za bardzo lubią...

- Proszę, niech pani opowiada, co było dalej? - spytał z niecierpliwością Oskar.

- W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Bones w szlafroku; spostrzegł ową książkę, leżącą na Ziemi. Było trochę ciemnawo, podniósł ją i odłożył na najbliższą półkę, tam, gdzie było to wolne miejsce...

- ...obok Grimoire'a! - wszedł jej w słowo Oskar.

- Tak właśnie - zgodziła się Julia. - Grimoire znalazł się między moją teczką a tą książką, która zaczęła do niego coś mówić. Niestety, nie usłyszałam dokładnie, o czym była ta rozmowa...

- Rozmawiali ze sobą?

- Rozmawiali w taki sposób, w jaki my, książki, możemy się ze sobą porozumiewać, ale tylko my słyszymy napisane słowa, wieś? o tym coby, Oskarze. Byłam po drugiej stronie, zbyt daleko, nie mogłam zareagować. WUJ ym razie ta rozmowa trwała dosyć długo i czułam, że Grimoire bardzo się po niej zmienił. Starłam się jakoś z nim porozumieć, dowiedzieć się, o czym rozmawiał z tamtą książką, ale nic z tego, nie mogłam z niego wyciągnąć ani jednego słówka!

A więc stało się to, czego się Oskar obawiał - przekonano Grimoire'a, by milczał jak zaklęty!

- Julio, która z książek zamieniła swoje miejsce na to obok mojego Grimoire'a?

Kartka zadrżała, ale Julia bała się cokolwiek napisać.

- Może mi pani zaufać, Julio, to zostanie między nami, obiecuję!

Sekretarka przez chwilę zwlekała, kartka z teczek wirowała powoli wokół własnej osi. W końcu uniosła się lekko i wskazała najwyższą półkę. Oskar odwrócił się i obejrzał ją dokładnie, nie zauważył jednak niczego niezwykłego. Pochylił się nad kartkami z teczek Julii Jacob i zauważył, że pojawiły się cztery litery:

Boyd

Zniknęły w ułamku sekundy, Oskar zdążył je jednak przeczytać.

Zbliżył się wściekły do półki, przesunął palcami po grzbietach książek, aż do pustego miejsca. Tam zazwyczaj stała książka Boyda, teraz jednak nie było jej widać. W tym momencie Oskar usłyszał hałas po drugiej stronie pokoju, tam, gdzie zazwyczaj stała teczka Julii Jacob i gdzie tydzień wcześniej schował swojego Grimoire'a. Natychmiast rozpoznał tę poplamioną, pogiętą, kartonową obwolotę: Antologia Patologusów podskakiwała, jak gdyby rozsadał ją atak śmiechu. Boyd kpił sobie z niego!

Oskar już miał się na niego rzucić ze złością, spróbował jednak zebrać myśli. Poznał już trochę obyczaje Boyda, wiedział, że niczego nie uzyska, złościąc się na niego czy urągając mu. Przeciwnie - nic nie sprawiało temu autorowi większej frajdy. A ja nie zamierzam sprawiać mu przyjemności - pomyślał sobie Oskar.

Położył książkę na stole i otworzył ją.

- flo, proszę, proszę - wrzasnął Boyd wielkimi kulfonami - no i co, ciągle szperamy w bibliotece, tak? A może wpadłeś tu specjalnie, żeby przywitać się ze swoim przyjacielem Boydem?

Oskar zdobył się na wysiłek i uśmiechnął się z trudem.

- Dzień dobry, panie Boyd. Tak, przyszedłem, żeby się z panem przywitać... i spytać o coś.

Boyd zaczął się śmiać, dumny jak paw i szczęśliwy, że w końcu będzie się mógł zemścić.

- Bła, ha, ha! Chciałeś mnie o coś spytać! A ja sądziłem, że nawet nie umiem pisać i że moja książka jest „obrzydliwa”! Tymczasem teraz, kiedy potrzebujesz. Biliwego Boyda, nagle Stałeś się słodki jak miód i milutki, co?

- Ja... ja chciałem pana przeprosić za to, co powiedziałem ostatnim razem. Nie myślałem tak wcale, naprawdę - odparł Oskar, z całej siły usiłując się pohamować.

- Ach, tak, tak, oczywiście... a co takiej mały złośliwiec chciałby wiedzieć? Jak pisać? Jak robić wielkie kleksy na kartce? Czy może jak potykać się o wszystko, co leży na drodze? Nie, umiesz; już przecież sam robić to wszystko, ha, ha, ha!

Oskar zaniknął oczy i zagryzł policzek, by powstrzymać się od odpowiedzi, na jaką naprawdę miał ochotę.

- Nie, chciałem pana zapytać o Wielkiego Patologusa.

Boyd przestał się śmiać i stał wszystko to, co przedtem napisał na kartce. Minęło kilka chwil, zanim zdecydował się odpowiedzieć.

- No, proszę... - pisał podejrzliwie - chciałeś zapytać o Wielkiego Patologusa. Ale co takiego dokładnie chcesz o nim wiedzieć? I dlaczego?

Oskar nie dał się zwieść, nie zrobił na nim większego wrażenia fakt, że Boyd stał się nagle taki poważny.

- Chciałbym się dowiedzieć, co się zdarzyło, kiedy go zatrzymano - odrzekł, starając się o większą precyzję.

Pragnął wyciągnąć od Boyda informacje, których odmówił mu jego Grimoire. Chciał wiedzieć, jak wyglądała walka jego ojca z Czarnym Księciem, w jaki sposób ten ostatni został uwięziony, może nawet, przy odrobinie szczęścia i zręczności, udałoby się dowiedzieć, jaki był dalszy bieg wydarzeń, co stało się z Vitalim po walce... Ale Boyd nie był tak głupi.

- Dlaczego nie zadasz tego pytania swojemu Grimoire'owi, mały?

Na szczęście Oskar miał gotową odpowiedź.

- To nie są pytania, które by mnie dotyczyły - powiedział. - Mój Grimoire nie udzieliłby mi na nie odpowiedzi. Pani Withers poleciła mi poszukać w pana książce wiadomości na temat Patologusów - próbował schlebić autorowi - mówiła, że to świetna rzecz na ten temat.

- Doprawdy, tak właśnie o mnie mówiła? Jakże to miłe... CHYBA MNIE MASZ, ZA IDIOTĘ! - namazał Boyd wielkimi literami. - Gadałeś z. ta Julią Jacoh. Sądzisz, że nie słyszałem Waszej rozmowy? Udało mi się wyłuskać najważniejszą rzecz; spośród szlochów tej beksy: twój Crimoire nie chce ci odpowiadać na pytania! Dlatego przyszedłeś do mnie!

- To pana wina - wybuchnął Oskar. - Nie wiem, co mu pan nagadał, ale teraz nie chce mi już nic powiedzieć!-Tła, ha, ha! I o to chodzi! Ha, ha! Otóż to, a jeśli

będziesz, się do mnie w ten sposób dalej odzywał, twój Grimoire nie piśnie już nigdy słówka!

Oskar zacisnął pięści. Udało mu się zachować milczenie. Pozwolił nawet, by Boyd wyzłośliwiał się jeszcze przez chwilę. Nie miał już nic do stracenia, postawił wszystko na jedną kartę.

- No cóż, w porządku, to nic takiego, powiem po prostu panu Brave'owi, że nie chciał mi pan przekazać swoich wiadomości, chociaż pozwolił mi przeglądać wszystkie książki z biblioteki.

Przez kilka chwil kartka Boyda pozostawała biała, jak gdyby się namyślał. Oskar czekał z bijącym sercem, zastanawiając się, czy to dobry znak. W końcu Boyd zdecydował się odpowiedzieć.

- Zgoda - napisał z nieprzyjemnym dla ucha skrobnięciem - pomogę ci.

Oskar uśmiechnął się. Radość trwała jednak krótko.

- Pomogę ci - ciągnął Boyd - ale nie za darmo, coś za coś.

- Coś za coś? - zdziwił się Oskar na głos. - Ale czego pan ode mnie oczekuje? Odpowiedzi na jakieś pytanie? Przecież pan wie dużo więcej niż ja!

- To jasne, że wiem dużo więcej niż ty - odpowiedział Boyd z wyższością. - Ale ty możesz wyjść z tej przeklętej biblioteki, a ja nie! Vobec te4o jeśli chcesz, żebym zwrócił \$os twojemu Grimoire owi, i jeżeli pragniesz, żebym odpowiedział na twoje pytanie, musisz, coś dla mnie zrobić.

- Co takiego? - spytał Oskar podejrzliwie.

- Uwaga, smarkaczu, żadnych fałszywych kroków! Jeśli Wielki Mistrz, dowie się kiedykolwiek o naszym układzie, będziesz; się mółł pożegnać z,e swoim Grimoire em i z odpowiedzią na jakiegokolwiek pytania, zrozumiano?

Oskar niepewnie kiwnął głową. Ciągle jeszcze nie miał pojęcia, czego Boyd od niego zażąda, tymczasem usłyszał kroki w hallu. Szturchnął niecierpliwie książkę.- Szybko! Proszę mi powiedzieć, czego pan chce! - szepnął Oskar, przestraszony perspektywą, że ktoś odkryje za chwilę ich knowania.

- Nie popychaj mnie tak! Nie mogę pisać!

W tej samej chwili otworzyły się drzwi. Oskar błyskawicznie zatrzasnął książkę Boyda i położył na niej pospiesznie teczkę Julii. Biedna Julia, przerażona faktem, że znalazła się w takiej bliskości znieawidzonego autora, z wielką szybkością narysowała las na swojej czystej kartce, żeby móc się w nim schować.

Bones zbliżył się i usiłował rzucić okiem na to, co kryło się za plecami Oskara. Chłopiec zsunął starannie teczkę i książkę, modląc się, by książka Boyda nie wystawała zaledwie spoza teczki Julii.

- Czytałem - powiedział wyjaśniającym tonem do major-domusa.

- Będziesz musiał przestać - odparł Bones. - Mam poprzątać bibliotekę. Może chciałbyś pouczyć się teraz w swoim pokoju? - zasugerował.

Oskar ruszył w stronę półek i ustawił obie pozycje obok siebie, tam, gdzie zazwyczaj stała teczka Julii.

- Bardzo mi przykro, Julio, jak tylko będę mógł, wrócę i przełożę tego typka na jego miejsce - szepnął do Julii, rozchylając na moment jej teczkę.

Wiele razy podczas tego popołudnia Oskar próbował zajrzeć do biblioteki. Na próżno - pokojówki Rosa i Ines tkwiły w pokoju, odkurzając każdy skrawek podłogi i każdy kącik, meble, książki, obrazy...

Po kolacji Oskar chciał po raz ostatni zajrzeć do biblioteki, jednak podejrzliwy Bones krążył wokół niego bezustannie i młody Medykus nie mógł spokojnie porozmawiać z Boy-dem. Spełnił tylko obietnicę, jaką wcześniej dał Julii: odłożył Antologię Patologusów na jej właściwe miejsce, na najwyższą półkę, daleko od miejsca, gdzie stała teczka. Julia westchnęła z ulgą i na jej tytułowej stronie ochronny las zaczął znikać, ale bardzo powoli, drzewko za drzewkiem...

Oskar zauważył, że Bones cały czas go śledzi spod oka, wziął zatem pod pachę swojego Grimoire'a i poszedł do pokoju. Szybko zmęczenie i emocje, w jakie obfitował ten męczący dzień, dały o sobie znać. Chłopiec zasnął, obiecując sobie, że wyjaśni tę nową zagadkę tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Następnego dnia rano Oskar zszedł na śniadanie do kuchni. Wolał to pomieszczenie od zbyt dużej jak dla niego jadalni. Zdziwił się, bo w kuchni nie było nikogo. Nieobecność Cherie sprawiała, że cały dom wydawał się pusty. Wszystko stało jednak gotowe na stole. W filiżance parowała ciepła czekolada, obok czekało świeże pieczywo, a konfitury wydawały się pochodzić z innego źródła niż rondle szefowej kuchni.

Chwilę później dostrzegł rozwiane, jasne włosy w półotwartych drzwiach, które prowadziły do jadalni - Cherie zajrzała z uśmiechem od ucha do ucha.

- Chciałam się tylko upewnić, czy wszystko w porządku ze śniadaniem, Oskarku! A, widzę, że uporałeś się już z rogalikami! Doskonale - ucieszyła się kucharka - i do zobaczenia!

Oskar, mając pełne usta, kiwał tylko głową, nie bardzo rozumiejąc wypowiedź Cherie na temat rogalików.

Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, i gdy Oskar pochłoniął już prawie wszystko, co znajdowało się na jego talerzu, do kuchni nadciągnął Bones. Jego twarz wyglądała tego ranka wyjątkowo ponuro. Na jego widok chłopiec ledwo przełknął ostatni kęs kanapki.

- Pani Withers czeka na ciebie w bibliotece - powiedział, nie zadając sobie trudu, żeby się przedtem przywitać.

Oskar podniósł się z miejsca i ruszył naprzód, wyprzedzając Bonesa.

Kiedy wszedł do biblioteki, pani Withers studiowała uważnie twarze na portretach. Miała na sobie biały kostiumik, powiewną bluzeczkę i jedwabną, jasnozieloną apaszkę, owiniętą wokół szyi. Nawet pukle jej włosów przybrały lekko zielonkawy odcień. Odwróciła się w jego stronę z uśmiechem.

- Witaj, Oskarze. Dobrze spałeś? Dziś czeka cię wspaniała podróż, pamiętasz chyba?

- Dzień dobry pani. Oczywiście, że pamiętam, jak mógłbym zapomnieć - zawołał Oskar.

Młody Medykus spojrzął za siebie. Bones zamknął drzwi i stał przed nimi bez ruchu. Zazwyczaj nie brał udziału w zajęciach inicjacyjnych, jakie pani Withers odbywała z Oskarem, i jego obecność nieco chłopca drażniła.

Oskar pochylił się ku starszej pani.

- Mam nadzieję, że zaraz sobie pójdzie - powiedział szeptem. - Chciałbym jak najszybciej zacząć...

- Ależ obawiam się, że wręcz przeciwnie, zostanie z nami - powiedziała lekkim tonem pani Withers, cały czas obserwując uważnie portrety.

Oskar zerknął najpierw na żałobny wyraz twarzy major-domusa, który stał nieruchomo, patrząc obojętnie w pustkę, a potem na starszą panią. I wtedy nareszcie zrozumiał wszystko.

- Co?! - krzyknął z przerażeniem. - Chce pani powiedzieć, że mam być... będę... W nim??!

Złapał panią Withers za rękaw.

- Błagam panią, tylko nie on!

Pani Withers oderwała wreszcie wzrok od obrazów i spojrzała surowo na Oskara.

- Bones był tak miły i zgodził się, byś dokonał Introdukcji Cieleśnej na jego osobie, chłopcze. Jestem przekonana, że jesteś mu za to bardzo wdzięczny!

Oskar westchnął głośno i kiwnął głową, nie patrząc już w stronę majordomusa. Miał wejść do organizmu tego ka-rawaniarza! Nie można było sobie chyba wyobrazić gorszej osoby na pierwszą Introdukcję. Z pewnością tam, w środku, wszystko jest rozmiękłe i czarne! Ale pan Brave i pani Withers podjęli taką decyzję i nie miał wyboru. Zebrał się na odwagę, wyjął spod koszulki swój medalion i zbliżył się do JSoñesa. Pani Withers przyhamowała jego zapal.

- Wydaje mi się, że o czymś zapomniałeś, młody człowieku!

Odwróciła się w stronę krzesła, stojącego przy drugim końcu stołu, i Oskar rozpoznał wiszącą na nim pelerynę swego ojca. Ma-jordomus znalazł ją zapewne w pokoju chłopca. Oskarowi zrobiło się nieprzyjemnie na myśl, że Bones gmerałw jego



rzeczach. Zbliżył się i zauważył, że coś się wzdyma pod tkaniną peleryny. Podniósł ją i jego oczom ukazał się pas z pięcioma sakiewkami, pas Trofeów, który tylko na to czekał, by unieść się w powietrze.

Przefrunął przez całą salę biblioteczną pod zadowolonym spojrzeniem pani Withers, aż w końcu owinał się Oskarowi łagodnie wokół bioder.

Młody Medykus podziwiał go przez chwilę. Po raz pierwszy miał nosić pas Trofeów swego ojca! Chciałby, żeby Vitali byłtuż obok, żeby mógł go przytulić i powiedzieć, jak bardzo jest szczęśliwy i dumny ze swojego syna. Przyszła mu też na myśl mama, przypomniał sobie, jak tuliła do siebie pas Trofeów owego wieczora, w piwnicy na Kildare Street, wtedy, kiedy podjął decyzję, że pojedzie do Cumides Circle. Ona zapewne także byłaby dumna z syna, dumna i szczęśliwa, że idzie w ślady ojca.

Oskar spojrział na panią Withers i się uśmiechnął. Starsza pani podniosła pelerynę i zawiesiła ją delikatnie na ramionach chłopca.

- Myślę, że jesteś gotów, mój drogi. Wspaniały Medykus z ciebie i wiem doskonale - ciągnęła, nachylając się ku niemu i zniżając głos - że nie poprzestaniesz na byle czym. Jestem ma, że zrobisz jeszcze dużo - dla nas i dla całego

Oskar popatrzył na nią zdziwiony.

- Trochę cierpliwości - powiedziała pani Withers, ze spojrzeniem utkwionym w dal, jakby mówiła do siebie. - Tylko trochę cierpliwości...

Wyprostowała się i spojrzała na Bonesa, który w międzyczasie nie drgnął nawet o milimetr i stał cały czas przy drugim krańcu stołu.

- Bones czeka już na ciebie.

- Czekaj na mnie? Ale... a pani? Nie ma pani przecież ani peleryny, ani pasa! - dodał, spoglądając na jej strój.

- Zgadza się, a to dlatego, że nie będą mi potrzebne.

- Hm, rozumiem - odpowiedział Oskar niezbyt pewnym głosem. - Myślałem, że chronią nas one w razie niebezpieczeństwa i...

- Wszystko się zgadza, ale ja nie będę narażona na żadne niebezpieczeństwo: zostaję tutaj. Młody Medykus cofnął się, przerażony.

- Nie idzie pani? Nie będzie mi pani towarzyszyć? Ale jak ja sobie dam radę? Ja... nie wiem... nie wiem, gdzie mam iść! Ja...

- Dasz sobie świetnie radę - ucięła pani Withers uspokajającym głosem. - Wszystko potoczyło się doskonale podczas twoich dwóch pierwszych Introdukcji, teraz także pójdzie ci dobrze, zobaczysz.

- Ale teraz to zupełnie co innego - powiedział Oskar, zerkając niespokojnie w stronę Bonesa. - Przecież to ludzki organizm...

Miał ochotę dodać: „...a co gorsza, organizm Bonesa!”. Czuł się, jakby ktoś chciał go właśnie porzucić w samym środku groźnej, nieprzebytej dżungli.

- Jeśli zdarzy się cokolwiek, co by cię mogło przestraszyć, zawsze możesz wrócić. Mówiliśmy o tym - żeby opuścić żywy organizm, musisz znaleźć Kaduceusz Medykusów, symboliczny kielich, opleciony węzłem, z dużą literą M. Kiedy już zobaczysz taki kielich, skoncentrujesz się na tym, że chcesz wrócić do naszego świata. Jeśli coś by się nie udało, przybędę ci na pomoc.

- Ale co mam robić, jak już się tam znajdę?

- To, co zrobiłby każdy Medykus - powiedziała pani Withers zagadkowo. - Szczęśliwej podróży, mój chłopcze!

- Czy byłoby możliwe, żebyś się wreszcie na coś zdecydował? - Bones odezwał się po raz pierwszy. Był sztywny jak kołek. - Czekaj na mnie pracu.

Oskar odwrócił się w jego stronę.

- Niech pan siada, Bones - poradziła starsza pani. - Osłabnie pan, jak pan będzie tak cały czas stał..

Pani Withers uspokoiła go. Majordomus usiadł na krześle, w pobliżu Oskara. Unikał jego spojrzenia i westchnął głęboko.

Oskar ostami raz zerknął na panią Withers i wyjął swój medalion, który lśnił niezwykłym światłem.

Wlepił wzrok w zaciśnięte usta Bonesa, skoncentrował się na Hepatolii i ruszył do przodu.

Kiedy przygasł już oślepiający błysk, towarzyszący Introdukcji, Oskar rozpoznał podziemne centrum dyspozycyjne, w którym wylądował, udając się do Uniwersum Hepatolii Royce'a. Jedyna różnica polegała na tym, że to pomieszczenie było większe i lepiej wyposażone.

Zbliżył się do szklanej szyby - rozpoznał jednostkę transferową. Ciągnęła się w nieskończoność, widać było niezliczone wagony i setki robotników, którzy wykładali na pasy transmisyjne przeżute przez Bonesa śniadanie. Wszystkie pasy kierowały się w stronę spustów, przez które ich ładunek dostarczano do kolejnej sali. Była to zapewne jednostka rozdrabniania, ta z cysternami. Oskara zdumiewał fakt, że Hepatolie człowieka i psa wyglądały niemal identycznie!

Już miał ruszać dalej, kiedy zauważył zawartość wagonu, który właśnie popychano w kierunku pasa transmisyjnego: przepelniony był połkniętymi niemal w całości rogalikami. Przypomnił sobie słowa Cherie i teraz dotarł do niego ich właściwy sens.

- A to dopiero! - krzyknął. - Bones, ty złodzieju śniadaniowych rogalików!

Cherie zapewne przyłapała go, kiedy podjadał rogalika, przeznaczonego dla Oskara, i musiał pochłonąć go w kilku kęsach, bo kawałki były olbrzymie! Rozzłoszczony Oskar opuścił salę dyspozycyjną i zaczął biec przed siebie. Nie ma co, nie można powiedzieć, żeby ten hipokryta tracił czas...

Oskar zatrzymał się dopiero w miejscu, w którym szeroki tunel, jakim do tej pory posuwał się naprzód, rozgałęział się, tworząc wiele wąskich przejść. Gdzie miał teraz iść? Które przejście miał wybrać? Pamiętał jeszcze swoje przygody z poprzedniej Introdukcji i obawiał się, że Bones dostanie czkawki, podobnie jak Royce. Majordomus był w stanie zrobić to specjalnie, tylko po to, żeby wstrząsnąć Oskarem.

Nie miał zielonego pojęcia, co go jeszcze czeka, co właściwie miał tutaj zrobić przed powrotem do Cumides Circle. Tym razem pani Withers naprawdę przesadziła!

Przypomniawszy sobie wtedy słowa ojca, które mama często mu cytowała: „Kiedy wydaje ci się, że wszystko ci się wymyka, i nie dajesz już sobie rady, to oznacza, że nie zadałeś sobie właściwego pytania”. Albo inne: „Kiedy brak ci czasu, poświęć te chwile, które jeszcze masz, na zastanowienie się!”. Oskar znał na pamięć te zasady. Mimo że ich autorem był ojciec, chłopiec nigdy się do nich nie stosował. Nie pozwalał mu na to jego porywczy charakter, dlatego właśnie matka tak uparcie mu je powtarzała. Tym razem nie miał pod ręką innych pomysłów na spędzenie czasu. Myśl o ojcu sprawiła, że Oskarowi przyszło coś do głowy: skoro znalazł się tutaj, by dokonać tego „co powinien zrobić każdy Medykus”, to może Pierwotna Litera Medykusów udzieli mu wskazówki!

Oskar wyjął swój medalion i w tym momencie z dużego M wystrzelił w stronę jednego z tuneli promień światła.

Chłopiec zagłębił się niepewnie w tunel i dotarł do miejsca, w którym drogę zagroziły mu okrągłe, żelazne drzwi, podobne do wjazdu w łodzi podwodnej. Próbował je bezskutecznie otworzyć, kręcąc wajchę. W końcu zbliżył do niej medalion z literą M. Ołowiane koło przekręciło się bez trudu i drzwi się otworzyły.

Stał na drewnianym pomoście. Znajdował się teraz w olbrzymiej kuli bez okien. Przed nim rozciągało się przejrzyste, musujące jezioro, a wokół niego ciągnął się ograniczający je pomost. Wzdłuż pomostu pracowały gorączkowo dziesiątki wysokich kobiet, ubranych w lateksowe kombinezony. Umieszczały przyssawki na wypustkach wyrastających licznie ze ścian kuli. U stóp kobiet umieszczone były spore maszyny, które bezustannie pompowały i zasysały przez owe przyssawki płyn. Wyglądało to tak, jakby ktoś doił krowę. Kiedy zbiornik jednej z maszyn był już pełen, kobieta odłączała go i wylewała zawartość do jeziora. Potem zbiornik powracał na swoje miejsce. Wszystkie pracownice nosiły przezroczyste maski i rękawice. Każdy centymetr ich skóry był osłonięty.

Oskar przywitał się z kilkoma spośród nich, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Nie mógł się zorientować, gdzie się właściwie znajduje, i najwyraźniej trudno było liczyć na jakieś wyjaśnienia od kogokolwiek w tym miejscu.

Już miał zrobić w tył zwrot i wrócić do centrum dyspozycyjnego jednostki transferowej, kiedy usłyszał warkot, odmienny od hałasu, jaki robiły maszyny. Podobny był do odgłosu silnika jakiegoś pojazdu. Oskar przyjrzał się uważnie powierzchni jeziora i zauważył zbliżający się ciemny punkt. Niebawem wzmogło się delikatne dotąd chlupotanie cieczy o brzeg pomostu, pojawiły się prawdziwe fale. Kiedy się cofały, zostawały po nich długie, lepkie zacieki. Oskar wolał cofnąć się o kilka kroków. Rychło okazało się, że zbliżający się kształt jest łodzią motorową, która płynęła prosto w kierunku młodego Medykusa. W ostatniej chwili mała motorówka trochę zbyt ostro wzięła zakręt i odpryski cieczy spadły prosto na Oskara, który w ostatnim momencie zasłonił się swoją peleryną.

- Ups, przepraszam cię bardzo! - zawołał kobiecy głos. - Nie mam jeszcze pełnej kontroli nad tym urządzeniem!

Oskar opuścił kołnierz peleryny i dostrzegł szeroko uśmiechniętą kobietę o krótko obciętych, jasnych włosach. Jej oczy błyszczały wesoło, jakby za chwilę miała opowiedzieć jakiś żarcik. Chłopiec zdjął pelerynę i strzepnął ją, z lekkim obrzydzeniem strącając resztki czubkami palców.

- Nie! - zawołała kobieta. - Nie rób tego bez rękawiczek!

Oskar natychmiast wytarł ręce w swoją koszulkę. Wszędzie tam, gdzie trafiała choćby kropla płynu, rozlegało się skwierczenie i ulatywał w powietrze lekki dymek, zaś w miejscu dotyku pojawiała się mała dziurka. Dziwna ciecz rozpuszczała tkaninę! Oskar podniósł zdziwiony wzrok na kobietę w motorówce.

- Witaj na plażach Ślinianki, Oskarze! Ciecz, którą tu widzisz, to ślina.

- Ślina? - powtórzył Oskar, krzywiąc się nieco z obrzydzenia. - Ale dlaczego to tak szczypie?

- Ponieważ jest bardzo mocno skoncentrowana. Takiej właśnie potrzebujemy, żeby rozłożyć nasz posiłek na drobniejsze cząstki. Bez niej nie poczułbyś smaku żadnej potrawy...

A więc to ślina pozwala poczuć smak jedzenia! Oskar przysiągł sobie, że postara się nie wydzielać śliny, jeśli kiedyś będzie zmuszony zjeść jakieś danie, przyrządzone przez Cherie.

Kobieta odetchnęła z przyjemnością.

- Uwielbiam to miejsce - powiedziała. - To jezioro, kobiety w kombinezonach... wyglądają prawie, jakby nosiły kostiumy kąpielowe. Brakuje tylko palm i zachodu słońca!

Oskar podszedł bliżej łódki. Ta zadziwiająca osoba najwyraźniej go znała, tymczasem on sam nigdy jej wcześniej nie spotkał.

- Przepraszam, ale czy pani... pani jest kimś w rodzaju Mai? Maja Mnik?

Kobieta przechyliła głowę na bok i wpatrywała się rozmarzona w swoje odbicie w oleistej cieczy.

- Naprawdę sądzisz, że jestem podobna do jamnika? Młody człowieku, czy ktoś cię uczył, jak się rozmawia z kobietami?

- Nie, to znaczy... chciałem powiedzieć... Myślałem, że tu jest tak, jak u Royce'a, w centrum dyspozycyjnym... eee, to znaczy, przepraszam. A poza tym - dodał Oskar, chcąc jakoś odzyskać równowagę - wcale pani nie szczeka.

- Nie, nie szczekam, istotnie - potwierdziła rozbawiona kobieta. - Ale czasem gryzę, jeśli się bardzo zdenerwuję.

Rozprostowała zawiniątko, które Oskar początkowo wziął za płaszcz nieprzemakalny, i zarzuciła na ramiona pelerynę z zielonego aksamitu. Chłopiec z ulgą odkrył, że jest na niej wyhaftowana złotą nicią duża litera M.

- Dalej, wskakuj, poznamy się lepiej!

Zaledwie Oskar wskoczył do motorówki, kobieta ruszyła ostro do przodu. Ledwo utrzymał się na nogach. Chwiejąc się, dotarł do siedzenia i w końcu usiadł obok niej. Motorówka pruća już po jeziorze, zostawiając wokół siebie liczne fale.

- Czekałam na ciebie, Oskarze - zawołała głośno kobieta, próbując przekrzyczeć hałas silnika i uderzających o łódź fal. - Nazywam się Maureen Joubert.-W takim razie wiem, kim pani jest - powiedział Oskar, który poczuł się dużo pewniej.

- Ach tak? - rzekła rozbawiona Maureen. - Jestem taka sławna?

Chłopiec kiwnął głową.

- Pani Withers opowiadała mi o pani - powiedział. - Jest pani członkiem Rady Najwyższej Medykusów, specjalizuje się pani we wszystkim, co dotyczy Hepatolii. A pani fotel nazywa się Ginger Rogers! - dorzucił młody Medykus.

Maureen puściła kierownicę i złożyła radośnie dłonie.

- Zawsze marzyłam o tym, żeby być gwiazdą, a tymczasem Berenice Withers sprawiła, że stało się to faktem!

Oskar nie zaśmiał się po tym dowcipie - wbił przerażony wzrok w puszczonej kierownicę. Maureen to zauważyła i chwyciła ponownie koło sterowe. Łódź płynęła już teraz bardzo szybko. Ich zielone peleryny łopotały na wietrze, podobnie jak rude włosy Oskara. Podmuch powietrza wyciskał im łzy z oczu. Nad nimi rozciągała się różowa kupa Ślinianki, tej olbrzymiej wytwórni śliny.

Maureen zerknęła na swojego młodego sąsiada.

- Bardzo jesteś podobny do taty. Już ci to pewnie nieraz mówiono, prawda?

Oskar potwierdził z dumą. Maureen wydawała się wzruszona. Minęło już wiele lat od śmierci Vitalego Pilla, jednak jego piękna twarz przetrwała w pamięci niejednego człowieka.

- Bardzo się cieszę, że cię w końcu poznałam. Chciałbyś pokierować przez chwilę tym pojazdem? - spytała, chcąc otrząsnąć się z nagłego przyływu uczuć. - Wiesz, ja się chyba do tego za bardzo nie nadaję. Tu się reguluje prędkość, to jest koło sterowe, a co do reszty... jakoś sobie poradzisz, jestem pewna! Oskar popatrzył na nią osłupiały i rzucił się, chcąc się zamienić miejscami, zanim Maureen zmieni zdanie. Nacisnął dźwignię po lewej stronie i motorówka podskoczyła na falach. Maureen o mały włos znalazłaby się za burzą.

Chłopiec szybko nauczył się panować nad silnikiem, a pani Joubert wskazała mu palcem niewielki port, do którego niebawem łagodnie przybili. Młode kobiety, wykonujące swoją pracę w tej okolicy, złapały linę, którą rzuciła im Maureen, i przywiązały ją do palika.

Para wilków morskich wysiadła na stały ląd. Skierowali się w stronę niewielkiego budynku, przypominającego chatkę rybaka. Oskar zauważył, że była to tylko fasada nakreślona na ścianie półkuli, reszta domu ciągnęła się w głąbi. Dostrzegł literę M na drzwiach wejściowych.

- Prawdę powiedziawszy, Ślinianka jest najładniejszą częścią Hepatolii - wyznała Maureen. - Urządziłam sobie tutaj letni domek, ze względu na ten wspaniały widok na jezioro. Prawda, że to ślicznie wygląda? Cóż, ślinianki Bonesa nie są może akurat najpiękniejsze w swoim rodzaju, ale poproszono mnie, abym tutaj właśnie się z tobą spotkała...

Oskar uśmiechnął się uprzejmie, wspominając nadmorskie okolice, gdzie bywał z matką i Violette na wakacjach. Jeśli Maureen naprawdę chciała spędzić swój letni urlop w gigantycznej bańce, wypełnionej śliną, to chyba nigdy nie widziała na oczy prawdziwego morza!

- Chodź ze mną - powiedziała przewodniczka. -1 ukłonił się grzecznie Gruczolankom, one zawsze są niezwykle kulturalne i lubią, jak inni podobnie je traktują.

Oskar z zapałem pomachał kobietom w lateksowych kombinezonach, a one także przyjaźnie mu odmachwały. Następnie wszedł w ślad za Maureen do letniego domku i zamknął za sobą drzwi.

Pani Joubert stała za stołem, pośrodku pokoju, a jej medalion lśnił pięknym, złocistym światłem. Spojrzała bacznie na Oskara i poprosiła, aby podszedł bliżej.

Kiedy znalazł się przed nią, po drugiej stronie stołu, wyciągnęła w jego kierunku dłoń. W jej zagłębieniu chłopiec dostrzegł mały, kryształowy flakonik, iskrzący się tysiącem promieni. Na zamykającym go koreczku widniała



inkrystowana duża litera M, otoczona kołem. Symbol Medykusów wirował bezustannie, jakby żył własnym życiem.

- Oskarze, nie przybyłam tutaj, żeby przewieźć cię motorówką po jeziorze, ani też po to, żeby wieść z tobą długie i ciekawe rozmowy. Mam ci przekazać ten oto przedmiot: to Fiolka Hepatolii.

Oskar nie śmiał wziąć od niej buteleczki, przyglądał się jej tylko zachwycony.

- Jest twoja, weź ją! - zachęciła go Maureen. %

Oskar wahał się przez chwilę, potem wziął fiolkę ostrożnie, w obie dłonie. W tym samym momencie poczuł jakiś ruch wokół bioder - ożywił się jego pas Trofeów. Jedna z sakiewek - pierwsza od lewej - otworzyła się. Chłopiec przyglądał się przejrzystej fiolce.

- Jest pusta - powiedziała Maureen. -1 to jest właśnie twój dzisiejszy cel: musisz napełnić Fiolkę Hepatolii, Oskarze, by mieć ją potem zawsze przy sobie. Pomoże ci ostatecznie ukształtować tego Medykusa, którego masz w sobie i którym się staniesz. Fiolka jest pierwszym Trofeum, nikt nie może się bez niej obyć. By przejść do następnego Uniwersum, ty także musisz ją jako pierwszą napełnić. Oskar oderwał wzrok od buteleczki i spojrzał na kobietę.

- Ale gdzie mam napełnić tę fiolkę? I czym?

- Bezcenny Nektar znajdziesz w sercu góry Hepatolii, tej, która dała imię całemu Uniwersum. Można go znaleźć tylko tam. Mieszkańcy góry znają sekret wytwarzania tego płynu. W naszym świecie nazywa się go żółcią.

- Ale gdzie to jest? - zapytał rozgorączkowany Oskar. - Przecież ja nie znam drogi do tego miejsca!

Maureen położyła swój medalion na stole, na którym pojawiła się świetlista mapa krainy. Poszczególne jej elementy poruszały się, jakby oglądało się jakiś film.

- Oto aktualna mapa Hepatolii, Oskarze. Tutaj widzisz tę niebotyczną wieżę, strzelającą w niebo - to Grota Przeżuwania, czyli jama ustna. Kiedy Bones je posiłek, pożywienie przechodzi przez to miejsce, jest rozdrobnione i spada sto metrów niżej, pod ziemię, do jednostki transferowej. Widzisz te białe bańki koło Groty

Przeżuwania? To Ślinianki, produkujące ślinę. A te dwie maleńkie litery M, które błyszczą w tym miejscu, to właśnie my, o, tutaj.

Oskar skupił się na miejscach, które Maureen pokazywała mu palcem na mapie.

- Jednostka transferowa jest tu, znasz ją już. Następnie jednostka rozdrabniania - z tego, co mi opowiadała pani Withers, też ją widziałeś...

Oskar niechętnie wracał myślami do wypadku z cysterną, a jeszcze mniej chętnie wspominał sposób, w jaki wydostał się z krainy Hepatolii Royce'a. Miał za złe pani Withers, że opowiadała komuś o jego nie do końca chwalebnych przygodach. Teraz na pewno wie już o tym cała Rada Najwyższa! Maureen uśmiechnęła się na widok jego zawstydzonej miny. Lubiła droczyć się z ludźmi, nigdy jednak ich nie raniła.

- Wiem tylko tyle, że to nie była twoja wina, kiedy wpadłeś do tej cysterny i że świetnie sobie poradziłeś - powiedziała Maureen z sympatią. - I jeszcze raz brawo, Oskarze, za te niezwykle udane Introdukcje: Wielki Mistrz i ja byliśmy zaskoczeni, że udało ci się właściwie za pierwszym razem!

Oskar zapomniał o swoim zakłopotaniu i pochylił się nad mapą z uśmiechem pełnym wdzięczności. Maureen kontynuowała wędrówkę po mapie.

- Za cysternami zaczyna się długi przewód, którym rozdrobniona masa przesuwa się w stronę jednostki AK. Musisz bardzo uważać w jednostce Ataku Kwasów, chłopcze. Jeśli zetkniesz się ze skoncentrowaną śliną było dla ciebie nieprzyjemne - to nic w porównaniu z silnymi kwasami, jakie występują w tej jednostce. W ciągu jednej sekundy rozkładają wszystko na drobne cząstki!

Oskar zadrżał na samą myśl o tym. Obawiał się nie bez powodu, że jeśli Maureen ostrzega go przed kwasami, czyni to dlatego, że prawdopodobnie będzie musiał przedostać się tamtędy, by dostać się do okolic góry.

Wskazał palcem formę wyrastającą ponad powierzchnię ziemi.

- Czy to jest góra Hepatolii? - spytał niepewnie.

Maureen kiwnęła głową.

- Są dwa sposoby, żeby się tam dostać. Jedna z dróg biegnie właśnie pod jednostką Ataku Kwasów, a druga to WMUS.

- Co to takiego? - spytał zaintrygowany Oskar.

- Wielki Między-Uniwersalny System. Lubisz wodę? Morze, jeziora, rzeki? Oskar kiwnął głową, nie bardzo rozumiejąc, co Maureen ma na myśli.

- Tym lepiej - odparła z uśmiechem. - Wielki System to nieskończona ilość strumyków, strug i wielkich rzek, które płyną pod ziemią lub na jej powierzchni. Łączą ze sobą jeziora i morza, ale także poszczególne okolice Hepatolii, a nawet całe Uniwersa. W naszym zewnętrznym świecie nazywamy je żyłami i tętnicami. Bądź ostrożny, Oskarze - uprzedziła chłopca - WMUS jest oczywiście bardzo użyteczny, żeby jednak móc się po nim poruszać, trzeba dobrze znać cały system, kierunek ruchu i rozmaite prądy. Ach, byłabym zapomniała - dodała Maureen. - Trzeba też orientować się w rozmaitych łodziach i ich pilotach...

- Ich pilotach? - zapytał zdziwiony chłopiec. - Chce pani powiedzieć, że są tacy, którzy pracują wewnątrz tego systemu?

- Nie tylko tam pracują, ale też w nim żyją! Nic ci już więcej nie powiem, Oskarze, ta opowieść byłaby zbyt długa i niczego byś nie zapamiętał. Pamiętaj tylko o jednym: nigdy nie będziesz sam w trakcie tej przygody.

- Wybierze się tam pani ze mną? - zapytał Oskar, nie do końca wierząc w pozytywną odpowiedź.

- Masz przy sobie coś dużo bardziej pomocnego! - powiedziała.

Maureen podniosła do góry swój medalion i skraj peleryny Oskara uniósł się, jakby pociągała go jakaś niewidzialna nić. W wewnętrznej kieszeni widać było brzeg jakiejś książki. Oskar rozpoznał ją po zielonym, aksamitnym grzbiecie: to był jego Grimoire! Pani Withers pomyślała i o tym, kiedy przygotowała mu jego pelerynę i pas Trofeów. Oskar obawiał się jednak najgorszego. Odkąd Grimoire nie odpowiedział mu na pytania dotyczące ojca, młody Medykus podejrzewał, że książka może zachować milczenie także w przypadku wszelkich innych pytań i nie

przyda mu się na nic. Duże M, wyhaftowane na okładce, zalsniło przez chwilę złotym blaskiem, jak gdyby chciało pocieszyć swego właściciela.

- Pilnuj się, Oskarze - przestrzegła go Maureen. - Wiesz, jakie reguły rządzą Grimoire'em w czasie Introdukqi Cieleśnej...

- Tak, tak, wiem - powiedział. - Mogę zadać tylko dwa pytania dziennie.

- Owszem, tak się dzieje, kiedy jesteś na zewnątrz ciała-poprawiła go Maureen. - Jednak w czasie Introdukcji masz prawo do jednego, jedyne go pytania, a co za tym idzie - do jednej, jedynej odpowiedzi w czasie całej wyprawy. Musisz zatem rozważyć wszystkie za i przeciw w chwili, kiedy będziesz chciał o coś zapytać twojego Grimoire'a. Staraj się sam rozwiązywać dręczące cię zagadki, zostawiając sofcie tę unikalną szansę na koniec. Licz na własne siły zwłaszcza na początku podróży, później może ci się przytrafić dużo bardziej skomplikowany problem, z którym w żaden sposób nie zdołasz sam sobie poradzić, a tymczasem nie będziesz już mógł liczyć na wsparcie ze strony Grimoire'a...

Oskar spojrział na swoją książkę. Jedno pytanie podczas całej wyprawy. Postara się o tym nie zapomnieć.

Maureen szykowała się, by przekazać mu ostatnie rady, kiedy rozległa się syrena alarmowa. Jej echo rozbrzmiewało w całej Śliniance i dwoje Medyków rzuciło się do drzwi.

Gruczolanki, do tej pory nader aktywne, ale spokojne, zupełnie oszalały - poruszały się teraz biegiem po pomoście, we wszystkich kierunkach, nie zatrzymując się ani na chwilę. Ich precyzyjne ruchy były przy tym tak błyskawiczne, że Oskarowi wszystko to wydawało się filmem, puszczone w przyspieszonym tempie! Ledwie nadążały z przystawianiem przyssawek do wypustek, z których wylewała się ciecz - wyglądało to tak, jakby również ich aktywność była coraz bardziej intensywna. Ślina ściekała po ścianach pomieszczenia, płynęła po drewnianych deskach, zanim jeszcze Gruczolanki miały czas ją zebrać. Poziom jeziora w Śliniance zaczął się niebezpiecznie podnosić. Za chwilę ciecz mogła zalać pomosty.

- Co się dzieje? - zapytał zdenerwowany Oskar.

- Bones! Ten durny Bones musiał coś zjeść! Ślinianka zaczęła nagle wytwarzać ślinę!

Maureen popchnęła Oskara w stronę brzegu.

- Szybko, Oskarze, wskakuj do łodzi!

Oskar wsiadł do motorówki i odwrócił się w stronę Maureen, która została na pomoście.

- Ale... dlaczego pani nie wsiada? - krzyknął chłopiec przez otaczający ich ze wszystkich stron hałas.

- Zostanę tutaj! W kuli rośnie ciśnienie, za chwilę otworzą się zawory i poziom jeziora znowu się obniży, nie martw się o mnie! Szybko, włącz silnik!

Maureen podniosła wzrok i rozejrzała się dookoła. Ściany bańki trzęsły się i rozciągały, w miarę jak przybywało śliny. Syreny wyły już teraz nieprzerwanie, rozsadzając Oskarowi czaszkę. Siedział skamieniały w motorówce. Rozkazujący głos Maureen wyrwał go z tego paraliżu.

- Oskarze, włącz silnik, jak tylko otworzą się zawory, by wypuścić ślinę ze Ślinianki. Płyn zgodnie z prądem!

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie. Błyskawicznie przekręcił kluczyk, włączając silnik. Ten jednak milczał. Oskar trzęsącą się ręką po raz kolejny spróbował zapalić, z wytężoną uwagą pilnując zarówno tego, co działo się na łódce, jaki obserwując sytuację wokół niego. Silnik zawarczał, zakrzuszył się i zgasł ponownie.

Młody Medykus starał się ze wszystkich sił zachować zimną krew. W tym samym momencie rozległ się głośny trzask i syrena zamilkła. Usłyszeli straszliwy huk. Bańka była już tak przepelniona śliną, że otworzyły się zawory i ślina zaczęła się wylewać ze Ślinianki, czemu towarzyszył ten uciążliwy hałas. Prąd unosił już małą łódkę, której silnik ciągle nie chciał zapalić, razem z bezradnym Oskarem na jej pokładzie.

- Jeszcze raz, spróbuj jeszcze raz! - krzyknęła Maureen.

Chłopiec zacisnął zęby, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go po raz trzeci. Motor warknął, uniosły się dwa obłoczki czarnego dymu i silnik nareszcie zaczął pracować.

Maureen, którą Oskar widział teraz już z oddali, dawała mu znaki, żeby kierował się w stronę ewakuacyjnych zaworów. Starał się ominąć tworzące się tu i ówdzie wiry i oddalił się od miejsca, które zaczynało przypominać progi skalne na rzece.

Niedługo dostrzegł miejsce, w którym ślina wypływała z bańki. Z powodu piany i fal nie mógł dojrzeć szczegółów tego, co mogło być dalej, spodziewał się jednak najgorszego. Huk się nasilał i wkrótce silnik łódki okazał się bezużyteczny - płynęła, unoszona jak źdźbło trawki w spienionym potoku.

Dopiero w chwili, kiedy łódka runęła w przepaść, Oskar pojął, że dalej jest dużo gorzej, niż mógł to sobie wyobrazić. Ślina wylewała się ze Ślinianki w pustkę i spadała niczym wodospad Niagara!

Motorówka i uwięziony w niej Oskar zanurzyli się w chmurze, złożonej z milionów cząsteczek rozpylonej śliny. Spadali jak kamień, a krzyk chłopca rozplynał się w potwornym huku wielkiego wodospadu.

### **Dziwne spotkania**

Młodemu Medykusowi wydawało się, że upadek trwał całą wieczność, w końcu jednak skończył się gwałtownym wstrząsem. Łódka zderzyła się z jakąś płynną powierzchnią. Oskar miał wrażenie, że całe jego ciało rozpadło się na-tysiąc kawałeczków. Pomimo to trzymał się ze wszystkich sił koła sterowego i nie puścił go ani na chwilę.

Jakimś cudem łódka nie zatoneła. Co więcej, silnik nie zgasł i motorówka dalej pokonywała dzielnie fale. Oskar, oślepiiony spienioną bryzą śliny i ogłuszony bezustannym hukiem spadającej cieczy, nacisnął do dechy dźwignię przyspieszenia. Łódka podskoczyła i wydostała się z największego zawirowania, a w końcu dopłynęła w nieco spokojniejsze miejsce. Oskar trochę zwolnił i łagodnie dobił do brzegu.

Dobłą chwilę starał się uspokoić wzburzone emocje i obejrzał się dokładnie - był cały i zdrowy! W końcu rozejrzał się dookoła, chcąc określić, gdzie się znowu znalazł.

Stwierdził wówczas, że jest przed jednostką transferową. Oto dlaczego Maureen radziła mu, żeby kierował się z prądem, aż na sam dół wodospadu... Sto metrów wyżej Ślinianki wydawały się ledwo majaczyć w przestrzeni. Zawory awaryjne zamknęły się już i kaskada ucichła, zostało po niej tylko to podziemne jezioro śliny.

Z jednostki transferowej wyszedł tym razem dum mężczyzn osłoniętych lateksowymi kombinezonami. Za pomocą silnych maszyn zaczęli pompować ślinę z jeziora. Tymczasem wewnątrz jednostki inni robotnicy polewali śliną wagony napełnione żywnością, które przemieszczały się przed nimi w kierunku pasów transmisyjnych.

Oskar zbliżył się do któregoś z mężczyzn.

- Przepraszam, mógłby mi pan powiedzieć, czy jest stąd jakieś inne przejście do jednostki rozdrabniania?

Mężczyzna otarł ociekające śliną rękę, zdjął maskę i przyjrzał mu się uważnie.

- Wydaje ci się, że jesteś w centrum informacji turystycznej Hepatolii?... Do czego jest ci potrzebna jednostka rozdrabniania?

- Chciałbym tylko przedostać się przez nią i dotrzeć do góry...

Mężczyzna zeszywniał.

- Nie masz tam nic do roboty, mały, słyszysz? Góra to nie jest miejsce dla ciebie. To niebezpieczne dla takiego dzieciaka jak ty. No już, wracaj do domu i daj mi spokojnie pracować.

Oskar wycofał się. Najwyraźniej trudno było uzyskać w tym miejscu wskazówki, jak dotrzeć do góry Hepatolii. Powiedział sobie w duchu, że musi zapamiętać bardzo dokładnie rady Maureen - mogą się bowiem okazać bezcenne.

Prześliznął się dyskretnie między pracownikami, którzy napełniali i popychali wagony. Przeszedł wzdłuż głównego pasa transmisyjnego, aż dotarł do jego końca.

Przy otworze, w którym zniknął pas, podniósł głowę do góry - wysoko, pod samym stropem sali, dostrzegł platformę z salą dyspozycyjną jednostki rozdrabniania. Modlił się w duchu, żeby nikt go stamtąd nie przyuważył. Wychylił się ostrożnie. Dziesięć metrów niżej stały cysterny. Jeśli nawet jakimś cudem dałby radę zeskoczyć i nie zabić się na dole, mógłby znowu wpaść do cysterny i tym razem nie byłoby nikogo, kto nacisnąłby guzik alarmowy, ratując go od posiekania na kawałki przez obracające się ostrza. Trzeba było znaleźć inny sposób, żeby dostać się do tego pomieszczenia.

Oskar zaczął rozglądać się za inną drogą, kiedy jakiś mężczyzna poklepał go po ramieniu.

- Hej, człowieku! - krzyknął. - Przyszedłeś może w końcu naprawić cysternę numer 9? Oskar nie miał czasu, by mu odpowiedzieć.

- Trzeba przyznać, że zajęło ci to chwilę! Bones zastanawia się, dlaczego źle trawi, ostrza w tej cysternie przestały się kręcić i niczego nie siekają! To tamta - powiedział, wskazując chłopcu przez szybę najdalej stojącą cysternę.

Pochylił się nad peleryną Oskara i zmarszczył brwi.

- A co to za M? Czyżbyśmy zmienili serwis napraw?

Oskar zaczął się jękać.

- Eee... tak, to jest M... to jest M od nazwy Mega naprawy w Minutę!

Typek wzruszył ramionami.

- W minutę? Żarty sobie stroisz. Czekaemy na was już trzy dni! Znasz chyba drogę, tam jest wyjście awaryjne - dodał, wskazując palcem drzwi, których Oskar do tej pory nie zauważył. Młody Medykus pokiwał głową i szybko skierował się w tę stronę, błagając w duchu, by pracownik nie zorientował się, że wziął go za kogoś innego. Wszedł na klatkę schodową i zbiegł awaryjnymi schodami. Dwa piętra niżej natknął się na kolejne drzwi. Zawahał się, ale to było jedyne wyjście. Popchnął drzwi i wszedł do gigantycznej sali, w której zatrzymał się zaskoczony.

Przed nim stały olbrzymie cysterny, dużo większe niż te, które widział w Hepatolii Royce'a. Było ich dziesięć, ustawionych w kręgu nad białą, lśniąca



podłogą. W powietrzu podtrzymywały je masywne, ołowiane słupki, przez co cysterny wyglądały jak wielkie rondle, stojące na palnikach. Nie było tu jednak ognia, tylko ta jasna, oleiście błyszcząca posadzka.

Oskar zrobił ostrożnie kilka kroków, uważając, by się nie pośliznąć, i schował się pod jedną z cystern. Uspokajał się w głębi duszy, że z wysokości, na której znajdowało się ęen-trum dyspozycyjne, musiał wydawać się istotką wielkości mrówki - z pewnością nikt nie był w stanie go dostrzec. Zauważył, że pomiędzy cysternami zamontowano wiszące kładki. Służyły chyba do tego, aby móc się dostać na krawędzie, w razie konieczności jakiejś naprawy. Kusiło go, by zablokować ostrza we wszystkich cysternach. Może to oduczyloby Bonesa podjadania rogalików, które nie były dla niego przeznaczone...

Ze swojego punktu obserwacyjnego oglądał uważnie całe pomieszczenie. Nie widział żadnego innego wyjścia poza drzwiami awaryjnymi, przez które wszedł przed chwilą. Przyjrzał się kładkom, które niczym pierścień otaczały każdą cysternę, nie prowadziły jednak nigdzie dalej. Oskar zastanawiał się, w jaki sposób dostać się do jednostki AK, a potem przeprowadzić się do góry. Pogładził dłonią okładkę swojego Grimoire'a. Przez chwilę korciło go, żeby zapytać o to, zmienił jednak zdanie. Było za wcześnie na wykorzystywanie ostatniej szansy, musiał zastanowić się spokojnie, zanim zdecyduje się prosić o pomoc.

Nie miał jednak zbyt wiele czasu do namysłu - odpowiedź przyszła sama i to w najgorszy możliwy sposób.

Podłogą wstrząsnęło drganie i na samym środku pojawiło się pęknięcie. W rzeczywistości podłogę tworzyły dwie płyty, które właśnie się od siebie odsuwały, jak gdyby ktoś otwierał gigantyczne okiennice, tyle że skierowane w dół.

Oskar, stojący na jednej z tych płyt, zaczął się zsuwać. Próbował złapać się czegoś przy najbliższej cysternie, ale była równie gładka jak podłoga - nie było na niej żadnego uchwytu, nawet wystającej śrubki, za którą można by chwycić. Płyty rozchylały się coraz bardziej, Oskar wiedział, że za chwilę spadnie. Podejmując

ostatnią rozpaczliwą próbę, podskoczył, wyciągnął ramię i udało mu się zaczepić rękę o barierkę osłaniającą kładkę, biegnącą od jednej cysterny do drugiej.

Opuścił głowę i spojrzał w dół - podłogi już nie było, płyty rozchyliły się do końca. Wisiał nad gigantycznym, metalowym lejkiem. Do czego mógł on służyć? Co tam było pod spodem, co się teraz stanie?

Zaczął krzyczeć, wzywając pomocy - hałas, jaki wytwarzały silniki pozostałych cystern, wzmógł się na moment, a potem ostrza przestały się obracać. Warkot silników umilkł, słychać było jedynie terkoczący odgłos i przerażony Oskar ujrzał, jak cysterny jedna po drugiej przechylają się, a ich zawartość wylewa się do lejka.

Z dziesięciu cystern w tym samym momencie wydobyła się gęsta, kleista masa. Zagarnęła ze sobą młodego Medykusa, który kurczowo trzymał się swojej barierki. Nie dał jednak rady i zwolnił uchwyt. Spadając, w ostatniej chwili odruchowo osłonił się swoją peleryną. Potem wessała go lepka, wirująca papka, przelewająca się przez lejek.

Wszędzie wokół było ciemno i gorąco. Oskar kręcił się we wszystkich możliwych kierunkach, mając przeraźliwą pewność, że ruch ten nigdy już nie ustanie.

Upadek skończył się gwałtownie.

Chłopiec zderzył się z twardym podłożem, czuł, jak opada na niego reszta masy rozdrobnionego jedzenia. Ciało go bolało, kręciło mu się w głowie. Ze wszystkich sił starał się przedostać gdzieś na bok, zanim przywali go do reszty ładunek z góry.

Bał się jeszcze wyrzeć zza peleryny. Obmacał tylko ręce i nogi, spróbował nimi poruszyć. Dopiero później wysunął nos na zewnątrz.

Znajdował się na krańcu bardzo długiej prostokątnej sali, której ściany pokryte były błyszczącym metalem, przypominającym aluminium. Po lewej stronie widać było szereg drzwi. Przy każdych drzwiach wywiercono dziurę w ścianie, przez którą przenikał strumień czerwonego światła, przecinający salę w poprzek.

Oskar poczuł, że podłoga poruszyła mu się pod stopami - najwyraźniej stał na pasie transmisyjnym, który właśnie został uruchomiony.

Kiedy pierwsza kupka pokarmu dotarła do laserowego promienia, kontur wokół drzwi rozświetlił się, a w ścianie odsunęła się żelazna płyta. Wyłonił się stamtąd człowiek, którego twarz ukryta była niemal całkowicie za maską masywnego kasku. Jego ciało chronił skafander, przypominający strój astronauty. Trzymał w ręku coś, co przywodziło na myśl szlauch do podlewania. Kiedy zaczął mówić, jego głos, zdeformowany przez mikrofon podłączony do kasku, zabrzmiał jak głos robota:

- Obecność pożywienia potwierdzona przez promień. Projekcja kwasu rozpoczęta.

Człowiek nacisnął jakiś guzik i uruchomił szlauch, z którego pienista ciecz wytrysnęła w kierunku kleistej masy, dwa metry przed Oskarem. Góra rozdrobnionego jedzenia, które polano płynem, stopiła się jak śnieg, czemu towarzyszyło pojawienie się obłoku gęstej pary. W ciągu kilku sekund skurczyła się dziesięciokrotnie i stała się małym, brunatnym stosikiem, który nadal lekko jeszcze dymił. Masa pokarmu przesuwała się bezustannie i za każdym razem, kiedy przecinał ją czerwony promień przy drzwiach, wychodził kolejny człowiek, w identycznym skafandrze i kasku, polewając zawartość pasa transmisyjnego kwasem, który niszczył wszystko na swojej drodze.

Oskar próbował wstać i cofnąć się do wylotu lejka, którego miał zamiar wrócić do jednostki rozdrabniania z cysternami. Jednak nogi ugrzęzły mu w cuchnącej, obrzydliwej mazi, a pas transmisyjny posuwał się zbyt szybko. Chwilę później młody Medykus trafił na pierwszy czerwony promień.

Syntetyczny głos zabrzmiał w przestrzeni:

- Wykryliśmy poruszający się element w ładunku. Prawdopodobnie źle strawiony w górnym odcinku. Podwoić dawkę kwasu.

Nad drzwiami zapaliła się lampka sygnalizacyjna i pojawił się drugi mężczyzna, w takim samym stroju. Obydwaj pracownicy zamienili ze sobą kilka

słów. Oskar dosłyszał strzępki tej rozmowy.-Bones znowu zjadł coś na żywca, a ci z jednostki rozdrabniania nie poradzili sobie z tym, normalka! Ależ to niedorajdy, ci na górze! I pewnie znowu będą gadać, że „mieli techniczne problemy z ostrzami w cysternach”, jak zwykle zresztą...

Drugi odwrócił głowę w jego kierunku.

- Widzisz tam coś żywego? Co to niby ma być?

- A skąd ja mam wiedzieć? Może Bones lubi ostrygi!

- Ostrygi? Na śniadanie? A do tego kawa z mlekiem?! - wstrząsnął się na to drugi, krzywiąc się niemiłosiernie pod maską.

- Tak czy inaczej, promień wykrył jakiś ruch - powiedział pierwszy, ujmując mocniej swój szlauch. - Patrz, tam! To duże zielone coś, pośrodku ładunku! Widziałem, jak się rusza! Do licha! - wykrzykiwał dalej. - Ten Bones łyka całkiem bez rozgryzania, dasz wiarę? Pospiesz się, dawaj tę podwójną dawkę, to musi zniknąć!

Już tylko kilka centymetrów dzieliło Oskara od człowieka z jego śmiercionośnym szlauchem. Kiedy pojawił się drugi, chłopiec zanurkował w burej masie, zatykając sobie nos i osłaniając się peleryną. Czuł strumienie kwasu na swoich plecach, dym przedarł się nawet przez tkaninę peleryny, która cudem go uratowała. Oskar w duchu dziękował pani Withers, że zaopatrzyła go w nią przed wyprawą. Po tym wszystkim - myślał sobie, modląc się, by peleryna wytrzymała polewanie kwasem, póki nie wydobędzie się ze strefy AK - będzie się nadawała jedynie na szmatę do podłogi!

Kilka chwil później - wydawało mu się, że to trwało całą wieczność! - poczuł, że nikt go już niczym nie polewa. Miał nadzieję, że dotarł do końca strefy. Podniósł ostrożnie do góry skraj peleryny i rzucił okiem na zewnątrz.

Rzeczywiście, był już na drugim końcu sali Ataku Kwasów. Przed nim otwierał się szeroki otwór kanalizacyjny. Gdzie prowadził?

Maureen nie miała dostatecznie dużo czasu, by wyjaśnić dokładniej Oskarowi, co go czeka za strefą AK. Jednak nie wchodziło w rachubę, by miał teraz opuszczać organizm Bo-nesa. Góra Hepatolii musiała znajdować się już niedaleko. Cały czas

pamiętał o celu tej misji: miał napęłnić Fiolkę i przynieść swoje pierwsze Trofeum. Przesunął ręką po pierwszej sakiewce na pasie. W ciemności, pod peleryną, rozbłysło przez chwilę jaśniejsze światelko i to dodało mu odwagi.

Nie zastanawiając się już dłużej, wydostał się jak mógł najszybciej spod masy zwęglonego pożywienia i się odwrócił. Ludzie, którzy polewali pokarm kwasem, zniknęli z pomieszczenia, otwarte były jeszcze ostatnie drzwi. Oskar zaczął biec w ich kierunku. W tym momencie stalowa płyta zaczęła się zasuwac - została tylko odrobina miejsca, by się prześliznąć. Oskar rzucił się do przodu i upadł już po drugiej stronie drzwi, które zatrzęsły się ostatecznie sekundę później.

Podniósł się i rozejrzał dookoła. Po lewej stronie widział oddział pracowników strefy AK, oddalających się w zwartym szyku. Schował się w jakiejś małej wnęcie i poczekał, aż znikną. Chciał się spokojnie rozejrzeć po okolicy.

Jego uwagę przykuł znajomy odgłos - plusk wody. Wydawało się, że dociera z prawej strony. Ostrożnie poszedł w tym kierunku i odkrył wylot tunelu, ukryty w mroku.

Zrobił pierwszy krok, potem drugi. Ścianki tunelu były rozciągliwe i napięte, podłoga ruszała się pod jego stopami. Oskar z trudem posuwał się naprzód, w końcu zatrzymał się przy płynącym strumieniu. Przypomniał sobie słowa Maureen - bez wątpienia była to jedna z odnóg słynnego WMUS-a, owego systemu komunikacji pomiędzy różnymi częściami Uniwersum.

Oskar wyszedł na coś w rodzaju nadbrzeża i ostrożnie się wychylił. Z bliska ta rzeka bardzo się różniła od rzek, jakie widział w świecie zewnętrznym. Przede wszystkim jej prąd był pulsujący - woda przyspieszała, płynęła szybciej, potem niemal stawała w miejscu, za chwilę znowu przyspieszała, i znowu się zatrzymywała. Druga różnica jeszcze bardziej rzucała się w oczy - koryta właściwie nie wypełniała woda... Ten płyn był czerwony - czerwony jak krew!

Młody Medykus podniósł wzrok na ekran, który znajdował się nad jego głową - był tam rozkład godzin, a obok każdej godziny widniał dziwny kod: DR5,

DR2, DR4... Chłopiec zastanawiał się właśnie, czemu mogły odpowiadać te litery, kiedy jakiś głoś sprawił, że drgnął:

- Zbliża się następny prom. Proszę cofnąć się za barierkę.

Oskar uskoczył do tyłu w chwili, kiedy na powierzchni rzeki pojawiło się coś, co przypominało małą, owalną łódź podwodną. Pojazd wystrzelił w górę i zrobił salto w powietrzu, niczym delfin.

Młody Medykus usłyszał, jak kobiety - czy raczej dziewczęcy - głos wydaje radosny okrzyk:

- Jiii-haaa!

Przez chwilę wydawało się, że są na rodeo, na którym jakiś kowboj zdołał okiełznać narowistego konia.

Chwilę potem łódź opadła, wznosząc wokół wysokie fale. Oskar nie miał czasu, by się osłonić - został zalany od stóp do głów. Pojazd zatrzymał się dosłownie naprzeciwko niego, coś w rodzaju kokpitu podniosło się automatycznie, a ze środka wyrzała ku niemu twarz dziewczynki, przyozdobiona dwoma kucykami, równie czerwonymi jak cieczerka w rzece.

- Cześć! Eee... to znaczy, przepraszam: prom, dziesiąta trzydzieści pięć. Gdzie cię podwieźć?

Oskar zbliżył się do niej, cały przemoczony i osłupiały ze zdumienia. Ponieważ nie odpowiadał, młoda przewoźniczka wstała, oparła ręce na biodrach i zawołała głośnie.

- Juhuu! Hej, ty tam na brzegu, słyszysz mnie? Gdzie płyniemy?

- Eee... tak naprawdę, to nie za bardzo wiem gdzie...

Dziewczynka popatrzyła na elektroniczny ekran.

- Będziesz się musiał na coś zdecydować, bo następny prom będzie tutaj już za cztery minuty!

Oskar uznał, że dziewczyna ma niezły tupet. Nie tylko go oblała i nie usłyszał słowa „przepraszam”, to jeszcze teraz pozwalała sobie na takie uwagi! Nie zamierzał tego tolerować.

- No to cóż, poczekam na ten następny prom, przynajmniej będę miał trochę czasu, żeby wyschnąć! Przez ciebie jestem cały mokry! Kto cię uczył kierować tą łodzią?

Dziewczynka wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Dobra, dobra, nie indycz się, wsiadaj na pokład, potem mi powiesz, gdzie chcesz płynąć!

Przesunęła się, by zrobić Oskarowi miejsce. Przez chwilę się wahał, aż w końcu zdecydował się wsiąść. Nie miał większego wyboru. Pomyślał też, że skoro udało mu się spotkać kogoś, kto chce udzielić pomocy, trzeba to wykorzystać.

Już miał wsiadać do małej łodzi, w której z trudnością mieściły się dwie osoby, kiedy dziewczynka wykrzyknęła:

- O nie, wszystko pobrudzisz! Co ty masz na sobie? Trochę dziwna ta peleryna, a co gorsza nie najczystsza. No i nieźle od ciebie jedzie! - dodała, zatykając nos. - Możesz strzepnąć pelerynę, zanim wsiądziesz?

Oskar posłusznie to zrobił, mamrocząc pod nosem. No nie, to stworzenie działało mu na nerwy...

Kiedy usunął z peleryny resztki strawionego kwasem pokarmu i wyglądała już nieco schludniej, dziewczynka pozwoliła mu wsiąść do łodzi.

Gdy tylko znalazł się na pokładzie, kokpit automatycznie się opuścił. Oskar dotknął ścianki podwodnej łodzi. Sądził, że jest ze szkła, była to jednak jakaś inna, dziwna i przezroczysta substancja.

- Witaj na pokładzie mojej Kapsuły DR5 z wtryskiem! - wy-deklamowała dziewczynka, ruszając z miejsca jak torpeda. - Ścianki są elastyczne, bardzo praktyczna sprawa, kiedy trzeba się przecisnąć przez jakiś ciasnawy strumyczek albo p\*w?ż zapchany kanał!

Łódka podwodna zanurzyła się w czerwoną ciecz i Oskar poczuł, że jakaś siła wbija go w fotel. Kapsuła zaczęła przemykać się zygzakiem pomiędzy setkami innych podwodnych pojazdów w zadziwiających kolorach i w najrozmaitszych kształtach. Niektóre płynęły grupami, inne samotnie. Przed nimi wyłoniła się cała

seria skomplikowanych maszyn, które mrugały ze wszystkich stron lampkami. Połączone były między sobą stalowymi przewodami.

Dziewczynka wyminęła je, ostro manewrując kierownicą.

- Ach, te nieszczęsne PeeN-y, co za mordęga, łażą wszędzie, gdzie popadnie!

- PeeN-y? Co to takiego? - spytał Oskar, zapominając już, że był obrażony na swojego szofera.

- Prote & Ny to taka marka komputerów i rozmaitych urządzeń wodnych, świetnie działają - jest ich pełno w Wielkim Systemie - ale szczerze mówiąc, zupełnie nie umiem się w nim poruszać! No dobra, zdecydowałeś się już? Musisz mi jednak powiedzieć, gdzie płyniemy!

- Jeździsz taksówką po Wielkim Systemie?

- Zajmuję się głównie transportem pojemników z tlenem, rozwożąc je po całym Uniwersum. Usuwam te, które są puste, i zostawiam napełnione. Czasem jednak, kiedy widzę kogoś na brzegu, zabieram go na pokład, dzięki temu moje trasy nie są takie nudne! Właściwie - dorzuciła tonem zwierzenia - nie powinno się płynąć takim DR5 w dwie osoby, ale co nas to obchodzi, prawda?

Oskar spojrzał na nią z ukosa. Nie czuł się zbyt bezpiecznie i owszem, raczej go obchodziło, ile osób może korzystać z DR5. Ale jednak różniej było płynąć we dwoje, niż podróżować samotnie po tym świecie, który był mu kompletnie obcy. W końcu powiedział sobie w duchu, że może uśmiechnęło się do niego szczęście - zyskał przewodniczkę, mimo że była to tylko mała dziewczynka z czerwonymi kucykami, która mogła mieć co najwyżej tyle lat co on.

- Mogłabyś mnie zawieźć w pobliże góry Hepatolii? - spytał.

- Och, góra... - odparła zmieszana. - Nie do końca wiem, gdzie to jest, ale możemy spróbować...

Oskar zeszywniał.

- Jak to? Przecież mówiłaś, że rozwozisz tlen po całym Uniwersum!



- No więc, to nie do końca jest tak. W rzeczywistości to mój tata się tym zajmuje... - wyznała dziewczynka. - Ale jego zdaniem świetnie prowadzę łódź, wiesz? Wszystkim to mówi!

Oskar skurczył się na swoim siedzeniu. urządzeń wodnych, świetnie działają - jest ich pełno w Wielkim Systemie - ale szczerze mówiąc, zupełnie nie umieją się w nim poruszać! No dobra, zdecydowałeś się już? Musisz mi jednak powiedzieć, gdzie płyniemy!

- Jeździsz taksówką po Wielkim Systemie?

- Zajmuję się głównie transportem pojemników z tlenem, rozwożąc je po całym Uniwersum. Usuwam te, które są puste, i zostawiam napełnione. Czasem jednak, kiedy widzę kogoś na brzegu, zabieram go na pokład, dzięki temu moje trasy nie są takie nudne! Właściwie - dorzuciła tonem zwierzenia - nie powinno się płynąć takim DR5 w dwie osoby, ale co nas to obchodzi, prawda?

Oskar spojrzał na nią z ukosa. Nie czuł się zbyt bezpiecznie i owszem, raczej go obchodziło, ile osób może korzystać z DR5. Ale jednak różniej było płynąć we dwoje, niż podróżować samotnie po tym świecie, który był mu kompletnie obcy. W końcu powiedział sobie w duchu, że może uśmiechnęło się do niego szczęście - zyskał przewodniczkę, mimo że była to tylko mała dziewczynka z czerwonymi kucykami, która mogła mieć co najwyżej tyle lat co on.

- Mogłabyś mnie zawieźć w pobliże góry Hepatolii? - spytał.

- Och, góra... - odparła zmieszana. - Nie do końca wiem, gdzie to jest, ale możemy spróbować...

Oskar zeszywniał.

- Jak to? Przecież mówiłaś, że rozwozisz tlen po całym Uniwersum!

- No więc, to nie do końca jest tak. W rzeczywistości to mój tata się tym zajmuje... - wyznała dziewczynka. - Ale jego zdaniem świetnie prowadzę łódź, wiesz? Wszystkim to mówi!

Oskar skurczył się na swoim siedzeniu. -Chcesz powiedzieć... to znaczy, że to jest łódź podwodna twojego ojca, a ty nie masz uprawnień do kierowania nią?

- No już, nie panikuj! - mruknęła, przygaszona. - Fakt, nie mam uprawnień, ale radzę sobie lepiej niż niejeden dorosły! A poza tym, co w tym trudnego, mam GPS, znajdziemy tę twoją górę!

Oskar przymknął oczy. Co też go podkusiło, żeby wsiąść do tego pojazdu z dziewczyną, która oszukiwała go od samego początku!

Zaczęła sobie z niego kpić.

- Nie do wiary, ależ z ciebie delikatna roślinka! Zrelaksuj się, oddychaj głęboko, a jeśli tak źle z tobą, weź sobie łyk tlenu, stoi tam, za twoim siedzeniem, w butli... Phi, wszystko przez to, że nie mam jakiegoś głupiego uprawnienia, które zdobędę bez problemu, jak tylko zdam egzamin...

- Problem polega na tym, że na razie jeszcze niczego nie zdałaś!

- To dowód na to, że nie warto tego robić, skoro i tak świetnie sobie radzę! - odpaliła dziewczynka, która nie wydawała się ani trochę speszona. - A kim ty właściwie jesteś, poza tym, że trzęsiesz się ze strachu i nosisz dziwaczne ciuchy?

- Nie trzęsę się ze strachu, wypraszam sobie!

- OK, to kim jesteś i dlaczego nosisz takie dziwne ciuchy?

Oskar wyciągnął swój medalion i podsunął go pod zadarty nos dziewczyny.

- Nazywam się Oskar Pili i jestem Medykusem.

Dziewczynka wytrzeszczyła oczy.

- Co takiego? Ty? Jesteś Medykusem? Ojciec mi opowiadał, że oni wszyscy są wysocy, silni i odważni!

Oskar skrzyżował ramiona, zły jak osa.

- Właśnie że jestem odważny, nie myśl sobie! Jestem młodym Medykusem, to wszystko!

- Ach tak, jesteś zatem debutantem, jak ja! To dlaczego tak się zdenerwowałeś, kiedy ci powiedziałam, że nie mam jeszcze papierów do prowadzenia łódki? Ty także nie masz jeszcze uprawnień Medykusa!

Zaczęła się śmiać. Oskarowi jednak wcale nie było do śmiechu. Miał ochotę ją udusić.

- A ty, kim jesteś? - spytał.

- Jestem Erytrocytem z Niepodległej Republiki Szpiku, nazywam się Erytra 34-46-3520.

- Ale jak to... to przecież nie jest imię!

- "To przecież nie jest imię!" - przedrzeźniała go dziewczynka. - Wydaje ci się, że Oskar Pili brzmi lepiej? 34 to liczba określająca moją rodzinę, 46 - liczba pokolenia, a 3520 to liczba oznaczająca kolejność, w jakiej przyszedłam na świat, wraz z moimi braćmi i siostrami. Ale jeśli wolisz, możesz nazywać mnie Valentine, tak na mnie mówią moi bliscy.

Valentine po raz kolejny zakręciła energicznie kierownicą i Kapsuła DR5 odskoczyła na bok, by wyminąć inną Kapsułę, która wydawała się starszym modelem. Nagle dziewczynka zsunęła się w dół na siedzeniu.

- Ech, żeby to... moja ciotka! Mam nadzieję, że mnie nie widziała! Potrzymaj przez chwilę kierownicę!

Oskar posłusznie ujął kierownicę i próbował posuwać się jakoś naprzód w tej czerwonej cieczy, zatłoczonej różnego rodzaju podwodnymi pojazdami.

- Wyminęliśmy ją już? - spytała Valentine.

- Tak, jest już daleko - odpowiedział Oskar, nie za bardzo się orientując, gdzie właściwie podziła się rzeczona ciotka.

Dziewczynka podniosła się, jeszcze bardziej czerwona niż zwykle.

- Uff, udało się, ale mało brakowało! Powiedziałyby wszystko mojemu ojcu, znam tę starą wydrę!

- Chcesz przez to powiedzieć, że twój ojciec nie wie nawet, że kierujesz tą Kapsułą?

- Chyba nie zaczniesz mi znowu prawić kazania? Co za nudziarstwo! To co z tą górą, chcesz tam jechać czy nie?

Oskar potwierdził. Dziewczynka zaczęła się bawić swoim kucykiem.

- Problem polega na tym, że nie powinnam za bardzo się stąd oddalać, a ta góra jest raczej daleko stąd... Wydaje mi się, że trzeba będzie się wydobyć na powierzchnię ziemi.

Oskar pokręcił głową. Ta dziewczyna od początku nabijała go w butelkę, a teraz jeszcze mówi, że nie będzie mogła z nim płynąć dalej! Miał już tego naprawdę dosyć.

- W porządku, jeśli nie jesteś w stanie płynąć dalej, wypłyni na powierzchnię i wysadź mnie na jakimś nadbrzeżu - powiedział. - Dalej będę sobie musiał jakoś poradzić.

Tym razem to Valentine poczuła się urażona.

- Nie powiedziałam, że nie jestem w stanie, tylko że nie powinnam, inaczej mój tata zauważy, że wzięłam jego Kapsułę! A poza tym, żeby dotrzeć do góry, trzeba popłynąć autostradą.

- Jaką autostradą? - zapytał Oskar, który niczego już nie rozumiał.

- To rzeka Wrotna - odpowiedziała Valentine. - A tata zabronił mi z niej korzystać. - Wzruszyła ramionami, jakby jej ojciec do reszty postradał rozum. - Mówi, że tam jest za duży ruch i że to może być niebezpieczne dla małej dziewczynki. A tymczasem ja się wcale nie boję dużego ruchu! Oskara niezbyt interesowały komentarze Valentine na temat jej ojca. Chciał tylko wydobyć się z pojazdu i znaleźć jakiś inny sposób, żeby dostać się pod górę.

- No dobra, chciałbym się wydobyć na powierzchnię! - powiedział.

- Zaczekaj, mam chyba lepsze rozwiązanie.

- No, jakie? - spytał Oskar niecierpliwie.

- Nie wiem, gdzie znajduje się wejście do wnętrza góry, ale wiem, gdzie jest z niej wyjście!

- Wyjście?

- No tak! - krzyknęła entuzjastycznie Valentine. - Słuchaj, ty w ogóle nie wiesz, co jest grane, dobrze widzę, co? Przecież muszą jakąś drogą wywozić to, co wydobywa się w kopalniach, we wnętrzu góry!

Oskar przypomniał sobie wszystko to, co czytał do tej pory o Hepatolii, zwłaszcza o kopalniach dostarczających cenne substancje, pozwalające strawić niektóre pokarmy - ale także energię i paliwo dla wszystkich Uniwersów. Dlatego też pani Withers powiedziała, że Hepatolia jest najtrudniejszym i najciemniejszym Uniwersum, ale zarazem najbardziej użyteczne.

- Ależ owszem, wiem o tym - odpowiedział naburmuszony. - Jeśli możesz, zawieź mnie tam, a dalej dam sobie radę!

Oskar nie bardzo wiedział, co robi, kiedy już znajdzie się przy wyjściu z góry. Wydawało mu się jednak, że wymyśli jakiś sposób, żeby wejść do środka. Miał przecież sporo szczęścia, spotykając tę Valentine, nawet jeśli go irytowała, bo wszystko wiedziała lepiej i chciała ciągle decydować. Może szczęście uśmiechnie się do niego po raz kolejny. W końcu zawsze jeszcze mógł zadać pytanie Grimoire'owi. Odwinął brzeg peleryny: książka nadal tkwiła na swoim miejscu, w wewnętrznej kieszeni.

Valentine włączyła GPS i nagle gwałtownie przyspieszyła.

- No to lecimy do góry Hepatolii!

Przez cały czas trwania tej przejażdżki Oskar wolał zdecydowanie trzymać się swojego siedzenia, nie mógł rozmawiać ani słuchać tego, co mówiła Valentine. Znowu go oszukała - daleko jej jeszcze było do uzyskania uprawnień na prowadzenie Kapsuły, nawet tej najstarszej wersji, na pedały! Chłopiec odetchnął z ulgą, kiedy łódź podwodna wynurzyła się na powierzchnię i dobiła do brzegu. Oczywiście zrobili to na sposób Valentine - wyskoczyli najpierw wysoko w powietrze, a potem raptownie opadli na fale czerwonej rzeki.

Oskar zauważył z radością, że nie znajdowali się już pod ziemią. Wypłynęli wraz z rzeką na powierzchnię. Kokpit uniósł się w górę i Oskar wyszedł z łodzi, zataczając się lekko. Miał dziwne wrażenie, że jego stopy nie dotykają tak naprawdę ziemi. Valentine zamierzała dotrzymać mu kroku. Podróż najwyraźniej nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

- Ach, cudownie jest czasem odetchnąć świeżym powietrzem! - powiedziała radośnie.

Oskar przeszedł kilka kroków po nadbrzeżu. Nad jego głową, wysoko na niebie, błyskawice oświetlały ziemię księżycowym blaskiem. Podniósł wzrok na ciemną, niepokojącą masę, która piętrzyła się przed nimi. Stali u stóp góry Hepatolii.

### W głębi góry

Góra wydawała się olbrzymia. Tworzyła ją gładka brunatna skała. Tu i ówdzie widniały otwory. Nie było żadnej roślinności, którą oświetlał białawy blask, który rozjaśniał także całą

Oskar zastanawiał się, którędy ma się dostać do środka, ciesząc się jednocześnie, że udało mu się w końcu dotrzeć w pobliże góry. Za jego plecami rozległo się pełne podziwu gwizdnięcie. Odwrócił się. Stała tam Valentine. Wydawała się zachwycona widokiem.

- Ech, i pomyśleć, że nigdy jeszcze jej nie widziałam! - powiedziała, zadzierając brodę. - Dobrze zrobiłam, że z tobą przypląnąłam! Piękna jest, nie ma co, ale też trochę dołująca, prawda?

Oskar popatrzył na nią z ukosa.

- Cóż, właśnie... dzięki, że mnie tu przywiozłaś i w ogóle... no i do widzenia - powiedział z naciskiem, chcąc mieć pewność, że dziewczynka szybko zniknie mu z oczu. Nie miał najmniejszego zamiaru szukać wejścia do wnętrza góry i pakować się w dalsze przygody z tą dziewczyną na karku. Najwyraźniej jednak Valentine nie miała wcale zamiaru sobie iść.

- Och, nie przejmuj się mną, bardzo cię proszę - powiedziała, obserwując surową ścianę góry. - Zajmij się, czym tam chciałeś się zająć, jakby mnie tutaj wcale nie było...

- Twój tata będzie się o ciebie martwić - naciskał Oskar, popychając ją w stronę Kapsuły. - No już, zmykaj stąd!

Mała Erytrocytka opierała się, lecz Oskar był od niej silniejszy.

- Ale... dlaczego właściwie nie mogłabym zostać? - spytała dziewczynka. - Strasznie się nudzę, kiedy pływam sama łodzią, a poza tym prawie nigdy nie pozwalają mi wyjść na ląd! Nie będę ci przeszkadzała, słowo!

- Sama mówiłaś, że nie wolno ci się za bardzo oddalać! - przypomniał jej Oskar, popychając ją nadal w stronę łodzi podwodnej. - Mam tutaj ważne sprawy do załatwienia - dodał zadufanym tonem. - A to się może okazać niebezpieczne, nie możesz tu zostać!

Valentine strząsnęła ze złością rękę Oskara i zapaliła silnik w swojej Kapsule.

- Skoro tak, to dobrze, już jadę! Dzięki, to naprawdę miło z twojej strony! Pomagam ci i proszę, jak mi się odwdzięczasz! Zapamiętam to sobie...

Cofnęła się gwałtownie na wstecznym biegu, o mało nie zderzywszy się przy tym z wiekową Kapsułą DR2, Oskar przyglądał się uważnie stokom góry. Nagle zdał sobie sprawę, że nie wie jeszcze, gdzie znajduje się owo miejsce, o którym wspominała Valentine, i zatrzymał ją w ostatniej chwili.

- A gdzie to wyjście z góry? - zapytał.- Ach tak! Teraz nagle się okazało, że jestem potrzebna, co? - wrzasnęła znad kierownicy. - Sam musisz sobie z tym poradzić!

Nie czekając na odpowiedź, zamknęła kokpit i ruszyła jak burza. Oskar wzruszył ramionami. Da sobie radę, koniec, kropka. Jeśli jest tu jakieś wyjście, z pewnością je znajdzie.

Ruszył z miejsca, decydując się na obejście góry dookoła, od lewej strony.

Po godzinie wydawało mu się, że przebiera nogami w miejscu, tak wielka i rozległa jawiła mu się góra Hepatolii, w miarę jak się do niej zbliżał. Na swoim szlaku nie zauważył żadnego pęknięcia w skale ani niczego w tym rodzaju. Pejzaż wydawał się nieskończenie monotony: przed nim wyrastała góra, wokół niej płynęła rzeka, nad nimi było ciemne niebo, na którym co jakiś czas pojawiały się błyskawice Przepony.

Oskar stracił pewność siebie. Zaczynał się zastanawiać, czy nie pomylił drogi. Głowił się także, czy nie nadeszła właściwa chwila, żeby zadać pytanie Grimoire'owi. Wtedy usłyszał jakiś huk. Wydawało się, że hałas ten dociera z pewnej odległości przed nim. Zaczął biec w tym kierunku, minął ostatni zakręt i zatrzymał się jak wryty.

Wdrapał się w końcu na niewielkie wzniesienie, żeby mieć lepszy widok.

Góra składała się w rzeczywistości z dwóch niezwykle wysokich szczytów, rozdzielonych głęboką doliną. Na dnie doliny widniało coś w rodzaju olbrzymiej zjeżdżalni, którą spływała gęsta, kleista masa. Oskar bez trudu rozpoznał w niej rozdrobnioną treść pokarmową, w której topił się kilka godzin wcześniej. Według tego, co mówiła Maureen, był to prawdopodobnie pokarm pochodzący ze strefy Ataku Kwasów.

Przypomniał sobie także to, czego się wcześniej nauczył. Wiedział, że góra wytwarzała substancje, które wylewano na pokarm, sunący ową zjeżdżalnią.

Obserwował ją uważnie, nigdzie jednak, w żadnym miejscu, nie zagłębiała się w skałę. Którędy zatem wydostawały się substancje, które produkowano wewnątrz góry? Gdzie było owo słynne wyjście?

Z zamyślenia wyrwał go głośny warkot. Nad jego głową pojawił się samolot, potem drugi, kilka, aż w końcu wiele ich krążyło w górze, patrolując teren, jak drapieżne ptaki kołujące nad upatrzoną w dole zdobyczą. Jeden z nich spikował w kierunku doliny, a inne poleciały jego śladem. Eskadra obniżyła lot, leciała tuż nad ziemią i w chwili, gdy samoloty przelatywały nad korytem z masą pokarmu, opróżniły nad nim swoje zbiorniki, spryskując spływającą papkę żółtozielonym deszczem. Oskarowi przyszły na myśl samoloty-cysterny, które zabierają wodę z jezior, a później polewają nią płonące lasy, gasząc w ten sposób pożar.

Kiedy maszyny przeleciały już nad całym ładunkiem posuwającym się w korycie, nabrały znowu wysokości. Oskar przyglądał im się uważnie. Skąd przyleciały i czym polewały pokarm?



Samoloty tymczasem, jeden za drugim, skierowały się w stronę prawej części góry i znowu obniżyły lot. Zwolniły i leciały tak blisko skał, że Oskar obawiał się, by któryś z nich nie zawadził o nie skrzydłem. Jeden z nich wykonał skręt o sto osiemdziesiąt stopni i poleciał prosto w stronę góry! Co też się z nim mogło stać? Może ma jakieś problemy techniczne? Kiedy maszyna znalazła się już blisko skał, Oskar wolał zamknąć oczy, niż obserwować dramat wypadku.

Nic się jednak nie wydarzyło. Nie było ani wypadku, ani zderzenia, ani też żadnego wybuchu. Oskar otworzył oczy - pierwszy samolot po prostu zniknął!

Chłopiec popatrzył w ciemne niebo i dojrzał jasne plamki. Zostało tam jeszcze pięć pozostałych samolotów.

Następny wykonał dokładnie ten sam manewr, co poprzedni - ostro skręcił do tyłu i spikował w stronę skał. Tym razem Oskar nie zamknął oczu. Chciał się zorientować, co się dzieje z samolotami. I po raz kolejny maszyna zniknęła z przestworzy, pochłonięta przez górę!

Oskar zsunął się ze swojego wzniesienia i wdrapał się gdzie indziej, by móc popatrzeć na górę pod innym kątem. Śledził wzrokiem trzeci samolot i nagle wszystko stało się jasne: maszyna zwolniła tuż przed skalną ścianą, a następnie zniknęła w jakimś otworze.

Ależ tak! Tam musiała być grotta!

Oskar zrozumiał w końcu związek między samolotami i górą. Kryła się w nim odpowiedź na pytanie, które sobie wcześniej stawiał. Oto jak opuszczają górę Hepatolii substancje, wytworzone w jej wnętrzu: na pokładzie samolotu! Treść pokarmowa nie musiała przechodzić przez górę. To samoloty zraszały ją owymi substancjami, wydobywanymi w kopalniach i wypuszczanymi nad masę pokarmu.

Młody Medykus domyślił się, że tym ładunkiem musiał być ów cenny płyn, który wytwarzano jedynie wewnątrz góry, a którym Oskar miał nappełnić swoją Fiolkę: Nektar Hepatolii.

Rzucił się biegiem, by móc się dokładniej przyjrzeć całemu procesowi. Jeśli uda mu się namierzyć miejsce, z którego wylatywały i do którego wracały samoloty, będzie mógł zdobyć Nektar.

Kiedy czwarty i piąty samolot zniknęły we wnętrzu groty, Oskar wiedział już, gdzie się ona znajduje. Leżała dosyć nisko - mógł się tam bez problemu dostać drogą, która biegła wzdłuż zbocza, a którą dostrzegł teraz. Pełen nowej energii zaczął się dziarsko wspinać w tym kierunku.

Podchodził pod górę. Początkowo biegł i skakał ze skałki na skałkę, jak młoda kozica. Szybko jednak się zasapał. Wspinaczka stawała się coraz trudniejsza. Nogi ciążyły, potykał się o każdy kamień, upadał, podnosił się znowu, szedł, owinięty swoją ciężką peleryną, która tyle już razy służyła mu pomocą, a teraz wydawała się tylko przeszkadzać.

Sądził wcześniej, że dotrze do celu w ciągu kwadransa, ostatecznie droga zajęła mu dwie godziny.

Kiedy wdrapał się na ostatni kamień, oddalony o kilka metrów od groty, osunął się na ziemię i przez nie mógł złapać\łdech.

Gdy tylko poczuł się lepiej, zbliżył się do groty i rzucił okiem do środka.

Grota była olbrzymia, znacznie większa od wszystkich pomieszczeń, jakie do tej pory widział w Uniwersum Hepatolii. W gruncie rzeczy był to ogromny hangar, wydrążony w skale. Urządzono tu trzy pasy startowe. Dziesiątki pracowników uwijały się przy samolotach, krążyły we wszystkich kierunkach. Jedni uzupełniali paliwo w bakach samolotów, inni przeprowadzali dokładną kontrolę techniczną, by wykryć najmniejszą choćby usterkę przed kolejnym lotem.

Kiedy obsługa techniczna skończyła swoją pracę, pojawiła się grupa dosyć tęgich mężczyzn, których skóra miała żółtą barwę i lśniła, jakby posmarowano ją tłuszczem. Nieśli wielkie, przezroczyste butle z płynem tej samej barwy co ich skóra, barwy bursztynu. To musiał być Nektar! W tym samym momencie Oskar poczuł, jak rozgrzewa się pierwsza sakiewka na jego pasie Trofeów, jakby pusta Fiolka rozpoznawała płyn, którym powinna zostać napełniona.

Oskar obserwował uważnie pracowników, którzy wlewali do zbiorników w samolotach zawartość swoich wielkich budi. Teraz miał okazję, by pójść za nimi. Poprowadzą go w głąb góry, gdzie będzie mógł znaleźć nareszcie Nektar i napełnić nim Fiolkę!

Wahał się przez chwilę, a potem wykorzystał zamieszanie wśród techników i przyłączył się do grupy Hepatolijczyków, którzy właśnie odchodzili. Na nieszczęście zawadził nogą o pelerynę i potknął się. Hałas przyciągnął uwagę pracowników; Oskar w ostatniej chwili przylgnął do ściany i schował się za filarem, by ukryć się przed ich wzrokiem. Poczuł jednocześnie, że nadepnął na coś miękkiego. - Aj!

Tuż za jego plecami rozległ się okrzyk bólu. Oskar podskoczył i odwrócił się, przerażony. Położył prawą dłoń na swoim medalionie, który przeświecał słabo przez koszulkę, i spytał szeptem:

- Kto to?

W odpowiedzi usłyszał tylko przyspieszony oddech. Wyciągnął złotą literę M, żeby lepiej widzieć, ryzykując, że dojrzą go kręcący się wszędzie technicy.

W głębi kryjówki ujrzał jasnowłosego, krągłego chłopca, który wpatrywał się w niego nieruchomo. Podobnie jak ci He-patolijczycy, którzy wnosili butle z płynem, miał połyskującą żółto, jakby nawoskowaną skórę. Małe oczka, ukryte za okularami w okrągłych, metalowych oprawkach, patrzyły niespokojnie, chłopiec wydawał się jednak zdeterminowany.

- Nie mów im, że tu jestem - odezwał się. - Inaczej zostaną ukarani.

Miał łagodny głos i nie wydawał się w najmniejszym stopniu groźny.

- Zgoda, nic im nie powiem - odpowiedział Oskar. - Mów jednak trochę ciszej, inaczej obaj zostaniemy ukarani!

- To niemożliwe - odparł spokojnie chłopiec. - Jesteśmy w zagłębieniu o kącie ostrym. Ma około trzydziestu siedmiu stopni. Biorąc pod uwagę budowę hangaru i napięcie, z jakim skaliste ściany odbijają głos, nikt nie może nas usłyszeć, chyba że będziemy mówili głośniejsze... tak, powiedzmy, dwukrotnie głośniejsze.

Oskar popatrzył na niego. Wydawało mu się, że słucha profesora matematyki i fizyki.

- No cóż... skoro tak twierdzisz, muszę ci chyba wierzyć na słowo. W każdym razie nie będę sprawdzał, jak to jest z tymi kątami.

Patrzył jeszcze przez chwilę na chłopca, który siedział w milczeniu. W końcu młody Medykus zdecydował się przedstawić.

- Mam na imię Oskar, a ty?

- Lawrence.

- Laurence? Ależ to jest...

Oskar powstrzymał cisnący mu się na usta komentarz, że to imię dla dziewczyny, nie dla chłopaka\*. Chłopiec musiał

\* Po francusku obydwie imiona wymawia się podobnie (przyp. dum.).być przyzwyczajony do takich opinii, bo odpowiedział, zanim Oskar zdążył dokończyć swoje zdanie.

- Lawrence, przez „w” pośrodku, to imię dosyć powszechne wśród przedstawicieli świata anglosaskiego - uściślił, jakby cytował encyklopedię. - Lawrence z Arabii, na przykład. Oficer angielski - dorzucił z dumą w głosie i z pewnym odcieniem zazdrości.

Oskar potakiwał, nie chcąc go obrazić.

- W porządku, Lawrence, nie powiem nikomu, że tu jesteś, ale... co tutaj robisz?

Lawrence spuścił głowę, potem wpatrywał się przez chwilę w Oskara, aż wreszcie szczerze wyznał:

- Nie chcę tutaj zostać. Nie chcę pracować jak mój ojciec czy brat. Chcę się stąd wydostać i podróżować.

- A gdzie... gdzie chciałeś pójść?

- Chciałem się schować w jednym z samolotów i zeskoczyć w chwili, kiedy będzie leciał tuż nad ziemią - odparł Lawrence pewnym siebie głosem.

- Wskoczyć z samolotu? - spytał zdziwiony Oskar, który kątem oka obserwował ostatnich Hepatolijczyków, opuszczających hangar.

- Ależ tak - powiedział Lawrence. - Zrobiłem sobie takie małe obliczenia. Zakładam, że samolot leci z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, musi jednak zwolnić o czterdzieści procent, kiedy przelatuje nad Wielkim Kanałem Jelita Cienkiego. Przy założeniu, że w tym czasie wieje przeciwny wiatr, który przeciwstawia się samolotom z siłą co najmniej równą sile przyciągania ziemskiego, wtedy...

- No tak, rozumiem - uciął Oskar, oszołomiony tymi obliczeniami Lawrence'a.

- Ale wiesz, muszę już iść dalej. Odwrócił się i wychylił głowę z kryjówki. Jeśli nie zdecyduje się teraz ruszyć tropem górników, następna okazja może się już nie trafić!

- Jesteś... jesteś Medykusem?

Oskar odwrócił się, zdumiony słowami chłopca.

- Tak. Jak się domyśliłeś?

- To duże M na twojej pelerynie... i twój medalion! Wiem o was wszystko! Ależ masz szczęście! - zawołał Lawrence. - Możesz opuścić swój świat i wędrować w cudzym organizmie!

- Wiesz wszystko. Połknąłeś jakiś słownik czy co?

- Sporo czytam - potwierdził Lawrence. - Mój ojciec nie za bardzo lubi, kiedy czytam, woli, jak chodzę razem z nim do kopalni. Ale czytam po kryjomu, w każdej wolnej chwili. To taki mój sposób, żeby podróżować - dodał smutno.

Oskar wyszedł w końcu z kryjówki. Hangar był już całkiem pusty, niczym nie ryzykował. Czas było ruszać dalej.

- No to szerokiej drogi! - rzekł pośpiesznie do Lawrence'a. - Muszę już iść. Cześć!V

Przeszedł przez pusty hangar, nie czekając na odpowiedź. Wbiegł do korytarza, w którym - jak widział - znikali żółtawi mężczyźni. Tu musiał się jednak zatrzymać: korytarz roz-dwajał się, każde z odgałęzień także się rozdwajało i tak bez końca. Nie było możliwości, żeby wybrać drogę, którą oddalili się jego przewodnicy!

Wrócił rozczarowany do hangaru.

- Gdzie chcesz iść? - spytał go Lawrence.

Oskar podniósł głowę. Kragły chłopiec o żółtej skórze stał znowu przed nim, nieruchomy. Wpatrywał się w młodego Medykusa swoimi zabawnymi, okrągłymi jak kulki oczyma. Problem polegał na tym, że Oskar miał inne rzeczy na głowie niż towarzyska pogawędka. Wypuścił głupio z rąk jedyną okazję, żeby dotrzeć do upragnionego wnętrza góry i do Nektaru. Teraz miał to sobie za złe. Ten cały Lawrence był za to odpowiedzialny. W odruchu złego humoru Oskar odwinął swoją pelerynę i wyszarpnął z pasa pustą Fiolkę.

- Muszę dotrzeć do wnętrza góry i napełnić tę fiolkę! Gdybyś choć trochę mniej mówił, udałoby mi się! - krzyknął. - Więc przynajmniej teraz daj mi święty spokój, muszę się zastanowić!

Lawrence ani drgnął i nadal wpatrywał się w Oskara. Ten z kolei postanowił nie zwracać już na chłopca uwagi i wyciągnął swojego Grimoire'a. Nie widział innego sposobu, by odnaleźć drogę przez owo niezgłębione wnętrza góry.

W pustym hangarze zabrzmiał znowu głos Lawrence'a.

- Mogę cię tam zaprowadzić - powiedział młody Hepato-lijczyk.

Zdumiony Oskar podniósł na niego wzrok.

- Ty? Skąd wiesz, którądy iść?

Lawrence wzruszył ramionami.

- Zastanów się przez chwilę - powiedział spokojnie. - Jakim cudem mógłbym tutaj dotrzeć, jeśli nie znałbym drogi? Przypominam ci, że tu mieszkam, z całą moją rodziną. Mogę cię poprowadzić i pomóc napełnić twoją fiolkę płynem, którego szukasz. Mój lud wytwarza go we wnętrzu góry.

Oskar popatrzył na niego z nadzieją. Nie da się ukryć, Maureen miała dużo racji - człowiek powinien najpierw rozważyć wszystkie inne możliwości, zanim zdecyduje się skonsultować z Grimoire'em. Nie był pewny, czy skorzystać z pomocy Valentine, dziewczynki z czerwonymi kucykami i małym noskiem. Tymczasem ona

pomogła mu dotrzeć pod górę.-Zgoda - powiedział Oskar, wstając. - Będę szedł za tobą.

- Ale zanim pójdziemy, chciałbym cię o coś poprosić.

Oskar westchnął. Odkąd się znalazł w Cumides Circle, nie mógł się spodziewać jakiegokolwiek bezinteresownej przysługi, każdy chciał czegoś w zamian. Przypomniał sobie, co pewnego dnia powiedziała mu matka: „Mój kochany, w życiu jest tak, że nie ma niczego za darmo. To smutne, ale ludzie zawsze się czegoś od ciebie spodziewają w zamian za przysługę. Szybko się o tym przekonasz. Chciałabym, żebyś ty sam zachowywał się inaczej. Staraj się każdego dnia dawać komuś coś, nie spodziewając się niczego w zamian, i przekonasz się, że koniec końców, to i tak ty właśnie będziesz najszczęśliwszy. Człowiekowi jest dużo łatwiej w życiu, kiedy niczego się od innych nie spodziewa”. Zamilkła, a potem podeszła do niego i przytuliła go do siebie: „To nie dotyczy miłości, Oskarze, trzeba dawać miłość i oczekiwać jej w zamian, bo bardzo tego potrzebujemy”. Na koniec dorzuciła: „...I jeśli mówię o dawaniu bez czekania na to, że ktoś ci odda, nie myślę tu o bójkach z kolegami, rozumiesz to chyba?”. Śmiali się z tego, a potem Oskar zapomniał o tej rozmowie.

Celia, Babylon Heights, dom... W owej chwili, w tym właśnie miejscu, wszystko to wydawało się bardzo odległe, ale te wspomnienia sprawiły, że Oskarowi zrobiło się trochę lżej na sercu. Celia miała pod każdym względem rację, musiał to teraz przyznać. Ludzie nie robią niczego za darmo, nawet tacy sympatycznie wyglądający chłopcy, jak ten tu Lawrence... i tak, to było smutne. Obiecał sobie, że będzie się stosował do rady matki - dawać i nie oczekiwać niczego w zamian, dawać przynajmniej raz dziennie... nie, może raz w tygodniu, wystarczy na początek. Tymczasem trzeba było dokonać wyboru. Lawrence stał przed nim, nieruchomy jak skała, i czekał na odpowiedź.

- Jak zatem mogę ci pomóc? - zapytał Oskar podejrzliwie. Twarz Lawrence'a rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Chciałbym, żebyś zabrał mnie ze sobą do twojego świata! Nie chcę zostać tu, w tej górze!

- Co?! - krzyknął Oskar. - Ależ ja nie mogę tego zrobić! Nie jestem nawet pewien, czy sam dam radę tam wrócić!... Zapomnij o tym. Będę jakoś sobie musiał poradzić bez ciebie.

Odwrócił się w kierunku labiryntu korytarzy i wziął do ręki swojego Grimoire'a. Otworzył go i zaczął wymawiać zaklęcie:

Grimoirze, Jeśli pamięć zacną masz, Odpowiedz mi, póki czas...

Oskar nie dokończył zdania. Lawrence minął go i zdecydowanym krokiem ruszył naprzód ciemnym korytarzem.

- Hej, gdzie idziesz? - zawołał za nim Oskar. Lawrence odpowiedział, nie zwalniając kroku:

- Wracam do domu. Wystarczy, że pójdziesz za mną. Oskar błyskawicznie zatrzasnął Grimoire'a, wcisnął go do wewnętrznej kieszeni peleryny i rzucił się pędem za Lawrence'em.

- Wiesz, gdybym mógł, chętnie bym cię ze sobą zabrał - powiedział, biegnąc, by dogonić chłopca. - Ale nie mogę, naprawdę!

- Rozumiem - odparł Lawrence poważnym głosem. - Możesz jednak iść ze mną.

Oskar uśmiechnął się. Może jednak Celia się myliła. Najwyraźniej istnieli ludzie, którzy umieli coś z siebie ofiarować innym, nie oczekując niczego w ramach wdzięczności. Może potrafili to dorośli, ale, jak widać, niektóre dzieci, takie jak Lawrence, też były do tego zdolne. Oskar szedł tuż za nim.

Po kilku minutach marszu w tunelu wzrok Oskara na tyle oswoił się z półmrokiem, że chłopiec mógł już iść naprzód, nie oświetlając sobie drogi medalionem.

- Gdzie jesteśmy? - spytał swego milczącego przewodnika.

- To miejsce nazywamy Przełęczą Żółciową.

- Jaką przełęczą?



- Żółciową. To stara nazwa, którą wy, ludzie, stosujecie w tradycyjnej medycynie, a która pochodzi z greki: khole i dok-hos, a poza tym...

Oskar wzniósł oczy do nieba, ale pozwolił Lawrence'owi snuć wyjaśnienia. Zorientował się już, że jego towarzysz nie zamierzał go wcale oszołomić swoją wiedzą. Po prostu Lawrence lubił wszystko do końca zrozumieć. Oskar przypominał go nieco pod tym względem - on także lubił poznać sens i przyczynę każdej interesującej go rzeczy. Dlatego właśnie tak ciężko mu było poddawać się rozkazom i regulaminom. Musiał coś zrozumieć i zgodzić się na to, a dopiero potem mógł się temu czemuś poddać.

Nagle poczuł, że naukowe komentarze i precyzyjne matematyczne obliczenia Lawrence'a wcale mu tak bardzo nie przeszkadzają. Owszem, trochę był zazdrosny o tę wiedzę, ale pomyślał, że Lawrence musiał się strasznie nudzić we wnętrzu tej góry. Miał dużo czasu na lekturę, to normalne zatem, że wiedział tyle rzeczy...

Lawrence skończył swój wykład i zwolnił kroku.

- Zbliżamy się do Przewodu Pęcherzykowego - powiedział, wskazując palcem na tunel po lewej stronie.

- A co jest po drugiej stronie tego tunelu?

- Wielka zapora, na brzegu...

Oskar zasłonił mu usta ręką, by przestał mówić. Nachylił się do ucha swego przewodnika i szepnął:

- Słyszałeś ten hałas?

Lawrence potrząsnął przecząco głową.

- Stamtąd - Oskar wskazał ręką na korytarz za ich plecami.

Przez chwilę stali cicho i nasłuchiwali, słyszeli jednak tylko dobiegające z daleka odgłosy pracy w kopalni i szum rzeki, przepływającej u stóp góry.

Oskar się odprężył.

- W porządku, chyba coś mi się przywidziało. Czekał, co mówiłeś? Zapora na brzegu czego?...

- Na brzegu Wielkiego Jeziora Pęcherzyka Żółciowego.

- Jezioro Pęcherzyka? - zdziwił się Oskar. - A co to znowu takiego?

- To sztuczny zbiornik wyżłobiony w skale. To w nim właśnie Hepatolijczycy przetrzymują zapasy Nektaru Hepatolii. Korzystamy z niego wtedy, kiedy Bones zje jakiś szczególnie tłusty posiłek i do strawienia go potrzeba więcej Nektaru.

- Nektar wytwarzany wewnątrz góry? - zawołał Oskar. - Ależ ja tego właśnie szukam, muszę nim napełnić moją Fiolkę! Po co mam iść do środka góry, skoro już tutaj mam całe jezioro?!

Zanim Lawrence zdążył odpowiedzieć, Oskar już ruszył biegiem i zagłębił się w Przewodzie Pęcherzykowym.

Zatrzymał się gwałtownie przed drewnianą kładką, zawieszoną nad przepaścią. Ostrożnie się wychylił. Pod kładką była otchłań, której dna nie był w stanie dostrzec. Lawrence dobiegł do niego, sapiąc ciężko. -Zaczekaj, Oskarze, nie możesz tam iść, to zbyt niebezpieczne!

Młody Medykus spojrział na drugi koniec kładki. Prowadziła ona aż do gigantycznej, półkolistej zapory, za którą widać było wody gładkiego jak zwierciadło jeziora. Wysoko nad nim rozciągało się brunatne sklepienie. Tu i ówdzie woda połyskiwała na pomarańczowo, zielono i żółto, przez co wydawała się jeszcze głębsza.

- Muszę tam iść - upierał się Oskar. - Jestem o kilka kroków od Nektaru, ja i moja Fiolka!

Fiolka w sakiewce lśniła światłem znacznie silniejszym niż zwykle i wydawała z siebie ciepło, które wyraźnie odczuwał, mimo że była ukryta w sakiewce.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział Lawrence. - Po pierwsze, nie mógłbyś zejść z zapory i zbliżyć się do powierzchni jeziora na tyle, żeby móc napełnić Fiolkę. Po drugie, serdecznie ci odradzam wychodzenie z Przewodu Pęcherzykowego na tę kładkę.

Oskar wzruszył ramionami. Miał wrażenie, że rozmawia z profesorem Penguiniem. Tyle że Lawrence był dzieckiem, jak on sam, więc Oskar nie musiał brać pod uwagę jego zaleceń, nie musiał mu być posłuszny!

- Dlaczego mam o tym nie myśleć? - zapytał tylko, gotów już ruszać naprzód.

- Sami Hepatolijczycy nigdy na nią nie wchodzi. Ten przewód służy do wypuszczania Nektaru, kiedy zapora się otwiera. To się może zdarzyć...

Trzęsienie ścian i chodnika w tunelu przerwało Lawrence'owi w pół słowa. Oskar rozejrzał się dookoła, zaniepokojony. Nadszedł kolejny wstrząs, jeszcze silniejszy, i Lawrence, który nadal stał nieruchomo, skończył swoją wypowiedź nieco mniej spokojnym tonem niż na początku.

- To się może zdarzyć... w każdej chwili.

Obaj chłopcy wzięli nogi za pas i zaczęli biec Przewodem Pęcherzykowym tak szybko, jak się tylko dało. Znaleźli się ponownie w tunelu Przełęczy Żółciowej. Cała góra wydawała się teraz trząść razem z nimi.

- Szybko! - krzyknął Lawrence, ciągnąc Oskara za pelerynę. - Tędy! Trzeba pójść Przełęczą Żółciową na lewo i zagłębić się w stronę środka góry, aż do śluzu bezpieczeństwa! To niedaleko!

- Chyba zwariowałeś! Musimy raczej uciekać na zewnątrz, inaczej zginiemy utopieni w tunelach!

- Nie! - odparł Lawrence. - Jeśli zapora się otworzy, Nektar spłynie w drugą stronę, w kierunku groty, a później wydostanie się wprost do Wielkiej Kanalizacji i do treści pokarmowej. Jeśli będziemy uciekać tą samą drogą, porwie nas ze sobą! Zaufaj mi, chodź!

Pobiegli najszybciej, jak się dało, w stronę wnętrza góry. Oskara zatrzymał jednak przeraźliwy krzyk z oddali. Kolejny krzyk kazał mu zawrócić.

- Co ty wyprawiasz? - zawołał Lawrence, który zdecydowanie tracił swoje opanowanie, w miarę jak nasilały się wstrząsy, zapowiadające otwarcie zapory.

Oskar nie tracił czasu na odpowiedź. Popędził Przewodem Pęcherzykowym z powrotem w stronę kładki.

Na samym jej środku ujrzał znajomą postać z czerwonymi kucykami, śmiertelnie przerażoną i trzymającą się kurczowo desek. Kładka trzęsła się jak liść na drzewie. Z tyłu widać było powoli otwierającą się zaporę i Oskar dojrzał w szparze, jaka utworzyła się pośrodku zapory, złocisty Nektar, wypływająca zewnątrz. Ciecz w jeziorze falowała i burzyła się, jakby niecierpliwiec się i szykując do ucieczki.

- Co... co ty tutaj robisz? - krzyknął Oskar.

- Ja... szłam za tobą... Chciałam zobaczyć, jak tu jest... I pomóc ci! - jęknęła przerażona dziewczynka.

Oskar wszedł na kładkę. Silniejszy od innych wstrząs sprawił, że stracił równowagę i złapał się barierki, by nie spaść w dół. Valentine leżała na deskach. Oskar wyciągnął do niej dłoń, ale nie mogła jej dosięgnąć. Posunął się jeszcze trochę do przodu, kładka zachybotła się. Dzielące ich deski spadły w przepaść. Valentine przeraźliwie krzyknęła. Było jasne, że cała kładka za chwilę runie, a Oskar nie miał możliwości uratowania dziewczynki. Rozejrzał się dookoła.

Lawrence także dotarł do wejścia na kładkę i widać było, że intensywnie szuka sposobu na ratunek dla nieznajomej.

Oskar zareagował pierwszy. Wyjął z kieszeni swojego Grimoire'a i otworzył go bez wahania. Położył lewą dłoń na papierze i silnym głosem wypowiedział zakłęcie otwierające:

Grimoirze, Jeśli pamięć zasnę masz, Odpowiedz mi, póki czas

Pozwól wierzyć ci szczerze

I odpowiedz na papierze.

Kartka Grimoire'a ożywiła się - czekała na pytanie Oskara.

- Nie mogę tu zostawić tej dziewczyny! - krzyknął Oskar. - Powiedz, co mogę zrobić?

Na kartce wirowało coś niejasno, aż nareszcie pojawił się obraz, który stawał się coraz wyraźniejszy. Był to człowiek w turbanie na głowie, wokół niego wznosił się indyjski pałac. Człowiek ten miał na szyi medalion Medykusów z dużą literą M. Siedział na dywaniku wiszącym metr nad ziemią.

Oskar wpatrywał się w ten obraz z osłupieniem.

- Ależ... to nie jest odpowiedź na moje pytanie! - krzyknął.

Skalne ściany i sklepienie nad jeziorem zadygotały w kolejnym wstrząsie: zapora już się otworzyła i Wielkie Jezioro Pęcherzyka Żółciowego wylewało się z przerażającym hukiem do wyżłobionego koryta, biegnącego pod kładką. Koryto niebezpiecznie szybko się nappełniało.

Oskar potrząsnął wściekły Grimoire'em. Już miał zapytać raz jeszcze, kiedy obraz nieco się przekręcił i chłopiec mógł teraz dojrzeć, że dywanik, na którym siedział ów człowiek, to zielona peleryna Medykusa! W końcu zrozumiał, co Grimoire chciał mu przekazać.

Bezzwłocznie odpiął swoją pelerynę i przerzucił ją przez kładkę w miejscu, w którym brakowało desek, pomiędzy sobą a Valentine. Wyprostował się i zrobił pierwszy krok po zielonym aksamicie. Oby tylko to działało - modlił się w duchu. - Oby tylko działało! Oparł się całym swoim ciężarem i stwierdził, że peleryna stała się twardsza od stali, nie ugięła się ani nie ustąpiła nawet na milimetr. Zrobił kolejny krok naprzód, chwycił Valentine i pomógł jej wstać. Dziewczynka uczepliła się jego ręki, rzucając pełne grozy spojrzenie w dół, na kipieli Nektaru. Jej poziom bezustannie się podnosił.

Oskar pociągnął za sobą Valentine w stronę Przewodu Pęcherzykowego, potem biegiem wrócił na kładkę po swoją pelerynę. W chwili, kiedy dotknął jej ręką, tkanina stała się znowu miękka i zsunęła się w dół pomiędzy deskami. Spadała w otchłań. Oskar krzyknął rozdzierająco:-

NIEEEEE! MOJA PELERYNA!!! Peleryna mojego ojca!

W tym samym momencie przypomniał sobie panią Withers, kiedy byli razem w Hepatolii Royce'a. Ona także wtedy użyła swojej peleryny - rzuciła mu ją, a później... przyciągnęła ją do siebie!

Pojedyncze obrazy tej sceny przesunęły się w przyspieszonym tempie w jego pamięci. Natychmiast wyjął swój medalion i wyciągnął go w stronę spadającej peleryny. Z dużego M popłynął strumień świadomości w kierunku Litery, wyhaftowanej

na aksamicie peleryny. Zatrzymała się kilka centymetrów nad bulgoczącą cieczą. Młody Medykus dostrzegł z ulgą, że peleryna zaczęła z wolna unosić się z powrotem, aż w końcu zdołał ją pochwycić. Przytulił ją do piersi i wycofał się.

- Szybko! - krzyczał Lawrence. - Poziom się podnosi. Za chwilę Nektar popłynie powyżej poziomu kładki Przewodem Pęcherzykowym, dotrze do Przełęczy Żółciowej i do groty! Musimy uciekać!

Cała trójka zaczęła biec, jednak Lawrence, ciężki i mniej zwinny, potknął się i upadł. Oskar i Valentine cofnęli się i pomogli mu się podnieść.

- No, kolego - powiedziała dziewczynka - należałoby chyba zrezygnować na przyszłość z podwieczorków i ograniczyć słodczy, co?

Lawrence nie miał czasu jej odpowiedzieć. Galeria wypełniła się straszliwym hałasem. Nektar Hepatolii, który zalał już kładkę, wytrysnął niczym gejzer z Przewodu Pęcherzykowego. Odbił się od ścian przełęczy i fale runęły w ich kierunku. Dzieci krzyknęły i sdoczyły się w ciasną grupkę.

Napływająca gwałtownie fala zderzyła się z nimi ze straszliwą siłą. Gigantyczna ściana cieczy, która się na nich zwała, oślepiła Oskara i porwała ich ze sobą. Rzucała ich ciałami to w jedną, to w drugą stronę, płynąc wciąż w kierunku wyjścia. Nie byli w stanie przeciwstawić się temu w jakikolwiek sposób. Objęli się o siebie nawzajem, a rwący potok wyносił ich z wnętrza góry.

Wpłynął teraz do groty, gdzie stały samoloty, każdy solidnie przytwierdzony do podłoża i starannie zabezpieczony w swoim stalowym boksie. Dzieci, krzyząc wniebogłosy, przebyły tę przestrzeń i wyleciały wraz ze strumieniem Nektaru na zewnątrz przez otwór, będący wejściem do groty. Wyglądało to tak, jakby wypłuła ich góra.

Wirowali przez chwilę w dolinie, Nektar niósł ich ze sobą dalej, aż wylądowali w środku Wielkiej Kanalizacji, pośród tłustej, oleistej papki, która na szczęście zamortyzowała siłę uderzenia. Wpadli w nią jak kamyki, nieprzytomni.

Oskar rozpaczliwie walczył, by wydostać się na powierzchnię cuchnącej masy, w której zatopił się po czubek głowy. Kiedy wreszcie udało mu się wynurzyć na powierzchnię, rozejrzał się dookoła.

Nigdzie nie było widać śladu Lawrence'a i Valentine!

Chciał ich zawołać, ale tuż koło niego pękła wielka bańka, która nappełniła mu usta obrzydliwą mieszanką. Rozróżnił smak tłuszczu z mięsa i kalafiora. Wypluł to z obrzydzeniem i starał się przedostać na brzeg koryta. Niestety, brzegi były oślizgłe, a pokarm, zjedzony przez Bonesa, płynął coraz szybciej. Oskar rozłożył kawałek peleryny na powierzchni i starał się oprzeć o nią górną częścią ciała, żeby choć trochę odpocząć i odetchnąć.

Był wściekły i zarazem przerażony. Wściekły, ponieważ misja zakończyła się porażką, przerażony - bo płynął, porwany nurtem treści pokarmowej, ku nieznanemu przeznaczeniu. Gdzie mogła prowadzić ta Kanalizacja?

Przypomniał sobie lekcje z panią Withers i wiadomości przeczytane w książkach. Pokarm ulegał trawieniu, a wszystkie Uniwersa organizmu pobierały w międzyczasie potrzebną im energię. To, co pozostawało, nie nadawało się już do użytku i...

Oskarowi krew zamarła w żyłach - w końcu dotrze do...

- O nie - powiedział głośno, zrozpaczony - wszystko, tylko nie to, nie chcę... nie w kupie Bonesa!!

Zaczął jak szalony walczyć, żeby wydostać się z płynącej papki, niestety, prąd był zbyt silny. W końcu udało mu się położyć na połach peleryny, płynącej na powierzchni miazgi. I wtedy to zobaczył.

Prąd unosił go w stronę dolnej Hepatolii ze straszliwą prędkością, tymczasem na krańcu skalnego stoku pojawił się symbol - strumyczek spływającego Nektaru nakreślił kształt kielicha. Wokół jego nóżki owijał się wąż, nad nim zaś widniała duża litera M. To był Kaduceusz Medykusów!

Nareszcie mógł wrócić! Wyprostował się i starał się skoncentrować, zorientował się jednak z przerażeniem, że Nektar płynął dalej wzdłuż skalistej

ściany, za daleko, a nakreślony obraz miał za chwilę zniknąć. Nie było ani chwili do stracenia. Schwycił w jedną rękę pelerynę, w drugiej ścisnął swój medalion, po czym wpatrzył się intensywnie w niewyraźny rysunek na ścianie góry Hepatolii. Ciemne niebo rozdarła oślepiająca błyskawica i Oskar został wydarty z Uniwersum Hepatolii, przy akompaniamencie ogłuszającego dźwięku, który przypominał czyjś głośny krzyk.

### **Niespodziewani goście**

Kiedy Oskar podniósł głowę, wydało mu się, że śni. Musiał to być zresztą jakiś koszmar.

Całe ciało miał obolałe, co przypomniało mu, że rzucało nim bezlitośnie w Przełęcz Żółciowej. Otworzył w końcu oczy i ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że zarył nosem między dwa wypastowane, czarne trzewiki.

Podniósł wzrok nieco wyżej i ujrzał spuszczone spodnie, marszczące się na białych łydkach, pokrytych rzadkimi, siwymi włosami. Zerknął znowu w dół, na kostki, i był już niemal całkowicie pewien, że leży przed człowiekiem, którego za wszelką cenę wolałby nie spotykać.

Głos - a raczej krzyk - który zmieszał się z jego własnym, nie pozostawiał już żadnych wątpliwości ani co do osoby, ani co do sytuacji, w jakiej się obaj znaleźli.

- Co ty tutaj robisz? - wrzasnął Bones i skulił się nerwowo.

Oskar poderwał się z podłogi, jak gdyby zobaczył diabła we własnej osobie, i przywarł do drzwi. Potrząsnął głową, niewierząc w to, co widzi. Był w toalecie, a naprzeciwko niego majordomus, czerwony z wściekłości i ze wstydu, siedział na sedesie!

- Wyjdź stąd! - krzyknął Bones. - Wyjdź natychmiast!

Oskar odwrócił się i szarpnął za klamkę, drzwi jednak nie ustąpiły.

- Zasuwka! - wycedził Bones.

Oskar najszybciej, jak tylko mógł, otworzył zasuwkę. Ogromna chęć, by schować się w mysiej dziurze, walczyła w nim z ochotą, by wybuchnąć dzikim



śmiechem. Można powiedzieć, że udało mu się w ostatniej chwili. Gdyby nie zauważył symbolu nakreślonego przez Nektar na skale, za chwilę znalazłby się wewnątrz sedesu, pośrodku czegoś, czego wolał sobie nie wyobrażać...

Pobiegł korytarzem i wpadł do swojego pokoju. Chciał zdjąć pelerynę, odpiąć pas i odpocząć.

Kiedy się umył i przebrał, wyjął z sakiewki pustą fiolkę, obrzucił ją smętnym spojrzeniem. Teraz, kiedy był już sam na sam ze swoją porażką, poczuł wstyd i rozczarowanie. Tak niewiele brakowało, a zdobyłby Nektar - wystarczył tłusty posiłek Bonesa, zapora otworzyła się, uwalniając zapasy Nektaru, a on sam został porwany przez nurt.

Co i w którym momencie zrobił nie tak, jak należało? Jaki popełnił błąd? Nie miał pojęcia. Pomyślał o pozostałej dwójce dzieci. Co się z nimi stało? Czy Lawrence zdołał wrócić do wnętrza góry, do swoich bliskich? A Valentine, czy odnalazła swoją Kapsułę DR5? Czy utonęli w Wielkiej Kanalizacji?

Pukanie do drzwi przerwało te ponure rozważania.

- Oczekują cię w bibliotece - powiedział Bones lodowatym tonem. Wizja majordomusa siedzącego na sedesie pocieszyła nieco strapione serce Oskara. Z całych sił powstrzymywał się od śmiechu. Miał ochotę zapytać Bonesa, czy dobrze strawił zjedzonego rano rogalika, wolał jednak nie ryzykować.

- Nie wiem, co się wydarzyło - ciągnął Bones - ale cierpiałem z powodu straszego pieczenia w żołądku, odbijało mi się jakimś kwasem...

- Ja też nie wiem, co się wydarzyło - rzekł Oskar z anielsko niewinnym wyrazem twarzy, w gruncie rzeczy nader zadowolony.

Zszedł na dół i zapukał do drzwi biblioteki. Szorstki, niski głos powiedział:

- Proszę wejść.

Oskar otworzył drzwi i zamarł w progu. W bibliotece czekało na niego sześć osób, siedzących wokół stołu.

Rozpoznał oczywiście panią Withers, która uśmiechnęła się na jego widok, i Maureen Joubert, która skinęła mu przyjaźnie dłonią. Wielki Mistrz, przewodniczący temu zebraniu, wpatrywał się w niego uważnie.

Tymczasem dwie pozostałe twarze były mu obce. Pomiędzy panią Withers a Maureen siedział szczupły młody człowiek w garniturze i białej koszuli. Kręcił się bezustannie na swoim fotelu. Naprzeciwko niego, po prawej stronie pana Brave'a siedziała niezwykle mocno wymalowana dama o płomienistych lokach - ich barwa mieniła się to pomarańczowo, to znowu czerwono. W skupieniu wpatrywała się w swoje polakierowane paznokcie.

W końcu szósta osoba - chudy, bardzo blady mężczyzna o rzadkich, siwych włosach - był to oczywiście Fletcher Worm, siedzący w swoim fotelu o imieniu Machiavelli. Od chwili, kiedy Oskar wszedł do pokoju, Worm nie spuszczał zeń oka. Chłopiec odczuł ciężar tego spojrzenia. Oczy wąskie jak igły sprawiły, że poczuł się nieswojo.

Pierwszy odezwał się pan Brave.

- Oskarze, usiądź na tym krześle koło pani Joubert.

Oskar posłuchał bez słowa, całe to zgromadzenie onieśmiało go. Przechodząc obok półek z książkami, zauważył jakiś ruch - to drżała teczka Julii Jacob.

Winston Brave mówił dalej:

- Chciałem ci przedstawić trzy osoby, których jeszcze nie znasz, a które są członkami Rady Najwyższej Medykusów. Oto Anna-Maria Lumpini.

Dama o niewiarygodnej fryzurze posłała mu promienny uśmiech.

- Księżna Lumpini - powiedziała z naciskiem. - Bardzo mi miło cię poznać, mój mały Oskarze.

Zwróciły się do Wielkiego Mistrza.

- Winstonie, nie powiedziałaś mi wcale, że on jest jeszcze przystojniejszy od swojego ojca! Całe szczęście, że nie zapomniałam o makijażu!

Oskar przyjrzał się dyskretnie rudowłosej damie. Makijaż to było za słabe określenie, wyglądała, jakby wylała na siebie kubeł farby... Rozumiał teraz, dlaczego jej fotel, Sissi, był tak obficie przystrojony wstążkami i pachniał zabójczo perfumami.

- A to jest Alistair McCooley - kontynuował Wielki Mistrz, odwracając się w stronę ruchliwego młodzieńca.

- Witaj, Oskarze. Należysz do nowego pokolenia Medykusów. Mam nadzieję, że skorzystasz z tego, żeby potrząsnąć trochę tym światem, może odmienisz nasze zwyczaje, dokonasz rewolucji i...-Ależ tak, tak, zajmie się tym - przerwał mu Winston Brave. - Możesz usiąść, Alistairze. Oskar jest na razie trochę za młody, by wstrząsnąć porządkiem świata, ale na pewno kiedyś o tym pomyśli, obiecuję ci to.

Alistair spojrzał na Oskara i puścił do niego oko. Chłopiec pomyślał, że to ktoś całkiem w porządku.

- Nigdy nie jest się zbyt młodym, żeby dokonać rewolucji - rzekł młody człowiek o błyszczącym spojrzeniu. - Nigdy. Porozmawiamy sobie jeszcze o tym niebawem, na osobności.

Chłopiec kiwnął grzecznie głową Alistairowi, po czym spojrzał w kierunku tego, który odezwał się sam z siebie, nie czekając, aż Wielki Mistrz go przedstawi.

- Co prawda nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, ale przypadek sprawił, że stało się inaczej - powiedział ostami mężczyzna lodowatym tonem.

Oskar zeszywniał. Winston Brave patrzył cały czas w stronę tego członka Rady. Oskar poczuł się pewniej. Miał wrażenie, że wzrok Wielkiego Mistrza stanowi coś w rodzaju tarczy, chroniącej go przed Wormem.

- Oskarze, oto Fletcher Worm, jeden z najstarszych członków Rady, który na pewno jeszcze niejednokrotnie będzie cię wspierał w twoich wyprawach, jestem o tym przekonany - dodał Brave.

Oskar nie rozumiał, co Wielki Mistrz chciał przez to powiedzieć. Odważnie spojrzał na Fletchera Worma, mimo że w atmosferze wyczuwało się coraz silniejsze napięcie.

Worm odezwał się zjadliwym tonem:

- Wiemy już, kim jesteś. Wielki Mistrz zdecydował się w końcu zebrać nas tutaj i poinformować o swojej decyzji na temat twojej osoby. Masz być inicjowany, by uzyskać pełnię mocy Medykusów. Nikt z nas nie był pytany w tej sprawie o zdanie, niestety, ale oczywiście akceptujemy ten wybór.

Winston Brave zignorował tę szpilkę. Worm mówił dalej:

- Ponieważ wszystko jest już jasne, bardzo nas ciekawi, jak wyglądała twoja pierwsza podróż do ludzkiej Hepatolii.

Pani Withers zabrała głos, zanim Oskar zdążył otworzyć usta.

- Chciałabym zauważyć, że w przypadku Oskara Introdukcja Cieleśna powiodła się znakomicie. Chłopiec świetnie opanował technikę, co rzadko się zdarza u tak młodego Medykusa.

- Zdaje się, że trochę gorzej opanował technikę opuszczania żywego organizmu, jeśli dobrze zrozumieliśmy relację Bonesa - podkreślił Worm.

Jego wąskie wargi zacisnęły się w coś na kształt uśmiechu.

Z kolei Maureen Joubert zaczęła bronić Oskara.

- Byłam pod wrażeniem odwagi naszego młodego Medykusa. Od wejścia do Ślinianki trasa była najeżona trudnościami i zasadzkami. Brawo, Oskarze.

Chłopiec posłał jej smętny uśmiech. Czekał na ostatnie pytanie z ust Worma.

- Przechodzimy zatem do najistotniejszej sprawy. Chcielibyśmy zobaczyć twoje Trofeum. Zakładając, że te wszystkie komplementy, którymi obdarzyły cię nasze panie, są słuszne, domyślam się, że bez trudu zakończyłeś swoją misję, odniosłeś sukces i napełniłeś Fiolkę Nektarem z Hepatolii?...

Oskar się zaczerwienił. Nie śmiał spojrzeć w oczy siedzącym przy stole ludziom, którzy pokładali w nim nadzieję. Wymamrotał cicho odpowiedź.

- Nie usłyszeliśmy tego, co powiedziałeś - naciskał zjadliwie piąty członek Rady. Oskar westchnął głęboko i rzekł głośniej:

- Byłem bardzo blisko Nektaru...

Sześć par oczu intensywnie się w niego wpatrywało. Odczuwał ciężar tego spojrzenia, jak gdyby uciskało mu czaszkę i ramiona.

- ...ale niestety, nie mogłem napełnić Fiolki - powiedział głosem pełnym żalu. - Zapora się otworzyła i porwał mnie nurt...

Wśród członków Rady zapadła nieprzyjemna cisza. Pani Withers próbowała rozluźnić napiętą atmosferę, czuło się jednak, że jest rozczarowana.

- Musisz wiedzieć, Oskarze, że nie zawsze udaje się napełnić Fiolkę w trakcie pierwszej Introdukcji. Nie martw się tym, to normalne. Musimy jeszcze trochę popracować z tym chłopcem, ja i Maureen, prawda, Maureen? Jestem dobrej myśli w tej kwestii.

- Zgadzam się z panią, Berenice - przytaknął Worm, ku zaskoczeniu pani Withers i samego Oskara. - Taka porażka byłaby normalna za pierwszym razem... w przypadku zwykłego Medykusa. Jednak nie w przypadku Medykusa wybitnie utalentowanego, którego nam zapowiedziano. Natomiast zwyczajny, mały Medykus może sobie na to pozwolić, to fakt.

- Zwyczajny? - przerwała mu Anna-Maria Lumpini, która do tej pory wydawała się raczej nieobecna duchem. - Pan się musi mylić, Worm. Syn Vitalego Pilla nie może być zwyczajny.

- To, co stanowi o mocy danego Medykusa, nie zawsze da się przekazać z ojca na syna - drążył złośliwie Worm. - Zauważcie, proszę, że w przypadku rodziny Pillów tak jest może i lepiej... - Odwrócił się w stronę Wintona Brave'a i ciągnął dalej: - Powiedziałem panu na początku tego spotkania, że kształcenie syna Pilla było nie tylko złym pomysłem, ale wręczgodnym pożałowania błędem. Powinniśmy byli razem przedyskutować tę decyzję.

Oskar zbladł, słysząc ostatnie słowa. Sugestia Worma zdenerwowała panią Withers, która niemal podskoczyła na fotelu i już chciała coś odpowiedzieć, jednak Winston Brave był pierwszy.

- Podjęliśmy jednak decyzję - stwierdził. -1 nie będziemy więcej dyskutować na ten temat.

Worm ucichł. Pani Withers opadła na fotel, nieco rozluźniona. Wielki Mistrz zwrócił się do Oskara.

- Oskarze, jesteśmy przekonani, że masz liczne zalety - stwierdził, obrzucając pełnym niechęci spojrzeniem Worma. - Sądzę, podobnie jak pani Withers i Maureen Joubert, że musisz jeszcze trochę poćwiczyć, zanim wrócisz na kolejną misję. Jednak wierzę w ciebie, podobnie jak my wszyscy tutaj.

Worm powstrzymał się od komentarza, bawił się brzegiem peleryny. Inni członkowie Rady uśmiechali się ciepło do Oskara.

- Czy masz nam coś do powiedzenia? - zapytał Wielki Mistrz.

Oskar chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wyjąkać ani jednego słowa. Czuł, że ma wielką gulę w gardle. Złośliwość Worma, a zwłaszcza aluzje na temat jego rodziny - wszystko to sprawiło, że stracił głos. Zamiast się odezwać lub choćby pożegnać się z członkami Rady, chłopiec ruszył biegiem w stronę drzwi i z rozmachem je otworzył.

Przylepiony z drugiej strony drzwi Bones odskoczył z uśmiechem satysfakcji.

Oskar przebiegł przez hall, aż do drzwi wyjściowych. Nacisnął klamkę, drzwi jednak nie ustąpiły. Trzęsącą ręką wyciągnął spod koszulki medalion i przyłożył go do drzwi. Uchyliły się. Oskar pobiegł zwirowaną ścieżką aż do bramy, której skrzydła także się otworzyły pod wpływem działania medalionu z Literą.

Pani Withers poderwała się z miejsca. Winston Brave ją powstrzymał.

- Nie, Berenice. Wróci z własnej woli albo nie wróci nigdy. To nie my decydujemy w tej sprawie.

Rzuciła zaniepokojone spojrzenie w stronę Maureen i Ali-staira, którzy uśmiechali się do niej pocieszająco. Worm, zadowolony z efektu swoich słów, uznał najwyraźniej, że żaden komentarz nie jest już potrzebny.

- Doprawdy, cóż to się dzieje? - zawołała księżna Lumpini. - Czyżby ten uroczy chłopiec miał nas opuścić? Jaka szkoda...

Pani Withers zbliżyła się do okna, nerwowo szarpiąc swoją jedwabną apaszkę. Odsloniła rąbek zasłony w samą porę, by ujrzeć młodego Medykusa znikającego już

na końcu Blue Park Avenue, pod niebem, które właśnie zaczęło się pokrywać ciężkimi, burzowymi chmurami.

Kiedy Oskar spojrział na różową dzwonnice, górującą nad Babylon Heights, pierwsze krople deszczu uderzyły o ziemię.

Jak długo już biegł? Sam nie wiedział, a teraz, kiedy był całkiem blisko domu, nie pojmował, jakim cudem udało mu się przebiec bez przeszkód przez całe miasto.

Kiedy opuścił w takim pośpiechu Cumides Circle, instynktownie szukał jakiegoś punktu odniesienia i znalazł widoczną ponad miastem dzwonnice, wieżę kościelną przy świątyni stojącej na szczycie niewielkiego wzgórza, na którym rozciągała się jego dzielnica. A potem puścił się biegiem i biegł, biegł do utraty tchu, pomimo płynących z oczu łez, przez które niewiele widział, i pomimo trąbiących samochodów, które hamowały z piskiem opon, kiedy przeskakiwał przez ulice.

Dotarł w końcu do Babylon Heights i dopiero zdał sobie sprawę z wysiłku, jaki kosztowała go ta droga. Nogi mu się trzęsły i z trudem łapał oddech. Szedł jednak wytrwale dalej, korzystając ze skrótów, które znał na wylot. Nie chciał się z nikim spotkać, ani z przyjaciółmi, ani z panem Tinem, u którego chronił się, by czytać swoje pisma, ani nawet z tymi sympatycznymi damami z sąsiedztwa, które go tak rozpieszczały. Kiedy ujrzał wreszcie pierwsze zabudowania na Kildare Street, a później dach własnego domu, poczuł, jak wzbiera w nim wstyd, żal i wściekłość, emocje, które targały nim przed Radą Najwyższą Medykówów.

Zebrał resztę sił, przeszedł przez ulicę, otworzył furtkę, potem drzwi do domu. Przez chwilę stał nieruchomo w hallu, bez tchu, pośród tych wszystkich zdjęć, które były streszczeniem jego życia - tego, które się naprawdę liczyło. Celia i Violette były w kuchni. Jedna mówiła, a druga słuchała jednym uchem, zapewne pogrążona w marzeniach. Violette uniosła głowę i podskoczyła na krześle.

- Oskar! - krzyknęła radośnie.

Celia upuściła na dno zlewozmywaka ronderek, który właśnie myła, i rzuciła się w ślad za córką w jego stronę.

Oskar jednak już wbiegł pędem na piętro. Przeskakując po kilka stopni, wpadł do swojego pokoju. Kiedy Celia i Violette dotarły w końcu na górę, drzwi do pokoju Oskara były zatrzaśnięte. Przerazona Violette spojrzała najpierw na nie, potem na matkę. Celia pogłaskała ją po policzku, starając się ją uspokoić.

- To nic, kochanie, nie martw się. Zejdź na dół i zjedz do końca podwieczorek, dobrze? Twój brat zaraz do ciebie przyjdzie. Violette zaczęła nucić jakąś piosenkę i poszła.

Celia zapukała do drzwi. Nie usłyszała odpowiedzi, weszła więc po cichu i zamknęła drzwi za sobą.

Oskar leżał na plecach, wyciągnięty na swoim łóżku, ze wzrokiem wbitym w sufit. Łzy spływały mu po skroniach i wsiąkały w poduszkę. Przytulił do piersi album ze zdjęciami, który miał ze sobą podczas pierwszej Introdukcji. Matka podeszła do niego i położyła swoją miękką dłoń na jego dłoni.

- Dzień dobry, synku. Strasznie mi ciebie brakowało ostatnio. Dobrze, że wróciłeś trochę wcześniej.

Oskar spojrzał na nią, podniósł się i przytulił się do matki gwałtownie. Objęła go mocno, a on ją i przez chwilę tak trwali. W końcu Oskar zdecydował się spojrzeć matce w oczy. Wiedział, że nie będzie go osądzać. Poczuł się lepiej.

- Co się stało, kochany? Cóż to za cudowny zbieg okoliczności pozwolił mi cię dzisiaj zobaczyć? - spytała mama z uśmiechem.

Oskar czuł się bardzo nieszczęśliwy, ale słowa matki sprawiły, że mimowolnie się uśmiechnął.

- No, tak już lepiej - powiedziała Celia. - Chciałabym jednak wiedzieć, co ci się stało, jeśli możesz mi o tym opowiedzieć. Jeśli nie, to trudno.

Oskar westchnął przeciągle.

- Jestem do niczego, mammo.

- Zaczyna się nie najlepiej - odpowiedziała Celia. - W żadnym wypadku nie zgadzam się z tym, co powiedziałeś, synku. Będziesz musiał użyć naprawdę poważnych argumentów, żebyśmy w coś takiego uwierzyła.



Oskar ponownie się uśmiechnął, tym razem trochę szerzej, i otarł oczy wierzchem dłoni.-Miałem przynieść Trofeum z Hepatolii, ale zapora się otworzyła, a członkowie Rady Najwyższej powiedzieli, że to porażka, zwłaszcza ten wredny typas, Fletcher Worm, i...

- Zaraz, zaraz, młody człowieku, nie rozumiem ani słowa z tego, co mi tu opowiadasz!

Celia popchnęła Oskara i położyła się obok niego na łóżku z założonymi rękami.

- No, już - powiedziała. - Jestem gotowa, możesz opowiadać, jak to było, od samego początku.

Kiedy Oskar zakończył swoją relację, matka nie od razu się odezwała, namyślała się przez kilka chwil.

- W porządku, rozumiem. Czy mogę teraz opowiedzieć ci tę historię moimi własnymi słowami, tak, jak ja ją widzę?

Oskar kiwnął głową, nie bardzo rozumiejąc, do czego matka zmierza.

- Dobrze, zatem podsumujmy wszystko - w ciągu kilku dni udało ci się wejść do organizmu kanarka, psa, a nawet człowieka. W tym ostatnim przypadku zdołałeś przejść przez całe Uniwersum, zetknąłeś się z mnóstwem niebezpieczeństw, uratowałeś dziewczynkę, a jeśli nawet nie napełniłeś tej twojej fiołki, czy jak to tam się nazywa, stało się tak tylko dlatego, że ten majordomus, żarłok i złodziej rogalików, zjadł zbyt tłusty posiłek, co spowodowało, że otworzyła się ta zapora. Nie była to więc twoja wina, zgadza się?

Oskar musiał przyznać, że mama ma rację, nie chciał jednak powiedzieć tego głośno. Wzruszył tylko ramionami. Celia delikatnie nim potrząsnęła.

- Synku, jedną z twoich wielkich zalet, poza odwagą, jest to, że się zwykle nie dąsasz. Przyjmij więc z uśmiechem to,co ci powiedziałam. W gruncie rzeczy wszyscy członkowie rady - poza tym Fletcherem Wormem - chwalili cię i wierzą w ciebie, prawda?

- To prawda - przyznał Oskar - ale mimo wszystko przegrałem.

- A czy ta porażka - skoro chcesz koniecznie używać tego określenia - czy ta porażka wystarcza, żebyś zrezygnował z całego projektu?

Oskar milczał.

- Ostatnia sprawa, syneczku. Owszem, opinia innych osób jest ważna, ale nie wzięłaś zupełnie pod uwagę opinii pewnej osoby. To ty sam. Co takiego ty chcesz z tym zrobić? Chcesz na to machnąć ręką, bo nie wyszło ci za pierwszym razem, a jakiś facet odniósł się do ciebie złośliwie? Czy przeciwnie - taka historia sprawia, że chcesz spróbować jeszcze raz, uparcie, żeby tym razem odnieść sukces? Mógłbyś udowodnić sobie i innym - ale przede wszystkim sobie! - że jesteś silniejszy od tej porażki i że tym razem ci się uda?

- Nie wiem - powiedział Oskar bardzo cicho. - Przedtem wiedziałem, ale teraz już nie.

Celia wyprostowała się i ujęła twarz syna w obie dłonie, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Powiedziałam ci już: możesz zdecydować, że kończysz z tym wszystkim, nawet zaraz, za chwilę, jeśli tylko tak postanowisz, i nikt nie będzie ci miał tego za złe, zwłaszcza ja. Jednak jest pewna rzecz ważniejsza od innych - w życiu trzeba tak postępować, żeby niczego nie żałować, szczególnie kiedy się jest w twoim wieku. Wierz mi, synku, nie ma nic gorszego niż taki żal. Lepiej jest czegoś spróbować i od biedy nawet za późno zdać sobie sprawę, że nie był to słuszny wybór, niż nie robić niczego i później tego żałować. Czasami w takich sytuacjach coś się udaje, a czasem - nie. To nieważne. Porażka może stać się cenną lekcją, natomiast jeśli zrezygnujesz, nie będziesz nawet wiedział, co straciłeś, i będzie się to za tobą wlokło do końca twoich dni. To jest właśnie ten żal.

Wyprostowała się.

- Zastanów się dobrze, Oskarze. W tym czasie przygotuję ci coś do jedzenia. A na razie - dorzuciła Celia - jest tu pewna mała dziewczynka, którą parę chwil temu uszczęśliwił fakt, że cię zobaczyła, a której teraz musi być bardzo smutno. Jestem nawet pewna, że się martwi. Nie chciałbyś pójść i z nią pogadać?

Oskar wyskoczył ze swojego łóżka i poszedł za mamą. Celia zeszła na dół i zajrzała do kuchni.

- Violette?

Oskar pomachał do niej z góry - usłyszał jakieś hałasy z pokoju siostry. Celia zniknęła w kuchni, a Oskar skierował się do pokoju Violette. Popchnął półotwarte drzwi.

Siostra siedziała na krześle, oczy miała zasłonięte zawiązaną na głowie chustką. Oskar zbliżył się do niej i patrzył na nią zaintrygowany.

- Violette?

Dziewczynka poruszyła się lekko, nie mówiąc ani słowa.

- Violette, co ty robisz?

- Zaglądam do wnętrza głowy. Nie udaje mi się to, kiedy widzę to, co jest na zewnątrz, więc zawiązuję sobie chustkę.

Oskar usiadł na podłodze obok krzesła.

- A... co widzisz tam, wewnątrz głowy?

- To, co myślę.

- I to jest przyjemne?-Nie zawsze, ale czasami to jest lepsze od tego, co widzę na zewnątrz.

Oskar przypomniał sobie jej okrzyk radości, kiedy wszedł chwilę wcześniej do domu, on tymczasem nie zatrzymał się nawet, pobiegł prosto do swojego pokoju. Było mu teraz wstyd, że tak zareagował.

Nagle jakaś kropla spadła mu na dłoń. Zdziwiony podniósł wzrok - jego siostra z całą pewnością była dziwną osobą, ale przecież nie aż tak, żeby w jej pokoju padał deszcz z sufitu! Przyjrzał się uważniej twarzy Violette i zauważył, że spod chustki wypływają wielkie łzy, spływają po twarzy i kapią na jego rękę.

Oskarowi ścisnęło się serce, sam nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Jestem... jestem naprawdę szczęśliwy, że was widzę - wydukał. - Dawno mnie tu nie było.

- Dwa dni - powiedziała Violette cicho.

Oskar wiedział, że sprawił jej wcześniej przykrość, nie mógł tego zrobić po raz kolejny.

- Dwa dni to czasami bardzo długo - odparł.

Violette chwilę się wahała, po czym zdjęła chustkę. Uśmiechnęła się do niego szeroko, pokazując swój aparat ortodontyczny w całej pełni, i zaczęła szukać czegoś na swoim biurku. Ze stosu papierzysek wyciągnęła białą kartkę z wyciętym pośrodku kwadratem.

- To dla ciebie - powiedziała do brata.

- Dzięki - odrzekł Oskar, nie bardzo wiedząc, co ma z tym fantem zrobić.

- No, weź i wypróbuj to! - zachęciła go Violette.

Oskar popatrzył na nią nieco speszony.-Eeee... pokażesz mi, jak to się robi?

Zabrała mu kartkę z rąk, wstała i podeszła do okna. Przyłożyła kartkę do szyby i odwróciła się w stronę Oskara.

- Już, gotowe - powiedziała. - Chodź, możesz popatrzeć.

Oskar podszedł bliżej, zaciekawiony.

- Sama to wymyśliłam - powiedziała Violette tonem pełnym dumy. - Kwadrat-do-oglądania-wyłącznie-jednej-rzeczy.

- A do czego to służy?

- No, do tego, żeby oglądać tylko jedną rzecz.

- Rozumiem, ale o co chodzi z tą jedną rzeczą?

Violette zmarszczyła brwi i zrobiła poważną minę.

- Myślę, że cały czas patrzymy na zbyt wiele rzeczy naraz. Nie umiemy wybrać, a przez to wiele się traci - przekonywała dziewczynka. - Dlatego wymyśliłam taki kwadrat...

- Tak, tak, to wiem - wtrącił Oskar.

- ...żeby-móc obserwować tylko jedną rzecz, kiedy patrzysz przez okno. W ten sposób możesz się dobrze skupić i więcej zobaczyć. Mówię ci, spróbuj!

Oskar stanął przed wyciętym otworem i wyrzął przez okno. Zobaczył połowę pani Wings - a to już było dostatecznie dużo, zważywszy na obfite kształty sąsiadki i na jej liczne papiloty - zobaczył też kawałek ogona jej suczki Peggy.

- Masz rację - powiedział. - Czasem jedna rzecz aż nadto wystarczy.

Odkleiła kartkę od okna i podała ją bratu.

- Zostaniesz w domu? - spytała.

Oskar zawahał się.

- Jeszcze nie wiem - powiedział w końcu. Dzieci poszły do kuchni, do mamy.

- Dziś wieczorem zrobimy sobie ucztę! - zadeklarowała Celia. - Kotlety mielone i frytki!

Oskar wymienił z siostrą rozbawione spojrzenia, roześmiał się w duchu. To i tak lepsza perspektywa niż kulinarne doświadczenia Cherie...

Oskar zbliżył się do matki.

- Mamo?

- Tak?

- Podjąłem decyzję.

- I co zamierzasz?...

- Wrócę tam - powiedział głosem nieco zbyt stanowczym, jak gdyby chciał sobie dodać odwagi. - Dzięki temu nie będzie mnie potem dręczył żal, że tego nie zrobiłem.

Mama nachyliła się, żeby go pocałować.

- To twoja decyzja, Oskarze, szanujemy ją, prawda, Violette?

Dziewczynka przeskakiwała z nogi na nogę, nie wiedząc, co powiedzieć.

Oskar przyszedł jej z pomocą.

- Dzięki Violette zrozumiałem, że powinienem przyglądać się jednej rzeczy naraz. No więc zobaczymy, co wyniknie z tej decyzji.

Violette wahała się przez chwilę, później uśmiechnęła się do brata i do matki.

- No dobrze - powiedziała Celia - nie musimy się spieszyć. Cumides Circle może poczekać do jutra. A my dziś zjemy sobie spokojnie kolację o dziewiętnastej, a potem pogramy w badmintona w ogrodzie. Macie ochotę?

Oskar już biegł, żeby zabrać rakiety do badmintona, kiedy słowa matki znowu zabrzmiały w jego uszach.

Kolacja.Dziewiętnasta.

Zawrócił w te pędy i wpadł z powrotem do kuchni.

- Mamo! Szybko! Muszę tam jechać!

Matka odwróciła się zdziwiona.

- Hej, co się stało!? Tak ci zależy, żeby się tam jak najszybciej znaleźć?

- Nie! Muszę tam być przed dziewiętnastą! - zawołał Oskar, ze wzrokiem wbitym w zegar ścienny. - Jest taka zasada, pan Brave mnie uprzedzał: jeśli nie wrócę punktualnie przed dziewiętnastą, nie będę mógł już tam wrócić nigdy więcej!

Celia również spojrzała na zegar - była osiemnasta trzydzieści siedem. Rzuciła swój fartuch na stół, pobiegła w stronę hallu i zaczęła wkładać buty, dzieci ruszyły za nią.

- Violette, szybko!... Torebka! Jest w moim pokoju!

Dziewczynka pomknęła jak strzała i po sekundzie zbiegła z torebką w rękę.

- Wsiadamy do samochodu, migiem!

Wszyscy troje pobiegli, skręcili za rogiem do Toni i szybko do niej wsiadli.

- W drogę, moja panienko - rzuciła Celia w stronę samochodu. - Wy tam, z tyłu, zapięliście pasy, mam nadzieję?

Dzieci potwierdziły kliknięciem. Celia zapaliła silnik, nacisnęła sprzęgło. Biedna Tonią, która ledwo dochodziła do siebie po weekendzie, zachrypiła słabo, nie ruszając się ani o centymetr naprzód.

- Toni, jeśli masz charakter, to jest właściwa chwila, żeby nam go pokazać! - krzyknęła Celia.

Przekręciła ponownie kluczyk w stacyjce i zamknęła oczy. Samochód zakrztusił się i prychnął spalinami ze starej rury wydechowej, po czym silnik

zawarczał głośno. Wszyscy troje wzniesli okrzyki radości, Celia nacisnęła sprzęgło. Samochód wytoczył się na uliczkę i zagłębili się w gęsty ruch uliczny wczesnego wieczoru.

Celia przemykała zwinnie, zmieniając pasy, aż w końcu autobus zmusił ją, by się zatrzymała. Paliło się jeszcze zielone światło, ale autobus ruszał powoli jak żółw. Kiedy światło zmieniło się na żółte, Celia zaklęła i błyskawicznie przekręciła kierownicę, dodając gazu. Nieszczęsna Tonia nie miała większego wyboru, musiała zrobić to, czego nie robiła od wczesnej młodości, kiedy opuściła fabrykę. Wjechała na chodnik.

Piesi przyłgnęli do ścian budynków, rzucając głośne obelgi, ale Celia udawała, że ich nie słyszy. Wyminęła autobus. Samochód zjechał w końcu na ulicę, szorując podwoziem po chodniku i jęcząc amortyzatorem. Ruszyli dalej w tę piekielną podróż.

Oskar spojrział na zegarek. Była osiemnasta pięćdziesiąt cztery. Trzeba jeszcze było przejechać Beedle Street i pobliskie centrum handlowe, zanim dojadą do Blue Parku.

Stanęli na końcu Beedle Street - ulica zapchana była tkwiącymi w korku samochodami, a na chodnikach kłębił się tłum przechodniów. Nawet gdyby Tonia się poświęciła, jazda po chodniku w żadnym razie by się nie udała.

- Mamo, nie zdążymy - powiedział zrezygnowany Oskar.

- Nie mów głupstw i trzymaj się mocno! - odparła Celia, rzucając okiem we wsteczne lusterko.

Jej córka była zielona na twarzy, a syn spływał potem.

- Odwagi, moje dzieci, już prawie jesteśmy na miejscu, zaufajcie swojej matce!

Celia cofnęła wóz, wśród nowej fanfary klaksonów, po czym skręciła w pierwszą uliczkę w prawo. Violette wyprostowała się i rzuciła okiem ponad ramieniem matki. - O, jedziemy na targ? - wyjąkała.

- Prawie, kochana, prawie. Powiedzmy, że tym razem nie zatrzymamy się na zakupy.

Na placu targowym wszyscy handlarze sprząтали już spokojnie swoje towary i składali stragany. Odwrócili głowy, kiedy coś zatrąbiło rozpaczliwie: maleńki, rozklekotany samochodzik, który przypominał świąteczną choinkę, pędził prosto na nich. Ledwo mieli czas, żeby odskoczyć na bok, ustępując tej wariatce za kierownicą, która przemknęła przez cały plac, nie zwalniając nawet trochę, wśród huku rozrzuconych pustych skrzynek, rozgniecionych warzyw i fruwających owoców.

- No, dzieci, nie powinniśmy chyba pokazywać się tutaj przez jakiś czas! - zawołała Celia, przekrzykując hałas silnika i wrzaski umykających kupców. - Z wami wszystko w porządku?

Oskar i Yiolette nie byli w stanie udzielić odpowiedzi. Pomimo zapiętych pasów rzuciło nimi po całym tylnym siedzeniu samochodu.

Kiedy Tonią przedarła się przez plac, była osiemnasta pięćdziesiąt siedem.

Oskar wyprostował się i uśmiechnął - przed nimi widać już było piękne wille na Blue Park Avenue. Samochód pognał jak strzała i wyzionął ducha przed Cumides Circle.

Z rury wydechowej Toni wydobył się obłoczek czarnego dymu. Była osiemnasta pięćdziesiąt osiem.

Celia odwróciła się i otworzyła tylne drzwi po stronie syna.

- Oskar, masz jeszcze dwie minuty, żeby dojść do celu. Pędź!

Oskar wyskoczył na zewnątrz.

- Oskar! - krzyknęła Violette.

Wyciągnęła w jego stronę kartkę z wyciętym kwadratem, o której zapomniał. Porwał ją, złożył i schował do kieszeni. Matka wychyliła się przez okno po swojej stronie i Oskar dał jej całusa.

- Jestem dumna z ciebie, mój duży chłopcze, mój mały mężczyzno!

Zobaczył, że w jej oczach błyszczą łzy. W ciągu kilku ostatnich dni był to drugi raz, kiedy widział, jak mama płacze, i po raz kolejny płakała trochę z jego powodu. Ścisnęło mu się serce i się zawahał. Celia zobaczyła, że ogarnia go zwątpienie.



- Już takie jesteśmy, my, dziewczyny. Bardzo odważne, dlatego nie boimy się płakać. - Poglądziła chłopca po policzku. - Wszystko w porządku. Czasami płacze się ze szczęścia, Oskarze, a czasem, kiedy jest się dumnym ze swoich dzieci. - Zerknęła na zegarek. - Jest osiemnasta pięćdziesiąt dziewięć! Leć już teraz! Pędem!

Oskar ruszył biegiem, minął podjazd i zadzwonił gwałtownie do drzwi. Wydawało mu się, że słyszy jakiś ruch po drugiej stronie, ale nikt mu nie otworzył. Dałby sobie rękę uciąć, że Bones świetnie widział, jak podjeżdżali, i mimo to nie otwierał drzwi, na złość. A zostało mu jeszcze tylko trzydzieści sekund...

Zbiegł ze schodków, okrążył dom jak torpeda. Wpadł przez drzwi kuchenne, wychodzące na ogród. Cherie krzyknęła przerażona.

- Oskar! Przestraszyłeś mnie, mój drogi chłopcze! Ależ...

Nie słyszał dalszego ciągu. Przemknął przez hall z prędkością światła, mijając oniemiałego Bonesa. W salonie zegar zaczynał wybijać godzinę siódmą. Otworzył drzwi, minął salon i wszedł do jadalni, próbując po drodze przyczesać palcami swoją potarganą czuprynę. Kiedy zegar wybił ostatnie uderzenie, Oskar siedział zdyszany na swoim miejscu przy stole.

Cherie weszła w tym samym momencie z dwoma talerzami. Oskar uśmiechnął się do niej szeroko, na co ona zareagowała podobnym uśmiechem.

Wielki Mistrz, siedzący po drugiej stronie stołu, podniósł spokojnie głowę.

- Witaj, Oskarze - odezwał się swoim pięknym, niskim głosem. - Witaj z powrotem w Cumides Circle.

Po kolacji Oskar poszedł do pokoju.

Wyszorował zęby i umył się, po czym położył się w ubraniu na łóżku. Przed włożeniem piżamy chciał się jeszcze z kimś spotkać. Czekał na codzienną wieczorną rozmowę z ojcem.

Wyjął z kieszeni swój mały album i odnalazł zdjęcie Vitalego w otoczeniu rodziny: Violette siedziała w wózku, on sam zaś był jeszcze w brzuchu mamy. Tego wieczora Vitali wyraźnie odwrócił się w jego stronę ze szczęśliwym uśmiechem, jakby był bardzo zadowolony z długiego i trudnego dnia swojego syna.

Oskar odezwał się do niego.

- Wiesz, tak naprawdę wcale nie zamierzałem z tego wszystkiego zrezygnować, byłem tylko zmęczony i trochę zniechęcony, ale ciągle jeszcze bardzo pragnę zostać Medykusem - mówił z wielkim przekonaniem. - Chciałbym być tak odważny i silny jak ty! Wszyscy mówią, że byłeś genialnym Medykusem, autorzy w bibliotece powtarzają to bez przerwy, nawet Boyd nie śmiał powiedzieć o tobie niczego złego, a Julia Jacob prawie płacze, kiedy o tobie wspomina! Uwielbiała cię! Vitali się uśmiechał, a mama jakby mocniej się nad nim pochyliła, mimo swojego ładnego, okrągłego brzucha. Oskarowi przyszło do głowy, że poczuła się zazdrosna.

- Nie, nie była zakochana w tacie, po prostu bardzo go podziwiała, tak mi się wydaje.

Oskar odczekał kilka chwil, a potem ciągnął dalej:

- Wiesz, jest taka sprawa... ja myślałem... bałem się, że będziesz się za mnie wstydził dlatego, że nie udało mi się napełnić Fiolki - powiedział bardzo cicho, ze spuszczonym wzrokiem.

Spojrzał znowu na twarz ojca, widoczną na zdjęciu. Twarze obojga rodziców mówiły same za siebie - widać było, że oboje są niezwykle dumni z syna. Oskarowi ulżyło i uśmiechnął się.

- Poza tym jest jeszcze jedna rzecz, o której ci chciałem opowiedzieć. Ty...

Gdzieś całkiem blisko rozległ się jakiś hałas. Oskar szybko schował album ze zdjęciami pod poduszkę i wyprostował się. Siedział nieruchomo na łóżku, nasłuchując pilnie, czy hałas się nie powtórzy. W końcu wstał i podszedł do okna. Może to tylko Zizou zastukał swoją gałęzią, żeby mu życzyć dobrej nocy?...

Otworzył okno, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Widział sylwetkę wielkiego dębu w oddali. Ogród był rozległy, tego wieczoru gałęzie drzew kołysały się na wietrze, jeszcze lśniące i mokre po niedawnej ulewie. Zamknął z powrotem okno, zaciągnął zasłony i chciał wrócić do albumu, schowanego w łóżku. Nie lubił przerywać rozmowy z ojcem ot, tak, w pół słowa.

Otworzył album, tym razem jednak hałas powtórzył się, zanim zdążył powiedzieć choćby jedno słowo. Odgłos głuchego uderzenia, a potem szept.

- Uważaj, zabierasz całe miejsce, popatrz tylko!

Drugi, spokojniejszy głos odpowiedział:

- W końcu muszę się gdzieś pomieścić!

Oskar mógłby przysiąc, że głosy dochodziły z szafy. Wstał z łóżka z bijącym sercem, podszedł na palcach do szafy. Położył rękę na gałce, przekręcił ją najciszej, jak się dało, a potem gwałtownym ruchem otworzył drzwi.

Głosy natychmiast umilkły. Tylko wisząca na drążku peleryna nieco się bujała. Oskar cofnął się i powiedział zdecydowanym tonem:

- Jeśli ktoś siedzi w tej szafie, niech wyjdzie w tej chwili!

Odpowiedzią była absolutna cisza i bezruch. Gwoli ostrożności położył dłoń na medalionie, który wyczuwał pod koszulką, i szybko odsunął pelerynę.

Jego zdumionym oczom ukazało się dwoje przytulonych do siebie dzieci z niepewnymi minami. Rozpoznał je natychmiast.

- Ależ... co wy tutaj robicie?!

Valentin i Lawrence, popychając się nieco, zdołali wyjść z szafy, zdyszani i zarumienieni (co w przypadku Valentine było raczej regułą). Popatrzyli na siebie, a potem na Oskara, który stał naprzeciwko, z założonymi ramionami.

Valentine zaczęła mówić jako pierwsza.

- To było tak: kiedy nas troje wyrzuciło z wnętrza góry i znaleźliśmy się w Wielkiej Kanalizacji Jelita Cienkiego, w dolinie, złapaliśmy się twojej peleryny...

- Schowaliśmy się pod kawałkiem poły, której akurat nie używałeś - sprecyzował Lawrence.

Oskar potrząsnął głową, zdumiony.

- Ale jakim cudem udało wam się opuścić Hepatolię?-To akurat było dosyć proste - powiedział Lawrence swoim spokojnym głosem. - Wystarczyło znać właściwości peleryny Medykusa. Jeśli peleryna nas ochrania i rozpoznaje nas w

chwili, kiedy ty, Oskarze, opuszczasz organizm - my możemy opuścić go razem z tobą.

- Ale moja peleryna wcale was nie rozpoznaje! - zdziwił się Oskar.

- Ależ owszem, rozpoznała nas! - powiedziała Valentine zadowolonym głosem. - To przecież ona ocaliła mi życie na kładce... No, ty trochę też, oczywiście.

- Natomiast ja przechodziłem obok ciebie w momencie, kiedy miałem iść z przodu i pokazywać ci drogę. Otarłem się o pelerynę, a potem oddałem ci przysługę. Ona przynajmniej wie, co to wdzięczność.

Oskar zamknął oczy. Nic z tego nie rozumiał. Te światy, które się nawzajem przenikały, ci dziwni ludzie, którzy byli to w jednym, to w drugim świecie... Jedno było pewne:

- Nie możecie tutaj zostać!

Dzieci popatrzyły na niego wzburzone.

- Oskarze, błagam cię, nie chcę tam wracać! - zawołała Valentine. - Chciałabym podróżować, umieram z nudów w tych rzekach i morzach, zgniję tam, będę pływać starą, niemodną Kapsułą, już niedługo pojawi się model DR6, potem DR7, wywalą mnie, skończę na cmentarzysku Śledziony, a ty... ty będziesz mnie miał na sumieniu! - mówiła, zmuszając się do łez, z ręką na sercu.

- Ja nie chcę skończyć na dnie tych kopalni we wnętrzu góry - powiedział błagalnie Lawrence. - Sam widziałeś, jak tam jest. Temperatura powyżej 37 stopni Celsjusza, to oznacza 98,6 stopni Fahrenheita, niezliczona ilość kilometrów tuneli, jest ciemno, praca ciężka, produkuje się sześćset mililitrów Żółci dziennie. Komuś z zewnątrz może się wydawać, że to mało. Niby tak, ale wewnątrz... To są wielkie jeziora, widziałeś przecież jedno z nich! Czy tego właśnie pragniesz dla mnie, Oskarze, uważasz, że to jest właściwe życie dla chłopca w moim wieku? Nie licząc już 456,50 metrów...

- Cisza, cicho bądźcie! - rozkazał Oskar szeptem, bardziej poruszony matematycznymi detalami Lawrence'a niż aktorskimi zagraniem Valentine.

Rzucił parę razy zaniepokojone spojrzenie w stronę drzwi i po raz kolejny pokazał na migi, żeby byli cicho.

- Jeśli Bones was tu zobaczy - szepnął - znajdziecie się w kilka sekund z powrotem w Hepatolii i w WMUS-ie, zapewniam was!

Dzieci posłusznie milczały, wpatrując się z nadzieją w młodego Medykusa.

Oskar targał swoją rudą czuprynę, zastanawiając się, co zrobić. W gruncie rzeczy cieszył się, widząc swoich towarzyszy wyprawy. Martwił się o nich i ulżyło mu, kiedy przekonał się, że oni także są cali i zdrowi. Nie da się ukryć, że często czuł się bardzo samotny w Cumides Circle i obecność dzieci w tym samym wieku byłaby czymś bardzo miłym, zwłaszcza w trudnych dla niego chwilach. Ale jak mógłby ich ukryć? A jeśli ktoś ich zobaczy, co powie panu Brave'owi i pani Withers, którzy mieli do niego zaufanie?

Przypomniał sobie wówczas swoją podróż do Uniwersum Hepatolii Bonesa i to, co dzieci zrobiły tam dla niego, kiedy znalazł się w tarapatach. Nie oczekiwały niczego w zamian. Tym razem to oni go potrzebowali, a on miał ochotę im pomóc. W

Nieważne, że mogło się to okazać ryzykowne. W końcu od czego jest przyjaźń?

- Dobrze, zgoda - powiedział wreszcie. - Możecie zostać, ale będziemy musieli być ostrożni - bardzo ostrożni!

Okrągła jak księżyc w pełni twarz Lawrence'a rozjaśniła się cała w szerokim uśmiechu, a Valentine podskoczyła z radości.

Właśnie rodziła się prawdziwa przyjaźń.

### **Wyznanie Estelle Fleetwood**

Cały tydzień minął bez żadnych sensacji. Oskar starannie ukrywał przyjaciół w swoim pokoju. W przypadku najmniejszego hałasu lub alarmującego ruchu Bonesa w pobliżu mieli czym-prędzej schować się w szafie.

Bardzo szybko jednak dwoje uciekinierów zaczęło wypuszczać się poza bezpieczny teren. Obserwując domowników, poznawali wszystkie ich zwyczaje i

kiedy tylko Oskar wychodził na lekcje z panią Withers lub z Maureen Joubert, które prawie codziennie przychodziły do Cumides Circle, Valentine i Lawrence ruszali na wyprawy krajoznawcze. Zawadiacka śmiałość tej pierwszej i pragnienie wiedzy tego drugiego zwyciężyły obawę przed zdemaskowaniem. Pod wieloma względami dopełniali się nawzajem. Valentine, żywa i energiczna, reagowała bardzo szybko, zwłaszcza wobec jakiegoś zagrożenia. Rzadko wpadała w panikę i na ogół umiała znaleźć trafne rozwiązanie sytuacji. Lawrence, prawdziwy mały geniusz, znał bardzo dobrze - czasem lepiej niż Oskar - świat Medykusów dzięki setkom książek, które zdążył pochłonąć. Nic go zatem nie było w stanie zaskoczyć. A kiedy spotykał na swojej drodze przedmiot lub miejsce, które były mu nieznane, zapamiętywał błyskawicznie podstawowe ich cechy.

Żółta skóra Lawrence'a i czerwone włosy Valentine mogły się zanadto rzucać w oczy, gdyby ich ktoś przyłapał. Trudno ich było wziąć za zwyczajne dzieciaki z Pleasantville. Oskar postarał się jednak, żeby przynajmniej byli ubrani jak wszyscy inni. Valentine zdjęła swój czerwony kombinezon - nosiła teraz pomarańczowe szorty i różową koszulkę, które to rzeczy Oskar wygrzebał w szafie siostry, kiedy tylko wrócił do Babylon Heights. Znalezienie czegoś dla Lawrence'a okazało się trudniejsze, zważywszy na jego okrągłe kształty. Młody Medykus wyszukał jednak w końcu dla niego ogrodniczki w Bazarze Jeremy'ego. Lawrence nosił je, podwinąwszy nogawki na dole.

O wiele bardziej skomplikowana okazała się kwestia jedzenia.

Pierwszego dnia Oskar skorzystał z nieobecności Cherie w kuchni i Bonesa na korytarzach domu - zgromadził zapasy jedzenia i zaniósł je cichutko do swojego pokoju. Valentine i Lawrence zjedli bez słowa, sądząc jednak z ich min i ze spojrzeń, które między sobą wymieniali, najwyraźniej nie był to posiłek w ich guście. Następnego dnia Oskar znalazł prawie nietknięte całe jedzenie, które dla nich zdobył. Starał się unikać dań przyrządzanych przez Cherie - nie chciał, by od samego początku nowi znajomi zniechęcili się do świata, który dopiero zaczynali odkrywać.

Kiedy kolejnego dnia znowu całe jedzenie pozostało nietknięte, zapytał ich, na co mieliby ochotę.-Gdybyś mógł mi przynieść soczewicę, czekoladę albo chociaż zardzewiałe gwoździe, byłoby w sam raz - odpowiedziała Valentine.

Oskar zapytał, czy żartuje sobie z niego.

- Wcale nie żartuję - powiedziała Valentine. - Nie wiesz, że erytrocyty potrzebują żelaza?

- A jeśli o mnie chodzi - dodał szybko Lawrence, z obawy, że o nim zapomną - świetny będzie makaron, pieczywo i cukier.

- I nic innego? Nie chcesz makaronu z ketchupem albo chleba z nutellą?

- Może być, czemu nie - powiedział Lawrence. - Nie jest to jednak konieczne. Muszę dbać o linię - dodał, głaszcząc się po swoim okrągłym brzuchu.

Oskar wychodził już, by zdobyć dla nich ten dziwny zestaw pokarmów, kiedy Lawrence go zatrzymał:

- Słuchaj, jest jeszcze coś...

Oliwa? - spytała Cherie zaskoczona.

- Tak - odparł Oskar. Czuł się nieco skrępowany, stojąc na środku kuchni. - Tak, czasami chce mi się... chce mi się pić w nocy.

- Oliwa, kiedy jesteś spragniony?... Nie sądzisz, że lepsza by była butelka wody albo sok owocowy?

- Nie, właśnie oliwa byłaby najlepsza - upierał się chłopiec, czując, że musi się wydawać śmieszny.

Jak ten Lawrence mógł pić coś takiego? Oliwa! Ohyda!

- Ależ taka jest właśnie nasza rola! - tłumaczył mu parę chwil wcześniej Hepatolijczyk tym swoim tonem sympatycznego profesora. - Bardzo dobrze trawimy tłuszcze, nie martw się. Muszę się w tym ćwiczyć, inaczej zapomnę i nie będę już umiał tego robić.

Cherie przez chwilę się wahała, aż w końcu wydała oliwę. Oskar chciał zdobyć coś jeszcze.

- Cherie?

- Tak? - spytała podejrzliwie Cherie, która obawiała się kolejnych życzeń swojego ulubieńca.

- A czy ma pani może trochę masła?

- Oczywiście! - zawołała uspokojona. - Jeśli chcesz, posmaruję ci masłem kromki chleba!

- Nie, nie ma potrzeby. Chciałbym tylko trochę masła, żeby sobie przekąsić...

- Przekąsić... masło? Tylko samo masło i nic więcej? - zaniepokoiła się kucharka.

Chłopiec wolał skłamać niż wyjawić prawdę biednej Cherie, która wydawała się o niego martwić. Lawrence"zjadał samo masło! Oskarowi wystarczyło o tym pomyśleć, żeby w ogóle przestał odczuwać głód. I jeszcze łyżeczek oliwy, żeby przepłukać gardło po tym masełku!

- Nie, oczywiście, że nie... ale sam sobie posmaruję kanapki.

Troje dzieci poznawało się podczas tego tygodnia. Oskarowi było miło spotkać się z przyjaciółmi po zajęciach w bibliotece ze swoimi nauczycielkami, a także po wyprawach do wnętrza Victora, kanarka, i Rollsa lub Royce'a. Spieszno mu było usłyszeć o ich nowych przeżyciach i doświadczeniach - a zwłaszcza lubił śmiać się razem z nimi z tych przygód.

W ciągu kilku dni Valentine i Lawrence przyzwyczaili się do Cumides Circle, a Cumides Circle przyzwyczaiało się do nich.

Kiedy trójka dzieci po raz pierwszy przebiegła po dywanie w korytarzu na pierwszym piętrze, pojawiły się na nim wzburzone fale i Oskar z wielkim trudem je ujarzmił. Podobnie było z Selenią, popiersem stojącym w swojej wnęce na początku korytarza. Po kilku minutach i po wyjaśnieniu, wyszeptanym jej w pośpiechu do ucha, młoda kobieta uspokoiła się całkowicie. Była bardziej wrażliwa niż Rhoda, popiersie z drugiego piętra, i okazała dzieciom dużo zrozumienia. Obydwie kobiety pozostawały nadal dla Oskara wielką niewiadomą. Nie zdołał się dowiedzieć, kim właściwie były (nikt nie chciał mu tego wyjaśnić, nawet gadatliwa Cherie). Miał



jednak więcej ciepłych uczuć dla młodszej Selenii, która czuwała nad jego piętnem. Oskar wierzył, że Selenia dochowa tajemnicy, tak jak ją o to prosił.

Po upływie ośmiu dni dzieci z Hepatolii czuły się w siedzibie Winstona Brave'a jak u siebie w domu. Tymczasem pan domu nie miał o nich pojęcia! Cała trójka świetnie się rozeznawała w zwyczajach i zajęciach domowników. Wyprawy badawcze były coraz liczniejsze. Od dwóch dni zwiedzały także ogród. Oskar przedstawił im Zizou, który osłaniał ich przed niedyskretnymi spojrzeniami.

Pewnego wieczoru, kiedy Valentine i Lawrence relacjonowali Oskarowi swoje najnowsze przeżycia, chłopiec postanowił opowiedzieć im po raz pierwszy o swoim ojcu i o tajemnicy, jaka otaczała jego śmierć.

- Dlaczego nie spytasz o to swojego Grimoire'a? - zastanawiał się jak zwykle logiczny Lawrence, próbując naprawić swoje okulary w metalowych oprawkach, które od chwili, kiedy na nich usiadł, zrobiły się znacznie mniej okrągłe.

- Nie odpowiada na to pytanie! A poza tym muszę się ograniczać do jednego pytania dziennie, zostawiając sobie drugie jako ostatnią deskę ratunku podczas Introdukcji. Maureen i pani Withers nigdy mnie nie uprzedzają, kiedy się to zdarzy...

- A może on sam nie zna tej odpowiedzi? - snuł przypuszczenia Lawrence.

- Kiedy spytałem go o to po raz pierwszy, odpowiedział mi, a potem nic, cisza. Stał przez kilka dni na półce obok książki tego wrednego Billy'ego Boyda - odparł Oskar. - Pewien jestem, że to on właśnie namówił mojego Grimoire'a, by milczał...

Opowiedział im o szantażu Boyda.

- A czego on chce? - spytał Lawrence.

- Nie mam pojęcia. Właśnie wtedy wszedł Bones i musiałem wyjść z biblioteki. I od tej pory nigdy mi się nie udało być tam samemu. Bones szpieguje mnie i upewnia się, czy aby na pewno siedzę codziennie wieczorem w swoim pokoju po kolacji...

- Dobrze, skoro Grimoire nie chce zaspokoić twojej ciekawości, musimy poszukać odpowiedzi gdzie indziej - powiedziała Valentine, jak zwykle praktycznie

nastawiona do życia. - Nie ma przypadkiem innego Grimoire'a, który by wiedział więcej niż twój? Może jest taki u Wielkiego Mistrza...

- O tym lepiej zapomnij - powiedział ostrzegawczo Lawrence. - To nie byłoby bezpieczne...

- Biblioteka pełna jest książek - powiedział Oskar. - Ale żadna z nich nie powie mi, co się stało z moim ojcem, poza moim Grimoire'em - no i może jeszcze zostaje Boyd, on wie wszystko o Patologusach.

Dzieci zamilkły, zabrakło im pomysłów. W końcu Lawrence zaproponował inne rozwiązanie.

- Wiem! - powiedział. - Jeśli nawet nie jesteś w stanie znaleźć w jakiejś książce wiadomości o tym, co się stało z twoim%

ojcem, może przynajmniej znajdziemy informację, jak przywrócić pamięć twojemu Grimoire'owi! Są przecież książki o Medykusach, o ich zdolnościach...

- ...i o ich akcesoriach, takich jak peleryna czy Grimoire! - uzupełniła Valentine.

- Ależ oczywiście! - wykrzyknął Oskar. - Księga Estelle Fleetwood!

- Lawrence, co my byśmy poczęli bez ciebie! Dziś wieczór, kierunek - biblioteka! - ucieszyła się Valentine.

- Nie, Bones bez przerwy się tu kręci i pilnuje, mówiłem wam już. Przyłapałby nas z pewnością. Spróbuję jutro rano.

Valentine potrząsnęła swoimi czerwonymi kucykami.

- Nic nam nie grozi - znam na pamięć plany Bonesa, dziś ma wychodne. Droga wolna.

- Niezależnie od tego, idę tam sam - uciął młody Medykus. - Jeśli pójdziecie ze mną, zobaczą was Przedwieczni, poza tym książki mogą powiedzieć o was innym. To zbyt ryzykowne!

- O nie, Oskarze, nie możesz nam tego zrobić! - zawołała żałośnie Valentine. - Nigdy jeszcze nie byliśmy w bibliotece, umieram z ciekawości, jak tam jest, chciałabym zobaczyć te fotele członków Rady i całą resztę...

- A ja byłbym szczęśliwy, gdybym mógł rzucić okiem na wszystkie te książki - dodał Lawrence. - No, proszę cię, przecież sala Przedwiecznych musi być pusta o tej porze. Tacy Przedwieczni też muszą się kiedyś przespać, prawda? A poza tym pomożemy ci, będziemy sprawdzać, czy nikt nie nadchodzi korytarzem!

Oskar nie mógł się oprzeć temu zmasowanemu atakowi. W końcu podjęli decyzję, że pójdą razem.

Obudził się o północy. Włożył kapcie, by nie hałasować na korytarzu, uwolnił parę swoich towarzyszy z szafy i wszyscy troje wyszli na palcach z pokoju.

Schodzili już ze schodów, kiedy dobiegł ich jakiś hałas z drugiego piętra - tego, które zajmował Wielki Mistrz. Ktoś otworzył tam drzwi... Znieruchomieli wszyscy troje na pół-piętrze, mocno biły im serca. Gdyby Winston Brave zszedł na dół, byłby to koniec pobytu Valentine i Lawrence'a w Cumides Circle, a być może również koniec nauki Oskara w tym miejscu.

Pierwsze kroki na korytarzu piętro wyżej wzbudziły panikę wśród dzieci. Kroki zbliżały się i ktoś zaczął schodzić po schodach. Valentine wepchnęła Lawrence'a pod stół, stojący na półpiętrze, i przykryła go obrusem. Sama zaś wciągnęła Oskara z powrotem do korytarza. Schronili się za zbrojami. Kroki zbliżały się i kiedy ogromny cień ze świecznikiem w dłoni przesunął się tuż koło nich, wstrzymali oddech.

Oskar rozpoznał pana Brave'a w szlafroku. Serce młodego Medykusa biło jak szalone; wydawało mu się, że całe jego ciało wpada w rezonans, jakby było bębnem, i że pan Brave w końcu to usłyszy. Przez kilka minut, które ciągnęły się jak wieki, siedzieli schowani, po czym zobaczyli znowu Wielkiego Mistrza. Wchodził na górę.

Wyszli z ukrycia dopiero wtedy, kiedy usłyszeli, że zamknęły się drzwi do jego pokoju, piętro wyżej. Valentine rzuciła się pędem na półpiętro. Obrus wyrzusał się tak dziwnie, że zakrawało na prawdziwy cud, iż Winston Brave niczego nie zauważył. Uniosła brzeg tkaniny: Lawrence skulił się jak wielkie niemowlę, wetknięte w zbyt ciasną kołyskę. Chłopiec nie śmiał nawet otworzyć

oczu.-Bardzo mi przykro, proszę pana - powiedział drżącym głosem. - Naprawdę bardzo mi przykro, mogę panu wszystko wyjaśnić!

- Cicho bądź, wariacie, to przecież ja, Valentine! Jak będziesz dalej mówił tak głośno, pan Brave znowu tu zejdzie i wtedy rzeczywiście będzie ci bardzo przykro!

Pomogła Lawrence'owi wydostać się spomiędzy nóg małego stoliczka. Cała trójka szybko zeszła do biblioteki. Zamknęli za sobą drzwi i oparli się o nie, nadal oszołomieni.

Oskar ruszył się pierwszy. Dał przyjaciołom znak ręką, żeby nie zmieniali miejsca. Minął stół i na palcach podszedł do ściany, na której wisiały obrazy. Żaden z nich nie był rozświetlony, co oznaczało, że nikt z Przedwiecznych nie znajdował się w sali za ścianą. Oskar odszedł bezszelestnie od ściany, przyjaciele ruszyli za nim. Podeszli do półek z książkami, stojących pod ścianą naprzeciwko portretów. Lawrence objął zachwyconym spojrzeniem tysiące książek, które miał przed oczami.

- Ależ to tutaj powinienem spędzać cały czas, od samego początku! - powiedział cichym głosem.

Oskar wyciągnął pierwszą lepszą książkę i podał ją przyjacielowi. Lawrence otworzył ją i z wielkim rozczarowaniem odkrył, że w środku są same czyste kartki, nie ma ani jednej linijki, ani jednego słowa.

- Wszystkie są takie? - spytał Oskara szeptem.

- Wszystkie - potwierdził Oskar. - Przynajmniej dopóty, dopóki nie poznasz autora i póki on sam nie zdecyduje się pozwolić ci na lekturę swojej książki. Sam widzisz - szeptał dalej chłopiec - przynajmniej nie masz czego żałować.

Młody Medykus prześliznął się w stronę Tytusa, fotela pani Withers, i wymamrotał coś w pobliżu jego oparcia. Fotel-Bardzo mi przykro, proszę pana - powiedział drżącym głosem. - Naprawdę bardzo mi przykro, mogę panu wszystko wyjaśnić!

- Cicho bądź, wariacie, to przecież ja, Valentine! Jak będziesz dalej mówił tak głośno, pan Brave znowu tu zejdzie i wtedy rzeczywiście będzie ci bardzo przykro!

Pomogła Lawrence'owi wydostać się spomiędzy nóg małego stoliczka. Cała trójka szybko zeszła do biblioteki. Zamknęli za sobą drzwi i oparli się o nie, nadal oszołomieni.

Oskar ruszył się pierwszy. Dał przyjaciołom znak ręką, żeby nie zmieniali miejsca. Minał stół i na palcach podszedł do ściany, na której wisiały obrazy. Żaden z nich nie był rozświetlony, co oznaczało, że nikt z Przedwiecznych nie znajdował się w sali za ścianą. Oskar odszedł bezszelestnie od ściany, przyjaciele ruszyli za nim. Podeszli do półek z książkami, stojących pod ścianą naprzeciwko portretów. Lawrence objął zachwyconym spojrzeniem tysiące książek, które miał przed oczami.

- Ależ to tutaj powinienem spędzać cały czas, od samego początku! - powiedział cichym głosem.

Oskar wyciągnął pierwszą lepszą książkę i podał ją przyjacielowi. Lawrence otworzył ją i z wielkim rozczarowaniem odkrył, że w środku są same czyste kartki, nie ma ani jednej linijki, ani jednego słowa.

- Wszystkie są takie? - spytał Oskara szeptem.

- Wszystkie - potwierdził Oskar. - Przynajmniej dopóty, dopóki nie poznasz autora i póki on sam nie zdecyduje się pozwolić ci na lekturę swojej książki. Sam widzisz - szeptał dalej chłopiec - przynajmniej nie masz czego żałować.

Młody Medykus prześliznął się w stronę Tytusa, fotela pani Withers, i wymamrotał coś w pobliżu jego oparcia. Foteluniósł się lekko i ustawił się tuż koło półek z książkami. Oskar wspiął się nań, zdjął interesującą go książkę z półki, następnie zszedł na dół, posyłając Tytusowi uśmiech wdzięczności. Fotel przesunął się z powrotem na swoje miejsce, a trójka dzieci oddaliła się po cichu.

Przeszli przez hall i schronili się w salonie.

Oskar usiadł na podłodze u stóp kominka, gdzie dniem i nocą płonął wieczny ogień Cumides Circle. Jego przyjaciele ukłękli obok niego. Oskar otworzył książkę.

- Ależ... co tu się dzieje? Gdzie my jesteśmy? Skąd się wzięło to światło w środku nocy? AAAACH! OGIENIŃ!! OGIENIŃ! ODDALMY SIĘ OD OGNIA!

Oskar czym prędzej odsunął książkę dalej od płomieni.

- Przepraszam, że obudziłem panią o tak późnej porze, pani Fleetwood. To ja, Oskar!

- Oskar? Mały Pill? Co też ci przyszło do głowy? Chcesz, żehym umarła ze strachu? Chyba wiesz, że my, książki, nienawidzimy ognia z całego serca! Wyobraź sobie tylko, że jakaś iskra mogłaby spaść na moje kartki i książka stanęłaby w płomieniach!

- Ogromnie mi przykro, że tak panią przestraszyłem, chciałem tylko zadać pani pewne pytanie, nie zamierzałem wrzucać pani do kominka.

- Mój Boże, lepiej już nic nie mów, na samą myśl o tym robi mi się słabo! Moja bezcenna książka w płomieniach, jakaż to by była niepowetowana strata dla Winstona Brave'a i dla Medykusów na całym świecie!

Oskar przewrócił oczami. Estelle Fleetwood na dobre się obudziła, nie było wątpliwości. Od razu zaczęła zachwycać się samą sobą i prawić sobie liczne komplementy...

- Co ona wygaduje! - zawołała Valentine, która odczytała słowa Estelle. - Przecież ta jej książka jest okropna! Popatrztylko na tę plastikową okładkę... Gdyby się nawet spaliła, nie byłby to koniec świata!

- Co takiego? Kto tam się jeszcze odezwał? Co powiedział? - napisała Estelle Fleetwood.

- Nic takiego, naprawdę - odpowiedział szybko Oskar, zatykając usta dziewczynce. - Przedstawiam pani Valentine, pani Fleetwood. Mówiła właśnie, że pani książka jest... nadzwyczaj elegancka! Uważa, że to wspaniałe dzieło!

- Ach tak - napisała Estelle, a charakter jej pisma wyraźnie się uspokoił. - Ta mała jest nader sympatyczna, a przede wszystkim ma świetny gust. Chociaż trzeba przyznać, że to, co powiedziała, jest dosyć oczywiste.

Oskar obawiał się, że Bones się obudzi lub że pan Brave znowu zejdzie na dół. Lepiej by było, żeby Estelle nie zaczynała swojego ulubionego tematu: ona i jej książki.

- Proszę pani, zastanawialiśmy się nad czymś w związku z Grimoire'em, a ponieważ pani książka jest jednym z najlepszych dzieł o Medykusach i o ich zdolnościach, pomyśleliśmy...

- Bardzo źle pomyślałeś, mój chłopcze: moja książka jest NAJLEPSZYM dziełem na temat Medykusów.

- Tak, tak, to oczywiste - powiedział Oskar, robiąc miny w stronę Valentine, która już chciała coś powiedzieć. - Właśnie dlatego, że pani książka jest najlepsza, pomyśleliśmy sobie, że na pewno dzięki niej wyjaśnimy nasze wątpliwości.

Estelle Fleetwood wydawała się zadowolona z komplementów, jakie prawił jej Oskar, i kontury jej pisma znowu złagodniały.

- No, słucham cię, słucham, o co chodzi, nie będziemy tu siedzieć przez całą noc!-Mój Grimoire nie umie odpowiedzieć na moje pytanie - powiedział Oskar.

- To niemożliwe - odparła Estelle kategorycznie. - Jeśli pytanie dotyczy właściciela, Grimoire zawsze udziela odpowiedzi. Musiałeś źle zadać pytanie.

- A jednak odpowiedział mi za pierwszym razem, kiedy zadałem mu to pytanie, potem zaś już nic więcej, kartka zawsze była pusta! - upierał się Oskar.

- Są zatem dwa możliwe wytłumaczenia tej sytuacji. Twój Grimoire mógł zostać sparaliżowany, przynajmniej w zakresie sprawy, o którą pytałeś. Albo też stracił pamięć. To taka anomalia, która przytrafia się niektórym Grimoire'om, coś w rodzaju wady fabrycznej. Trzeba go odesłać do...

Estelle zatrzymała się na chwdę. Dzieci pochyliły się w napięciu nad kartką. Ciągnęła dalej ostrożnie:

- Trzeba go oddać Winstonowi Brave'owi, będzie wiedział, co z nim zrobić.

- Chciała pani powiedzieć coś innego: trzeba go gdzieś odesłać, tak? Gdzie jest to miejsce?

- Nieważne - ucięła Estelle Fleetwood. - Dostaniesz w zamian inny. A teraz zanieś mnie już na moją półkę, jestem zmęczona. Jeśli nie odpocznę należycie, będę jutro dużo mniej olśniewająca w czasie twojej lekcji. Nie - poprawiła samą siebie. -

Masz rację, to w zasadzie niemożliwe, ale tak czy inaczej jestem zmęczona, kończmy to już.

- Też coś! - zezłościła się Valentine. - Mówi tak, bo sama nie wie, gdzie trzeba odesłać Grimoire'a, ot co!

- Co takiego?! A co to za bezczelna smarkula? - zdenerwowała się autorka. - Zapamiętajcie sobie jedno: Estelle Fleetwood wie WSZYSTKO! To przechodzi ludzkie wyobrażenie! Skoro tak się zachowujecie, nic już więcej nie powiem i poskarżę się panu Brave'owi. Macie mnie natychmiast zanieść do biblioteki!

Książka zamknęła się z trzaskiem. Oskar rzucił ciężkie spojrzenie Valentine, która umknęła wzrokiem, zawstydzona. Milczący dotąd Lawrence pochylił się nad okładką.

- Droga pani Fleetwood, jakież to dla mnie zaszczyt, że mogę się z panią spotkać, nawet w tak nerwowej chwili! Przeczytałem wszystkie pani książki i niezwykle panią podziwiam.

Książka milczała. Dzieci popatrzyły na siebie nieco rozczarowane i Oskar już wyciągał rękę po książkę, by ją odnieść, kiedy okładka znowu się uniosła, uderzając go w palce. Znow pojawiły się słowa.

- Ach tak, podziwiasz mnie? - pisała Estelle, niezdolna oprzeć się komplementom.

- Ależ tak, bardzo - pospiesznie odparł Lawrence. - I proszę mi wierzyć, nie jestem w tym osamotniony. W Uniwersum Hepatolii nie ma nikogo, kto by o pani nie słyszał, wszyscy powołują się tylko na panią! - dorzucił chłopiec, uśmiechając się od ucha do ucha.

Valentine przyglądała mu się zaskoczona. Sądząc z uszczęśliwionego wyrazu twarzy, Lawrence wydawał się mówić zupełnie szczerze!

- Gdybym tylko mógł kiedykolwiek mieć taką wiedzę jak pani - westchnął mały Hepatolijczyk. - Jakież to musi być szczęście!

- Rozumiem cię, mój chłopcze. Gdybym spotkała samą siebie, byłabym o siebie zazdrosna!



- Jestem pewien, że nawet Grimoire'y wiedzą mniej niż pani.

- No cóż, skromność nie pozwala mi tego wyznać, ale skoro ty tak twierdzisz...

- odpowiedziała Estelle, dumna jak paw.

- Jestem przekonany, że Valentine sama nie wie, co mówi - Lawrence dyplomatycznie nawiązał do interesującej ich sprawy. - Z pewnością pani doskonale wie, gdzie odsyła się te Grimoire'y, które nie umieją odpowiedzieć na pytania... - ciągnął sprytnie.

- Oczywiście, że wiem - odpowiedziała Estelle. - Odsyła się je do...

Znowu zamilkła. W końcu nie była zupełną idiotką, chociaż uwielbiała komplementy. Oskar i Valentine szturchnęli Lawrence'a, żeby jeszcze podpytał autorkę.

- Bardzo panią proszę, droga pani, czy mogłaby mi pani powiedzieć? Zapewniam panią, że to zostanie między nami. Byłbym taki dumny, gdybym uszczknął jeszcze tę odrobinę pani ogromnej wiedzy!

Estelle Fleetwood ciągle się wahała. Valentine nachyliła się do ucha Oskara.

- Ależ z niej komediantka! Gdybyśmy tak połaskotali jej brzegi kartek ogniem, jestem pewna, że napisałaby nam wszystko, co wie!

Oskar spojrzał na nią groźnie.

Estelle w końcu się odezwała:

- No, dobrze - napisała. - Ale to naprawdę tylko i wyłącznie do twojej wiadomości. Poszła sobie już ta bezczelna smarkata?

- Tak, tak - zapewnił ją Lawrence. - Poszła już, może mi pani spokojnie wszystko powiedzieć.

Autorka ostatecznie się zdecydowała.

- Jest tylko jedno takie miejsce na świecie, gdzie można ożywić pamięć Grimoire'a - prawdę powiedziawszy, można tam ożywić pamięć każdej innej istoty. To Sanktuarium Wiedzy.

- Sanktuarium... Wiedzy? - przeczytał głośno Lawrence, zafascynowany. - Ale co to takiego?

- To miejsce, gdzie zebrana jest i chroniona cała wiedza Medykusów. Znajduje się tam zawartość wszystkich ksiązek, bo my, autorzy, musimy składać tam nasze dzieła, zanim je opublikujemy. Są tam również wszystkie opowieści, przekazywane z pokolenia na pokolenie bez zapisywania. I jest także wiedza na temat przeszłości wszystkich Medykusów. To taka zbiorowa pamięć naszego Zakonu.

- Wspaniałe! - zawołał Lawrence, szczerze zachwycony. - Marzyłbym o tym, żeby spędzić moje życie w takim miejscu jak Sanktuarium Wiedzy!

- Niestety, to niemożliwe, drogi chłopcze - oznajmiła Estelle Fleetwood. - Ja sama chciałam się tam udać i poprosiłam o pozwolenie, ale nie udzielono mi go. Ty nie miałbyś żadnej szansy...

Dzieci miały się ochotę roześmiać. Zapewne ktoś się przestraszył, że Estelle zacznie pouczać innych nawet w tak szacownym miejscu jak Sanktuarium Wiedzy!

- A propos - podjęła znowu Estelle - kim właściwie jesteś?

- No więc - zaczął Lawrence, niezwykle dumny z faktu, że rozmawia z pisarką - mam na imię Lawrence i jestem...

- ...młodym Medykusem, tak samo jak ja, pani Fleetwood - Oskar przerwał tę rozmowę i pociągnął Lawrence'a za rękaw. - W każdym razie dziękujemy, bardzo nam pani pomogła. Może nam pani powiedzieć, gdzie znajduje się to Sanktuarium?

- Już wam powiedziałam - nie wpuszczono by was tam za próg. Tak czy inaczej, to jest zbyt tajna sprawa, mój mały. No, dość tego, naprawdę - skończyła gwałtownie Estelle Fleetwood. - Chciałabym wrócić do biblioteki!

Książka zamknęła się i mimo wszelkich starań dzieci nie chciała się już otworzyć.

Valentine zwróciła się w stronę przyjaciół.

- Wyobrażacie to sobie? To znaczy że jeśli zdołamy znaleźć to Sanktuarium, będziemy mogli zanieść tam twojego Grimoire'a i odblokować go!

- Nawet lepiej - wtrącił się Oskar. - Może nawet mógłbym tam od razu poznać historię mojego ojca. Nie potrzebowałbym wtedy nawet Grimoire'a, żeby poznać prawdę!

- Ona nigdy nam nie powie, gdzie jest Sanktuarium - stwierdził Lawrence.

- Znajdziemy je - odrzekł Oskar. - Znajdziemy je na pewno.

Spojrzał na zegar - dochodziła już pierwsza w nocy. Najwyższa pora, by odłożyć książkę Estelle na półkę i położyć się spać, jeśli jutro rano ma być w formie.

Otworzyli po cichu drzwi do salonu i wysliznęli się do hallu. I znowu zabrzmiały jakieś kroki, zanim jeszcze zdążyli dopaść schodów. Oskar popchnął przyjaciół w stronę kuchni. Tym razem jednak nie był to najlepszy pomysł. Kroki się zbliżały, ktoś człapał w klapkach na obcasach.

- Szybko! - szepnął Oskar. - Do spiżarni!

Trójka przyjaciół rzuciła się do pomieszczenia obszernego jak osobny pokój. Otworzyli do niego drzwi dokładnie w chwili, kiedy Cherie weszła do kuchni. Lawrence rozejrzał się dookoła zachwycony. Otaczały ich paczki makaronu, ryżu, rozmaite puszki konserw, słoiki i butelki. Na przykład bude oliwy! Oskar przyciągnął do siebie chłopca, zmuszając go, by się ukrył. Valentine uchyliła nieco drzwi i krztusiła się ze śmiechu. Cherie nawinęła swoje słomkowe włosy na różnokolorowe wałki. Miała na sobie kwiecisty szlafrok i klapki z różowymi pomponami. Oskar chciał zamknąć drzwi, dziewczynka odepchnęła go jednak.

- Zostaw - szepnęła. - Prześmieszna jest, a poza tym to straszny krótkowidz. Wcale nas nie widzi!

Kucharka otworzyła jakąś szafkę, wyjęła szklankę i nalała do niej soku. Ku wielkiej uldze Oskara zgasiła światło i już miała wyjść ze szklanką w rękę, kiedy zmieniła zdanie i skierowała się w głąb kuchni. W stronę spiżarni.

Wszyscy troje cofnęli się, przerażeni, Valentine przymknęła drzwi. Sekundę później klamka się przekręciła i weszła Cherie.

Oskar przycisnął do piersi książkę Estelle Fleetwood i zmusił swoich przyjaciół, by przysunęli się jak najbliżej ściany. Jeśli będą mieli odrobinę szczęścia, kucharka nie zauważy ich, wchodząc. Wstrzymali oddech.

Cherie weszła do spiżarni i skierowała się w stronę półek w głębi pomieszczenia, nie zapalając światła. Znała spiżarnię jak własną kieszeń. Zabrała

wielki stół korniszonów, butelkę mleka i chleb, po czym wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Dzieci odetchnęły.

- Chyba możemy powiedzieć, że mieliśmy dużo szczęścia - powiedziała Valentine z szerokim uśmiechem. - Mówiłam ci przecież, że ledwo widzi.

Lawrence nie powiedział ani słowa, stał nieruchomo przed drzwiami. Oskar go trącił.

- Wyjdź już, Lawrence, droga wolna, możemy iść.

- Mówiłaś, że mamy szczęście? - odezwał się Lawrence, patrząc w stronę Valentine. - Nie jestem tego taki pewien...

Oskar minął go i popchnął drzwi, te jednak nie ustąpiły. Były zamknięte.

- Zatrzasnęła je - jęknął Lawrence. - A one otwierają się tylko od zewnątrz...

Valentine nie chciało się już śmiać. Byli zamknięci w spiżarni na całą noc i z pewnością zostaną zdemaskowani rano, kiedy Cherie wróci do kuchni.

- Ajaj, sprawy się komplikują - powiedziała Valentine, której tym razem zabrakło pomysłów. - Co teraz robimy?

- Nie mamy wyboru - stwierdził Oskar.

Z regału z półkami, na których stały konserwy, szybkim ruchem ręki strącił wszystkie puszkę. Spadły ze strasznym hałasem.

- Oszałałeś! - zawołał przerażony Lawrence.

Oskar nie miał czasu na jakiegokolwiek tłumaczenia. Usłyszeli, jak Cherie wraca biegiem przez hall, tupiąc niczym oddział kawalerii. Wpadła do kuchni i otworzyła drzwi do spiżarni.

- Oskar! Ale... co ty tu robisz?

Weszła i popatrzyła na chłopca, który stał otoczony stosem konserw i słoików. Za jej plecami dwa cienie wymknęły się tymczasem na paluszkach do kuchni...

- Przepraszam panią, Cherie, zrobiłem się głodny, chciałem wziąć korniszonów z tej górnej półki i wszystko pospadało...

Cherie schyliła się i podniosła butelkę oliwy, która poturlała się aż do jej stóp.

- No i... chciało mi się też pić - dodał Oskar.

Pogłaskała go po policzku i uśmiechnęła się.

- Nic się nie stało, Oskarku - powiedziała. - Korniszony to dla mnie też pokusa nie do odparcia. Muszę czasem schrupać jednego, nawet w środku nocy!

Oskar rzucił jej spojrzenie aniołka.

- Niech pani się już kładzie, Cherie, ja posprzątam.

- Nie ma mowy! Leć do łóżka, a ja się zajmę tym bałaganem jutro rano, nie martw się o to. No już, do łóżka, migiem, bo jeszcze w końcu pan Brave nas skrzyczy.

- Chyba że ktoś mi wyjaśni, co się stało - odezwał się niski głos za ich plecami. Winston Brave, otulony w ciemnozielony szlafrok, wszedł do spiżarni. Oskar rzucił okiem do tyłu i wsunął nogą książkę Estelle pod rozsypany wszędzie makaron.

Cherie zaczęła bronić młodego Medykusa.

- Po prostu złapał go głód w środku nocy, panie Brave. Nic strasznego się nie stało.

Wielki Mistrz wpatrywał się intensywnie w Oskara, który patrzył w inną stronę. Czuł się bardzo nieswojo.

- No cóż, wobec tego smacznego, Oskarze, i wracaj do łóżka. Pamiętaj, że jutro rano musisz być wypoczęty.

Brave wyszedł z kuchni, Oskar odprowadził go wzrokiem.

- Dzięki, Cherie - powiedział z ulgą.

- A ty co tutaj jeszcze robisz? - skarciła go przyjaźnie kucharka. - Zmykaj!

Oskar skorzystał z chwili, kiedy Cherie była do niego odwrócona plecami - podniósł z ziemi książkę i najszybciej, jak tylko mógł, wyszedł ze spiżarni.

Wyjrzał w stronę hallu. Pan Brave poszedł już do siebie na górę, droga była wolna. Oskar pobiegł do biblioteki, odłożył książkę, która niemal sama wskoczyła na swoje miejsce na półce, wyszedł cicho i ruszył na górę po schodach.

Kiedy wrócił do swojego pokoju, podbiegł do szafy i zajrzał do niej - zarówno Valentine, jak i Lawrence chrapali już głośno.

Zamknął cicho drzwi, wśliznął się pod kołdrę i leżał, wpatrując się w sufit. Słowa Estelle Fleetwood o Sanktuarium Wiedzy wirowały mu ciągle w głowie. Dlaczego nikt wcześniej nie powiedział mu ani słowa na temat tego wspaniałego Sanktuarium, dopiero Estelle pierwsza to zrobiła? Czyżby chowano tam coś, czego nie powinien był odkryć? Każdego dnia świat Medykusów dostarczał mu nowych tajemnic, równie fascynujących, co zaskakujących - pozwalały mu one jednak bez wątpienia odpowiedzieć sobie na liczne pytania, które pojawiały się przed nim niemal codziennie.

W końcu zmęczenie wzięło górę i usnął, przytulając do siebie mały album ze zdjęciami.

### **Szantaż Boyda**

Cały tydzień minął błyskawicznie, następny podobnie. Oskar nie miał nawet jednej wolnej chwili do dyspozycji. Tymczasem zarówno on sam, jak i jego przyjaciele myśleli tylko o tym, by móc ponownie wypytać Estelle Fleetwood na temat Sanktuarium, wyrывая jej informację, gdzie się owo Sanktuarium znajduje. Lawrence sugerował, żeby spytać o to Alphonse'a de Saint-Larynxa, w końcu był autorem historii Medykusów, musiał słyszeć to i owo o Sanktuarium.

- Kłopot w tym, że Alphonse ma dosyć słabą pamięć... - powiedział przyjacielom Oskar.

- Niewiele stracimy, jeśli go o to spytamy - odparował Lawrence, jak zwykle logiczny i spokojny. - Tak czy owak, uważam, że nie powinniśmy porzucać tego planu z Boy-dem. Powiedział przecież, że powie ci, jak sprawić, żeby twój Grimoire przemówił, jeśli dasz mu coś w zamian.

- Ale to szantaż! - zawołała Valentine. - Poza tym na pewno on sam jest odpowiedzialny za to, że Grimoire mdczy...

- Nie wiem, czego ode mnie chce, ale nie mam najmniejszej ochoty mu pomagać - dodał Oskar. - Chciałbym spróbować znaleźć Sanktuarium, zanim poproszę Boyda o jakąkolwiek przysługę.

W piątek po południu miał nareszcie trochę wolnego czasu, żeby przygotować rzeczy przed powrotem do Babylon Heights. Uzgodnili, że Valentine i Lawrence spakują Oskarowi walizkę, on zaś chciał wykorzystać ten czas na wizytę w bibliotece.

Zszedł tam koło szesnastej. W hallu nie było widać nikogo. Cherie najwyraźniej siedziała w kuchni, Bones miał swoje zajęcia. Oskar otworzył drzwi do biblioteki i zamknął je za sobą.

Kiedy się odwrócił, wybałuszył oczy ze zdumienia i zneruchomiał.

- No proszę, mały Pill. Co ty tu robisz, tak daleko od Babylon Heights? Zgubiłeś się?

Oskar nie wierzył w to, co widzi. Miał przed sobą Rufusa Mossa, ojca Ronana - tutaj, w Cumides Circle!

Młody Medykus przygryzł wargi. Kiedyś Fletcher Worm wpadł na niego w hallu, teraz ojciec Mossa zaskoczył go w bibliotece. Pewnie Wielki Mistrz będzie na niego zły z tego powodu, ale skąd mógł wiedzieć, że zastanie tu tego człowieka?

Zauważył od razu, że Moss siedział na szczególnym fotelu - Machiavellim Fletchera Worma. Nie zdziwiło go to wcale. Żywił dla Mossa tyle samo sympatii, co dla tamtego członka Najwyższej Rady.

- Jestem spokrewniony z panem domu - odpowiedział niejasno Oskar.

Moss prychnął.-Ty miałbyś być krewnym adwokata? Bardzo by mnie to zdziwiło! Wiesz, jeśli pracujesz tutaj w czasie wakacji, żeby zgarnąć trochę forsy, nie ma się czego wstydzić! To nawet w porządku, że człowiek się stara, jeśli jest ubogi...

Oskar zastanawiał się, czy ma zostać, czy może wrócić do pokoju. Nie miał ochoty zostawiać Mossa samego w bibliotece, nawet jeśli książki umiały obronić się przed wścibskimi lub całkiem niepożądanymi czytelnikami. Spojrzał na półki. Nie dostrzegął braku któregośkolwiek tomu. Zresztą, jeśli syn wdał się w ojca, to ten nie będzie miał raczej ochoty sięgać po książkę, żeby ją sobie poczytać.

- No tak, tak to właśnie wygląda. A pan zna Wielkiego...

Oskar zamilkł. Nie miał pojęcia, co Moss wiedział o Patologusach i o Wielkim Mistrzu. Wolał zachować ostrożność.

- ...zna pan pana Brave'a? - dokończył.

Moss wstał i wziął do ręki jakąś figurkę, stojącą na jednej z półek. Żuł głośno gumę i jego słowom towarzyszyły głośne mlaśnięcia.

- Powiem ci coś, stary. Jestem tutaj, bo widzisz... Winston Brave to teraz przede wszystkim mój sąsiad. Poza tym przyszedłem tu w interesach... Tak to jest, jak człowiek dobrze sobie radzi i staje się kimś ważnym, rozumiesz? Nie, ty akurat nie możesz tego zrozumieć - dodał pogardliwym tonem.

Oskar patrzył na niego spokojnie. Muskularny i agresywny typek, cera oszpecona krostami, małe, zmrużone oczy, w których błyszczała złośliwość. Byli do siebie z synem podobni jak dwie krople wody. Rufus Moss wbił się w ciemny garnitur, nosił lakierki i sygnety na palcach, obwieszony był złotymi łańcuszkami. Przypominał gangstera z jakiegoś filmu sensacyjnego.-1 powiem ci więcej - dorzucił Moss. - Czuję się tutaj świetnie, to właściwe dla mnie otoczenie - mówiąc to, obrócił się dookoła, oglądając cały wytworny pokój. - Wszystko mi tu pasuje, jak ręką do rękawiczki. Wcale mi tu nie brak was, zapchlonych nędzarzy z Babylon Heights. Ani trochę mi was nie brakuje. Niech tam, twoja matka jest całkiem ładna, ale jaką to robiła minę, kiedy mnie mijiała! Zupełnie, jakby mnie nie dostrzegała... A tymczasem dzisiaj, cóż, jestem przekonany, że nie powiedziała by nie...

Opadł ciężko na fotel i wybuchnął śmiechem. Oskar, który starał się nad sobą zapanować aż do tej chwili, wybuchnął.

- Zabraniam panu tak mówić o mojej mamie! - krzyknął, zaciskając pięści. - Mnie też pana nie brak, przeciwnie, wszyscy bardzo się cieszymy, że się pan wyprowadził!

- O, chłoptaś gryzie? Chyba mój syn powinien cię ustawiać trochę częściej...

- Najpierw musiałoby mu się to chociaż raz udać - odpalił Oskar. - W każdym razie dobrze pan zrobił, że przyszedł pan do pana Brave'a. Jeśli nie chce pan pewnego dnia trafić do więzienia, lepiej mieć dobrego adwokata...



Moss podniósł się, nie uśmiechał się już tak szeroko. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i ukazał się Bones, wyraźnie zaskoczony obecnością Oskara w bibliotece.

- Pan pozwoli, proszę pana... - powiedział, patrząc na Mossa.

Rufus Moss pogroził palcem Oskarowi.

- A ty pamiętaj, jeszcze się zobaczymy, nauczę cię wtedy, jak się rozmawia ze starszymi...

Popchnął Oskara i poszedł za Bonesem, który zamknął drzwi. Rufusa Mossa nie było już w pokoju, ale Oskar nie potrafił zapomnieć o jego osobie. Dlaczego wielki Mistrz spotyka się z tym człowiekiem? Czy mógł mieć zaufanie do niego samego i do jego rodziny? Młodego Medykusa przepęłniała złość, zwątpienie, a jednocześnie zazdrość. Postanowił zapanować nad swoimi myślami. Zbliżył się do półek z książkami. Musiał pamiętać, po co właściwie przyszedł do biblioteki i że niebawem opuści Cumides Circle na cały weekend.

Odwrocił się. Tytus przysunął się już cicho do półek i czekał w gotowości. Oskar uśmiechnął się do niego smętnie i postanowił wziąć się w garść. Odkryje, gdzie znajduje się Sanktuarium, i udowodni swoją wartość pani Withers, panu Brave'owi i innym członkom Rady Najwyższej.

Wdrapał się na Tytusa i chciał wyciągnąć książkę Estelle Fleetwood. Nie dał rady - książka jak gdyby przyrosła do półki, Estelle najwyraźniej nie chciała z nim rozmawiać. Nie upierał się. Bał się trochę, że Bones wróci do biblioteki i każe mu wyjść.

Przypomniał sobie wtedy pierwszą myśl Lawrence'a - zapytać Alphonse'a o Sanktuarium. Przesunął Tytusa i wszedł na niego znowu. Już miał zabrać z półki piękną, oprawną w skórę księgę opowiadającą o historii Medykusów, kiedy jakiś ruch kazał mu się odwrócić. Spojrzał w tym kierunku i westchnął. Boyd po raz kolejny próbował przyciągnąć jego wzrok, podskakując na swoim miejscu na półce. Oskar chciał go w pierwszej chwili zlekceważyć, przestraszył się jednak znowu, że

hałas sprowadzi do biblioteki Bonesa lub Cherie - Boyd dobrze o tym wiedział. Młody Medykus w końcu się poddał.

Zszedł z Tytusa i położył - a raczej rzucił - książkę Boyda na stół. Wahał się przez chwędę, podczas gdy książka miotła się po blacie. Wreszcie ją otworzył.- Mógłbyś trochę uważać, kiedy kładziesz mnie na stole, mały! - wrzasnął Boyd, pisząc jak zwykle nierównymi kulfonami. - Myślisz może, że ci pomogę, skoro tak mnie traktujesz?!

- Wcale pana nie potrzebuję! - powiedział buńczucznie Oskar.

- To ty mnie mocno zawilo - odparł Boyd. - Jestem pewien, że twój Grimoire nadal nie odpowiedział na twoje pytanie, a jeśli liczysz na pomoc teło starej pryka z jeło nudnymi jak flaki z olejem opowieściami, to życzę ci Szczęścia! Ale skoro uważasz, że nie mamy Sobie nic do powiedzenia, trudno, tym gorzej dla ciebie. Odstaw mnie na miejsce...

Boyd miał rację i wiedział o tym. Poza tym Oskar był strasznie ciekaw jego propozycji.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Czego pan chce ode mnie?

- Już ci powiedziałem - przysługa za przysługę.

- O jaką przysługę panu chodzi?

- Ooo, ależ nasz malec jest dzisiaj w złym humorze!...

- Jeśli pan będzie dalej rozmawiał ze mną w ten sposób, odstawię pańską książkę, ale nie na półkę - skończy pan w kominku, w salonie!

Był wściekły!

- No już dotrze, nie denerwuj się tak...

Boyd nagle złagodniał. Najwyraźniej naprawdę bardzo Oskara potrzebuje.

- sprawa jest prosta - zaczął Boyd, starając się robić mniej kleksów niż zwykle na swojej kartce. - Ja ci pomogę w sprawie Grimoirea, a ty w zamian zabierzesz mnie stąd! - pisał coraz większymi literami.

- Zabrać pana stąd? A gdzie pan chce, żebym pana zabrał? 4

- Chciałbym, żebyś nabrał mnie z,e solą... na wyprane do żywego onanizmu.

- Co?! Chodzi panu o Introdukcję? Ale dlaczego?

- Bo nie żyję już od wielu lat i mam wielką ochotę tam wrócić! Chcę, żebyś nabrał mnie z, e sobą w czasie Introdukcji! - powtarzał Boyd jak rozkapryszone dziecko. - I nie tylko mnie!

Oskar musiał dwa razy przeczytać te ostatnie linijki, tak był zaskoczony prośbą.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „nie tylko mnie”?

- Estelle Fleetwood też chciałaby wziąć udział w takiej wyprawie. Jej też tego brakuje.

- Odkąd to przejmuje się pan tym, czego brakuje pani Fleetwood?

- Zmieniło się i basta! - oświadczył Boyd. - Poza tym to nie twoja sprawa! Chciałeś pognać moją propozycję, oto ona!

- Ależ ja nie mogę tego zrobić!

- Niby dlaczego?

- Bo nie można ot, tak sobie wybrać się na Introdukcję z... książkami pod pachą!

- Chyba mnie bierzesz za idiotę, Oskarze Fillu. Przypominam ci, że ja także byłem Medykusem, jeśli nawet od dawna jestem martwy! kwietnie wiem, co można, a cz. eło nie można robić w czasie Introdukcji, i otóż jak najbardziej można wziąć z, e sobą książkę! To całkowicie możliwe!

Oskar nie wiedział, co ma na to powiedzieć. Czuł się kompletnie zagubiony. Teoretycznie prośba Boyda nie wydawała się niemożliwa do spełnienia - nawet jeśli zabranie dwóch książek musiało być trochę niewygodne, mógł je przecież schować do dużej wewnętrznej kieszeni peleryny, tam, gdzie trzymał Grimoire'a. Z drugiej strony nie wiedział, czy pani Withers zgodzi się na to, a przede wszystkim - nie dowierzał Boydowi. Musiał wiedzieć więcej.

- Dlaczego tak panu zależy na tej Introdukcji?

- Już ci powiedziałem: straszcie mi t. eło Wakuje. Wróć do różnych miłych wspomnień i...

- I?...

- I będę miał poczucie, że jestem trochę bardziej żywy niż ldy tkwię na tej półce, to wszystko! Nie musisz, się na to godzić, ale pamiętaj, jeśli spodziewasz; się mojej pomocy, musisz mi dać coś w zamian - dodał Boyd.

Nie zczekał na odpowiedź chłopca, jego książka zamknęła się z trzaskiem.

Oskar poznał go już nieźle - jeśli się obrazi i postanowi nie pomagać w niczym, nie zmieni za nic swej decyzji. Zastanawiał się jeszcze przez kilka sekund. W gruncie rzeczy nie miał nic do stracenia. Pomówi jeszcze o tym z dwójką przyjaciół. Zawsze będzie się mógł wycofać.

W końcu otworzył ponownie Antologię Patologusów.

- No dobrze - powiedział. - Zgoda. Ale jeśli złamię pan słowo...

- Wiem, Wrzucisz; mnie do kominka w salonie! świetnie, jestem zatem gotów do drogi! - ucieszył się Boyd. - Kiedy to będzie możliwe?

- Nie mogę panu na razie powiedzieć. Nigdy nie wiem, kiedy nastąpi kolejna Introdukcja.

- No nie! - wrzasnął Boyd. - Nie ma mowy, żebym czekał, aż ta stara Withers...

- Jeśli jeszcze raz pozwoli sobie pan tak się wyrazić o pani Withers, nigdzie pana nie zabiorę! - uniósł się Oskar.

- Dobrze, już dobrze... Wolałbym po prostu, żeby nasza wyprawa nie zależała od z;dania tej sta... eee, od Berenice Withers - poprawił się Boyd, ścierając słowo, które już zaczynał pisać. - Estellei ja chcemy się wyrwać na chwilę z; tej biblioteki, wystarczy więc, jeśli wyniesiesz, nas z. Cumides Circle i wykonasz Introdukcję gdziekolwiek indziej! Upieczemy dwie pieczenie na jednym o|niu, za jednym zamachem wyjdziemy Stąd na świat i weźmiemy z tobą udział w Introdukcji! - podsumował zachwycony.

Oskar zawahał się. Zabrać ze sobą dwie książki do czyjegoś organizmu - to jedno, ale wynieść te książki z Cumides Circle i dokonać Introdukcji bez nadzoru pani Withers - to była zupełnie inna sprawa. Pamiętał zasady, ważne dla wszystkich Medykusów - nie robić nigdy Introdukcji bez zawiadomienia Rady. Nigdy.

- Pospiesz, się, Pillu Juniorze! Słyszę hałasy, zaraz, przedzie tu Bones. A jeśli odmówisz mi dziś, nie dostaniesz, już drugiej szansy, ostrzegam!

Oskar namyślał się jeszcze przez chwilę.

- Dobrze, zgoda. Przyjdę po was.

- Kiedy?

- To ja zadecyduję kiedy - odpowiedział Oskar, który nie chciał się poddać na całej linii. - Postaram się w przyszłym tygodniu.

-}Wh będzie - skapitulował Boyd. - Ale nie ocia4aj się. Moja oferta niebawem przestanie być Ważna.

### **Ciężka waliza**

Oskar szybko wrócił do swojego pokoju, by zrelacjonować Valentine i Lawrence'owi dyskusję z Boydem.

- Te książki są jakieś głupie - powiedziała Valentine, potrząsając głową. - My marzymy tylko o tym, żeby uciec z ciała, a one chcą się tam dostać! No i co teraz zrobisz? Zgodzisz się na ten plan?

- Jeszcze nie wiem na pewno - odparł Oskar. - Tylko mój Grimoire może mi opowiedzieć o ojcu. Jeżeli Alphonse nie wie nic o Sanktuarium Wiedzy i jeżeli Estelle Fleetwood nie będzie chciała powiedzieć nam nic więcej - tylko Boyd może mi pomóc i sprawić, żeby Grimoire zaczął mówić.

- Dlaczego nie spytasz o to pani Withers albo Wielkiego Mistrza? - spytała Valentine.

- Nie chcą ze mną rozmawiać o moim ojcu. A nawet jeśli im powiem, że to Boyd zablokował mojego Grimoire'a, on zawsze może zaprzeczyć i nie uwierzą mi.

- A jeśli Boyd cię okłamał i nie potrafi w żaden sposób uruchomić twojego Grimoire'a? - zapytał Lawrence, który do tej pory trzymał się z boku.-To byłoby dla niego zbyt ryzykowne - powiedziała Valentine. - Wie, że gdyby skłamał, czeka go kominek...

- Trzeba spróbować, mimo wszystko - zdecydował Oskar. - W końcu muszę tylko zabrać ze sobą dwie książki i przeniknąć do jakiegoś ciała, nic więcej... Pani Withers nie będzie o tym wiedziała, Wielki Mistrz także, jeśli wybiorę jakiegoś człowieka poza granicami Cumides Circle, nie wspominając o tym nikomu...

- Ale jak się zamierzasz do tego zabrać? - zapytała Valentine, zaintrygowana tą perspektywą.

- W czasie weekendu poszukam ochotnika w Babylon Heights.

- A jeśli nikt nie zechce zostać królikiem doświadczalnym? - naciskała dziewczynka.

- Wcale nie musimy pytać o pozwolenie - odparł Oskar z uśmiechem. - Mogę dokonać Introdukcji w taki sposób, że nikt niczego nie zauważy, ot co!

Lawrence przychylił się do zdania Oskara - według niego należało przyjąć propozycję Boyda. Miał tylko jedną wątpliwość.

- Jeśli nie zawiadomisz nikogo z Rady o Introdukcji i coś pójdzie nie tak, jak należy, nikt nie będzie w stanie udzielić ci pomocy... - powiedział.

- Owszem, my możemy to zrobić! - zawołała Valentine, łapiąc Lawrence'a za rękę i jak zwykle nie pytając go nawet o zgodę. - Nie sądzisz chyba, że pozwolimy mu tam iść całkiem samemu? Będzie nas potrzebował! Mam nawet lepszy pomysł.

- Jaki? - spytał podejrzliwie Oskar.

- Pojedziemy z tobą na ten weekend. Będziemy razem z tobą w Babylon Heights!

Tym razem nawet Lawrence wznosił oczy do nieba.-Co ty w ogóle gadasz! - oburzył się. - Oskar nie wyniesie przecież ze sobą dwóch książek, żeby dokonać Introdukcji w czasie tego weekendu!

- Nie, ale musimy mu towarzyszyć, żeby wybrać tę lub tego, który użyje nam swego ciała. A poza tym... poza tym...

- A poza tym umierasz z chęcią, żeby stąd wyjść, oto prawdziwy powód! - powiedział Lawrence.

- No to zostań sobie tutaj, skoro tak ci się podoba siedzieć bez przerwy w tym zamkniętym domu! Ja strasznie chcę zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Oskar - zwróciła się błagalnym tonem do młodego Medykusa - zabierz mnie ze sobą! Może pomyślimy nad tym, jak lepiej załatwić tę sprawę z Boydem, w jaki sposób wynieść książki przed Introdukcją, sama nie wiem... Ale jestem pewna, że mogę być użyteczna.

- A niby jak chcesz wyjść stąd i wsiąść razem z Oskarem do samochodu w taki sposób, żeby nikt nas nie zauważył? - zapytał Lawrence, który zaczynał już żałować swojej pierwszej reakcji i nie miał wcale ochoty zostać sam w domu na cały weekend.

- Zaufaj mi - odpowiedziała Valentine, patrząc na otwartą walizkę, stojącą pośrodku pokoju.

Chłopcy podeszli bliżej.

- Co jest?... Wywaliłaś wszystko z mojej walizki! Włożyłem tam różne rzeczy, żeby je zawieźć do domu! - zdenerwował się Oskar.

Valentine nie zwróciła najmniejszej uwagi na te pretensje i wskoczyła do walizki. Położyła się w środku, zwinęła w kłębek, a potem popatrzyła na nich z uśmiechem.

- Sami widzicie, łatwo się tu schować, jest nawet dość miejsca dla ciebie, Lawrence!

Lawrence cofnął się o krok.

- No nie, oszalałaś chyba! Ty wariatko, nie możemy...

- Daj spokój, chodź tutaj, spróbuj przynajmniej! - namawiała go Valentine, szarpiąc za nogawkę spodni.

Lawrence chciał się cofnąć, ale Valentine nadal mocno go trzymała. Chłopiec przewrócił się i zanurkował w sam środek walizki, przygniatając dziewczynkę swoim ciężarem.

- Aj, nie tak! - wydusiła Valentine. - Obok mnie, a nie na mnie!

Oskar roześmiał się i próbował bezskutecznie podnieść Lawrence'a, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Śmiech uwiązał mu w gardle.

- Oskarze, jesteś gotów? To ja, Jerry.

- Tak, tak, to znaczy za chwdę, ja... eee...

Oskar zdążył tylko złapać za uchwyt walizki i zatrzasać wieko.

Drzwi otworzyły się i na progu stanął Bones.

- Nie powiedziałem przecież „proszę wejść!” - zawołał Oskar, rozzłoszczony.

- Bardzo mi przykro, Oskarze, to nie ja.. - tłumaczył z tyłu Jerry.

- Wiem, że to nie pan - powiedział Oskar, piorunując majordomusa wściekłym spojrzeniem.

Wydawało się, że Bones ma całkowicie w nosie przytyki chłopca. Rozglądał się dookoła zaintrygowany.

- To zastanawiające, słyszałem przed chwdą śmiech w tym pokoju - powiedział powoli. - Sądziłem właśnie, że ktoś się tutaj zakradł bez twojej wiedzy.

- To ja się śmiałem - odparł Oskar. - To zabronione?

Bones nie odpowiedział. Oskar zerknął w dół, na walizkę, i odkrył z przerażeniem, że wystawał z niej jeden z czerwonychkucyków Valentine. Ukląkł pomiędzy Bonesem a walizką, wciskając kosmyk włosów z powrotem do środka. Zamknął bagaż na kluczyk.

Jerry przepchnął się obok Bonesa i stanął przed Oskarem.

- Mogę już zabrać bagaż? Chyba na ciebie czekają, pora jechać do domu.

Oskar chciał coś wymyślić i odsunąć chwilę wyjazdu, żeby uwolnić Valentine i Lawrence'a z walizki. Nie zdążył jednak - Jerry już ją chwycił. Jej waga zaskoczyła go, zatoczył się i mimo swoich silnych, muskularnych ramion ledwo ją udźwignął.

- No proszę - zdziwił się. - Pierwszy raz ta walizka jest taka ciężka! Zupełnie, jakbyś zabierał ze sobą swoje łóżko.

Nie czekając na Oskara, przeciągnął walizkę do korytarza. Kiedy dotarł do szczytu schodów, zaczął spuszczać bagaż ze stopnia na stopień. Oskar skrzywił się boleśnie na myśl o nieszczęsnej parze przyjaciół, podrzucanych i wstrząsanych jak



worki z ziemniakami. Już się bał chwili, kiedy Jerry rzuci walizę do bagażnika auta... Na Kildare Street zapewne zaczną liczyć siniaki! Pomyślał również z obawą o reakcji matki, kiedy pojawi się w domu z dwiema obcymi osobami.

Postanowił chwilowo o tym nie rozmyślać. Miał już trochę dosyć wszystkiego, pozostało mu modlić się o to, żeby nie stało się już nic gorszego aż do ich przyjazdu do Babylon Heights.

Bones wyszedł, Oskar ruszył tuż za nim. Miał cichą nadzieję, że majordomus nie zacznie manipulować przy walizce. Chłopiec wyprzedził go i przykleił się do Jerry'ego, który, cały spocony, dźwigał ciężki bagaż. Tym razem Oskar cieszył się, że Bones - zazwyczaj niespecjalnie chętny do pomocy - nie zaproponował Jerry'emu, że zanieśe razem z nim walizkę do samochodu. Kiedy biedny szofer zdołał minąć próg domu i wtaszczył walizę do samochodu, Oskar odetchnął z ulgą. Ale ostatecznie ulżyło mu dopiero w chwili, kiedy zatrzasnął drzwi auta i ruszyli przed siebie.

Przejechali przez miasto, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Oskar starannie omijał temat walizki, próbował rozbawić szofera. W końcu zza wielu spiętrzonych dachów wyjrzała różowa dzwonnica Babylon Heights.

Kilka minut później zajechali na Kildare Street. Violette zbiegła ze schodów i padła bratu w ramiona, z rękami pełnymi dziwnych rysunków i najrozmaitszych nowych wynalazków. Mama posłała mu uśmiech i pocałowała go.

- Dzięki - powiedział Oskar do Jerry'ego, który doniósł, a raczej dowlókł, walizę aż do hallu w domu. - Nie warto jej wnosić do pokoju, proszę pana. I tak muszę z niej wyciągnąć brudną bieliznę do prania.

- I będziesz to robił na środku hallu? - zdziwiła się Celia.

Na ogół bywało odwrotnie - to Oskar zarzucał często matce, że nie dba przesadnie o porządek, w związku z czym mieszkali w domu, gdzie było dosyć czysto, ale nic nie leżało na swoim miejscu.

Jerry'ego nie trzeba było dwa razy prosić, ulotnił się jak kamfora.

- No cóż, skoro mówisz, że masz tam brudne rzeczy, trzeba je od razu wyjąć - powiedziała mama, schylając się nad walizką.

- Nie! - krzyknął Oskar, powstrzymując matkę gestem. - Nie, zostaw to, sam się tym zajmę, naprawdę, ja...

Przerwało mu uderzenie od wewnątrz w pokrywę walizki. Celia spojrzała na bagaż podejrzliwie. Violette stała daleko od walizki, gromadziła właśnie rozmaite dzieła sztuki, które wykonała dla Oskara z najbardziej nieprawdopodobnych materiałów. Ona sama nie dotykała bagażu, wniosek nasuwał się zatem sam - odgłos pochodził ze środka walizki. Celia popatrzyła na swojego syna wzrokiem, który ten znał aż za dobrze, oznaczającym: „Oskar, musisz mi wyjaśnić, co się tu dzieje!”. Problem polegał na tym, że on nie bardzo wiedział, od czego zacząć... W tym momencie wszyscy usłyszeli zduszone głosy. Violette podniosła głowę znad swojej kolekcji i zawołała uszczęśliwiona:

- To niesamowite! Przywiozłeś walizkę, która sama mówi! Celia uklękła przy walizce i otworzyła mały zamek. Pokrywa sama odskoczyła i ze środka wynurzyły się dwie potargane głowy postaci przypominających ufoludki.

Matka otworzyła szeroko oczy, a Violette z zaciekawieniem przechyliła głowę. Lawrence jako pierwszy odzyskał przytomność umysłu.

- Szanowna pani - odezwał się uprzejmym tonem - to bardzo miłe z pani strony, że zechciała nas pani u siebie przyjąć.

Celia nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. W końcu nie wytrzymała i się roześmiała.

- Ależ proszę bardzo, szanowny panie - odpowiedziała tym samym tonem, co Lawrence. - Jest tylko jeden drobiazg - nie pamiętam, żebym was tutaj zapraszała. Ale witam serdecznie. Ponieważ mój syn nie uprzedził mnie o waszej wizycie, czy możecie mi powiedzieć, kim jesteście?

- Mam na imię Lawrence i jestem... jestem... Lawrence posłał Oskarowi pytające spojrzenie. Co mógł jeszcze wyjawić? Co matka Oskara wiedziała na ich temat? Wypadki potoczyły się tak błyskawicznie, że dzieci nie miały czasu ustalić żadnego planu! Valentine także się podniosła. - Ja nazywam się Erytra 34-46-3510, ale może mi pani mówić Valentine, tak jest krócej.

- Dziękuję - powiedziała Celia, rzucając Oskarowi coraz cięższe spojrzenia. - To prawda, Erytra 34 i tak dalej nie jest zbyt wygodnym imieniem. Synu, wydaje mi się, że musimy porozmawiać.

Violette stanęła przed Valentine z najszerszym ze swych uśmiechów.

- Strasznie mi się podoba kolor twoich włosów! - zawołała radośnie. - Ależ kozackie! Mam czerwone buty, jeśli chcesz, pożyczę ci.

- A mnie się strasznie podoba to żelastwo, które masz w ustach - powiedziała Valentine, której pochlebiał zachwyty Violette, i wskazała palcem aparat dziewczynki.

- Poza tym to niezwykle praktyczna sprawa, kiedy się potrzebuje żelaza. Ja na przykład cały czas muszę jeść żelazo, żeby być w dobrej formie!

Oskar zbliżył się do matki.

- Mamo, wszystko ci wyjaśnię.

- Ach, doprawdy, to zbytnia grzeczność z twojej strony.

- Czy Valentine i Lawrence mogą u nas zostać przez ten weekend? Bardzo cię proszę! Nie mogą tam wrócić! Jeśli odwieziesz ich do Cumides Circle, pan Brave odeśle ich z powrotem do Hepatolii i...

Celia położyła palec na ustach syna.

- Cisza, młody człowieku. Nic z tego nie rozumiem. Dobrze, po pierwsze - Violette, twoja nowa koleżanka będzie spała u ciebie w pokoju, pokaż też pokój twojego brata Lawrence'owi.

Oskar rzucił się mamie na szyję, potem zaś ruszył za pozostałymi dziećmi na górę. Matka złapała go jednak za rękę.

- Powiedziałam wyraźnie: Violette. A ty chodź ze mną do kuchni, winien mi jesteś parę słów wyjaśnienia.

Kiedy Oskar wytłumaczył już matce okoliczności, w jakich Valentine i Lawrence pojawili się w świecie ludzi, ta westchnęła ciężko.

- Jeśli dobrze wszystko zrozumiałam, jestem teraz współniczką mojego medykusowego synalka, który okazał się bardziej nieposłuszny niż kiedykolwiek.

Prawdziwy z ciebie anarchista! Czy naprawdę nigdy się nie zmienisz, Oskarze? Jakim cudem tym razem wygrzebiemy się z tego kłopotu?

Wstała z krzesła i rozejrzała się dookoła, z rękami na biodrach.

- No dobrze. Najpilniejsza sprawa to znaleźć żelazo dla tej małej i coś dla chłopca - nie wiem, na co on może mieć ochotę. Trzeba przygotować posiłek dla tej całej kolonijnej grupki! Pozostaje mi tylko skoczyć na zakupy.

- Mamo, tym razem akurat kotlety mielone i frytki będą doskonale pasowały.

- Tym lepiej, bo nie miałam zamiaru robić niczego innego - odpowiedziała matka. - Tymczasem dobrze by chyba było, żebyś nie szokował za bardzo sąsiadów towarzystwem twojej czerwonej koleżanki i żółtego kolegi. Nie przygotowałam sobie jeszcze żadnej sensownej odpowiedzi, jeśli ktoś mnie zagadnie o towarzystwo mojego syna... Czy to jasne?

- Całkowicie jasne! - odparł Oskar, stając na baczność.

Kiedy nadszedł wieczór, dom zamienił się w prawdziwe pole biwakowe.

Violette odstąpiła swoje łóżko Valentine, która była uszczęśliwiona faktem, że ma nareszcie koleżankę w tym świeciepełnym dotąd chłopaków. Co prawda, siostra Oskara wydawała jej się znacznie bardziej dziwaczna niż pozostałe istoty ludzkie, Valentine uważała jednak, że jest bardzo zabawna, jej uwagi były oryginalne, a wielobarwne ubrania wesołe. Violette była dużo ciekawszą osobą niż ci wszyscy, niezbyt liczni, przedstawiciele gatunku ludzkiego, których do tej pory spotkała lub widziała z ukrycia, jak Bones czy pan Brave.

W samym środku nocy Violette postanowiła poobserwować księżyc i skorzystać z jego bladego światła, „dużo piękniejszego niż światło z żarówek, piękniejszego nawet niż światło słoneczne!”. Valentine, żyjąca w Wielkim Między-uniwersalnym Systemie, a później zamykana na noc w szafie, którą dzieliła z Lawrence'em - nie widziała nigdy dotąd księżycy. Usiadła obok Violette w koszuli nocnej i dziewczynki zaczęły opowiadać sobie najprzeróżniejsze historie. Violette była prawie jak istota pozaziemska w swoim świecie, a Valentine po prostu pochodziła z innego świata. Obydwie bardzo się różniły od dziewczynek z

Pleasantville (jak też, prawdę powiedziawszy, od wszystkich innych dziewczynek) i nie dziwiło ich nic, co rówieśnicy określiliby jako odmienne. Violette czuła się szczęśliwa, bo okazało się, że istnieje rówieśnica, która jest w stanie ją zrozumieć i która akceptuje ją, razem z jej dziwactwami. Tak rzadko się to zdarzało!

Zapewne spędziłyby całą noc na pogaduszkach, gdyby nie interwencja Celi, która zagroziła, że je rozdzieli.

Lawrence również szybko zadomowił się w pokoju Oskara, były tam bowiem półki pełne książek. Oskar próbował mu pokazać jakąś grę na swojej konsoli, bez większego efektu jednak - Lawrence odłożył joystick i rzucił się na jakąś powieść, która po kilku chwilach wciągnęła go całkowicie. - Podróż do wnętrza Ziemi... - tytuł go rozbawił. - Kto to jest ten Juliusz Verne? Nieźle pisze, ale należałoby mu wyjaśnić, że znacznie bardziej pasjonujące rzeczy są wewnątrz ludzkiego ciała! Szkoda, że nie był Medykusem, mógłby snuć niesamowite opowieści po powrocie ze swoich wypraw...

- Trochę za późno, żeby mu o tym powiedzieć - odparł Oskar. - Już nie żyje.

- Trudno - westchnął Lawrence. - O, a to, co to takiego?

- Spiderman? Nie znasz Spidermana? Na jakim świecie ty żyjesz?

- W Hepatolii - odpowiedział bardzo poważnie Lawrence. - A o czym jest ten Spiderman?

- To historia o takim bohaterze, człowieku-pająku, który broni Nowego Jorku przed złymi. Genialne, mówię ci!

Lawrence zamilkł i zagłębił się w lekturze pierwszego tomu. Młody Hepatolijczyk czytał w piorunującym tempie, Oskar obserwował go w osłupieniu. A przecież sam także bardzo lubił czytać! Lawrence podniósł wzrok po przeczytaniu pięciu zeszytów.

- Nieźle - zawyrokował.

- Nie - powiedział Oskar. - Nie wystarczy powiedzieć, że nieźle. To jest genialne!

- Może i genialne, ale to nie istnieje naprawdę! A ja znam chłopaka, który żyje w prawdziwym świecie i który ma moc znacznie większą niż ten człowiek-pająk...

- Kto to taki?

Lawrence zerknął na niego sponad okularów.

- Ty, spryciarzu!

Oskar wzruszył ramionami. Jego zdaniem nikt nie mógł równać się ze Spidermanem, nawet jeśli jego przygody niebyły prawdziwe. To dzięki niemu polubił czytanie książek. Poza tym nie widział niczego nadzwyczajnego w tym, czego sam dokonał, odkąd poznał panią Withers. Wręcz przeciwnie, to wszystko wydawało mu się dosyć banalne. Jego niedoścignionym wzorem pozostawał ojciec - marzył tylko o tym, by mu dorównać i by jego, Oskara, bliscy mogli być w przyszłości dumni z tego, co udało mu się zrobić jako Medykusowi.

- Zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego wszystkiego, co dzieje się w twoim życiu? Żyjesz tu sobie jak zwykły człowiek, z rodziną i przyjaciółmi, uczysz się też niesamowitych rzeczy w Cumides Circle, a jednocześnie umiesz przeniknąć do żywego organizmu, podróżować po pięciu Uniwersach i odkrywać to, czego niemal nikt nie zna, ale co realnie istnieje!

- Na razie próbuję tylko zdobyć moje pierwsze Trofeum - powiedział Oskar smętnie.

- I prawie ci się udało za pierwszym razem. Oskar, jesteś niesamowity, wiesz o tym?

W odpowiedzi chłopiec potrząsnął głową.

- Niczego takiego nie zrobiłem, jestem... jestem po prostu zwykłym Medykusem, to wszystko.

- Tak, ale to już bardzo dużo - odpowiedział Lawrence. - Poza tym nie ma was już zbyt wielu, mówił mi o tym ojciec. Tutaj, na ziemi, ludzie potrzebują bardzo waszej pomocy, ale przede wszystkim my was potrzebujemy w pięciu Uniwersach.

Oskar milczał. Pamiętał, co pani Withers, a później także Maureen Joubert mówiły o jego ojcu - że dokonał wielkich rzeczy dla ludzi. Teraz była jego kolej, czuł

się jednak całkiem mały i słaby, pomimo pochwał Lawrence'a. Jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek chciał iść dalej swoją drogą Medykusa.-Ale przyznaję, że to rzeczywiście jest świetne - powiedział Lawrence, pogrążając się na nowo w lekturze.

- Bardzo dobre są te historie o człowieku-pająku, nawet jeśli to wszystko jest nieprawdziwe.

- Doskonale - powiedział damski głos po drugiej stronie drzwi - a teraz Spiderman zgasi światło w tym pokoju, inaczej grożą wam całkiem rzeczywiste klapsy.

Celia uchyliła drzwi i chłopcy wskoczyli czym prędzej do łóżek - Oskar do swojego, nad biurkiem, a Lawrence - na dmuchany materac, leżący na ziemi.

- To mimo wszystko dużo lepsze niż koc na dnie szafy - powiedział przed zaśnięciem.

Następnego dnia dzieci wstały o świcie, kiedy pierwsze promienie słońca zajrzały do okien. Szybko zbiegły na śniadanie, a potem - zanim Celia zdołała je zatrzymać - cała czwórka czmychnęła na ulice Babylon Heights.

Matka zdążyła im jeszcze tylko poradzić, w jaki sposób mają przedstawiać gości - Valentine i Lawrence byli dalekimi kuzynami z Anglii. Ich nieco dziwnym rodzicom wydawało się zupełnie normalne, że dziewczynki w ich rodzinie farbują sobie włosy na czerwono. Chłopcy zaś miewali dziwny odcień skóry, to wszystko.

- A przede wszystkim - dodała Celia - nie pakujcie się w jakieś długie tłumaczenia. Im mniej będziecie mówić, tym lepiej.

Dzieci spieszyły się z wyjściem na dwór z jeszcze innego powodu - bardzo wcześnie rano przed ich domem rozległo się ogłuszające trąbienie samochodu, jakby ktoś usiadł na kierownicy. Oskar, leżący jeszcze w łóżku, rozpoznał od razu ten dźwięk. Dzień zapowiadał się kiepsko. A kiedy dzieciszły na dół, Oskar i Violette z przykrością odkryli w kuchni obecność tego drętwego Barry'ego Huxleya, który kleił się do ich matki. Wiedzieli oczywiście, że Barry jest dla niej miły, przynosi ładne prezenty i zabiera ją do restauracji, nie mogli jednak za żadne skarby uwierzyć, że jej

się to naprawdę podoba. Celia wiele razy tłumaczyła im, że w jej sercu nikt nie zastąpi jej ich ojca, musi jednak spotykać się z innymi ludźmi.

- Ale dlaczego akurat z nim? - uniósł się Oskar. - Jest beznadziejny!

- Oskar, błagam cię! - skrzyczała go mama. - Nie próbowałeś go nawet poznać, nie dałeś mu żadnej szansy!

- Szansy na co?... - krzyknął. - Miałby nagle stać się miły i inteligentny? Bardzo by mnie to zdziwiło! Jedyne, co umie powiedzieć, to „Co nieee?...”.

Przerwał i wyszedł szybko. Od tamtej pory nie rozmawiali już o tym. Dzieci starały się wychodzić z domu, kiedy Barry przyjeżdżał z wizytą do matki.

Tego ranka, kiedy Oskar zauważył w kuchni muskularną postać Barry'ego, zawahał się przed wejściem, jednak Violette, Valentine i Lawrence popchnęli go z tyłu i wszyscy czworo wylądowali na środku pomieszczenia. Violette zaczęła od razu nucić coś pod nosem, nie spuszczać z oka wysokiej, jasnowłosej postaci, Lawrence przetaił swoje okulary, a Valentine zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, kto to jest - szepnęła na ucho Oskarowi - ale już wiem, że nie mam ochoty tego wiedzieć!

Barry odwrócił się i zagwizdał zaskoczony.

- No proszę, Celia, czyżbyś zrobiła sobie dwoje dodatkowych dzieci w nocy, coo?Zaczął się głupawo zaśmiewać z własnego dowcipu. A ponieważ nikt inny się nie roześmiał, stwierdził najwyraźniej, że musi jeszcze coś dorzucić.

- W każdym razie wszystkie są wybrakowane kolorystycznie!

Dzieci usiadły przy stole, tymczasem Celia kręciła się speszona, starając się przygotować im coś do jedzenia. Lawrence z pewnym trudem wspiął się na wysoki taboret. Barry chciał go podsadzić i skrzywił się.

- Hej, mały, musisz chyba zrzucić trochę sadła, co niee? - powiedział, dźgając palcem zaokrąglony brzuch chłopca. - Nie da się tego zlikwidować, zażerając się kluchami na śniadanie!

- Barry, proszę cię... - odezwała się cicho Celia.

- No co, co ja takiego powiedziałem?



- Powiedział, co wiedział - mruknął Oskar pod nosem.

Barry, który nie dosłyszał jego odpowiedzi, wybuchnął znowu grzmiącym śmiechem. Lawrence nie śmiał mu odpowiedzieć. Jego żółtawa twarz przybrała odcień pomarańczowy. Ledwo tknął przygotowany przez Celię posiłek. Młody Medykus spojrział z nieukrywaną złością na Barry'ego, a potem także na Celię. Szybko skończyli śniadanie i wstali z ulgą od stołu.

Byli już w głębi ogrodu, kiedy Oskar usłyszał, jak matka woła:

- Synu, tylko nie wracajcie zbyt późno!

- Do zobaczenia wieczorem! - odpowiedział Oskar. Nie odwrócił się nawet, błagał w duchu, żeby po powrocie do domu nie zastali tam już tego prostaka.

Lawrence i Valentine otwierali szeroko oczy ze zdziwienia, oglądając rzeczy, których wcześniej nigdy nie widzieli: domy, stojące przy ulicy w szeregu, jeden obok drugiego, kolorowe fasady, ludzi rozmaitych ras, których mijali na ulicy, samochody, przeciskające się z trudem przez zakorkowane jezdnie, rozlegające się wszędzie śmiechy i krzyki. Sąsiedzi wychylali się z okien i wołali do młodych Pillów:

- Cześć, rudzielce! Jak tam wasze wakacje? Rzadko cię ostatnio widzujemy, Oskarze!

Violette machała do wszystkich, których mijali, Oskar odpowiadał na pytania, cały czas jeszcze lekko nachmurzony z powodu wizyty Barry'ego „Co Nie?” w ich domu. Nagle jakieś głośniejsze okrzyki wytrąciły go z zamyślenia: Jeremy O'Maley rzucił się w jego kierunku, za chwałę dopadł ich też jego starszy brat, Barth.

- Oskar! Siemanko! - zawołał Jeremy. - Dawno cię nie widzieliśmy! Zostajesz na Kddare Street przez cały weekend?

- Tak, wróciłem z dwojgiem... kuzynów. To Valentine i Lawrence, poznajcie się.

Jeremy kiwnął głową chłopcu i uśmiechnął się do Valentine. Najwyraźniej był mocno zaskoczony.

- Nie wiedziałem, że masz kuzynów! Nie są do ciebie za bardzo... za bardzo podobni!

- Faktycznie - odparł Oskar, który wolał trzymać się rad matki i nie zagłębiać się w zbyt skomplikowane tłumaczenia. - To dosyć dalecy kuzynowie.

- Tak, ale dzięki Oskarowi, który ich spotkał, zbliżyli się i teraz już nie są dalekimi kuzynami! - dorzuciła Violette, bardzo zadowolona ze swojego wyjaśnienia.

- Tak, Violette, wszystko się zgadza - Oskar przerwał jej pośpiesznie, obawiając się, że siostra popełni jakąś gafę. - Co dziś robicie?

- Chcieliśmy właśnie wam zaproponować, żebyśmy poszli razem do Babylon Parku.Ł

- No proszę - powiedział Oskar - nie pracujesz dzisiaj w Bazarze? Interesy kiepsko idą?

Jeremy roześmiał się.

- Oszalałeś? Interesy kwitną! Chciałem, żebyśmy się wybrali do parku, bo organizuję tam dzisiaj piknik z loterią, napojami, ciastkami i tak dalej.

- Poczekaj, niech zgadnę - powiedział Oskar. - Ciastka są od pani Orfanoudakis, napoje od twoich rodziców, a nagrody na loterii to rzeczy, których nie udało ci się sprzedać w Bazarze?

Jeremy przybił piątkę Oskarowi.

- A cena biletu na loterię jest wyższa niż ceny tych rzeczy, których nie udało mi się sprzedać, to chyba jasne? Brawo, Oskar, łapiesz w lot! Powinieneś zostać naszym wspólnikiem, mówiłem ci!

Dzieci ruszyły na piknik i świetnie się na nim bawiły przez całe przedpołudnie. Jeremy dał Valentine w prezencie bilet na loterię, dzięki któremu wygrała korkociąg, który co prawda nie otwierał żadnej butelki, ale za to można go było zmienić w długopis. Przez dłuższą chwilę przyglądała się uważnie temu przedmiotowi, nie bardzo rozumiejąc, do czego może służyć, ale w końcu serdecznie podziękowała Jeremy'emu.

Oskar i Barth wzięli udział w konkursie na biegi w worku. W międzyczasie Oskar zauważył Aydena Spencera, którego swego czasu wybronił przed Mossem na szkolnym podwórku. Ciągłe miał do Aydena pretensje o te dwie godziny odsiadki.

Nieśmiały kolega zbliżył się w końcu, umykając w bok spojrzeniem.

- Cześć, Oskar.

- Cześć - odparł młody Medykus oschłym tonem.-Bierzesz udział w tym konkursie? - spytał Ayden z zazdrością w głosie.

- Tak. A ty nie? No tak, do tego trzeba trochę odwagi, to fakt - powiedział złośliwie Oskar.

- Ja... nie mogę - odpowiedział Ayden, czerwony ze wstydu. - Lekarz mi nie pozwala. Mówi, że to mogłoby być zbyt niebezpieczne.

Oskar przypomniał sobie, że Ayden nosi gorset, tę dziwną, gipsową konstrukcję na klatce piersiowej, chroniącą kręgosłup i plecy. Pożałował swojej złośliwości. Nadeszła jego kolej. Zostawił Aydena i ruszył do wyścigu. Kiedy skończył, Spencer już zniknął.

Później udało im się z Barthem odszukać pozostałe dzieci i zjedli razem gigantyczne pizze, które przygotowała pani Golino. Było ich oczywiście znacznie więcej niż to, co Jeremy zdołałaby sprzedać uczestnikom pikniku, najedli się zatem do syta, poza Valentine, która nie znosiła widoku pomidorów.

- Mam wrażenie, że to tak, jakbym miała się napić z jakiejś rzeki WMUS-u albo zjeść kawałek Erytrocyta! - krzywiła się z niesmakiem.

- Z jakiej rzeki? Zjeść kawałek czego?... - zdziwił się Jeremy z pełnymi ustami.

- To nazwa rzeki, która przepływa przez miasto, gdzie mieszka Valentine - wyjaśnił pośpiesznie Oskar.

- A w tym mieście, w którym mieszkasz, wszyscy mają... takie włosy? - spytał Jeremy, wskazując trójkątnym kawałkiem pizzy głowę Valentine.

- Tak, wszyscy - potwierdziła dziewczynka, bawiąc się jednym ze swoich kucyków.Po jedzeniu Barth zaproponował Violette przejażdżkę łódką po jeziorze.

Kiedy wrócili, Violette była cała przemoczona, a wielkiemu Barthowi było najwyraźniej nieswojo.

- Chciała sprawdzić, czy jest mokro do samego dna. Wypadła z łódki, ale od razu ją wyciągnąłem - tłumaczył się.

Oskar uspokoił go. Świetnie znał swoją siostrę, nie było to ani pierwsze, ani ostatnie dziwactwo w jej wykonaniu. Violette, która wykręcała wodę ze swoich rudych warkoczyków, wydawała się zachwycona nowym doświadczeniem - sprawdziła, że aż do dna wszystko było mokre! Valentine pomogła jej się osuszyć, a tymczasem Lawrence zagłębił się w skomplikowane tłumaczenie natury cieczy, gazów i ciał stałych.

- Dosyć są jednak dziwni ci twoi kuzynowie - stwierdził Jeremy, przewiercając spojrzeniem Lawrence'a. - Dlaczego on jest cały żółty? Poza tym ma taką okrągłą głowę i brzuch też...

Jeremy mówił głośno, chcąc przekrzyczeć muzykę. Lawrence odwrócił się w jego stronę i wstał. Twarz mu pociemniała.

- W Hepatolii jeśli ktoś wygląda tak jak ja, to znaczy, że cieszy się dobrym zdrowiem. Gdybym był podobny do ciebie i taki chudy, nie pozwolono by mi pracować. Ale nikt by mnie nie krytykował. U was, jeśli ktoś wygląda inaczej niż wszyscy inni, od razu go krytykujecie i uważacie, że jest okropny. I kpicie sobie z takiej osoby.

Oskar jeszcze nigdy nie widział Lawrence'a tak zdenerwowanego - chłopiec cały drżał. Chciał jakoś zatrzeć słowa Jeremy'ego, ale Lawrence nie dopuścił go do głosu i znowu zwrócił się do małego Irlandczyka:

- W naszym Uniwersum - mówił młody Hepatolijczyk - to ty byłbyś odmieńcem. Ale nikt by się z ciebie nie naśmiewał. Nie byłbyś ani lepszy, ani gorszy, tylko inny. Po prostu inny. Lawrence oddalił się i usiadł pod drzewem z książką. Jeremy patrzył w inną stronę, czid się głupio. Oskar był na niego zły, że sprawił Lawrence'owi taką przykrość.

- Trochę jest chyba przewrażliwiony, co? - spytał Jeremy.

Oskar wstał.

- Nie - powiedział rozzłoszczony. - Jest tylko inny od ciebie. Kiedy ktoś sobie z ciebie pokpiwa, ty masz to w nosie, a on - nie. To wszystko.

Podszedł do Violette i Valentine.

- Wracamy do domu - zarządził.

Dziewczynki nie miały na to ochoty.

- Już? Ale my się tu tak fajnie bawimy, Barth nosi nas na barana i mogliśmy zrywać czereśnie, nawet z najwyższych gałęzi, i...

- Wracamy - powtórzył Oskar.

Podszedł do Lawrence'a, który także wstał i ruszył przed siebie.

Przez całą drogę powrotną dziewczynki ćwierkały jak wróble, a Lawrence nie odezwał się ani jednym słowem. Szedł ze spuszczoną głową, jakby dźwigał na ramionach ogromny ciężar.

Wieczorem ledwo tknął kolację, którą Celia dla nich przygotowała, i zdecydował położyć się wcześniej do łóżka. Kiedy Oskar przyszedł do pokoju, Lawrence chrapał.

Dopiero kiedy młody Medykus już zasnął, Lawrence otworzył oczy i przestał udawać, że śpi. Część nocy spędził, obserwując niebo i gwiazdy zza półprzymkniętych okiennic. Zapadł w końcu w sen dopiero wtedy, kiedy już nie mógł oprzeć się zmęczeniu. Pod powiekami bezustannie powracały do niego obrazy góry. Zdał sobie sprawę, że tęskni za mieszkańcami i za atmosferą swojego Uniwersum.

### **Przylapany na gorącym uczynku**

Następnego dnia rano dzieci zasypiały przy stole, miały podkrążone oczy. Dla Oskara miniony tydzień w Cumides Circle okazał się wyjątkowo męczący, Lawrence miał za sobą nieprzespaną noc, a dziewczynki gadały do późna, mimo ostrzeżeń

Celii. Dostali obfite śniadanie. Lawrence odzyskał częściowo apetyt, co ucieszyło Celię.

- Dziś rano przyszła do was paczka, moje dzieci. Znalazłam to pod drzwiami, do paczki była przypięta kartka.

Oskar przeczytał napis na kartoniku, rozpoznał pismo:

Z najlepszymi życzeniami od Bazaru Jeremy'ego

Otworzył paczkę. Pełno w niej było cukierków, czekolady i wszelkiego rodzaju łakoci. Była tam także mała paczuszka dla Valentine zawierająca szminkę o smaku truskawkowym, zawiniętą w kartkę, na której napisano:

Żeby pasowała do włosówNa samym dniu paczki Oskar znalazł kopertę i podał ją Lawrence'owi.

- Masz, to dla ciebie - powiedział.

- Dla mnie??

Hepatołijczyk otworzył kopertę i wyjął kilka zdjęć i obrazków.

- Kto to jest? - spytał, podając pierwszy Oskarowi. - A, już wiem. To Spiderman, ten człowiek-pająk.

Lawrence obejrzał resztę zdjęć, po czym przekazał je Oskarowi.

- Nie znam nikogo.

- To Amadeusz, nasz afrykański kolega z klasy.

- A ten tutaj, z wiechciem na głowie?

- To Simpson, strasznie zabawna postać z filmu rysunkowego..

Lawrence podrapał się po głowie.

- Dlaczego mi to przysłał?

Oskar zerknął na słowa, widniejące na odwrocie ostatniego obrazka, i podał go Lawrence'owi. Hepatołijczyk przeczytał je na głos:

Wszyscy są INNI i bardzo ich lubię.

Jeremy

Uśmiechnął się. Oskar miał wrażenie, że smutek i zmęczenie uleciały z jego twarzy w jednej chwili.

W tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi i dzieci rzuciły się do okna. Barth i Jeremy czekali na nich na chodniku. Jeremy siedział na długim rowerze, który miał trzy siodełka, Barth zaś ciągnął swoim rowerem małą przyczepkę.-Dziewczyny, Barth zaprasza was na przejażdżkę swoim powozem, a wam, chłopaki, proponuję rower! Pasuje?

Dzieci krzyknęły chórem, że się zgadzają, i wybiegły pędem z domu.

Valentine i Violette usadowiły się w przyczepie. Była oczywiście przemalowana na kolory firmowe Bazaru, którego wizytówka, wypisana białymi literami, widniała na boku pojazdu. Można ją było odczytać z drugiego końca ulicy.

- Musimy sobie załatwić trochę reklamy, rozumiecie - wyjaśnił Jeremy.

Trzej chłopcy wskoczyli na rower. Lawrence puścił w niepamięć przykre rozmowy, które miały miejsce poprzedniego dnia. Na wyprawę po dzielnicę spędzili czas aż do południa.

Kiedy już wrócili do domu i Celia przyszykowała im posiłek, wyszli do ogrodu. Jeremy zadał pytanie, które trapiło go od ich ostatniego spotkania a którego nie śmiał zadać wcześniej.

- Co to jest Uniwersum Hepatolii?

Oskar chciał coś powiedzieć, ale przyjaciel go powstrzymał.

- Nie jestem może geniuszem, ale mimo wszystko... Nie uwierzę, że istnieje miasto, gdzie wszyscy mają czerwone włosy i żółtą skórę.

Odwrócił się w stronę swoich nowych znajomych.

- Skoro zaczęliście ten temat, wyjaśnijcie nam to teraz do końca. Nikomu niczego nie powtórzymy, prawda, Barth?

Jego brat kiwnął głową i wstał.

- Mogę pójść i pojeździć sobie trochę na rowerze, jeśli nie chcecie, żebym słyszał...

- Zostań - powiedział w końcu Lawrence, który do tej pory milczał. - Mam do ciebie więcej zaufania niż do Jeremy'ego...-Co? - zawołał urażony Jeremy. - Przecież we mnie wszystko zapada jak w studnię, każdy to wie!

Oskar popatrzył na niego z ukosa.

- No, dobra - przyznał Jeremy. - Nie zawsze. Ale kiedy w grę wchodzi moi przyjaciele, umiem milczeć. Poza tym - dodał z przebiegłą miną - jeśli będę wiedział, co się dzieje, może będę też wam mógł pomóc.

- A kto ci powiedział, że potrzebujemy twojej pomocy? - spytała Valentine.

Jeremy oparł się plecami o drzewo, bardzo pewny siebie.

- Wszyscy bez wyjątku potrzebują Jeremy'ego. Opowiadajcie!

NoooL.

To wszystko, co Jeremy był w stanie wyjąkać, kiedy wysłuchał opowieści przyjaciół. Sam już nie wiedział, co zrobiło na nim większe wrażenie - dziwna moc Oskara czy pochodzenie dwojga nowych znajomych...

- W każdym razie, kochani - stwierdził Jeremy, kiedy już odzyskał mowę - z tym wszystkim w ręku możemy zbić fortunę. Wykombinujemy taki spektakl, w którym Oskar będzie przenikał do ciała losowo wybranej osoby! A wy dwoje będziecie odgrywać pozaziemskie istoty, które przywiózł ze swojej ostatniej wyprawy!

- A czy możesz zrobić dla mnie coś znacznie ważniejszego - zapytał Oskar.

- Co takiego? - spytał Jeremy podejrzliwie.

- Potrzebuję ochotnika. Chciałbym dokonać Introdukcji, mając ze sobą książki Boyda i Estelle Fleetwood - wyjaśnił Oskar. - Może mógłbyś...-O nie, nie ma mowy! - uciął nagle Jeremy. - Nie chcę, żeby mój najlepszy przyjaciel przenikał do mojego organizmu i oglądał to, co się dzieje tam w środku - mówił, klepiąc się po klatce piersiowej. - Ani tym bardziej tam! - dodał, wskazując na swój brzuch.

- Brawo - rzekła kpiącym tonem Valentine. - To tyle u was znaczy przyjaźń?

- Ja się zgłaszam, jeśli to może wam pomóc - rzekł Barth, zawsze chętny, by oddać jakąś przysługę.

Jeremy zastanawiał się przez chwilę.



- Mam lepszy pomysł - powiedział. - Dobry byłby taki ochotnik, który nie musiałby mieć wielkiej chęci, to znaczy - w ogóle nie zdawałby sobie sprawy z całego przedsięwzięcia. Mam kogoś takiego na oku - dodał z pewną siebie miną.

- O kim konkretnie myślisz? - spytał Oskar, który cały czas kontrolował okno od kuchni, czy aby nie pojawi się w nim postać matki.

Młody Medykus bał się, że mama usłyszy ich rozmowę. Opowiedział jej oczywiście wszystko na temat Valentine i Lawrence'a. Nie wiedziała jednak nic o mdczącym Grimoirze, o staraniach syna, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat ojca, ani o kontrakcie z Boydem. Nie miała też pojęcia o Sanktuarium Wiedzy. Ten ostatni sekret Oskar dzielił jedynie z Valentine i Lawrence'em.

Jeremy milczał przez chwilę, czekając, aż odpowiednio wzrośnie napięcie, wreszcie zdecydował się przemówić.

- Pavarotti - powiedział krótko.

Violette wzniosła oczy do nieba.

- Pavarotti? Ten menel z parku Babylon Heights?

- Tak jest - potwierdził Jeremy. - Właśnie ten. Pavarotti był alkoholikiem, który włóczył się bezustannie po dzielnicy, wszyscy go znali. Nie było to zapewne jego prawdziwe nazwisko - zasłużył sobie na nie za sprawą męczącego zwyczaju - o jedenastej w nocy siadał sztywno na parkowej ławce i zaczynał śpiewać głośno jakąś arię operową głosem zdartym jak stara tarka. A gdy jego śpiew postawił już na nogi całą okolicę, Pavarotti zapadał w sen i spał dziesięć godzin bez przerwy. Działo się tak każdego wieczora, z zadziwiającą regularnością i niezwykłą precyzją.

- Ale dlaczego właśnie on? - zapytała Valentine.

- Ponieważ po tym, jak odśpiewa tę swoją arię, śpi tak mocno, że można by mu grać na trąbce prosto do ucha, a i tak się nie obudzi.

Odezwał się Lawrence, jak zawsze konkretny.

- Problem polega na tym, że ten Pavarotti jest w Babylon Heights. My tymczasem jesteśmy w Blue Parku. Oskar przyjeżdża tutaj tylko na weekend, a nie

może na całe dwa dni zabrać dwóch książek z biblioteki. Pan Brave na pewno by się zorientował.

- Nie mamy wyboru - podsumował Oskar. - Trzeba to zrobić w nocy, w pobliżu Blue Parku.

Jeremy zastanawiał się przez chwilę.

- Jeśli wy nie możecie dotrzeć do Pavarottiego, to on musi dotrzeć do was... Ale jak to zrobić? Mogę go spytać, czy nie chciałby spędzić nocy w Blue Parku, ale nie wiem, czy się zgodzi.

- Wystarczy, że zaproponujesz mu butelkę wina, skoro tak to lubi - powiedziała Valentine.

- Mam sklep, nie bar! - zaprotestował Jeremy. - A on nie ruszy się ze swojej starej ławki w parku Babylon!-Biedaczysko - szepnęła Violette ze szczerym współczuciem. - A dlaczego się nie rusza? Nie ma nóg? Można go wywieźć wózkiem Bartha...

Valentine się uśmiechnęła.

- Nie, Violette, Jeremy miał chyba na myśli co innego...

- Ależ ona ma rację! - zawołał Oskar. - Jeremy, powiedziałeś przecież, że po odśpiewaniu tej swojej arii Pavarotti zasypia tak głęboko, że nic nie jest w stanie go obudzić, prawda?

- Tak, ale...

- To znaczy, że w takiej chwili będzie go można łatwo przenieść do wózka Bartha! Barth, myślisz, że dałbyś radę dojechać aż do Blue Parku z Pavarottim, uśpionym w twojej przyczepce?

Barth spojrział na Violette, uśmiechnął się szeroko i napiął mięśnie.

- Powinno się udać! - powiedział, wzruszając ramionami. - W każdym razie możemy spróbować!

- A w jaki sposób wy dwaj wyjdziecie z domu w środku nocy? - zapytał Lawrence.

- To nie problem. Za dziesięć dni nocujemy u naszej babci, bo rodzice będą śpiewać w chórze irlandzkim, w Besington Hill. To będzie środa. Babcia jest głucha jak pień, już wiele razy przelaziliśmy u niej przez mur. Niczego nie zauważy...

- Nie będę mogła pójść z wami w środę. Zawsze w środę liczę gwiazdy... - powiedziała Violette.

- Nie martw się - odparł Barth. - Przewiozę cię przyczepką innym razem. I może niekoniecznie o północy.

W tym momencie usłyszeli jakiś hałas na chodniku, tuż za żywopłotem. Jeremy szybko otworzył furtkę i wyskoczył na ulicę. Rozejrzał się w obie strony, nie zobaczył jednak nikogo. W ostatniej chwili zauważył tylko znikające w bocznej uliczce tylne koło roweru.

- Przysięgłbym, że ktoś nas szpieguje - powiedział, wracając do reszty dzieci.

Cała szóstka utworzyła koło. Oskar położył dłoń na trawie pośrodku.

- Wszyscy jesteśmy z Pavarottim za dziesięć dni, w środę o północy?

- Powiem nawet więcej - sprecyzował Jeremy, kładąc swoją dłoń na dłoni Oskara. - W środę wszyscy w Pavarottim!

Inni poszli za jego przykładem - wszystko zostało ustalone.

- Hej, dzieci, zamiast spiskować, może lepiej chodźcie na obiad! - krzyknęła przez okno kuchni Celia. - Do stołu!

Popołudnie minęło jak z bicza trząśł.

Na godzinę przed odjazdem dzieci zgromadziły się, by razem z Celią ustalić plan powrotu do Cumides Circle. Poza Oskarem musieli tam wrócić także Valentine i Lawrence.

- Nie możemy się znowu ukryć w walizce? - spytała Valentine.

- Nie - odparł Lawrence. - Po pierwsze, zbyt bolesne jest, kiedy ktoś nas ciągnie po schodach - mówiąc to, pokazywał liczne niebieskawe siniaki na żółtej skórze. - Poza tym jeśli to akurat Bones będzie niósł walizkę, może ją otworzyć, bo zacznie coś podejrzewać.

- Zrobimy inaczej - powiedział Oskar. - Kiedy tylko przejdziemy przez bramę, pobiegniecie schować się pod gałęziami Zizou, w parku. A ja wam później otworzę drzwi kuchenne.

Dzieci z Hepatolii przystały na ten plan.

Ledwo zdążyli zjeść podwieczorek i zapakować walizkę - tym razem pełną ubrań i bielizny - do bagażnika Toni. Ta ostatnia na szczęście pozbierała się już po prawdziwym wyścigu, w którym wzięła udział kilka tygodni wcześniej.

Ruszyli o osiemnastej - mieli dostatecznie dużo czasu, by dotrzeć do Cumides Circle przed magiczną godziną dziewiętnastą.

Celia zaparkowała przed samym domem. Oskar wysiadł, uściskał matkę, podszedł do furtki i zbliżył do niej swój medalion - otworzyła się. Po kilku krokach żwirowaną ścieżką dostrzegł gałęzie Zizou nad dachem domostwa. Przywołał go ruchem ręki i gruby pień zaczął się bez pośpiechu przesuwając w stronę bramy wejściowej. Oskar wyszeptał kilka słów w pobliżu pnia i gałęzie dębu pochyliły się do samej ziemi, aż dotknęły ogrodzenia.

- Możecie już iść, moi drodzy - powiedziała Celia do dzieci, leżących na tylnym siedzeniu Toni.

Celia odsunęła przednie siedzenie i uchyliła drzwi samochodu. Valentine i Lawrence wysliznęli się dyskretnie i przemknęli pod osłoną liściastych gałęzi. W ostatniej chwili przeszli przez zamykającą się bramę i schowali się pod dębem. Oskar stał już tymczasem z walizką przed drzwiami wejściowymi do Cumides Circle.

Bones otworzył mu bez słowa, wziął walizkę z rąk młodego Medykusa i ruszył w stronę schodów.

- Idę do kuchni - rzekł Oskar. - Chcę się zobaczyć z Cherie.

- Nie ma jej dziś wieczorem - powiedział Bones swoim powolnym głosem. - Ja dziś podaję kolację. Proszę, żebyś łaskawie poszedł ze mną do swojego pokoju, a później przyjdę po ciebie przed dziewiętnastą i zaprowadzę cię do jadalni, zjesz razem z panem Brave'em. Bones upierał się przy tych swoich rozkazujących

poleceniach, ubranych w ugrzecznoną formę. Oskar jednak nie zamierzał mu się podporządkować.

- Jestem głodny - oświadczył. - Pójdę wziąć sobie coś do jedzenia.

- Kolacja będzie za pół godziny - wycedził Bones karcącym tonem, nie tracąc jednak swojej angielskiej flegmy.

- Tym lepiej - młody Medykus nie dawał się zbić z tropu. - Za pół godziny będę jeszcze ciągle bardzo głodny.

Skierował się w stronę kuchni, nie czekając na odpowiedź Bonesa. Wiedział, że majordomus czym prędzej odniesie walizkę do jego pokoju i zejdzie na dół, by szpiegować go aż do kolacji. Nie miał czasu do stracenia.

W kuchni nie było nikogo. Podbiegł do drzwi, które wychodziły w stronę ogrodu, na tyły domu... i odkrył z przerażeniem, że były zamknięte! Rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegł klucza. Czyżby Bones coś podejrzewał? Zostało mu niewiele czasu, by wpuścić przyjaciół do domu. Podeszedł do okna i zauważył ich, ukrytych pod gałęziami Zizou. Czekali, kiedy otworzy drzwi kuchenne. Dał im znak, żeby okrążyli dom i podeszli do drzwi wejściowych.

Wyszedł z kuchni i przebiegł szybko przez hall. Piętro wyżej Bones zostawił właśnie walizkę w pokoju Oskara i szedł z powrotem korytarzem. Chłopiec przysunął swój medalion z Literą do drzwi - zamek ustąpił, Valentine i Lawrence rzucili się w stronę domu.

Oskar dostrzegł na poręczy schodów dłoń Bonesa w rękawiczce. Wepchnął przyjaciół do salonu i schował się razem z nimi.

Zanim zamknął za sobą drzwi, pochwycił spojrzenie Bonesa - majordomus dostrzegł go wchodzącego do salonu.

Za kilka sekund nadejdzie, by swoim zwyczajem robić mu uwagi czy skarcić go za obecność w salonie, to było więcej niż pewne. Jak i gdzie ukryć przyjaciół?

Cała trójka rozglądała się dookoła w panice. Lawrence szykował się już, żeby wsunąć się za kanapę, Oskar powstrzymał go jednak i pobiegł w stronę komody. Wyjął z szuflady żaroodporną rękawicę, sięgnął nerwowo pod koszulkę, schwycił

medalion i zanurzył go w ogień kominka; dzieci obserwowały go z wyraźnym przerażeniem.

- Co ty najlepszego robisz? - szepnęła mu do ucha Valentine. - Zobaczysz, zaraz...

Nie zdążyła skończyć zdania - ściana tuż koło nich odsunęła się na szynie. Oskar popchnął ich w stronę Żółtego Salonu, gdzie Victor zaczął już głośno ćwierkać - i ściana na powrót się zamknęła.

Młody Medykus oparł się o nią z ulgą. Usłyszał szczekanie Rollsa lub może Royce'a? Nigdy nie mógł zapamiętać wskazówek, które swego czasu dała mu pani Withers, żeby móc rozróżnić te dwa psy - jeden z nich siedział teraz przy nim i spoglądał na niego swoimi zatroskanymi oczami. Z pyska zwisało pasemko śliny. Oskar dał mu znak, żeby był cicho, i zaprowadził psa do jego koszyka, stojącego tuż za kanapą. Drugiego psa nie było widać, co wydawało się o tyle dziwne, że na ogół były one nierozłączne. Chłopca nie martwiło to jednak specjalnie - w tej chwili wołał, żeby nie plątały mu się obydwie pod nogami.

Ktoś otworzył drzwi do salonu.

To Bones wszedł bez słowa i skierował się w głąb pokoju, w stronę kominka. Rozglądał się uważnie na wszystkie strony, jak gdyby szukał śladów zbrodni, nie zwracając przy tym najmniejszej uwagi na Oskara.- Czego pan szuka, Bones? - zapytał chłopiec ironicznie. Siedział na brzegu kanapy. - Zgubił pan coś? Może mógłbym panu pomóc?

Był niezwykle zadowolony z faktu, że udało mu się ukryć przyjaciół, cieszył się też, że mógł zakpić sobie z majordomusa, który aż się prosił o splątanie mu figła.

Bones zawrócił w stronę drzwi, kiedy rozległo się szczekanie.

Oskar zerknął w stronę koszyka - ten z dwóch psów, który tam leżał, wydawał się drzemać z na wpół przymkniętymi oczami. To z pewnością nie on szczekał... Oskar podniósł głowę, serce biło mu głośno. Zabrzmiało kolejne, zduszone szczeknięcie. Wydawało się, że dochodziło... zza ściany! Młody Medykus z trudem przełknął ślinę.

Chłopiec uważnie obserwował reakcję Bonesa. Czuł, jak lodowate krople potu spływają mu po plecach. Starał się oddychać spokojnie, nie odzywał się. Majordomus jeszcze raz obrzucił go swoim martwym spojrzeniem i oddalił się.

Oskar głęboko odetchnął, kiedy Bones wyszedł z salonu. Podbiegł do drzwi i uchylił je. W hallu było pusto. Bones z pewnością poszedł do kuchni szykować kolację. Oskar ruszył w stronę kominka, by uwolnić przyjaciół. Zauważył wtedy, że rękawica, której wcześniej użył, wystawała z szuflady komody. Miał szczęście, że Bones nie zwrócił na to uwagi, najwyraźniej nie zaniepokoiło go także dobiegające z bliska szczekanie.

Kiedy wyciągał z szuflady rękawicę, drzwi znowu się otworzyły. W pośpiechu zatrzasnął z powrotem szufladę i stanął tyłem do komody, żeby ją zasłonić.

Weszła uśmiechnięta pani Withers. Posłała mu wyjątkowo błyszczące spojrzenie zza okularów. - Witaj, Oskarze - powiedziała łagodnie, kierując się w jego stronę. - Jak ci minął weekend w Babylon Heights?

- Bardzo dobrze - wybąkał. - Dziękuję.

- Winston Brave poprosił, bym zjadła z wami kolację - powiedziała, rzucając szybkie spojrzenie za plecy młodego Medykusa. - Zdaje się zresztą, że już na nas czeka. Może do niego pójdziemy?

Oskar kiwnął głową, nie ruszając się nawet na milimetr.

- No proszę - zdziwiła się pani Withers. - Szuflada w tej komodzie jest niedomknięta. To zapewne moja wina, bo ja ostatnia otwierałam ją i posługiwałam się rękawicą - dodała lekkim tonem.

Spojrzała na Oskara, który umykał przed nią wzrokiem.

- To z pewnością byłam ja, prawda, Oskarze? Ponieważ tylko Wielki Mistrz lub członek Rady Najwyższej mają dostęp do Żółtego Salonu. Tak - powtórzyła - to zatem musiałam być ja, rzecz jasna.

Pochyliła się, by domknąć szufladę, kiedy znowu rozległo się szczekanie. Oskar zamknął oczy, zrozpaczony. Pani Withers westchnęła i wyciągnęła rękawicę.

Kiedy chłopiec otworzył oczy, ściana była już odsunięta. W głębi pokoju tkwiła Valentine, przerażona i rozplaszczona na ścianie, Lawrence siedział na krześle pośrodku, a Royce - lub Rolls - opierał swoją zaślinioną mordę o jego kolana.

Pani Withers uśmiechnęła się do nich uprzejmie i odwróciła się w stronę Oskara.

- Zdaje się, że do kolacji usiadziemy w nieco liczniejszym gronie - powiedziała. - Poza tym, o ile się nie mylę, nasi goście pochodzą z dalekich stron, czyż nie? Oskar westchnął. Bones stał nieruchomo przy drzwiach, z lekkim uśmiechem na ustach.

Ile jeszcze czasu zamierzałeś ukrywać swoich przyjaciół w Cumides Circle, Oskarze, gdyby Bones niczego nie zauważył?

Winston Brave siedział w fotelu, gdy tymczasem pani Withers, stojąc przy półkach bibliotecznych, udawała, że z zainteresowaniem przegląda jakąś książkę. W bibliotece było ciszej niż kiedykolwiek. Oskar, stojąc nieruchomo przed Wielkim Mistrzem, miał wrażenie, że postawiono go przed trybunałem, który za chwilę skaze go na najcięższą możliwą karę. Valentine i Lawrence zostali nieco z tyłu, w pobliżu obrazów. Wyglądało to tak, jakby sławni Medykusi ich pilnowali. Oskar spuścił wzrok, niczego jednak nie żałował. Gotów był ponieść konsekwencje swojej decyzji.

- Chłopcze - powiedział Winston Brave poważnym tonem - Medykus nigdy nie ukrywa niczego przed Wielkim Mistrzem, zwłaszcza kiedy mieszka pod jego dachem, wiesz o tym?

- Tak, proszę pana. Nie chciałem niczego przed panem ukrywać, ale...

- Ale co? - spytał surowo pan Brave.

- ...ale bałem się, że odeśle ich pan z powrotem do ich świata - wyznał Oskar.

Wielki Mistrz westchnął.

- Naprawdę sądziłeś, że niczego się nie domyślę? Chyba czas trochę wydorosnąć i nabrać nieco rozsądku, Oskarze! - głos pana Brave'a brzmiał surowo. - Nie możesz zmieniać odwiecznych zasad tylko dlatego, że ci się nie podobają i że zapragnąłeś sprowadzić istoty z wewnętrznego Uniwersum do naszego



świata! Valentine, która dotąd trzymała się z tyłu, podobnie jak Lawrence, teraz zbliżyła się do Oskara, chcąc bronić przyjaciela.

- To nie jest jego wina, proszę pana, tylko nasza! - zawołała dziewczynka. - Złapaliśmy się jego peleryny, kiedy opuszczał nasze Uniwersum.

Wielki Mistrz wyprostował się, a następnie pochylił w jej stronę. Był taki wielki i groźny, że schowała się znowu za plecami Lawrence'a. Obydwoje drżeli jak liście.

- Wygląda mi na to, moja panno, że ty także niezbyt wielkim szacunkiem darzysz zasady. Będiesz mogła się wypowiedzieć, jak ci na to pozwolę!

Lawrence zebrał całą swoją odwagę i zaczął mówić, jak to miał w zwyczaju, z niezwykłą uprzejmością.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał wysłuchać, co się wydarzyło?

Cała trójka czekała na odpowiedź Wielkiego Mistrza.

- Winstonie, bardzo pana proszę - wtrąciła się pani Withers, podnosząc wzrok znad książki. - Chyba należałoby im pozwolić na obronę i wysłuchać tego, co mają do powiedzenia, nie sądzi pan?

Brave westchnął i kiwnął głową w stronę Lawrence'a.

- Valentine powiedziała prawdę, proszę pana. Nie ma w tym żadnej winy Oskara. To my chcieliśmy się tu przedostać i zrobiliśmy to tak, żeby o tym nie wiedział.

- Ale nie jesteście w stanie funkcjonować w naszym świecie, zapewne zdajecie sobie z tego sprawę - przerwał mu Winston Brave.

Lawrence spuścił wzrok.

- Chcieliśmy poznać inny świat, odkryć, jaki jest. Tam u nas, w rzekach i wewnątrz góry, jest tak strasznie ciemno... To dlatego poprosiliśmy Oskara, żeby pozwolił nam zostać i nas ukrył.

- Właśnie to mam ci do zarzucenia, Oskarze - powiedział Wielki Mistrz, zwracając się do młodego Medykusa. - Nie do ciebie należy podejmowanie takich decyzji.

Mali Hepatolijczycy nie byli w stanie powiedzieć już nic więcej mądrego w obronie przyjaciela. Spojrzeli na siebie i Oskar poczuł, że teraz to on powinien coś powiedzieć. Piłka była po jego stronie.

Spojrzał na panią Withers. Uśmiechnęła się do niego i bezgłośnie wypowiedziała dwa słowa, wyraźnie i powoli, tak, żeby chłopiec mógł je odczytać z ruchu jej warg: „Bądź szczerzy!”.

Przypomniał sobie także wszystko to, czego uczyła go matka, i zasady, o których pamiętał, nawet jeśli nie zawsze ich przestrzegał. Poczł przyływ odwagi i wytrzymał spojrzenie Wielkiego Mistrza.

- Wiem, że powinienem był panu powiedzieć - rzekł - ale... po prostu musiałem tak postąpić.

- A to dlaczego? - zapytał Wielki Mistrz.

- Ponieważ...

Oskar szukał jakiegoś przekonującego tłumaczenia, czuł jednak, że prawda - choćby najprostsza - jest lepsza niż wszelkie wymysły.

- Ponieważ oni pomogli mi, kiedy tego potrzebowałem - powiedział szczerze.

- Bez nich być może nigdy bym tutaj nie wrócił, proszę pana.

Oskar znów spojrzał na panią Withers. Uśmiechała się do niego łagodnie. Chłopiec kontynuował, już z większą pewnością siebie: - A poza tym pomogli mi, nie oczekując niczego w zamian. Niczego im nie obiecywałem, nie mieli pojęcia, że będzie okazja, by wyrwać się z Hepatolii czy WMUS-u dzięki mojej pelerynie! Dlatego też ukryłem ich tutaj. Po prostu chciałem coś dla nich zrobić. Mama opowiadała, że mój ojciec był właśnie taki - dawał coś z siebie, nie oczekując za to niczego, ale był wdzięczny, jeśli ktoś oddał mu jakąś przysługę. Powiedziała mi, że między innymi dlatego właśnie był takim wielkim Medykusem.

Zawahał się, a potem ciągnął dalej:

- Chciałbym być taki jak on i postępować podobnie.

W bibliotece zaległa cisza. Brave zastanawiał się nad czymś i nikt nie śmiał mu w tym przeszkodzić. Oskarowi wydało się, że na twarzy pani Withers dostrzegł wzruszenie, ale też zadowolenie.

Wielki Mistrz podniósł wzrok i spojrzał na Valentine i Lawrence'a, którzy stali teraz obok Oskara.

- Czy wasze rodziny wiedzą, że uciekliście?

Valentine roześmiała się na to serdecznie.

- Wie pan, moja mama ma kilka milionów dzieci i nie rusza się ze swojej komórki macierzystej w Szpiku Kości Ramiennej. Jestem pewna, że nawet nie zauważyła mojej nieobecności...

- Moi rodzice wiedzą, że nie chcę pracować w górskiej kopalni - dodał Lawrence. - Wiedzą, że marzę o tym, żeby podróżować, uczyć się, czytać.

Brave przesunął palcami po swoich ciemnych włosach, mrużąc coś przy tym do siebie. Wyprostował się.

- Dajcie mi choć jeden dobry powód, dla którego miałbym was tutaj zatrzymać.

Valentine i Lawrence zaczęli mówić jednocześnie, zagłuszając się wzajemnie. Oskar odezwał się w ich imieniu: - Proszę pana, jeśli zostaną tutaj, będą mogli udać się razem ze mną do Hepatolii i pomogą mi zdobyć Trofeum, jestem tego pewien.

Przyjaciele gorliwie potwierdzili.

Brave popatrzył na panią Withers. Wystarczyła krótka wymiana spojrzeń. Wstał z miejsca, dzieci aż się lekko cofnęły, taki był wysoki i imponujący. Długo je obserwował, a potem podjął decyzję.

- Dobrze, możecie zostać w Cumides Circle - powiedział.

W bibliotece rozległy się okrzyki radości. Wielki Mistrz powstrzymał je ruchem ręki.

- Pod jednym warunkiem - dodał. - Jeśli wybieriecie się z Oskarem na tę wyprawę i nie przyniesiecie tym razem napełnionej Fiolki, będziecie musieli zostać w waszym Uniwersum albo to ja was tam odprowadzę siłą. Czy to jasne?

Valentine i Lawrence spojrzeli na Oskara, który śmiało uniósł podbródek.

- Zupełnie jasne.

Odwrócił się do przyjaciół z szerokim uśmiechem, który miał im przekazać to, w co chcieli wierzyć: „Uda nam się!”.

- A zatem zapraszam was do stołu - powiedział Wielki Mistrz. - Wszystkich. Może dzięki temu Oskar nie będzie musiał podkraść jedzenia z kuchni, a pokojówka nie będzie już znajdowała okruszyn chleba, masła i gwoździ pod szafą w jego pokoju - ciągnął, rzucając spojrzenie na Oskara.

Wszyscy troje przystanęli zdumieni.

- To znaczy... czy to znaczy, że pan już od dawna wiedział?...

Pani Withers i Winston Brave znowu wymiendi znaczące spojrzenia, Brave rzucił jednak tylko:

- Powiedziałem, wszyscy do stołu.

### **O północy w Blue Parku**

Począwszy od następnego dnia, Lawrence i Valentine rozkoszowali się możliwością chodzenia po całym Cumides Circle, bez obawy, że ich ktoś nakryje. Unikali jednak Bonesa i starali się raczej spędzać większość czasu w ogrodzie, jeśli akurat Lawrence dawał się namówić na przerwę w czytaniu.

Oskar przyłączał się do nich, kiedy tylko miał wolną chwilę - w porze obiadu, ale także zaraz po skończonych lekcjach i próbach Introdukcji pod kontrolą pani Withers i Maureen. Niezłe już opanował tajniki wyprawy do pierwszego Uniwersum - jego nauczycielki i zarazem przewodniczki doszły do wniosku, że niebawem będzie mógł się tam udać, by po raz kolejny spróbować napełnić Fiolkę, zdobywając tym samym pierwsze Trofeum. W tej konkretnej wyprawie Medykusowi nie mógł towarzyszyć inny Medykus, musiał sobie dać radę sam. Pani Withers była zatem dosyć zadowolona, że z Oskarem będą sprzymierzeńcy z Hepatolii.

Minął tydzień. W poniedziałkowy wieczór Oskar postanowił pójść do biblioteki i poinformować Boyda, że przyjmuje jego warunki. Chciał się z nim

umówić na konkretny moment.-Masz. szczęście - napisał Boyd, stawiając wielkiego kleksa z atramentu. - Niewiele tratowało, a zmieniałbym zdanie. Kiedy nas ze sobą zabierzesz?

- W środę wieczorem - odparł Oskar.

- A dlaczego nie dziś wieczorem? - odpisał Boyd, rozczarowany.

- Bo to niemożliwe - uciał Oskar. - Nie możemy dostać się wcześniej do tego ciała. Myśli pan, że łatwo to było zorganizować?

Boyd namazał coś pospiesznie, bardzo zaaferowany nowiną.

- A gdzie to zrobimy?

- Poza terenem Cumides Circle, tak żeby nikt nas nie przyłapał - w Blue Parku, obok muszli koncertowej. Przyjdę tu po pana i po Estelle koło północy. I uprzedzam, jeśli będziecie hałasować...

- Taa, wiem, wiem, już mówiłeś, skończymy w kominku! - prychnął Boyd.

Oskar wzruszył ramionami i wyszedł. Wyjątkowo nie podobał mu się fakt, że miał oddać przysługę akurat komuś takiemu jak Boyd, ale nie miał wyboru. Wszystko było już zaplanowane, Jeremy i Barth mieli stawić się w środę wieczorem na miejscu. Taka okazja może się już nie trafić.

Przez dwa kolejne dni Oskarowi trudno się było skupić na lekcjach.

W środę po południu nie udało mu się Introdukcja do ciała Royce'a. Nadepnął psu na ogon, ten wyskoczył jak z procy. Oskar runął jak długi, tiukąc przy okazji jakąś wspaniałą ceramikę, pozostałość po starożytnych chińskich Medykusach.

- Co też się z tobą dzisiaj dzieje, Oskarze? - zdziwiła się pani Withers. - W ogóle nie słuchasz tego, co do ciebie mówię, i wszystko robisz na opak. Tłumaczył się, mamrocząc coś pod nosem. Starsza pani przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Coś mi tu nie gra, czuję to coraz mocniej. Jesteś pewien, że nie masz mi nic do powiedzenia?

- Nie, nie - pospiesznie zapewnił ją Oskar. - Ja... to tylko... trochę boli mnie dzisiaj brzuch, to wszystko, ale przejdzie mi.

Wyjaśnienia Oskara niezbyt ją przekonały.

- Oskarże, od czasu twojego przybycia tutaj przeżyliśmy wiele rozmaitych wydarzeń, a Wielki Mistrz dał już nieraz dowód dużej wyrozumiałości w stosunku do ciebie, pamiętaj o tym. Zawsze cię wspierałam, dlatego też się tutaj znalazłeś. Ale wszystko ma swoje granice, dlatego może byłoby lepiej, gdybyś porozmawiał ze mną, jeśli coś cię martwi, zamiast kryć się z tym i robić głupstwa. Mógłbyś tego później gorzko żałować, wiesz o tym?...

- Nie, nie - upierał się Oskar. - To naprawdę nic takiego. Tylko ból brzucha. Jutro już będzie lepiej, zobaczy pani.

Starsza pani poprawiła okulary i westchnęła głęboko.

- Zdaje się, że na tym się na razie zatrzymamy. Odpocznij i poproś Bonesa, żeby dał ci jakiś środek przeciwbólowy.

- Nie, dziękuję bardzo - odparł Oskar nieco zbyt energicznie. - Samo mi przejdzie. Nie lubię łykać lekarstw - dodał wyjaśniająco.

- Jak chcesz. Do widzenia, chłopcze, do jutra.

Młody Medykus odczekał, aż starsza pani wyjdzie, i pobiegł do biblioteki. Zanim otworzył książkę Boyda, przywitał się z Julią Jacob, której rady szukał kilka dni wcześniej. Miał jeszcze wtedy cichą nadzieję, że Julia znajdzie wśród swoich wycinków prasowych jakiś artykuł na temat jego ojca, okazało się jednak, że jej poszukiwania spaliły na panewce. - Bardzo mi przykro, Oskarże - pisała swoim delikatnym charakterem pisma. - Nie?nala?[am nic poza artykułami, w któryck pisano o jego zwycięskiej walce z Wielk im Iatologusem. fotem opublikowano już tylko krótką notatką zawiadamiającą o śmierci, nic więcej. Bardzo chciałam wyszukać inne informacje, ale nie udafo mi się.

- To nic takiego - odpowiedział Oskar. - Proszę się nie martwić, pani Julio, dam sobie jakoś radę.

Tego wieczora uśmiechnął się tylko w stronę okładki jej teczki, która odpowiedziała mu, lekko drżąc. Oskar stanął przed dziełami Boyda i Estelle Fleetwood.

- Przyjdę po was tuż przed północą - powiedział.

Książka Estelle poruszyła się. Oskar chciał do niej dosięgnąć, wchodząc na fotel, ale Tytus dostał zapewne jakieś instrukcje od pani Withers - trzymał się z dala i nie chciał się przysunąć.

- Proszę cię, Tytusie, tylko dziś wieczorem! Nie będę cię już później dręczył!

Tytus w końcu ustąpił i Oskar wyjął z półki Olśniewający, wielce fascynujący i całkowicie kompletny traktat o mocach Medykusów i położył go na owalnym stole. Kiedy otworzył księgę, Estelle zaczęła pisać tak szybko, jak jeszcze nigdy.

- Jakież doskonały pomysł miał ten Boyd! Naprawdę rzadko mu się to zdarza... Ale dlaczego nie zabierzesz nas już teraz, mój mały? Jeśli będziesz czekał do północy, może się zdarzyć, że o nas zapomnisz, byłabym bardzo, ale to bardzo urażona.

- Niestety, musimy czekać - odparł z ciężkim westchnieniem Oskar. - Gdybym zabrał wasze książki wcześniej, a pan Brave wszedłby w międzyczasie do biblioteki, chcąc zajrzeć do jednej z nich, wszystko by się wydało!

- No tak, to prawda - odpisała Estelle. - Trzeba przyznać, że masz trochę racji. Nie da się ukryć, że jesteś prawie tak inteligentny jak ja - to znaczy jak ja, kiedy byłam w twoim wieku, oczywiście, ponieważ dzisiaj trudno mnie z kimkolwiek porównywać, to chyba jasne i...

Oskar zakończył tę wymianę zdań, zamykając po prostu książkę, która zaczęła podskakiwać na stole. Estelle Fleetwood nie znosiła, kiedy ktoś przerywał jej w pół zdania, zwłaszcza w chwili, kiedy wychwalała samą siebie.

Odłożył Traktat na miejsce i wyszedł, kierując się w stronę jadalni, gdzie czekał już na niego pan Brave.

Kolacja była męczarnią. Po pierwsze, Oskar wcale nie był głodny. Po drugie, Cherie przeszła samą siebie - podała sałatkę z marchewki i buraków ze słodkimi ptysiami, na drugie danie niedogotowaną wołowinę w sosie z grejpfrutów, posypaną wysuszoną ikrą z łososia - na deser galaretkę z bananami, z dodatkiem trzech rodzajów pieprzu, w której to galaretkę było więcej pieprzu niż bananów...

Poza tym pan Brave, podobnie jak wcześniej pani Withers, najwyraźniej się czegoś domyślał. Zwykle małomówny - tego wieczoru wyjątkowo dużo z Oskarem

rozmawiał, osaczając go rozmaitymi pytaniami. Oskar, niezgodnie ze swoim dotychczasowym obyczajem, odpowiadał krótko, nie chcąc się z czymś zdradzić. W końcu, zmęczony unikami w rozmowie, wstał od stołu nieco wcześniej niż zazwyczaj, skarżąc się po raz kolejny na ból brzucha. Schronił się w swoim pokoju.

Przyjaciele czekali na niego, podekscytowani do granic możliwości.

Lawrence zaplanował ich nocną ucieczkę w każdym najmniejszym detalu, rozważając wiele możliwości. Wziął pod uwagę wszystkie przeszkody i czynniki, jakie mogły uniemożliwić im wyjście z domu. Byli gotowi stawić czoło takim sytuacjom, jak zamknięte na klucz drzwi, niespodziewane nadejście pana Brave'a lub Bonesa, upadek ze schodów, ewentualne kamery kontrolujące ruchy w domu, promienie laserowe, czujniki wykrywające podwyższoną temperaturę, psy stróżujące... Jego plan przewidywał wyjście z każdej sytuacji, wszystko zostało precyzyjnie przemyślane, również dzięki obserwacjom Valentine, która wcześniej została wysłana na zwiad.

- Proszę bardzo - powiedział Lawrence, podając Oskarowi gruby plik kartek. - Wszystko jest tutaj, nie może nam się przytrafić nic niespodziewanego, nawet jeśli Jeremy i Barth nie dadzą rady dostarczyć Pavarottiego do Blue Parku, mam jeszcze inne rozwiązanie!

Zdjął okulary, potarł oczy i rozciągnął się wyczerpany na łóżku. Oskar rzucił okiem na listę możliwych przeszkód.

- Eee... „czujniki wykrywające podwyższoną temperaturę”? Co to jest?

- Wykrywają ciepło ludzkiego ciała.

- Pewien jesteś, że są takie tutaj, w Cumides Circle?

- Bones bezustannie cię szpieguje, nigdy nic nie wiadomo z takim typem! Poza tym powiedziałaś mi, że pani Withers i pan Brave też coś podejrzewają. Mogli podjąć dodatkowe środki ostrożności...

Młody Medykus nie śmiał sprzeciwić się przyjacielowi. Próbował rozszyfrować obliczenia matematyczne i inne skomplikowane wzory oraz analizy, pokrywające wszystkie kartki, w końcu zrezygnował.



- I tak jestem pewien, że zapamiętałeś to wszystko - powiedział Lawrence'owi. pod uwagę wszystkie przeszkody i czynniki, jakie mogły uniemożliwić im wyjście z domu. Byli gotowi stawić czoło takim sytuacjom, jak zamknięte na klucz drzwi, niespodziewane nadejście pana Brave'a lub Bonesa, upadek ze schodów, ewentualne kamery kontrolujące ruchy w domu, promienie laserowe, czujniki wykrywające podwyższoną temperaturę, psy stróżujące... Jego plan przewidywał wyjście z każdej sytuacji, wszystko zostało precyzyjnie przemyślane, również dzięki obserwacjom Valentine, która wcześniej została wysłana na zwiad.

- Proszę bardzo - powiedział Lawrence, podając Oskarowi gruby plik kartek. - Wszystko jest tutaj, nie może nam się przytrafić nic niespodziewanego, nawet jeśli Jeremy i Barth nie dadzą rady dostarczyć Pavarottiego do Blue Parku, mam jeszcze inne rozwiązanie!

Zdjął okulary, potarł oczy i rozciągnął się wyczerpany na łóżku. Oskar rzucił okiem na listę możliwych przeszkód.

- Eee... f, czujniki wykrywające podwyższoną temperaturę"? Co to jest?

- Wykrywają ciepło ludzkiego ciała.

- Pewien jesteś, że są takie tutaj, w Cumides Circle?

- Bones bezustannie cię szpieguje, nigdy nic nie wiadomo z takim typem! Poza tym powiedziałaś mi, że pani Withers i pan Brave też coś podejrzewają. Mogli podjąć dodatkowe środki ostrożności...

Młody Medykus nie śmiał sprzeciwić się przyjacielowi. Próbował rozszyfrować obliczenia matematyczne i inne skomplikowane wzory oraz analizy, pokrywające wszystkie kartki, w końcu zrezygnował.

- I tak jestem pewien, że zapamiętałeś to wszystko - powiedział Lawrence'owi. - Oczywiście, że tak - potwierdził Hepatolijczyk. - Zapisalem to tylko po to, żebyś zobaczył jaśniej pewne kwestie.

- Nie martw się - powiedział Oskar, wymieniając rozbawione spojrzenie z Valentine. - Te kwestie są naprawdę bardzo, bardzo jasne.

Starali się znaleźć sobie jakieś zajęcia aż do ustalonej godziny. W końcu, na pół godziny przed północą nie mogli już wytrzymać, wpatrywali się wszyscy w zegarek Oskara, odliczając każdą minutę.

Na kwadrans przed dwunastą Oskar podniósł się, a jego przyjaciele poderwali się, jakby do tej pory siedzieli na rozżarzonych węglach. Młody Medykus owinął się swoją peleryną, zbliżył medalion do walizki. W tym samym momencie wysunął się z niej lśniący Pas Trofeów, który przepłynął dookoła pokoju i owinął się wokół Oskara.

- Myślę, że możemy już iść - zdecydował chłopiec. - Pierwszy etap...

- ...biblioteka - dokończyła Valentine.

- Gotowi? - zapytał Oskar, zakładając zegarek na rękę.

- Gotowi.

- No to w drogę!

Szli jedno za drugim wzdłuż korytarza. Na przedzie podążał Oskar, za nim, jak jego cień, dreptała Valentine, a na końcu - Lawrence.

- Niepokoi mnie to... - szepnął chłopiec do pozostałych. - To nie jest normalne, jest za cicho!

Valentine odwróciła się i ruchem ręki nakazała młodemu Hepatolijczykowi milczenie.-A czego się spodziewałeś o północy? - powiedziała szeptem. - Mają strzelać armaty czy co? Cicho bądź, inaczej zrobi się znacznie mniej spokojnie!

Trójka dzieci posuwała się bezszelestnie do przodu. Popiersie Selenii drzemało, z głową opartą o ściankę wnęki. Ostrożnie omijali fale na dywanie, który pokrywał podłogę korytarza, zeszli po schodach na dół.

Przekradli się jak duchy przez hall Cumides Circle i stanęli przed drzwiami kuchennymi. Oskar nadstawił ucha - cały dom był cichy i pogrążony we śnie.

- Zaczekajcie tu na mnie - powiedział do przyjaciół, popychając ich w kierunku zbroi po lewej stronie.

Jeszcze raz przeszedł przez hall i wszedł do biblioteki. Zamknął za sobą drzwi.

Valentine i Lawrence mieli wrażenie, że minęły całe wieki, a Oskar nie wychodził.

- Co on tam robi? - zastanawiała się Valentine, jeszcze bardziej niecierpliwa niż zwykle.

- Dobrze, że się nie spieszy, musi działać spokojnie - wyjaśnił jej Lawrence. - Jeśli inne książki zauważą, co się dzieje, i podniosą alarm, jesteśmy załatwieni! Jeżeli wszyscy ci autorzy są tak podstępni i złośliwi jak Boyd, wyobrażasz sobie, co tam się może wydarzyć?

Oskar wyszedł w końcu z biblioteki i zbliżył się do nich. Odchylił triumfalnie połą peleryny - ścisnął pod nią obydwie książki, Boyda i Estelle Fleetwood, tuż obok swojego Grimoire'a.

Przeszli w półcieniu aż do drzwi wejściowych. Serca były im mocno. Za kilka sekund, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będą już na zewnątrz. Oskar zbliżył swój medalion do zamka i w tej samej chwili drzwi się otworzyły. Puścił przodem towarzyszy, wyszedł sam, a potem szybko zamknął drzwi z powrotem. Zeszli ze schodków tarasu.

Żwir na ścieżce chrząścił pod ich stopami, mieli wrażenie, że obudzą całą okolicę. Zatrzymali się w cieniu jakiegoś drzewa i zdjęli buty.

- Włożymy je z powrotem, jak wyjdziemy na ulicę - wyszeptał Oskar.

Przekradli się na czubkach palców aż do furtki, gdzie Oskar powtórzył manewr z medalionem. Tym razem jednak jego Litera okazała się bezsilna. Furtka pozostała zamknięta. Oskar przykładał medalion w różnych miejscach, na próżno jednak. Zamek nie chciał się otworzyć.

- Wiedziałem, że tak będzie! - zdenerwował się Lawrence. - Mówiłem wam, że coś podejrzewają i że wzmocnią środki bezpieczeństwa! Gdzie są moje zapiski? Moje plany? Szybko, Oskarze! Zaraz nas złapią, zauważą, jestem pewien, że odeślą nas do Hepatolii, a ty nie będziesz mógł...

Valentine już się odwracała, żeby zatkać mu usta dłonią, ale nie zdążyła tego zrobić. Dzieci poczuły dotyk liści i w jednej chwili uniosły się w górę. Ledwie

zdążyły uchwycić gałąź, która się nad nimi pochyliła, a już wylądowały po drugiej stronie kraty, na środku ulicy.

Zeszły z gałęzi, nieco jeszcze oszołomione tą niespodzianką.

- Dzięki, Zizou! - powiedział Oskar, zadzierając głowę. - Wracamy najdalej za pół godziny.

Drzewo pochyliło górną część pnia i oddaliło się w głąb ogrodu, dzieci zaś szybko włożyły buty. Cicho i ostrożnie przebiegli pustą aleją. Oskar odwrócił się i popatrzył na CumidesCircle. Nad murem widać było gałęzie dębu. To Zizou pilnował swoich młodych przyjaciół. Oskar, uspokojony, pociągnął towarzyszy w ciemności Blue Parku.

Brakowało trzech minut do północy.

Gdzie my jesteśmy? - zapytał po raz czwarty Lawrence.

- Za chwilę dojdziemy do muszli koncertowej - odrzekł Oskar, który nie chciał się przyznać, że się trochę zagubił.

Posuwali się naprzód i kręcili slalomem pomiędzy krzakami, unikając głównych alejek w obawie, że ktoś ich zobaczy. Przy świede księżycy Oskar dojrzał nareszcie spiczasto dach muszli koncertowej, stojącej pośrodku parku. Valentine pociągnęła go za rękaw.

- Popatrz tam! - powiedziała.

W cieniu drzew, blisko drewnianych ławek otaczających muszlę, dostrzegli jakiś ruch. Zbliżyli się ostrożnie, nadal trzymając się zarośli, dzięki czemu pozostawali w głębokim cieniu. Rozróżniali głosy dwóch osób.

- Mówiłem, żebyś go złapał za nogi, nie dam rady nieść go sam!

- Już ci mówiłem, Barth, ja jestem głową, mięśnie - to twoja sprawa!

Dzieci wyszły z cienia i rzuciły się w stronę braci O'Maley, stojących w pobliżu ławki. Barth był chłopcem nadzwyczaj silnym, jak na swoje trzynaście lat, ugiął się jednak pod ciężarem brodatego mężczyzny w garniturze i sandałach, włożonych na boscie nogi. Pavarotti spał. Wyglądał, jakby stracił przytomność lub był pod wpływem narkotyków. Na wiele kilometrów czuło się jednak od niego wino.

Valentine i Lawrence obserwowali kloszarda z wielkim zainteresowaniem. Pavarotti był bezdomny, trzeba jednak przyznać, że czysty i bardzo starannie ubrany. No, poza sandałami. Tylko bujna, rozłożysta broda i woń alkoholu odróżniały go od innych istot ludzkich, jakie spotkali na swojej drodze od czasu przybycia do Cumides Circle.

- Nareszcie jesteście! - powiedział z ulgą Jeremy. - Szybko, pomóżcie nam! Będziecie mogli podziwiać naszego boskiego Pavarottiego, kiedy już ułożymy go wygodnie na ławce. Nie wiem, czy to alkohol sprawił, że jest taki ciężki, ale we dwóch nie damy rady!

Każde z dzieci pochwyciło kończynę lub głowę nieszczęsnego Pavarottiego. Razem przenieśli go na ławkę.

- Co dzisiaj śpiewał? - zapytał Lawrence, który nigdy w życiu nie słyszał żadnej arii operowej.

- Trochę się spóźnił - odparł Jeremy. - Ale szybko nadrobił zaległości. Nigdy jeszcze nie śpiewał tak głośno i tak fałszywie. Na szczęście w Bazarze Jeremy'ego można znaleźć wszystko - dodał, pokazując im zatyczki do uszu. - Nie macie pojęcia, jak to się świetnie sprzedaje w całym Babylon Heights!

Barth trącił brata.

- Dobra, musimy się trochę pospieszyć - powiedział. - Nigdy nie wiadomo... Gdyby tak dziś wieczorem obudził się akurat trochę wcześniej niż zwykle, zanim odwieziemy go na jego ławkę w parku w Babylon Heights, będzie kiepsko...

- Nie bój nic, chłopie, mam flaszkę czegoś, co go w razie czego z powrotem uśpi - uśmiechnął się Jeremy, wyciągając butelkę wina.

Oskar poprawd sobie pelerynę, sprawdzając, czy obydwie książki nadal tkwią w pobliżu Grimoire'a, w wewnętrznej kieszeni. Wyjął i otworzył książkę Boyda. Na kartce pojawia się istna lawina słów.-Doskonale, Pill, ruszajmy w drogę! Jestem gotów! Tylko uważaj, staraj się nie zaplątać w pelerynę, jak ci się to ostatnio przytrafiło w bibliotece, nie chcielibyśmy się ośihieszyć z Estelle!

Oskar wzruszył ramionami, postanowił, że nie da się wyprowadzić Boydowi z równowagi, nie zważał więc na jego złośliwe uwagi i głupie żarty.

- I pamiętaj - podkreślił Boyd - że nie interesuje nas jakiś krótki skok, W jedną i w drugą stronę... To ma być piękna, długa Introdukcja! Inaczej nie będzie się liczyło!

- Zostaniemy tam tak długo, jak będziemy mogli, i koniec, kropka! - przerwał mu Oskar. - A jeżeli nie zgadzacie się na to, powiedzcie od razu!

Traktat Estelle Fleetwood zaczął podskakiwać w jego kieszeni, zanim jeszcze Boyd zdążył odpowiedzieć. Oskar musiał wyjąć i tę książkę, nie miał innego wyboru.

- Ach, już myślałam, że zapomnisz o mnie i zostanę na zawsze w twojej kieszeni, chłopcze! - napisała Estelle. - Powiedz, nie znalazłeś nikogo lepszego na naszą wyprawę do Hepatolii niż ten pijak? Przypominam ci, że masz zaszczyt podróżować z wielką, wspaniałą autorką, Estelle Fleetwood, powtarzam, z geniaaálną Estelle Fleetwood, której Traktat...

- ...jest w bibliotece każdego Medykusa, tak, tak, wiem, ale musicie zadowolić się Pavarottim. Jeśli wam to nie pasuje, mogę odnieść was z powrotem do Cumides Circle - zagroził Oskar.

- Co za paskudny charakter! Dobrze już, dobrze, chodźmy zatem! - wycofała się Estelle, przestraszona, że ominie ją Introdukcja.

- W porządku! - Boyd także skapitulował. - Pamiętaj tylko, mały, bez oszustw. Niech to będzie PORZĄDNA podróż!

Oskar zamknął obie książki i schował je do kieszeni.

- Jestem gotów - rzeki do swoich przyjaciół.

- Chciałeś chyba powiedzieć: jesteśmy gotowi - poprawiła go Valentine, która razem z Lawrence'em owinęła się peleryną Oskara.

- Zaczekajcie! - szepnął Jeremy i zerknął szybko w stronę muszli koncertowej.  
- Szybko, schowajmy się!

Barth wskoczył na swój rower i odciągnął przyczepkę za najbliższy krzak. Pozostała czwórka ledwie zdążyła ukryć się w kępie zarośli. Oskar wychylił się ostrożnie i zauważył dwa niewyraźne cienie w pobliżu ławki. Dzieci wstrzymały

oddech, tak bardzo bały się, że jakikolwiek odgłos ściągnie na nie uwagę niespodziewanych spacerowiczów. Co też te dwie osoby mogły robić o północy w Blue Parku? Ich kroki oddalały się powoli, słychać było szelest deptanych liści, kilka stłumionych słów, potem nastąpiła cisza.

Odczekali jeszcze kilka chwil, zanim wyszli ze swojej kryjówki. Nie było już nikogo, tylko ciepły, letni wiatr poruszał liśćmi drzew. Pierwszy odezwał się Jeremy.

- Pospieszcie się! Zostaniemy i będziemy pilnować Pavarottiego.

Oskar, Valentine i Lawrence ruszyli w stronę kloszarda. Oskar podniósł poły swojej peleryny i jego przyjaciele znowu się nią owinęli. Wyjął swój medalion i cała trójka ruszyła biegiem.

Jeremy i Barth zobaczyli tylko oślepiający błysk, który wystrzelił nagle w ciemnościach parku. Kiedy już minęło zaskoczenie i odzyskali wzrok, Pavarotti dalej radośnie chrapał na ławce, a przyjaciele zniknęli. Oskar, Lawrence i Valentine byli jeszcze mocno oszołomieni i zajęło im chwilę, zanim zdali sobie sprawę, że są z powrotem w Hepatolii.

Dzięki nabytemu doświadczeniu młody Medykus umiał już wybrać sobie konkretne miejsce lądowania. Byli teraz sto metrów pod ziemią, pośrodku wielkiej jednostki transferu pożywienia.

Valentine i Lawrence rozejrzeli się dookoła z uśmiechem. Nigdy dotąd nie poruszali się poza granicami swoich rodzinnych stron, wszystko więc wydawało im się tutaj obce i ciekawe. Nie oni jedni cieszyli się wyprawą - w wewnętrznej kieszeni peleryny książki Boyda i Estelle Fleetwood miały się podekscytowane.

- To dopiero! - zachwyciła się Valentine. - Nie miałam pojęcia, że istnieje coś takiego, a przecież to tuż obok! Nigdy tu nie byłam. Nieźle to wygląda... Oczywiście na zewnątrz, w Cumides Circle, jest dużo lepiej - dodała szybko, obawiając się, że Oskar zechce ją zostawić w tym miejscu. - Ale tu jest też całkiem, całkiem...

- Wszystko tu jest dużo większe, niż piszą w książkach - powiedział Lawrence, który po raz trzeci przecierał swoje okulary.

Otaczały ich chmury gorącej pary.

Oskara zdziwił wyczuwalny tu zapach. Był inny niż w znanych mu już ciałach zwierząt czy w organizmie Bonesa. Zaskoczyło go też to, co widział wokół siebie: robotnicy popychali wagony, działali jednak dużo wolniej niż podobni im pracownicy, których widział w czasie poprzednich Introduk'ii. Zachowywali się trochę dziwnie: żaden z nich nie poruszał się po linii prostej. Oskar spojrzął na pasy transmisyjne. Ich ruch w stronę sali z cysternami, należącej do jednostki rozdrabniającej, był bardzo nieregularny. Posuwały się naprzód, następnie cofały i ruszały od nowa. Chłopiec zauważył też, że ściany całej ogromnej groty, od podłoża aż po sklepienie, były wydęte, a kiedy Oskar dotknął jednej z nich, poczuł sde drżenie, jakby po drugiej stronie był jakiś duży ruch.

Przez duże okno zająrzył do centrum dyspozycyjnego. Trudno mu było cokolwiek dostrzec z takiej odległości, wyglądało jednak na to, że w tej sali nikogo nie ma. Wygaszono w niej światła.

Oskar pociągnął za sobą przyjaciół, starając się nie wchodzić pod nogi robotnikom, którzy i tak zdawali się ich w ogóle nie zauważać. Podeszli do wagonów - były wypełnione po brzegi winem.

- Hee... eeej, wy t... tam - zawołał mężczyzna w kombinezonie, który miał mocno czerwony nos i ledwo trzymał się na nogach. - Dzo... dzdzo wy t... tutaj robicie, cooo" ...?

Zanim Oskar zdołał cokolwiek powiedzieć, mężczyzna wybuchnął śmiechem i padł mu prosto w ramiona. Młody Medykus zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymali go przyjaciele. Mężczyzna zaśmiewał się do rozpuku.

- Słuchaa... ajcie, dzieci - powiedział niewyraźnie, jak gdyby spuchł mu gwałtownie język - bądźcie tak mde i przy... przynieście mi trochę tego pysznego napoju z wagonu, bo to straaasznie da... daleko, yyyhy hy hy!

Mężczyzna rozchichotał się na dobre.

Valentine spojrziała na niego z dziwną miną.

- Wszyscy tak się tutaj zachowują? - spytała. - W Wielkim Między-  
Uniwersalnym Systemie nie spotkałam nigdy takich głupków...-W górze też takich



nie widziałem - potwierdził Lawrence. - A może tacy trafiają właśnie tylko tutaj, do jednostki transferu pożywienia?

Oskar nachylił się nad mężczyzną i pociągnął nosem.

- Wydaje mi się, że domyślam się, o co tutaj chodzi. Zobaczcie - powiedział, podchodząc do najbliższego wagonu.

Valentine i Lawrence poszli za jego przykładem.

- Wino - powiedział Oskar z obrzydzeniem. - We wszystkich tych wagonach jest wyłącznie wino! Pavarotti prawie nic nie je, tylko pije alkohol! Ci pracownicy też są pijani i dlatego cała praca odbywa się byle jak.

- To znaczy, że gdzie indziej może być podobnie. Co za koszmar! Mam nadzieję, że Erytrocyty Pavarottiego nie są w takim samym stanie. Na ich miejscu strasznie by mi było wstyd...

Oskar rozejrzał się dookoła. Wszystko było zniszczone. Valentine, miała rację - pozostałe Uniwersa Pavarottiego działały zapewne równie kiepsko, zniszczone przez alkohol. Dopiero teraz zrozumiał, co chciała powiedzieć matka, kiedy razem z Violette parsknęli śmiechem, przechodząc obok pijanego człowieka na Kildare Street: „Biedak! Nie śmiejcie się z niego, on sam sobie wyrządza największą krzywdę!”.

Wtem usłyszeli jakieś hałasy i odgłosy szarpaniny między robotnikami, rozległy się krzyki. Dzieci odwróciły się, ale było już za późno. Wprost na nich pędził z wielką szybkością pociąg złożony z wielu wagonów, pełnych wina. Nie mieli dosyć czasu, by usunąć się z drogi przed gromadą przestraszonych robotników. Zostali w końcu zepchnięci na pas transmisyjny. Lawrence stracił równowagę i wpadł do wagonu z winem, które chlusnęło na zewnątrz. Pracownicy rzucali się na ziemię, żeby je jakoś uratować. Byli nawet tacy, którzy zlizywali je z podłoża!

Wagony nareszcie się zatrzymały. Valentine i Oskar zdołali wydostać się z tłumu, by pomóc przyjacielowi. Dostrzegli tylko jego nogi i ręce, wystające nad krawędziami wagonu. Kiedy udało im się go wyciągnąć, Lawrence patrzył na nich z niezbyt mądrym uśmiechem, oblizując palce.

- Hej, przyjaciele... hep!... wiecie, że to wino jest... hep!... naprawdę niezłe?

Hep!

- Lawrence! Ty też się upiłeś! - krzyknęła Valentine.

- Moje książki!

Oskar krzyknął tak głośno, że Valentine aż podskoczyła, nawet Lawrence przestał się uśmiechać.

- Książki! To jakiś koszmar, zgubiłem książki!

- Jak to się stało? - zdumiała się Valentine.

- To... to się pewnie stało w trakcie tej przepychanki - powiedział Lawrence, czkając nadal co jakiś czas. - Musimy... hep!... musimy się rozejrzeć dookoła. Hej, wy tam, towarzysze robotnicy, pomóżcie nam, a potem... hep! wypijemy jeszcze po jednym!

- Nie będziemy niczego pić! - skarciła go Valentine. - Lawrence, dosyć tego! Musimy znaleźć te książki, bez nich leżymy i kwiczymy, rozumiesz?

Lawrence kiwnął głową, starając się odzyskać przytomność umysłu. Tymczasem Oskar, na czworakach, szukał książek na ziemi, w tłumie robotników i za wagonami, pośrodku całego tego zamieszania.

- Spójrz tam! - krzyknęła Valentine. - Oskar, popatrz na tego faceta w czerni!

Jakiś człowiek biegł między robotnikami w białych kombinezonach. Ubrany był na czarno, miał tylko czerwony kołnierz. Oskar poczuł dreszcz, przebiegający całe jego ciało.

Patologus.

Równie łatwo rozpoznał książki, które człowiek ten ścisnął pod pachą. Było to dzieło Boyda i traktat Estelle Fleetwood! To on musiał wywołać całą tę awanturę z wagonami i korzystając z zamieszania, okradł Oskara...

Młody Medykus nie wahał się ani chwili - rzucił się w pogoń. Przeskakiwał nad leżącymi na ziemi robotnikami, którzy po ataku paniki zalegali, zbyt pijani, by stanąć na nogi. Valentine pędziła tuż za nim. Lawrence, który wbrew własnej woli wchłonął sporo alkoholu, przepychał się przez tłum.

Oskar zbliżał się do uciekającego mężczyzny. Był drobniejszy od Patologusa, który z trudem przeciskał się przez to mrowisko. Kiedy dzieliło go zaledwie kilka metrów od złodzieja, zaczął krzyczeć:

- Stój! Oddaj moje książki!

Wyciągnął rękę i złapał skraj czarnej kurtki. Patologus odwrócił się gwałtownie i chwycił Oskara obiema rękami za szyję. Chłopiec starał się uwolnić, brakowało mu jednak siły - walczył z dorosłym mężczyzną. Patologus miał maskę na twarzy, ale Oskar widział wyraźnie, że jego czerwone oczy błyszczą nienawiścią. Młody Medykus wyciągnął spod koszulki medalion i skierował go w stronę mężczyzny. Z Litery wytrysnęło gwałtownie jaskrawe światło, Patologus cofnął rękę i zasłonił nią oczy z okrzykiem bólu, jakby promień go oparzył. Oskar wykorzystał ten moment i odskoczył na bok. Nareszcie mógł odetchnąć swobodnie.

Patologus wyprostował się, widać było, że rozsadza go wściekłość. Valentine trzymała się w pobliżu Oskara.

- Chodź, jest silniejszy od nas, lepiej dajmy mu odejść!

- Nie ma mowy - powiedział Oskar, nadal trzymając przed sobą medalion i mierząc wzrokiem Patologusa. - Chcę z powrotem moje książki, masz mi je oddać! - krzyknął w kierunku mężczyzny.

Patologus uśmiechnął się tylko i pokręcił głową. Zanim Oskar zdążył wykonać jakikolwiek ruch, tamten rzucił się na niego i popchnął go gwałtownie na pas transmisyjny. Chłopiec uderzył głową o stalowy brzeg pasa i stracił przytomność.

Valentine skoczyła na napastnika. Waliła go z całej siły pięściami, ale odsunął ją z łatwością, jednym ruchem ręki. Runęła na Lawrence'a, który przepychał się właśnie z trudem w ich kierunku. Obydwoje upadli na ziemię.

Tymczasem Oskar ocknął się i podniósł głowę. Nadal znajdował się na pasie transmisyjnym, a konkretnie - leżał w przymocowanym do pasa stalowym pojemniku. Pas posuwał się znacznie szybciej niż do tej pory. Z przerażeniem odkrył, że jego ręce i nogi przywiązano mocno do pojemnika czarną linką. Zobaczył, jak przy

ścianie Patologus zastąpił robotnika i manewrował przy czerwonym guziku, zwiększając tempo poruszania się pasa. Oskar popatrzył przed siebie i pojął, co go czeka: za chwilę pas przesunie się do otworu, przez który spuści swój ładunek do cysterny w jednostce rozdrabniania pokarmu!

Valentine ruszyła znowu do ataku, ale ten i tym razem pozbył się jej z łatwością. Oskar starał się nie wpadać w panikę. Trzeba było się zastanowić - i to szybko. Jeśli nie zdoła się natychmiast uwolnić, wpadnie do cysterny i zostanie pocięty na miazgę przez wirujące tam ostrza. Próbował rozluźnić linkę, była jednak wykonana z dziwnego włókna - przecinała mu skórę, nie rozluźniając się jednak ani odrobinę.

- Nie martw się - powiedział do niego mężczyzna. - Ta linka rozwiąże się sama, kiedy jej każę... już za kilka minut, gdy będziesz spadał do cysterny.

Oskara dzielił już tylko metr od otworu. Było za późno na ratunek. Chłopiec zamknął oczy i trzymał się kurczowo pojemnika.

I właśnie wtedy pas transmisyjny stanął.

Młody Medykus otworzył oczy i zobaczył, jak wściekły Pa-tologus biegnie w kierunku stanowiska ręcznego sterowania pasem, naciska wielokrotnie guzik, ale nic się nie dzieje. Pas nie dawał się uruchomić. Oskar zerknął wysoko w górę, tam, gdzie widać było biuro centrum dyspozycyjnego. Za przeszkloną ścianą dostrzegł twarz Lawrence'a. Jego przyjaciel siedział przed głównym komputerem i to właśnie jemu udało się zatrzymać pas transmisyjny.

Patologus wrzasnął ze złością i wyjął z rękawa jakiś przedmiot, którego Oskar nie zdołał rozpoznać. Mężczyzna wyszeptał coś w pobliżu przedmiotu i rzucił go przed siebie szybkim ruchem. Młody Medykus dostrzegł wówczas wirujące ostrze w kształcie litery P, które pomknęło jak strzała w kierunku sali rozrządu. Przebiło się przez szklaną ścianę, która rozprysnęła się na milion kawałków, i śmignęło tuż koło głowy Lawrence'a. Mały Hepatolijczyk upadł na ziemię. Litera P z onyksu - tego twardego kamienia, z którego wykonywano broń Patologusów - ostra jak brzytwa,

kręciła się niczym frisbee, obleciała dookoła komputer, aż opadła na jeden z klawiszy i uruchomiła z powrotem pas transmisyjny w sali na dole.

Oskar odwrócił się, zrozpaczony. Lawrence był ranny, być może zginął przez niego, w dodatku to wszystko na nic, bo i on sam zginie także, już za kilka sekund. W tym momencie ujrzał, jak ognista linia przebiega przez sklepienie jednostki transferowej.

Zmrużył oczy. Rozpoznał wirujący jasny dysk, który leciał, zostawiając z tyłu promienistą linię ognia.

- Nie ruszaj się, Oskarze! - zawołał ktoś mocnym głosem z drugiego końca ogromnego hangaru.

W chwili, kiedy Oskar już-już miał spaść w ziejący otwór i dalej, do cysterny - dysk doleciał do jego rąk. Przeciął błyskawicznie linę, zupełnie jakby dotknęła jej mechaniczna piła. Oskar podniósł uwolnione ręce i rzucił się do tyłu. Spadł na ziemię dokładnie wtedy, kiedy pojemnik, do którego był przywiązany chwilę wcześniej, spadał w czeluść jednostki rozdrabniającej pokarm.

Podniósł się, cały spocony. Zobaczył przed sobą chłopca owiniętego w zieloną pelerynę, taką samą, jaką i on miał na sobie - schylał się właśnie po swój medalion, który leżał na ziemi. Medalion, który chwilę wcześniej uratował życie Oskarowi. Oskar rozpoznał chłopca bez trudu.

- Ayden!? Ayden Spencer! Jesteś...

- ...jestem Medykusem, jak ty, Oskarze.

Oskar nie wierzył własnym oczom. Nieśmiały Ayden, ten, którego wszyscy mieli za fajtlapę i tchórza, ten, nad którym Moss znęcał się na szkolnym podwórku - był Medykusem i właśnie uratował mu życie!

Miał ochotę spytać go, jak to się stało, ale czas naglił. Odwrócili się, by stawić czoło Patologusowi. Ten cofnął się, zawahał, a potem zaczął uciekać.

- Książki! - krzyknął Oskar. - On ma ze sobą moje książki! W tym samym czasie bracia O'Maley niecierpliwili się, ukryci pod osłoną krzaków Blue Parku.

- Oskar powiedział, że wrócą „za kwadrans, może pół godziny” - szeptał Jeremy. - Co oni tam robią tyle czasu?

- Może mają jakieś kłopoty - odpowiedział Barth. - Popatrz na Pavarottiego - nigdy jeszcze nie widziałem go w takim stanie. Bez przerwy robi jakieś straszne miny, łapie się za brzuch... Pewnie nie wszystko idzie zgodnie z planem tam, w środku!

- Podejrzewam, że tutaj także coś może nawalić - dodał Jeremy, nadstawiając ucha. - Mam wrażenie, że nie jesteśmy tu sami, Barth.

W pobliżu rozległy się jakieś odgłosy. Chłopcy usłyszeli wyraźnie czyjeś kroki. Ten ktoś chyba nie zauważył ich obecności. Przynajmniej na razie.

- Nie boję się ich - powiedział Barth, prostując się na całą swoją wysokość. - Pokażemy im, kim jesteśmy!

- Nie, schowaj się! - szepnął Jeremy. - Wytrzymajmy jeszcze trochę... Damy w ten sposób czas Oskarowi i innym, żeby wrócili. Oby tylko zrobili to szybko.

Tymczasem w Hepatolii Ayden Spencer właśnie miał rzucić się w pogoń za Patologusem, kiedy Oskar złapał go za ramię.

- Jest nas dwóch! Możemy zrobić Płaszczkę Medykusów!

- Co to jest? - spytał Ayden. - Zacząłem się dopiero uczyć z moim ojcem, nie za wiele umiem, znam ten Ognisty Dysk z medalionem...

- Zdejmij pelerynę - powiedział Oskar, zdejmując swoją. - Rób to co ja i powtórz to, co powiem!

Zakręcił peleryną nad głową i wypowiedział formułę, tyle razy powtarzaną z panią Withers: Niech te peleryny się skleją, Niechaj jak wichur zawieją, Niech owiną się ciasnym splotem, Niechaj wroga położą pokotem.

Ayden szybko powtórzył jego ruchy i słowa. Ich peleryny przez chwilę unosiły się w powietrzu, jedna naprzeciwko drugiej, w końcu połączyły się krawędziami. W ten sposób utworzyły coś w rodzaju olbrzymiego latawca w kształcie płaszczki, która rozwinęła swoje skrzydła i wzniosła się do lotu. Poleciała

nad ziemią z oszałamiającą prędkością i pochwyca Patologusa, który biegł się już w stronę wyjścia.

Mężczyzna upadł na płachtę i Płaszczka Medykusów znowu poderwała się do lotu, tym razem zabierając ze sobą Patologusa. Wirowała teraz nad głowami Oskara, Aydena i Valentine, i wciąż nabierała prędkości. Patologus, owinięty ciasno peleryną, miotał się i krzyczał z wściekłości i przerażenia.

- Książki! - zawołał Oskar. - Płaszczka cię piiiści, jeśli oddasz mi moje książki!

Mężczyzna złapał się brzegu jednej z peleryn i gwałtownie cisnął książką Boyda w grupkę dzieci. Antologia Patologusów odbiła się od ziemi i utkwiała pod wagonem. Oskar błyskawicznie podniósł ją z ziemi. Otworzył ją i Boyd, rozłuszczony, blu-znął stekiem przekleństw, nabazgranych wielkimi kulfonami.

Oskar szybko zamknął książkę.

- Trzyma jeszcze traktat Estelle Fleetwood! - powiedział do Aydena i do Valentine, którzy w międzyczasie odkryli windę w szybie wydrążonym w skale.

- Co takiego zawiera w sobie ta książka?-Wszystkie sekrety i tajemnice mocy Medykusów - wyjaśnił Oskar. - Muszę ją koniecznie odzyskać! Wyobrażacie sobie, co by się stało, gdyby wpadła w ręce Patologusów?

Płaszczka krążyła bezustannie pod stropem jednostki transferowej.

- Pójdę do centrum dyspozycyjnego, zobaczę, co z Lawrence'em - powiedziała Valentine. - Spotkamy się tam, jak odzyskacie traktat Estelle.

Im dłużej jednak peleryny fruwały pod sklepieniem sali, tym mocniej był ich uczepony Patologus i tym bardziej kurczowo ścisnął książkę. Wykorzystał nawet spokojniejszy moment i niski lot, chwycił swoją literę P z czarnego onyksu i rozciął szerokim ruchem jedną z peleryn. W tej samej chwili Ayden skulił się z bólu, jak gdyby poczuł to rozdarcie na własnej skórze.

Ugodzona Płaszczka nabrała wysokości, podleciała pod sam strop, a następnie spikowała w stronę otworu, widniejącego na krańcu pasa transmisyjnego. Wyglądała jak drapieżny ptak, czyhający na swoją ofiarę.

- Co ona najlepszego robi? - spytał zaniepokojony Oskar. - Zaraz znajdzie się w sali cystern!

Jednak zamiast zniknąć w czeluści otworu, Płaszczka gwałtownie skręciła. Patologus stracił równowagę, puścił tkaninę peleryny oraz książkę i z okropnym krzykiem wpadł w otwór. Oskar i Ayden z przerażeniem ujrzeli, jak znika, a wraz z nim spada książka Estelle Fleetwood.

Podbiegli do końca pasa transmisyjnego i wyjrzeni poza jego krawędź - w jednej z cystern wirowała obrzydliwa masa. W ostatniej chwili dostrzegli znikającą w niej nogę Patolo-gusa, siekanego na drobne kawałki przez kręcące się w głębcysterny ostrza. Masa zabarwiła się na czarno i zgęstniała, stała się kleista. Uniosła się gorzko cuchnąca para i chłopcy musieli się cofnąć, żeby nią nie oddychać. Jednocześnie z głębi cysterny dobiegł ich przeraźliwy jęk, sponad masy wystrzelił jakby promień słońca, padł na sklepienie sali i zgasł.

- Wydaje mi się... tak chyba się dzieje, kiedy umiera jakiś Medykus - powiedział nieśmiało Ayden.

- Tak, to dusza Estelle Fleetwood - powiedział Oskar, zrozpaczony. - I to moja wina. Oryginał jej książki został zniszczony razem z nią samą... Co ja zrobiłem najlepszego, Ayden, co ja narobiłem?

Ayden położył mu rękę na ramieniu.

- Nic już teraz dla nich nie możemy zrobić. I to nie jest twoja wina, Oskarze. Zrobiłeś wszystko, żeby odzyskać traktat Estelle. Chodź, pójdziemy poszukać twoich przyjaciół.

Nad ich głowami dwie peleryny rozłączyły się i łagodnie spłynęły na ramiona chłopców. Oddalili się, tymczasem robotnicy z wolna zabierali się do pracy, niespecjalnie przejęci walką, która toczyła się na ich oczach.

Dołączyli do nich Valentine i Lawrence.

- Nic ci nie jest? - spytał Oskar z niepokojem.

- Nie, wszystko w porządku - powiedział Lawrence, już nieco przytomniejszy.

- A ty? Odzyskałeś książki?



Oskar spuścił wzrok i przycisnął do siebie książkę Boyda. Dzieci z Hepatolii zrozumiały wszystko i zamilkły.

- Musimy wracać - powiedział Lawrence. - Trzeba tylko znaleźć Kaduceusz Medykusów. Gdzie on może być?

Wszyscy zaczęli rozglądać się dookoła, uważnie obserwując ściany, wagony, całą przestrzeń - szukali słynnego kielicha z owiniętym wokół niego węzem. Patrzyli na ekrany w salirozrządu i na kombinezony robotników, zaglądali pod wagony i pod pasy transmisyjne - nigdzie nie było śladu Kaduceusza.

Ayden zaczynał już tracić nadzieję, kiedy Oskar zawołał:

- Chodźcie tutaj szybko! - krzyczał z głębi hangaru, stojąc przy drugim końcu pasa transmisyjnego.

Dzieci natychmiast znalazły się obok niego, przy otworze nad cysternami. Wychylił się i patrzył w górę.

- Spójrzcie tam, na stropie! - powiedział.

Trójka jego przyjaciół przepychała się przy otworze. Na sklepieniu sali widać było symbol, który lśnił, jakby ktoś oprószył go złotym pyłem.

- Promień! - zawołał Ayden. - To promień, który wystrzelił wtedy z cysterny, to on narysował na suficie Kaduceusza!

- Estelle Fleetwood pokazuje nam drogę wyjścia, Oskarze - powiedział Lawrence. - Widzisz, to znaczy, że nie ma ci tego wszystkiego za złe!

Oskar uśmiechnął się smutno. Doceniał wysiłki przyjaciela, który starał się go pocieszyć, jednak nadal był załamany z powodu oryginału książki i ducha Estelle, zamkniętego w Traktacie. Miał straszne poczucie winy - gdyby nie jego przemożna chęć wykrycia prawdy o ojcu, nie wydarzyłoby się to, co się wydarzyło, a książka stałaby sobie spokojnie na półce w bibliotece Cumides Circle.

Valentine trąciła go delikatnie.

- Oskarze, Jeremy i Barth czekają na nas, musimy już iść! Trzeba jeszcze zawieźć Pavarottiego do Babylon Heights...

Oskar owinał swoją peleryną dwoje przyjaciół i razem z Ay-denem skoncentrowali się na Kaduceuszu, by wrócić do świata zewnętrznego. W ułamku sekundy wszyscy czworo opuścili Hepatolię i ciało kloszarda, lądując w pobliżu ławki.

### Zasadzka kryje zasadzkę

Jeremy i Barth rzucili się w ich kierunku.

- Już się zastanawialiśmy, czy w ogóle stamtąd wyjdziecie! - zawołał Jeremy. - Nie sądzem, że to taka wielka frajda - szwendać się po żołądku Pavarottiego!

Oskar zwrócił się do Aydena.

- Możesz nam wytłumaczyć, jak to się stało, że się tutaj znalazłeś? I to w dodatku w środku nocy?

Jeremy zaczął się śmiać.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że my też nieźle się zdziwiliśmy, kiedy tu wylądował z tą swoją zieloną peleryną a la Zorro, i zniknął w pocziwym starym Pavarottim zaraz po tobie. Nadeszła godzina wyjaśnień, Spencer! I pospiesz się, bo musimy zaraz wracać!

Ayden opowiedział im o tym, że po pikniku chciał zmienić opinię, jaką o nim mieli chłopcy.

- Wiedziałem, że masz mi za złe tamtą sprawę - powiedział do Oskara. - Jestem nieśmiały, nie umiałem ci opowiedzieć, co się zdarzyło tamtego dnia w szkole. Nie mogłem wtedy ryzykować, że dostanę odsiadkę, pan Brave wyznaczył nam z ojcem spotkanie, musiałem na nie pójść, ale przecież nie mogłem ci się do tego przyznać. Kiedy dowiedziałem się, że i ty jesteś Medykusem, chciałem porozmawiać, ale nie dopuściłeś mnie do słowa...

- I wtedy przyszedłeś pod dom Oskara - zrozumiał Jeremy. - To ty stałeś za żywopłotem i to twój rower widziałem potem na ulicy, kiedy uciekłeś!

- Chciałem porozmawiać z Oskarem, ale wy wszyscy tam byliście, więc schowałem się i... usłyszałem całą waszą rozmowę.

- A dziś śledziłeś Jeremy'ego i Bartha, aż przyszedłeś za nimi do parku - dodał Oskar.

- Nie miałem zamiaru was śledzić! - powiedział Ayden i zaczerwienił się lekko. - Pomyślałem sobie tylko, że może będziecie mnie potrzebować... Ty mi pomogłeś w szkole, chciałem ci się odwdziżyć. Poszedłem za braćmi O'Maley, schowałem się w krzakach i widziałem Patologusa, który wszedł do ciała Pavarottiego tuż przed wami, kiedy się na chwilę ukryliście!

- Tak, to musiał być on - te cienie, które widzieliśmy przed Introdukcją! - zauważył Lawrence.

- Wtedy przyszło mi do głowy, że możesz mieć kłopoty - ciągnął Ayden. - Zbliżyłem się do Pavarottiego i wszedłem do jego organizmu.

- Rzeczywiście, mogłeś to zrobić. W jednym ciele może być jednocześnie wielu Medykusów... - stwierdził Oskar. - Dzięki, Ayden. Bez ciebie, szkoda gadać, co by się stało...

- Wybaczcie, że wam przerywam - wtrącił Lawrence - ale jeśli widzieliśmy dwa cienie weszły do parku, a tylko Patologus przeniknął do ciała Pavarottiego, to gdzie się podziała ta druga osoba?-Skąd wiedzieli, że będziemy tutaj dziś wieczorem, z Pa-varottim i z książkami Boyda i Estelle? - dodał Oskar.

- Ktoś musiał się o tym dowiedzieć i zdradził nas - stwierdził Jeremy.

- Zaraz, przecież tylko ty wiedziałeś, gdzie i kiedy się spotykamy... - powiedziała podejrzliwie Valentine do Aydena.

- To nie ja was zdradziłem! Gdyby tak było, po co miałbym wam pomagać? - wykrzyknął Ayden.

Lawrence usiadł na ławce, żeby się spokojnie zastanowić, tuż obok Pavarottiego, któremu ta dyskusja zupełnie nie przeszkadzała - chrapał w najlepsze.

- Nie, Ayden z pewnością nie był jedynym, który wiedział, że się tutaj spotykamy - stwierdził Hepatolijczyk. - Boyd mógł komuś coś napomknąć, Estelle

Fleetwood także, ale to dosyć mało prawdopodobne, nie byłoby im to na rękę. Czekajcie... - ciągnął - to jasne! Jest jeszcze inna osoba, która mogła z łatwością dowiedzieć się o naszych planach!

Jakiś hałas w pobliżu zmusił ich do przzerwania rozmowy. Wskoczyli szybko w krzaki. Usłyszeli zduszone krzyki i odgłosy walki.

- Tam! - wyszeptał Jeremy. - Spójrz, Oskarze! Pod latarnią, koło klombu z różami...

Oskar odwrócił się w samą porę, by dojrzeć łysą czaszkę, lśniąca w żółtawym świetle latarni, w środku nocy... Kiedy łysy mężczyzna odwrócił się w ich stronę, młody Medykus jęknął ze zdumienia.

- Bones! - powiedział zaskoczony. - To on! On nas zdradził!

- To jasne - potwierdził Lawrence, który nie dokończył swojej myśli parę chwil wcześniej. - Kto cię bez przerwy szpieguje? Kto układa książki? Podśłuchuje pod drzwiami? Śledzi wszystkie twoje ruchy? Bones, oczywiście! Musiał słyszeć twoją rozmowę z Boydem w bibliotece...

Dzieci popatrzyły w kierunku, gdzie przed chwilą pojawił się Bones, teraz jednak nikogo już tam nie było.

- Uciek! - zawołała Valentine. - Wrócił pewnie do Cumides Circle.

- Powinniśmy zrobić to samo, i to szybko - poradził Lawrence. - Jeśli pan Brave się obudzi, Bones powie mu na pewno, że nasz pokój jest pusty i że wyszliśmy gdzieś w nocy, bez pozwolenia. A wtedy nie mamy co marzyć o dalszym pobycie w Cumides Circle!

- Wyjaśnię panu Brave'owi i pani Withers, co się stało - powiedział Oskar.

- Bądź pewien, że Bones wszystkiemu zaprzeczy - dodał Lawrence. - Dlaczego by pan Brave miał raczej wierzyć tobie niż Bonesowi? Nie mamy żadnego dowodu na to, że nas zdradził...

- Jeśli Bones odważy się zrobić coś takiego, zemsta będzie straszna, słowo Erytrocyta! - zawołała rozwścieczona Valentine. - Moglibyśmy przywiązać go siłą do łóżka i zmusić, żeby zjadł miskę zupy cebulowej z malinami w wykonaniu Cherie!

- Słuchajcie - przerwał jej Lawrence - musimy jak najprędzej wracać do domu!

Oskar popchnął przyjaciół w stronę Pavarottiego.

- Pomożemy wam przenieść go na wózek - powiedział. - Wracajcie do Babylon Heights!

Barth pobiegł po swój rower z przyczepką, po czym sześcioro dzieci przeniosło kłozarda do wózka bez większego wysiłku, kładąc go na owym pojeździe delikatnie.

Kiedy skończyli, Oskar rzekł do Aydena:-Wracaj z Jeremym i Barthem, zanim twój ojciec zorientuje się, że nie ma cię w domu.

- Pracuje w nocy - uspokod go Ayden. - Wróci do domu dopiero o ósmej rano.

- Ok. To siadaj z tyłu, na rowerze Jeremy'ego. Dziękuję wam!

Barth starał się pedałowac w miare szybko, mimo że ciągnął ciężki wózek. Wkrótce wszyscy trzej zniknęli za drzewami.

Oskar, Lawrence i Valentine zostali w pustym parku. Nagle koło nich rozległ się jakiś dźwięk.

- Nie mamy chyba zamiaru spędzać tutaj nocy, co? - szepnął Lawrence, który czuł się dużo mniej pewnie, odkąd zostali we trójkę. - Wracamy?

- Nie możecie sobie pójść teraz, kiedy dopiero co przyszliśmy - odezwał się głos, który Oskar rozpoznałby bez trudu wśród wielu innych.

Z cienia wynurzyły się cztery sylwetki. Zbliżały się do ławki. Oskar poczuł, że cały sztywnieje.

- Co ty tutaj robisz, Moss?

- A wy? - spytał chłopak, ukazując się w świetle latarni. - Często tak się włóczycie po parkach w nocy? To nie jest park dla takich jak wy, już ci to mówiłem, Pill. To miejsce dla ludzi z klasą.

Oskar nie od razu mu odpowiedział. Najpierw Patologus wewnątrz Pavarottiego, a teraz Moss, który czekał na niego w parku. Dwie pułapki i żadnej z nich się nie spodziewał! Czy Moss był także Patologusem? Musi o to zapytać pana Brave'a... Na razie trzeba było wykaraskać się jakoś z tej zasadzki.

Mossa otaczała grupka jego kumpli, którzy chodzi za nim wszędzie, także w szkole, jak psy za swoim panem. Był tamoczywiście Cole Doherty, z grubymi nogami i rzadko rozstawionymi zębami. Oskar rozpoznał też Grahama Nortona, chłopaka, który był od nich o rok starszy, ale Moss wkręcił go jakoś do swojej bandy. I w końcu Jimmy Bailey. Na kilka dni przed zakończeniem roku szkolnego profesor Penguin nakrył Bailey'a, jak zmuszał ośmiolatki do palenia papierosów. Został wyrzucony ze szkoły i najwyraźniej zasłużył na to, żeby stać się przyjacielem Mossa... Było ich czterech, wszyscy silni i skłonni do bójki - i chociaż Oskar bił się już z Mossem niejednokrotnie, miał świadomość, że nie da sobie rady z czterema naraz. Moss odczekał, aż bracia O'Maley znikną, wiedział, że ze swoimi kumplami będzie miał przewagę liczebną.

Oskar nie bał się o siebie, miał jednak sobie za złe, że naraził Valentine i Lawrence'a na niebezpieczeństwo.

- Zadałem ci pytanie, Pili - podjął znowu Moss. - Boisz się odpowiedzieć? Czy jak zawsze obleciał cię strach na mój widok?

Valentine ruszyła do przodu, czerwona ze złości. Jej twarz przybrała niemal ten sam kolor co włosy.

- Ty, za kogo ty się uważasz, co? Nikt z nas się ciebie nie boi! Nie przestraszyłbyś nawet muchy!

Moss zmrużył swoje małe oczka i zaczął chichotać.

- A co to jest takiego? Gdzie ty znajdujesz takie ufoki z czerwonymi włosami, Pili?

Valentine nie czekała na odpowiedź Oskara.

- Masz tu od ufoka!

Kopnęła go z całej siły w goleń. Moss zawył z bólu.

- Złapcie ich! - wrzasnął do swojej bandy. - Pokażemy im, kto tutaj rządzi! Oskar podał książkę Boyda Lawrence'owi i popchnął przyjaciół w stronę Cumides Circle.

- Biegnijcie. BIEGNIJCIE i nie zatrzymujcie się!

- Nie! - zawołała Valentine. - Nie zostawimy cię tutaj samego!

Moss i jego kumple rzucili się w ich stronę. Oskar przypomniał sobie rady Maureen. Zerwał błyskawicznym ruchem pelerynę i zakręcił nią przed sobą. Pomiędzy nim a chłopakami powstała świetlista tarcza, odbili się od jej srebrzystej powłoki. Silny wstrząs odrzucił ich do tyłu. Upadli, kwicząc.

Oskar odwrócił się ze złością do swoich przyjaciół.

- Mówiłem wam, żebyście sobie stąd poszli!

- Nie ma mowy - odparł Lawrence, stojąc z założonymi rękami. - Jeśli ty tutaj zostajesz, my też zostaniemy!

Dzieci z Hepatolii skuliły się w pobliżu Oskara, szukając schronienia za tarczą. W międzyczasie Moss i jego koledzy wstali i otoczyli ich kręgiem. Oskar dostrzegł rozwścieczone spojrzenie Mossa.

- Jeśli ci się wydaje, że nas odstraszy tym swoim ryszunkiem, bardzo się mylisz, Pili. W końcu się zmęczysz, a wtedy...

Oskar zmienił rękę. Miał wrażenie, że tarcza obciąża pelerynę, że ta z wolna słabnie. Spojrzał za siebie, szukając drogi ucieczki. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wolną ręką wyciągnął swój medalion.

- Popatrzcie uważnie dookoła - szepnął do przyjaciół.

Valentine i Lawrence obejrzel się, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- Niczego nie widzę - rzekł cicho Lawrence. - Czego szukamy?-Przyjrzyjcie się - wyszeptał Oskar, który nie chciał, by podsłuchali go tamci.

Valentine zauważyła wreszcie to, czego szukali. To była ich jedyna szansa ratunku.

- Tam! - zawołała nieco zbyt głośno.

Tym razem to Lawrence zasłonił jej usta ręką. Oskar odwrócił głowę i uśmiechnął się - błękitnawa Litera świeciła się na pniu Drzewa Przejścia, całkiem blisko! Na szczęście Moss i jego zbiry nie od razu zrozumieli, o co chodzi. Oskar przestał kręcić peleryną i tarcza zniknęła.

- Szybko! - krzyknął Oskar do przyjaciół.

Pobiegli najszybciej, jak tylko mogli, w stronę drzewa. Oskar owinał przyjaciół peleryną, przypomniał sobie zaklęcie otwierające i modlił się w duchu, żeby drzewo zaakceptowało obecność Lawrence'a i Valentine, tak jak kiedyś rozpoznała ich jego peleryna.

Przede mną, Medykusem, się otworzysz

I w ciemności ziemi mnie poprowadzisz.

Pod wpływem tych słów i dzięki wyciągniętemu medalionowi pień drzewa się otworzył.

Trójka dzieci wpełznąła się do kabiny wewnętrznej. Świetlista litera M ukazała się na ziemi i ponad ich głowami. Oskar dostrzegł jeszcze, jak Moss próbował podnieść opadającą klapę, a potem winda zaczęła zjeżdżać głęboko pod ziemię.

Drzwi kabiny otworzyły się przed Skanerem Serca. Oskar popchnął w jego kierunku zdziwione dzieci, niemające pojęcia, gdzie się właściwie znalazły. - Biegiem! - powiedział. I odgadując ich nieme pytanie, dodał: - Jesteśmy w tajemnym tunelu, prowadzącym do Cumides Circle!

Zobaczył, że kabina wjeżdża z powrotem na górę. To oznaczało, że Moss i jego kumple zdołali otworzyć pień Drzewa Przejścia i już za chwile do nich zjadą... Pociągnął za sobą dzieci i znowu wyjął medalion. Wiszące w przestrzeni litery M rozbłysły, wydobywając z ciemności tunel, którym mieli przedostać się do domu. Postąpili kilka kroków naprzód i litery zaczęły przygasać. Oskar odwrócił się w stronę przyjaciół i spojrzał im prosto w oczy.

- Nie bójcie się - powiedział. - Tunel czyta w waszych sercach i jeśli nie macie ochoty albo odwagi, żeby iść dalej, światła gasną.

Lawrence i Valentine wyprostowali się i dzielnie uśmiechnęli.

- Idziemy! - zawołała Valentine.

Zaczęli biec, tym razem litery intensywnie oświecały im drogę. Oskar, z trudem łapiąc oddech, rzucił okiem do tyłu i zauważył, że kabina zjechała, otworzyła



się i wypadły z niej jak z katapulty trzy masywne sylwetki. Zrozumiał, że nie dadzą rady im uciec, za małą mieli przewagę.

- Szybciej - rzucił zdyszany. - Jeszcze trochę, już jesteśmy prawie na miejscu!

Kabina ponownie zjechała i teraz wypadł z niej Moss. Zauważył umykającą trójkę i popędził Doherty'ego, Badeya i Nortona.

- Nie mogą nam zwiać! Łapcie ich!

Jego kumple rozglądali się wokół.

- Jesteś pewien, że powinniśmy się tam pchać? - spytał Doherty, sepleniąc lekko przez swoje rzadkie zęby. - No już, mówię przecież! - wrzasnął Moss, wściekły. - BIEGIEM!

Popatrzyli na siebie i ruszyli, ale nie uszli daleko. Po kilku metrach upadli, jakby zderzyli się z jakąś niewidoczną ścianą.

- Wstańcie i do przodu! - popędzał ich Moss.

Norton nadal siedział na ziemi i spoglądał na kolegów oszołomiony. Bailey wstał i rzucił się po raz kolejny na zaporę, której co prawda nie było widać, ale która musiała być całkiem rzeczywista, sądząc po bólu, jaki uderzenie wywołało w jego ramieniu. Doherty, coraz bardziej zaniepokojony dziwacznymi zjawiskami, postanowił użyć swoich masywnych nóg - wziął rozmach i kopnął z wielką siłą niewidoczną ścianę. Wydał z siebie straszliwy wrzask i osunął się na ziemię, nie mógł bowiem ustać na stopie, która w ciągu kilku sekund dwukrotnie zwiększyła swoją objętość i nadal puchła w oczach.

Moss przepchnął się między nimi i zaczął walić pięściami w ową ścianę.

Oskar i jego przyjaciele odwrócili się i obserwowali to wszystko z dużą ulgą.

- Mur Niepokoju! - ucieszył się Oskar. - To jak ze świecącymi literami. On pojawia się i nie pozwala przejść dalej, jeśli ktoś nie ma odwagi albo prawdziwej woli iść naprzód! Jesteśmy uratowani!

Ściana zaczęła rosnąć, spychając czterech chłopaków w stronę wejścia do tunelu. Moss starał się zahamować ten ruch, na próżno jednak - upadł, krzycząc ze złości. W końcu nie miał innego wyboru, jak wrócić do kabiny. Wydawało się, że

jego trzem towarzyszom niemal ulżyło z tego powodu. Nie śmieli jednak tego okazać szefowi. Kabina zamknęła się i wyjechała z powrotem na powierzchnię ziemi. Drzewo Przejścia wyrzuciło z siebie chłopaków, w podobny sposób jak człowiek wypluwa jakiś wstrętny w smaku pokarm. Siedzieli teraz pośrodku pustego parku, zupełnie oszołomieni.

Moss podniósł się i już chciał skopać swoich kumpli, nie zdążył jednak wykonać nawet ruchu, kiedy solidna gałąź poderwała wszystkich czterech do góry. Zaczęli krzyżeć, ale nikt im nie przyszedł z pomocą. Znaleźli się dziesięć metrów ponad ziemią.

- Kręci mi się w głowie - szlochał Doherty, który nie wydawał się już teraz wcale taki pewny siebie. - Chcę zeeeeść!

Moss trzymał się z całej siły gałęzi. Minę miał lekko nieprzytomną. Gałąź zaczęła się miarowo kołysać do przodu i do tyłu. Chłopcy starali się za wszelką cenę uniknąć upadku, kiedy jednak Drzewo Przejścia wzięło dostatecznie szeroki rozmach - wystrzeliło ich bez trudu w przestrzeń.

Wszyscy czterej polecili w górę, jak mocno rozwrzeszczane pociski raketowe. Wirujący jak bąk Moss ujrzał ze zdziwieniem, że lecą prosto w kierunku innego drzewa - wielkiego dębu, wyrastającego ponad mur otaczający Cumides Circle.

Zizou, który już czekał na cztery pociski, walnął je radośnie gałęzią, zmieniając kierunek ich lotu. Moss, Doherty, Norton i Bailey wykonali skręt i wylądowali w ogrodzie otaczającym willę państwa Mossów, w samym środku basenu. Wzniosła się przy tym ogromna fala, która opróżniła połowę zbiornika.

W domu zapaliły się liczne światła. Rufus Moss i jego małżonka wyskoczyli z łóżka i rzucili się do okien, odgarniając zasłony. Stali w osłupieniu, obserwując cztery sylwetki, unoszone na szczycie wodnego słupa, przy czym jedna z postaci zadziwiająco przypominała ich syna, Ronana...W głębi tunelu trójka przyjaciół obserwowała usuwanie bandy Mossa, podskakując z radości.

- Dobra, teraz musimy się pospieszyć - przynaglił ich w końcu Lawrence. - Jestem pewien, że Bones już wrócił i czeka na nas, stojąc jak głaz przy drzwiach.

Ledwo ruszyli, Valentine potknęła się o coś dużego, co leżało w poprzek przejścia. Przewróciła się i znalazła się twarzą w twarz ze znajomym obliczem.

- To dopiero! - krzyknęła. - Bones! To Bones!

Oskar przyklęknął w pobliżu leżącego ciała i zbliżył swój medalion do twarzy majordomusa - był blady jak ściana. Miał słaby oddech. Lawrence dotknął szyi Bonesa.

- Czytałem o tym w twojej książce o pierwszej pomocy, Oskarze - trzeba policzyć liczbę uderzeń serca na minutę. Ma bardzo słabe tętno i serce bije za szybko... Co mu się mogło stać?

- Nie mam zielonego pojęcia - stwierdził Oskar.

- Może to jakaś nowa pułapka? - zastanawiał się Lawrence.

- W każdym razie dobrze się składa! - zawołała Valentine. - Wystarczy, że wrócimy do domu i uprzedzimy Wielkiego Mistrza. Będzie miał dowód, że Bones jest zdrajcą! Ciekawe, swoją drogą, jakim cudem udało mu się wejść do tunelu.

- Nas przecież drzewo przepuściło, dlaczego miałyby go zatrzymać? - zauważył Lawrence.

- Wy to co innego - pochodzicie z wewnętrznego Uniwersum - powiedział Oskar. - Poza tym mój medalion jest wyjątkowy - został związany z medalionem pana Brave'a.

- Może Bones ukradł medalion Wielkiego Mistrza? - zasugerował Lawrence.

Oskar zawahał się, potem zbliżył do Bonesa, który był naprawdę w kiepskim stanie. - Jedno jest pewne - powiedział. - Bones nie jest Patolo-gusem.

- Skąd masz taką pewność? - spytała Valentine, nie rozumiejąc, do czego Oskar zmierza.

- Bo już wchodzę do jego organizmu.

- On ma rację - potwierdził Lawrence. - Medykus nie może wejść do ciała Patologusa i vice versa. Jeśli Oskarowi się udało, to znaczy, że Bones nie jest Patologusem.

- To jednak wcale nie znaczy, że nie jest zdrajcą! - zaproponowała Valentine. -  
Możliwe, że przeszedł na stronę wroga!

- To prawda - przyznał Oskar. - Tak czy inaczej trzeba go uratować. Będzie musiał wszystko wyznać panu Brave'owi.

- A może najpierw pójdziemy i powiemy o tym panu Brave'owi? - zaproponował mały Hepatolijczyk. - Tak byłoby bezpieczniej, nie sądzicie?

- Tak, ale mogłoby też być już za późno. I tak już niewiele ryzykujemy, a Bones może umrzeć, jeśli mu nie pomożemy.

Valentine westchnęła.

- No dobrze, w drogę!

- Mogę tam iść sam, nie musicie mi towarzyszyć - powiedział Oskar.

Przyjaciele wzruszyli ramionami i owinęli się połami jego peleryny.

- Zamiast gadać - powiedziała Valentine - ruszajmy wreszcie!

## **Ratujmy Bonesa**

Kiedy Oskar rozchylił swoją pelerynę, Valentine i Lawrence rozejrzeli się dookoła z zainteresowaniem.

Znajdowali się w wielkim pomieszczeniu, wysokim jak katedra, pośrodku widniał krater. Dookoła wyrastały kolumny z czerwonego szkła, rozdzielone wyżłobionymi w podłożu zagłębieniami z klapami. Dzieci stały pomiędzy kolumnami, przyglądając się kraterowi - wyglądał jak wielki różowy kielich.

- Gdzie my jesteśmy? - spytała Valentine, wyraźnie zdumiona z powodu istnienia tylu zakątków Hepatolii, o których istnieniu nie miała pojęcia.

- W wielkiej wieży Hepatolii - powiedział Oskar. - Maureen Joubert nazywa ją także Grotą Przeżuwania.

Ich głosy wzbudzały echo, jak gdyby byli w prawdziwej grocie.

- Przeżuwania? - powtórzył Lawrence. - To tutaj Bones... przeżuwa swój pokarm? To znaczy, że jesteśmy w ustach!

- Tak, chyba tak... Pokarm na pewno tędy przechodzi, zastanawiam się jednak, którędy się dostaje i gdzie znika, żeby spaść do jednostki transferowej.-Ale dlaczego sprowadziłeś nas właśnie tutaj? Mamy bardzo mało czasu, Bones jest chory i trzeba go ratować... - Lawrence rozglądał się dookoła nieco zagubionym wzrokiem.

- Maureen wspominała mi, że w Grocie Przeżuwania jest skrót, który pozwala ominąć jednostkę transferową i salę cystern... Jakies przejście do Wielkiego Systemu, tak mi się wydaje. Może znajdziemy tam kogoś, kto nam powie, gdzie trzeba iść, żeby wyleczyć Bonesa, tak będzie szybciej.

- No dobrze... Gdzie jest ten twój skrót? - spytał Lawrence.

- Nooo... nie za bardzo wiem - przyznał Oskar.

Nie widać było żadnego wyjścia. Valentine też zaczęła się rozglądać.

- Ukryte przejście do Wielkiego Między-Uniwersalnego Systemu, czyli do moich okolic... - powtarzała Valentine, obchodząc krater dookoła. - Czekajcie... - zawołała. - Słyszałam, jak wspominały o tym moje starsze siostry. Mówiły o przejściu poniżej języka!

- W takim razie wystarczy tylko znaleźć ten język - podsumował Lawrence. - Masz jakiś pomysł, gdzie on może być?

- Nie, ale jeśli zrozumiemy, w jaki sposób funkcjonuje Grota Przeżuwania, znajdziemy go - powiedział Oskar. - Musimy się pospieszyć - nie wiemy, ile czasu przetrwa Bones w tym stanie.

Podniósł wzrok i bardzo wysoko, nad ich głowami, ujrzał dach, który wydawał się utworzony z płatków, gotowych się rozsunać w razie konieczności.

- To na pewno tam - stwierdził. - Kiedy Bones je, ten dach otwiera się, trochę jak usta, pokarm wpada na dno krateru i wywołuje ruch szczęk. W każdym razie wydaje mi się, że gdzieś o tym czytałem...-Ale dlaczego sprowadziłeś nas właśnie

tutaj? Mamy bardzo mało czasu, Bones jest chory i trzeba go ratować... - Lawrence rozglądał się dookoła nieco zagubionym wzrokiem.

- Maureen wspominała mi, że w Grocie Przeżuwania jest skrót, który pozwala ominąć jednostkę transferową i salę cystern... Jakies przejście do Wielkiego Systemu, tak mi się wydaje. Może znajdziemy tam kogoś, kto nam powie, gdzie trzeba iść, żeby wyleczyć Bonesa, tak będzie szybciej.

- No dobrze... Gdzie jest ten twój skrót? - spytał Lawrence.

- Nooo... nie za bardzo wiem - przyznał Oskar.

Nie widać było żadnego wyjścia. Valentine też zaczęła się rozglądać.

- Ukryte przejście do Wielkiego Między-Uniwersalnego Systemu, czyli do moich okolic... - powtarzała Valentine, obchodząc krater dookoła. - Czekajcie... - zawołała. - Słyszałam, jak wspominały o tym moje starsze siostry. Mówiły o przejściu poniżej języka!

- W takim razie wystarczy tylko znaleźć ten język - podsumował Lawrence. - Masz jakiś pomysł, gdzie on może być?

- Nie, ale jeśli zrozumiemy, w jaki sposób funkcjonuje Grota Przeżuwania, znajdziemy go - powiedział Oskar. - Musimy się pośpieszyć - nie wiemy, ile czasu przetrwa Bones w tym stanie.

Podniósł wzrok i bardzo wysoko, nad ich głowami, ujrzął dach, który wydawał się utworzony z płatków, gotowych się rozsunąć w razie konieczności.

- To na pewno tam - stwierdził. - Kiedy Bones je, ten dach otwiera się, trochę jak usta, pokarm wpada na dno krateru i wywołuje ruch szczęk. W każdym razie wydaje mi się, że gdzieś o tym czytałem...-O jakich szczękach ty mówisz? - zdziwiła się Valentine, pochylając się ryzykownie nad krawędzią krateru. - Widziałeś tu gdzieś zęby?

Lawrence pociągnął ją za ramię.

- Chodź, Valentine, nie mamy czasu, musimy...

Valentine chciała stracić rękę Lawrence'a. Robiąc dosyć gwałtowny ruch, straciła równowagę i upadła do tyłu. Stała na różowej, gładkiej powierzchni krateru, po czym ześliznęła się i wleciała do środka.

- Wszystko w porządku. Strasznie tu wilgotno, ale nic mi się nie stało - krzyknęła z dołu. - Już wychodzę!

Rozejrzała się wokół.

- Łeee, wszystko tu się klei, strasznie ślisko!

Znalazła w końcu jakąś wypustkę, na której oparła stopę.

W tym momencie zaczęły pracować silniki, ukryte pod klapami. Klapy rozchyliły się i ze środka wynurzyły się potężne, białe, pełne wgłębień bryły, umocowane na ruchomych ramionach. Przypominały wielkie, kołyszące się tulipany.

- Zęby! - zawołał Oskar. - Zęby Bonesa!

Lawrence skrzywił się.

- Spójrzcie na tę wielką plamę, tutaj, na szóstce! Bones ma próchnicę... Czy coś takiego jak szczoteczka do zębów nie istnieje w Cumides Circle?

Zęby odwróciły się wszystkie w stronę środka i wypuściły czerwone promienie, które skrzyżowały się nad kraterem.

Valentine podniosła wzrok na przyjaciół.

- Co się dzieje? - spytała zaniepokojona. - Co to za promienie?

Podłoże pod jej stopami zaczęło falować, a potem gwałtowniej drgać. Valentine mimowolnie podskakiwała jak na trampolinie, coraz wyżej i wyżej. - Valentine jest na języku! - krzyknął Lawrence. - Nacisnęła czujnik wykrywający obecność pokarmu, i język podrzuca ją teraz, żeby... żeby dotarła na wysokość zębów! Zaraz zostanie przeżuta, trzeba coś zrobić, Oskarze!

- Co tak stoicie, pomóżcie mi! - wrzasnęła Valentine, podskakując coraz wyżej i opadając w dół.

Oskar obserwował tę scenę przez chwilę i dotarło do niego, że jeszcze chwila i jego przyjaciółka doleci na wysokość skrzyżowanych promieni. Zęby wykryją jej obecność i przeżują ją, jakby była kawałkiem mięsa!

Złapał Lawrence'a za ramię i pociągnął ze sobą.

- Ale... co ty... co robisz! Oskar... Aaaa!

Okrzyk Lawrence'a ucichł w kraterze. Oskar zeskoczył, ciągnąc małego Hepatolijczyka i również znaleźli się na języku. Wszyscy troje starali się utrzymać równowagę mimo wstrząsów. Nad ich głowami zęby miotały się na swoich zdalnie poruszanych ramionach. Wyglądało to tak, jakby przeszukiwały powierzchnię krateru w poszukiwaniu ofiary do zmiżdżenia...

- We troje jesteśmy większym ciężarem - krzyknął Oskar. - Trudno będzie podrzucić nas do poziomu zębów!

- Ale na razie jesteśmy na języku - odparł Lawrence, którym miotało na wszystkie strony. - A z tego, co pamiętam, chciałeś być pod nim, czy tak? Co ty znowu wyprawiasz?

Oskar już go nie słuchał. Zdjął pelerynę i rzucił ją w powietrze. Opadła na ziemię. Spróbował jeszcze raz.

- Oskar, postaraj się raczej wydostać nas stąd! - zawołała Valentine, której zaczęło się zbierać na mdłości.

- Właśnie to robię! - odpowiedział młody Medykus. - Jeśli promienie wykryją pelerynę, zęby dosięgną jej, by ją przeżuć! - I co wte... wte... wtedy? - zapytał Lawrence, bezustannie podzucany.

- Kiedy ktoś przeżuje już jakiś pokarm, łyka go i wtedy ta rzecz dostaje się w miejsce „poniżej języka”, prawda? Trzeba więc zmusić Bonesę, żeby coś połknął!

Oskar rzucił pelerynę do góry po raz trzeci, jednak język wciąż nim miotał w różne strony i nie mógł utrzymać równowagi. Peleryna nie osiągała właściwej wysokości, by odkryły ją promienie czujnika, a zęby trzymały się brzegów krateru, czekając, aż spadnie im jakiś kasek.

Lawrence, który - nie chcąc się rozdzielać z przyjaciółmi - uczeplił się ramienia Oskara i nogi Valentine, wykrzyknął w końcu.

- Oskar! Twój medalion... Wyjmij go!

- Po co?



Spojrzał w górę na promienie i zrozumiał, zanim jeszcze Lawrence zdążył mu cokolwiek wyjaśnić. Wyciągnął medalion spod koszulki i skierował go do góry. Wokół litery M rozblęskło złociste światło, świeciło coraz to jaśniej, po chwili utworzyło olśniewający blaskiem słup promieni, który wystrzelił w stronę sklepienia grotu. Przeciął promienie i nagle wszystkie zęby wyciągnęły się do góry: odkryły czyjąś obecność! Metalowe zawiasy wyprostowały się, potem znowu ścisnęły i trzydzieści dwa zęby, w tym dwa złote, stały się z niemożliwym chrzęstem i hałasem.

Valentine krzyknęła z radości.

- Nareszcie! Zaczynają przeżuwać! Udało ci się, Oskarze!

- Uważajcie! - przestrzegł ich Oskar. - Kiedy Bones zacznie przełykać, język usunie nam się spod nóg, spadniemy! Złapcie się brzegów krateru! Zgodnie z przewidywaniami Oskara, krater rozsunął się na wiele mniejszych części i dzieci, uczone krawędzi, zawisły nad otchłanią.

Oskar spojrzał w dół - Grota Przeżuwania znajdowała się na poziomie ziemi, tymczasem dziesiątki metrów niżej, w pobliżu jeziora śliny, widać było magazyn i pracowników jednostki transferu. Czekali na przeżuty pokarm, który miał spaść z ust. Zamierzali załadować go do wagonów.

Rozejrzał się dookoła - musiał szybko znaleźć ten skrót, o którym wspominała Maureen.

- Tutaj! - zawołała Valentine. - Te otwory pod krawędzią! Przesuńcie się!

Chłopcy zaczęli powoli przemieszczać się wzdłuż krawędzi krateru, trzymając się tylko rękami. Pod ich nogami ziała głęboka przepaść. Dotarli w końcu do Valentine, która znajdowała się nad otworami prowadzącymi do kilku tuneli.

Lawrence zaczął tracić siły. Ciężko mu było się utrzymać, bo był najcięższy.

- Skąd... mamy wiedzieć, który... z tych otworów... prowadzi... do naszego przejścia? - spytał, zdyszany.

Oskar oderwał jedną rękę od krawędzi krateru, a drugą podtrzymał przyjaciela. Lawrence uśmiechnął się do niego, ale wiedział, że młody Medykus nie wytrzyma długo w tej pozycji.

Valentine uniosła głowę.

- Oskar, mówiłeś, że to przejście prowadzi do Wielkiego Systemu, omijając jednostkę transferu i cysterny, zgadza się?

- Tak - potwierdził chłopiec. - W każdym razie tak mi tłumaczyła Maureen. Powinniśmy zaraz trafić na podziemną rzekę.

Valentine bujała się przez chwilę, starając się zajrzeć do wnętrza tuneli, i nagle spojrzała radośnie na przyjaciół. - To tutaj!... Tutaj, jestem tego pewna! - powiedziała, wskazując brodą otwór, nieco mniejszy od pozostałych.

- Skąd wiesz? - spytał Lawrence.

- Wszędzie rozpoznam zapach moich rzek i morza! To ten, na pewno!

- Ok - powiedział Oskar - i tak nie mamy wielkiego wyboru. Trzeba zaryzykować wejście do jednego z tych tuneli. Ty pierwsza, Valentine, jesteś dokładnie na wprost wejścia!

Valentine rozhuśtała się, bujając się na zmianę do przodu i do tyłu, aż w końcu, kiedy uznała, że nabrała już dosyć rozpędu, puściła się krawędzi języka i wylądowała w otworze tunelu. Zniknęła na chwilkę, a potem ukazała się z powrotem.

- Wszystko w porządku! - powiedziała. - Teraz twoja kolej, Lawrence. Nie patrz w dół, tylko przed siebie, na mnie.

Chłopiec był cały spocony. Bał się panicznie, że nie uda mu się trafić do otworu i spadnie do jednostki transferowej, sto metrów niżej. Nawet gdyby udało mu się cudem przeżyć taki upadek, w jaki sposób miałby później odnaleźć przyjaciół?

- Dalej, Lawrence, nie bój się! - powiedział Oskar. - Popchnę cię trochę od tyłu, a Valentine złapie cię z tamtej strony! Odwagi!

Lawrence zaczerpnął tchu i starał się rozhuśtać swoje okrągłutkie ciało do przodu i do tyłu, w końcu rozluźnił uchwyt i skoczył. Trafił stopami na samą

krawędź wejścia do tunelu. Przez chwdę rozpaczliwie usdował odzyskać równowagę. Valentine złapała go za rękę, był jednak dla niej za ciężki i nie mogła wciągnąć go do środka. Ponieważ wychyld się akurat w kierunku tunelu, Oskar kopnął go z całej siły w pośladki. Lawrence, rozzłoszczony, masował sobie siedzenie.-Bardzo mi przykro, przyjacielu, ale jeszcze trochę, a spadłbyś w przepaść! Nie miałem wyboru. A teraz przesun się!

Lawrence cofnął się w głąb tunelu i Oskar skoczył do przyjaciół. W samą porę - język już się zamykał.

- Idziemy! - rzucił i ruszył przodem.

Valentine miała rację - im bardziej posuwali się naprzód, tym mocniejszy stawał się zapach, niesiony przez wiatr od strony Wielkiego Systemu i rozchodzący się po podziemnych chodnikach.

Początkowo przemierzali kręty tunel, oświetlając sobie drogę medalionem, aż w końcu ujrzeli nie tyle rzekę, ile brzeg morza, huczącego i rozbijającego się falami o skały.

Ich oczom ukazały się setki osób, biegających w panice we wszystkich kierunkach. Oskar dostrzegł takich, którzy przypominali wojskowych w srebrzystych mundurach, inni wyglądali na robotników, a jeszcze inni wydawali się zwykłymi cywilami. Wielu z nich kręciło się bezradnie wokół statków wyrzuconych na brzeg, inni badali nerwowo łodzie podwodne leżące na piasku, przechylone na bok.

Valentine pobiegła w kierunku kei, która powinna zapewne sięgać daleko w głąb morza, jednak czerwona ciecz morska cofnęła się i keja niemal w całości wznosiła się nad piaskiem. Statki mogły przybijać tylko do samego jej końca, inaczej mogłyby utknąć na mieliźnie.

Do kei przycumowano okręt wojskowy, gotowy do odpłynięcia. Na pokład starał się wsiąść tłum pasażerów - głównie ludzi ubranych w srebrzyste uniformy. Połyskiwały ich kaski, nie było jednak widać twarzy, ukrytych za ochronnymi maskami. Stali nerwowo z podniesionymi tarczami, gotowi do odpłynięcia.-

Spójrzcie! - krzyknęła Valentine, przybiegając z powrotem. - Poziom się obniża, to dlatego widać już dno, a morze tak się odsunęło!

Oskar także zbliżył się do brzegu. Dostrzegł dziwaczne kształty, unoszące się na powierzchni morza.

- Co to jest?

- Rozmaite resztki z Hepatolii, być może także z innych Uniwersów - powiedział Lawrence, który do niego podszedł. - To zły znak - dodał zaniepokojony. - Oznacza, że wszędzie poziom tlenu okazał się zbyt niski i były straty. Pozostałości zostały usunięte do Wielkiego Systemu.

Nieco dalej Oskar dostrzegł długie, owalne przedmioty, unoszące się na falach. Zmrużył oczy - to były martwe ciała, które prąd popychał w stronę brzegu. Niektóre z nich były już na tyle blisko, że dało się rozpoznać żółty kolor skóry.

Lawrence pobladł.

- To... to mieszkańcy góry Hepatolii. Moi rodacy - powiedział słabym głosem. - Mam nadzieję, że mojej rodzinie nic się nie stało...

Oskar chciał go jakoś pocieszyć, nie znajdował jednak właściwych słów. Valentine wśliznęła się między nich.

- Rozmawiałam z tamtymi ludźmi - poinformowała. - Krew wystąpiła z rzeki Wrotnej, w pobliżu góry. Zalała całą dolinę, jest wszędzie. To dlatego jej poziom opada - i tutaj, i w całym Wielkim Systemie. Zginęło także wiele Erytrocytów - dodała dziewczynka, spuszczać wzrok.

Młody Medykus spojrzał ze smutkiem na dwoje przyjaciół, którzy odkryli śmierć swoich rodaków. Nie miał ojca i doskonale rozumiał, co to może oznaczać. Poczuł, że są mu jeszcze bliżsi. - Musimy się tam udać - stwierdził. - To na pewno jest przyczyna złego stanu Bonesa - traci krew. Postaramy się go uratować... Może uda nam się także ocalić waszych bliskich - dorzucił, chcąc ich jakoś pocieszyć.

Valentine otarła spływające po twarzy łzy, poprawiła swoje czerwone kucyki i przywołała na twarz nieco drżący uśmiech.

- Masz rękę - powiedziała z energią. - Musimy tam iść! Trzeba uratować tego przeklętego Bonesa, nie zważając na to wszystko, co nam zrobił!

- Gdzie płynie ten statek? - spytał Lawrence.

- Właśnie tam - odparła Valentine. - Wiele oddziałów Trombocytów rusza w tamtym kierunku, mają walczyć z upływem krwi. W waszym świecie to się chyba nazywa krwotok - zwróciła się do Oskara.

- Tak - potwierdził młody Medykus, przypominając sobie wykład pani Withers. - A co zrobią te twoje Trombocyty?

- Krew wydostaje się z rzeki Wrotnej przez jakąś dziurę. Będą się starali odtworzyć łożysko rzeki, naprawić zniszczone miejsce. Ale rzeka Wrotna jest bardzo szeroka, to nie będzie takie proste...

- Czyli jeśli chcemy się tam dostać, trzeba się ich trzymać - stwierdził Lawrence.

- To niemożliwe, musimy się tam znaleźć dużo szybciej - powiedział Oskar. - Tylko jak?

Odwrócił się w stronę Valentine, ale przyjaciółki już nie było. Chwilę później usłyszeli, jak ich woła. Stała na krańcu kei. Pobiegli w jej kierunku.

- Pomóżcie mi i róbcie to, co wam powiem - wyszeptwała. - Na mój znak odwróćcie uwagę jednego takiego, tego wysokiego faceta, tam, na brzegu kei.-Ale...

- Cicho, sza! - weszła Lawrence'owi w słowo. - Chociaż raz mi zaufaj!

Kilka sekund później stała przed wysokim człowiekiem, bardzo do niej podobnym - bez wątpienia jakiś Erytrocyt. Uśmiechnęła się szeroko, przechyliła swoją uroczą buzię, obsypaną piegami, i zaczęła odgrywać niewinne dziewczątko. Wysoki mężczyzna odwzajemnd jej uśmiech i przestał na nią zwracać uwagę. Dyskretnie podniosła rękę - to był umówiony znak.

Oskar i Lawrence popatrzyli na siebie, w końcu Oskar się zdecydował.

- Przepraszam, proszę pana?!...

Mężczyzna spojrział na nich.

- Proszę pana, mój przyjaciel źle się czuje, mógłby mi pan pomóc?

Lawrence poprawił na nosie okulary, wytrzeszczył oczy i osunął się w objęcia młodego Medykusa, który ugiął się pod jego ciężarem.

- To za tego kopniaka w pośladki przed chwilą - wymamrotał mu Lawrence prosto do ucha.

Człowiek szybko do nich podbiegł.

- Co się dzieje?

Lawrence osunął się jeszcze bardziej i zaczął rzeźić, jakby był śmiertelnie ranny. Mężczyzna chwycił go pod ramiona i podniósł, uwalniając Oskara, który ledwo już dyszał, mocno zarumieniony. Kiedy złapał oddech, mógł nareszcie coś powiedzieć.

- Nie wiem, co się stało, on... chyba bardzo go boli brzuch - powiedział, wkręcając z całej siły mściwy paluch prostow żołądek Lawrence'a, który wydał z siebie kolejny okrzyk bólu - tym razem zupełnie szczery.

Oskar musiał powstrzymać wybuch śmiechu, pochylił się nad przyjacielem.

- Przynajmniej masz prawdziwy powód, żeby trochę po-jęczeć... - szepnął.

- Zapłacisz mi za to! - syknął Lawrence.

Mężczyzna obejrzał Lawrence'a nieco zdziwiony.

- Ależ... tu nic nie ma. Nie widzę żadnej rany...

Lawrence otworzył oczy i przestał jęczeć.

- Jest pan pewien?

- Sam zobacz! - odparł tamten, zniecierpliwiony.

- To świetnie - powiedział Lawrence, wstając. - Znaczy, że nic mi się nie stało.

Mężczyzna patrzył na nich teraz złym wzrokiem. Miał przykre wrażenie, że ktoś się z niego nabija.

- Widzi pan - ciągnął Lawrence - to się po prostu doskonale składa, kiedy człowiek chodzi sobie ze swoim własnym Medykusem, jak właśnie ja i mój przyjaciel, Oskar - bredził dalej, nie wiedząc, jak się z tego wszystkiego wyłgać. - Człowiek po prostu zdrowieje w oczach z najcięższych ran!

Odwrócił się w stronę Oskara - nie miał pojęcia, co więcej można powiedzieć, a facet wydawał się coraz bardziej wściekły.

- Co robi Valentine? - zapytał cicho. - Czuję, że to się zaraz źle skończy...

W tej samej chwili tuż koło nich jakaś Kapsuła wynurzyła się z morza jak torpeda i zatrzymała się dokładnie koło chłopców. Ktoś otworzył kokpit i Oskar rozpoznał znajome czerwone kucyki.

- Szybko, wskakujcie! Nie trzeba im tego było powtarzać dwa razy - wskoczyli do podwodnej łodzi. Valentine popatrzyła na Lawrence'a osłupiała.

- Proszę, proszę! Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś wykonał taki skok!

- Szybko, ruszaj! - błagał chłopiec.

Mężczyzna na kei nie od razu zorientował się, w czym rzecz. Kiedy się odwrócił i zrozumiał, co się stało, było już za późno.

- Hej, zaraz, zaraz, moja Kapsuła! Łobuzy, wracajcie natychmiast! Wredne złodziejaszki!

Chwilę potem okrzyki te przestały docierać do ich uszu. Kokpit się zamknął, zanurzyli się w głębinę.

- Brawo! - powiedział Oskar. - Nieźle się spisałaś! Teraz wyszliśmy na złodziei! Mam nadzieję, że ten facet zapomni, jak się nazywam, inaczej pani Withers mnie zamorduje!

- Oskar, to nie była jaka łódź podwodna - powiedziała Valentine, której oczy błyszczały z podniecenia. Nie zwróciła uwagi na słowa przyjaciela. - To czteroosobowa Kapsuła D6, najnowszy model! Genialna jest - dodała, naciskając jakiś guzik.

Łódź przyspieszyła i pognała przed siebie z prędkością światła. Siła odrzutu wbiła dzieci w fotele, Valentine zdawała się fantastycznie bawić.

- Oszalałaś? Zwolnij, wariatko! - wrzasnął przerażony Lawrence. - Przecież nie umiesz kierować taką łodzią i nie znasz drogi!

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Daj spokój! Umiem prowadzić D5, więc D6 jest żadną zagadką. A co do drogi, to czy wiesz, do czego służy to urządzenie? Lawrence pokręcił głową, nieco urażony - jak zawsze, kiedy musiał się przyznać, że czegoś nie wie.

- To się nazywa GPS, cwaniaczku. Wprowadzam już potrzebne dane, wpisałam, że chcemy się dostać do rzeki Wrotnej. Teraz to wskaże nam drogę. Lecimy, koteczku! JuhuhuL.

Valentine przyspieszyła. Śmigali przez krwistą ciecz, trzymając się precyzyjnych wskazówek GPS-u, aż do miejsca, gdzie rzeka wyniosła ich na powierzchnię ziemi, pod sklepieniem ciemnego nieba Hepatolii.

W miarę jak zbliżali się do swojego celu, przestrzeń wokół nich robda się coraz to bardziej zadoczona. Po powierzchni pływały łodzie wszelkiego rodzaju, pod powierzchnią rzeki było równie gęsto. Valentine przemykała slalomem pomiędzy łodziami podwodnymi, wszelkiego rodzaju - Kapsułami i bańkami, Prote & Nami, a także dziwacznymi stworami podwodnymi, jakich Oskar nigdy dotąd nie widział. Były tam wielobarwne kidę najeżone kolcami, niezwykle długie węże, skomplikowane maszyny, a nawet urządzenia, które przypominały zminiaturyzowane fabryki.

- Wszystko tu można znaleźć - powiedziała Valentine, nie przerywając swojego slalomu z prędkością trzysta kilometrów na godzinę. - To wirusy, rozmaite resztki, ładunki z produktami, które przewożone są z jednego do drugiego Uniwersum. I różne modele Kapsuł... Widzisz tamtą łódź podwodną? To patrol Limfocytów.

- Patrol? Po co?

- To gliny - odpowiedziała Valentine, zwalniając na moment, kiedy mijała łódź patrolową. - Kręcą się tu i mają zatrzymywać niebezpieczny element, ale zdaje mi się, że kontrolują także ruch na drodze. No, dobra, gadam i gadam, a tymczasem przejdziemy zjazd na rzekę Wrotną!

Skręciła ostro, wykonując manewr godny pilota Formuły i, i w ostatniej chwili zdołała zmieścić się we właściwym zjeździe.



Wpłynęli w wąski kanał, którym dotarli do większej rzeki, rozszerzającej się w miarę, jak posuwali się naprzód.

Valentine rzuciła okiem na swój ekran, zdjęła okulary pilota i odwróciła się w stronę chłopców.

- Oto rzeka Wrotna, moi drodzy.

Musiała zwolnić. Wokół nich przepływały wojskowe łodzie podwodne, wyprzedzały ich szybko i mknęły dalej z prądem. Inni znowu płynęli w odwrotnym kierunku, najwyraźniej uciekając przed czymś. Oskar pokazał im palcem gigantyczną Kapsułę, pełną Trombocytów, tych strażaków Wielkiego Systemu - pędzili, starając się jak najszybciej dotrzeć do miejsca krwotoku.

- Kieruj się za nimi, Valentine!

Dziewczynka posłusznie płynęła za Trombocytami. Rychło jednak światło, które docierało przez krew, przygasło. Lawrence się zaniepokoił.

- Co się stało?

- Nie wiem. Wypłynę na powierzchnię, dowiemy się, gdzie jesteśmy - odpowiedziała Valentine.

Łódź podwodna wynurzyła się i dzieci spojrzały przez szyby kokpitu - ledwo mogły rozpoznać okolicę.

- Góra! - zawołał Lawrence, wzruszony, że znowu ją widzi. - To był cień, jaki góra rzuca na rzekę!

Oskar obserwował brzegi rzeki. Kiedy był tu ostatnim razem, dopłynął boczną odnogą rzeki na wprost wyjścia z góry. Teraz widok był imponujący - rzeka płynęła prosto w kierunku doliny, a siła prądu pozwalała jej osiągnąć poziom wejścia do góry Hepatolii. W tym momencie jednak rzeka straciła swój pęd. Nie mogli już płynąć z prądem, musieli wspomagać się silnikiem.

- Ten krwotok musiał być bardzo silny - stwierdził Lawrence. - Poziom rzeki tak się obniżył, że spadło ciśnienie. Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno...

- Spójrzcie! - krzyknęła Valentine. - To tutaj!

Oskar przykleił się do okna kokpitu, by móc lepiej obserwować to, co się działo na zewnątrz.

U stóp góry rzeka tworzyła olbrzymie rozlewisko, jak gdyby nie mogła płynąć dalej własnym korytem.

- Rzeka opuszcza swoje łożysko - jęknął Lawrence. - Pewnie pracownikom kopalni we wnętrzu góry brakuje tienu i innych czynników, a bez nich nie mogą produkować Nektaru. Wszyscy zginą...

- Nie da się dalej płynąć - powiedziała Valentine. - To ryzykowne. Rzeka jest za płytka. Za chwilę zmuszą nas, żebyśmy się zatrzymali.

- Spróbuj dobić do brzegu - poprosił Oskar. - Dalej pójdziemy na piechotę.

Kilka chwil później wysiedli z Kapsuły D6. Valentine obrzuciła ją ostatnim, pełnym zachwytu spojrzeniem.

- Niezła jest - powiedziała. - Odrobinę za słabe przyspieszenie, ale niezła...

Oskar pociągnął ją za sobą i ruszyli biegiem do miejsca, w którym rzeka wpływała do góry, tam, gdzie powstał krwotok. Kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli, że wokół panuje prawdziwa panika.

Trombocyty, które dotarły chwilę wcześniej, starały się zatamować powódź i opanować wylewającą się z koryta rzekę. Część z nich ustawiła się wzdłuż brzegu z tarczami, którymi odpychano fale, inne rzucały ziemię, starając się odbudować zniszczenia.

- Co się stało, że brzegi rzeki zostały zniszczone i wylała tak szeroko? - zastanawiał się Lawrence.

W odpowiedzi na swoje pytanie usłyszał wybuch, który nastąpił gdzieś w pobliżu i odbił się echem od całej góry.

- Co to było? - zaniepokoiła się Valentine.

- Chodźcie! - krzyknął Oskar. - Coś się dzieje po drugiej stronie rzeki! Musimy się jakoś przez nią przeprawić!

Oczywiście nikt nie chciał przewieźć ich na drugą stronę. Musieli dojść do miejsca, gdzie rzeka wpływała do wnętrza góry, i tam przeszli przez most.

Zobaczyli go, kiedy dostali się na drugi brzeg - stał na wzgórzu, wznoszącym się nad rzeką. Wysoki mężczyzna, w czarnym ubraniu z czerwonym kołnierzem. Jego twarz zasłaniała kominiarka.

- To Patologus! - wrzasnął Lawrence. - Strzela czymś w stronę brzegów rzeki, rozsadza je, żeby rzeka wylała!

Dzieci popatrzyły na siebie zdumione. Patologus przeniknął do organizmu Bonesa i najwyraźniej starał się go zabić! Jak to było możliwe, skoro Bones był zdrajcą i poinformował Patologusów o wyprawie Oskara i jego przyjaciół do ciała Pavarottiego?

Nic z tego nie rozumieli, za późno było jednak na rozważania. Teraz musieli za wszelką cenę ratować majordomusa.

Oskar wysunął się naprzód i pobiegł w kierunku Patologusa. Mocno ścisnął swój medalion, chcąc dodać sobie odwagi. Drugą ręką wymacał w kieszeni swój mały album ze zdjęciami. Lawrence i Valentine ruszyli za nim.

Mężczyzna zauważył ich w chwili, kiedy weszli na most, w tym samym czasie, co oddziały Trombocytów, które chwdę wcześniej dopłynęły na odsiecz. Za nimi widać było uzbrojony po zęby regiment Limfocytów. One także zauważyły Patologusa po drugiej stronie mostu i ruszyły w jego kierunku.

Patologus stał spokojnie na wzniesieniu i obserwował nerwowe ruchy ratowników. Oskara zaniepokoiło coś w jego zachowaniu.

- Spójrzcie - powiedział. - Wydaje się, jakby w ogóle nie przejmował się tym, że brygada policjantów biegnie w jego kierunku...

Człowiek w czerni zaczekał, aż największa grupa znajdzie się pośrodku mostu. Podniósł rękę - trzymał w dłoni niewielki, metalowy przedmiot. Uśmiechnął się, nacisnął zdalnie sterujący przycisk i nastąpiła gigantyczna eksplozja. Kiedy opadł dym, mostu już nie było, a oddziały Trombocytów zniknęły w rzece. Na jej falach unosdo się tylko kilka tarcz.

Przyjaciele patrzyli oniemiała na ten straszliwy spektakl śmierci. Nad doliną zabrzmiał szyderczy śmiech, który zmro-zd dzieciom krew w żyłach.

- To straszne! - jęknęła Valentine i zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na tę masakrę.

Po drugiej stronie rzeki odezwał się głos:

- No i cóż, mały Medykusie, dlaczego tu do mnie nie przyjdiesz? Dlaczego nie przeprawisz się przez rzekę, razem ze swoimi przyjaciółmi, żeby się ze mną zmierzyć? Oskara ogarnęła wściekłość.

- Ty tchórze! - krzyknął, a jego głos niósł się, wzmagany przez wiatr. - Gdybyś nie zburzył mostu, już bym był na drugim brzegu i pokazałbym ci „małego Medykusa”!

- Dobrze mu powiedziałaś, Oskarze! - zawołała Valentine, tak samo wściekła jak przyjaciel.

Mężczyzna zaczął się śmiać jeszcze głośniej.

- Widzę, że jesteś równie bezczelny jak twój ojciec. Ale i jego dostaliśmy... Nie bój się, szybko spotka cię ten sam los! - dodał, unosząc dłoń ze swoją bronią. - Niedługo zrozumiecie, że teraz, kiedy nasz Książę jest na wolności, nic go już nie zatrzyma! Nic! - ryczał Patologus, a jego krzyk niósł się po całej dolinie.

Te słowa sprawiły, że dzieci zadrżały. Oskar zacisnął pięści. Ten człowiek śmiał znieważać jego ojca! Słuchając przemowy Patologusa, zrozumiał jeszcze lepiej, dlaczego pan Brave, pani Withers i inni członkowie Rady Najwyższej tak poważnie traktowali sytuację, jaka powstała po ucieczce Wielkiego Patologusa z więzienia.

Tuż obok nich nastąpiła kolejna eksplozja, niszcząc następny kawałek nadbrzeża i sprawiając, że czerwone wody rzeki Wrotnej rozlały się jeszcze szerzej. Łodzie podwodne miały trudności, by dobić do brzegu - poziom rzeki obniżał się coraz bardziej. W oddali dostrzegli wielki okręt Trombocytów, który tkwił nieruchomo, obawiając się utknięcia na mieliźnie. Oddziały ratownicze musiały wysiąść na ląd daleko od miejsca, w którym Patologus odpalał swoje wybuchowe ładunki. Zapewne dotrą za późno, Bones straci już za dużo krwi.

Pierwszy zareagował Lawrence.-Oskar, musisz coś zrobić, i to szybko! - zawołał. - Za chwilę ten szaleniec i nas wysadzi swoimi bombami! Nie możesz posłużyć się medalionem albo peleryną, sam nie wiem?...

Oskar popatrzył bezradnie na Literę w medalionie.

- Nie nauczyłem się jeszcze wszystkiego, a zresztą prawdziwą bronią Medykusa są zdobyte przez niego w Uniwersach Trofea - powiedział z przykrością. - Na razie umiem sprawić, żeby moja peleryna unosiła się w powietrzu albo osłaniała nas w sytuacji jakiegoś zagrożenia... nic więcej.

Kolejna detonacja wzburzyła rzekę, a na dzieci zwała się wywołana wybuchem wysoka fala. Uchwyciły się resztek mostu, żeby nie popłynąć z prądem.

Valentine kopnęła ze złością błotnistą ziemię.

- Ten przeklęty Patologus! Gdybyśmy tak mogli go udusić, utopić albo spiorunować, albo sama już nie wiem co!

Oskar odwrócił się w stronę przyjaciółki z błyszczącymi oczami, potem spojrział w ciemne niebo.

- Możesz powtórzyć? - poprosił młody Medykus.

- No... powiedziałałam, że moglibyśmy go...

- ...spiorunować - powtórzył Oskar ze wzrokiem wbitym w niezliczone błyskawice, które bezustannie przecinały niebo. - Czekaście, być może mamy jakąś szansę!

Odpiął pelerynę i położył na niej medalion.

- A teraz wzbijaj się w niebo, moja peleryno, leć w górę!

Peleryna naprężyła się i uniosła w powietrze. W kilka chwil nabrała wysokości, unosząc cenny medalion prosto w niebo. Oskar spojrział na przyjaciół.

- Mam nadzieję, że to zadziała, bo jeśli nie...

- Co ty najlepszego zrobiłeś? - jęknęła Valentine. - Bez peleryny nie możemy już nic zrobić! A tym bardziej bez medalionu! Nigdy stąd nie wyjdziemy...Lawrence się nie odezwał. Wpatrywał się cały czas we wznoszącą się wciąż wyżej pelerynę.

- Rozumiem! - powiedział w końcu. - Medalion jest z metalu! Jeśli jakiś piorun w niego uderzy, Litera pochłonie ogromną dawkę energii elektrycznej!

Valentine spojrzała na peleryną z bijącym sercem.

- Leć, pelerynko - powtarzała - leć, nie możesz nas zawieść...

Podmuch wiatru sprawił, że peleryna załopotiała. Patologus znowu wywołał detonację, tym razem nieco dalej. Nie bardzo pojmował, do czego dąży Oskar, był jednak czujny. Liczył na to, że wzbudzona eksplozją fala powietrza zawiruje peleryną i sprawi, że medalion spadnie na ziemię. Kolejna detonacja zagrziała niemal dokładnie pod wznoszącą się peleryną. Dzieci wstrzymały oddech. Lawrence przyknał oczy, a Valentine schowała się za Oskarem, nie chcąc być świadkiem dramatu, gdyby medalion rzeczywiście spadł na ziemię.

Niestety, ten ostatni wybuch okazał się skuteczny. Był tak silny, że peleryna zawirowała. Nie wzniosła się przy tym dostatecznie wysoko. Medalion przesunął się niebezpiecznie z jednego końca na drugi, a później runął w otchłań.

W tym właśnie momencie naładowane elektrycznością niebo przecięła gigantyczna błyskawica. Olśniewający blask spowił dolinę i górę. Wszyscy szeroko otworzyli oczy w osłupieniu. Piorun uderzył w spadającą Literę. Wirująca w pobliżu peleryna została obsypana deszczem iskier, pojawiło się też na niej kilka ognistych języków.

Medalion zmienił się w kulę ognia. W ułamku sekundy zleciał w dół, zostawiając za sobą płomienistą smugę, i uderzył we wzniesienie, na którym stał Patologus.

Rozległ się straszliwy krzyk i potężna eksplozja rozrzuciła na całą okolicę grudy ziemi. Kiedy zgasł już oślepiający blask, opadły fale rzeki i kurz, zobaczyli, że ze wzgórza, na którym stał mężczyzna, nie zostało nic. Nic poza czerwonym kołnierzem, leżącym nieopodal resztek mostu.

Dzieci odetchnęły z ulgą. Ale nie było wybuchu radości - nie umiały cieszyć się z czyjejś śmierci, nawet jeśli była to śmierć ich wroga.

Oskar rzucił się, by podnieść pelerynę, która na szczęście opadła po ich stronie rzeki. Czuć ją było trochę spalenizną, ale na szczęście nie była zniszczona. Piorun zostawił po sobie jedynie kilka lekko przypalonych miejsc. Oskar zarzucił ją na ramiona i rozejrzał się ze smutkiem po okolicy. Do tego także powinien był się przyzwyczaić, tak wyglądała bezlitosna walka na śmierć i życie. W wieku dwunastu lat ciężko jednak było coś takiego przeżyć.

Niebo przecięła złoty błysk i łańcuszek z medalionem owinęły się wokół szyi Oskara. Valentine i Lawrence podeszli do niego bliżej. Tymczasem Trombocyty, które nareszcie miały swobodny dostęp do rzeki, ruszyły do pracy.

- Może uda im się jednak uratować Bonesa - zauważyła obserwująca ich Valentine - jeśli nie stracił za dużo krwi z rzeki Wrotnej...

- Mam taką nadzieję, nawet jeśli rzeczywiście jest zdrajcą. Swoją drogą, chciałbym się dowiedzieć, jak to naprawdę było.

- Może on zamierzał zabić ciebie, Oskarze? - zastanawiał się Lawrence.

- To niemożliwe - odparł Oskar. - Wiedzieli, że zamierzam wejść do organizmu Pavarottiego, zostali uprzedzeni. Nie mogli jednak przypuszczać, że wejdziemy do ciała Bonesa!

- A jednak ten Patologus wiedział, kim jesteś...

Valentine ucięła dyskusję. - Znam kogoś, kto pewnie będzie miał odpowiedź na wszystkie te pytania. Wielki Mistrz Medykusów. Może już wrócimy do domu? - dodała ze zmęczonym uśmiechem.

W czasie, kiedy rozmawiali, olbrzymi okręt Trombocytów zdołał dopłynąć w pobliże wejścia do góry. Trwała naprawa brzegów i poziom rzeki znacznie się podwyższył.

Lawrence przechylił się nad resztkami mostu, zniszczonego przez Patologusa.

- Wybaczcie, że wam przerywam - powiedział. - Ale jest pewien problem...

Oskar i Valentine zbliżyli się do niego i zrozumieli bez słów: okręt zagradzał drogę wszelkim innym łodziom, również podwodnym. Nie mieli jak wrócić.

- Ale jeśli będziemy tu dalej tkwić, potopimy się - stwierdził Lawrence. - Spójrzcie, jak się podniósł poziom dzięki pracy Trombocytów, a nie ma już mostu i nie możemy przedostać się na drugi brzeg, by się schronić na wzgórzu!

- Pozostaje nam jedno rozwiązanie - powiedział Oskar. - Musimy wejść do wnętrza góry, odnaleźć drogę do wyjścia i przedostać się na drugą stronę, do tej rzeki, przy której się poznaliśmy, Valentine. Może tam znajdziemy Kaduceusz Medykusów, tak jak to było ostatnim razem!

- Poprowadzisz nas, Lawrence? - zapytała Valentine. - Jesteś tutaj u siebie.

Lawrence kiwnął głową.

- No, to pospieszmy się. Niedługo poziom rzeki będzie tak wysoki, że wejście do wnętrza góry stanie się niedostępne.

### **Akrobacje lotnicze**

Przyjaciele zaczęli biec brzegiem rzeki. Czerwone wody podnosiły się coraz wyżej i wyżej.

Weszli do olbrzymiej groty, oświetlonej światłem tysięcy lampek, zamocowanych w sklepieniu. Przypominało to rozgwieżdżone, wieczorne niebo i Oskar pomyślał nagle, że najchętniej wróciłby do świata swojego dzieciństwa.

Lawrence, który znał zakamarki góry jak własną kieszeń, szedł na czele małej grupki. Przeszli przez grootę i wspięli się na schody, którymi dotarli do dużej, wysoko położonej platformy. Z tego miejsca widok rzeki w dole robił jeszcze większe wrażenie. Pierwsze Trombocyty docierały do góry, a Hepatolijczycy, pracujący w kopalniach, wyszli na zewnątrz, ukazując swoje znużone twarze. Była już najwyższa pora na dostawę tlenu.

Lawrence odwrócił się do przyjaciół.

- Trzymajcie się blisko mnie i nie ociągajcie się, dobrze?

Zagłębili się w prawdziwy labirynt. Valentine i Oskar starali się nie zwracać uwagi na to, co działo się na boku, by nie tracić oczu przewodnika. Bez niego nie mieli szans na wydostanie się z tego miejsca.



Temperatura powietrza była coraz wyższa i Oskar, okryty swoją grubą peleryną, zaczął się pocić. Po upływie czasu, który wydawał się wlec bez końca, labirynt skończył się nareszcie i weszli do olbrzymiej sali, która przypominała wielki ul.

Oskar i Valentine przystanęli, zafascynowani spektaklem rozgrywającym się na ich oczach.

Całą ścianę przed nimi tworzyły wnęki, były ich tysiące. Każdą z nich zamykała klapa z mlecznego szkła. Każda wnęka była rozmiaru człowieka, a za szybką lśniło złociste światło, jak gdyby zamontowano tam lampkę. Jasne wnęki rozświetlały całe pomieszczenie złotym światłem.

Oskar pochylił się, by móc lepiej obserwować to, co się tam działo. Na dole każdej wnęki widniał niewielki otwór, przez który wyciekał płyn. Rozpoznał go z łatwością - to była Żółć, słynny Nektar Hepatolii. Wzdłuż wnęk biegło coś w rodzaju rynny, która prowadziła na dół, na każdym poziomie zbierając cenny płyn. Na samym dole Hepatolijczycy ciężko pracowali, napełniając kontenery Żółcią, potem zaś ładowali je na ciężarówki. Dziwne było to, że skóra tych Hepatolijczyków miała zupełnie normalny kolor. Byli tylko nieco zaróżowieni od gorąca...

- To są kopalnie wewnątrz góry - powiedział przejęty Oskar.

- Jak ci się wydaje, dokąd odjeżdżają te ciężarówki? - zapytała Valentine.

- Zapewne do Wielkiego Jeziora Pęcherzyka Żółciowego, tam, gdzie przechowują Żółć - rzekł Oskar. - Pamiętasz? To było w pobliżu wyjścia z góry.

- My też powinniśmy iść w stronę wyjścia - uciął Lawrence. - Pospieszcie się! Jeśli będziecie się tak wlec, nigdy tam nie dojdziemy!

Najwyraźniej czuł się nieswojo i chciał jak najszybciej opuścić miejsce, w którym się zatrzymali. Pociągnął Valentine za rękaw, dziewczynka nie spuszczała jednak wzroku z gigantycznego ida.

- Lawrence, co tam jest w tych wnękach, za szybkami? Słabo stąd widać, nie mogę zobaczyć nic poza tym złotym świadem...

- Nic - powiedział szybko Lawrence. - Nic takiego. Wyrabia się tam Żółć, to wszystko. Chodźmy, bo ktoś mnie jeszcze rozpozna i już nigdy nie będę mógł stąd wyjść.

Lawrence zrobił wszystko, żeby wyrwać się z góry, i najbardziej na świecie obawiał się, że będzie w niej musiał znowu zostać. Ale musiało być coś jeszcze, bo nigdy dotąd ani Valentine, ani Oskar nie widzieli go tak zdenerwowanego. Jakby coś przed nimi ukrywał...

Już mieli opuścić kopalnię, kiedy Oskar zauważył rusztowanie, na które weszło dwóch robotników. Pracowali przy jednej z wnęk. W ogólnym rozgardiaszu rozległy się uderzenia młota i dźwięk pracującej piły. Oskar stanął jak wryty.

Pracownicy zdemontowali klapkę z szybą, która zamykała wejście do wnęki, dzięki czemu ich oczom ukazało się jej wnętrze. Wewnątrz widać było niewielkiego człowieka, leżał na kamiennym blacie, przytroczony do niego łańcuchami za ręce i nogi. Pod blatem, w małym piecyku, palił się ogień. Człowiek ten miał skórę tego samego koloru co Lawrence - żółtą. I podobny kształt ciała - okrągły. Był nagi i pod wpływem gorąca pod skórą, spływał z niego żółtawy płyn, wytwarzany tu, w tym wyjątkowym miejscu - to był właśnie ów Nektar Hepatolii. Pracownicy umieścili rurkę w ustach nieszczęśnika, opuścili wnękę i zamocowali z powrotem klapę.

Valentine i Oskar obserwowali całą tę straszną scenę skamieniali. Podskoczyli, kiedy ktoś odezwał się za ich plecami.

- Teraz już wiecie, jak produkuje się Żółć - powiedział Lawrence ze spuszczoną głową.

Nie śmiał spojrzeć na przyjaciół, którzy nadal stali bez słowa.

- Nie jestem zwykłym Hepatolijczykiem - wyznał w końcu Lawrence. - Należę do Hepatocytów. Różnimy się od innych. Pod wpływem gorąca i dzięki pokarmowi, który podaje się przez te rurki umieszczone w ustach, nasze ciała wytwarzają Nektar. Wypływa z naszej skóry, bez nas niczego by tu nie produkowano.

- I to dlatego twoja rodzina nie chciała, byś odchodził! - domyśliła się Valentine.

- Oni uważają, że to wielki zaszczyt być Hepatocytą, ale ja nie. Nie chcę spędzić reszty życia w takiej komórce, leżąc nad jakimś-piecykiem - bez podróży, bez książek, bez ruchu! Nie chciałem wyznać wam prawdy, bo bałem się, że uznacie mnie za tchórze, skoro stąd uciekłem.

- Nie jesteś tchórzem - szybko powiedział Oskar. - Jesteś zbyt inteligentny, żeby tkwić w takiej komórce, doskonale cię rozumiem. To musi być straszne! Chcę, żebyś był z nami!

Spojrzał znacząco na Valentine i kopnął ją dyskretnie w kostkę.

- Oczywiście! - potwierdziła ochotczo Valentine, cały czas jeszcze zaszokowana. - Jeśli o mnie idzie, to wiesz, nie da się ukryć, że jest trochę podobnie - nie chciałam spędzać całego życia w jakiejś Kapsule...Lawrence uśmiechnął się do nich z ulgą.

- No dobrze, teraz już możemy wrócić „do domu”?

- Uff! - westchnęła Valentine. - Tak jest, wszyscy do Cumides Circle!

Dzieci opuściły kopalnię i przeszły jeszcze wiele tuneli. Dotarli wreszcie do szerszej galerii. Oskar rozpoznał Przełęcz Żółciową, z której blisko już było do wyjścia z góry. Nieopodal znajdowała się grota, gdzie, jak to wcześniej zauważył, lądowały samoloty.

- No - powiedział zdyszany Lawrence - prawie jesteśmy na miejscu. Pójdziemy jednak inną drogą niż poprzednim razem - wzdłuż Wielkiego Jeziora Pęcherzyka Żółciowego, za zaporę. Nie będziemy przechodzić Przewodem Żółciowym i przez kładkę... Niczym nie ryzykujemy, po drugiej stronie jest wyjście!

Oskar zwolnił kroku. Towarzysze odwrócili się w jego stronę wyczekująco.

- Co się stało, Oskarze? - spytała Valentine. - Co jeszcze...

Nie skończyła zdania - Oskar odchylił pelerynę, pierwsza sakiewka na jego pasie otworzyła się i wysunęła się z niej Fiolka. Błyszczała jak ogień. Oskar musiał przynieść Trofeum z pierwszego Uniwersum. Nadszedł już czas, by wykonał swoją misję, tak jak musiał to uczynić każdy Medykus, który chciałby mieć dostęp do drugiego Uniwersum.

Lawrence zbliżył się do niego i westchnął głęboko.

- O nie, proszę cię, nigdy się stąd nie wydostaniemy!...

Oskar ruszył naprzód i wyszedł z tunelu. Stał teraz nad Wielkim Jeziorem Pęcherzyka. Tę ogromną pieczarę otaczało coś w rodzaju tarasu. Wiele dziesiątków metrów niżej widać było spokojne, żółte wody jeziora, przypominające bursztynowe zwierciadło.

Przyjaciele podeszli do niego.

- W jaki sposób chcesz napełnić swoją fiolkę, Oskarze? Nie widzę tu żadnej drabiny, by zejść na dół.

- A co jest na końcu tego tarasu?

- Hangar z samolotami i wyjście! No chodź, zdobędziesz Nektar następnym razem! Biorąc pod uwagę to wszystko, co się wydarzyło, pan Brave na pewno nie będzie ci miał tego za złe...

Młody Medykus zaczął biec, a Valentine i Lawrence ruszyli za nim. Kiedy dotarli do wyjścia z góry, Oskara nie było już nigdzie widać.

- Oskar! - zawołała Valentine. - Oskar, gdzie jesteś?!

- Tutaj - odparł.

Stał bez ruchu w cieniu, nieco na uboczu. Wpatrywał się w coś przed sobą.

Lawrence pokręcił głową.

- O nie, nie powiesz chyba, że...

- Valentine - powiedział Oskar, nie zwracając na niego uwagi. - Umiąłabyś pilotować samolot?

Dziewczynka zbliżyła się z ciekawością.

Przed nimi stały trzy samoloty, skierowane dziobami w stronę wylotu hangaru.

W hangarze nie było nikogo, najwyraźniej nie była to pora zraszania Żółcią pokarmu. Bones nic nie jadł od kilku godzin. Piloci mieli przerwę w pracy.

Valentine się zawahała.

- Wiesz, Kapsuła to jednak nie to samo, jest prostsza w obsłudze... Ale mogę spróbować! - powiedziała pospiesznie, nie chcąc rozczarować przyjaciela.-Chyba oboje oszaleliście?! - zawołał Lawrence. - „Mogę spróbować”... Co wy sobie myślicie, że gdzie niby jesteście? To są prawdziwe samoloty, nie elementy gry na twoim Play Station! Po co ci w ogóle ten samolot? Wystarczy zejść ze zbocza góry, znam drogę, a potem wrócimy do tunelu pod Blue Parkiem, kiedy tylko trafimy na Kaduceusz! Na pewno gdzieś się znajdzie!

- Wydawało mi się, że się bardzo spieszysz - odparł Oskar. - Jeśli chcemy odnaleźć Kaduceusz, mamy większą szansę zauważyć go z góry. Musimy polecieć samolotem!

- Popdotuję go! - powiedziała odważnie Valentine.

Lawrence wzniosł z rezygnacją oczy do nieba.

- Oskar, co za uparciuch z ciebie! Dobra, ruszcie się i poszukajcie drabiny! Ja będę pdotował ten samolot! - oświadczył, ruszając naprzód.

- Ty?! - jęknęła Valentine. - Hej, mówimy chyba o pdoto-waniu samolotu, nie o czytaniu książki!

- Owszem - odparł Lawrence obrażonym tonem. - Gdybyś choć trochę więcej czytała, wiedziałabyś, że z książek sporo się można nauczyć. I tak się składa, że bardzo dokładnie przestudiowałem instrukcję obsługi tych samolotów. Miałem zamiar uciec jednym z nich.

- A latałeś już kiedyś? - zaciekawd się Oskar, zdumiony tą nowiną.

Lawrence skrzywd się.

- No cóż... nie, nigdy. Ale jak już się zna teorię, łatwo będzie wykorzystać to w praktyce, zgadza się?

Jego towarzysze spojrzeli na siebie niespokojnie.

- Świetnie - skwitował Lawrence. - Skoro najwyraźniej Valentine uchodzi za zdolniejszą od innych, ustępuję jejmiejsca! Jeśli pilotujesz tak samo, jak prowadzisz te swoje Kapsuły, koniec z nami...

- Dobra, dobra - powiedział Oskar. - Mamy do ciebie zaufanie.

- No, to ruszajcie się - popędził ich Lawrence, wspinając się na drabinę, którą Valentine zdążyła wyszperać w jakimś kącie i przystawić do małego dwusilnikowego samolotu.

Wdrapali się wszyscy do środka i usiedli na fotelach.

- Zapnijcie pasy, proszę - rzekł Lawrence. - Nigdy nie wiadomo...

Valentine, całkiem pobladła pod strzechą czerwonych włosów, próbowała się roześmiać, jednak jej chichot zabrzmiał raczej jak pisk przestraszonej myszy. Oskar mrugnął do niej. Wydawał się zupełnie spokojny, co trochę ją pocieszyło.

Lawrence zapalił silniki. Udało mu się za pierwszym podejściem. Oskar poklepał go po ramieniu.

- Brawo, panie pilocie! A teraz ruszamy!

Młody Hepatolijczyk podniósł w górę lotnicze okulary i odwrócił się do Oskara.

- Świetnie, ale w jakim kierunku?

- Na razie wydostańmy się stąd, a później będziemy z Valentine obserwowali okolicę, aż znajdziemy Kaduceusz.

Lawrence skinął głową. Podkręcił szybkość obrotów śmigieł i samolot ruszył... tyle że do tyłu.

- Jesteś pewien, że przestudiowałeś dobrą instrukcję obsługi? - spytała Valentine.

- Oj, mam chyba prawo do małej pomyłki, prawda?

- Owszem, mam tylko nadzieję, że popełnisz wszystkie te Wędy, zanim wystartujemy w powietrze! - zaznaczyła z naciskiem Valentine.

- Jak się widzi te wszystkie przyciski, nie wiadomo, którego użyć - skarżył się Lawrence, wpatrując się w deskę rozdzielczą z zagubieniem. - Hmm... może ten?

Samolot zaczął się toczyć we właściwą stronę. Lawrence dodał gazu i maszyna przyspieszyła. Błyskawicznie znaleźli się u wylotu groty - przed nimi rozciągała się bezkresna dolina.

- Trzymajcie się, nurkujemy!

Valentine krzyknęła, samolot wystrzelił z wnętrza góry. Lawrence ścisnął z całej siły stery i próbował zmienić kierunek lotu, bezskutecznie jednak - samolot nadal pikował w dół.

- Oskar, pomóż mi - krzyknął pilot. - Ciągnij razem ze mną! Oskar odpiął pas. Obydwaj chłopcy ciągnęli stery z całej siły. W końcu udało im się wyrównać lot. Samolot wzbił się w ciemne niebo, przecinane od czasu do czasu błyskawicami. Wyglądało to fascynująco i Valentine na chwilę zapomniała o strachu.

Lawrence ustalił kierunek lotu. Oskar przysunął się bliżej.

- Jak się tu skręca? - spytał Lawrence'a.

- To bardzo proste. Wystarczy w ten sposób przesunąć stery... Zanim młody pilot zdołał zareagować, Oskar przejął stery i samolot gwałtownie skręcił. Valentine, która zdążyła już odpiąć pas, znalazła się po drugiej stronie kabiny, do góry nogami.

- Hej, co się tam dzieje?

- Zwariowałeś? - wrzasnął Lawrence, który nie był w stanie wyrwać Oskarowi sterów z rąk.

Samolot zawrócił i leciał teraz prosto w stronę góry.

- Wiedziałem! - jęczał Lawrence. - Wiedziałem, że coś wykombinujesz z tą twoją grzeczną minką! Przestań, rozbijemy się! Oskar głęboko zaczerpnął tchu i starał się jak najlepiej wcelować. Tuż przed górą Lawrence zrozumiał nareszcie, do czego tamten zmierza.

- Nie mogłeś od razu powiedzieć, o co ci chodzi? Daj mi to i zapnijcie pasy!

Manewrując sterami, sprawił, że samolot przechylił się nieco na prawo, tak by nie zawadzić skrzydłami o skały. Ponownie znaleźli się w hangarze, który dopiero co opuścili. Silniki ryczały.

- Przyspiesz, Lawrence, prędejj!

Lawrence dodał gazu i samolot przeleciał nad pasem startowym. Chwilę później znaleźli się w gigantycznej grocie, wydrążonej wewnątrz góry. Lecieli nad Wielkim Jeziorem Pęcherzyka Żółciowego.

- Jesteś niemożliwy, jak już raz coś sobie wbijesz do głowy!... - Lawrence starał się przekrzyczeć hałas śmigieł.

Samolot krążył nad powierzchnią jeziora.

- A teraz co zamierzasz zrobić? - spytał Lawrence.

Oskar wstał ze swojego siedzenia i otworzył pierwszą z sakiewek na pasie Trofeów. Fiolka, która przygasła, kiedy samolot opuścił górę, teraz znowu intensywnie lśniła. Chłopiec wziął ją do jednej ręki, drugą otworzył drzwi samolotu. Do kabiny wdarło się powietrze, maszyna niebezpiecznie się zachybotła.

- Co ty wyprawiasz, Oskarze!? Zaraz runiemy do jeziora, jeśli nie przestaniesz! - wrzasnął Lawrence.

- Staraj się lecieć najniżej, jak dasz radę! A ty, Valentine, trzymaj mnie za nogi!

Położył się na brzuchu, Valentine chwyciła go za nogi.

Oskar wisiał teraz na zewnątrz samolotu, wiatr go oślepiał. Warkot silników rozbrzmiewał donośnie we wnętrzu góry.

- Niżej, Lawrence, jeszcze trochę niżej!

Samolot zanurkował, przeleciał tuż nad powierzchnią jeziora i podniósł się w górę.

- Jeszcze raz! Tym razem było trochę za wysoko! - krzyknął Oskar.

Lawrence wykonał kolejny zwrot i zniżył lot. Znowu leciał tuż nad jeziorem. Oskar wyciągał rękę z Fiolką tak daleko, jak to tylko było możliwe. Wysunął się jeszcze trochę bardziej z kabiny, balansował nad otchłanią.

- Oskar! - zawołała Valentine. - Nie wysuwaj się już dalej, nie dam rady cię utrzymać, jesteś za ciężki!

- Trzymaj mocno! - krzyknął Oskar. - Niżej, Lawrence!

Młody pilot zacisnął zęby i zaczął obniżać lot.

- Pospiesz się, za chwilę będę musiał poderwać maszynę, inaczej rozbijemy się o skałę!



Oskar spróbował po raz ostatni, z wysiłkiem wyciągając ramię. Dotknął w końcu Fiolką powierzchni Nektaru, odrobina wlała się do środka. Lawrence pociągnął za stery i samolot zakreślił gwałtownie tuż przed skalną ścianą.

Kiedy Lawrence zdołał odzyskać równowagę, młody Medykus podniósł rękę. W Fiolce, którą trzymał w dłoni, lśnił złocisty płyn. Cała trójka wydała okrzyk radości. Samolot wyleciał z groty jak torpeda. Oskar zdobył swoje Trofeum.

Kiedy przelecieli ponownie przez hangar i wydostali się na zewnątrz, westchnęli z ulgą.

- A teraz - powiedział Lawrence, wpatrzony w deskę rozdzielczą - jeśli żadne z was nie ma tu już nic podobnego do załatwienia, pozostaje nam tylko znaleźć Kaduceusz. Otwórzcie szeroko oczy!

- Lawrence! - zawołała Valentine. - Jesteś najlepszym pilotem, jakiego kiedykolwiek widziałam! - To jasne - odpowiedział chłopiec. - Nie znasz przecież żadnego innego.

- Może i racja - przyznała - ale mimo wszystko czapki z głów! Po prostu wbiłeś mnie w fotel! To było genialne!

Lawrence nie miał czasu docenić komplementów przyjaciółki, bo silniki zaczęły się krztusić. Dzieci popatrzyły na siebie niespokojnie. W tym momencie zatrzymał się silnik po prawej stronie, śmigło przestało się kręcić. Samolot przechylił się na bok i zaczął tracić wysokość.

- Lawrence! - krzyknął Oskar. - Co się dzieje?

- Cóż, myślę, że bywają jednak lepsi piloci ode mnie - odparł Lawrence, rozpaczliwie starając się unieść maszynę do góry.

- Dlaczego tak mówisz? - jęknęła Valentine.

- Bo lepiej by było wybrać samolot z bakiem pełnym paliwa i tyle!

Dzieci były przerażone. Także drugi motor zaczął przygasać, charkocząc cicho. Nie trwało to długo - kilka chwil później zapanowała zupełna cisza, słychać było jedynie szum wiatru wokół samolotu. Krzyknęli rozpaczliwie i przytulili się do siebie. Samolot spadał teraz na ziemię, a oni mieli za chwilę zginąć!

W ostatnim momencie Oskar spojrział w stronę ziemi, jego wzrok przyciągnął jakiś rozbłysk. Ujrzał, że ze spadającego samolotu wyciekło kilka kropli Nektaru. Utworzyły na dole rysunek, za którym wypatrywali oczy i nie mieli już nadziei go ujrzeć. Kaduceusz!

Przez kokpit widać było błyskawicznie zbliżającą się ziemię.

Ledwo zdążył owinąć przyjaciół swoją peleryną. Sekundę później samolot runął na ziemię i roztrzaskał się na tysiące kawałków.

Na szczęście był już pusty.

### **Krwawa litera**

Dzieci rozejrzały się wokół siebie. Nie mogły niemal uwierzyć, że znalazły się z powrotem, całe i zdrowe, w Skanerze Serca!

Podbiegły do Bonesa, który nadal leżał obok nieprzytomny.

Oskar potrząsnął nim.

- Bones! Panie Bones! Słyszysz mnie pan?

Majordomus w odpowiedzi jęknął cicho.

- No, to już nieźle - powiedział Lawrence. - Jego serce bije trochę wolniej, a puls jest bardziej wyczuwalny. To chyba dobry znak, co?

Valentine wzniosła oczy ku niebu.

- No tak, teraz mamy tu lekarza. Chciałabym zauważyć, że to Oskar jest Medykusem, nie ty!

- No i co z tego? - odparł Lawrence, wzruszając ramionami. - Co to ma do rzeczy? Ja tylko stwierdzam fakty, to wszystko. Nie powiedziałem przecież, że...

- Słuchajcie - przerwał im Oskar - może zaczekajcie z tą dyskusją, aż wrócimy do Cumides Circle? Pomóżcie mi dociągnąć go do tych kamiennych drzwi na końcu tunelu. Przerwał mu jakiś łomot. Odwrócił się, zaniepokojony.

- Słyszeliście to?

- Nie, niczego nie słyszałem - odpowiedział Lawrence, który co prawda bardzo dobrze usłyszał hałas, nie miał już jednak ochoty na dodatkowe przygody.

- Oskar, spójrz - litery M gasną! - wykrzyknęła Valentine.

Oskar podniósł w górę swój medalion, nic to jednak nie pomogło. Światła gasły w pobliżu drzwi i figury Sigismonda. W tunelu zabrzmiał znowu złowieszczy trzask i ziemia zaczęła drżeć.

Przerażony Lawrence odwrócił się w stronę Oskara.

- Co się dzieje?

- Nie mam pojęcia - odparł młody Medykus.

Kolejny wstrząs sprawił, że na głowę Valentine posypało się trochę ziemi.

- Wydaje mi się... tak jakby tunel się zapadał - powiedziała, potrząsając swoimi czerwonymi kucykami.

Oskar zostawił ich i pobiegł do końca podziemnego tunelu, aż do kamiennych drzwi. Wziął w prawą dłoń medalion i wyrecytował zaklęcie:

Rozpoznasz bez wątpienia Medykusa serce godne

I na końcu tunelu drzwi otworzysz niezawodnie!

Drzwi obróciły się wokół własnej osi i ukazała się figura Sigismonda. Tym razem miał jednak opuszczoną głowę, zamknięte oczy, a jego ramiona były zaciśnięte. Oskar wdrapał się na cokół i położył swoją dłoń na lodowatej dłoni posągu, nic się jednak nie wydarzyło. Sigismond wydawał się głuchy i ślepy, Pierwotna Litera nie zadziałała. Nie mogli przedostać się na drugą stronę, do hallu w Cumides Circle. Oskar odwrócił się zrezygnowany. Litery gasły jedne po drugich.

Przy świede rzucanym przez medalion dotarł do przyjaciół. W tym momencie po drugiej stronie tunelu, w pobliżu Drzewa Przejścia, dał się słyszeć straszliwy huk, który wstrząsnął całą okolicą. Dzieci z trudnością utrzymały się na nogach. Kabina windy oberwała się i runęła na ziemię. Tu i ówdzie spadały wielkie płaty ziemi. Tunel zaczynał się rozpadać.

- Chyba domyślam się, co się dzieje - krzyknął Oskar. - Kumple Mossa nie są Medykusami, tymczasem zdołali wejść do tunelu. Drzewo Przejścia odrzucdo ich, ale tunel przestał być tajny, więc musi zniknąć...

- Jeśli nie znajdziemy szybko jakiegoś rozwiązania, zostaniemy tu pogrzebani żywcem! - jęknął Lawrence.

Oskar rozejrzał się dookoła, a potem pochylił nad Bonesem.

- Szybko! - powiedział. - Pomóżcie mi go przenieść!

- A gdzie chcesz z nim iść? - zapytała Valentine, rzucając się na pomoc.

Oskar spojrział w kierunku wylotu bocznego ciemnego tunelu. Zauważył go już za pierwszym razem, kiedy przechodził przez Skaner Serca z panią Withers.

Lawrence zbliżył się ostrożnie.

- Gdzie prowadzi ten tunel, jak myślisz? - spytał niepewnie.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Oskar. - Ale nie widzę innego wyjścia.

Cała trójka zaczęła posuwać się ciemnym korytarzem, dźwigając bezwładnego Bonesa.

Lawrence ledwo dyszał i sływał potem. Oskar zwracał uwagę na każdy szmer i każdy ruch. Światło, jakie dawał jego medalion, nie wystarczało, by rozjaśnić otaczające ich ciemności.

W pamięci rozbrzmiewały mu słowa pani Withers: „...nigdy nie próbuj iść tym tunelem, a tym bardziej nie staraj się przejść obok Litery Krwi! Gdybyś zbliżył do niej choćby koniec palca, padłbyś trupem na miejscu!”. Wolał nie powtarzać tego przyjacielom. Zresztą i tak nie mieli wyboru. Sigismond nie chciał ich przepuścić, główny tunel zapadał się od strony Drzewa Przejścia. Zakazany Tunel był ich jedyną szansą, żeby wydostać się z podziemi.

Zrobili jeszcze kilka kroków i stanęli jak wryci - przed nimi płonąła olbrzymia i groźna litera M. Otaczające ją koło sięgało ścian i sklepienia.

Valentine i Lawrence puścili ciało Bonesa i nieszczęsny majordomus runął na ziemię, nosem w dół. Wydał z siebie zduszony jęk. Wspólnie z Oskarem przewrócili go na plecy. Wielkie M zaczęło obracać się wokół własnej osi.

- Nie zbliżajcie się do niej - ostrzegł ich Oskar. - A już zwłaszcza nie próbujcie przez nią przechodzić.

- To jak mamy iść dalej? - spytała Valentine, odwracając się do tyłu. - Utknęliśmy tu w...

Z głównego przejścia dobiegł ich straszliwy huk zapadającej się ziemi, brzmiący jak seria grzmotów. Zrozumieli, że ta droga powrotu jest już na pewno odcięta. Do Zakazanego Tunelu napłynęła chmura brunatnego pyłu. Lawrence zaczął kasłać.

- No dobrze - powiedział z trudem - musimy pomyśleć. Jeśli nie możemy przedrzeć się przez tę złośliwą literę, może dałoby radę przejść obok niej... albo pod nią?

Podszedł bliżej, ale ogień zapłonął mocniej i chłopiec musiał się cofnąć. - Spalimy się zaraz na popiół! Zupełnie jakbyśmy byli na tym czymś... jak to nazywacie, Oskar? To coś w ogrodzie?...

- Grill - odpowiedział Oskar. - To wszystko, co ci przyszło do głowy w kwestii wydostania się stąd?

Lawrence pochylił się.

- Mam wrażenie, że pod Literą wykopany jest rów - powiedział.

Oskar i Valentine także wychylili się nieco do przodu.

- Co to takiego, ten dziwny kształt przed Literą? - dodał Lawrence, unosząc się na palcach. - Zabawne, wydaje się, że to...

Nie skończył zdania, krzyknął. Tuż przed jego twarzą rozwinęła się jakaś macka i przecięła ze świstem powietrze. Przyjaciele w samą porę odciągnęli go do tyłu. Z ziemi wynurzyły się inne macki i wiły się w powietrzu w poszukiwaniu ofiary.

Lawrence upadł. Valentine cofnęła się gwałtownie z obrzydzeniem.

- Powiedziałeś: zabawne, wydaje się, że to...

- ...ośmiornica - dokończył chłopiec. - Koszmarna, olbrzymia ośmiornica!

Teraz już naprawdę koniec z nami!

Oskar obserwował ohydny bestię i jej macki, wznoszące się wokół Litery M. Ośmiornica zagradzała drogę, uniemożliwiając przejście na drugą stronę.

W tym momencie Oskar poczuł znajome już ciepło w miejscu, gdzie miał zapięty pas Trofeów. Odwinął połą peleryny i Fiolka Hepatolii sama wy dostała się ze swojej sakiewki. Kołysała się teraz w powietrzu, przed jego oczami. Zrozumiał przekaz. Nie będzie łatwo pozbyć się potwora, ale jeśli mu się uda, będą mogli przedostać się rowem wykopanym pod Literą - i pójść dalej.

- Cofnijcie się - powiedział krótko do przyjaciół. Dzieci patrzyły na niego niepewnie.

- Co chcesz zrobić? - spytała Valentine.

Oskar wziął do ręki Fiolkę i otworzył ją. Zbliżył się do rowu na tyle, na ile to było możliwe. Bestia wyczuwała jednak każdy ruch - jedna z macek śmignęła mu tuż koło ucha. Wstrzymał oddech i stał zupełnie bez ruchu. Macki także znieruchomiały.

- Lawrence, do czego służy Nektar Hepatolii? - spytał Oskar, stojąc nadal bez ruchu.

- Żółć? Atakuje pokarmy i trawi je, rozkłada je na cząsteczki pierwsze.

Chłopiec uśmiechnął się, zaczynał się domyślać, co planuje Oskar.

- Ależ tak! Przecież masz ten płyn w swojej Fiolce! Dalej, Oskarze, rozwal te wirujące macki!

Z szybkością błyskawicy Oskar wyrzucił przed siebie część zawartości swojej Fiolki. Tunel rozświetliła smuga złocistego światła, podobnego do spadającej gwiazdy. Płyn spadł na macki i oślizgłe ciało potwora, spoczywające w rowie.

Na efekt nie trzeba było długo czekać - każda najdrobniejsza kropelka płynu przedziurawiła ciało bestii, które stopiło się zaatakowane żrącą substancją. Długie ramiona miały się na wszystkie strony, aż wreszcie pierwsza macka zwinęła się nieruchomo na ziemi, później inne. Wiły się jeszcze jak węże, ale ich ruchy szybko osłabły. Na dnie rowu ciało ośmiornicy nadęło się najpierw, a potem opadło ze straszliwym odgłosem, który przypominał wycie dzikiego zwierzęcia. A później zniknęło w jakimś kącie, pozostawiając przejście wolne.

- Spójrzcie! - zawołał Oskar, podbiegając do Bonesa. - Odzyskuje przytomność! Majordomus z trudem otworzył oczy i wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa.

- Niech pan nic nie mówi, niech pan tylko spróbuje wstać! - powiedziała Valentine, podpierając Bonesa na wysokości pleców. - No już, już, niech pan się postara, musimy zejść do tego rowu i przedostać się na drugą stronę! Nie uda nam się, jeśli pan nam trochę nie pomoże!

Bones wstał z wysiłkiem i cała trójka pomogła mu przesunąć się naprzód, aż do brzegu rowu. Popatrzyli na siebie przez chwdę, wzruszyli ramionami i popchnęli majordomusa, który spadł ciężko na dno jamy.

- Och! - powiedziała Valentine, zamykając na chwdę oczy. - Powiedzmy, że to za te wszystkie numery, które nam wyciął.

- Nie ociągajmy się - popędzał ich Oskar. - Musimy mu pomóc wyjść po drugiej stronie, to nie będzie łatwe.

- Byłbym wam wdzięczny, gdybyśmy w miarę szybko oddalili się od tego czegoś! - powiedział Lawrence, zerkając z obrzydzeniem w stronę ośmiornicy, skulonej w kącie wśród resztek swoich macek.

Wzięli Bonesa pod ramiona i przemknęli dołem, pod niebezpiecznie wirującą nad ich głowami Literą. Wokół nich panował straszliwy żar. Oskar słusznie przewidział, że po drugiej stronie nie było wcale łatwiej - musieli wyciągnąć Bonesa z rowu. Młody Medykus pochylił się i złączył mocno obie dłonie, tworząc coś w rodzaju małego schodka.

- Valentine, postaw tu nogę i wdrapuj się dalej. Ty też, Lawrence. Kiedy już dostaniecie się na górę, podciągniecie Bonesa, a ja go będę popychał od dołu. Bones, pomoże nam pan trochę, dobrze?

Majordomus wymruczał coś niezrozumiale. Majordomus z trudem otworzył oczy i wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa.

- Niech pan nic nie mówi, niech pan tylko spróbuje wstać! - powiedziała Valentine, podpierając Bonesa na wysokości pleców. - No już, już, niech pan się

postara, musimy zejść do tego rowu i przedostać się na drugą stronę! Nie uda nam się, jeśli pan nam trochę nie pomoże!

Bones wstał z wysiłkiem i cała trójka pomogła mu przesunąć się naprzód, aż do brzegu rowu. Popatrzyli na siebie przez chwilę, wzruszyli ramionami i popchnęli majordomusa, który spadł ciężko na dno jamy.

- Och! - powiedziała Valentine, zamykając na chwilę oczy. - Powiedzmy, że to za te wszystkie numery, które nam wyciął.

- Nie ociągajmy się - popędzał ich Oskar. - Musimy mu pomóc wyjść po drugiej stronie, to nie będzie łatwe.

- Byłbym wam wdzięczny, gdybyśmy w miarę szybko oddalili się od tego czegoś! - powiedział Lawrence, zerkając z obrzydzeniem w stronę ośmiornicy, skulonej w kącie wśród resztek swoich macek.

Wzięli Bonesa pod ramiona i przemknęli dołem, pod niebezpiecznie wirującą nad ich głowami Literą. Wokół nich panował straszliwy żar. Oskar słusznie przewidział, że po drugiej stronie nie było wcale łatwiej - musieli wyciągnąć Bonesa z rowu. Młody Medykus pochylił się i złączył mocno obie dłonie, tworząc coś w rodzaju małego schodka.

- Valentine, postaw tu nogę i wdrapuj się dalej. Ty też, Lawrence. Kiedy już dostaniecie się na górę, podciągniecie Bonesa, a ja go będę popychał od dołu. Bones, pomoże nam pan trochę, dobrze?

Majordomus wymruczał coś niezrozumiale. Dzieci w mgnieniu oka wydostały się z rowu. Bones wyprostował się i wyciągnął do nich rękę. Drżał na całym ciele.

- Jeszcze trochę! - krzyknęła Valentine. - Nie możemy dosięgnąć pana rąk. Niech pan sobie wyobrazi... bo ja wiem... może niech pan sobie wyobrazi, że właśnie rozbijamy jakiś przepiękny wazon w salonie Cumides Circle i że pan musi wyciągnąć rękę, żeby go złapać! No, proszę je wyciągnąć jeszcze trochę!

Złapali w końcu rękę majordomusa, który ledwo trzymał się na nogach. Oskar z wysiłkiem pchał go od tyłu.



W tym momencie straszliwe uderzenie w ramię sprawiło, że upadł na ziemię, a Bones osunął się bezwładnie na niego. Valentine i Lawrence zeskoczyli z powrotem do rowu, by pomóc mu się wydostać spod tego ciężaru.

- Co się stało? - zawołał Lawrence. - Dlaczego upadłeś, Oskarze?

Młody Medykus masował sobie ramię.

- Ktoś mnie uderzył w ramię i... UWAGA!

Popchnął Lawrence'a, który dzięki temu uniknął kolejnego ciosu.

Wokół nich kłębiły się trzy macki, na nowo przeszukujące cały rów. Za nimi widać było ośmiornicę, która nabrała sił i pełzła w ich stronę po błotnistej, lepkiej ziemi, wśród resztek innych swoich zniszczonych odnóży.

- Żółć, Oskarze! - wrzasnęła przerażona Valentine. - Wyjmij Fiolkę. Tamto nie wystarczyło, macki znowu odrastają!

Oskar wyjął kryształowy flakonik, na którego dnie połyskiwało już tylko parę kropel Nektaru. Jeśli je teraz wykorzysta - nie ma gwarancji, że wystarczą do zwalczenia ośmiornicy. Wszystko będzie musiał robić od początku - trzeba będzie znowu wrócić do wnętrza góry, żeby zdobyć Trofeum i napełnić Fiolkę. Ale czy miał jakiś wybór? Od tego zależało przecież jego życie i życie jego przyjaciół. Trzeba poświęcić Trofeum, trudno. Otworzył Fiolkę i już miał wylać resztę Żółci na ośmiornicę, kiedy Lawrence go powstrzymał.

- Zaczekaj, Oskar, pozwól, żebym ja to zrobił - odezwał się nagle. - Nie marnuj swojego Trofeum.

- Mam to w nosie! - odparł młody Medykus. - Wolę, żebyśmy przeżyli!

- Ja to załatwię - upierał się Lawrence. - Chciałbym tylko, żebyście się odwrócili. Nie patrzcie na mnie - dodał, jak gdyby miał zrobić coś wyjątkowo wstydlivego. - Obiecujecie?

Unikając wzroku przyjaciół, Lawrence zaczął rozpinać kombinezon. Valentine i Oskar odwrócili się bez słowa.

Kombinezon opadł na ziemię, za nim koszulka i bielizna.

Nagi chłopiec podszedł możliwie blisko ośmiornicy. Zamknął oczy i pomyślał o swoim ojcu, o krewnych i o tych innych z wnętrza góry, którzy żyli dzień za dniem w kopalni i zapewne spędzą całe swoje życie, robiąc właśnie to, co on zamierzał teraz zrobić po raz pierwszy w życiu i tylko przez kilka chwil. Z tego powodu opuścił górę - chciał umknąć przed narzuconą mu rolą Hepatocytu. Teraz jednak się nie zawahał. Wyciągnął ramiona ku górze, w stronę wirującej nad jego głową ognistej Litery.

Poczuł, jak gorąco spływa na jego ciało, złocisty blask oblał całą jego skórę. W miarę upływu czasu pojawiły się na niej żółte perełki płynu, łączyły się, spływając po jego zaokrąglonym brzuchu, potem w dół, po nogach. U jego stóp utworzyła się niewielka kałuża.

Kałuża Nektaru Hepatolii. Bezcenny płyn rozlewał się coraz szerzej, aż wreszcie utworzył sieć cienkich strumyczków, które płynęły w stronę ośmiornicy. Macki poruszyły się, bestia wyczuła zagrożenie. Lawrence starał się opanować strach i stał cały czas w tej samej pozycji, pod palącymi promieniami Litery nad swoją głową, zdany na łaskę i niełaskę potwora.

Niestety tuż przy galaretowatym cielsku ośmiornicy jakiś kamień zablokował przepływ złotego strumienia, który zmienił kierunek i zaczął się oddalać od potwora!

- Oskar - wymamrotał Lawrence drżącym głosem. - Pomóż... zobacz, płyn...

Młody Medykus odwrócił głowę i spojrzał na ziemię. Prze-czołgał się na kolanach, bardzo ostrożnie, chcąc uniknąć uderzeń ośmiornicy, dotarł do kamienia i odsunął go czubkiem stopy. Płyn popłynął znowu w stronę straszliwej bestii.

Kiedy dotarł do celu, zwierzę było już otoczone Żółcią z wielu stron. Zaczęła się wgryzać w jego cielsko.

Ośmiornica wydała z siebie przerażający odgłos. Im szybciej się miotła, tym bardziej płyn wypalał skórę i mięso do żywej kości. Rzucając się na wszystkie strony, ośmiornica uderzyła Lawrence'a, który upadł na ziemię. Przyjaciele podbiegli do niego i pomogli mu się podnieść. Lawrence trząsł się cały ze zmęczenia, uśmiechnął się jednak do nich.

- No cóż, w końcu na coś się przydało to, że jestem Hepa-tocytem... - powiedział.

Valentine rzuciła mu się na szyję i ucałowała go.

- Brawo! Jesteś wspaniały, uratowałeś nas!

Lawrence z żółtego stał się czerwony.

- No, tak, tak, dzięki, eee... Oskar, mógłbyś mi podać spodnie i koszulkę, proszę? Valentine przypomniała sobie, że Lawrence stoi przed nią nago, i speszona odwróciła wzrok. Lawrence błyskawicznie się ubrał, mimo że ubranie lepiło mu się do ciała, bo nadal jeszcze, pod wpływem gorąca, wydzieliał z siebie Żółć.

Dzieci popatrzyły na ośmiornicę, która leżała na ziemi w smrodliwym, kleistym błocie. Wyglądało na to, że nie ma już szans, by odrosły jej macki.

Wrócili do Bonesa. Udało im się podnieść majordomusa do pozycji pionowej. Odzyskał trochę siły, chociaż był jeszcze bardzo blady i cały drżał.

Szli Zakazanym Tunelem przy świetle medalionu Oskara. Dotarli w końcu do idealnie kwadratowej - i idealnie pustej! - sali, w której podłoga była pokryta wielkimi płytami, układającymi się w czarno-beżową szachownicę. Widać było jedno, jedyne wyjście - drzwi na drugim końcu pomieszczenia.

Oskar puścił Bonesa, którego podtrzymywali jego przyjaciele, i podbiegł do drzwi - były zamknięte.

Odwrócił się rozczarowany. Nie miał pomysłu, jak się teraz wydostać z tego miejsca, dalej nie mogli iść, nie byli też w stanie wrócić tam, skąd przyszli.

Ruszył przed siebie, chcąc wrócić do przyjaciół, stanął przy tym na jednej z płyt, która lekko się zapadła.

Jednocześnie inna czarna płyta, pośrodku sali, zaczęła się unosić i na oczach zdumionych dzieci wyrosła z niej kolumna. Dzieci zostawiły Bonesa siedzącego i opartego o ścianę a same podeszły bliżej.

Na kolumnie, mniej więcej na wysokości ich głów, leżało pudełko z czarnej laki. Jego powierzchnia była tak gładka i błyszcząca, że Oskar mógł się w niej

przeoglądać jak w lustrze. W tym samym momencie ujrzał wokół swojego odbicia inne, nieznane mu twarze.

Lawrence i Valentine, stojący dotąd nieco z boku, zbliżyli się do Oskara.

- Masz jakiś pomysł, co to może być?

Oskar pokręcił głową.

- Nie, ani pani Withers, ani Maureen Joubert nigdy mi o tym nie wspominały.

Nie słyszałem o tajemniczym czarnym pudełku. A ty?

Lawrence pokręcił głową.

Valentine obeszła kolumnę dookoła.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - stwierdziła. - Trzeba to otworzyć - dodała, wskazując palcem miejsce po drugiej stronie pudełka.

Oskar również obszedł kolumnę. Na każdej ścianie pudełka dostrzegł twarze, które przenikały się nawzajem, podobnie jak obrazy w myślach. Valentine przysunęła pudełko bliżej siebie. Pośrodku pokrytej lakiem ścianki widać było metalowy zameczek. Niestety nie było tam żadnego śladu czy szpary, oddzielających wieko od reszty. Nie było tam nic takiego. Pudełko wyglądało jak jedna niepodzielna bryła, z tym dziwnym zamkiem pośrodku.

Lawrence podszedł jeszcze bliżej i poprawił okulary.

- Spójrz, Oskarze. Nic ci nie mówi ten symbol tu, na środku tej płytki?

Oskar przyjrzał się z bliska i dostrzegł wyźłobioną literę M.

- Zdaje się, że wystarczy przyłożyć do niej twój medalion, mój stary - dorzucił Lawrence.

Oskar wyjął medalion i powoli zbliżał rękę do pudełka. Coś go powstrzymywało, ale sam nie umiał powiedzieć co. - Na co jeszcze czekasz? - niecierpliwiła się Valentine. - Jeśli o mnie chodzi, mam ochotę wrócić do domu, więc jeśli klucz do drzwi jest w tym pudełku, byłoby może dobrze, żebyś się wreszcie zdecydował...

Oskar wzruszył ramionami. Przyjaciele mieli rację, wszyscy troje zasłużyli na odpoczynek w Cumides Circle. Poza tym niczym przecież nie ryzykował. Zamek

nosił na sobie literę Zakonu, do którego należał. Niebezpiecznie może się zrobić dopiero wtedy, kiedy niczego mu się nie uda otworzyć. Wyciągnął rękę.

Niski głos zabrzmiał donośnie w całym pomieszczeniu, paralizując ruchy Oskara.

- Nie!

Medalion był oddalony o milimetr od zamka, jednak zielony promień przeciął salę i wytrącił Oskarowi z rąk Literę, odrzucając ją daleko, w kąt sali.

Troje dzieci odwróciło się jednocześnie.

- Pan Brave! - zawołał Oskar.

Za Winstonem Brave'em, który podchodził z medalionem w dłoni, młody Medykus ujrzał Maureen Joubert i panią Withers. Wydawało się, że starsza pani odczuwa dużą ulgę na widok trójki dzieci - żywych i całych.

Mistrz Medykusów zszedł z kilku stopni, które dzieliły go od szachownicy posadzki.

- Na szczęście twój przyjaciel nas uprzedził - powiedział.

Oskar wychylił się i dojrzał Aydena Spencera, który nieśmiało trzymał się w pobliżu drzwi. Ayden pomachał do niego i uśmiechnął się.

- Ayden! - zawołała Valentine. - Co ty tu robisz? Miałeś przecież wracać do domu z braćmi O'Maley! - Zmieniłem zdanie - odpowiedział Ayden. - Po drodze zacząłem się zastanawiać. Przypomniałem sobie, że w parku było dwóch Patologusów, a tylko jeden z nich wszedł do ciała Pavarottiego. To znaczyło, że ten drugi może być gdzieś niedaleko, a wy znajdziecie się w niebezpieczeństwie. Wydawało mi się, że będzie rozsądniej zawrócić i uprzedzić Wielkiego Mistrza...

- I dobrze zrobisz - dodała pani Withers. - Oskarze, tyle przeszedłeś, żeby dotrzeć aż tutaj. Szkoda by było, gdybyś został porażony przez to pudełko.

- Porażony? - spytał Lawrence. - Ale dlaczego? Przecież na zamku jest symbol Medykusów!

- Musicie nauczyć się lepiej obserwować, dzieci - odparł pan Brave. - Oskarze, przyjrzyj się dobrze temu zamkowi: co widzisz pośrodku tego symbolu?

Młody Medykus przyjrzał się tym razem wyjątkowo uważnie. W centrum wielkiej litery M zauważył okrągłe wgłębienie. Podniósł wzrok na medalion pana Brave'a.

- Jest tu odcisk zielonego kamienia, tego szmaragdu, który jest w środku pana medalionu.

- Słusznie - potwierdził Mistrz. - To oznacza, że tylko Wielki Mistrz może otworzyć to pudełko za pomocą swojej Litery. Gdybyś przyłożył do metalowej płytki swój medalion, który nie ma w sobie tego kamienia, zostałbyś natychmiast przeszyty promieniem, który jest w stanie zniszczyć wszystko, zapewniam cię. Niezależnie od tego, że nasze dwa medaliony są ze sobą związane.

Dzieci popatrzyły na siebie przerażone. Valentine, która była taka dumna, że odkryła zamek w pudełku, zrobiła się nagle całkiem malutka. Nie spuszczała oczu z pana Brave'a.-Prawdziwy bohater! - wykrzyknęła, pełna podziwu dla człowieka, który górował nad nią swoją niezwykle wysoką sylwetką.

Lawrence trącił ją łokciem, najdyskretniej jak umiał.

- Oszalałaś? - powiedział cicho. - Wydaje ci się może, że oglądasz w kinie Spidermana, czy co?...

- Kto to jest Spiderman? - spytała Valentine, uśmiechając się promiennie do Wielkiego Mistrza.

- To taki bohater z opowieści tego świata, idiotko! Pamiętasz ten plakat z pokoju Oskara? A to jest Wielki Mistrz Medykusów, więc nie pleć głupstw, bo skompromitujesz nas i odeślą nas do Hepatolii!

Winston Brave podszedł do Oskara z surową miną.

- A teraz, Oskarze Pillu, liczę na pewne wyjaśnienia z twojej strony.

Wszyscy zamilkli. Chłopiec spuścił głowę, potem zebrał się na odwagę i spróbował streścić wszystko to, co wydarzyło się w czasie minionych dni.

Mój Grimoire zamilkł - podsumował Oskar. - Boyd mu zabronił czy może coś w nim zablokował, nie mam pojęcia, wiem tylko, że gdy zadawałem mu pytanie, nie odpowiadał. Wobec tego - ciągnął chłopiec - przyjąłem propozycję Boyda - obiecał

mi, że Grimoire zacznie odpowiadać na pytania, jeśli będę miał książkę podczas Introdukcji Cieleśnej.

- Innymi słowy poddałeś się jego szantażowi - rzekł Wielki Mistrz.

- Nie miałem wyboru - rzekł Oskar ze spuszczonego wzrokiem. - Musiałem... musiałem się dowiedzieć.

Pan Brave pokręcił głową.

- Kiedy wreszcie nauczysz się posłuszeństwa i cierpliwości?-Prawdziwy bohater! - wykrzyknęła, pełna podziwu dla człowieka, który górował nad nią swoją niezwykle wysoką sylwetką.

Lawrence trącił ją łokciem, najdyskretniej jak umiał.

- Oszalałaś? - powiedział cicho. - Wydaje ci się może, że oglądasz w kinie Spidermana, czy co?...

- Kto to jest Spiderman? - spytała Valentine, uśmiechając się promiennie do Wielkiego Mistrza.

- To taki bohater z opowieści tego świata, idiotko! Pamiętasz ten plakat z pokoju Oskara? A to jest Wielki Mistrz Medykusów, więc nie pleć głupstw, bo skompromitujesz nas i odeślą nas do Hepatolii!

Winston Brave podszedł do Oskara z surową miną.

- A teraz, Oskarze Pillu, liczę na pewne wyjaśnienia z twojej strony.

Wszyscy zamilkli. Chłopiec spuścił głowę, potem zebrał się na odwagę i spróbował streścić wszystko to, co wydarzyło się w czasie minionych dni.

Mój Grimoire zamilkł - podsumował Oskar. - Boyd mu zabronił czy może coś w nim zablokował, nie mam pojęcia, wiem tylko, że gdy zadawałem mu pytanie, nie odpowiadał. Wobec tego - ciągnął chłopiec - przyjąłem propozycję Boyda - obiecał mi, że Grimoire zacznie odpowiadać na pytania, jeśli będę miał książkę podczas Introdukcji Cieleśnej.

- Innymi słowy poddałeś się jego szantażowi - rzekł Wielki Mistrz.

- Nie miałem wyboru - rzekł Oskar ze spuszczonego wzrokiem. - Musiałem... musiałem się dowiedzieć.

Pan Brave pokręcił głową.

- Kiedy wreszcie nauczysz się posłuszeństwa i cierpliwości?

Tym razem miałeś szczęście, jesteś odważny, to prawda, ale odwaga i inteligencja nie zawsze wystarczają.

Westchnął ciężko. Pani Withers podeszła bliżej i spojrzała na chłopca bacznie.

- Gdzie jest książka Boyda? - spytała.

Oskar wyjął książkę z wewnętrznej kieszeni swojej peleryny i podał ją starszej pani. Ta zwróciła się do wielkiego Mistrza.

- Winstonie, trudno mi uwierzyć, że Boyd mógł szantażować Oskara i zastawić na niego pułapkę. Fakt, trudno z nim czasem wytrzymać, ale jest uczciwy.

- Pozwólmy mu się wytłumaczyć - zaproponował pan Brave.

Pani Withers otworzyła książkę.

- Boyd, mam do pana kilka pytań.

Kartka pozostała pusta. To nie było podobne do Boyda...

- BOYD, LEPIEJ BY BYŁO, ŻEBY PAN SIĘ ODEZWAŁ, NIECH PAN MI WIERZY...

Zawsze, kiedy drobna starsza pani była naprawdę zła, jej głos sprawiał, że trzęsły się ściany, tak było i tym razem. Valentine schowała się za Lawrence'em, który sam też chętnie gdzieś by się schował, gdyby miał gdzie.

W końcu na kartce pojawiły się jakieś słowa, starannie zapisane schludnym pismem.

- Dobry wieczór, pani Withers, nie sądzi pani, że jest trochę za późno na rozmowy?

Boyd był bezczelny, jak zawsze, ale starsza pani miała wątpliwości. Oskar także pochylił się nad książką. Nigdy, nawet w najlepszym nastroju Boyd nie pisał tak starannie... W tej samej chwili w rogu strony pojawiło się kilka liter. Wszystkie były kulfonowane, pisano je raz w tę, raz w inną stronę, a przy wykrzykniku widniał wielki kleks:-MmihmrhWmrrn! MMMMH/1HMMMM!!



Pani Withers zmarszczyła brwi i zamknęła szybkim ruchem książkę.

- Wydaje mi się, że już wiem, o co chodzi, Winstonie.

- A mianowicie?...

- Książka Boyda ma w sobie pasożyta. Ktoś inny za niego odpowiedział. Tymczasem tych kilka liter w rogu - to był rzeczywiście sam Boyd. Ktoś go zakneblował albo nie pozwalała mu mówić! Nie jest sam w tej książce.

- Pasożyt? - zdziwił się Oskar. - Jakiś inny duch? Ale w jaki sposób dostał się do książki Boyda?

- Ktoś wprowadził go do Cumides Circle, do biblioteki - powiedział Wielki Mistrz.

- Sądzi pan, że to jakiś Patologus? - spytał Ayden, który zbliżył się do nich w międzyczasie.

- Mamy pewną cechę wspólną z Patologusami, wy dwaj dobrze o tym wiecie - odpowiedział pan Brave, patrząc na dwóch młodych Medykusów. - Kiedy jakiś Patologus umiera na tym świecie, a nie jest wewnątrz jakiegoś ciała, może przetrwać jako duch, wcielając się w jeden lub w kilka przedmiotów, książkę, cokolwiek. I taki duch może przechodzić z jednego przedmiotu do drugiego. Wystarczyło zatem wnieść do biblioteki dowolny przedmiot, zamieszkały przez ducha Patologusa, a ten przemieścił się do jakiejś książki. Wszedł akurat do książki Boyda.

- Pytanie brzmi: kto i co wniósł do biblioteki? - spytała Maureen Joubert, która tymczasem zajęła się Bonesem.

- To on! - zawołała Valentine. - To Bones, jestem pewna! Śledził nas, kiedy wyszliśmy z Cumides Circle, a później widzieliśmy go z Patologusem! To zdrajca! Wielki Mistrz podszedł do dziewczynki i pochylił się nad nią.

- Moja panno, byłby z ciebie raczej kiepski detektyw. To ja poprosiłem Bonesa, by za wami poszedł.

- Pan? - zdziwił się Oskar. - Ale dlaczego?

- Ponieważ twoje zachowanie przy kolacji dało mi do myślenia. Czuję, że coś kombinujesz. Bones poszedł za wami, żeby was dopilnować.

- To znaczy, że wtedy... wtedy, kiedy widzieliśmy go w parku...

- ...prawdopodobnie bił się z drugim Patologusem - dokończyła Maureen Joubert. - Niestety, zapewne Patologusowi udało się wejść do ciała biednego Bonesa, który nie jest Medykusem. No cóż, stary przyjacielu - dodała, zwracając się do Bonesa. - Nie służą panu najwyraźniej te nocne wyprawy. Już nie te lata...

Oskar i jego przyjaciele zerkali na majordomusa zawstydzeni, że mogli tak bardzo się pomylić.

- Znaleźliśmy Bonesa nieprzytomnego w Skanerze Serca, pod Drzewem Przejścia - powiedział Lawrence, który próbował opowiedzieć przebieg wydarzeń z właściwą sobie logiką. - Wnioskuje z tego, że próbował wrócić do Cumides Circle, żeby państwa uprzedzić, nie starczyło mu jednak czasu. Patologus zaczął odpalać swoje ładunki u stóp góry i spowodował krwotok wewnętrzny... Pomyliliśmy się w naszej ocenie.

- Jak on się teraz czuje? - spytał Oskar niespokojnie. - Weszliśmy do jego Uniwersum Hepatolii, żeby mu jakoś pomóc, mam nadzieję, że...

- Już mu jest dużo lepiej, bądźcie spokojni - odrzekła Maureen. - Właściwie uratowaliście mu życie. - Wstała. - Chyba zaprowadzę go teraz do jego pokoju, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Trzeba go jeszcze trochę podleczyć, ale jutro wszystko już będzie w porządku.

Pomogła Bonesowi się podnieść. Nadal był bardzo blady, trząśł się już trochę mniej. Kiedy mijał Oskara, z trudem podniósł głowę.

- Dziękuję - powiedział bardzo słabym głosem.

Oskar po raz pierwszy ujrzał na jego ustach szczyry uśmiech. Potem Maureen zabrała majordomusa ze sobą.

- A więc to wszystko wygląda na spisek, prawda? - spytał Oskar. - Duch Patologusa zmusił Boyda do tego szantażu wobec mnie, czy tak?

- To bardzo prawdopodobne - potwierdziła pani Withers. - Uwolnimy Boyda i dowiemy się nieco więcej na ten temat - dorzuciła, oglądając podejrzliwie Antologię Patologusów.

Lawrence, zafascynowany tym wszystkim, o czym się dowiedział, zapomniał o swojej tradycyjnej dyskrecji i brał żywy udział w rozmowie, ku zdziwieniu Valentine.

- Kiedy Oskar umawiał się z Boydem na wspólne wyjście, duch-pasożyt musiał się o tym dowiedzieć, to jasne. Ale w jaki sposób ten duch mógł przekazać tę informację dalej Patologusom, którzy czekali na nas w parku?

Pan Brave założył ramiona i uśmiechnął się.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że w górze Hepatolii żyją dzieci tak ciekawe świata. To bardzo proste - jeśli ten duch istnieje w kilku rozmaitych przedmiotach, poszczególne części ducha mogą się ze sobą porozumiewać. Kiedy jedna z części czegoś się dowiaduje, inne także to wiedzą.

- To logiczne - przyznał Oskar. - To przecież cały czas jeden i ten sam duch.- Czyli wystarczy, żeby jeden z tych przedmiotów miał u siebie Patologus, a będzie o wszystkim poinformowany - dodał Ayden.

- Jak najbardziej - potwierdził pan Brave.

Oskar rozmyślał w mdczeniu, również Lawrence zadawał sobie dziesiątki pytań. Młody Medykus widział kilka obrazów, które tworzyły coś w rodzaju układanki, nie potrafił jednak ich do siebie dopasować. W końcu wpadł na rozwiązanie.

- Chyba wiem, kto jest kolejnym winnym, proszę pana! W parku czekało na nas dwóch Patologusów i ktoś jeszcze: Moss z zaprzyjaźnionymi łobuzami zastawd na nas pułapkę. Skąd mógł wiedzieć, że tam się spotkamy?

- To po prostu znaczy, że on także należy do grupy Patologusów - zawołała Valentine. - Zawiadomd go duch-pasożyt!

- Lubisz szybkie rozwiązania, moja panno, nie da się ukryć! - zgromd ją pan Brave.

Tym razem Oskar wziął przyjaciółkę w obronę.

- Ale ja również jestem o tym przekonany - powiedział. - W zeszłym tygodniu natknąłem się w bibliotece na jego ojca. Powiedział mi, że jest z panem umówiony.

- To prawda - odrzekł pan Brave. - I nie sądzę, żeby to on był winien - uzupełnił, nie zagłębiając się w dalsze szczegóły. - Uważaj, widzę, że ty także rzucasz zbyt łatwo oskarżenia... Twój przyjaciel Ayden usłyszał, jak umawiacie się na wyprawę do parku. Skąd możesz wiedzieć, czy Moss także nie dowiedział się o tym w taki sam sposób? Czy widziałeś, żeby jego ojciec podrzucił do biblioteki jakiś przedmiot, skoro oskarżasz go z taką łatwością?

- Nie - przyznał Oskar. - Nie miał ze sobą żadnego przedmiotu. - Namyslał się jeszcze przez krótką chwile, a później dodał: - Bawił się tylko jakąś figurką, która stała na półce biblioteki.

- Zaraz, co ty mówisz? - spytała zaintrygowana pani Withers.

- Kiedy rozmawialiśmy, obracał w palcach jakąś małą figurkę, to wszystko. Ale odstawił ją później na miejsce, nie miał przy sobie żadnej torby ani żadnego innego przedmiotu.

Wielki Mistrz i starsza pani spojrzeli na siebie.

- Oskarże - powiedziała pani Withers - w bibliotece Cumides Circle nie ma żadnej figurki i nigdy tam takiej nie było.

- No to już chyba wiemy, o jaki przedmiot chodzi - stwierdził Lawrence, patrząc na Oskara ponad okularami. - Duch Patologusa był w tej figurce, którą Moss zostawił w bibliotece.

- Mógł to także zrobić ktoś inny - sprostował pan Brave. - Przypominam wam, że przychodzi do mnie wielu klientów.

Oskar i jego przyjaciele powstrzymali się z trudem od komentarzy. Nie byli jednak skłonni wierzyć w niewinność Mossa.

Wielki Mistrz dla pewności otworzył książkę. Przemówił swoim niskim głosem, który za każdym razem robił wielkie wrażenie.

- Pasożytujący duchu, masz kilka sekund, żeby objawić się i powiedzieć, kim jesteś.

I tym razem kartka pozostała długo pusta. Zapewne duch się ukrywał. Żaden Patologus nie śmiałyby się sprzeciwić Wielkiemu Mistrzowi Medykusów, tym bardziej duch martwego Patologusa.

- No cóż - powiedział pan Brave. - W tej sytuacji nie mam innego wyboru...

Zaniknął książkę i zbliżył do jej okładki swój medalion. Z Litery wydostała się zielonkawa mgła, która osnuła książkę Boyda. Wielki Mistrz rozpoczął wypowiedzanie zaklęcia: Zły duchu, który tkwisz w atramencie i papierze

Skoro się tu wśliznąłeś w złej wierze

Zaraz zostaniesz...

Zanim doszedł do końca formułki, książka zaczęła dygotać. Pan Brave uśmiechnął się i ponownie ją otworzył.

Słowa pojawiały się pisane pospiesznie czerwonym atramentem. Litery kreślono drżącą ręką.

- Litości, litości, Wielki Mistrzu Medykusów, ja nie chciałem, zmuszono mnie, niech mi pan wierzy, to jakaś straszliwa pomyłka, mogę panu wszystko wyjaśnić...

Wielki Mistrz pochylił się w stronę Valentine i pogłaskał jej włosy.

- Pozwolisz?...

Dziewczynka kiwnęła głową, uśmiechając się szeroko, a pan Brave zdjął gumkę z jednego z kucyków.

- Jest nie tylko bardzo przystojny, ale do tego taki romantyczny - szepnęła na ucho Lawrence'owi zaróżowiona ze szczęścia Valentine. Ten tylko wznosił oczy do nieba.

Winston Brave trzymał teraz nad książką plastikowy kwiatek, zdobiący gumkę do włosów.

- Natychmiast uwolnij Boyda - rozkazał duchowi lodowatym tonem - a następnie przenieś się do tego kwiatka. I to szybko. W przeciwnym razie mogę jeszcze zmienić zdanie i sprawić, że znikniesz na zawsze.

Chwilę potem cała strona pokryła się niewiarygodną ilością przekleństw i kleksów. Wszyscy się uśmiechnęli, Wielki Mistrz także. Najwyraźniej duch

oswobodził Boyda i ten nareszcie mógł nadrobić stracony czas... Zaraz potem z książki wydobył się purpurowy dymek, który przepłynął w stronę kwiatka. Po wszystkim Wielki Mistrz schował do kieszeni marynarki kwiatek, zawierający w sobie ducha Patologusa, i nachylił się nad książką.

- Boyd, jak się pan miewa?

- Ależ wspaniale, dzięki! - wrzasnął Boyd. -?pędziłem tylko kilka 2pJzfn spętany i zakneblowany, poza tym wszystko jest w najlepszym porządku! Czego pan się spodziewał?! Jak mam się niby czuć w takiej sytuacji?...

Boyd nie stracił nic z właściwego sobie wdzięku... Pan Brave ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na te krzyki.

- Boyd - powiedział surowym tonem - jak pan śmiał tak szantażować Oskara?

- No cóż, przyznaję, że trochę skorzystałem z sytuacji - wyznał autor, dużo mniej pewnym tonem i bez kleksów. - Mały Fili potrzebował mojej pomocy, więc... Winstonie, od wieków nie opuściłem murów tej biblioteki, to była okazja jedyna w swoim rodzaju! Nie żywiłem złych zamiarów wobec chłopca, daję panu na to moje słowo. Ale dwa tygodnie później, kiedy ten duch Patologusa przeniknął do mojej książki, nie miałem już większego wyboru...

- Dlaczego słuchał pan jego rozkazów? - zapytała pani Withers.

- Zwoził mi, że zniszczy wszystko w mojej książce - jęczał żałośnie Boyd. - A poza tym...

- A poza tym? - spytał surowo pan Brave.

- ...a poza tym obiecał, że jeśli mu będę posłuszny, opowie mi o pewnych nieznanym ihi jeszcze sprawach, dotyczących Patołogusów. Chciałem je potem opisać W moim dziele. Niech pan się na mnie nie złości, to mogło być bardzo przydatne, dla wszystkich! No i jeszcze ta Estelle i jej książka...

- Czyżby duch pasożytował również u niej? - spytała pani Withers, zaskoczona.-Tak, - potwierdził Boyd. - Jej także groził, że wszystko zniszczy, ale była szybsza ode mnie. Schowała się na czystej stronie i starła całą resztę. Wtedy duch opuścił na4le jej traktat, ale zmusił mnie... Miałem poprosić Pilla, ahy zahrał ze sobą

obydwie książki podczas Introdukcji... Estelle sądziła, że to mój pomysł, niczego nie podejrzewała. Daję słowo, Winstonie, nie domyślałem się, jakie są ich prawdziwe intencje.

Oskar spuścił głowę. Zrozumiał w końcu, dlaczego Pa-tologusi chcieli, żeby zabrał ze sobą książkę EsteUe Fleetwood - liczyli na to, że zdobędą ją, a potem zmuszą Estelle, by im zdradza wszystkie sekrety Medykusów, zawarte w jej Traktacie! Koniec końców, nie dostali jej w swoje ręce, ale i nikt inny nigdy jej nie zobaczy. Książka zniknęła, zmielona przez ostrza w cysternie, a duch EsteUe umarł już ostatecznie.

- Gdzie jest teraz Traktat EsteUe? - spytał Winston Brave.

Oskar musiał się przyznać do swojego błędu i do utraty książki.

- Ja... upuśćdem go do cysterny w jednostce rozdrabniania pokarmu, proszę pana - wyznał zgaszonym głosem. - Strasznie mi przykro, to moja wina.

Wszyscy mdczeli. W końcu Wielki Mistrz zwrócił się do pozostałych dzieci:

- Muszę teraz porozmawiać sam na sam z Oskarem. Berenice, czy mogłaby pani zabrać dzieci do Cumides Circle? Chyba powinny trochę odpocząć.

Pani Withers zawahała się przez chwędę. Winston Brave powiedział z naciskiem:

- Dziękuję, Berenice. Chciałbym spotkać się z panią nieco później, w moim gabinecie, jeśli pani pozwoli.

Kiwnęła potakująco głową i nie mówiąc już nic, ruszyła z dziećmi w stronę drzwi. Zostali sami i Oskarowi wydało się nagle, że sala wokół niego jest olbrzymia. Poczł się bardzo mały. Winston Brave zbliżył się do niego i obrzucił go ciężkim spojrzeniem.

- Oskarze, powinienem mieć ci za złe, że doprowadziłeś do zniknięcia ducha Estelle Fleetwood. To była wielka dama naszego Zakonu. Ogromna to dla nas strata, będzie nam jej bardzo brakowało. Co gorsza, książka zniszczona w cysternie była pierwszym, oryginalnym wydaniem Traktatu.

Oskar stał bez słowa. Czuł się, jakby ktoś zawiesił na jego barkach wielki kawał ołowiu.

- Ale z łatwością mogłeś wyrzucić znacznie gorszą krzywdę, działając wedle własnego widzimisię - ciągnął dalej twardo Wielki Mistrz. - Naraziłeś na niebezpieczeństwo życie swoich przyjaciół, a być może także cały Zakon Medykusów.

Oskar podniósł głowę. Nie rozumiał, co pan Brave mu zarzucał w tym ostatnim zdaniu.

- Nawet o tym nie wiedząc, mogłeś doprowadzić Patologusów do tego, co mamy najcenniejsze.

- Ma pan na myśli ten tunel? Tę salę? Przecież tu nic nie ma! - zawołał Oskar.

Głos Wielkiego Mistrza zagrział jak wybuch.

- Nic? Jesteś o tym naprawdę przekonany? Wchodząc do tej sali, znalazłeś się w Sanktuarium Wiedzy Medykusów, ni mniej, ni więcej.

Oskar, zaskoczony, otworzył szeroko oczy. Sanktuarium! A więc to dlatego pani Withers surowo zakazała mu zagłębiać się w ten ciemny tunel i dlatego był on tak dobrze strzeżony!

- Sanktuarium... - powtórzył Oskar, zaszokowany. - Ale... gdzie ono jest? - spytał, obracając się wkoło. - Przecież ta sala jest zupełnie pusta, niczego tu nie ma! Mistrz westchnął i pokiwał głową.

- A czego się spodziewałeś? Biblioteki pełnej książek? Ścian pokrytych komputerami? Nasze sanktuarium gromadzi prawa, wiedzę, idee, myśli. Nie pomieściłoby się to w jednej sali, a jednocześnie to coś, co nie zajmuje miejsca, nie ma rozmiarów ani objętości. Nawet najwspanialsza idea nie potrzebuje przestrzeni.

Zbliżył się do czarnego pudełka i położył na nim dłoń.

- Wystarczy takie pudełko - powiedział.

Pudełko.

Oskar obszedł je dookoła, oglądając je z podziwem.

- I wszystko... wszystko jest tam, w środku?



- Wszystko, Oskarze. Nawet zawartość książki Estelle Fleetwood - na szczęście. A także wiele innych rzeczy, o których nie masz pojęcia. W tym pudełku mieści się każdy rodzaj wiedzy, jaki posiadali Medykusi. Dlatego jest takie ważne. - Przesunął ze wzruszeniem ręką po pudełku. - Nie ma nic cenniejszego niż wiedza, zrozumiesz to później. Siła fizyczna, pieniądze, odwaga, słowa, technologia... wszystko to nic, w porównaniu z wiedzą. Dlatego właśnie musisz uczyć się jeszcze bardzo długo, aż dorośniesz i zostaniesz Medykusem... - przerwał i zawahał się przez moment, zanim dokończył zdanie. - ... Medykusem - takim, jakim chcesz być.

Oskar kiwnął głową.

- Strasznie mi przykro, że duch Estelle Fleetwood zginął. Poza tym - dodał nieszczęśliwym głosem - nie udało mi się sprawić, żeby mój Grimoire przemówił.

- Nikomu by się to nie udało, Oskarze. Ani Boydowi, ani też nikomu innemu - poza mną.

Oskar spojrzał na niego ze zdziwieniem i z nadzieją. - Panem?

- Tak, mną. Choćby z tego tylko powodu, że to ja pozbawiłem twojego Grimoire'a tej mocy.

- Jak to? To nie był Boyd? Ale przecież rozmawiał z moim Grimoire'em, Julia Jacob mówiła mi o tym!

- Boyd jest ciekawski i być może rozmawiał z nim, chcąc się dowiedzieć, na jakie pytanie poszukujesz odpowiedzi, musisz jednak wiedzieć, że twój Grimoire nigdy nie będzie o tobie opowiadał innym ludziom, a Boyd nie ma mocy, żeby zakazać mu głosu. W każdym razie blefował. Pozwól, żebyś sądził, że to on jest odpowiedzialny za mdczenie Grimoire'a, i w ten sposób uzyskał od ciebie to, czego chciał. A ty mu uwierzyłeś! Później zaś skorzystał z tej sytuacji duch Patologusa, tak jak to Boyd nam opisał.

- Ale... dlaczego pan to zrobił? - spytał Oskar, nieco zagubiony. - Dlaczego zabrał pan Grimoire'owi tę moc?

Winston Brave westchnął.

- Żeby cię chronić - odrzekł po chwili.

- Żeby mnie chronić? Przed czym? Sam pan powiedział, że wiedza jest najcenniejszą rzeczą, jaka istnieje! A ja chcę wiedzieć, co się stało z moim ojcem!

Krzyczał niemal. Błyszczały mu gorączkowo oczy, nie był w stanie się opanować, mimo że mówił do Wielkiego Mistrza.

- Oskarze Pillu, kłamstwo jest straszną rzeczą, wiem coś o tym - powiedział pan Brave. - Czasami jednak prawda może zranić o wiele mocniej. A ty jesteś zbyt młody, żeby przyjąć pewne prawdy. Teraz należy cię przed nimi chronić. Dlatego właśnie pozbawdem twojego Grimoire'a tej wiedzy.

- Nic nie rozumiem z tego, co pan mówi! - uniósł się Oskar. - Jest tylko jedna prawda!-Może mieć jednak różne oblicza. Jeśli wielu ludzi patrzy na pewną prawdę, każdy z nich doszuka się w niej tego, co sam chce znaleźć.

- Ale ja muszę wiedzieć! - krzyknął Oskar z uporem. - Muszę wiedzieć, co się stało z moim ojcem!

Winston Brave nie odpowiedział. Po namyśle, który trwał wieczność, podjął decyzję.

- Dobrze zatem, spojrzysz prawdzie prosto w oczy. Uprzedzałem cię jednak - można się przy tym pomylić, nie dostrzec wszystkiego, co ważne, pominąć coś, co jest istotne, nie rozumiejąc, co się kryje za niektórymi faktami... Prawda może oznaczać cierpienie dla kogoś, kto nie jest na nią gotowy.

- Ja jestem - odparł bez wahania młody Medykus.

Wielki Mistrz spojrzał na niego uważnie, po czym wyjął swój medalion i zbliżył go do zamka.

Chwilę później czarne pudełko otworzyło się i wyłoniły się z niego setki przezroczystych głów. Widać było ich mózgi. Głowy krążyły wokół Oskara, przyglądając się mu.

Wiek pudełka podniosło się i stało się ekranem, który także był przezroczysty. Pojawiły się na nim dziwne linie, splatające się i rozplatające, rysowały jakieś niezwykle formy, które za chwilę zniknęły jak dym z papierosa.

- Zbliź się, Oskarze - powiedział pan Brave.

Oskar posłuchał. Serce biło mu mocno. Nareszcie, już za kilka chwil odkryje to, czego szukał od tak dawna!

Kiedy podszedł bliżej, z ekranu wynurzyły się dwie dłonie, które objęły jego głowę.

- Nie ruszaj się - powiedział pan Brave uspokajająco. - Nic ci się nie stanie. Wyjdę stąd teraz. Kiedy zostaniesz sam, będziesz mógł zapytać Sanktuarium, podobnie jak pytałeś twojego Grimoire'a. Wystarczy, że pomyślisz o tym, czego chcesz się dowiedzieć. Powodzenia, Oskarze Pillu! I pamiętaj, że zawsze jest wiele możliwych sposobów interpretacji prawdy.

Oskar nie odpowiedział. Wpatrzony był uważnie w ekran. Nic się teraz nie liczyło poza tymi zimnymi dłońmi, które czuł na skroniach, i poza wiedzą, która nareszcie miała się stać jego udziałem.

Kiedy drzwi zamknęły się za Wielkim Mistrzem, Oskar skupił się na pytaniu.

Chcę wiedzieć, co dokładnie stało się z moim ojcem - powtarzał wiele razy w myślach, z zamkniętymi oczami. - Chcę to wiedzieć.

Lodowaty powiew, jak podmuch polarnego powietrza, przeleciał od jego głowy w stronę dłoni, które leżały na jego skroniach. Otworzył oczy. Faliste zielone linie płynęły po dłoniach aż do ekranu, stamtąd dalej, w przestrzeń. Fala przepłynęła przez niezliczone głowy, które otaczały teraz Oskara pierścieniem.

Kiedy zatoczyła koło, ekran rozsunął się i powiększył, a oczom chłopca ukazał się nareszcie jakiś obraz.

Początkowo był zamazany, szybko jednak wyostrzył się i poprawił.

Oskar rozpoznał od razu postać Vitalego. Ojciec stał przed nim, naturalnej wielkości, tak blisko, że wydawało się, iż można go dotknąć. Jednak ciało Oskara było sparaliżowane przez dłonie, wychylające się z ekranu. Chciał otworzyć usta i powiedzieć coś do ojca, ale z jego gardła nie wydobył się najśłabszy nawet dźwięk. Był obserwatorem - przezroczystym jak dłonie z ekranu i jak te otaczające go twarze.

Zresztą, ojciec i tak by go pewnie nie usłyszał. Walczył właśnie zaciekle z mężczyzną ubranym na czarno. Był onniezwykle wysoki, twarz zakrywała mu kominiarka, w szparze błyszcząły tylko oczy.

Ojciec zwyciężył w tej walce, mężczyzna w czerni został zabrany przez innych Medykusów.

Obraz był przez chwilę mętny, później pojawił się znowu: pan Brave i pani Withers czytali jakiś list. Wyglądali na bardzo przybitych. Słychać było ich głosy.

- To niemożliwe, żeby Vitali Pill był po ich stronie, Winstonie, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Na pewno nie ocalał dobrowolnie życia Czarnemu Księciu...

- Wiem tylko, co przeczytałem, i pani także to widziała - odpowiedział Wielki Mistrz. - Te listy Patologusów, które u niego znaleziono, są bardzo obciążające...

- Nie można przecież ot, tak oskarżyć go o zdradę. Potrzebne są dowody i normalny proces. Trzeba zwołać Radę.

Zdrada. Oskar poczuł, że serce zaczyna mu bić bardzo szybko. Zrobiło mu się jeszcze zimniej.

Kolejne obrazy nie zostawiały zbyt wiele czasu na rozmyślania - oddalony o kilka metrów od Oskara ojciec stał nieruchomy, dumnie wyprostowany, przed członkami Rady Najwyższej Medykusów. Oskar nie był w stanie wszystkich rozpoznać, niektórzy członkowie się zmienili. Była tam pani Withers, pan Brave i księżna Lumpini, kobieta o płomiennych włosach i wymalowanej twarzy. Obok niej siedział Fletcher Worm, sztywno wyprostowany w swoim fotelu Machiavel-lim. Wpatrywał się w Vitalego przeszywającym wzrokiem. Członkowie Rady zabierali głos, jeden za drugim. Pierwszy przemówił Worm.

- Winny - powiedział ze skrzywieniem, które przypominało uśmiech. Winny. To słowo powtórzono wiele razy. Usta pani Withers ledwo się poruszyły. Ona także wpatrywała się w ojca Oskara swoimi zielonymi oczami, nie było jednak w tym spojrzeniu ani krzty nienawiści czy pogardy. Nie było w nim również współczucia. Patrzyła na niego tak, jakby go w ogóle nie widziała! Na końcu odezwał się pan Brave.

- Vitali Pillu, został pan uznany za winnego. Zdradził nas pan i współpracował pan z Patologusami. Celowo ocalił pan życie Czarnemu Księciu, a następnie wykorzystał pan swoją pozycję wewnątrz Rady, by potajemnie pomagać naszym wrogom.

Po chwili ciężkiej jak kamień ciszy Wielki Mistrz wypowiedział straszne słowa wyroku:

- Jest pan skazany na dożywotnie więzienie.

Dwóch mężczyzn zdjęło pelerynę z ramion Vitalego i odpięło jego pas. Winston Brave wziął go i położył na dużym Kaduceuszu. Wyjął swój medalion, wypowiedział odpowiednie zaklęcie i silny zielony promień uderzył w każdą sakiewkę, rozbijając każde z pięciu Trofeów, które się w nich mieściły.

Oskar poruszył się gwałtownie, oddychał z trudem. Dłonie ścisnęły jego głowę jeszcze mocniej. Chłopiec zmienił się w nieruchomą, bezsilną figurę.

Niebawem ujrzał ojca, samotnego, w małej więziennej celi. Oskar rozpoznał sceny, które widział już w swoim Grimoirze, kiedy po raz pierwszy zadał mu pytanie. Światło stopniowo gasło i kiedy otwarto drzwi do celi, ciało jego ojca leżało na ziemi.

- Nie żyje - stwierdził strażnik. - Zabił się... Vitali Pill popełnił samobójstwo! Wezwijcie Wielkiego Mistrza! Do celi weszła drobna postać. Pani Withers pochyliła się i pogładziła Vitalego po twarzy, a później przytknęła jego oczy.

- Proszę go zabrać - powiedziała zgaszonym głosem. - Proszę zabrać jego ciało. Ja zawiadomię Wielkiego Mistrza i żonę Vitalego.

Oskar usdował się uwolnić, podczas gdy z ekranu znikaly już ostatnie obrazy. Dłonie puściły go w końcu i powietrze wdarło się do jego płuc. Odetchnął głęboko i upadł na plecy na posadzkę. Wokół niego przejrzyste głowy wracały szeregiem do pudełka, które zwijało się już i zamykało.

Chwilę później czarne pudełko stało z powrotem nieruchomo na szczycie kolumny, a w sali panowała cisza.

Oskar się podniósł. Cały drżał. Wyciągnął ręce i sprawdził przestrzeń przed sobą.

- Nie... nie... - powiedział z wahaniem. - To był jakiś koszmar... koszmar.

Położył rękę na pudełku - było całkiem realne. Wcale mu się to nie śniło. Czuł, że wzbiera w nim straszliwa wściekłość. Krzyknął głośno i zaczął kopać w kolumnę, w ścianę, w posadzkę.

- To nieprawda! NIEPRAWDA!!

Ledwo dysząc, dopadł drzwi i wbiegł na górę po wijących się schodkach. Znalazł się przed uchylonymi drzwiami, otworzył je.

Był w gabinecie Wielkiego Mistrza, który oczekiwał go w mdczeniu. Naprzeciwko niego siedziała bardzo blada i milcząca pani Withers.

- Oskarze, mój chłopcze - odezwała się - pozwól, żebym ci wytłumaczyła...-To pani! - wrzasnął Oskar, półprzytomny i zalany łzami. - To pani wydała na niego ten wyrok! Wtrąciła go pani do więzienia, a on przecież zwyciężył w walce z Czarnym Księciem, a potem umarł przez panią! I przez pana! - krzyczał, wskazując na nich po kolei palcem.

W chwili, gdy mieli coś powiedzieć, Oskar uciekł z gabinetu.

Przebiegł pędem przez salon i wyleciał do hallu. Valentine, Lawrence i Ayden, którzy - mocno zaniepokojeni - czekali na niego w jego pokoju, rzucili się do schodów.

- Oskar! - krzyczały dzieci. - Zaczekaj! Wracaj!

Głuchy na wszelkie wezwania, Oskar otworzył drzwi i wybiegł z Cumides Circle, prosto w noc. Przyjaciele już mieli puścić się za nim w pogoń, kiedy ktoś ich zatrzymał.

- Zostawcie go w spokoju - powiedział pan Brave. Musi być teraz sam.

Nadciągnęli także Jerry i Cherie, zaniepokojeni krzykami. Wielki Mistrz dał znak szoferowi.

- Proszę, Jerry, niech pan pojedzie za nim, dyskretnie... Żeby mu się nie stało nic złego.

Jerry oddalił się bez słowa. Cherie, w żółtym szlafroku, z głową pokrytą papilotami, starała się uspokoić dzieci.

- Co się stało, proszę pana? - zapytał Lawrence. - Dlaczego Oskar tak wybiegł, nie mówiąc nikomu ani słowa?

- Oskar spojrzał prosto w oczy czemuś straszemu: prawdzie. To czasami bywa bardzo trudne.

Dzieci zamilkły. Było im przykro i nie do końca rozumiały, co się dzieje.

Valentine zbliżyła się do Wielkiego Mistrza i podniosła na niego zalękniony wzrok.

- Czy on... czy on do nas wróci?-Być może wróci - odparł Winston Brave, zachmurzony. - Jeśli wróci, będzie miał do przejścia bardzo długą drogę - dodał, zwracając się do dzieci. - Bardzo długą. I będzie to droga usiana różnymi pułapkami, zagrożeniami i różnymi odkryciami, a niektóre z nich mogą się okazać bolesne. Będzie potrzebował przyjaciół. Prawdziwych przyjaciół.

Dzieci popatrzyły na siebie błyszczącymi oczami.

- Jesteśmy gotowi, proszę pana - powiedział Lawrence. - Jesteśmy gotowi.

### **Aż do końca**

Celia Pili drgnęła gwałtownie i obudza się. Odgłos uderzenia brzmiał dalej, wcale jej się nie przyśnd.

Szybko wstała, narzucda szlafrok i zeszła na dół.

- Kto tam? - zapytała, podchodząc do drzwi wejściowych.

- Otwórz! Otwórz mi!

Poczuła, jak ścisła jej się żołądek. Otworzyła szybko drzwi.

- Oskar! Kochanie, co się...

Nie zdążyła skończyć zdania. Syn popchnął ją, przeleciał biegiem przez had, wbiegł na górę i zamknął się w swoim pokoju.

Zamykała już drzwi, kiedy zauważyła limuzynę, którą Oskar przyjeżdżał z Cumides Circle w każdy piątek. Szofer pozdrowd ją ruchem ręki i odjechał.

Zaledwie zamknęła drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

Kiedy już odłożyła słuchawkę, przymknęła oczy i oparła się ciężko o ścianę. Zaczerpnęła głęboko tchu i bezszelestnie weszła na górę po schodach.

Podrapała cicho w drzwi do pokoju Oskara.

- Mogę wejść? Odpowiedziała jej cisza. Nacisnęła klamkę i weszła.

Światło było zgaszone, pokój oświetlały jedynie promienie księżyca, które sączyły się przez firanki, rysując dziwne kształty na ścianie. Zbliżyła się do łóżka. Oskar leżał, odwrócony tyłem, ze wzrokiem wbitym w ścianę. Dotknęła go ostrożnie. Był spocony.

- Okłamałaś nas - rzekł Oskar cicho.

Już nie krzyczał.

- Okłamałaś Violette i mnie - powtórzył. - Mówiłaś nam, że tata zginął w wypadku lotniczym. A to nieprawda, mamó. Umarł w więzieniu, w ciasnej, ciemnej celi. Dlaczego kłamałaś?

Celia odczekała chwilę, zanim odpowiedziała.

- Nie okłamywałam was, Oskarze. Ochraniałam was.

Oskar odwrócił się w stronę matki. Płakał przez całą drogę do domu i miał teraz czerwone oczy.

- Nie rozumiem, dlaczego wszyscy chcą nas chronić? Ja zawsze chciałem poznać prawdę!

Celia przyciągnęła go do siebie, a on w końcu pozwolił się przytulić.

- Powiedzieli, że był zdrajcą, mamó, że trzymał z Patologusami. I że spejalnie ocalił życie Czarnemu Księciu. Wsadzili go do więzienia i umarł tam. Co on takiego zrobił, mamó? Jestem pewien, że nie zrobił niczego złego!

- Mogę ci tylko powiedzieć, synku, że twój ojciec był wspaniałym człowiekiem, niezwykle uczciwym. To właśnie liczyło się dla niego najbardziej. Zawsze chciał być uczciwy wobec innych ludzi, a przede wszystkim - wobec samego siebie. Nie kłamał. Taki był aż do samego końca.

Oskar oderwał się na chwilę od matki, popatrzył jej w oczy.



Pan Brave powiedział, że każdy widzi swoją prawdę. Ale może to oni się pomylili? Może to oni nie dostrzegli prawdy jak należy?

- To możliwe, kochanie.

- To w takim razie co jest prawdą, mamó? Myślałem, że jest tylko jedna prawda!

- I masz rację, Oskarze. Jedyna prawda to ta, którą masz w głębi serca. Powinieneś jej zawsze słuchać, ale ona mówi dosyć cicho, trzeba być uważnym. I tej właśnie prawdy zawsze słuchał twój ojciec. Jeśli jesteś dumny i szczęśliwy, robiąc to, co robisz, jeśli nikomu nie zrobiłeś przy tym krzywdy, to znaczy, że ta prawda, której słuchasz, jest właściwa.

Pogłaskała chłopca po twarzy. Spocone kosmyki włosów przylepiły mu się do czoła.

- Możesz być dumny ze swojego taty, wierz mi. Niezależnie od tego, co usłyszysz na jego temat, niezależnie od tego, co o nim mówią. Słuchał tego głosu serca i działał dla dobra wszystkich. I ja także zawsze będę z ciebie dumna, jeśli będziesz słuchał prawdy płynącej z serca, niezależnie od tego, co ktoś mi będzie o tobie opowiadał.

Jakiś odgłos, tuż za plecami Celi, odwrócił ich uwagę.

Violette weszła do pokoju, boso i w nocnej koszuli. Starła się uśmiechnąć, ale po policzkach spływały jej wielkie łzy. Niczego nie nuciła. Mama wyciągnęła w jej kierunku ramiona i Violette przytuliła się do niej gwałtownie. Wszyscy troje trwali tak przez dłuższą chwilę. Violette zaczęła mówić.

- Mamó, w więzieniu nie ma okna? Oskar powiedział, że to była ciemna cela. To znaczy, że tata nie mógł stamtąd odlecieć?

Celia chciała coś powiedzieć, ale poczuła, że ma ściśnięte gardło. Po raz pierwszy od wielu lat Violette mówiła o swoim ojcu. Oskar zdołał jakoś opanować swój smutek i uśmiechnął się do siostry.

- Ależ tak, Violette, zawsze można odlecieć. Do tego nie są potrzebne okna. A ty, jak sobie z tym dajesz radę?

- Ja?... - powtórzyła niepewnie dziewczynka. - Ja zagłębiam się w marzenia.

- Sama widzisz - podsumował Oskar. - Tata też marzył.

Violette pociągnęła nosem, wyraźnie jej ulżyło. Mama wstała.

- No cóż, teraz, kiedy już wszystko sobie wyjaśniliśmy i wiemy, jak można odlecieć, chciałabym, żebyście się położyli do łóżek. Złapiemy jeszcze trochę snu - powiedziała, podnosząc w górę Oskara. - A jutro rano mam nadzieję, że zobaczę uśmiech na waszych twarzach. Szeroki uśmiech. Zgoda?

- Zgoda - odpowiedziała Violette i rozpromieniła się radośnie.

- Zgoda - odparł po chwili wahania Oskar.

Celia pocałowała go, wzięła Violette za rękę i zamknęła za sobą drzwi.

Oskar leżał jeszcze przez jakiś czas ze wzrokiem utkwionym w sufit. Potem podniósł się z łóżka. Zauważył pelerynę, którą wcześniej cisnął z wściekłością do kąta. Przeszukał wewnętrzną kieszeń i wyjął z niej mały album ze zdjęciami.

Przyjrzał się fotografii swojego ojca.

Pomylili się, na pewno - myślał. - Ja wiem, że ty nie możesz być zdrajcą. Jestem z ciebie bardzo dumny, i Violette także. I mama też jest z ciebie dumna. Mam nadzieję, że tam, gdzie jesteś, ty również jesteś dumny ze mnie. Schował album pod poduszkę.

Dotrę aż do końca i pokażę im, że się pomyldi. Zobacysz, tato.

Podniósł pelerynę, złożył ją starannie i położył na krześle, obok pasa Trofeów. Pogłaskał Fiolkę i obejrzał inne, puste jeszcze, sakiewki. Tak, dotrwa aż do samego końca i przyniesie pozostałe Trofea. Wszystkie. I zostanie wielkim Medykusem, by udowodnić, jak wielki był jego ojciec.

Wdrapał się na łóżko i zamknął oczy, próbując zasnąć. Jakiś blask zmusił go, żeby je znowu otworzył. Nad nim unosiła się połyskująca złociście Fiolka - to był znak.

Miał w głębi serca swoją prawdę. I od tej pory zamierzał się jej słuchać.

Niewiarygodna ucieczka - 7  
Dobrze strzeżona tajemnica - 17  
Misja - 47  
Wizyta w środku nocy - 73  
Ultimatum - 81  
Ważny wybór - 104  
Cumides circle - 122  
Wielki Mistrz Medykusów - 149  
Biała kartka - 163  
„Jeśli pamięć zasnę masz, Odpowiedz mi, póki czas...” - 178  
Mapa uniwersów - 201  
Pierwsza podróż - 217  
Przemiał - 239  
Wielki skok - 263  
Dziwne spotkania ~ 282  
W głębi góry ~ 300  
Niespodziewani goście - 322  
Wyznanie Estelle Fleetwood - 349  
Szantaż Boyda - 369  
Ciężka waliza - 378  
Przyłapany na gorącym uczynku - 398  
O północy w Blue Parku... - 416  
Zasadzka kryje zasadzkę - 442  
Ratujmy Bonesa! - 455  
Akrobacje lotnicze - 478  
Krwawa litera - 490  
Aż do końca - 524